
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

DZIEJE POLSKI ZA JAGIELLONÓW

- WYDAWNICTWO KRAKOWSKIEGO -
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ

DZIEJE POLSKI ZA JAGIELLONÓW

NAPISAŁ

DR. FELIKS KONECZNY

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

VIII.6.4.2.2.

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAK. TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1903.

5155

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
im. Gen. Broni K. Świerczewskiego

W KRAKOWIE, CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ
POD ZARZĄDEM A. SZYJEWSKIEGO.

SPIS TREŚCI.

Str.

Rozdział I. Przewaga Małopolski 1

Król Ludwik Węgierski. Opozycya Wielkopolska. Władysław Opolczyk na Rusi. Pierwszy zjazd koszycki. Poradlne. Przywilej koszycki. Stronnictwo brandeburskie. Wojna z Jagiełłą. Oderwanie Rusi Czerwonej. Trzeci zjazd koszycki. Bunt Bartosza z Odolanowa. Zerwanie z Węgrami. Jadwiga a Ziemowit. Kandydatura Jagiełły. Jadwiga królem. Unia krewska. Wilhelm Habsburski. Wojna Białoruska. Ofiara królowej Jadwigi. Król Władysław Jagiełło. Odzyskanie Czerwonej Rusi. Krzyżackie fałszerstwa. Polacy wobec Litwy. Społeczeństwo ruskie.

Rozdział II. Pogrom Niemców 51

Zamach Witołda. Niedoszła Wojna z Zakonem. Wznowienie uniwersytetu. Śmierć królowej Jadwigi. Sejmiki. Wielkopolska przeciwko wojny. Krzyżacy pod Pskowem. Początek wielkiej wojny. Pośrednictwo króla czeskiego. Podmawianie Witołda. Grunwałd. Pod Malborgiem. Odzyskanie Dobrzynia i Żmujdzi. Nabycie Spiżu. Unia Horodelska. Stosunki cerkiewne. Wojna głodowa. Schyzma papieska. Husytyzm. Sobór kostnicki. Paweł Brudzewski. Hasło wytępienia Polaków. Wojny: odwrotowa i gołubska. Przywilej czerwiński. Orzeczenie padewskie. Wezwanie na tron czeski. Wojny husyckie. Fryderyk Hohenzollern. Przywilej jedlneński. Niedoszła koronacya Witołda. Bunt Świdrygiełły. Bitwa pod Nakłem. Wojna z całą nacyą niemiecką. Kompaktaty. Król Władysław Warneńczyk. Koniec Wielkiej Wojny.

Rozdział III. Walka o wybrzeża morskie 132

Wywóz zboża. Prawo polskie na Rusi Czerwonej. Zagrodnicy. Turcy i Tatarzy. Rządy Oleśnickiego. Stronnictwa: czeskie i węgierskie. Próba odzyskania Ślązka. Unia Florencka. Jan Gasztołd. Metropolita Izydor. Wojna turecka. Bitwa pod Warną. Polityka Gasztołda podczas bezkrólewia. Król Kazimierz IV. Jagiellończyk. Wyrzeczenie się walki z Moskwą. Husyci polscy. Początki humanizmu. Legizm. Zależność Kościoła od króla. Świątobliwi Polacy.

Str.

Bernardyni. Wojna trzynastoletnia. Ustawy nieszawskie. Zaciężni. Trzy państwa w unii. Wojna z Maciejem Korwinem. Sześciu królewiczów. Handel polski. Kapitalizm. Tłumny napływ Żydów. Moneta. Wolność handlowa. Stosunki miejskie. Mieszczańscy właściciele dóbr. Szlachta i kmiecie. Chwiejność podatku łanowego. Zupełny skup sołtystw. Żydzi na wsi. Sejm walny. Pierwszy car. Pierwsza wyprawa czarnomorska. Ostatnie lata Kazimierza Jagiellończyka. Aleksander osobnym W. Księciem Litwy. Walka z możnowładztwem podczas bezkrólewia. Król Jan Olbracht. Ustawy r. 1496. Wtóra wyprawa czarnomorska. Klęski od Moskwy. Wojna o wyrugowanie Krzyżaków. Król Aleksander. Projekt rządów oligarchicznych. Nowe ustawy dla kmieci. Jan Łaski. Zwycięstwo demokracyi szlacheckiej.

Rozdział IV. Zygmuntowskie czasy 251

Zygmunt I. Stary na Ślązku. Bunt Michała Glińskiego. Przymierza przeciw Jagiellonom. Wojna z Wołoszą i Moskwą. Albrecht Brandeburski. Utrata Smoleńska. Kongres wiedeński. Po kongresie wiedeńskim. Wojna z Krzyżakami. Tak zwana reformacya. Sekularyzacya Prus. Początki protestantyzmu w Polsce. Klęska pod Mohaczem. Oświata. Królowa Bona. Finanse państwowe. Reformy podatkowe. Moneta. Deprecyacya pieniądza. Wcielenie Mazowsza. Hieronim Łaski. Bitwy pod Obertynem i Starodubem. Hasła korrektury, egzekucyi. Wojna kokosza. Turcy w Mołdawii i Węgrzech. Małżeństwa Zygmunta Augusta. Sądownictwo. Zawiązki niewoli ludu wiejskiego. Sprawy miejskie. Rozwój protestantyzmu. Śmierć Zygmunta Starego. Król Zygmunt August. Barbara Radziwiłłówna. Plany ścisłej unii i narodowego kościoła. Stanisław Hozyusz. Ważniejsze sekty. Wspólna konfessya. Wilhelm Brandeburski. Uroszczenia Moskwy do Dorpatu. Trzecia żona Zygmunta Augusta. Wojna Pozwolska. Czterech panów w Inflanciech. Księstwo Kurlandzkie. Sumy neapolitańskie. Rozłam protestantów. Aryanie. Dokonanie egzekucyi. Kwarta. Sprawa rozwodowa. Lud wobec protestantyzmu. Polityka handlowa. Sądownictwo. Unia lubelska. Testament ostatniego z Jagiellonów. Idea Jagiellońska.

WŁADYSŁAW KOŚCIELNY

ROZDZIAŁ I.

PRZEWAGA MAŁOPOLSKI.

Dzieje Polski za Piastów były dziejami wyłącznie tylko polskiego narodu; za drugiej zaś dynastyi, za Jagiellonów, wchodzi Polska w trwałe związki państwowe z innymi narodami; naród walczący długo o swe istnienie, wzmożony połączeniem unią z sąsiadami, tworzy ze swego państwa mocarstwo europejskie i dokonuje dzieł wielkich, które zawsze będą budziły podziw i zapewniają naszej przeszłości zaszczytne miejsce w historyi powszechnej. Na wysokie wyżyny mnie się historya polska od czasów Kazimierza W.; jedno pokolenie za drugiem, coraz godniejsze chwały za przedsiębiorczość, za rozum polityczny, energię i wytrwałość. Największą jednak napawa nas dumą to, że przeszłość nasza nietylko sławna, ale zarazem godna największej czci, bo przodkowie nasi osięgali uczciwą drogą wielkość narodu i potęgę państwa, pozostając w polityce dobrymi chrześcijanami, nietylko nie cudzym kosztem, lecz wiele świadcząc innym dobrego.

Dwie były drogi do wielkości Polski: Droga wschodnia przez łączność z Rusią i Litwą, i zachodnia przez posuwanie się na nowo ku Odrze. Kazimierz W., ten prawdziwy mędrzec w polityce, rozstrzygnął, że bez Rusi niema powodzenia na Zachodzie; ale testamentem zastrzegł, żeby spraw zachodnich nie opuszczać i obmyślił przyszłość Polski pod pomorską dynastyą, wyposażając w tym celu tak hojnie Kazimierza szczecińskiego. Po kilku już latach trzeba było obmyślać nowe sposoby, i zamiast pomorskiej otrzymaliśmy dynastyę litewską; ale była to tylko zmiana środków,

a nie celów. Dzielni to byli ludzie, których nie odrywał od celu zawód doznany w środkach, bo umieli zaraz wynaleźć nowe, jeszcze stosowniejsze i jeszcze prędzej do celu wiodące.

KRÓL LUDWIK WĘGIERSKI, 1370–1382.

Podczas choroby Kazimierza Wielkiego doszły na dwór węgierski jakieś wieści, że król poczyni rozporządzenia niekorzystne dla swego następcy. Wybrał się więc król Ludwik zaraz do Krakowa, żeby zastać jeszcze przy życiu swego polskiego wuja, chociaż podróż ta wypadła mu bardzo nie w porę, bo właśnie dynastya Luksemburska przybierała wrogą postawę i zanosiło się nadto na wojnę Węgier z Wenecyą. Stanął w Krakowie dnia 7 listopada 1370 r. Jakżeż się zdziwił, że trafia już na pogrzeb, choć dopiero dwa dni minęły od śmierci królewskiej! Tak spieszno było panom z dworu nieboszczyka załatwić się z pogrzebem, że nie czekali nawet na zjazd dostojników, nie przygotowywali żadnych uroczystości, nie czekali na przyjazd siostrzeńca i następcy, żeby tylko jak najprędzej ogłosić i wykonać testament poprzednika. Nie udało im się; Ludwik nie zdążył już wprawdzie wpłynąć na zmianę testamentu, ale przybył dość wcześnie, żeby przeszkodzić wykonaniu go.

Nowy król zaprotestował stanowczo przeciw testamentowi Kazimierza Wielkiego. Nie myślał on torować swoją osobą drogi dynastyi pomorskiej, lecz chciał utrzymać Polskę na zawsze w swoim rodzie, przy dynastyi andegaweńskiej. Układ z r. 1355 zapewniał koronę polską męskim potomkom tej dynastyi, a chociaż nie żyli już ani bracia Ludwika, Andrzej i Stefan, ani synowiec Jan, król żaś miał dotychczas tylko dwie córki, spodziewał się jednak jeszcze dalszego potomstwa. Miał zaś król Ludwik zupełnie odmienne pojęcia o stosunku panującego do narodu, niż Polacy i polscy królowie.

Polska wyprzedziła wszystkie narody europejskie pod tym względem, że u nas powstała najwcześniej polityka narodowa. To państwo polskie, które Ludwik obecnie obejmował, było wytworzone przez samo społeczeństwo, a Władysław Niezłomny i Kazimierz Wielki byli tylko wykonawcami polityki narodowej. Gdy się okazało, że interes dynastyi nie jest zgodny z interesami narodu, poświęcono dynastyę bez wahania. Najpierw odsunięto od

tronu liczną i kwitnącą gałąź ślązkich Piastów, a potem wykluczono Piastów wogóle, usunięto nawet lubianych powszechnie książąt mazowieckich w imię interesów narodowych, wyższych nad dynastyczne. Wśród ludów zachodniej Europy uważanoby coś podobnego za szczyt bezprawia. Według ówczesnych bowiem pojęć podstawą wszelkiego prawa publicznego było prawo dynastyi, wyższe ponad wszelkie inne względy i tego też zdania był król Ludwik. Sam korzystał chętnie z usunięcia Piastów, ale nie naśladowałby on Kazimierza Wielkiego i nie usunąłby Andegawenów, choćby dobro Polski stokrotnie tego wymagało. Inną miarę przykładano do polityki u nas, a za granicą, bo tam społeczeństwa rozwijały się w feudalizmie, u nas zgoła nieznanym; tam powstały państwa dynastyczne, podczas gdy nasze zamieniło się w narodowe [1]).

Nowy król polski postanowił zamienić Polskę na państwo dynastyczne. Celem Polaków miało być przyczyniać się do wzrostu potęgi andegaweńskiej, ażeby pod jej ochroną mieć obronę tych interesów społecznych, któreby nie były sprzeczne z interesem rodowym Andegawenów. Innego ustroju państwowego nie pojmował król Ludwik, bo go też nie pojmowano nigdzie w Europie.

Wielkie lenno, wyznaczone Kazimierzowi szczecińskiemu przez Kazimierza Wielkiego, osłabiłoby znacznie potęgę samego króla, a więc nie przystał na nie Ludwik. Dopiero po tygodniu targów i sporów zgodził się wyznaczyć mu lenno inne, znacznie mniejsze i w innej stronie, a mianowicie ziemię bydgoską i dobrzyńską. Zmieniało to zupełnie myśl polityczną Kazimierza Wielkiego. Związek z Zaodrzem nie był już taki pewny, ani też Krzyżackie państwo nie było już tak otoczone, jak tego wymagała polska polityka.

Widocznem było, że Ludwik nie zamierza na przyszłość zwrócić się przeciw Krzyżakom. Następstwo jego po Piastach traciło odrazu na wartości, zwłaszcza dla Wielkopolan. Niektórzy z obecnych w Krakowie panów zastanawiali się, czy wobec tego warto dopuszczać Ludwika do tronu? Ale następstwo jego usta-

[1]) O feudaliźmie jest wyjaśnienie w „Dziejach Polski za Piastów“, str. 202; o państwach dynastycznych na str. 340.

nowione było głównie ze względu na sprawę ruską. Ażeby Ruś Czerwona nie tworzyła już osobnego księstwa, żeby wyłączyć tam od dziedzictwa swych piastowskich krewnych, a nawet własne córki, dał był Kazimierz Wielki Ludwikowi dokument, w którym oświadczał, że on sam panuje na Rusi Czerwonej tylko dożywotnio, a po jego śmierci kraj ten przypaść ma Ludwikowi. Wszak Ludwik miał zostać królem polskim! Obecnie nie dałoby się też utrzymać Rusi bez króla Ludwika. Wielkopolanom była Ruś dosyć obojętna, ale Małopolanom zależało na niej niezmiernie, bronili więc panowania Ludwikowego i chcieli zaraz przystąpić do koronacyi. Garstka zebranych w Krakowie wielkopolskich dostojników nie mogła postanowić nic stanowczego na własną rękę, bez porozumienia się z ogółem wielkopolskich ziemian, chcieli więc zyskać na czasie i próbowali odwlec koronacyę. Poczęli wywodzić urojone wątpliwości, czy król koronowany w Krakowie nie będzie panem samej tylko Małopolski. W Krakowie przecież koronowali się Władysław i Kazimierz Wielki! Udany wywód był tylko wybiegiem na wypadek, gdyby Wielkopolanie uznali potem za stosowne nie uznać Ludwika królem. Żądali, żeby koronacya odbyła się u nich, w Gnieźnie, bo przewiezienie insygniów koronacyjnych wymagałoby kilku tygodni, a przez ten czas można się było porozumieć i choćby odmówić potem w Gnieźnie koronacyi. Tego właśnie bali się panowie małopolscy i tem bardziej pospieszyli się, tak, że koronacya odbyła się już dziesiątego dnia po przyjeździe Ludwika, dnia 17 listopada 1370 r. Rzekome wątpliwości wielkopolskich wielmożów zbyto tem, że król przybędzie do Gniezna i tam w tumie, u grobu św. Wojciecha, zasiądzie „na majestacie“, tj. w całym stroju koronacyjnym, z berłem, z jabłkiem monarszem i w koronie. Wybrał się też król natychmiast w tę drogę, żeby uprzedzić wszelkie poruszenia w Wielkopolsce, póki ogół nie dowie się o wątpliwościach politycznych, póki ludność tyle tylko będzie wiedziała, że jedzie król nowy, że tedy trzeba go powitać. Udało się. Już w Kaliszu zebrały się tłumy na uroczyste powitanie, w Gnieźnie zastał król zupełny spokój, nie potrzebował nawet zadawać sobie trudu zasiadania na majestacie; wyjechał po dwóch dniach do Poznania, a stamtąd na Łęczycę wracał już spiesznie na południe.

W czasie tej podróży zagrabili margrabiowie brandeburscy

Santok, Litwini zaś pod wodzą Kiejstuta zajęli Włodzimierz wołyński. Były to naraz dwie dotkliwe klęski graniczne. Ale król spieszył na Węgry, nie przedsiębrawszy niczego na obronę granic.

Uwoził z sobą koronę polską, piękną koronę Władysława; pozostała ona na Węgrzech aż do r. 1412. Uwoził też dwie pozostałe córki Kazimierza Wielkiego. Starsza z nich Anna, licząca cztery lata, była od roku zaręczona z Wacławem Luksemburczykiem, synem cesarza i króla czeskiego Karola. Średnia wiekiem Kinga zmarła jeszcze za życia ojca. Młodsza Jadwiga nie miała jeszcze dwóch lat. Dzieci te mogły być niebezpieczne dla dynastycznych planów Ludwika; zabrał je więc na Węgry, nie dawał im umyślnie należytego wychowania, chował w ukryciu przed światem i obchodził się z niemi jak najgorzej, zamierzając w przyszłości wydać je jak najgorzej za mąż.

Król Ludwik nie myślał wcale zamieszkać w Polsce. Potrzebował tem bardziej kogoś, komuby mógł zupełnie zaufać, że będzie strzegł interesów dynastyi, nie krępowany żadnymi względami ani na pomorską, ani na ruską sprawę. Uczynił w tym celu księciem lennym w Polsce jednego ze zniemczonych Piastów ślązkich, Władysława, dziedzica uszczuplonego bardzo działami i grubo zadłużonego księstewka opolskiego, zwanego zwykle krótko Opolczykiem. Książe ten, nie wiele mając doma, szukał od młodości szczęścia w świecie i znalazł je na dworze andegaweńskim. Został hrabią preszburskim na Węgrzech, a potem palatynem, tj. niejako wicekrólem. Tegoto przenosił król teraz do Polski, nadając mu na księstwo lenne ziemię wieluńską, sąsiadującą z księstwem opolskiem, a sięgającą aż do górnego biegu Warty. W tej ziemi jest Częstochowa, pod którą fundował Opolczyk klasztor na górze zwanej Jasną, sprowadzając z Węgier Paulinów, których zakon był w łaskach u króla Ludwika. Nie można było Opolczyka ustanowić urzędowo wielkorządcą, bo ustawa z r. 1339 wyłączała od tego Piastów ślązkich [1]), a więc sprowadził król do Polski swą matkę Elżbietę, rodzoną siostrę Kazimierza Wielkiego, kazał jej zamieszkać na Wawelu i nazywać się wielkorządczynią. Za nią krył się Opolczyk. On przechowywał nawet u siebie ważne dokumenta państwowe, między innymi dokument krzyżacki pokoju

[1]) Zobacz w „Dziejach Polski za Piastów“ str. 348.

Biblioteka Oficerska Sztabu Generalnego

kaliskiego z r. 1343, mocą którego uznawali się Krzyżacy lennikami Polski i zobowiązywali się płacić daninę z Pomorza [1]). Opolczyk znany był już z dawniejszych lat w Polsce; brał też udział w kongresie krakowskim w r. 1364 [2]).

Tak urządziwszy swe sprawy i zabezpieczywszy się na razie od Wielkopolan, jechał król spiesznie z Łęczycy do Krakowa, a ledwie tylko przenocowawszy w stolicy swego nowego królestwa, jechał dalej i jeszcze przed Bożem Narodzeniem był z powrotem na Węgrzech, ażeby dopilnować spraw z Luksemburczykami i z Wenecyą, od których oderwał go wyjazd do Polski. Z przekornego pomysłu wielkopolskich panów pozostał na przyszłość zwyczaj, że każdy nowy król odbywał po koronacyi podróż do Wielkopolski.

Dzięki pozyskaniu korony polskiej rozporządzała teraz dynastya andegaweńska potęgą większą, niż Wittelsbachowie, Luksemburczycy, Habsburgowie. Król Ludwik miał najrozleglejsze panowanie ze wszystkich monarchów europejskich. Opierało się ono o trzy morza: Adryatyckie, Bałtyckie i Czarne. Nad Adryatykiem władał w Dalmacyi, którą wydarł potężnej rzeczpospolitej weneckiej. Ożeniony z Elżbietą, córką bana bośniackiego, brał udział w sprawach półwyspu bałkańskiego, wywierał przeważny wpływ na Bośnę, Serbię, nawet na Bułgaryę. Dołączywszy do węgierskiej korony polską, zawładnął południem i północą wschodniej Europy. Nad Bałtykiem miał lennika, księcia Kazimierza szczecińskiego, a nad morzem Czarnem hołdowała mu Wołoszczyzna. Podlegały mu różne narody: Madziarzy, Słowacy, Rusini, Wołosi czyli Rumunowie, Niemcy i Polacy. Ale wśród rozmaitej ludności tego olbrzymiego obszaru nie było i nie mogło być poczucia wspólności interesów. Koło Poznania np. rzadko kto wiedział, że jest na świecie jaka Dalmacya, a w Dalmacyi z pewnością nikt nie wiedział o jeziorze Gople. Mieszkańcom królestwa węgierskiego obojętnem było, czy ujście Wisły jest w polskiem ręku, czy krzyżackiem. Im zaś chodziło np. o to, żeby Wenecya nie przeszkadzała wywozowi soli morskiej z Dalmacyi na Węgry, co znowu obojętnem było dla Polski. Rozmaite interesy wymagały

[1]) Zobacz w „Dziejach Polski za Piastów“ str. 364–367.
[2]) Tamże, str. 376.

rozmaitej polityki, toteż w takiem dynastycznem państwie niesposób było rządzić jednako dla dobra wszystkich. Król Ludwik zasłużył sobie w dziejach węgierskich na przydomek Wielkiego, u Polaków zaś pozostawił po sobie przykre wspomnienie. Jako najpotężniejszy w Europie władca byłby mógł zająć się bezpiecznie odzyskaniem Pomorza gdańskiego, ale nigdy o tej sprawie nie myślał. Sprawę ruską miał w pamięci, ale tak, żeby Ruś Czerwoną odjąć od polskiej korony, a przyłączyć do swej dziedzicznej węgierskiej. Całe jego panowanie było też jednym ciągiem zabiegów o Ruś.

OPOZYCYA WIELKOPOLSKA.

Stosunek Polaków do nowego króla ułożył się też według tego, co uważano za ważniejsze: utrzymanie Rusi, czy odzyskanie Pomorza. Znaleźli się w Wielkopolsce zapaleńcy, gotowi do buntu, jeżeli król nie będzie uwzględniał polityki pomorskiej; Małopolanie musieli jednak trwać przy Ludwiku ze względu na Ruś i tak wikłały się te sprawy, że w danym razie groziły rozerwaniem Polski, a Wielkopolska sama byłaby zbyt słabą wobec Brandeburgii i Krzyżaków. W opozycyi wielkopolskiej tkwiło groźne niebezpieczeństwo dla całego narodu. Król poodbierał urzędy wielkopolskim dostojnikom, a przysłał na ich miejsce Małopolan, jako dozorców wierności Wielkopolan. Jeden tylko wśród wielkopolskich wielmożów podzielał zapatrywania polityczne małopolskich panów i przyłączył się do stronnictwa królewskiego: Sędziwój z Szubina.

Niechętni Ludwikowi Wielkopolanie oglądali się za kimś wybitnym, ktoby stanął na czele opozycyi i jawnie wystąpił przeciw królowi. Ani Ziemowit III. mazowiecki, ani Kazimierz szczeciński, chociaż przez Ludwika skrzywdzony, nie dali się nigdy użyć za narzędzie w tej walce, nie rokującej wcale wygranej, a pozbawionej zmysłu politycznego. Ale znalazł się do tego książę, który i tak nie miał nic do stracenia. Był nim najbliższy krewny Kazimierza Wielkiego, syn jego stryjecznego brata, imieniem także Kazimierza: Władysław, zwany Białym, dziedzic kilkumilowego księstewka gniewkowskiego. Kazimierz Wielki przydał mu w lenno Inowrocław, ale Władysław opuścił następnie Polskę, Inowrocławia się zrzekł, Gniewków sprzedał królowi, odbył piel-

grzymkę do Ziemi św., potem z Krzyżakami wyprawę na pogańskich Litwinów (co zawsze jeszcze uważano za rzecz szczególnie Bogu miłą), przystał później we Francyi na braciszka u Cystersów w Syto (Citeaux), w końcu zaś złożył uroczyste dozgonne śluby u Benedyktynów w Diżą (Dijon). Książę ten był wujem nowego króla, bo siostra jego Elżbieta, wyszedłszy za mąż za bana Bośnii, była matką Elżbiety, żony Ludwika węgierskiego. Władysław Biały, choć mnich, nie prowadził wcale życia w umartwieniach, a potrzebując ciągle pieniędzy, czerpał nieraz z łaskawości skarbu węgierskiego dworu, ale nie krępował się żadnymi względami, gdy w r. 1371 zjawiła się w Diżą deputacya, wzywająca go, żeby wracał do Polski. Posłał zaraz do papieża z prośbą o dyspenzę. Papież jednak odmówił, bo ani dobro Kościoła, ani Polski dyspenzy tej nie wymagało.

Tymczasem mianował król Sędziwoja z Szubina starostą generalnym wielkopolskim i powierzył mu też rządy w księstwie gniewkowskiem. Sędziwój był roztropnym politykiem; udało mu się przerzedzić szeregi opozycyi wielkopolskiej. Pozyskał dla króla liczny i wpływowy ród Grzymałów. Na czele niechętnych stanął zaś ród Nałęczów. Osobiste urazy i prywatne swary wpływały też na tok życia publicznego; do wielkiej sprawy o politykę pomorską i przewagę Wielkopolski w państwie, przyłączało się w każdym powiecie dużo spraw drobnych i w każdej okolicy rozpoczęły się swary Grzymalitów z Nałęczami, przyczem nie brakło takich, którzy w mętnej wodzie łowili ryby i pod pozorem gorliwości o sprawę publiczną załatwiali swoje prywatne rachunki. Sędziwojowi z Szubina odmawiano coraz częściej posłuszeństwa.

Wśród takich stosunków stała się korona polska przedmiotem dynastycznych frymarków. Królowa powiła w r. 1371 trzecie dziecię, ale było ono znowu płci żeńskiej: Jadwiga. Córkom Ludwikowym nie należało się następstwo tronu. Cesarz Karol IV. Luksemburczyk zapytywał w r. 1372 papieża, czy nie byłoby dobrze ogłosić następczynią polskiego tronu jednej z córek Kazimierza Wielkiego? Wszak syn jego Wacław był zaręczony ze starszą! Ledwie Ludwik tron polski zajął, a już obmyślano, jakby go odebrać jego rodowi. Postanowił więc Ludwik, że nie dopuści do małżeństwa Anny z Wacławem, a natomiast ułożył, żeby drugi cesarzewicz, Zygmunt, zaręczył się z jedną z jego córek i dążył

odtąd do tego, żeby jego córkom było przyznane następstwo tronu. Trzeba było do tego zgody Polaków.

Na pewno mógł Ludwik liczyć na mieszczaństwo, bo ten stan popierał wszędzie politykę dynastyczną, a u nas, z Niemców się składając, tem obojętniejszy był na politykę narodową. Przygotowania do zorganizowania andegaweńskiego stronnictwa rozpoczął też król od miast wielkopolskich. W roku 1372 wybrała się królowa matka, jako wielkorządczyni, do Wielkopolski, ale nie zajmowała się całkiem sprawami, podawanemi jej do uwzględnienia przez ziemian, wstępowała tylko na krótko do miast. Przejechawszy szybko przez Pyzdry, Gniezno, Poznań, Kruświcę i Kalisz, spełniała wszystkie prośby mieszczan; Poznaniowi i Kaliszowi przywróciła sąsiednie wsie, odebrane im przez Kazimierza Wielkiego.

WŁADYSŁAW OPOLCZYK NA RUSI.

Na Małopolan miał król zawsze łatwą radę w sprawie ruskiej i tegoż jeszcze roku zrobił z niej zakład wierności polskiej, złożony pod straż Opolczyka. Dnia 10 października 1372 r. wydał w Preszburgu na Węgrzech dokument, w którym ogłaszał, że „państwo swoje ruskie“ oddaje Władysławowi Opolczykowi do „rządzenia i zachowania“. Z ramienia której korony ma tam książę rządzić, polskiej czy węgierskiej, o tem nic nie powiedziano. Gdyby w razie śmierci Ludwika Polacy nie ofiarowali tronu jego córce, mógł Opolczyk uznać się hołdownikiem węgierskiej korony.

Władysław Opolczyk rządził na Rusi Czerwonej niezupełnie po myśli Kazimierza Wielkiego. Chciał być panem sumień ludzkich, schyzmatykom był niechętny i o ich potrzeby religijne nietylko nie dbał, ale przeszkadzał sprawom cerkiewnym, nie pomnąc, że olbrzymia większość ludności do wschodniego kościoła należała. Rządził on pod tym względem po myśli króla Ludwika, który prześladował schyzmatyków w swem węgierskiem królestwie. Dzięki staraniom Kazimierza Wielkiego mianowany był metropolitą schyzmatyckim w Haliczu Antonios, który zjechawszy na Ruś, nie zastał już króla przy życiu. Podlegały mu biskupstwa czyli eparchie schyzmatyckie w Chełmie, Turowie, Przemyślu, Łucku i Włodzimierzu. Wnet jednak odebrano Antoniosowi eparchie łucką i turowską, bo ziemie te nie były pod władzą Polski, a przydzielono je do nowej również metropolii rusko-litewskiej, o której utworze-

nie wystarał się Olgierd. Papież Grzegorz XI. bardzo był niezadowolony z ustanowienia hierarchii schyzmatyckiej na Rusi Czerwonej i dwa razy domagał się jej zniesienia: w roku 1372 i 1375. W każdym razie istnienie schyzmatyckich biskupstw przyspieszyło przynajmniej i doprowadziło wreszcie do pomyślnego końca sprawę hierarchii łacińskiej, o którą Kazimierz Wielki długo napróżno w Rzymie kołatał. Pisał był do Rzymu, że zajęte przezeń kraje ruskie starczą na siedm biskupstw, a nie doczekał się ustanowienia ani jednego. Poprzestać więc musiał na popieraniu zakonów franciszkańskiego i dominikańskiego, którymi opiekował się również gorąco Opolczyk. Biskupi lubuscy nie chcieli dopuścić do ustanowienia biskupa na Rusi Czerwonej; twierdzili, że cały ten kraj należy do ich dyecezyi, a kościoły: w Przemyślu, Włodzimierzu i Chełmie są tylko parafialnymi. Dopiero w roku 1375, gdy wystąpili w tej sprawie arcybiskup gnieźnieński, biskupi krakowski i płocki, udało się obalić uroszczenia biskupów lubuskich, bardziej ambitnych, niż do pracy misyjnej skłonnych. Natenczas wezwał papież arcybiskupa gnieźnieńskiego, żeby podał kandydatów na stolice ruskie i to świadomych języka krajowego. Powstało w roku 1376 arcybiskupstwo katolickie łacińskie w Haliczu (przeniesione później roku 1412 do Lwowa) i biskupstwa w Przemyślu i Chełmie, umyślnie w tych miastach, gdzie już byli władycy, to jest biskupi wschodniego Kościoła. Nowe te biskupstwa otrzymały odrazu bogate wyposażenie w dobrach ziemskich.

Pod względem gospodarskim były rządy Opolczyka na Rusi bardzo zapobiegliwe i wzorowe. Idąc śladem Kazimierza Wielkiego starał się o zaludnienie tego kraju, który był po większej części pustką jeszcze i nieużytkiem. Dawano ziemię ochotnie każdemu, kto się zobowiązał sprowadzić osadników. Korzystali z tego wielmożowie małopolscy. Tak n. p. dostał ród Rzeszowskich olbrzymie nadania, których ognisko urosło wkrótce w dostatnie handlowe miasto Rzeszów. Przybyło też sporo szlachty i prowadzili tam gospodarstwo rodowe. Dawano chętnie znaczne obszary ziemi ruskim bojarom, t. j. szlachcicom tamtejszym, byle tylko sprowadzili osadników. Tych garnęło się najwięcej z Polski, ale nie brakło i Niemców, Czechów oraz Wołochów. Najmniej udziału w osadnictwie czerwonoruskiem brali Węgrzy; nie znać ich tam prawie całkiem.

Niemcy osiedlali się po większej części po miastach. Lwów, który teraz wzrastał szybko, miał wkrótce znaczną część ludności z Niemiec.

PIERWSZY ZJAZD KOSZYCKI.

Król Ludwik przygotowywał się ogłosić jawnie, że tron polski ma być zachowany dla jego córek, gdy w tem z początkiem września 1373 r. stanął w Wielkopolsce Władysław Biały, nie dbając o dyspenzę. Od razu znalazł stronników. Cała rzecz była widocznie dobrze przygotowana, skoro już dnia 10 września miał książe w swej mocy nietylko księstwo gniewkowskie, ale też inowrocławskie. Król powołał pod broń kujawską szlachtę, a za niestawienie się na takie wezwanie była w prawie polskiem konfiskata, t. j. zabranie majątku. Sędziwój z Szubina nie dopuścił do rozszerzenia się buntu i wkrótce musiał Władysław Biały wycofać się. Wierzył jednak, że przyjdzie jeszcze na niego kolej i oczekując lepszej sposobności, zamieszkał na samej granicy w Drezdenku, u panów von der Ost. Na wybitniejszych członków wielkopolskiej opozycyi posypały się konfiskaty. Wtenczas podległ też karze konfiskaty i sam skazany został na wygnanie Janko z Czarnkowa, archidyakon gnieznieński, niegdyś podkanclerzy Kazimierza Wielkiego, który spisał potem kronikę swoich czasów.

Wypadek ten nie przeszkodził królowi w wykonywaniu dynastycznych planów. W Koszycach na Węgrzech zjechali się zaufani, nieliczni jeszcze, stronnicy królewscy i wysłańcy wielkopolskich miast. Delegaci Poznania, pierwsi ze wszystkich mieszkańców Polski, złożyli tam odrazu hołd dwom starszym królewnom, Katarzynie i Maryi, zobowiązując się jednę z nich uznać kiedyś królową polską. Pierwszy krok urzędowy był zrobiony. O miasta zresztą nie było kłopotu; gorzej było, jak sobie pozyskać szlachtę. Przebiegły Ludwik wynalazł sposób ciekawy. Nałożył na ziemian niebywały, olbrzymi podatek, aż po 12 groszy *poradlnego* z łanu i kazał go wybierać zaraz, jeszcze tej samej jesieni 1373 r., rozpuszczając równocześnie wieść, że opuści podatek, jeżeli szlachta przyzna królewnom następstwo tronu.

PORADLNE.

Nie było w Polsce dotychczas żadnej ogólnej ustawy podatkowej. Zaginęła już była tradycya dawnych powinności opola.

Za czasów dzielnicowych bywało w różnych stronach kraju rozmaicie, raz płacono mniej, drugi raz więcej, a gdy o panowaniu księcia rozstrzygała życzliwość poddanych, każdy z nich starał się narażać się im jak najmniej podatkami. Nadając posiadłości, oznaczał zawsze książę, co mu się z nich będzie należało, tak, że każdy właściciel ziemski miał swój osobny stosunek podatkowy do księcia. Gdy trzeba było więcej pieniędzy na sprawy państwowe, nakładał książę na swą dzielnicę osobny podatek w porozumieniu z jej dostojnikami. Nie mamy pewności, w jaki sposób się to odbywało; prawdopodobnie zapadała taka uchwała na wiecu urzędniczym. Gdy za króla Władysława społeczeństwo całe dążyło wytrwale do utworzenia wielkiego narodowego państwa, nie szczędziło też na ten cel ofar pieniężnych. Król ten wybierał podatki nadzwyczajne „ponad zwyczajną wolność“ i nie było o to żadnych niechęci. Zdaje się, że dzięki wyjątkowym okolicznościom swego panowania i wyjątkowemu stanowisku wobec społeczeństwa, osiągnął król Władysław większą władzę w tej sprawie. Kazimierz Wielki szukał nowych źródeł dochodów, powiększał dobrobyt społeczeństwa, do nadzwyczajnych podatków się nie uciekał. Wysokie „poradlne“ poszło za jego rządów w zapomnienie. W ustawodawstwie króla Kazimierza opisano powinności właścicieli ziemskich na wojnie, ale podatki podczas pokoju nie zostały jeszcze żadną ustawą określone. Korzystał z tego król Ludwik i nałożył teraz sam od siebie nadzwyczajny podatek; zrobił to, co zrobił niegdyś Łokietek i pod względem formalnym nie można mu było nic zarzucić. W rzeczy samej było to jednak zupełnie co innego. Wtenczas dawano chętnie, bo wiedziano, na co się daje, na sprawę świętą dla każdego, ale teraz nie było żadnego powodu do ofiarności. Czyż na nową wojnę wenecką? Gdyby się zgodzić na zasadę, że król ma prawo nakładać podatki według własnego zdania i upodobania, mogłoby to doprowadzić do ucisku podatkowego i to na cele społeczeństwu zupełnie obce i obojętne. Postanowiono więc tę sprawę uregulować zasadniczo. Wiedziano oczywiście, że podatki zawsze być muszą i nikt nie myślał temu się opierać; chodziło tylko o to, żeby ustawą oznaczyć ich wysokość, żeby nie było w tem dowolności i żeby raz na zawsze zapobiedz na przyszłość temu, co teraz król robił: podatkowym sporom z tronem.

Ustawy takie były już w innych państwach. Najstarsza z nich była angielska z roku 1215 (zwana *Magna Charta*, t. j. wielki przywilej), stanowiąca także wysokość zwyczajnego corocznego podatku; gdyby zaś trzeba było ponadto podatku większego, trzeba było do tego przyzwolenia „parlamentu", t. j. rady, złożonej ze świeckich i duchownych dostojników. W prawie państwowem trzymano się też w całej Europie zasady, że niema podatków bez przyzwolenia tych, którzy je mają płacić. Inaczej w porządnem państwie być nie mogło i tak też musiało być w Polsce, odkąd państwo na społeczeństwie się opierało, a nie na samej tylko dynastyi.

W ciągu roku 1374 porozumiano się, że stały podatek od własności ziemskiej ma wynosić odtąd dwa grosze z łanu rocznie, płatne na św. Marcin. Zniesiono też przy tej sposobności wszystkie dawne podatki w naturze. Gospodarka państwowa miała już polegać tylko na gotówce; jest to dowodem, jak za Kazimierza Wielkiego powiększył się obrót pieniężny w Polsce.

PRZYWILEJ KOSZYCKI.

Król Ludwik zgodził się na to i zwołał drugi zjazd do Koszyc na wrzesień 1374 r. Starał się teraz usposobić wszystkich jak najlepiej dla siebie. Na miesiąc przed tym zjazdem wyznaczył w Krakowie komisyę, która miała radzić nad oddaniem rozmaitych dóbr ziemskich, skonfiskowanych pewnej ilości ziemian krakowskiej i sandomierskiej ziemi w ciągu panowania Kazimierza Wielkiego. Przychlebiał się więc król małopolskim ziemianom, jakby okazać chciał Wielkopolanom, że umie być łaskawym monarchą. Wielkopolanie upominali się też o takie sądy komisarskie, ale ich nie dostali; dawał im król do zrozumienia, że trzeba sobie na to dopiero zasłużyć powolnością i uległością. W tymże miesiącu sierpniu otrzymał król uznanie następstwa swych córek od trzech miast: Kalisza, Stawiszyna i Konina. Pozyskał też sobie w Wielkopolsce obok Grzymałów dwa jeszcze rody: Doliwczyków i Pałuków. Ze znaczną już otuchą zagaił we wrześniu narady ze stanem ziemiańskim w Koszycach.

Owocem tego zjazdu był t. zw. przywilej koszycki, wydany dnia 17 września 1374 r. Wciągnięto weń obmyślaną przez Polaków nową ustawę podatkową, a nadto inne ważne jeszcze posta-

nowienia, zwrócone przeciw wszystkiemu temu, co się w rządach Ludwika Polakom nie podobało. Zgodzono się na jego panowanie w tej myśli, że siły węgierskie dopomogą Polsce do odzyskania zagarniętego przez Krzyżaków Pomorza; musiał się też w przywileju koszyckim zobowiązać na nowo do odzyskania utraconych krajów. Zachodziła wątpliwość, jak należy rozumieć oddanie rządów Rusi Opolczykowi; przywilejem koszyckim kazano więc sobie zapewnić całość i nietykalność granic państwa. Dał Opolczykowi niepotrzebnie w lenno ziemię wieluńską; wpisano do przywileju postanowienie, że grody nadawać można tylko Polakom, i to nie książęcego rodu; to samo zastrzeżenie co do obsadzania dostojeństw. Król na wszystko przystał. Skoro przyjął żądania ziemian, nie byłoby w razie dotrzymania przywileju koszyckiego żadnej a żadnej przyczyny do oporu przeciw Ludwikowi. Wszystkie doniosłe polityczne sprawy znajdywały w tym przywileju pomyślne załatwienie. Cała Małopolska była tego zdania, że za tę cenę nietylko można, ale nawet trzeba uznać następstwo królewien. Wielkopolan tylko część, i to mniejsza, gotowa była do zgody. Większość jednakże wysłanników tej prowincyi nie chciała się zgodzić. Zdaje się, że myśleli o następstwie Kazimierza szczecińskiego po najdłuższem życiu Ludwika, w myśl testamentu Kazimierza Wielkiego, żeby państwo polskie rozszerzyć aż do ujścia Odry, a Krzyżaków trzymać w kleszczach, biorąc ich we dwa ognie. Nie chcieli do gotowego już przywileju przywiesić swoich pieczęci. Król kazał zamknąć bramy miasta i dopiero pod groźbą gwałtu podpisali. Swoją drogą mogli się potem powoływać, że podpisy ich nie są ważne, jako wymuszone.

Zjazd koszycki 1374 r. jest wyraźnem stwierdzeniem przewagi Małopolan w państwie. Od połowy panowania Kazimierza Wielkiego przechodziła już powoli ta przewaga od Wielkopolan do nich; teraz była już tak stanowcza, że można było wydać ogólną ustawę państwową, czyli mówiąc ówczesnym sposobem, przywilej dla całego królestwa, nie wiele troszcząc się o to, czy się na to Wielkopolanie zgodzą. Zachowano tylko tę formalność, żeby na przywileju były także ich pieczęcie, a pieczęcie te uzyskano przymusem, wcale sobie tego za skrupuł nie mając. Jest też zjazd ten wtóry koszycki zakończeniem dokonującej się już od stu lat całej nowej organizaczyi państwowej, przez dokładniejsze oznaczenie sto-

sunku społeczeństwa do tronu, jest dopełnieniem ustawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego. Nie rozpoczyna ten przywilej nowego okresu w historyi państwa polskiego, lecz raczej kończy okres poprzedni, kończy ową walkę o prawo, rozpoczętą za dawnych czasów sporami z Bolesławem Śmiałym. Nie ograniczył też wcale koszycki przywilej na nowo władzy królewskiej. Elekcyjność tronu istniała już dawno i król Ludwik wyznaczony też był następcą tronu w Polsce nie samą tylko wolą Kazimierza Wielkiego, ale też za zgodą i przyzwoleniem panów polskich. Ustawa zaś podatkowa nie była niczem innem, jak prostem wypełnieniem dotkliwego braku w ustawodawstwie i wprowadzała tylko to, co się rozumiało samo przez się według powszechnego mniemania nietylko w Polsce owoczesnej, lecz w całej Europie. Król żądając rok przed tem 12 groszy poradlnego, nie z praw swoich korzystał, ale tylko z tego, że nie było formalnie w ustawie powiedziane, że do tego prawa niema. Ale bo też ustawa powstaje zazwyczaj wtedy dopiero, gdy się pojawi jakie nadużycie.

W Koszycach zobowiązali się Polacy — w zamian za wszystkie cenne obietnice przywileju — przyjąć na tron po śmierci królewskiej jednę z królewien, tę, którą sam król wyznaczy jeszcze za życia, lub po jego śmierci obie królowe Elżbiety, to jest matka i żona Ludwika.

STRONNICTWO BRANDEBURSKIE.

W tym samym czasie dobrał sobie król Ludwik zięciów. Na miesiąc przed drugim zjazdem koszyckim zaręczył najstarszą córkę, Katarzynę, królewiczowi francuskiemu Ludwikowi, synowi Karola V., a w tydzień później, dnia 18 sierpnia 1374, najmłodszą, trzechletnią Jadwigę Wilhelmowi Habsburgowi, synowi Leopolda, władcy Tyrolu, Styryi, Karyntyi, Krainy i Tryestu; tegoż samego zaś jeszcze roku, w grudniu 1374, zaręczył średnią wiekiem Maryę z Zygmuntem Luksemburczykiem, domniemanym przyszłym władcą Brandeburgii. Te ostatnie zaręczyny zmieniły położenie polityczne w Polsce.

Brandeburgia przeszła po Askańczykach i Wittelsbachach w dom luksemburski. Obecnie rządził tam Wacław, najstarszy syn Karola IV., który miał po nim posiąść koronę czeską, a więc Brandeburgia przypadłaby młodszemu Zygmuntowi. Było to już znaczne państwo. Od granicy polskiej było do Berlina mniej, niż po-

łowa margrabstwa; dalej na zachód było go jeszcze przeszło drugie tyle. Od północy graniczyła Brandeburgia z posiadłościami Kazimierza szczecińskiego i z niepodległem biskupstwem kamieńskiem, które powinno według słuszności należeć do polskiej prowincyi kościelnej. Przez Brandeburgię wiodła też droga do Bałtyku, a wynik nieuchronnej rozprawy orężnej z Krzyżakami zależeć musiał w znacznej części od tego, po czyjej stronie stanie margrabia. Zygmunt Luksemburczyk miał zaledwie ośm lat i można go było jeszcze doskonale wychować na narodowego króla polskiego. Zważyć też należy, że wschodnia część margrabstwa niecałkiem jeszcze była zniemczona, a wśród tamtejszej szlachty odzywały się jeszcze polskie wspomnienia, jak n. p. w rodzie potężnych panów von Ost, którzy sami poddali się Kazimierzowi W., powiadając, że „lepiej służyć swojemu". Połączenie z Brandeburgią wiodłoby do odzyskania nietylko całej dawnej słowiańskiej Odry, ale nawet częściowo przynajmniej wschodniego dorzecza Łaby. Silnym klinem wdarłby się wpływ słowiański w samo serce Rzeszy niemieckiej, a narodowe dzieje potoczyłyby się może na nowo szlakami Mieszków i Bolesławów. Nie żałowano już obalenia testamentu Kazimierza Wielkiego; nie myślał już nikt o Kazimierzu szczecińskim, bo to, co sobie obiecywano po nim, spodziewano się osiągnąć lepiej i łatwiej przez królewnę Maryę i Zygmunta. Powstało w Polsce stronnictwo brandeburskie, z Sędziwojem z Szubina na czele. Te plany i nadzieje przywracały zgodę narodu z tronem.

W sierpniu 1375 r. przybył król do Krakowa i odebrał od stolicy państwa uroczyste przyrzeczenie wierności królewnom Maryi i Jadwidze. A w miesiąc potem pojawił się w Wielkopolsce na nowo Władysław Biały, zajął Złotoryę, Gniewków i ruszył pod Inowrocław, tam jednak poniósł klęskę od Sędziwoja z Szubina. Ale książę trzymał się tym razem przez jedenaście miesięcy, wspierany przez Nałęczów, którzy nie zaprzestali opozycyi. Dopiero w sierpniu 1376 r. ustąpił Władysław Biały, a księstwo gniewkowskie otrzymał od króla Opolczyk. Podczas oblężenia Złotoryi otrzymał Kazimierz szczeciński ranę w głowę tak nieszczęśliwie, że z niej umarł po kilkomiesięcznych cierpieniach. Księstwa jego, ziemie bydgoska i dobrzyńska, wracały do króla. Dobrzyńską dostał wkrótce Opolczyk w lenno, i rozpoczął o nią — konszachty z Krzyżakami. Wkrótce dopuścił się ten książę strasznego przenie-

wierstwa. Z przechowywanych u siebie dokumentów państwowych sprzedał Zakonowi dokument pokoju kaliskiego z r. 1343, którym zobowiązywali się płacić z Pomorza roczną daninę i dostarczać posiłków wojennych, uznając tę ziemię lennem korony polskiej. Nie mając dokumentu, nie mogli się Polacy potem upominać o spełnienie tych lennych warunków.

WOJNA Z JAGIEŁŁĄ (1377).

Sprawa czerwono-ruska ciągle jeszcze była nierozstrzygnięta, a Władysław Opolczyk trzymał kraj w „zachowaniu“, nie wiadomo dla kogo. Jak z dziejów panowania Kazimierza Wielkiego wiadomo, był do Rusi trzeci jeszcze współzawodnik, a mianowicie Litwa. Zaraz na początku Ludwikowych rządów zagarnął Kiejstut Włodzimierz na Wołyniu, a w roku 1376 wyprawił się wprost na Polskę, przeprawił się przez Wisłę w pobliżu Sandomierza, dotarł aż pod Tarnów, zniszczył kraj w obrębie 13-milowym i uprowadził 23.000 jeńców. Na rok następny przygotowywał król walną wyprawę na Litwę i to w porozumieniu z Krzyżakami, o co umówił się z Wielkim Mistrzem na zjeździe w Brześciu Kujawskim w marcu 1377. Wzięto Litwę we dwa ognie, żeby obaj wielcy książęta litewscy, Kiejstut i Olgierd, nie mogli złączyć swych wojsk. Na samym początku wojny zmarł Olgierd, ustanowiwszy następcą najstarszego syna z drugiego małżeństwa, Jagiełłę.

Olgierd był niepospolitym monarchą, naporowi Krzyżaków podołać jednak nie mógł. Niegdyś marzył o połączeniu w jedno państwo wszystkich ludów bałtyckiego szczepu, o odzyskaniu ziemi pruskiej na Krzyżakach, ale w ciągu długich walk przekonał się, że nietylko to nie jest możliwem, ale nawet samej Litwy nie ocali się już przed zaborczością niemieckich rycerzy. Dynastya Gedyminowiców przenosiła się też na ruskie panowanie. Rusinom zawsze wszystko jedno było, kto nad nimi panuje, byle nie ruszać ich wschodniego obrządku; nie bronili też wcale swoich Rurykowiczów i z całą biernością zamieniali ich na Gedyminowiców. Olgierd postanowił zdobyć Ruś całą, nie wyłączając ani Suzdala i Moskwy, ani Czerwonej Rusi; wyprawił się też pod Moskwę, zajął kraj pomiędzy górnym biegiem Dniepru a Desną i całą Ruś południową ze starą stolicą Kijowem, a na ziemiach ruskich osadzał swych krewniaków, jako lennych książąt. Nie było to je-

dnak wcale podbojem Rusi przez Litwinów, była to sprawa tylko dynastyczna, poszukiwanie nowego panowania dla rodu, który był przygotowany na to, że panowanie jego na Litwie niebawem się skończy. Dynastya ta nietylko nie wnosiła nic a nic litewskiego na Ruś, lecz sama się ruszczyła. Olgierd żenił się z Rusinkami, z Maryą, księżniczką witebską, a powtórnie z księżniczką twerską, Julianną. Na zamku wileńskim była schyzmatycka cerkiew dla Wielkiej Księżnej i jej dworu. Wszyscy jego synowie znali język i obyczaj ruski, znali też chrześcijaństwo, a którzy z nich na Rusi rządzili, ochrzczeni byli. Olgierd kazał przyjmować schyzmę każdemu Gedyminowicowi, którego tylko na Ruś wysyłał. On sam, jako głowa rodu, nie przyjmował chrztu ze względu na Litwinów; chociaż sprawami ich już się nie zajmował, nie chciał jednak tracić związku z Litwą, pókiby Moskwa nie była zdobytą. Obroną Litwy od Krzyżaków zajmował się drugi Wielki Książę, Kiejstut. Postanowiono walczyć do upadłego, chociaż bez nadzieji. Kiejstut przekładał, czyby nie było lepiej dać pokój tej walce, a skłonić Litwinów do powszechnej emigracyi, żeby sobie zdobyli nowe siedziby gdzieś na Rusi. Ale ustawiczne walki Kiejstuta z Krzyżakami potrzebne były, żeby Olgierd był osłonięty i żeby miał swobodę do działania na Rusi; wojsko Kiejstuta było niejako tylną strażą Olgierda. Gdyby Litwini rzucili się na Ruś, mogłaby Ruś złączyć się przeciw nim z Krzyżakami; ale gdy sami tylko książęta litewscy, i do tego ruszczący się, przybywali na Ruś, przyjmowano ich bez szemrania. Tak więc naród litewski uważany był przez własną dynastyę za stracony na rzecz Zakonu, a kraj litewski za krzyżacką prowincyę w niedługiej przyszłości, gdy się wyczerpie ramię Kiejstuta.

Olgierd kazał na łożu śmierci przywołać archimandrytę zamkowej cerkwi i przyjął chrzest. Zwłoki jego przewieziono do Mejszagoły pod Wilnem i tam spalono na stosie litewskim obyczajem, poczem księżna Julianna kazała zebrać popioły i pochować je w cerkwi. Olgierd sprzyjał schyzmie, a całkiem nie próbował szerzyć katolicyzmu na Litwie. Katolicyzm uważany był za „niemiecką wiarę“ i nielubiany, jako szerzony ogniem i mieczem przez nienawistnych Krzyżaków. Była wprawdzie w Wilnie polska franciszkańska misya, ale nie wiele zbierała plonu. Z wielmożów litewskich jeden tylko nawrócił się na katolicyzm, Gasztołd. Gdy je-

dnak w roku 1368 ludność wileńska zburzyła franciszkański klasztor i zamordowała czternastu zakonników, księży i braciszków, ukarał Olgierd śmiercią sprawców tego zaburzenia.

Następca Olgierda, Jagiełło, trzymał się polityki ojca i także chrztu jeszcze nie przyjmował, żeby nie stracić zaufania Litwinów. Podjął wojnę z węgiersko-polskiemi wojskami Ludwika, ale nie podołał siłom połączonych państw, Kiejstut zaś nie mógł mu dać posiłków, bo Krzyżacy odbyli w tym roku dwie wyprawy. Król Ludwik wyprawił się na tę wojnę osobiście i sprawił się dzielnie. Zdobył Bełz, podczas gdy drużyny krakowskie, sandomierskie i sieradzkie zajęły Chełm. Zdobyto nadto mniejsze grody: Grabowiec, Horodło i Siewieroczę. Pomyślna wyprawa skończyła się rozszerzeniem panowania na ziemiach ruskich.

ODERWANIE RUSI CZERWONEJ (1378).

Według przywileju koszyckiego miało to być panowanie korony polskiej, gdy wtem nagle z końcem r. 1378 odwołał Ludwik Opolczyka z Rusi, a grody czerwieńskie obsadził starostami węgierskimi. Było to wyzwaniem Małopolan, ale król już o nich nie dbał. Rzeczy tak się zmieniły, że król teraz na Wielkopolanach się opierał i liczył na nich tak na pewno, iż sądził, że się bez Małopolan obejdzie. Tego bowiem roku umarł Karol IV. Koronę czeską wziął po nim Wacław, a Zygmunt, narzeczony Maryi, został rzeczywiście margrabią brandeburskim; teraz nie obawiał się już oporu Wielkopolski przeciw następstwu Maryi, a od Małopolan miał już na to dokumenty.

Było jednak w Polsce dużo przychylności dla odsuniętej od tronu dynastyi piastowskiej, a mianowicie dla mazowieckiej gałęzi tego rodu. Nie występowano z kandydaturą Ziemowita III., mazowieckiego księcia, do tronu, póki się spodziewano korzyści politycznych od Ludwika; gdy jednak poczynano wątpić o tych korzyściach, poczynały się też umysły zwracać ku Mazowszu. Na czele zwolenników Ziemowita stał Bartosz z Odolanowa. Książę sam trzymał się jednak z daleka od tych ruchów politycznych i dopiero teraz, gdy Małopolanie odsunęli się od andegaweńskiej polityki skutkiem oderwania Rusi Czerwonej, dał się wciągnąć w te sprawy i stał się widomą głową przeciwników Ludwikowych. Stanął przeciw królowi także arcybiskup gnieźnieński, Janusz Su-

chywilk, dawny kanclerz krakowski Kazimierza Wielkiego, pomny, że sam Kazimierz Wielki dawał pierwszeństwo sprawie ruskiej przed pomorską i nie chcący związku z Brandeburgią kosztem utraty Rusi. Zanosiło się tym razem na poważną opozycyę wbrew Wielkopolanom. Opolczyk zdołał rozdwoić przeciwników, wyzyskawszy sprytnie spór o Łowicz pomiędzy Ziemowitem a arcybiskupem.

Król nie dbał ani o zobowiązania, zaciągnięte w przywileju koszyckim, ani wogóle o ustawy polskie. Mianował Opolczyka wielkorządcą, wbrew ustawie z roku 1339. Królowa Elżbieta opuściła Kraków z początkiem 1377 roku, po krwawych rozruchach ulicznych, w których zabito 160 przebywających w Krakowie Węgrów, między tymi nawet jej węgierską służbę. Rzeź ta powstała ze zwykłej zwady ulicznej (o furę siana) i zdarzenie to nie miało politycznego znaczenia; ale królowa okazała przy tem taki brak sprężystości, a nawet powagi, że nie można jej było pozostawić dłużej w Krakowie. Wielkorządcza godność pozostała nieobsadzona przez blizko dwa lata; krajem zawiadywali sami starostowie generalni. Z końcem 1378 roku odwołał król Opolczyka z Rusi, obsadziwszy ją węgierskimi starostami, a księcia mianował wielkorządcą w Polsce.

TRZECI ZJAZD KOSZYCKI (1379).

Opolczyk, zawsze Ludwikowi wierny, oddał królowi znakomite usługi. Uśpił on czujność stronnictwa mazowieckiego tak, że król mógł swobodnie przeprowadzić swe plany. Używał rozmaitych środków, czasem sam nawet udawał niechętnego królowi i wywodził wszystkich w pole. Przed szlachtą udawał, że weźmie ją w opiekę przeciw możnowładzcom, duchowieństwu wyrobił zwłokę w płaceniu podatków, a robił nadzieję, że ich całkiem od podatku uwolni, w sporze zaś arcybiskupa z księciem mazowieckim stanął śmiało po stronie Ziemowita. Jednał sobie przyjaciół wszelkimi sposobami i misterną polityką doprowadził do tego, że był w dobrych stosunkach z Ziemowitem, a Bartosz z Odolanowa zaprzestał oporu. Książę oddał sprawę o Łowicz pod sąd królewski; Ludwik wyznaczył roki na sierpień 1379 r. do Koszyc. Książę Ziemowit, pewny przychylnego wyroku, ani się spostrzegł, że król zwoływał tam wielkopolskich panów wcale po co innego. Zebrani tam wielkopolscy dostojnicy złożyli hołd królewnie Maryi, jako

przyszłej królowej polskiej, której królestwo rozumiało się bez Rusi, zajętej przez Węgrów. Małopolanie znaleźli się w pułapce, boć oni już w roku 1374 zobowiązali się uznać następstwo córek królewskich. Wielkopolanie, którzy wówczas protestowali, teraz składali hołd chętnie. Jeden tylko arcybiskup, Suchywilk, odmówił hołdu.

W Koszycach odebrał król wielkorządztwo Opolczykowi. Książę tyle się nakłamał przez tych ośm miesięcy swych rządów, tyle się naobiecywał na wszystkie strony, że teraz jedynem wyjściem było udawać, że popadł w niełaskę; w ten sposób uwalniał się też król od dotrzymania wielu podstępnie czynionych obietnic. Do Krakowa wracała królowa Elżbieta, ale nie na długo; wkrótce wróciła na Węgry i dokonała dni swych w Budzyniu w grudniu 1380 r.

BUNT BARTOSZA Z ODOLANOWA (1381).

Król jednak przeliczył się. Teraz dopiero rozpoczął się opór na dobre. Małopolanie połączyli się ze stronnictwem mazowieckiem. Po śmierci Ziemowita III. (dnia 17 czerwca 1381 r.) poczynał sobie jego syn i następca, Ziemowit IV., śmielej i nie taił się z tem, że dąży do pozyskania korony po Ludwiku.

Bartosz z Odolanowa wszczął wojnę domową ze starostami królewskimi i nie można mu było dać rady! Widocznie sami starostowie robili umyślnie tak, żeby nic nie zrobić. Król przyjechał do Polski i bawił w kraju dłużej, niż zwykle, bo przeszło pół roku, od maja do końca grudnia 1381 r., ale nie otrzymał skutecznego poparcia przeciw Bartoszowi, który urósł w Wielkopolsce i na Kujawach w znaczną potęgę. Kiedy w tym właśnie czasie umarł arcybiskup Suchywilk, wybrała kapituła na jego miejsce Dobrogosta z rodu Nałęczów, o którym chodziły wieści, że się zobowiązał koronować Ziemowita IV. w razie śmierci Ludwika. Zapobiegł król wprawdzie wyniesieniu Dobrogosta, nie dopuścił go do arcybiskupstwa i wyjednał u papieża, że mianował kogo innego, ale ta zmiana osoby nie na wiele się przydała. Przeciwnicy Ludwika mieli wpływy i na dworze papieskim, skoro papież Urban VI. wyznaczył na głowę polskiej prowincyi kościelnej dawnego wielkorządcę krakowskiego z czasów Kazimierza Wielkiego, Bodzantę. I ten także nie chciał Andegawenów bez Rusi, i skoro tylko objął swą dyecezyę, przestał się oglądać na życzenia królewskie.

Rzeczy stanęły groźnie dla dynastycznych planów króla Ludwika. Trzeba było działać pospiesznie i stanowczo. Z końcem lipca 1382 r. wyprawił więc Zygmunta — już piętnastoletniego — ze znacznem wojskiem do Polski, żeby objął rządy jeszcze za jego życia. Zygmunt Luksemburczyk stanął w Krakowie dnia 2 sierpnia 1382. Nikt mu nie stawiał przeszkód; on przedstawiał samą osobę króla, wystąpić przeciw niemu znaczyło tyle, co podnieść bunt przeciw Ludwikowi. Ale też nie kwapił się nikt z chętną pomocą. Czekano, co będzie w Wielkopolsce, jak się rozwikła wojna z Bartoszem. Ostatniego dnia sierpnia dojechał Zygmunt do Brześcia kujawskiego i stanął sam na czele wyprawy przeciw Bartoszowi z Odolanowa. Zdobył już dwa małe gródki Koźminek i Nabyszyce, około 8 września podstąpił pod sam Odolanów i rozpoczął oblężenie.

Cała Polska czekała z największem zajęciem, czy też książę mazowiecki ruszy na pomoc Bartoszowi? Gdyby to uczynił, przyłączyliby się do niego i małopolscy panowie i nie wróciliby do posłuszeństwa królowi, pókiby Rusi Polsce nie zapewnił. Jak przed tem król wystawił na targ polityczny w roku 1373 dwunastogroszowe poradlne, podobnież oni teraz chcieli się targować o mazowiecką kandydaturę, która się kryła poza buntem Bartosza.

W tem nagle podczas oblężenia Odolanowa nadeszła wieść, że król Ludwik dokonał życia dnia 11 września 1382 r.

ZERWANIE Z WĘGRAMI (1382).

Śmierć króla Ludwika wśród tych okoliczności wprowadzała na pozór od razu Zygmunta Luksemburczyka na tron polski. Zdawszy więc Odolanów na swych starostów, wybrał się na objazd Wielkopolski, żeby odebrać hołd od poddanych. Miał w Wielkopolsce brandeburskie stronnictwo i wojsko z sobą. Sprawa wydawała się tak prostą, że ruską politykę Małopolan można było uważać za pogrzebaną.

Panowie małopolscy nie wszczynali sami wojny domowej, ale brali udział w sprawach publicznych na Węgrzech. Gdy Zygmunt bawił w Poznaniu, nadeszła wiadomość, że Węgrzy wynieśli na tron nie Jadwigę, lecz Maryę. Skutkiem tego wszystko nagle się zmieniło. Rządy Ludwikowe zniechęciły ogół do próbowania dalszej łączności z Węgrami i obawiano się, że gdyby Zygmunt, podobnie jak poprzednik, miał znowu oparcie zagranicą

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO BIBLIOTEKA

i rozporządzał koroną drugiego, a potężnego naówczas państwa, znowu nie liczyłby się należycie z Polakami i prowadziłby politykę dynastyczną, a nie narodową. Polska potrzebowała króla, któryby Polsce zawdzięczał swe znaczenie w Europie i na Polakach się opierał. Taki był powszechny wstręt do łączności z koroną węgierską, że nie chciano nawet połączenia z Brandeburgią za tę cenę, zbyt wysoką. Zapaleńcem brandeburskiej polityki, zgadzającym się na Zygmunta bezwarunkowo, był tylko Domarat z Pierzchna, który nastąpił po Sędziwoju z Szubina na starostwie generalnem Wielkopolski.

Wyniesienie Maryi na tron węgierski było dziwnem zdarzeniem, bo interes węgierski wymagał, żeby Jadwiga objęła tę koronę, jako małżonka Wilhelma habsburskiego. Gdy królewna Jadwiga kończyła siódmy rok życia, dano jej dnia 15 czerwca 1378 w Hainburgu według ówczesnego prawa kościelnego t. zw. „ślub na przyszłość“ z Wilhelmem. Prymas węgierski, arcybiskup ostrzyhoński, związał stułą ręce tej pary dzieci, a potem nastąpiły ówczesnym obyczajem uroczyste pokładziny. Nie trzeba już było potem żadnej nowej ceremonii kościelnej. Wystarczało, żeby oblubieńcy, doszedłszy do lat, oświadczyli, że trwają w zamiarze małżeństwa i żeby z sobą zamieszkali, a małżeństwo ich było ważne. Wymagano zaś lat bardzo nie wielu: od panny młodej ukończenia dwunastego roku życia. Ułożono też w roku 1378 między królem Ludwikiem, a ojcem Wilhelma, Leopoldem, że oblubieńcy mają zamieszkać z sobą w roku 1383. Bez wspólnego zamieszkania stawały się jednak takie zaślubiny nieważne i nie miały mocy nierozwiązalnego sakramentu. Doszedłszy do lat można było odwołać je i zawrzeć prawnie inne związki małżeńskie. Przewidziano tę możliwość w układzie hainburskim i zastrzeżono, że w takim razie strona zrywająca śluby wypłaci drugiej dwieście tysięcy florenów, sumę na owe czasy olbrzymią. Potem w XVI. wieku sobór trydencki zniósł takie „śluby na przyszłość“.

Wilhelm przynosił koronie węgierskiej łączność z krajami, okalającymi całą zachodnią granicę Węgier: z Karyntyą, Krainą, Gorycyą, Pobrzeżem istryjskiem i z Tryestem. W łączności ze zdobytą jeszcze przez Ludwika Dalmacyą miałyby już Węgry zapewnioną stanowczą przewagę nad Wenecyą. Jak się to stało, że Węgrzy zrywali tak niezmiernie korzystny układ polityczny — nie-

wiadomo. Gdy dziejopisarstwo węgierskie zbada tę sprawę bliżej, przybędzie zapewne i do polskiej historyi niejedna cenna wiadomość. To pewna, że ten obrót sprawy był bardzo na rękę małopolskim panom.

Przeciw łączności z Węgrami oświadczyło się sześć zjazdów szlachty: w Poznaniu, Gnieźnie, Brześciu kujawskim, Miłosławiu, Radomsku i w Wiślicy. Doradcy Zygmunta wmówili w niedorosłego chłopca, że może się utrzymać przy obydwóch koronach, ale kiedy Zygmunt zwrócił się do Krakowa, kasztelan nie wpuścił go do miasta. Wrócił więc na Węgry po większe wojsko, bo ta siła zbrojna, która mogła była wystarczać pod Odolanowem, była teraz oczywiście za małą. Tylko Domarat z Pierzchna trzymał w swem ręku dla Zygmunta jedenaście grodów. W Wielkopolsce stanął Bartosz z Odolanowa znowu na czele zbrojnego oporu, a w połowie 1383 r. odebrano Domaratowi część grodów. Panowie małopolscy dbali o to, żeby nie zrywać formalnie z rodem andegaweńskim. W styczniu 1383 r., oblęgając Pyzdry, wydano nawet dokument, z oświadczeniem wierności dla Maryi, byle tylko nie była królową węgierską. Ależ ona już przyjęła węgierską koronę!

JADWIGA A ZIEMOWIT.

Pozostawało dwóch kandydatów do korony: Jadwiga i Ziemowit. Te kandydatury dałyby się pogodzić przez małżeństwo kosztem dwustu tysięcy florenów odczepnego Wilhelmowi. Matka królewien wolała, żeby każda z jej córek miała koronę dla siebie, więc zwolniła polskich starostów od przysięgi wierności, złożonej Maryi w roku 1379 i wyznaczono koronacyę Jadwigi na najbliższe Zielone Świątki, t. j. na dzień 6 maja 1383 roku w Krakowie. Stronnictwo mazowieckie uważało za stosowne zaznaczyć z góry, że oddaje się tron Jadwidze, ale nie Wilhelmowi. Na zjeździe w Sieradzu obwołano Ziemowita królem, dnia 28 marca 1383 r., pod przewodnictwem samego arcybiskupa Bodzanty. Wysłannik małopolskich panów, Jaśko z Tenczyna, kasztelan wojnicki, zwrócił tylko uwagę, że trzeba czekać Zielonych Świątek; wszak trzeba Jadwigę wpierw koronować, a potem dopiero wyznaczyć jej męża. Nie sprzeciwiali się Małopolanie wprost Ziemowitowi, tylko hamowali jego kroki. Rozjechano się w zgodzie, dodawszy jeszcze

dwa warunki przyszłej królowej: zwrot Rusi Czerwonej i odebranie lenna Opolczykowi.

Na koronacyę Jadwigi wybrał się Ziemowit i, jak przystało na panującego księcia i przyszłego króla, wystąpił wspaniale, jadąc do Krakowa z pocztem 500 zbrojnych. Nie było w tem nic niezwykłego, a jednak nie wpuszczono go do miasta. Zabawił dwie doby na Kleparzu, przez dnie 7 i 8 maja, a potem cofnął się zawstydzony do Nowego Korczyna i tam czekał. Doczekał się tylko wiadomości, że królewna nie przybędzie, bo na Węgrzech powódź; ale ta sama powódź nie przeszkadzała małopolskim panom pojechać do Koszyc i tam się umówić, że Jadwiga przyjedzie w listopadzie. Ziemowit zaczął Małopolan podejrzywać o nieszczerość. Zwołał nowy zjazd do Sieradza na 16 czerwca 1383 r. i kazał się już uroczyście obwołać królem. Nie mogąc urządzić koronacyi, przypomniano sobie inny ceremoniał, prastary i uświęcony tradycyą w całej Europie, a mianowicie podniesienie na tarczy. Dokonano tego uroczyście w kościele sieradzkim, tak, jakby koronacyi, w obecności trzech biskupów. Był przy tem arcybiskup Bodzanta i biskup płocki Ścibor. Nie mając w swem stronnictwie trzeciego biskupa, sprowadzono misyjnego biskupa kijowskiego, dominikanina Mikołaja, będącego właśnie w podróży. Zaraz po tem „podniesieniu“ zabrał się Ziemowit do zdobywania grodów. Wojna domowa przybrała teraz większe rozmiary, bo książę mazowiecki zwrócił się nietylko przeciw reszcie grodów, pozostających jeszcze w ręku Domarata, ale zaczepiał także małopolskich panów. Zajął Brześć kujawski, Kruświcę, Radzymin, a także Książ, który był posiadłością wojewody krakowskiego, Spytka Melsztyńskiego, i zabrał się do oblężenia Kalisza. Panowie małopolscy i teraz jeszcze nie wzięli udziału w wojnie domowej. Pozostawili Domaratowi walkę z Mazowszanami, z Bodzantą i Bartoszem z Odolanowa, a tylko postarali się, żeby królowa Elżbieta Bośniaczka przysłała z Węgier Zygmunta z wojskiem. Gdy Zygmunt przystąpił do oblężenia Brześcia kujawskiego, sam arcybiskup Bodzanta nalegał o rozejm. Zawarto zawieszenie broni do Wielkiejnocy następnego roku. Do tego czasu spodziewał się Ziemowit być już po ślubie z Jadwigą.

Jadwiga miała przyjechać na św. Marcin 1383. Pojechał po nią Sędziwój z Szubina, ale królewna nie przybyła, a królowa

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

matka dała tylko rozkaz, żeby tymczasem wydać grody węgierskiemu wojsku, a zwłaszcza Wawel. Nie myślano posłuchać tego rozkazu, i Zygmunt uwolniwszy Polskę szczęśliwie od wojny domowej, wracał na Węgry z niczem.

Królowa matka zwlekała z wyprawieniem Jadwigi do Polski z powodu zbyt młodocianego jej wieku. Już z początkiem r. 1383, kiedy to obiecywała przysłać ją na Zielone Świątki, zastrzegała sobie, że Jadwiga zaraz po koronacyi wróci jeszcze na trzy lata do domu, do matki. Niesposób było na to przystać, żeby koronowana monarchini, wyobraziciel samoistności państwa, pozostawała pod zagraniczną opieką. Elżbieta wolała więc córki nie posyłać, a panowie małopolscy nie gniewali się o tę zwłokę. Chociaż bowiem uczestniczyli w zjazdach, ustanawiających raz po raz „ostatnie“ terminy przyjazdu Jadwigi, chociaż sami brali udział w uchwałach grożących, że inaczej przepadną prawa królewny i poselstwa ciągle na Węgry po nią wyprawiali; robili jednak to wszystko tylko dla zachowania pozorów, a myśleli co innego i radzi byli, że Jadwigi jeszcze niema. Widoczna też, że królowę Elżbietę Bośniaczkę do takiego postępowania poufnie upoważniali, a nawet zachęcali. Gdyby bowiem naprawdę zachodziła obawa utraty tronu polskiego, byłaby Elżbieta sama dbała o to, żeby jej córka jak najprędzej stanęła w Krakowie.

Małopolanie nie życzyli sobie jeszcze obecności Jadwigi w Polsce, bo nie chcieli nowej wojny domowej. Ziemowit wystąpiłby zaraz ze staraniami o rękę królowej, a gdyby mu odmówić, dobijałby się korony z orężem w ręku. Możnowładztwo małopolskie wolało Ziemowita, niż Wilhelma habsburskiego, o którym zresztą wogóle nikt w Polsce nie myślał, ale jeszcze bardziej wolałoby innego kandydata, już upatrzonego na męża dla Jadwigi.

KANDYDATURA JAGIEŁŁY.

Kandydatem małopolskich panów był Wielki książę litewski, Jagiełło, z którym niedawno miano wojnę na Rusi. Pomysł ten powstał z wiosną 1383 r. i wtenczas pomiędzy marcem a majem poczęło się zmieniać zachowanie się małopolskich panów wobec Ziemowita. Dalekie to jeszcze były plany i bardzo niepewne. Trzeba było zorganizować w tym celu stronnictwo i obmyśleć plan postępowania, porozumieć się między sobą. Przez cały rok 1383 nie

dano nawet jeszcze znać Jagielle, że się o nim myśli; chciano przed tem poznać lepiej litewskie stosunki. Można było jeszcze wątpić, czy się nawet przystąpi wogóle do wykonania tego planu. Nie zrywano też z Ziemowitem, odkładano tylko przyjazd królowej. Gdy Jadwiga nie przybyła w listopadzie 1383 roku, wielmożowie małopolscy nie upominali się nawet o wyznaczenie nowego terminu jej przyjazdu.

Ażeby zaś w kraju panował ład i była jakaś najwyższa władza (któraby się i do przeprowadzenia planów litewskich przydała), żeby się zabezpieczyć od wojen domowych, porozumiano się z Wielkopolską, ze stronnictwem mazowieckiem, żeby ustanowić rząd, póki króla niema. Bezkrólewiu nadawano prawne formy, co było koniecznością, jeżeli kraj nie miał popaść w największy nieład i nieporządek. Dnia 2 marca 1384 roku odbył się w Radomsku zjazd z całej Polski, na którym zapadły uchwały doniosłe, a przynoszące zaszczyt politycznej dojrzałości społeczeństwa. W sześciu ziemiach (krakowskiej, sandomierskiej, w Wielkopolsce właściwej, w sieradzkiej i łęczyckiej ziemi) miało tworzyć rząd po sześciu dostojników i po dwóch „konsulów“, t. j. przedstawicieli rad miejskich głównych miast, a pod przewodnictwem starostów generalnych. Tym wszyscy przysięgają posłuszeństwo, oni zaś mają prawo karać więzieniem i konfiskatą dóbr. Ale nie wolno im wydać żadnego grodu nikomu, aż dopiero koronowanemu królowi; nie wolno nikomu przyjąć żadnych godności, żadnego urzędu od węgierskiego dworu; wolno je przyjmować dopiero od ukoronowanego króla, a więc te, które obecnie są opróżnione, nie będą obsadzone, aż po koronacyi. Poczyniono też postanowienia co do wymiaru sprawiedliwości. Uchwały te były następnie skrupulatnie wykonane, a społeczeństwo okazało, że umie się samo rządzić.

W marcu 1384 roku było już rzeczą postanowioną wśród grona małopolskich wielmożów, żeby koronę polską ofiarować Jagielle. Na czele tego grona stali Spytek z Melsztyna, Jaśko z Tenczyna i Jaśko z Tarnowa.

Litwa była już do ostateczności doprowadzona wojną bez końca z Krzyżakami; Kiejstutowi już się nie szczęściło w walkach z Zakonem i Litwa stawała się bezsilną. Jagiełło skłaniał się już do zdania jej na losy, byle tylko zawładnąć jak najdalej na Rusi. Zakon bliskim był upragnionego celu, żeby Żmujdź wcielić

do swych posiadłości, a Litwę i sąsiednią ruską rzeczpospolitę Pskowską uczynić państwami sobie podległemi, lennemi. Jagiełło już gotow był ukorzyć się przed Mistrzem Zakonu z Litwy właściwej, byle mieć wolne ręce do dalszego „zbierania“ Rusi. Sprzeciwiał się temu Kiejstut, stary stryj Jagiełły. I on nie wierzył w pomyślny wynik walki z Krzyżakami, ale nie chciał im Litwy dobrowolnie poddać; wolałby wraz z całym ludem opuścić ziemię ojczystą. Jagiełło gotów był chrzest przyjąć i oprzeć się już jawnie tylko na Rusi; Kiejstut był przeciwny. Nastała walka na zabój tych dwóch prądów politycznych, walka, w której nie cofano się przed niczem. Kiejstut wygnał Jagiełłę z Wilna, ale Jagiełło szeregiem zdrad wrócił na tron, a stryja uwięził. W więzieniu w Krewie skończył też życie ostatni pogański książę litewski, w r. 1382. Tegoż samego roku, dnia 1-go listopada, wydał Jagiełło Zakonowi Żmujdź po rzekę Dubissę i przystawał na zwykłe warunki lennego stosunku, zobowiązując się do zbrojnych posiłków na ich wyprawy (przeciw Rusi pskowskiej), przyrzekając, że nie przedsięweźmie niczego bez ich wiedzy i zezwolenia. Przyrzekał też, że do czterech lat ochrzci się w obrządku łacińskim wraz ze swym bratem Skirgiełłą. Pomimo to wszczął Zakon już następnego roku nową wojnę z Jagiełłą, bo tymczasem inny książę litewski ofiarował Krzyżakom jeszcze świetniejsze warunki.

Synowie Kiejstuta, Witołd i Towciwiłł, zbiegli z więzienia w Krewie na Mazowsze, do księcia Janusza (brata Ziemiowita), który miał za żonę ich siostrę Danutę (Annę), i wzywali pomocy przeciw Jagielle. Janusz wyruszył w pole na Podlasie, zajął Drohiczyn i Mielnik, ale dla siebie; wygnańcom zaś ofiarował tylko jakiś gród na utrzymanie. Towciwiłł przyjął to schronienie i ochrzcił się na dworze siostry, przyjmując imię Konrada, podczas gdy starszy Witołd poszedł szukać u Krzyżaków pomocy do odzyskania ojcowizny, t. j. Wielkiego księstwa Trockiego. Krzyżacy zawsze chętnie brali udział w waśniach Gedyminowiców; pomagali Jagielle przeciw Kiejstutowi, radzi byli teraz zagrozić Jagielle Witołdem. Dnia 21 października 1383 przyjął Witołd chrzest u Krzyżaków w Taplawie pod imieniem Wiganda i przyrzekł następnie wziąć od nich w lenno Wielkie księstwo Trockie. Wyprawa jednak nie powiodła się; w bitwie pod Wilkiszkami zwyciężył Jagiełło.

Chociaż był zwycięzcą, sam pierwszy zwrócił się do Witołda

z prośbą o zgodę; tymczasem bowiem doszło go z Polski zaproszenie, żeby się starał o rękę Jadwigi, a to zmieniało odrazu zupełnie wszystkie stosunki polityczne.

Na tron państwa wyznającego chrześcijaństwo od przeszło czterech wieków wzywano poganina; do panowania nad społeczeństwem, które umiało już samo się rządzić, powoływano władcę ludu pogrążonego w takiej niewoli, że bez zezwolenia księcia nie wolno było nawet córki wydać za mąż; do królewskich komnat Wawelu zapraszano nowych dworzan z kraju, w którym nie widziano jeszcze porządnej budowli; z pośród narodu nie znającego jeszcze użytku pisma, sprowadzano króla do Krakowa, który przez uniwersytet miał być ogniskiem nauki i cywilizacyi. Na Litwie bowiem tyle było cywilizacyi, ile ruskiego wpływu; tyle chrześcijaństwa, ile schyzmy. Samo społeczeństwo litewskie było zgoła bez znaczenia. Pomysł Tenczyńskich, Melsztyńskich, Tarnowskich, zakrawał na szaleństwo.

A jednak była to rzecz prosta. Jak Kazimierz W. zamienił był współzawodnictwo Polski z Węgrami o Ruś na spółkę zwróconą przeciw trzeciemu współzawodnikowi, tj. Litwie, podobnież można było zawrzeć spółkę z Litwą przeciw Węgrom. Spólnik to był lepszy od Węgier, bo podczas gdy Węgry dopiero się dobijały o udział na Rusi, Litwa już posiadała liczne ruskie ziemie, a między niemi i te, które były dalszem przedłużeniem ziemi Czerwieńskich grodów: Podole, otrzymane lennem od Kazimierza W. i Ruś naddnieprzańską z Kijowem, do którego Polska nie posiadała żadnych praw politycznych. Powstające właśnie olbrzymie ruskie państwo dynastyczne, państwo Gedyminowiców, byłoby się wcześniej czy później pokusiło o podbój Rusi Czerwonej; lepiej było temu zapobiedz przez wczesne zawarcie spółki. Doświadczenie okazało, że sojusz z Węgrami nie chronił Polski od litewskich najazdów, a dla Mazowsza i Sandomierskiej ziemi pokój od litewskiej granicy był sprawą nader ważną.

Węgry wyzyskały Polskę w sprawie ruskiej, a nie dopomogły niczem w sprawie pomorskiej. Litwa zaś była w ciągłej walce z Zakonem i uważała go za największego wroga, tak samo, jak Polacy. Polska za słabą była wobec Krzyżaków, Litwini byli już niemal zgnębieni. Gdyby atoli złączyć polskie i litewskie siły przeciw Zakonowi, inaczej wyglądałaby cała sprawa, zwłaszcza, że oby-

dwa narody miałyby do rozporządzenia i tę część sił, które dotychczas zużywały się we wzajemnych wojnach. Opanowana Ruś dostarczyłaby również posiłków przeciw Zakonowi. Tu była pewność zupełna, że Litwa chętnie rzuci się na Krzyżaków wspólnie z Polską. A tak spółka ta jednako pożądaną była i dla Małopolan i Wielkopolan. Kandydatura Jagiełły oznaczała na pewno załatwienie sprawy i ruskiej i pomorskiej.

Sam Zakon nie byłby też już taki groźny i potężny, gdyby władca Litwy został królem polskim. Wszak rozumiało się to samo przez się, że Jagiełło się ochrzci, że cała organizacya państwowa na Litwie stanie się katolicką, a w następstwie tego nawróci się też cały naród, zwłaszcza, że nie będzie już nawracany mieczem i znikną powody nienawiści do chrześcijaństwa. Gdy się Litwa nawróci, Zakon nie będzie już mieć pozoru do wojny i grabieży, co więcej, nie będzie nikomu do niczego potrzebny. Wszak zasilała go cała Europa dlatego i po to, żeby walczył z poganami. Gdy tych nie stanie, niepotrzebny będzie Zakon i powinien się przenieść gdzieindziej, albo być zniesionym. Sami Krzyżacy rozumieli to doskonale i dlatego nie chcieli inaczej chrztu Litwy, jak tylko z równoczesnem odebraniem jej niepodległości. Litwa katolicka a niepodległa, samem istnieniem swem groziła Zakonowi zagładą, a cóż dopiero złączona politycznie z Polską! Trudno było przypuścić, żeby Zakon po chrzcie Litwy przestał być jej wrogiem; żył zawsze z drapieży i grabieży, będzie więc próbował grabić i nadal. Ale Europa nie będzie mu już pomagać, nie będą się sypać fundacye i nie będzie spieszyć rycerstwo ze wszystkich narodów na „nawracanie pogan“ i Zakon będzie coraz słabszy, podczas gdy Polska, Litwa i Ruś w niezakłóconym spokoju, uwolnione od wzajemnych walk, będą coraz silniejsze i coraz bogatsze. Nie mogło ulegać wątpliwości, że spółka polsko-litewska jest niezawodną i najpraktyczniejszą drogą do odzyskania wybrzeża Bałtyku.

Ale prócz tych wszystkich spraw przemawiały za księciem litewskim względy wyższe. Chociażby łączność z Litwą nie dawała Polsce żadnych zysków, warto było dobijać się tej moralnej zasługi, że się Litwinów nawróci, że się położy koniec pogaństwu w Europie, rozkrzewi wiarę św. i rozszerzy chrześcijańską zachodnią kulturę. Czego nie dokonał niemiecki Zakon rycerski przez

stopięćdziesiąt lat, co już dwa razy bliskie spełnienia, runęło jednak za Mendoga i Gedymina, to uskuteczniłoby się teraz na pewno, bo nad powodzeniem dzieła czuwałoby całe społeczeństwo polskie. Chociażby w łączności z Litwą nie było żadnej korzyści, w każdym razie była w tem wielka zasługa, zasługa wobec całego chrześcijaństwa.

Dla Litwy związek z Polską był ocaleniem. Już była wydana Niemcom na zagładę, już dynastya litewska myślała tylko o Rusi, a czegoby na Litwie nie pożarła niemiecka zachłanność, to się miało rozpłynąć w Rusi i pogrążyć w schyzmie. Polacy dawali obronę przed Krzyżakami i pewność, że z czasem nadejdzie dla Litwy dzień przewagi i zwycięstwa; dawali rękojmię, że wobec Rusi utrzyma swą narodową odrębność, a nie rozpłynie się w niej. Słowem, Polacy przywracali naród litewski do życia.

Nie rozgłaszano wielkiego i śmiałego planu ani w Polsce, ani na Litwie. Kto jeździł do Jagiełły od Polaków, nie wiadomo. W całem przygotowaniu tego dzieła unikano starannie pisma; niema żadnego aktu, listu, żadnej zapiski. Robiono zabiegi prywatnie, po cichu, a publicznie wystąpiono wtedy dopiero, gdy już wszystko było umówione. Trudnoż było przewidzieć, czy Jagiełło rzecz dobrze zrozumie i oceni, czy się jego osoba nada na monarchę chrześcijańskiego i czy wreszcie zgodzi się być królem podległym prawu, on, przywykły do tego, że Litwin się wieszał na życzenie księcia, bo się uważał za niewolnika swego pana i władcy. Na nic wszystkie misterne plany, jeżeli osoba Jagiełły nie do tego. A któż w Polsce co pewnego o nim wiedział? Zbierano więc wiadomości o księciu, o jego rodzinie i o kraju, a niejeden jeździł zapewne na Litwę od strony Mazowsza, zanim się namyślono wyprawić kogo wprost do Jagiełły z zaproszeniem. Tylko ze zmienionego nagle zachowania się Małopolan względem Ziemiowita wnosimy, że około kwietnia 1383 r. mieli już innego kandydata na widoku, a mazowieckiego księcia trzymali tylko w odwodzie; podobnież z tego, że w czerwcu 1384 r. Jagiełło sam prosi Witołda o zgodę, domyślamy się, że wtenczas było już u niego poselstwo z Polski.

Posyłał do stryjecznego brata kilka razy bojarów, ale długo bezskutecznie; dopiero sami towarzysze Witołda, którzy wraz z nim przeszli do Krzyżaków, zagroziwszy, że go opuszczą, zmusili go

do zgody. Były targi, bo Troki dostał już Skirgiełło; z Kiejstutowego dziedzictwa rozporządzał Jagiełło tylko Podlasiem i okręgiem grodzieńskim i to też dawał zaraz Witołdowi. Troki obiecywał dać później, gdy będzie można dokonać pewnej zamiany. W położonym na wschodzie Połocku był księciem lennym przyrodni brat Jagiełły, Andrzej, który zdradzał Litwę w porozumieniu z Krzyżakami. Jagiełło zamierzał wyprawić się na niego i odjąć mu księstwo; poczem Połock miał dostać Skirgiełło za Troki, a te miał potem zwrócić Witołdowi. Tymczasem obiecywał Witołdowi udział na Rusi, mianowicie na Wołyniu i dlatego żądał od niego, żeby stosownie do przyjętej przez Gedyminowiców polityki wyznawał schyzmę. Witołd porzucił więc przyjęty u Krzyżaków katolicyzm, żeby mógł być księciem nad Rusinami. Głębszych przekonań religijnych jeszcze w nim wówczas nie było. W lipcu 1384 r. powrócił Witołd na Litwę, paląc powierzone sobie krzyżackie grody nad granicą. We wrześniu wojowali już z Zakonem zgodni między sobą Jagiełło, Skirgiełło i Witołd i zdobyli wspólnie na Krzyżakach gród, zwany Nowym Kwidzyniem.

JADWIGA KRÓLEM (1384).

Wśród takich okoliczności przepadała oczywiście sprawa Ziemowita, a mogła była przepaść nawet sprawa Jadwigi. Najpożądańszem było dla polityki polskiej, żeby Jadwiga wstąpiła na tron i stała się żoną Jagiełły, bo łączyłyby się w takim razie na polskim tronie i litewskie i andegaweńskie uroszczenia do Rusi Czerwonej; ale Jagiełło był główną osobą i związek z Litwą główną rzeczą, a w ostateczności można się było już obejść bez królewny węgierskiej. Można było zrobić Jagiełłę królem polskim i bez Jadwigi. Zjazd radomski wysyła do Budzynia w marcu 1384 r. prostego tylko szlachcica i każe oświadczyć, że albo trzeba Jadwigę prędko posłać, albo zrzec się nadziei polskiej korony. Teraz spieszyć się zaczyna panom małopolskim, bo im spieszno z Jagiełłą! Królowa Elżbieta wyprawiła do Polski Zygmunta Luksemburczyka na nowo z wojskiem. Jeszcze był z tamtej strony Karpat, w Lubowli na Spiżu, gdy mu ze Sącza dano znać, że go w Polsce nie chcą ani na króla, ani na wielkorządcę i że napotka na zbrojny opór, jeżeli przekroczy granicę! Dodano groźbę, że się przystąpi do wyboru króla, jeżeli Jadwiga nie przyjedzie na Zielone Świątki i wyzna-

czono też nowy zjazd do Sieradza na 22 sierpnia 1384 r. Ale w sierpniu było już pewnem, że matka przyśle Jadwigę niebawem. Nie rozgłaszano więc jeszcze kandydatury Jagiełły, i nie odbierano Ziemowitowi nadziei; zamiast przygotowań do wyboru króla, przystano raczej jeszcze na jedną, niedługą już zwłokę.

Dnia 13 października 1384 r. przybyła Jadwiga do Krakowa, a w dwa dni potem zostało 13-letnie dziewczę królem polskim. Koronowano ją bowiem nie jako królowę, lecz jako króla polskiego. Znaczyło to, że ona sama posiada pełną królewską godność i władzę i panuje ze swej osobistej mocy. Korona królewska jest przy niej. Gdyby wyszła za mąż, jej małżonek nie musi być wcale uznany królem polskim i może nie mieć żadnego znaczenia w rządzie. Miało to zależeć od woli jej i narodu; można było męża Jadwigi nawet całkiem nie koronować. I gdyby wyszła za mąż za Wilhelma, pewnieby go też Polacy nie dopuścili wcale do władzy.

Ziemowit Mazowiecki trzymał wszystkie zajęte w wojnie domowej grody, miał zagarnięte całe Kujawy, a nikt nie gotował przeciw niemu wyprawy wojennej. Panowie małopolscy byli pewni, że wkrótce załatwi się to wszystko pokojowo. Ale Ziemowit nie posyłał też wcale swatów na Wawel i nie rozpoczął starań o rękę królowej! Widocznie panowie małopolscy odkryli przed nim teraz otwarcie cały swój plan, a książę Ziemowit był na tyle rozumny i posiadał na tyle miłości Ojczyzny, że wyrzekł się swoich zamiarów. Należy mu się za to wdzięczne wspomnienie w dziejach, że dla swej osobistej sprawy nie wszczynał wojny domowej.

UNIA KREWSKA (1385).

W trzy miesiące po koronacyi stanęło w Krakowie poselstwo Jagiełły z prośbą o rękę Jadwigi, ku przerażeniu Krzyżaków i zdumieniu całego świata. Najbardziej jednak zdziwioną była sama Jadwiga; wszak od ośmiu lat poślubiona była „na przyszłość“ Wilhelmowi, panowie zaś małopolscy nie uprzedzili jej o niczem. Rozumiano, że będzie można rozporządzać dowolnie ręką królowej, liczącej zaledwie trzynaście lat życia, byle tylko jej narzeczonemu zapłacić 200.000 florenów.

Nie poznano się na Jadwidze. Rozwinięta nad swe lata, miała swą wolę i wysokie poczucie godności, a postępowaniem małopolskich panów była obrażona. Nie wydawał się jej stosownym

małżonkiem ten pogański książę, na którego chrześcijańscy rycerze urządzali obławy pod przewodem Zakonu; jej, córce pierwszego w Europie monarszego rodu. Ona, wychowana w obrzydzeniu do litewskiego pogaństwa, miałażby teraz ztamtąd wyczekiwać oblubieńca? Postanowiła dochować wierności Wilhelmowi, podczas gdy polscy wielmożowie gotowi byli raczej zrzucić ją z tronu, niż zerwać rokowania z Jagiełłą. Opór na opór i rozpoczęła się ciekawa walka królowej z poddanymi, młodziutkiego dziewczęcia z zastępem polityków; walka, w której obie strony gotowe były na wszystko, używały podstępów i fortelów, nie cofały się nawet przed gwałtem i przemocą, byle na swojem postawić.

Według dworskiego ceremoniału na mowę obcych poselstw nie odpowiadał monarcha osobiście, lecz przez usta swego kanclerza lub innego przeznaczonego do tego dostojnika. Nie można było dać Litwinom urzędowo pomyślnej odpowiedzi w imieniu królowej wbrew jej woli; ale od czegóż polityka? Odpowiedziano od tronu, że królowa żadnej sama nie dając odpowiedzi, zdaje tę sprawę na swoją matkę i do niej posłów odsyła. Wyobrażała sobie może Jadwiga, że w ten sposób całą rzecz się umorzy. Pojechali więc na Węgry, a tymczasem królowa gotowała się do spełnienia małżeństwa z Wilhelmem.

Polakom nie było wszystko jedno, co powie królowa Elżbieta. Nie słuchali jej nigdy i nie byliby słuchali ani teraz, ale pożądanem jednak było, żeby matka wpłynęła na córkę i macierzyńskiem słowem pomogła litewskim posłom. Biskup ostrzyhoński Dymitr, kardynał i legat papieski na Węgry i Polskę, stanął gorąco po stronie Polaków. Wszak tu chodziło o nawrócenie Litwy! Kardynał wziął sprawę w swe ręce i doprowadził do tego, że królowa Elżbieta sama przydała od siebie dwóch posłów i tak wzmocnione poselstwo wróciło do Krakowa. Nie wiemy, czy było przyjmowane powtórnie przez królowę urzędowo. Panom małopolskim wystarczało pod względem formalnym, że jest zgoda matki, do której odesłać posłów Jadwiga pozwoliła. Wyznaczono więc trzech pełnomocników do dalszych układów z Jagiełłą i wszyscy odjechali na Litwę. Tam w Krewie zawarli dnia 14 sierpnia 1385 r. umowę z Jagiełłą następującej osnowy:

Wielkie księstwo litewskie przestaje istnieć, jako osobne państwo. Jagiełło wciela do polskiej korony całą Litwę ze wszystkiemi

lennemi księstwami ruskiemi. Jagiełło będzie koronowany i jako król polski pozostanie najwyższym Litwy zwierzchnikiem. Wraz z Jagiełłą przyjmą chrzest wszyscy jego pogańscy bracia i krewni; ci zaś, którzy już ochrzczeni byli we wschodniej cerkwi, mają wolność pozostać przy schyzmie. Chrzest Litwy odbędzie się w katolickim rzymskim Kościele; wszyscy Litwini, od najznakomitszych począwszy, aż do prostego ludu, przejdą na katolicyzm, a nie na schyzmę. Jagiełło zobowiązuje się odzyskać utracone ziemie Korony polskiej, Ruś Czerwoną i Pomorze gdańskie, tudzież zapłacić z własnej szkatuły owe dwieście tysięcy florenów, które się należeć będą domowi Habsburskiemu z mocy dawnych układów hainburskich.

WILHELM HABSBURSKI.

Tymczasem królowa Jadwiga postanowiła sobie, że zanim poselstwo polskie dobije o nią targu z Jagiełłą, ona będzie już żoną Wilhelma. Książę Leopold III. Rakuski, ojciec Wilhelma, pojechał na Węgry upominać się u królowej matki dopełnienia hainburskich ślubów. Ponieważ Jadwiga się zgadzała, trzeba było tylko prostego wspólnego zamieszkania młodej pary, bo według ówczesnego prawa związek ich stałby się już wtedy nierozerwalnym sakramentem małżeństwa. Elżbieta Bośniaczka przytakiwała każdemu, żeby mieć od wszystkich spokój. Swoją drogą pełnomocnicy jej bawili na Litwie, a swoją drogą przyznała we wszystkiem słuszność Leopoldowi. Sprawą Wilhelma zajął się Władysław Opolczyk, który wiedział, że gdyby sprawy poszły po myśli panów polskich, gdyby rządy pozostały w ich ręku, odejmą mu lenna, na które tak sarkali od początku. Pojechał i on na Węgry i wziął wszystko w swoje ręce. Wyznaczono dzień 15 sierpnia 1385 r. na dopełnienie małżeństwa królowej, on sam podjął się być starostą weselnym. Wesele królowej nie mogło się przecież odbyć po cichu, po kryjomu. Wilhelm miał przybyć do Krakowa i wjechać na Wawel wśród stosownej uroczystości. Szczególniej zbiegały się daty; gdy 14 sierpnia przywieszano pieczęcie do umowy w Krewie, nie tuszono, że na dzień następny wyznaczony jest w Krakowie wjazd Wilhelma na królewski zamek.

Jadwiga musiała oczywiście mieć wspólników. Nie trudno możnym tego świata o usłużne ręce, gdyż mają czem wynagradzać;

a cóż dopiero królom! Wśród mieszczaństwa krakowskiego nie brak było przychylnych dla niemieckiego książęcia, a nawet wśród polskich panów znalazł się jeden, gotów pomóc Wilhelmowi. Był nim Gniewosz z Dalewic, który ustąpił swego domu w rynku [1]) na mieszkanie dla niemieckiego oblubieńca.

Przyjechał Wilhelm i podbił serce Jadwigi. Wyrósł na dzielnego młodziana i tak się podobał królowej, że teraz polityce małopolskiej stanęła w drodze siła potężna: miłość; siła, na którą w polityce niema rady. Teraz królowa przeciwną była Jagielle już nietylko przez urażoną dumę, ale przez gorące uczucie młodego czystego serca, które pokochało; broniła się od litewskich ślubów, bo broniła swego własnego szczęścia. Ze wszystkich sił rozkwitającej pierwszej młodości pokochała i pragnęła szczęścia, a miłość dodała jej sił do tej walki. Zaczęły się też niespodzianki świadczące, że w czternastoletniem już dziewczęciu budzi się kobieta, której nie zbywa na wielkiej energii i która potrafi posunąć opór do ostateczności.

Jawnie i uroczyście, z całym dworskim ceremoniałem, kazała królowa urządzać zabawy, wstępne uroczystości przedweselne. Odbywały się one w domu, będącym własnością Franciszkanów, tuż obok mieszkań zakonnych, w połowie drogi pomiędzy Wawelem a kwaterą narzeczonego. Królowa tak kazała i sama przychodziła na te zabawy ze swym dworem niewieścim. Wśród pląsów i pieśni czekano na przyjazd Opolczyka. Ten jednak zawiódł. Obliczył sobie, że sprawa Wilhelma bardzo wątpliwa i wolał próbować szczęścia u Jagiełły; już się zwrócił w tamtą stronę i posłom jadącym na Litwę dał też już od siebie list wierzytelny. Na dwóch stołkach siedział i bał się zrobić coś stanowczego. Ale nie bała się Jadwiga. Gdy starosta weselny nie przybywał, postanowiła obejść się bez niego i wyznaczyła dzień 23 sierpnia 1385 r. na wjazd Wilhelma na Wawel.

Panowie małopolscy powyjeżdżali na ten czas umyślnie z miasta, żeby unikać niemiłych sporów z królową, ale siedzieli w pobliskich wsiach, a wiedząc przez swoich doskonale, co się w Krakowie dzieje, mogli się zjechać w razie potrzeby każdej chwili. Czujni byli, pamiętali o dniu 23 sierpnia. Nie robiono

[1]) Dzisiaj narożnik ulicy Sławkowskiej i Szczepańskiej.

Wilhelmowi trudności, gdy wjeżdżał z wielką uroczystością na zamek. Całe miasto było przekonane, że to naprawdę dzień wesela królowej. Jadwiga zawiadomiła o weselu urzędowo władze miejskie i poleciła, żeby w dniu tak dla niej radosnym, wypuścić więźniów z więzienia miejskiego. I można do dziśdnia czytać w starej księdze sądowej krakowskiej zapiskę miejskiego pisarza, jako w wigilię św. Bartłomieja na wesele królowej wypuszczono tych a tych złoczyńców. Całe miasto się bawiło, z Wawelu grzmiały surmy i piszczałki, gdy pisarz miejski zapisywał to dla porządku; zapisywał we dnie, ale do zupełnego zamieszkania trzeba było poczekać jeszcze kilka godzin — do nocy.

Przed nocą byli w Krakowie małopolscy dostojnicy ze swymi orszakami i przyszli też na Wawel, na wesele swojej królowej. Co się tego wieczora tam działo, nie wiemy. Nikt z Polaków nie zostawił o tem najmniejszego wspomnienia na piśmie, ani też nie było żadnej ustnej tradycyi. Dochowali tajemnicy ściśle! Nie byli tak powściągliwi towarzysze Wilhelma i pisarze niemieccy; od nich się też dowiadujemy, a zwłaszcza od współczesnego burmistrza wiedeńskiego, że Wilhelm musiał z zamku uciekać, spuszczony na linie z okien komnat królowej. Nie pozwolono mu też już mieszkać w Krakowie. Przebrany za kupca zdołał jednak utrzymać się w okolicy, na Czarnej Wsi i na Łobzowie; raz udało mu się nawet powrócić do kamienicy Gniewosza z Dalewic. Panowie polscy kazali go tam ścigać i posłali zbrojnych pachołków, żeby go uwięzić; ledwie zdołał wstawić do komina drabinę i po niej na dach się wydrapawszy, ujść pościgu. Porozumiał się jednak z królową, a Jadwiga, zdecydowana na wszystko, gotowa była zamieszkać z nim gdziekolwiek, w domu któregokolwiek życzliwego niemieckiego mieszczanina. Pilnowano też teraz królowej, żeby nie wyszła z Wawelu. Kilka razy napróżno próbowała wyjść z zamku, na umówione zapewne z narzeczonym miejsce, lecz nigdy się jej to nie udało. Zawsze zjawił się nie w porę jaki nieproszony świadek, a wycieczka królowej skończyłaby się więzieniem Wilhelma. Spostrzegła królowa, że jest więźniem w swym własnym zamku. Raz postanowiła przemocą utorować sobie drogę. Doszła już do ostatniej bramy i zastała ją zamkniętą. Kazała otworzyć, ale burgrabia kluczy nie dał. Tego było królowej zanadto. Porwała topór od jednego ze strażników i zaczęła rąbać furtę bramy. Na majestat

koronowanej królowej nie można było wyciągnąć ręki. Nie można było królowej wyrywać topora. Nadbiegł wtenczas mieszkający na Wawelu podskarbi koronny, stary Dymitr z Goraja i rzucił się na kolana przed królową, błagając, żeby zaprzestała i pomiarkowała się w namiętnym porywie. Z płaczem wróciła do swoich komnat, strapiona i złamana. Pocieszać się mogła tem, że przecież ślubu z Jagiełłą nie weźmie, skoro nie chce; ślubu gwałtem dać nie można!

WOJNA BIAŁORUSKA (1386).

A tymczasem starali się Krzyżacy o to, żeby Jagiełło nie mógł przyjechać do Krakowa.

W dwa dni po podpisaniu układu w Krewie wyruszył Wielki Mistrz, Konrad Zöllner, na Litwę. Najazd ten był dopiero przygrywką do większej wojny. Z najeźdźcami zawarł sojusz książę połocki, Andrzej, najstarszy z przyrodnich braci Jagiełły, chcący sobie założyć w Połocku dziedziczne państwo pod zwierzchnictwem inflanckiego landmistrza. Do sojuszu tego przystąpił Wielki książę smoleński, żeby odebrać zajęty dawniej przez Litwę gród Mścisław. Wyprawa miała się skierować także na księstwo witebskie. Gdyby się plany te udały, natenczas wszyscy wrogowie Litwy: Inflanty, Połock, Smoleńsk i Moskwa, otaczaliby ją nieprzerwanym już nigdzie pasem posiadłości, Biała Ruś byłaby już dla Gedyminowiców stracona, a Krzyżacy mieliby wolną drogę do Pskowa. Starał się też Zakon podburzyć na nowo Witołda; szczęściem napróżno.

Wojna ta, białoruską zwana, groziła Jagielle w sam raz na wyjezdnem do Krakowa. Na dzień 2 lutego 1386 r. naznaczony był ostatni w tem bezkrólewiu zjazd polski do Lublina. Stawił się na nim Jagiełło pomimo tylu przeszkód i dał na zakładników swej szczerości swych braci, tudzież stryjecznego Witołda. Tego samego właśnie dnia wkraczał landmistrz inflancki, Robin von Elzen, na ziemię litewską i pustoszył ją przez trzy tygodnie, a równocześnie wyruszał w pole Andrzej połocki. Zajęto od razu gród Łukomlę, którą Krzyżacy nadali Andrzejowi w lenno. Wiadomość o tej stracie doszła Jagiełłę już w Krakowie, już po koronacyi.

Jagiełło zaprosił obydwóch mistrzów, Wielkiego i inflanckiego, na ojców chrzestnych do Krakowa i wyprawił z tem posłów. Przyjęto ich z lekceważeniem, a nawet ze wzgardą. Tak Za-

kon niemiecki rycerzy Najśw. Maryi Panny — tak się tytułowali Krzyżacy — nie rad był nawróceniu Litwy.

OFIARA KRÓLOWEJ JADWIGI.

Gdy poselstwo polskie jechało latem poprzedniego roku na Litwę, trwała jeszcze królowa Jadwiga w oporze przeciw Jagielle i słuchała tylko popędu serca. Ciężko strapiona, poczęła szukać ulgi i pomocy w modlitwie i od tego czasu zaczął się dokonywać zwrot w jej duszy. W nieszczęściu swem uciekła się do stóp ołtarza i wyniosła od ołtarza świętość dla siebie, a szczęście dla swych poddanych. Gdy do Boga myśl zwracać poczęła, musiało się jej coraz częściej przypominać, że są obowiązki wobec Boga, a jej młodzieńcza miłość ku Wilhelmowi i opór przeciw małżeństwu z władcą Litwy nie wychodzi na chwałę Bożą. Wszak Jagiełło daje jej na wiano nawrócenie Litwy! Odkąd częściej myślała o Bogu, musiała powstać w niej rozterka sumienia: zaczęła się zastanawiać głębiej nad wszystkiem i odbywać narady ze swym spowiednikiem Piotrem Wyszem. Kapłan nie mógł oczywiście przemawiać do niej inaczej, jak tylko przedkładając, że powinna dopatrywać się łaski Bożej w tem, że ona właśnie wybraną jest do rozkrzewienia katolicyzmu na dalekim wschodzie. Uwagi te padały na grunt szlachetny, a choć królowa nie zerwała odrazu z Wilhelmem, poczęła się jednakowoż wahać. Od jej zezwolenia lub odmowy miało zależeć zbawienie Litwy! Odkąd to dobrze pojęła, nie mogło już być wątpliwości, na którą stronę się ostatecznie przechyli. Wiedziała już, że trzeba złożyć serce w ofierze Kościołowi i narodowi; ale głos serca w tym wieku zbyt był silny, żeby zaraz uledz miała. Młodziuchna królowa przechodziła przez straszne moralne katusze, zanim surowy obowiązek zwyciężył pragnienie własnego szczęścia. Jest tradycya, że raz, gdy zatopiona była w modlitwie u stóp cudownej figury Ukrzyżowanego w katedrze na Wawelu, Zbawiciel przemówił do niej z krzyża. Piękna to legenda, a historya dodać musi, że rzeczywiście całe dalsze życie Jadwigi było prawdziwie życiem świętej, tak pełne nadzwyczajnych cnót i ofiar, tak jaśniejące nadziemskim blaskiem poświęcenia, że wobec tego niema w tej legendzie nic a nic dziwnego. A tem droższą jest nam pamięć królowej Jadwigi, że cierpiała i walczyć z sobą musiała; tem

większa jej zasługa, że się rwała do szczęścia i zrzekała go się z całą świadomością ofiary.

Czyniąc Kościołowi i narodowi polskiemu ofiarę ze swego serca, wyprawiła dworzanina Zawiszę z Oleśnicy naprzeciw zbliżającemu się od Lublina Jagielle, z powitaniem. Z Wilhelmem, przebywającym wciąż w okolicy Krakowa, zniosła się po raz ostatni, kazała mu odjechać i wyrzec się wszystkiego. Odjechał, bo musiał, ale okazało się przytem, jak niegodnym był Jadwigi. On całkiem jej nie zrozumiał, szczytność jej postanowienia przechodziła zakres jego pojęć, nie uznawał pierwszeństwa wielkiej dziejowej sprawy i rozszerzenia wiary św. przed swym interesem osobistym. Zamiast ukorzyć się przed potęgą cnoty, on lżył potem Jadwigę i gdy nie mógł czynem, mścił się na niej przynajmniej słowem. O ile Jadwiga jest świętą, o tyle Wilhelm nie zasługuje nawet na nazwę chrześcijanina, skoro przez całe życie nie mógł przeboleć — chrztu Litwy.

KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO (1386).

Nadeszła nareszcie ta wielka chwila, stanął polski maszt dziejowy, około którego dano grupować się wiekom narodowego życia w doli i niedoli: dnie 15 i 17-go lutego 1386 r., dokonane sławnie chrzest i małżeństwo, a następnie koronacya Jagiełły (nową umyślnie sprawioną koroną, gdyż korona Władysława Łokietka uwieziona na Węgry przez króla Ludwika, była w ręku Zygmunta Luksemburczyka). Chrzcili się wraz z Jagiełłą pogańscy jego bracia. I Witołd powracał ze schyzmy na nowo na katolicyzm i uczynił w katedrze krakowskiej katolickie wyznanie wiary.

Świadkiem uroczystości krakowskich był legat papieski, Maffiola, arcybiskup Dubrownika w południowej Dalmacyi. Radość zapanowała w Rzymie i w całym katolickim świecie. Król francuski Karol VI. przysłał wkrótce list z serdecznemi życzeniami, ofiarując pomoc do dzieła krzewienia wiary św. Tylko urzędowi jej krzewiciele, Krzyżacy, nie dzielili powszechnej radości.

Koronacya Jagiełły odbywała się w Krakowie, a tymczasem na bezbronnej Litwie rozpoczęła się już wojna białoruska. Gdy nadeszła wieść o zdobyciu Łukomli, pozwolono książętom litewskim wracać i jedenastego dnia oblężenia Mścisławia nadeszła odsiecz. W krwawej bitwie nad rzeką Wechrą poległ Światosław

smoleński, a syn jego Jerzy uznał zwierzchnictwo Jagiełły. Odwet przeciw Andrzejowi połockiemu odłożono na później, gdyż Jagiełłę czekało dzieło nawrócenia Litwy, wymagające pokoju.

Po koronacyi pojechał król do Wielkopolski, gdzie Domarat z Pierzchna i Bartosz z Odolanowa utrzymywali ciągle zbrojnych. Ze stronnictwem mazowieckiem nastały jak najlepsze stosunki. Książę Ziemowit pojął niebawem za żonę rodzoną siostrę królewską, księżniczkę Aleksandrę, a Bartosz został wojewodą poznańskim. Domarata nie można było zostawić na generalnem starostwie, bo się przez szereg lat zanadto dał we znaki ziomkom na tym urzędzie; pozostawiono mu jednak kasztelanię poznańską. I tak dwaj zacięci wrogowie poprzyjmowali urzędy od nowego króla, a Wielkopolska była uspokojona i zupełnie zadowolona. Marzono tylko o tem, rychłoli Jagiełło poprowadzi rycerstwo polskie wraz ze swymi Litwinami na Krzyżaków.

Jesienią 1386 roku wybrał się Jagiełło na Litwę, żeby zaprowadzić chrześcijański ustrój państwowy. Przyjmowali Litwini bez oporu katolicyzm z rąk, które nie niosły wraz z krzyżem pęt niewoli. Ustanowiono też zaraz biskupstwo w Wilnie; pierwszym biskupem był Franciszkanin, Andrzej Wasilo. Żmujdzini przywiązani byli do starej wiary; nie użyto przeciw nim przymusu, pozostawiono sprawę samemu apostolstwu, a w następnem pokoleniu zwyciężył Krzyż także w tej nadmorskiej krainie. Na właściwej Litwie odbyło się nawracanie bez trudu; nie wywołało nawet oporu ścięcie prastarych dębów w świętym gaju bożka Perkuna i zagaszenie świętego ognia, utrzymywanego wieczyście na jego cześć.

Zaraz potem wyprawił Jagiełło swego brata, Skirgiełłę, na Połock. Andrzej Połocki dostał się do niewoli, jeden z jego synów Szymon, poległ, a drugi, Iwan, zbiegł do Pskowa. Połock dostał Skirgiełło, a wojna białoruska miała się wkrótce przenieść pod mury Pskowa.

ODZYSKANIE CZERWONEJ RUSI (1387).

Tegoż samego jeszcze roku zebrali panowie małopolscy plon swej polityki. Starostowie węgierscy na Rusi Czerwonej nie wiedzieli nawet, w czyjem właściwie rządzą imieniu. Wśród strasznej wojny domowej na Węgrzech zamordowano królową matkę, Elżbietę Bośniaczkę, a królowa Marya dostała się do niewoli prze-

ciwnego stronnictwa, które obwołało królem Karola Małego z Neapolu. Dla starostów węgierskich była Jadwiga dziedziczką Rusi na równi z Maryą. Jadwiga też sama wybrała się na Ruś. W Jarosławiu, a potem w Gródku, powitały ją ruskie poselstwa, prosząc o przyłączenie do Polski. Naczelny starosta węgierski, Emeryk Bebek, poddał się wobec tego dobrowolnie.

W mniemaniu, że Ruś Czerwoną trzeba będzie wojną zdobywać, kazał Jagiełło wyruszyć w pole wszystkim swym krewniakom i drobnym lennym książętom z Czarnej Rusi, z Podlasia i Wołynia. Wyprawa ta przybyła, kiedy już Bebek się poddał. Tylko jeden z jego namiestników, Benedykt, dowódzca grodu w Haliczu, wahał się. Ruszyli tedy pod Halicz litewscy książęta,ale ani tu nie dobyto oręża. Benedykt poprosił o rozejm, o czas do namysłu, a potem także poddał się dobrowolnie. Wyprawą tą dowodził Witołd, w sierpniu 1387 r. Jesienią tegoż roku otrzymał od Jagiełły dwa księstwa na Wołyniu: łuckie i włodzimierskie.

Odzyskawszy Ruś Czerwoną, miała Polska połączona z Litwą stanowczą już przewagę na wschodzie, a połączonym siłom polsko-litewskim nie sprostałyby Węgry. Jak korzystną była małopolska polityka, okazało się najlepiej z tego, że hospodar mołdawski, Piotr, którego kraj stanowił niejako przedłużenie czerwonoruskiego szlaku ku południowemu wschodowi, hołdujący dotychczas węgierskiej koronie, przybył we wrześniu 1387 roku do Lwowa i wcale nienaciskany, ani do tego nie wzywany, sam od siebie hołd Jagielle złożył. Droga na wschód roztwierała się coraz szerzej. Za przykładem mołdawskiego pospieszył w dwa lata później hospodar wołoski, a w roku 1396 poddał się Polsce władca Bessarabii, krainy sięgającej do morza Czarnego. Ten stosunek był jednak bardzo nietrwały.

KRZYŻACKIE FAŁSZERSTWA (1388).

Był zwyczaj, że każdy monarcha katolicki wyprawiał do papieża poselstwo z urzędowem uwiadomieniem o swem wstąpieniu na tron, z oświadczeniem synowskiej uległości względem Głowy Kościoła. Zwało się to poselstwem z obedyencyą. Od roku 1378 było w Kościele to zgorszenie, że było dwóch papieży, co w historyi zowie się schyzmą papieską. W roku 1309 przeniesiono stolicę papieską z Rzymu do Avinionu we Francyi. Gdy wybrany

w roku 1378 Urban VI. do Rzymu wracał, wybrali sobie kardynałowie francuscy nowego papieża, który w rzeczy samej był tylko antypapą, t. j. fałszywym papieżem, ale uznany przez rząd francuski i niektóre inne państwa na Zachodzie, zdołał rozdwoić Kościół. Polska pozostała w posłuszeństwie Urbanowi VI., papieżowi rzymskiemu.

Wyprawił więc Jagiełło do Rzymu kanonika krakowskiego, Mikołaja Trąbę. Miał on zarazem ułożyć się po drodze w Rakuzach z Habsburgami o owe dwieście tysięcy florenów, należne im z umowy hainburskiej. Książęta rakuscy wtrącili go do więzienia, w którem przebył cztery lata. W Rzymie stanęły tymczasem poselstwa habsburskie i krzyżackie, bo Wilhelm wszczął proces o unieważnienie ślubu z Jagiełłą, zarzucając Jadwidze dwużeństwo, a równocześnie obiegały całą Europę najpotworniejsze pamflety na Jagiełłę. Dopiero w kwietniu 1388 r. wyjaśniła się cała sprawa, gdy dotarł do Rzymu drugi poseł, wyprawiony inną drogą, biskup poznański, Dobrogost. Proces, wytoczony Jadwidze, musiał się oczywiście skończyć uznaniem ważności ślubu z Jagiełłą, papież nazwał nowego króla polskiego „drogim klejnotem Kościoła“, a na skargi i pamflety Zakonu odpowiedział wezwaniem obu stron do zachowania pokoju i do przedłożenia sobie sporów do rozsądzenia.

Przewidując nowe procesy kanoniczne w sprawie z Litwą, kazał landmistrz inflancki, Robin von Elzen, w r. 1388 sfałszować stare dokumenty z czasów Mendoga, tak, ażeby z nich wynikało, że Mendog zapisał Zakonowi część Litwy, a zwłaszcza całą Żmujdź, że tedy Krzyżacy mają do części Litwy prawa o sto trzydzieści lat starsze od świeżych praw Korony polskiej. Zaczęli też fałszować historyę, twierdząc, że Mendog dopuścił się apostazyi, t. j. że porzucił potem chrześcijaństwo i wrócił do pogaństwa. To kłamstwo udało się Krzyżakom do tego stopnia, że nawet w nauce historyi uważano ich wymysł za prawdziwy i dopiero za naszych czasów spostrzeżono się na fałszerstwach Elzena. Krzyżacy twierdzili nawet, jakoby apostazya powtarzała się już na Litwie kilka razy i ostrzegali, że Jagiełło także na tem skończy. Radzili wziąć od niego coś na zastaw wierności Kościołowi! Zastawem miała być część Litwy, oddana do rąk Zakonu, jako dozorcy w tej sprawie. Bezczelność tych żądań oburzyła biskupów inflanckich: arcybiskupa ryskiego,

Sintena, i biskupa dorpackiego, Dameaua. Z Inflan tpojawił się też srogi pamflet na Krzyżaków, o który oni Dameaua podejrzywali.

Jagielle neoficie zależało niezmiernie na tem, żeby na każdym kroku wykazywać, że chce postępować uczciwie. Zaprosił był Mistrzów krzyżackich na ojców chrzestnych; po chrzcie wyprawił poselstwo do Malborga, stolicy ich państwa w Prusiech, z wezwaniem do zawarcia stałego pokoju, skoro Litwa już ochrzczona. Powtórzył to z początkiem roku 1388, wyprawiwszy ponownie wielkie poselstwo, złożone z najwyższych dostojników pod przewodem samego arcybiskupa gnieźnieńskiego, Bodzanty. Krzyżacy przystali na zjazd ugodowy, który się też odbył w dniach od 12—22 kwietnia 1388 przy okopach granicznych naprzeciw grodu Złotoryi. Ale na zjeździe zażądali zabezpieczenia na wypadek apostazyi Jagiełły, a na czem to zabezpieczenie miało polegać, mieli orzec papież, cesarz i książęta Rzeszy Niemieckiej. Na oświadczenie, że Litwa wcielona do Polski, a więc Zakon mając pokój z Polską nie może wojować z Litwą, odpowiedzieli, że nie mają nic przeciw temu, żeby Jagiełło czynił Polsce zapisy, ale zastrzegają się, żeby nie były ukrócone prawa Zakonu do tych ziem, do których posiadania posiada tytuł prawny od dawnych czasów! Nie można było ułożyć się, ale o to też chodziło Krzyżakom, żeby zjazd spełzł na niczem, a winę zwalono na Jagiełłę i zaraz 7 maja 1388 roku spisano na niego nową skargę do papieża, do której dołączono odpisy sfałszowanych darowizn Mendoga!

POLACY WOBEC LITWY.

Na samym więc początku stanęły przeciw sobie dwie polityki: polska, dążąca do załatwiania spraw między narodami według uczciwości, i niemiecka, krzyżacka, opierająca zysk własny na cudzej krzywdzie. Polityka wymagała coraz bardziej uwzględniania interesów nietylko własnych, lecz także cudzych. Sprawy rozmaitych państw i narodów wikłały się tak, że żaden już sam sobie nie wystarczał i bez innych obejść się nie mógł; a z tego wydobywać można było tak wspólność, jakoteż sprzeczność, zgodne zbliżenie się, lub coraz większe wzajemne niechęci. Połączenie państwowe Polski z Litwą jest pierwszym — i niestety ostatnim — przykładem usunięcia sprzeczności, poszukiwania wspólności. Zamieniło się ono niebawem na ścisły związek dwóch społeczeństw,

na braterstwo narodów. Taki związek, oparty na zupełnej wzajemności i równości, zowiemy unią.

Raz tylko się zdarzyło, że polityka potoczyła się chrześcijańskim torem i przyznano obu stronom równe prawa. Tego arcydzieła historyi dokonał polski naród. Z ludzi tylko składał się naród, a więc nawet najszczytniejsze dzieło musiało mieć ludzkie ułomności, a jest obowiązkiem historyi nie zatajać żadnych cieniów; ale światła pozostanie i tak więcej, niż w dziejach jakiegokolwiek innego narodu.

Znaczne korzyści odnosiła Polska zaraz na samym wstępie z tej łączności z Litwą. Można było poprzestać na samych korzyściach, wyzyskać Litwę, opanować ją, nic jej nie dając w zamian. Przodkowie nasi rozumieli jednak unię w ten sposób, że Polska czerpie wprawdzie z Litwy korzyści, ale też bierze za to ciężkie obowiązki na siebie. Zajęła się też Polska sprawami litewskiemi tak szczerze, że nieraz nawet ze szkodą własnych. Potem zaś nie odróżniano nawet polskich od litewskich, i każdą potrzebę Litwy uważano za swoją, nie szczędząc trudów ni krwi własnej, żeby jej uczynić zadość.

Są atoli inne jeszcze obowiązki i to wyższego rodzaju, obowiązki cywilizacyjne chrześcijańskiej polityki. Należało się starać o to, żeby ta Litwa przejęła się gruntownie zasadami wiary świętej i żeby tam życie społeczne czyniło postępy. Litwa była młodszą w cywilizacyi od Polski. Jak niegdyś Polska zetknęła się ze starszymi w cywilizacyi Niemcami, tak teraz sama miała wywierać wpływ na społeczeństwo od siebie znowu znacznie młodsze. Niemcy skorzystali ze swej przewagi, żeby wytępić Połabian, i pragnęli zamienić Polskę w swą niewolnicę. Zupełnie inaczej postępowali Polacy; dążyli do tego, żeby podnieść Litwę pod każdym względem, dzielili się z nią po bratersku wszystkiem i zaraz od samego początku nadawali jej prawa wobec siebie i polskiej Korony. Tak też być powinno, bo odtąd Polacy brali na siebie odpowiedzialność za dalszy rozwój społeczeństw: litewskiego i ruskiego.

Na Litwie społeczeństwo całkiem jeszcze nie było zorganizowane, gdy Jagielle ofiarowano polską koronę. Organizacya państwowa była społeczeństwu narzucona przez Gedyminowiców, a stosunki były pod tym względem jeszcze gorsze, niż u nas za pierwszych monarchów piastowskich, o tyle gorsze, że nie łagodzone

wpływem Kościoła. Wielki Książę był właścicielem wszystkiego i panem wszystkich; na całej Litwie nikt a nikt nie miał wobec niego żadnego prawa; wszyscy byli jakoby jego niewolnikami. Zbrojna drużyna składała się z tych, którzy mu się bezpośrednio oddali na usługi i w niewolę; ci słudzy książęcy wyrośli wkrótce ponad innych i zaczęto ich zwać z ruska bojarami, albo bojarskiemi dziećmi. To byli żołnierze i z nich ustanawiał książę swych urzędników. Obok nich nie było na Litwie nietylko żadnej innej władzy, ale wogóle żadnych urządzeń; nie znano tam niczego takiego, jak w Polsce niegdyś opole, ród, zadruga, starosta rodowy. Kto nie był niewolnikiem własnym księcia, czyli bojarem, ten był niewolnikiem bojara. Ale bojar nawet tylko z łaski księcia miał jakąś własność; właściwie nie była to własność, ale tylko użytkowanie, bo książę miał prawo każdej chwili ją zagarnąć, a zresztą nie była ona wcale dziedziczną. Mógł też książę każdej chwili bogacza zamienić na żebraka jednem swem skinieniem, a jego niewolnika upodobać sobie i wynieść do godności. Nie było wśród społeczeństwa żadnej samodzielności, bo też nędza była straszliwa. Coroczne najazdy krzyżackie zrobiły z Litwy to, czem Ruś była w połowie XIII. wieku po wielkich najazdach tatarskich: pustki i zgliszcza. Ludność chroniła się w niedostępne ostępy pomiędzy borami i błotnemi jeziorami, a łowiectwo i rybołostwo stanowiły tu główne sposoby utrzymania się. Rolnictwa było niewiele i na bardzo nizkim stopniu. Nie było też porządnego życia rodzinnego, bo wielożeństwo było dozwolone.

Zaraz po wprowadzeniu chrześcijańskiej organizacyi państwowej miało się to wszystko zmienić. W trzy dni po założeniu biskupstwa wileńskiego, dnia 20 lutego 1387 roku, ogłosił Jagiełło Litwinom pierwszą ich ustawę, czyli — jak wówczas mawiano — przywilej, nadający im prawa: Kto przyjmie chrześcijaństwo w katolickiem wyznaniu wiary, dostaje swe posiadłości na własność dziedziczną, może niemi rozporządzać dowolnie, darowywać, sprzedawać, zamieniać; wdowom przyznano prawa majątkowe takie same, jak w Polsce; córki wolno wydawać za mąż według własnego uznania. Państwu należy się obowiązek służby wojennej, a podczas pokoju znosi się wszelkie dawniejsze ciężary, opłaty i robocizny, do których mógł Wielki Książę dotychczas pociągać każdego z osobna dowolnie. Odtąd budowa nowego grodu staje się wspólnym

ciężarem całej Litwy, wszyscy zarówno ponoszą na to trud lub koszt. Nadanie własności, uznanie praw w zakresie prawa prywatnego było fundamentem chrześcijańskiej cywilizacyi, podniesieniem ludzkiej godności w Litwinach. Tyczyły się te prawa tylko katolików, bo król nie chciał, żeby Litwini przyjmowali schyzmę. Dnia 22 lutego 1387 r. wydał nawet zakaz małżeństw mięszanych pomiędzy katolikami a schyzmatykami. O równouprawnieniu wyznań nikt jeszcze wówczas w Europie ani myślał, a tem mniej można go było dopuścić na Litwie. Schyzmatyków uważano w zachodniej Europie za niewiernych na równi z poganami i gdyby Polska była uznała schyzmę na Litwie, dopieroż mieliby Krzyżacy sposobność do rozrzucania paszkwilów po całym świecie. I to już było zasługą, że się wstrzymywano od prześladowania schyzmy, od nawracania gwałtem.

Przywilej wileński z r. 1387 tyczył się tylko świeżo ochrzczonych Litwinów; nie dotykał w niczem Rusinów. Ci mieli od dawna i własność dziedziczną i pewną organizacyę społeczną, której nikt im nie odbierał; przeciwnie, uwolnieni już od tatarskiego jarzma, mogli się teraz swobodniej rozwijać. Wyżsi w cywilizacyi od Litwinów, wywierali znaczny wpływ, zwłaszcza na zamożniejszych, a dwór Jagiełły urządzony był po rusku. Sam król najchętniej używał języka ruskiego; toteż mowa ruska stała się językiem dworskim w Polsce, a w katedrze na Wawelu nową kaplicę malowali ruscy malarze na sposób bizantyński.

Najbliższa Polski Ruś Czerwona stała też najwyżej w cywilizacyi i najprędzej przystosowała się do nowych warunków, wynikających z połączenia z Polską.

SPOŁECZEŃSTWO RUSKIE.

Na Rusi było społeczeństwo zorganizowane na zasadach prawa, które zwano: „służskie“, bo polegało na tem, że — prócz monarchy i najniższego ludu — każdy jest czyimś sługą i sam ma sługę pod sobą. Ustrój społeczny polegał na wzajemnych służbach, na zależności, lecz połączonej ściśle z obowiązkiem wzajemnej obrony. Było to (w głównych zarysach) to samo, co w zachodniej Europie zwało się feudalizmem lub prawem lennem, a co w Polsce rzadko się pojawiało, nieznane prawie poza stosunkami książąt dzielnicowych (n. p. teraz Opolczyka i książąt mazowieckich) do

króla. Ruskie prawo służskie nakładało jednak znacznie więcej obowiązków, niż zachodnie lenne, wymagało rozmaitych służebności i świadczeń bez ustanku. Można powiedzieć, że tam wyższy żył kosztem niższego, a najzamożniejsi mogli rozszerzać coraz bardziej swe wpływy i władzę. Ziemi dużo stało pustką. Dostawała się ona od króla Kazimierza Wielkiego, od węgierskich starostów i od Opolczyka tylko bogaczom, bo do zagospodarowania pustki trzeba było kapitału. Obdarzony nadaniem przez króla stawał się też bezpośrednio Korony lennikiem i nie był od nikogo zresztą zależny; możnowładzcy ruscy nie dopuściliby, żeby się to dostało komuś, nienależącemu do ich rodów, komuś z dalszej służskiej warstwy, boby to było też wyłomem w prawie służskiem i obejściem go. Nie zamierzano zaś Rusi odbierać prawa ruskiego, nie zamierzano polskiego narzucać; a tak postępując oględnie, doczekano się tego, że ona sama go zażądała. Pozostawiono więc wszystkie lenna z drugiej ręki, t. z. maństwa, które brali bojarowie od możnowładców, stając się przez to ich „służkami“ i podlegając ich sądownictwu, a nie królewskiemu. Przez tę lenną zależność odróżniało się prawnie bojarstwo uboższe od bogatszego; powstali bojarowie wyżsi i t. zw. rzędowi. Niesposób było przejść z rzędowego do możnowładców, bo się było raz na zawsze skrępowanym prawem służskiem. Toteż ziemie ruskie, a zwłaszcza Ruś Czerwona, Wołyń i Podole stały się hodownikami możnowładztwa, co w dalszym ciągu historyi wypadnie jeszcze nieraz przypomnieć. Zanim tu zdołano wprowadzić prawo polskie, możni bojarowie tak się wzmogli, że rzędowi nie znaczyli już nic przy nich i pozostała na zawsze tak wielka różnica materyalna pomiędzy ich potomkami, że o zrównaniu ich nie mogło już być mowy.

Ludu wolnego na Rusi było bardzo niewiele. Byli to potomkowie tych właścicieli gruntów, którzy nie chcąc służyć wojskowo, nie zostali bojarami. Gdy się jednak rozszerzała coraz bardziej organizacya służska, garnęli się i oni do niej z konieczności, bo inaczej znaleźliby się poza prawem, bez ciężarów wprawdzie, ale też i bez opieki. Toteż pozamieniali się na danników i służebników bojarskich, zachowując jednak osobistą wolność. Za polskich rządów poprzechodzili do warstwy bojarstwa rzędowego, bo gdy zaczęła się kolonizacya rolnicza na pustkach, łatwo było o maństwo od możnowładców; a tym obojętne było, czy posiadacz mań-

stwa od bojarów się wywodzi, czy z chłopów, byle czynił zadość swym zobowiązaniom. Reszta wolnego ludu przeszła do bojarstwa; a gdy potem stan bojarski zrównał się w prawach z polską szlachtą, zaroiło się na Rusi od drobnej szlachty, a lud wolny zniknął w ten sposób całkiem.

Dużo było na Rusi ludu niewolnego, przywiązanego do gleby, nie mającego prawa do swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Pod tym względem panowały nawet na Czerwonej Rusi jeszcze około roku 1400 stosunki takie, jak w Polsce za Krzywoustego. Ale wpływ polski miał i tu niezadługo wprowadzić zmiany.

Pozyskawszy polską koronę, nie trwożył się już Jagiełło o los Litwy i nie myślał poddawać jej Krzyżakom, a Ruś przestawała być tylko schronieniem dla dynastyi. Nie zrzekał się jednak dawnych planów, żeby zagarnąć Ruś całą i zdobyć w końcu Moskwę. Panowanie Jagiełły było najrozleglejsze w całej Europie, on zaś snuł plany jeszcze rozleglejsze i marzył o wielkich zdobyczach na wschodzie, podczas gdy równocześnie Polacy pragnęli użyć jego berła do odzyskania utraconych na zachodzie krain. Polska stanęła na przełomie, mając przed sobą dwie drogi do wyboru, zachodnią politykę lub wschodnią, pomiędzy któremi nieraz jej jeszcze przyszło się zawahać.

Społeczeństwo polskie wchodziło w bliższą styczność z dwoma innemi, zupełnie odmiennemi, litewskiem i ruskiem, i z odmienną formą rządów. Ludność Litwy i Rusi nie miała żadnych praw politycznych, wszelkie urządzenia państwowe były tam społeczeństwu narzucone jeszcze przez dynastyę. W Polsce ten okres dziejów dawno już minął, a podczas bezkrólewia po śmierci króla Ludwika społeczeństwo samo zupełnie się rządziło, od tronu zaś wymagało, żeby się stosował do jego woli. Dużo musiało upłynąć czasu, nim te społeczeństwa, tak różne, potrafią się zrozumieć; na razie były same tylko sprzeczności. Litwa, przyjmując katolicyzm, przez to samo stawała bliżej Polski i poddawała się zachodniej kulturze; ale Ruś ulegała bizantyńskiej. Część tylko Rusi należała do Polski (Ruś Czerwona), reszta do Litwy i tam miał Jagiełło władzę absolutną, ale nie wykonywał jej nawet sam, lecz przez podległych sobie książąt lennych. Nie było więc nawet jednolitej polityki co do Rusi i każda ziemia ruska podlegać mogła innemu wpływowi tak pod politycznym względem, jako też społecznym. Na sposób rzą-

dzenia wszystkiemi temi ruskiemi ziemiami, które dopiero przez osobę Jagiełły łączyły się pośrednio z Polską, nie mieli Polacy żadnego wpływu. W stosunkach ze schyzmą trzymali się Polacy na podległej sobie Rusi Czerwonej stale polityki wszczętej za Kazimierza Wielkiego, żeby cerkwi nietylko nie prześladować, ale opiekować się nią tak samo, jak katolicką organizacyą. Ale Litwa nie mogła i nie chciała jeszcze uznać równouprawnienia; tamci Rusini musieliby się o nie dopiero dobijać. Obowiązkiem dziejowym Polski stawało się wywierać w tym kierunku wpływ na Litwę. Otwierała się Polsce droga do wielkich zasług, żeby się stać dla wschodu szafarką cywilizacyi i nieść tam kulturę zachodnią, lecz nie narzucać jej przemocą.

Ręka królowej Jadwigi, ofiarowana Jagielle z pokornem poddaniem się woli Bożej dla rozszerzenia wiary, czuwała nadal nad temi wschodniemi ziemiami i nie jedno im jeszcze wyświadczyła dobrodziejstwo. Zbawieniu Litwy poświęciła swe życie, w którem nie brakło i nadal przykrych doświadczeń. Wśród ciężkich warunków doskonaliła się coraz bardziej ta wielka dobrodziejka Polski i Litwy, najzacniejsza pani całego chrześcijanstwa. Wzniosła się ona duchowo tak wysoko, że już za życia uważano ją za świętą, a gdy zakończyła życie w roku 1399, odbywano pielgrzymki do jej grobu i opowiadano o cudach, zdziałanych za jej wstawiennictwem. Jest to niezrozumiałą rzeczą i stanowi to winę zaniedbania z naszej strony, że nie poczyniono starań o kanonizacyę świątobliwej królowej. Miejmy nadzieję, że będzie to jeszcze naprawione i że ujrzymy kiedyś podniesioną na ołtarze cześć naszej królowej.

ROZDZIAŁ II.

POGROM NIEMCÓW.

ZAMACH WITOŁDA.

Rządy swe rozpoczął Jagiełło od starań o pokój z Zakonem, żeby mógł zwrócić całe swe siły na Ruś; zamierzał mianowicie zapewnić sobie wpływ w potężnym Wielkim Nowogrodzie, a następnie w Pskowie, zanimby rozpoczął stanowczą rozprawę z Moskwą. Chociaż Krzyżacy wyprawiali się na Żmujdź w r. 1388 i 1389, rokował król z nimi ciągle o pokój. Na zjeździe w Niedzborku, na Zielone Świątki 1389 roku, żądali już Krzyżacy Żmujdzi na zastaw szczerości nawrócenia się Jagiełły, twierdzili, że biskupem wileńskim może być tylko kapłan z ich Zakonu, mówili też już o pięciu nadaniach Mendoga i o różnych cesarskich. Ówczesni panowie polscy zerwali zjazd, ale Skirgiełło, zaufany brat Jagiełły, układał się z nimi dalej; dopiero Witołd niespodzianym zwrotem przerwał tę politykę.

Jagiełło nie ufał spadkobiercy Kiejstuta, trzymał go zdala od Litwy, w Łucku na Wołyniu, i nie chciał mu oddać Wielkiego księstwa Trockiego. W odwet za to postanowił Witołd wyzuć stryjecznego brata w ogóle z panowania nad Litwą i przygotowywał sobie zawczasu przyjaźń wrogów Jagiełły: Moskwy i Zakonu. Córkę swą zaręczył z kniaziewiczem moskiewskim, Wasylem; Krzyżaków zaś był tem pewniejszy, że pokonanie Jagiełły byłoby zarazem zerwaniem związku Litwy z Polską. Kiedy Skirgiełło umawiał się z Krzyżakami o nowy zjazd do Działdowa w listopadzie 1389 r., oni mieli już tajną umowę z Witołdem.

Zamach Witołda na Wilno nie udał się wprawdzie, ale wkrótce zajęli Krzyżacy Grodno, a Witołd uznał się lennikiem Zakonu. Teraz musiał Jagiełło wyrzec się ruskich planów, a wojować z Krzyżakami. Za pośrednictwem legatów nowego papieża rzymskiego, Bonifacego IX., zawarto rozejm do listopada 1390 r., ale Krzyżacy sami go zerwali i już w sierpniu wyprawili się pod Wilno. Szczęściem zaopatrzono litewską stolicę z Polski w żołnierza i żywność tak świetnie, że Krzyżacy z końcem października 1390 r., wracali do domu z niczem. Polegli wtenczas pod Wilnem dwaj książęta litewscy: brat Jagiełły Korygiełło (Kazimierz) i brat Witołda Towciwiłł (Konrad).

Jednocześnie odbywała się wyprawa na Psków, po której Jagiełło wiele się spodziewał.

Psków i Nowogród, handlem wzbogacone miasta, panowały nad obszernemi krainami, a państwa ich miały ustrój republikański, wyjątkowem na Rusi zjawiskiem oparte na społeczeństwie, a nie na dynastyczności. Wielki Nowogród dzielił się na pięć gmin, zwanych po rusku „końcami“, których najzamożniejsze rody tworzyły radę rządzącą. Wykonawcami uchwał rady byli urzędnicy, zwani posadnikami, po jednym z każdego końca, wybierani na czas ograniczony. Każdy z osobna zawisłym był od rady, razem w pięciu nie tworzyli oni wcale żadnej władzy. Rzeczpospolita trzymała wojsko i miała szereg warownych grodów, ale nie było wyższego urzędu wojskowego nad tysiączników, tylko w razie potrzeby mianowała rada na każdy raz osobno wodzów. W pierwszej połowie XIV-go wieku zawisłym był Wielki Nowogród przez jakiś czas wielce od Moskwy, ale za czasów Władysława Jagiełły cieszył się zupełną swobodą. Kłaniał się sprytnie na obie strony, a dla miłej zgody dawał na swojej ziemi utrzymanie jakiemu krewniakowi moskiewskiego lub litewskiego Wielkiego Księcia. Spłacali niejako okup w tej formie. Nazywało się to zupełnie urzędowo przyjęciem kniazia *na kormlenije* (na utrzymanie). Wyznaczono mu na to „karmienie“ jaki gród, czasem kilka gródków, gdzieś daleko od stolicy. Kniaź taki nietylko nie miał żadnej władzy, żadnego zgoła stanowiska w ustroju państwowym, ale nawet nie przebywał nigdy w rządzącem mieście. Zdarzało się czasem — ale rzadko — że takiemu kniaziowi poruczono na wojnie dowództwo jakiego oddziału;

był on natenczas na służbie Rzeczypospolitej, a nie naczelnikiem jej. Bywały też lata, że żadnego kniazia nie „karmili".

W r. 1388 otrzymał tam „kormlenje" Lingwen, brat Jagiełły, schyzmatyk, ochrzczony imieniem Szymona. Równocześnie miał w Pskowie „kormlenje" syn Andrzeja połockiego. Lingwen miał polecone wywołać wojnę z Pskowem, podczas tej wojny uchwycić w swe ręce władzę nad Nowogrodem, znieść ustrój republikański i samemu zostać księciem panującym pod lennem zwierzchnictwem Jagiełły. Kazał też Jagiełło z góry złożyć Lingwenowi hołd z Nowogrodu. Przewidując, że to rozszerzenie jego panowania może wywołać wojnę z Moskwą, upewnił się też co do książąt pomiędzy Dnieprem a Desną. Lingwenowi darzyło się w Nowogrodzie; w wyprawie na Psków otrzymał wyłączne dowództwo całego wojska. Wyprawa się powiodła, Psków był upokorzony, ale Jagiełło nie mógł z tego korzystać, zajęty obroną Wilna.

W ciągu pięciu lat miała Polska przez Litwę cztery wojny: smoleńską, połocką i dwie z Krzyżakami. Pochłaniało to część sił polskich, a nie dawało żadnych korzyści, gdyż z powodu ciągłych zamieszek i waśni dynastycznych nie można było przejść do wojny zaczepnej z Zakonem; co więcej, było już widocznem, że Litwa, mając swoje dalekie wschodnie interesy, nie będzie skłonna do takiej wojny zaczepnej przeciw Krzyżakom. Wobec tego powstało stronnictwo, z Sędziwojem z Szubina na czele, które pragnęło przywrócić Litwie samoistność państwową, żeby był osobny Wielki Książę litewski, jako lennik króla polskiego, żeby litewskie sprawy nie musiały zajmować ciągle uwagi Polaków. Istotnie było to niemożliwem w ówczesnych stosunkach, żeby jeden rząd dopilnował należycie wszystkiego na przestrzeni od Ślązka do Moskwy! Wielkim księciem Litwy miał zostać Wigunt (Aleksander), rodzony brat Jagiełły, książę kierniowski, katolik. Ale sprzeciwili się temu Jagiełło i Skirgiełło, a gdy niebawem Wigunt umarł, nie szukano zrazu innego kandydata.

Tymczasem zawrzała na nowo wojna w sierpniu 1391 roku. Z początkiem grudnia był już cały bieg Niemna od Kowna do Grodna w ręku Zakonu i Witołda. W tym samym czasie posunęli się Krzyżacy znacznie w Polsce, nie potrzebując nawet wojny wypowiadać. Oto Władysław Opolczyk zastawił im ziemię dobrzyńską, którą miał lennem jeszcze od króla Ludwika. Zakon, uważając za

króla polskiego nie Jagiełłę, lecz Zygmunta Luksemburczyka, udał się do niego po zatwierdzenie zastawu, a w roku 1392 kupił od Zygmunta nietylko ziemię dobrzyńską, ale nadto jeszcze Kujawy. Zygmuntowi łatwo było sprzedawać, czego sam nigdy nie posiadał.

Zygmunt Luksemburczyk wystąpił z projektem — rozbioru Polski! Rozbioru mieli dokonać Luksemburgowie: Zygmunt węgierski, Wacław czeski, Jodok morawski, Jan Zgorzelicki, Zakon Krzyżacki i Albrecht rakuski, stryj Wilhelma. Plan był niewykonalny, bo nie da się rozebrać państwo, którego obywatele płacą podatki, do wojny się nie lenią (nawet w litewskich grodach były polskie załogi) i do oświaty się garną. O taki zupełny upadek polskiego państwa nie mogło być obawy, ale wojna z trzech stron naraz byłaby bądźcobądź groźną. A właśnie na św. Marcin 1392 roku kończyło się zawieszenie broni, zawarte z królem węgierskim w roku 1388.

Wśród takich okoliczności postanowiono na zjeździe dostojników polskich w Piotrkowie, z początkiem maja 1392 roku, żeby przejednać Witołda i jemu ofiarować godność Wielkiego księcia litewskiego, pod lennem zwierzchnictwem Jagiełły, jako króla polskiego. Przystał na to Jagiełło, bo nie było innego sposobu na zażegnanie tylu trudności; nie można było dłużej znosić rozdwojenia na Litwie. Z końcem czerwca 1392 roku opuścił Witołd Krzyżaków, a w sierpniu 1392 r. uznał się lennikiem korony polskiej. Otrzymywał godność wielkoksiążęcą nie dziedzicznie, lecz tylko dożywotnio.

NIEDOSZŁA WOJNA Z ZAKONEM.

Sądzono w Polsce, że skoro na Litwie wszystko już w porządku, będzie można zwrócić się wspólnie z litewskim lennikiem przeciw Krzyżakom i odebrać choćby ziemię dobrzyńską, jeżeli nie Pomorze gdańskie, i czyniono przygotowania do wojny zaczepnej. Witołd jednak pragnął pokoju z Zakonem, bo sobie ułożył inny plan polityczny: Najpierw rzucić się w sojuszu z Moskwą na Tatarów i resztę Rusi uwolnić od ich jarzma; następnie otoczywszy tak swe imię urokiem wybawiciela i wzmógłszy swą potęgę, zwrócić się przeciw Moskwie i spełnić plan Olgierda; w końcu dopiero, posiadłszy już Ruś całą, rozprawić się z Krzyżakami. Poob-

sadzał więc swymi poplecznikami te księstwa ruskie, które były bliżej Tatarów i Moskwy, a z Zakonem starał się usilnie o pokój.

Latem 1393 r. poczęto w Polsce czynić na nowo przygotowania do wojny zaczepnej z Krzyżakami. Jagiełło porozumiał się z prześladowanymi przez Zakon biskupami inflanckimi, z biskupem dorpackim Damerauem i arcybiskupem ryskim, Sintenem. Zawarł też sojusz z książętami szczecińskimi, Bogusławem i Świętoborem. Czternastoletni syn Świętobora, Otto, przeznaczony był na arcybiskupa ryskiego, gdy Sinten zrzekł się tej godności, zrażony dokuczliwościami Krzyżaków. Tymczasem odbyły się jednak jesienią 1392 r. i w styczniu 1393 r. dwie mniejsze wyprawy krzyżackie na Litwę, które oni „rejzami“ zwali, a w roku 1394 trzy: w styczniu, w marcu i w lipcu; ta ostatnia dotarła aż pod Wilno. Nie ufali Witołdowi, bo ich już dwa razy zdradził, a wyprawami temi dawali mu się ciężko we znaki. W r. 1394 była znowu wojna Wielkiego Nowogrodu z Pskowem, a „rejza“ przeszkodziła Witołdowi posłać Nowogrodzianom posiłki. Tem goręcej pragnął pokoju z Zakonem, gotów go zawrzeć wbrew Jagielle i Polsce. Polakom udało się zerwać sojusz dynastyi luksemburskiej z Krzyżakami. Gdy w maju 1395 roku umarła królowa węgierska Marya, zaczęto się z Polski odgrażać Zygmuntowi Luksemburczykowi, że królowa Jadwiga wystąpi z roszczeniami do węgierskiej korony, jako do spadku po ojcu i siostrze, a za odstąpienie tych praw zażądano, żeby Zygmunt odstąpił Krzyżaków. Starszy brat Zygmunta, cesarz i król czeski, Wacław, zajął nawet posiadłości krzyżackie w Czechach i na Morawach i poruczył Jagielle opiekę nad arcybiskupstwem ryskiem, dokąd Jagiełło wprowadzić pragnął wroga Zakonu, księcia szczecińskiego. W Krakowie ogłoszono uroczyście dnia 10 czerwca 1395 r. sojusz Jagiełły z Wacławem. Dzięki roztropnej polityce polskiej był już Zakon zewsząd osaczony w roku 1395, gdy właśnie Witołd zapragnął z nim nie wojny, lecz przymierza. Jagiełło dwa razy zakazał mu jakichkolwiek układów z Krzyżakami, zmusił go nawet do wystawienia dokumentu w marcu 1396 roku na sojusz z Damerauem i Ottonem szczecińskim, ale z tego ten tylko był skutek, że Witołd był ostrożniejszy i umówił się z Krzyżakami, jak z konieczności będzie udawać, że się do wojny z nimi gotuje. Udawał też posłuszeństwo Jagielle do czasu, a w rzeczywistości zdradzał Krzyżakom plany polskiej polityki. Mając w roku 1395 spokój od Krzyżaków,

wyzyskał ten czas doskonale, zająwszy we wrześniu 1395 roku cały obszar Wielkiego Księstwa Smoleńskiego.

Wojna z Zakonem miała się rozpocząć w sierpniu 1396 roku. Wojsko polskie miało ruszyć pod Jagiełłą na Dobrzyń, a Witołd miał wtargnąć przez Kurlandyę do posiadłości arcybiskupstwa ryskiego i zająć je na rzecz Ottona szczecińskiego. Gdy w Polsce czekano na wiadomości wojenne z Litwy, on tymczasem, jeszcze dnia 22 lipca 1396 r. układał się z Krzyżakami na ostrowie rzeki Dubissy. Niespodzianie przyjechał Jagiełło, a jechał z szalonym pospiechem. Jeszcze dnia 15-go lipca był król w Starej Wsi na karpackiem Pogórzu, a już przed 22 lipca byli na Litwie jego gońcy i on sam niebawem. Na zjazd z Krzyżakami wyprawił polskich pełnomocników, a Witołda zmusił, że dnia 28 lipca wyprawił jeden oddział wojska na Inflanty. Ale też tego samego dnia zobowiązał się Witołd Krzyżakom, że już nie przepuści ani jednego żołnierza; co więcej, zaraz zawarł z nimi rozejm i umówił się o nowy zjazd na 29 września i to tak, żeby przysłano wzajemnie pełnomocników z nieograniczonem pełnomocnictwem. A zjazd ten odbył się pomimo czujności Polaków. Korzystając z rozejmu, wyprawił się na Rjazań, a zaraz potem zjechał się w Kołomnie ze swym zięciem, Wielkim Księciem moskiewskim. Tak każdą wolną chwilę poświęcał wytrwale polityce ruskiej.

Nie można było wojować z Witołdem, bo miałby pomoc Zakonu, a w wojnie tej mogłaby się rozerwać drogocenna unia z Litwą. Na Pomorzu wypowiedzieli Krzyżakom wojnę nietylko szczecińscy książęta, ale też meklemburscy, z Wismaru, Roztoki i Stargardu. W Inflanciech była już wojna, ale bez udziału Polski i Litwy. Wobec oporu Witołda nie było innej rady, jak zawierać pokój z Zakonem. A Witołd przystawał już na krzyżackie warunki. Z wiosną 1393 roku sfałszowali byli Krzyżacy dokumenty, mające wykazywać, że nietylko cała Litwa jest ich lennem, a Żmujdź własnością, ale nadto jeszcze należy im się Psków i kraina, zwana przez nich Watland, a będąca pod władzą Wielkiego Nowogrodu. Nadto pod pozorem, że prawy chrześcijański monarcha powinien uznawać zwierzchność chrześcijańskiego cesarza, żądano, żeby Witołd uznał się lennikiem cesarza niemieckiego; byłoby to zaś w rzeczy samej zerwaniem lennego związku z Polską. Dowiedziawszy się o tem Jagiełło, kazał to wykreślić, a wstawić natomiast artykuł o zwrot

ziemi Dobrzyńskiej. Jeszcze Witołd nie śmiał zrywać otwarcie z Jagiełłą, jeszcze politykował i wykręcał się tak zręcznie, że chwilami trudno poznać, kogo oszukiwał: czy Krzyżaków, czy Polaków. Ale Krzyżacy poczynali sobie coraz śmielej, pewni widocznie, że wojny nie będzie. Przewlekały się układy przez cały r. 1397, potem miał się 1398 r. odbyć zjazd w Gnieźnie i godzono się już na pośrednictwo króla Zygmunta; ale w kwietniu 1398 roku zawarł Witołd samodzielnie rozejm. Natenczas uproszono królowę Jadwigę, żeby przypomniała Witołdowi, że jest lennikiem polskiej korony. Zrobiono to w tej formie, że upomniano się o hołd z części Podola, którą Witołd zagarnął pod swą bezpośrednią władzę, usunąwszy stamtąd dzielnicowego księcia. Witołd hołdu odmówił i niczem się już nie krępował, bo tymczasem dojrzały już jego tajne układy z Zakonem.

Dnia 12 października 1398 r. zawarł Witołd na niemeńskim ostrowie, Salinem zwanym, stały pokój z Zakonem. Odstępował im Żmujdź, przyznawał im prawa do Pskowa i Watlandu, uznawał się lennikiem cesarstwa niemieckiego i przyrzekał, że nie dostarczy Polsce nigdy posiłków przeciw Zakonowi. Witołd był politykiem bez skrupułu; przystawał na wszystko, bo niczego nie myślał dotrzymać, byle tylko mieć kilka lat spokoju na wojnę tatarską, a potem na moskiewską. Jest tradycya, że królowa Jadwiga przepowiadała mu, że wyprawa tatarska źle się skończy.

Przepowiednia spełniła się. Dnia 12 sierpnia 1399 roku stoczono bitwę walną w 80.000 zbrojnych na dalekim wschodzie, nad rzeką Worsklą. Do walki z pogaństwem stanął też hufiec ochotników polskich, pod wodzą Spytka z Melsztyna, który miał lennem połowę Podola. Przybyło też na pole walki stu Krzyżaków; jedyny to raz, że wojowali z Tatarami! Poległo tam 74 książąt litewskich i ruskich, zginął Spytek z Melsztyna, z polskich ochotników i z krzyżackiego hufca ledwie kilkunastu wróciło do domu.

Tatarzy nie byli pokonani, unia z Polską zerwana, a Żmujdź stracona bez korzyści. Żmujdzini nie chcieli się poddać krzyżackiemu panowaniu; cztery wyprawy zamieniły cały ten kraj w zgliszcza. Zakon — nawracał!

W tym stanie rzeczy wznawia Witołd unię z Polską. W roku 1401, w unii zawartej w Wilnie, przyjmował Jagiełło Witołda do udziału w rządach za wiedzą i zezwoleniem panów polskich, którzy

zaręczali, że gdyby Witołd przeżył Jagiełłę, nie wybiorą sobie nowego króla bez porady i zgody Witołdowej. Zaprowadzono więc współrządztwo Jagiełły i Witołda nad Polską i Litwą. Witołd uznawał się na nowo lennikiem Korony polskiej i dożywotnim tylko, a nie dziedzicznym, Wielkim księciem litewskim.

Krzyżacy znaleźli sobie jednak nowego wichrzyciela w osobie najmłodszego brata Jagiełły, Świdrygiełły, ochrzczonego w r. 1386 imieniem Bolesława, katolika. Wichrzył on już przedtem w r. 1392 i 1396, ale bezskutecznie. W styczniu 1402 roku zbiegł jednak do Krzyżaków, uznany zaraz przez nich „dziedzicem Litwy i Rusi". W lipcu 1402 r. stanęli Krzyżacy po raz trzeci pod murami Wilna. Nie zdobyli grodu, a Witołd odpłacił strasznym najazdem na Inflanty. Groziło pomimo to poważne niebezpieczeństwo, gdyby się ta wojna miała co roku odnawiać w towarzystwie Świdrygiełły. Siły Witołda były teraz i tak znacznie osłabione. Zaraz po przegranej nad Worsklą zrzucił Smoleńsk jego panowanie i odzyskał zupełną niepodległość, a teraz Świdrygiełło zobowiązywał się wyraźną umową, że gdyby on Litwą rządził, pozostawi Psków Zakonowi. Próby odzyskania Smoleńska nie powiodły się, a nadto trzeba było wojować ponownie z Rjazaniem w roku 1402. Świdrygiełło bowiem umyślił sobie podburzyć przeciw Witołdowi wszystkich książąt ruskich, i choć sam ze chrztu katolik, podniecić do buntu schyzmatyków przeciw katolickiemu panowaniu. Żeby tylko Zakon przestał zajmować się Świdrygiełłą, gotowi byli nietylko sam Witołd, ale też Jagiełło zawrzeć z nimi pokój. W ten sposób zawarto pokój w Raciążku dnia 22 maja 1404 roku. Przyznano Zakonowi Żmujdź. Wszak Zakon miał na to dokumenty już z r. 1382 od Jagiełły i z r. 1398 od Witołda, a teraz nie chciał nawet słyszeć o pokoju bez tego warunku! Z polskiej strony zatwierdzono na nowo pokój Kaliski z r. 1343. Ziemię Dobrzyńską musiała sobie Polska wykupić za 40.000 dukatów, na co szlachta polska obłożyła się dobrowolnie sześciokrotnym podatkiem, płacąc w tym roku po 12 groszy z łanu.

Tak przez dynastyczne niezgody Gedyminowiców nietylko nie można było spełnić celu unii, t. j. podjąć wspólnej wielkiej wojny z Krzyżakami, ale jeszcze trzeba im było ustępować. Świdrygiełło wracał na wschodnie Podole, ale zachowano tę ostrożność, że przydano mu polskich starostów po grodach.

WZNOWIENIE UNIWERSYTETU (1400).

Chcąc Litwę i Ruś zespolić ściślej z Polską, należało nieść tam na wschód nieustannie światło wiary i cywilizacyi, a przytem rozumieć należycie te rozmaite stosunki od Czudzkiego jeziora aż po czarnomorskie stepy i poznać się na zmienionem teraz stanowisku Polski w Europie, a znać też dobrze europejskie stosunki wogóle. Tylko uczeni mogli sprostać temu zadaniu. Już za Kazimierza Wielkiego pierwszymi doradcami tronu byli uczeni mężowie, którzy na zagranicznych uniwersytetach posiedli naukę i sam ten wielki monarcha założył uniwersytet w Krakowie w roku 1364. Był on tem potrzebniejszy teraz, gdy trzeba było mieć więcej kapłanów do pracy na Litwie i Rusi, więcej szkół, żeby się do nich garnęła litewska i ruska młodzież.

Uniwersytet krakowski miał się stać cywilizacyjnym łącznikiem Polski z Litwą i z Rusią; w tej-to głównej Szkole całego państwa miano uprawiać nauki z tą myślą, żeby je potem szerzyć na wschodzie wraz z przywiązaniem do katolickiego Kościoła.

Z Kościoła wyszła wszelka nauka; i za Władysława Jagiełły poświęcali się uczonym zawodom ciągle jeszcze sami tylko księża. Teologia była więc oczywiście ich celem, a wszystko inne tylko szczeblem do tego szczytu ówczesnego wykształcenia. Prócz teologii ledwie tylko dwie nauki zdołały wybić się o tyle, że uważano je nie za środek do poduczania chłopców, ale za stosowne dla ludzi dojrzałych i wymagające też dojrzałego umysłu, a to: prawo i medycyna, te właśnie dwie nauki, które do praktycznego życia były niezbędne. Utworzono też dla nich, ale tylko dla nich, osobne wydziały na uniwersytetach i można było zdawać z nich najwyższy egzamin, doktorat, tak samo, jak z teologii. Wszystkie zaś inne nauki były wykładane tylko dla chłopców młodszych, o tyle tylko, o ile za młody jeszcze umysł objąć mógł ledwie cząstkę jakąś z nich, tak mniej więcej, jak dziś w szkole średniej, w gimnazyum, z którego nikt nie wychodzi jeszcze uczonym, a tylko nabywa średniego wykształcenia ogólnego i ma sposobność do nauki się przyzwyczaić. Oprócz prawa i medycyny były wszystkie świeckie nauki zebrane w szkole przygotowawczej, która znaczyła właśnie to samo, co dzisiaj gimnazyum; ale ta szkoła zostawała pod zarządem uniwersytetu i we wszystkiem do niego należała. Zwano

ją „wydziałem nauk wyzwolonych“, a także „sztuk wyzwolonych“ *(artes liberales)*, lub nawet krótko: „sztuk“, czyli z łacińska: „wydziałem artystów“. Wyrażenie „wyzwolone“ pochodziło jeszcze ze starożytności, kiedy to chciano tą nazwą zaznaczyć, że tylko nauka i sztuka są zajęciami godnemi człowieka wolnego, a pracę fizyczną pozostawiano niewolnikom.

Od tego-to wydziału zaczynano wszędzie zakładanie uniwersytetów i tak samo zaczął Kazimierz Wielki w Krakowie w r. 1364. Dopiero po kilku latach — czterech do pięciu — gdy już zebrało się trochę studentów, którzy pozdawali pierwszy egzamin, t. z. bakałarstwo wyzwolone (jak dzisiaj matura) i mieli prawo pójść na wydział prawniczy lub medyczny, można było pomyśleć o właściwym uniwersytecie. Król zaczął od prawa i zaczęto też w pokojach na Wawelu, obok królewskiego zamku, wykładać prawo kościelne, kanoniczne, którego znajomości wymagano, nim ktoś mógł się zapisać na teologię. Trzeba było poczekać znowu kilka lat, nimby było dla kogo zakładać wydział teologiczny. Papieże udzielając zezwolenia na założenie uniwersytetu, nie dawali go też odrazu na teologię i nie dostał go też Kazimierz Wielki. Trzeba było dopiero wykazać się w Rzymie, że już się rozwinęły należycie wydziały „wyzwolonych“ i przynajmniej prawa kanonicznego, że im nie brakuje ani studentów, ani profesorów; wtenczas dopiero zezwalał papież uzupełnić uniwersytet wydziałem najwyższym, teologicznym.

Kazimierz Wielki patrzał ojcowskiem okiem na pomyślne początki polskiej Szkoły głównej. Przy kościele N. M. Panny roiło się już od młodzieży żądnej „wyzwolenia“, coraz więcej takich wyzwolonych przechodziło na zamek poznawać prawo kościelne. Rozszerzył król wydział prawniczy, przybyła nauka dawnego cesarskiego prawa rzymskiego. Teraz kolej na medycynę i na przygotowania do otwarcia teologii. Zaczęto wznosić gmach dla całego uniwersytetu; kazał król stawiać wielki budynek w ulubionem swem mieście, Kazimierzu, na miejscu zwanem „Bawołem“. Ledwie jednak fundamenta wzniesiono, przecięła śmierć pasmo żywota wielkiego monarchy, Polski dobrodzieja. Wiemy już, co się działo po jego śmierci, jak ciężkie nastały czasy. Król Ludwik o Polskę się nie troszczył i ani mu w głowie postało pracować dalej około tak pięknie rozpoczętego dzieła. Przerwano nawet roboty około gmachu na Bawole, skończyło się na samych tylko fundamentach i budowla ta

nigdy nie stanęła. Pozostał tylko wydział nauk wyzwolonych. Nie brakło mu uczniów, ale na dalsze nauki trzeba było jeździć za granicę, bo nawet prawniczy wydział stracił wartość, odkąd zniknęła nadzieja, że się go będzie ciągle rozszerzać aż do należytego uzupełnienia. Ale ów wydział przygotowawczy miał już wielką wartość. Skoroby się znalazł monarcha, opiekujący się tą sprawą, można było każdej chwili odnowić uniwersytet, bo początek był już zrobiony, było pozwolenie papieskie i byli gotowi do dalszej nauki „bakałarze nauk wyzwolonych". Nie brakło w Polsce mężów, którzy pamiętali o tem dziele, ale niewsparci powagą Korony, nie mogli nic robić.

Wkrótce doczekano się poparcia. Ta węgierska królewna, a po matce wnuczka Łokietka, królowa Jadwiga, która przybyła do Polski niemal dzieckiem, 13-letnia, posiadała sama bardzo wielkie wykształcenie, a umysł jej dojrzewał nad wszelkie spodziewanie. Zrozumiała doskonale, jak bardzo Polsce zależy na uniwersytecie; do wielkich dobrodziejstw, któremi obsypała Polskę, dodała jeszcze i to pierwszorzędne, że się zajęła gorliwie wznowieniem naszego uniwersytetu. Skoro już złożyła swe serce w ofierze tej myśli zbożnej, żeby Wschód Europy przyłączyć do katolickiej, zachodniej cywilizacyi, chciała, żeby ta ofiara była zupełną, żeby Polska miała też główne narzędzie do tej misyi dziejowej: naukę i zastęp uczonych.

Władysław Jagiełło okazał się godnym polskiego tronu i takiej małżonki; i jemu również misye wschodnie między schyzmatykami leżały na sercu. W roku 1390 sprowadza królewska para z Pragi Benedyktynów obrządku słowiańskiego i funduje dla nich kościół i klasztor na Kleparzu (ulica ta zowie się dziś Słowiańską), żeby się tu krzewili i stąd szli na Ruś, która do słowiańskiego obrządku była tak przywiązana. Oprócz tego przybyło w tych latach z Pragi na dwór królewski dwóch uczonych kapłanów: mnich reguły Premonostratensów, Hieronim z Pragi, doktor prawa kanonicznego, spowiednik Jagiełły, który zajął się gorliwie pracą misyonarską na wschodzie, i Cysters Jan ze Sztiekna, spowiednik królowej Jadwigi, słynny kaznodzieja. Tym dwom Czechom wiele zawdzięczamy; za nimi zaczęli przybywać inni, wykształceni w uniwersytecie w Pradze i zaczął się ożywiony związek i wymiana myśli pomiędzy polską a czeską inteligencyą. Minęły czasy, kiedy to państwo Piastów współzawodniczyło z państwem Przemyślidów; na-

staje okres serdecznej przyjaźni Czechów z Polakami, przyjaźni ugruntowanej przez uczonych, zmierzającej do wspólnej pracy nad podniesieniem cywilizacyi w Słowiańszczyźnie i do wspólnej obrony przed niemiecką zachłannością. Z polskiej strony był głównym łącznikiem z Czechami sławny Mateusz z Krakowa, który na praskim uniwersytecie został magistrem teologii i był tam profesorem, a następnie w Niemczech, na uniwersytecie w Heidelbergu; został potem biskupem w Wormacyi w Niemczech, a nawet kardynałem, ale nie przyjął tego odznaczenia. Mistrz Mateusz (tak tytułowano tych, którzy zdali egzamin magisterski) zajeżdżał czasem do Krakowa i zajmował się wiele sprawą wznowienia uniwersytetu. Za poradą tych trzech mężów fundowała królowa Jadwiga w Pradze dom z utrzymaniem dla Litwinów, którzyby pragnęli poświęcić się kapłańskiemu stanowi, t. zw. collegium litewskie, w roku 1397. Do papieża Bonifacego IX. do Rzymu pisali już królestwo poprzednio z prośbą o wydział teologiczny w Krakowie. Nadeszło pozwolenie już w styczniu 1397 roku, i zabrano się zaraz do zbierania funduszów, do sprowadzania profesorów; ale przy największym pospiechu minęły jednak jeszcze trzy lata, nim zdołano założony przez Kazimierza Wielkiego uniwersytet wznowić i uzupełnić zarazem. Dzielnym pomocnikiem w tej sprawie był Piotr Wysz z Radolina, który był na naukach we Włoszech, w sławnym uniwersytecie w Padwie i został tam doktorem praw obojga, t. j. kanonicznego i rzymskiego, a w roku 1392 wyniesiony był za sprawą królowej Jadwigi na biskupstwo krakowskie.

ŚMIERĆ KRÓLOWEJ JADWIGI (1399).

Nie sądzono królowej doczekać się spełnienia tego dzieła. W jej komnatach odbywały się narady, około jej dostojnej osoby skupiał się cały ten ruch naukowy, ale nowy przybytek nauki stanąć miał dopiero na jej trumnie.

W roku 1398 spodziewali się królestwo potomka. Cała Polska oczekiwała z utęsknieniem na dziecię uwielbianej królowej Jadwigi. Papież Bonifacy IX. przyjął godność ojca chrzestnego, każąc się zastąpić biskupom polskim; dziecię miało otrzymać jego imię. Witołd przysłał srebrną kołyskę. Po wszystkich świątyniach rozległego państwa brzmiały modły o szczęśliwe rozwiązanie, podobnież w kościołach rzymskich. Królowa powiła córeczkę, którą nazwano Boni-

facyą, ale dziecię żyło zaledwie kilka dni, a zaraz potem, dnia 17 lipca 1399 roku zakończyła świątobliwa Jadwiga doczesne życie, przeżywszy zaledwie 26 lat.

Umierając, uczyniła dwa zlecenia: Jagielle poleciła, żeby się ożenił powtórnie z wnuczką Kazimierza Wielkiego, Anną cylejską. Król Ludwik węgierski, chcąc poniżyć polską królewnę, wydał ją jak najgorzej za mąż, za dworaka, hrabiego Cylei, którego cały ród używał jak najgorszej sławy. Królowa Jadwiga pragnęła, żeby przynajmniej córce wynagrodzić krzywdę, wyrządzoną niegdyś matce. Dzięki jej zleceniu, wracała piastowska wnuczka na tron polski. Ślub odbył się z początkiem roku 1402, a dnia 25 lutego 1403 r. koronacya nowej królowej, Anny.

Drugie zlecenie świątobliwej Jadwigi tyczyło się uniwersytetu. Szaty swe, klejnoty i drogie sprzęty zapisała na uniwersytet, ażeby dzieło to nie doznało przez jej zgon żadnej przerwy. Słusznie też nazwano uniwersytet krakowski, wznowiony jej zabiegami i ofiarnością, „pogrobowem dzieckiem królowej Jadwigi".

W rok po śmierci królowej, dnia 26 lipca 1400 roku wydał Władysław Jagiełło dokument, wznawiający wielką Szkołę. Zapisało się zaraz 205 uczniów. Nauka odbywała się w domach wykupionych na ten cel przy ul. św. Anny z rąk żydowskich; była to bowiem wówczas żydowska ulica i dopiero przed uniwersytetem zaczęli żydzi pierzchać stąd w inną stronę. (Powstało potem osobne „żydowskie miasto" pod Kazimierzem). Dostojnicy wyposażali odtąd coraz hojniej uniwersytet, a obok fundacyj królewskich posypały się prywatne, ażeby coraz więcej można było utrzymać profesorów. Pierwszym rektorem, t. j. naczelnikiem i zwierzchnikiem uniwersytetu został Stanisław ze Skalmierza, także w Pradze wykształcony i tamtejszy doktor prawa. Urządzeniem teologicznego wydziału zajął się Krakowianin, Jan Isner, który był przedtem już profesorem, również w Pradze. Większa część pierwszych naszych profesorów w Pradze odbywała nauki, a było też kilku rodowitych Czechów, stamtąd sprowadzonych. Odznaczał się wśród nich zwłaszcza słynny teolog, Maurycy Rwaczka, mnich Augustyanin, o którym jeszcze wypadnie nam mówić. W roku 1407 było już czterdziestu profesorów.

Kraków stał się siedliskiem uczonych, a był zarazem stolicą państwa, główną siedzibą królewskiego dworu i rządu. Nauka oświecała odtąd politykę; uczeni myśliciele wskazywali społeczeństwu cele,

politycy obmyślali środki, jak je osięgnąć. A wszyscy ci politycy, dostojnicy, królewscy doradcy, sami przechodzili odtąd za młodu przez krakowski uniwersytet. I tak było w tem collegium przy ul. św. Anny źródło i oświaty i potęgi narodu i państwa polskiego. Powodzenie państwa zależało bowiem ściśle od stanu oświaty, skoro państwo na społeczeństwie u nas się opierało, a nie na dynastyi. Im więcej w Polsce było nauki i płynącej z niej oświaty powszechnej, tem wyżej stało polskie państwo; upadało wzajem, gdy niedostawało społeczeństwu nauki.

SEJMIKI.

Wpływ społeczeństwa na państwo powiększał się coraz bardziej, a określone po raz pierwszy za Kazimierza Wielkiego prawo ziemskie rozwijało się dalej. Koszycka ustawa podatkowa króla Ludwika sprawiła, że trzeba było jakiejś urzędowej reprezentacyi właścicieli ziemskich, skoro trzeba było ich pozwolenia i uchwały, ile razy trzeba było podatku większego, niż dwa grosze z łanu.

Uchwały ziemian zapadały na zjazdach, zwanych sejmikami, które powstały z dawnych wieców sądowych. Niektóre ważniejsze sprawy wolno było sądzić tylko podczas zjazdu dostojników pewnej ziemi i taki zjazd sądowy nazywano wiecem. Na wiecowe „roki“ (tak się po polsku nazywa termin sądowy) zjeżdżało się dużo szlachty: powodowie (skarżący) i obwinieni, świadkowie, krewni, sąsiedzi. Ponieważ na rokach bywało po kilka i kilkanaście spraw z rozmaitych okolic, zjeżdżali się więc ziemianie z całej ziemi dla sądów, a drugie tyle, żeby się z tamtymi zobaczyć, pozałatwiać swoje prywatne interesy, odnowić znajomości, zawierać nowe i t. p. Tak bez żadnej ustawy, same z siebie powstały zjazdy szlacheckie. Korzystając z licznego zebrania, naradzano się nad wszelkiemi sprawami, także publicznemi. Do tych zjazdów odwoływał się król w sprawach podatkowych i tak zamieniły się one na sejmiki. Niebawem zniknęły wiece sądowe, bo sądownictwo inaczej się rozwinęło, a sejmiki pozostały aż do końca polskiego państwa. Ażeby sejmik miał moc prawną, musiał być zwołany przez króla i obradować nad tem, co król do obrad polecił. Nie miały zaś jeszcze sejmiki prawa inicyatywy, to jest obradowania i uchwalania czegoś prawnie z własnej ochoty. Z początku było pięć sejmików: ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łę-

czyckiej i właściwej Wielkopolski; później ilość ich znacznie się zwiększyła.

Po raz pierwszy musiał sam król zwołać sejmiki w roku 1404, gdy trzeba było zebrać 40.000 dukatów na wykup ziemi dobrzyńskiej z rąk Krzyżaków, a odtąd powtarzało się to już stale, ilekroć potrzebowano większego podatku. Na tym fundamencie oparły się wszelkie dalsze t. zw. „wolności“ szlacheckie, t. j. prawa obywatelskie, a już zjazd piotrkowski z roku 1406 głosił, że szlachectwo i wolność, to jedno i to samo i jedno z drugiego się rodzi.

Przez „wolność“ rozumiano samorząd. Jagiełło zaraz na początku panowania uznał zasadę, że wszelkie urzędy, do których przywiązana jest władza nad szlachtą, piastować może tylko taki szlachcic, na którego zgodzi się szlachta tej ziemi, w której ma urzędować. Słuszne to było, o ile chodziło o urzędników ich własnego samorządu; niesłuszne, o ile chodziło o urzędników królewskich, bo co do tych powinna być królowi pozostawiona zupełna swoboda. Wartość tej uchwały zależeć miała od tego, jak się rozwinie dalej polska administracya. Za Władysława Jagiełły zaginęła już nawet tradycya dawnego „opola“; jednostką administracyjną stał się okręg pewnego grodu, zwany powiatem. W powiecie przedstawiał królewską władzę starosta grodowy, który był królewskim sędzią, skarbnikiem i zwierzchnikiem pospolitego ruszenia. Wszystkie powiaty pewnej ziemi, dawnych dzielnic z czasów podziałów książęcych, tworzyły razem jednę społeczność szlacheckiego samorządu, miały wspólny sejmik i wspólnego naczelnika, wojewodę. Ten dawny urzędnik książęcy i królewski stał się w tym okresie zarazem dostojnikiem ziemskim; był pół na pół przedstawicielem królewskiej władzy i szlacheckiego ziemskiego samorządu. W jego osobie połączyło się, ale też pomięszało jedno z drugiem. Administracya autonomiczna ziemska rozwijała się coraz bardziej, podczas gdy królewska rozwijać się przestała i nigdy jej należycie nie zorganizowano.

WIELKOPOLSKA PRZE DO WOJNY.

Gdyby sejmiki miały prawo inicyatywy, użyliby ich Wielkopolanie najchętniej do wypowiedzenia wojny Krzyżakom, a każdy zjazd kończyłby się uchwaleniem prośby do króla, żeby powiódł wreszcie Polaków na krzyżackie karki. Pilnowało społeczeństwo

interesów narodowej polityki i, jak chętnie płaciło sześciokrotny podatek, jeszcze chętniej pragnęło własną krwią odzyskać dla Polski Pomorze. Trzeba było hamować ten zapał, żeby nie wybuchł nie w porę. Zakon opierał się na życzliwości zachodnich narodów, a uniwersytet krakowski miał dopiero spełnić ważne zadanie, żeby wydał uczonych polskich, którzyby przekonali Europę o niecnocie Krzyżaków. Mieli oni jeszcze przyjaciół w całej Europie i korzystali z tego. Z czasów wojen krzyżowych pozostało jeszcze sporo tradycyi, uważającej zakony rycerskie za najszczytniejszy wykwit cywilizacyi; a ten zakon niemiecki pozostał z owych czasów jedynym zakonem walczącym. Walkę z poganami uważano za obronę chrześcijaństwa, chociaż ci poganie wcale nie zaczepiali chrześcijan! Przelać krew w walce z Prusakami lub Litwinami uważano za to samo, co nieść ofiarę własnego życia w służbie Krzyża, za najwyższe podniesienie ducha, za szczyt wyznawstwa wiary świętej, za gotowość do męczeństwa. W ten sposób przedstawiała się rycerzom zachodniej Europy droga do Prus, jako najbliższa droga do nieba! Komu się udało tam walczyć, ten był uważany po powrocie do swojego kraju za coś lepszego i wyższego nad innych. Kto nie mógł osobiście pospieszyć na pomoc Krzyżakom, sypał im pieniądze, ażeby mieć udział w ich zasługach około wielkiego dzieła nawracania pogan. Tak sobie tę rzecz wystawiano od dwóch wieków, a co się działo pomiędzy Zakonem a Polską i Litwą, któż o tem wiedział? Arcybiskupi ryscy zdzierali czasem owczą skórę z tego wilka, ale to Zakonowi nie wiele szkodziło, bo oni mieli we wszystkich krajach swoich przedstawicieli, którzy umieli bronić sławy Zakonu. Po chrzcie Jagiełły rozpuścili wieść, że to chytry poganin, który „poddał się ceremonii pokropienia kropidłem“, żeby zyskawszy za to polską koronę, mieć tem więcej sił do walki z chrześcijaństwem. Nie przyznawali, że Litwa się ochrzciła; przeciwnie, twierdzili, że przez Litwę Polska raczej odpadnie od chrześcijaństwa. W Rzymie dawno im już nie wierzono, ale czyż wszędzie wierzono Rzymowi? Papiestwo zawsze miało niechętnych, a w tych właśnie czasach straciło powagę, boć papieży było dwóch! Wychodziła prawda na wierzch, lecz powoli i ciągle jeszcze więcej było takich, którzy uważali Zakon niemieckich rycerzy za ostoję chrześcijańskiej cywilizacyi, niż takich, którzy ubolewali nad największem oszustwem religijnem, jakie się kiedykolwiek pojawiło w dziejach. Wszak w roku

1390 brał udział w oblężeniu Wilna, przeciw Litwinom i broniącym ich stolicy Polakom, angielski królewicz i był mocno przekonany, że walczy za wiarę przeciw poganom!

Najzacniejsi i światli zupełnie ludzie, ulegając zaślepieniu, uważali sprawę polską nieraz za niesłuszną i sądzili, że drapieżne polskie plemię napada potulnych i pobożnych zakonnych rycerzy, nie dając spokoju do przeprowadzenia dzieła Bożego na ziemi! Rozpacz mogła ogarnąć, można było zwątpić w prawdę i sprawiedliwość, widząc, jak spaczone pojęcia o słuszności mają w Europie! Zanim polska nauka zdołała wpłynąć na zmianę tych pojęć, nie wytrzymała polska pięść i pogrom fizyczny Zakonu nastąpił jeszcze przed moralnym.

Minęło już ośmnaście lat od powołania Jagiełły na tron polski, a jeszcze ciągle ustępowało się przed znienawidzonym Zakonem. Za dużo już było tego zwlekania i odkładania Wielkopolanom, którzy musieli z Zakonem sąsiadować i znali go z blizka. Oni nie dla ruskich szlaków, lecz dla wspólnej z Litwą walki przeciw Krzyżakom przystali na wybór litewskiego księcia! Niczego też nie pragnęli goręcej, jak żeby wywołać wojnę. A kto wojny chce, sposobność do niej zawsze znajdzie. Sprawowali się więc Wielkopolanie na granicy krzyżackiego państwa umyślnie tak, żeby sprowadzić wojnę. Był z tem ciężki kłopot; zachodziło bowiem wielkie niebezpieczeństwo, że ci zapaleńcy narażą Polskę na wielką wojnę lada chwili, kiedy Polska nie będzie do niej należycie przygotowana.

Podczas układów pokojowych w Raciążku w roku 1404 pozostała jedna sprawa niezałatwiona. Król Zygmunt Luksemburczyk sprzedał Krzyżakom tak zwaną Nową Marchię, ową niegdyś część Wielkopolski, zagarniętą przez margrabiów brandeburskich, a która wraz z całem margrabstwem przeszła w dom luksemburski. Na pogranicznym grodzie Drezdenku nad Notecią siedzieli panowie von Ost, którzy jeszcze za Kazimierza Wielkiego, w roku 1365, złożyli hołd Koronie polskiej. Krzyżacy pomimo to żądali Drezdenka dla siebie. Ażeby nie zwlekać podpisania pokoju, odłożono tę sprawę na później, aż ją zbada osobna komisya. Wkrótce jednak dali Krzyżacy panom von Ost na zamianę Lipno, a Drezdenko zajęli. Był to chytry podstęp, który oburzył do żywego całą Wielkopolskę. Szlachta tamtych okolic, nie czekając nawet, co postanowi Rada królewska, zaczęła sama napadać na Drezdenko i dokuczać Krzy-

żakom nad granicą, jak tylko się dało. Nim się zebrała umówiona komisya (w r. 1406) powstał drugi jeszcze spór graniczny, o jeden tylko młyn w Lubiczu nad Drwęcą: O jeden tylko młyn, ale Wielkopolanie tacy byli już rozsierdzeni, tak zniecierpliwieni ustawicznem odkładaniem wojny z Zakonem, tak serdecznie tej wojny pragnęli, że postanowili tym razem nie ustąpić, zrobili z tego młyna grubą sprawę, chcąc rządowi wojnę narzucić, chcąc zmusić do zerwania pokoju. Gdyby W. Mistrz Konrad Jungingen chciał był wojny, mógł ją każdej chwili rozpocząć, bo szlachta wielkopolska samowolnie raz wraz dopuszczała się na granicy umyślnie rozmaitych wybryków, które były rzeczywiście zerwaniem pokoju. Wielkopolska pokoju raciąskiego nie chciała! Konrad Jungingen spostrzegł się, że tylko ostrożność i przezorność rządu polskiego jeszcze utrzymuje pokój, ale że całe społeczeństwo pragnie wojny, a więc gdy raz walka wybuchnie, będzie wielka wojna narodowa i walka na zabój, w której Polacy nie spoczną, póki albo Zakonu nie złamią, albo sami nie ulegną wraz z Litwą. Nie chciał on takiej wojny brać na swą odpowiedzialność i umyślnie nie chciał urzędowo widzieć zaczepek doznawanych od Wielkopolan. Nad Notecią była ciągle mała wojna graniczna; tak W. Mistrz, jakoteż król polski nie chcieli o tem nic wiedzieć. Krzyżacy wyśmiewali swego naczelnika, że tchórzy, naigrawali się z niego publicznie, ale on trwał niewzruszenie przy pokoju. Ale dnia 30 marca 1407 umarł Konrad, a następcą jego wybrano młodego jego brata, Ulryka Jungingena, który zapalczywy i w siły Zakonu zbytnio zaufany, rwał się do wojny. Odtąd nie ulegało już wątpliwości, że będzie wielka wojna. Obowiązek Jagiełły, Witołda i ich doradców polegał teraz na tem, żeby nie dopuścić do nagłego wybuchu, żeby się do wojny przygotować i mieć ją wtenczas, kiedy to będzie dogodne dla Polski i Litwy. Udało im się przewlec jeszcze pokój na dwa lata, a przez ten czas obie strony zbroiły się, czyniły zapasy i zawierały sojusze.

KRZYŻACY POD PSKOWEM.

W tym samym czasie rozstrzygała się sprawa doniosła dla całej północno-wschodniej Europy: Krzyżacy sadowili się na Rusi.

Witołd, odzyskawszy w r. 1405 Smoleńsk, zwrócił następnie swe wojenne zamiary przeciw Pskowowi i zagarnął w r. 1406 gród pskowski Kołoże. Natenczas wystąpił jednak przeciw niemu

Wielki Książe Moskiewski, ażeby nie dopuścić wzmożenia się potęgi litewskiej i ujął się za Pskowem. Trzechletnia wojna Witołda z Wasylem skończyła się w r. 1408 utratą trzech grodów litewskich: Kozielska, Lubucka i Przemyśla Zaleskiego; odtąd rzeka Ugra miała być granicą posiadłości litewskich a moskiewskich. Podczas wojny dopuścił się Świdrygiełło zdrady, za co go potem Witołd przez dziewięć lat trzymał w więzieniu.

Litwa miała zawsze posiłki z Polski. Podczas tejto wojny w r. 1408 spotkali się Polacy po raz pierwszy z Moskalami; oddział polski pod wodzą Zbigniewa z Brzezia pozostał jednak bezczynnym, gdyż nie było już wcale bitew.

Odwrócił Wasyl od Pskowa Witołda, ale nie odwrócił Krzyżaków! Ci wyprawili się na posiadłości pskowskie zaraz w 1406 r., skoro tylko Witołd wyruszył tam w pole i wojowali z Pskowianami dalej, podczas gdy Witołd zajęty był wojną z Wasylem. W r. 1407 odniósł Zakon świetne zwycięstwo nad rzeczką Modą, a w dwóch następnych latach, w r. 1408 i 1409 odbyli jeszcze dwie pomyślne wyprawy. Nowogrodzianie odmówili pomocy, Wasyl pozostał bezczynny. I tak pozostał Psków osamotniony w tej walce, z roku na rok słabszy i trzema przegranemi wojnami wycieńczony. Zdawało się, że Zakon dochodzi już do celu. Nieprzerwanym długim pasem miało się ciągnąć niemieckie zakonne państwo od Nowej Marchii na zachodzie aż do Pskowa. Żmujdź już mieli, a pokonawszy Polaków byliby się jeszcze zabrali do W. Nowogrodu, boć głosili, że należy im się tam „Watland“. Niemiecka przewaga miała zaciężyć nad całą północną Słowiańszczyzną; tłumili rozwój Polski, Litwę doprowadzili aż nad sam brzeg przepaści, a teraz zabierali się do Rusi. I nie było nikogo ani w Pskowie, ani w W. Nowogrodzie, ani w Moskwie, ktoby się spostrzegł, że tu chodzi o kolej dziejową na całe wieki. Szczęściem dla Rusi, szczęściem dla Moskwy samej, zrywali się właśnie Polacy do wielkiej wojny z Zakonem. Zachodziła obawa, że w r. 1410 nastąpi jeszcze jedna wyprawa krzyżacka na Psków, że nastąpić już może stanowczy cios, gdy wtem polska wyprawa zmusiła ich zaniechać wojny na Rusi i od Pskowa odstąpić.

POCZĄTEK WIELKIEJ WOJNY.

Zaraz po bitwie nad Modą, z końcem 1407 r., przybył Jagiełło na Litwę, żeby się naradzić z Witołdem. Posyłali do Krzyżaków w sprawie Drezdenka. Wielki Mistrz, Ulryk Jungingen, przybył osobiście do Kowna na zjazd, ale oświadczył, że od Drezdenka nie odstąpi. W kilka miesięcy potem stanęły nad Notecią załogi krzyżackie. W tymże czasie kazał W. Mistrz zabrać pod Ragnetą dwadzieścia polskich szkut ze zbożem, wyprawionych na Litwę z powodu nieurodzaju. Jagiełło i Witołd byli już jednak radzi, że Zakon sam do wojny też wyzywa. Pod koniec 1408 r. przybył Jagiełło znowu na Litwę i zapadło już stanowcze postanowienie. Na wiosnę 1409 r. rozpoczął Witołd zaczepne kroki.

Wybuchło powstanie Żmujdzinów przeciw krzyżackiemu panowaniu, a Witołd ujął się jawnie za nimi, posyłał im broń, a nawet wyprawił jeden hufiec zbrojnych. Jungingen zwrócił się wprost do Jagiełły z zapytaniem, jakie stanowisko zajmuje w tej sprawie? Odpowiedział król wymijająco, że wyśle swoich posłów; na powtórne zapytanie W. Mistrza dał również wymijającą odpowiedź. W Zakonie wiedziano już dobrze, że obaj władcy Polski i Litwy działają w porozumieniu, ale ze względu na sprawę pskowską chciano jeszcze na jakiś czas utrzymać pokój, pókiby się ze Pskowem nie załatwiono. Dnia 1 sierpnia 1409 r., mniej więcej równocześnie z trzecią wyprawą pskowską, stanęli posłowie Jagiełły w Malborgu i zdawali sprawę na sąd polubowny, ale żądali, żeby Zakon zaprzestał wojny ze Żmujdzią; w takim razie obiecał król polecić Witołdowi, żeby wycofał ze Żmujdzi swoich „kapitanów“; już bowiem część Żmujdzi była zajęta przez wojsko polsko-litewskie. Dla Krzyżaków oznaczało takie żądanie jakoby zwrot Żmujdzi! Na to przystać było trudno, bo kraina ta była im koniecznie potrzebna do połączenia w jedną całość posiadłości pruskich z inflanckiemi. Oświadczył też Wielki Mistrz, że woli wojnę z Litwą; na sąd polubowny przystanie w każdej sprawie prócz żmujdzkiej; że do Żmujdzi nie mają żadnych praw Jagiełło ni Witołd i wzywał, żeby mu dali rozprawić się ze Żmujdzinami bez jakichkolwiek pośrednictw. Poselstwo polskie — a stał na jego czele pierwszy dostojnik państwa, sam arcybiskup gnieźnieński, Mikołaj Kurowski, odparło, że w takim razie mogłoby się zdarzyć, że sam król wy-

stąpi czynnie w obronie Żmujdzinów. W. Mistrz spostrzegł się, że niepotrzebnie termin wojny przyspiesza, podczas gdy potrzebuje pokoju na wyprawę pskowską. Zaręczał więc uroczyście, że byle Witołd nie mięszał się do żmujdzkiego powstania, on sam niczego przeciw Litwie nie przedsięweźmie. Nic nie pomagało; odrzekł na to arcybiskup, że po jednej jeszcze tylko wyprawie krzyżackiej na Żmujdź mogłaby nastąpić wyprawa polska do Prus. A taka mowa była już prawie wypowiedzeniem wojny!

Formalne wypowiedzenie wojny nastąpiło dnia 9 września 1409 roku.

Z początku darzyło się Krzyżakom. Zajęli od razu ziemię Dobrzyńską, zdobyli Rypin, Lipno, Dobrzyń i Bobrowniki, a wnet potem i Bydgoszcz. Krzyżacy nie natrafiali niemal wcale na opór. Nie spodziewano się w Polsce najazdu z tej strony, sądzono, że wojsko z Prus wyruszy przedewszystkiem na Żmujdź. Ulryk Jungingen sądził jednak, że tym napadem i zaborem polskiej ziemi odstraszy Polaków od wojny; wszak on gotów był każdej chwili do pokoju z Polską, gotów był wycofać się z ziemi Dobrzyńskiej, byle tylko Polacy opuścili Litwę, byle mu pozwolili ujarzmić Żmujdź. Ziemia Dobrzyńska była w tej chwili zastawem niejako za Żmujdź.

Ale Polacy wojny chcieli. Tylko zmieniony plan wojny, był dla nich niespodzianką. Sądzili, że walna rozprawa na Litwie się odbędzie, nie byli przygotowani bić się nad Wisłą, wyobrażali sobie wielką wojnę nad Niemnem. Ale na rzecz samą byli zupełnie gotowi. Za dwieście lat krzywd, oszukaństw, łotrostw, za zabór Pomorza, za te najazdy, które sięgały aż po Kruświcę, za te konszachty z wszystkimi wrogami Polski; za to, że siódme już pokolenie nie miało od nich spokoju; za to, że przygarnięci w gościnę, jako „jałmużnicy“, przedzierżgnęli się w skrytobójców, za wszystkie ich zbrodnie popełnione pod płaszczykiem duchownego stanu, za to, że z zakonników rozbójnikami się zrobili i tylko cudzem się dorabiali, należała się im już dawno zapłata! Nie wydołał Władysław Łokietek; Kazimierz Wielki musiał wydać hasło cierpliwości; ofiarą Jadwigi, świętej dla Polaków królowej, doczekano się lepszych czasów, a już za Jagiełły trzy razy spełzła na niczem nadzieja tej wojny! Kiedyż nareszcie, jeżeli nie teraz? Teraz Witołd z Moskwą ma pokój, z Jagiełłą jest w zgodzie, a Świdrygiełło w więzieniu; teraz czas swobodny. I rwała się do

wielkiej wojny nietylko Wielkopolska, rwała się do miecza na nich Polska cała. W całej Polsce nie było nikogo, któryby radził opuścić Litwę w tej potrzebie i kosztem Żmujdzinów odbierać na nowo Dobrzyń.

POŚREDNICTWO KRÓLA CZESKIEGO.

Politycy i wojskowi przywódcy pragnęli jednak pewnej zwłoki, żeby przygotować wszystko, czego wymagała zupełna zmiana planu wojny, przeniesienie jej z nad Niemna nad Wisłę. Zwołana pod broń polska szlachta stawiła się 9 września pod Wolborzem, ale Witołd mimo najlepszych chęci nie zdążył na pruską granicę, zajęty nieprzyjacielem na Żmujdzi. Wojsko polskie zdobyło wprawdzie Bydgoszcz 30 września i przeszedłszy rzekę Brdę wkraczało już w ziemie krzyżackie, ale Witołdowe wojska nie nadchodziły. Chciano zyskać na czasie i użyto w tym celu pośrednictwa króla czeskiego Wacława; użyto pozoru, że się obie strony zdają na jego sąd polubowny, a tymczasem będzie rozejm do końca czerwca następnego roku. Krzyżacy przystali. Obie strony wiedziały z tylokrotnego doświadczenia, że tu wszystkie ugodowe zjazdy i polubowne sądy nie zdadzą się na nic. Ale Zakon miał jeszcze nadzieję, że mu się jeszcze uda rozerwać związek Jagiełły z Witołdem i unię Polski z Litwą, że w czerwcu 1410 r. będzie mieć do czynienia albo z samą tylko Litwą, lub też z samą tylko Polską. Polacy zaś pragnęli przysposobić się przez ten czas lepiej do wojny na pruskiej ziemi. Zupełnie czego innego, a znacznie większych ofiar i kosztów wymagała wojna w Prusiech, niż na Żmujdzi! Obie strony chciały zebrać jeszcze większe siły, pozbierać sojuszników. Było widoczne, że będzie wojna wielka, rozprawa stanowcza. Krzyżacy zawołali przez swoich landmistrzów i komturów w całej Europie na popłoch, że starej twierdzy chrześcijaństwa grozi wielkie niebezpieczeństwo od pogańskiej tłuszczy, i zbierało się z całej Europy sporo rycerstwa na ich obronę przeciw „chytremu poganinowi“ Jagielle. A cóż dopiero sami Niemcy! Ci wiedzieli wprawdzie po większej części, jak sprawa stoi, ale też wiedzieli, że Zakon jest doskonałem zaopatrzeniem dla młodszych synów niemieckiej szlachty i szli bronić — swego interesu. Toteż szło po całych Niemczech wołanie, żeby ratować Zakon. Krzyżacy nie przyjmowali bowiem do siebie nikogo, tylko rodowitych Niemców. Ich

panowanie, toćto wielkie niemieckie państwo na północnym wschodzie, to rozszerzenie niemieckiej potęgi. O chrześcijaństwie tych rycerzy lepiej zamilczeć, ale niemczyzny ostoją byli naprawdę i to ostoją potężną.

Stanął też po stronie krzyżackiej król węgierski Zygmunt Luksemburski, nie mogący przepomnieć, że Jagiełło ubiegł go do tronu polskiego. Radby on i teraz zostać królem Polski; zastawiałby i sprzedawał Krzyżakom jednę polską ziemię po drugiej. Zawarli też sojusz z Zakonem pomorscy i meklemburscy książątka, kręcący się jak chorągiewki na dachu, którzy nie dawno mieli sojusz z Polską. Za sojusz z nimi płaciło się; można powiedzieć, że się najmowali to tej, to owej stronie. Przez ich kraje jechało wielu rycerzy z Zachodu do Prus; toteż było w tem niedopatrzenie ze strony polityki polskiej, że ich tym razem nie kupiono.

Nie była też Polska bez sojuszników. Unia z Litwą dostarczała nam pomocy za pomoc wzajemną. Litwa i Żmujdź rwała się do tej wojny tak samo, jak Polska. Ruskie księstwa podległe Witołdowi dostarczyły posiłków z obowiązku lennego. Miał też Witołd kilka hufców Tatarów. Korzystając z zamieszek o tron pomiędzy Tatarami, mięszał się w ich sprawy, o ile mógł i miewał tam swoje sojusze, a nawet zbierał wśród nich kolonistów, dawał im ziemię i osadzał na Litwie. Obok polskiego wojska miało ruszyć do boju różnojęzyczne wojsko Witołdowe. To była pomoc własna, wynikająca z unii. Z zewnątrz starał się Jagiełło o ochotników. Rozpisał listy na wszystkie strony i porozsyłał werbowników, żeby się ochotnicy pod polskie sztandary zaciągali; zwano ich zaciężnymi. Zaciągi te powiodły się nadspodziewanie wśród Czechów. Król Wacław, mając sojusz z Polską, nie mógł im przeszkadzać, a pomiędzy Czechami rozbudziło się poczucie pobratymstwa i wspólnego interesu historycznego. Małoż się i oni nacierpieli od Niemców? a ta wielka wojna miała być dla Niemców ciosem. Rozumniejsi od Rusinów, od Pskowian, Nowogrodzian i Moskali, zrozumieli, że pokonanie Zakonu zamieni się na klęskę żywiołu niemieckiego wogóle i jest przeto wspólnym interesem całej północnej Słowiańszczyzny. Po raz pierwszy w historyi objawiło się w czynach słowiańskie hasło, a społeczeństwo czeskie stanęło po stronie Polski. Przybyły z Czech i z Moraw znaczne posiłki pod wodzą znakomitego wojownika, Jana Żiżki z Trocnowa.

Poszli polscy werbownicy oczywiście także na Ślązk. Tam niejeden, zoczywszy polskie sztandary, ocknął się i poznał, że to jego własne znaki bojowe. Zwłaszcza na Górnym Ślązku, gdzie niemieckie osadnictwo nie miało przewagi, odezwały się z wielką siłą polskie głosy, tak, że prąd ten udzielił się nawet dworom odpadłym od ojczystego pnia Piastów. Nie ruszył wprawdzie żaden z nich na tę wojnę, ale przynajmniej nie życzyli zwycięstwa Zakonowi i pozwalali werbować u siebie ochotników. Jeden tylko ze zniemczonych Piastów stanął po stronie niemieckiej i ruszył osobiście na pomoc Krzyżakom, Konrad, książę Oleśnicy – który za młodu był paziem świątobliwej królowej Jadwigi.

Mnóstwo sojuszników miała Polska w samem państwie Zakonnem. Przecież ziemia gdańska i chełmińska, to polskie ziemie! Tysiące Polaków czekało tam wybawienia od krzyżackiego jarzma. Ale co godniejsze uwagi, że i niemiecka ludność czekała na to wybawienie. Krzyżacy tak tam rządzili i tak gospodarowali, że każdy poddany życzył im w duchu wszystkiego złego. Uciskiem i wyzyskiem ziemi sami się bogacili, nie dając się rozwinąć ani szlachcie, ani mieszczaństwu. Dla miast zaś w Prusiech przejście pod polskie panowanie było nader pożądane, bo w takim razie mieliby wolność handlową z Polską. Jak dla Wielkopolan odzyskanie wybrzeża morskiego było zasadniczą sprawą dobrobytu całej tej prowincyi, podobnież dla miast w Prusiech otwarcie nawzajem drogi do Polski.

Krzyżacy mieli sojusz z królem węgierskim Zygmuntem, a Polacy ze starszym jego bratem Wacławem, królem czeskim. W luksemburskiej dynastyi nie było zgody, a bracia ci prawie zawsze bywali poważnieni. Ze synów Karola IV., monarchy mądrego, wybornego polityka i gospodarza, dbałego o dobrobyt swych krajów, a zwłaszcza ulubionego swego królestwa czeskiego, żaden nie był do ojca podobny, żaden nie był godzien jego pamięci i rodu. Zygmunt był lekkomyślny, zmienny i sam nigdy właściwie nie wiedział, co jest celem jego życia. Wacław stał jeszcze niżej od niego. Próżny aż do śmieszności, nie umiał jednak ani osobistej godności zachować; nabył szpetnego nałogu opilstwa i stawał się zupełnie niezdatnym do rządów. Dla polityki polskiej miał jedną zaletę, a to, że nie lubiał Krzyżaków, konfiskował im nawet dobra w Czechach i teraz też był im niechętny.

Przydało się to do tego, że nie robił trudności polskim werbownikom w krajach korony czeskiej. Ale przyjaźń jego nie długo miała trwać, bo go Krzyżacy przekupili 60.000 złotych. Tem się tłumaczy, że przystali na jego pośrednictwo i sąd polubowny.

Gdy nadszedł termin wydania wyroku, pojechali posłowie obydwóch stron do Pragi. Wyrok był szczególny! Żmujdź i Drezdenko uznawał Wacław własnością Zakonu, a co do ziemi Dobrzyńskiej, zastrzegł sobie jeszcze rok czasu do namysłu, komu je przysądzić; tymczasem zaś miał on sam objąć ją w posiadanie, żeby nie była ani polską ani krzyżacką; po roku oddałby ją temu, ktoby mu się grubiej opłacił! Zabawne było, że nadto zakazywał Polakom obierać sobie królów z Litwy; po śmierci Jagiełły mieli wynieść na tron kogo z zachodnich dynastów, wyrzekając się jagiellońskiego rodu! Zapewne! Bodła Krzyżaków unia!

Wyrok ten jest ciekawym przykładem z historyi dynastycznego państwa: król Wacław kazał Polakom zrzec się Żmujdzi i Drezdenka, a społeczeństwo czeskie wysyłało zbrojne hufce na odzyskanie ich. Tron swoją drogą — a naród swoją drogą!

PODMAWIANIE WITOŁDA.

Trwał jeszcze rozejm umówiony po zdobyciu Bydgoszczy. Korzystał z tego Zakon i próbował, czyby się nie udało oderwać Witołda od Jagiełły. Samym Krzyżakom nie ufałby Witołd, użyli więc do swoich projektów Zygmunta węgierskiego, który w tym właśnie roku miał zostać cesarzem niemieckim, a już od kilku lat był zastępcą cesarza, czyli t. zw. wikaryuszem cesarstwa (Wacławowi odebrano cesarską godność już w r. 1400, a następca jego, Ruprecht z Palatynatu, nie zyskał ogólnego uznania). Zygmunt poprosił Jagiełłę i Witołda o zjazd osobisty do Kęzmarku na Węgrzech, gdy bawili w południowych prowincyach Polski, objeżdżając przed wojną cały kraj. Jagiełło posłał Witołda, sam zatrzymał się w Nowym Sączu. Rzekome pośrednictwo było tylko pozorem, a chodziło całkiem o co innego. Oto Zygmunt tłumaczył Witołdowi, że cesarska jego władza jest ponad wszystkich monarchów i wszystkie narody (stare baśnie, tak już wówczas oklepane!) że Jagiełło źle mu życzy i po zwycięstwie, gdy go już nie będzie potrzebować, zacznie czyhać na jego zgubę; ale on mocą swej cesarskiej władzy uwalnia go już teraz od obowiązku lennej wier-

ności względem króla polskiego; niechaj się cofnie od udziału w tej wojnie, a on (znowu mocą władzy cesarskiej) zrobi go królem Litwy. O tem królowaniu słyszał Witołd już raz w roku 1398 na salińskim ostrowie; po 12 latach powtórnie kuszono go koroną królewską, i miało się to znowu powtórzyć po raz trzeci po dalszych jeszcze dwudziestu latach. Witołd wiedział, że gdyby miał być królem, musiałby się nim zrobić sam. Cesarz mógł mu dać co najwięcej pargamin i wypisać na tym pargaminie królestwo! Do tej korony wiodłaby droga tylko przez wojnę z Jagiełłą. Jakby to dobrze było dla Krzyżaków, gdyby władcy Polski i Litwy zamiast ruszyć wspólnie na nich, rzucili się sami na siebie wzajemnie! Nie trzeba było nawet wielkiej bystrości, żeby przejrzeć ten plan i uśmiechnąć się. Witołd wyjechał zaraz z Kezmarku do Sącza i doniósł o wszystkiem Jagielle. Było to w lutym 1410 roku. Było jeszcze cztery miesiące rozejmu. Witołd pospieszył na Litwę, Jagiełło wezwał szlachtę polską pod broń i kazał się stawić na 20 czerwca w Wolborzu; obydwaj doglądali osobiście przygotowań wojennych. Tym razem pragnęli Polacy wkroczyć od razu do ziemi Zakonu, sami zaczepić, nie czekając, aż zaczepieni zostaną. Landmistrz inflancki, żeby zmylić polskich wodzów, wyruszył już w czerwcu na Litwę z mniejszym oddziałem; chodziło prawdopodobnie o to, żeby w tamte strony i teraz skierować uwagę Polaków. Ale Jagiełło nie wyprawił żadnych posiłków na Litwę; przeciwnie, kazał Witołdowi przyprowadzić wojsko do Polski. Było postanowione, że się pójdzie prosto na Malborg, stolicę Krzyżaków w Prusiech.

GRUNWAŁD.

Dnia 9 lipca 1410 r. przekroczyli Polacy granice państwa krzyżackiego, śpiewając staropolską pieśń „Bogu Rodzica“. Doszli do Drwęcy. Po tamtej stronie rzeki stało wojsko nieprzyjacielskie. Przeprawiać się wobec uszykowanego do boju przeciwnika niesposób; położenie byłoby niebezpieczne, tamci znaczną mieliby przewagę; obwarowali też brzeg przeciwny i ustawili na nim działa, niedawny wynalazek wojenny, pierwszy raz do wojny zastosowany. Trzeba poszukać innej drogi na Malborg. Nie odstępują nasi od tego planu. Cofają się ku źródłom rzeki, gdzie nie traciło się sił na zdobywanie przejścia. Zmieniają kierunek pochodu na jakiś czas. Z pod Kurzętnika idą do Lautenburga, stąd

we wschodnim kierunku do Działdowa, potem na północ pod Dąbrowno (Gilgenburg). Przez ten odwrót przywiedli Krzyżaków do tego, że ci opuścili silne swe i wielce korzystne stanowisko, zmuszeni iść za wojskiem polskiem zdążającem w głąb ich kraju. Zmieniono zaś kierunek w pochodzie dlatego, żeby Niemcy nie mogli nigdzie napaść naszych z tyłu. Dąbrowno zdobyto 14 lipca. Krzyżacy zdążali tymczasem inną drogą także na północ, w kierunku Malborga, wyprzedzili w tym pochodzie Jagiełłę i stanęli pod Lubawą. Nazajutrz po zdobyciu Dąbrowna ruszyli Polacy w dalszy pochód, a Krzyżacy zabiegli im i zagrodzili dalszą drogę pod Tannenbergiem. Teraz miały się zetrzeć obydwa wojska. Krzyżacy rozstawili się pomiędzy Ludwikowem a Tannenbergiem, Polacy sprawili swe szyki na wschód od wąwozu ciągnącego się pomiędzy temi wsiami; Litwa stanęła na prawem skrzydle, Polacy na lewem i w środku. Tam był Witołd, tu Ziemowit Mazowiecki i Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski, któremu Jagiełło powierzył dowództwo, sobie samemu zachowując naczelny kierunek walki. Jakoż stanął król własną osobą w tej bitwie, zająwszy stanowisko na pagórku, skąd mógł mieć przegląd całego pola walki. Otaczał go nieliczny, ale doborowy hufiec przybocznej straży; wśród niej Zbigniew Oleśnicki, młody rycerz, o którym wiele jeszcze będzie w dziejach słychać.

Po obu stronach były różnojęzyczne oddziały, lecz najwięcej rodowitych Polaków i rodowitych Niemców. Walczyło się w owych czasach konno; piechoty było bardzo mało, służyła tylko do pomocy, na los bitew nie wpływała. Krzyżackich chorągwi było 51, co czyniło 16.000 koni. Polskie wojsko miało chorągwi 52, i wynosiło 15.600 koni; litewsko-ruskiego było chorągwi 40, koni 8000; nadto nieco Tatarów, niewielu. Było więc naszych około 8.000 więcej od Niemców. Ale Niemcy byli wszyscy doskonale uzbrojeni i sam sprawny żołnierz, zaopatrzony we wszystkie najlepsze przybory i obeznany z wyższą europejską sztuką wojenną. Mogły się z niemi równać poniekąd chorągwie polskie, ale litewskie stały pod każdym względem niżej, niektóre uzbrojone zupełnie niedostatecznie wobec zakutych od stóp do głów w żelazo rycerzów po tamtej stronie.

Król polski wysłuchał dwóch Mszy św., gdy od krzyżackiej strony nadjechało dwóch heroldów, ze sztandarami króla węgier-

skiego i księcia szczecińskiego, wioząc dwa miecze. Było to szydercze poselstwo zarozumiałego W. Mistrza, Ulryka Jungingena. Kazał powiedzieć Jagielle, że posyła po jednym mieczu jemu i Witołdowi, żeby się mieli czem bronić. Odparł Jagiełło, że je przyjmuje, a resztę zdaje na Boga, na siebie samym bez boskiej pomocy polegać nie śmiejąc.

Rycerstwo polskie zaczęło pieśń „Bogu Rodzica", ozwały się trąby i obydwa wojska ruszyły pędem na siebie. Prawe skrzydło litewskie nie wytrzymało natarcia żelaznych rycerzy; po jednogodzinnej ledwie walce podało tył i pierzchnęło. Trzy tylko chorągwie nie ustąpiły i przedarły się między Krzyżakami na lewe skrzydło, do Polaków; a były to chorągwie ruskie, ze Smoleńska, który od niedawna dopiero należał do Litwy. Nie strzymali też Czesi i odsunęli się na bok, pomiędzy zarośla. Witołd nie zdołał powstrzymać popłochu między swoimi; ale sam został i przebił się na polskie skrzydło, nie szczędząc wcale swego żywota. Polacy nie cofnęli się, okazali siły wrogowi równe.

Walka ograniczyła się do nieznacznej przestrzeni, bo obie strony chciały się inaczej uszykować. Polacy musieli teraz sami zapełnić miejsce Litwinów, trzeba się było rozwinąć w dłuższą linię. Krzyżacy, widząc że z Polakami niełatwa sprawa, postanowili włączyć do boju siedmnaście chorągwi odwodowych, które dotychczas nie brały udziału w bitwie. Nastała przerwa. Wykonano trudny i powolny manewr nowego uszykowania; Jungingen stanął naprzeciw prawego polskiego skrzydła i dążył do tego, żeby je otoczyć i wziąć we dwa ognie.

Gdy bitwa zawrzała na nowo, mieli nasi dwie chwile ciężkie. Raz padł sztandar królewski i Krzyżacy zaczęli już wyśpiewywać tryumfalną pieśń zwycięstwa; rzuciii się jednak Polacy w sam środek cieszących się przedwcześnie i wznieśli na nowo swój główny znak. Drugim razem groziło niebezpieczeństwo samej osobie królewskiej; już, już zmierzył na króla dzidę rycerz niemiecki z Łużyc, Dypold von Kökeritz, już był przy samym królu: przytomnością umysłu i szybkim silnym ruchem zapobiegł nieszczęściu Zbigniew z Oleśnicy, stojący obok króla owej chwili i uderzywszy Niemca złamanem drzewcem, zwalił go z konia.

Nastała stanowcza chwila; sam Jungingen wiódł teraz do walki najlepsze chorągwie, a ze świeżemi siłami, wypoczęte. Wie-

dzieli Polacy, że gdyby się cofnęli, wszystko przepadnie, bo to już koniec bitwy będzie i koniec wojny, bo drugiego wojska nie mają, a nie tak łatwo zdobyć się po przegranej na to, żeby znowu kiedy wkroczyć z orężem w ręku na tę ziemię. Wiedzieli o tem, że teraz godzina stanowcza, od której zawisła przyszłość. Z szalonem męstwem, za nic nie ważąc życia, a sił dobywając wszystkich, rzucili się jak wicher na lewe skrzydło krzyżackie, że zaraz poszło w rozsypkę i pierzchnęło pod silnem natarciem. Prąc ich przed siebie, otaczali z drugiej strony resztę krzyżackiego wojska, otaczali coraz ciaśniejszym pierścieniem, aż wreszcie ścisnęli tak, że walka na rzeź się zamieniła. Uciekała chorągiew po chorągwi, ale niedługo już nawet uciekać się nie dało. Zagrzani polską wytrwałością wracają Czesi do walki i biorą udział w samem jej zakończeniu, które było świetnem zwycięstwem.

Poległ tego dnia Ulryk Jungingen, Wielki mistrz Zakonu; książęta szczeciński i oleśnicki dostali się do niewoli. Wszystkie a wszystkie chorągwie krzyżackie dostały się w ręce polskie i wisiały długo nad grobem św. Stanisława w katedrze na Wawelu. Na pobojowisku zostały trupy większości komturów i tysięcy rycerstwa: samych zakonnych rycerzy wyruszyło 700, a wróciło z tej bitwy tylko 15. Pokazało się, że można Krzyżaków pokonać.

Nazajutrz pokazało się, że Krzyżacy właściwie nie mają już wojska, że ponieśli klęskę walną, że pod Grunwałdem stoczono jednę z tych wielkich stanowczych bitew, które na całe wieki stanowią o losach narodów. Rozmiary tego zwycięstwa przechodziły wszelkie nadzieje Polaków, bo to było zupełne Krzyżaków zniesienie.

Nie wystarcza zwycięstwo odnieść. To dopiero połowa zadania. Trzeba zwycięstwo wyzyskać. Trudniejsza to rzecz od tamtej, wymaga nietylko rozumu i męstwa, lecz środków wielu. Tylko możny może zwycięstwo wyzyskać; tak, jak tylko możny może się szybko podnieść po klęsce. Komu środków niedostaje, u tego największe nawet zwycięstwo może się skończyć — samą tylko sławą i chwałą wojenną. Do odniesienia zwycięstwa trzeba wysiłku; do wyzyskania go trzeba sił zapasu.

POD MALBORGIEM.

Zaraz po bitwie wszczął się ruch pomiędzy poddanymi Zakonu, a pierwsi złożyli sami od siebie hołd królowi polskiemu

pruscy biskupi: chełmiński, warmiński i sąsiedni od zachodu biskup kamiński. Szlachta chełmińska z ochotą przechodziła pod polskie panowanie i wydała Jagielle prawie wszystkie grody swej ziemi. Pogarnęły się też miasta zrzucić rządy krzyżackie, a przyjąć polskie: nietylko Toruń i Gdańsk, ale również Elbląg i Brunsberga, w których zgoła nie było ludności polskiej. W drodze do Malborga odbierał król ciągle hołdy spieszących zewsząd poselstw. Dnia 25 lipca stanęło wojsko polskie pod murami krzyżackiej stolicy, która była najsilniejszą twierdzą w całej Europie. Nie byłoby Malborga zdobyło żadne wojsko inaczej, jak głodem. Znaczyło to: otoczyć gród, zamknąć kołem wojsk, i stać na miejscu dopóty, póki oblężeni nie spożyją ostatniego kęsa zapasów, a przez ten czas opędzać się wycieczkom z grodu i odpędzać odsiecze; słowem stoczyć niejedną może bitwę, a kilkaset drobniejszych utarczek. Mogło to trwać kilka miesięcy, może rok, a może dwa i nawet trzy lata; zależało to od tego, ile w niezdobytej twierdzy jest schowanej żywności dla jej załogi. Henryk von Plauen, komtur ze Świecia, który po śmierci Jungingena kierował obroną Zakonu, przewidział i opatrzył wszystko doskonale. Malborg miał takie zapasy, że ani za trzy lata nie potrzebowano obawiać się głodu. Skoro się o tem przekonano w polskim obozie, było zaraz dla każdego rzeczą jasną, że trzeba będzie stąd odejść i niema zgoła na to rady. Można było stać pod Malborgiem i na chybił trafił szturmami szczęścia próbować aż do jesiennych deszczów; ale co potem? Czyż 20.000 ludzi miało leżeć na rozmiękłej, rozbłoconej ziemi, a potem na śniegu i zmarzniętej grudzie, żeby się doczekać na nowo roztopów na wiosnę? A co począć z końmi? Oblężeni mieli w twierdzy całe stada bydła i owiec na rzeź, pełne spichrze ziarna i wielkie składy solonego mięsa; ale skąd mieli wziąć żywności oblęgający? Czekały ich niedostatek i choroby, a już na pewno strata koni, których nie byłoby czem przetrzymać przez zimę. Idąc pod Malborg, wiedziano z góry, że trzeba będzie wracać, jeżeli się nie uda wziąć grodu do jesieni. Odstąpiono też od oblężenia dnia 22 września 1410 roku. Czas pod Malborgiem był właściwie i tak zmarnowany. A tymczasem Zakon zbierał nowe wojsko, a chociaż ono było stosunkowo nieliczne, ale dobrze uzbrojone i zupełnie świeże na siłach, podczas gdy polskie było już zupełnie wyczerpane, wygłodzone i schorowane. Chcąc utrzymać te krainy,

które się już Jagielle poddały, trzebaby mieć teraz nowe podatki, pełny skarb i nowe wojsko, ale zaciężne, któreby pozostało załogą po grodach. Takich zapasów jeszcze Polska nie miała. Było trochę hufców zaciężnych czeskich, ale ogromna większość wojska składała się nie z zawodowych żołnierzy, lecz ze szlachty, z ziemian i gospodarzy, którzy przez wojnę zaniedbali swych gospodarstw i ponieśli znaczne straty na majątku. Wynagrodzenie, wypłacane ze skarbu państwa za wyprawę zagraniczną, było drobnostką wobec tego, że trzeba się było żywić, zbroić i konie utrzymywać swoim kosztem. Takie wojska były wówczas wszędzie; toteż w zimie nie prowadzono wojen. Jedynym wyjątkiem był Zakon niemiecki; ten miał zawsze wojsko gotowe, wojsko stałe, którego sam tworzył część zasadniczą. I na tem polegała wyższość wojenna Zakonu nad każdym innym, nietylko nad Polską.

Henryk von Plauen wyzyskał dobrze czas stracony przez Jagiełłę pod Malborgiem. Uzyskał na królu Zygmuncie Luksemburskim, że się wyprawił z Węgier na Polskę, najechał rzeczywiście okolice Nowego Sącza i spustoszył je. Była to niewielka wyprawa, ale w każdym razie był już początek nowej wojny i trzeba się było przygotować, czy Zygmunt po tym krótkim napadzie nie urządzi drugiej, wielkiej wyprawy. Krzyżacy rozgłaszali, że król węgierski wyruszy z wielkiem wojskiem przez Polskę na odsiecz Malborgowi. Obawy te kazały tem bardziej przyspieszyć powrót do domu. Równocześnie nadchodziły wieści, że Wasyl moskiewski zmawia się z Tatarami na Witołda. Pomimo to wszystko bał się jednak Zakon, żeby część wojska polskiego nie zimowała w Prusiech i ściągał zewsząd posiłki, uzbrajał nowe pułki, żeby Jagiełłę zmusić do odwrotu.

Pomimo, że w Prusiech wrzała wojna, nie przywoływano posiłków z Inflant. Miała bowiem nastąpić jeszcze jedna wyprawa na Psków, a nie chciano odrywać inflanckich Braci od tego przedsięwzięcia. Dopiero podczas oblężenia Malborga przywołano inflanckiego landmistrza, Konrada Vittinghofa. Przybył w 500 koni tylko, żeby Inflant nie rozbrajać zupełnie i zabrał się do dyplomacyi. Wziął na siebie zadanie podmówić Witołda, żeby nie dbał już o wojnę w Prusiech, bo to nie jego sprawa, lecz polska. Witołd co niedawno w Kezmarku odrzucił pokusy, odrzucił je tem bardziej teraz, po tak świetnem zwycięstwie. Teraz nie stać już było

Zakonu ani na zabór Pskowa, ani na utrzymanie panowania nad Żmujdzią, skoro musiał wytężać wszystkie siły, żeby się Polaków pozbyć z Prus, żeby nie dopuścić do powtórnej wyprawy.

Witołd odszedł z pod Malborga pierwszy, na wieść o grożącem Litwie niebezpieczeństwie; potem odszedł Ziemowit Mazozowiecki, w końcu dnia 22 września sam Jagiełło. Skoro wojska polskie odchodziły z Prus, zaczęły się miasta i grody poddawać na nowo Zakonowi, żeby uniknąć strasznej zemsty. Na powracające wojsko polskie napadli Krzyżacy, wyprowadziwszy do boju nowe wojsko, przygotowane w Nowej Marchii. Dnia 10 października stoczono drugą walną bitwę pod Koronowem, która skończyła się znowu ciężką klęską dla Krzyżaków. Zakon zaczął się układać o pokój.

ODZYSKANIE DOBRZYNIA I ŻMUJDZI (1411); NABYCIE SPIŻU (1412).

Zawarto pokój w Toruniu dnia 1 lutego 1411 roku. Ziemia dobrzyńska wracała do Polski, Żmujdź przyznawał Zakon Jagielle i Witołdowi w dożywocie; nadto płacili Krzyżacy sto tysięcy grzywien kontrybucyi wojennej, upozorowanej ceną wykupna za pojmanych książąt oleśnickiego i szczecińskiego. W Prusiech nie zatrzymywali Polacy ani jednego grodu; wszystkie zwracali Krzyżakom. Jak na taki pogrom, jak bitwa pod Grunwałdem, warunki dla Zakonu bardzo dobre, dla Polski korzyści nader skromne. Ale Polska nie miała tego zapasu sił, niezbędnego do wyzyskania zwycięstwa i dobrze było, że się Krzyżacy musieli cofnąć z Dobrzynia i Żmujdzi! A główną rzeczą było, że społeczeństwo polskie wiedziało, że z Zakonem można walczyć zwycięsko. Trzeba było teraz zawierać pokój, nie będąc pewnym Zygmunta i Wasyla. Ale tylko do następnej wojny! Nikt bowiem nie wątpił, że niebawem będzie wojna na nowo. Polska nie mogła żadną miarą wyrzec się swego Pomorza!

Pomimo tak niedostatecznych warunków pokoju toruńskiego, wojna roku 1410 jest tryumfem Polski. Od pogromu pod Grunwałdem zaczął Zakon słabnąć i upadać coraz bardziej. To było przesilenie. Odtąd im sił coraz bardziej ubywało, nam przybywało. Z klęski, zadanej pod Grunwałdem, nigdy się już Zakon nie zdołał wyleczyć.

W następnym roku zawarł z Polską pokój król węgierski,

Zygmunt, który został tymczasem cesarzem niemieckim. Jak w Toruniu Zakon przyznawał Żmujdź dożywotnio władcom Litwy i Polski, podobnież tu przyznawał im Zygmunt dożywotnio Ruś Czerwoną i zwierzchnictwo nad hospodarem mołdawskim. Przystawano na wszystko ze strony Polski dla świętego spokoju. Teraz nikt się Zygmunta już nie bał, ale chodziło o to, ażeby, jako cesarz, nie bronił Zakonu w odezwach do zachodnich dworów; pozwolono mu więc zabawić się w zawieranie pokoju i zastrzeganie, że jednak Ruś Czerwona do węgierskiej należy korony, a on tylko z własnej dobrej woli odstępuje ją w dożywocie Jagielle. Gdyby Polacy odrzucili pokój, i tak nie byłoby wojny, bo Zygmunt nie miałby za co wojować. Miał zawsze skarb pusty. Kto wie nawet, czy nie dlatego zawierał ten pokój, że chciał pieniędzy od Jagiełły, a nie wypadało pożyczać od króla, z którym się niby było w wojnie. Skoro tylko podpisano pokój w Budzyniu, zaraz pożyczył sobie od Jagiełły 40.000 kóp groszy praskich, dając za to w zastaw 13 miast na południe Tatr, w ziemi zwanej Spiżem. Tych miast spiskich nikt już potem nie wykupił i zostały przy Polsce aż do r. 1769. Stwierdzeniem dobrych stosunków Zygmunta z Jagiełłą był zwrot korony polskiej, sławnej korony Władysława Łokietka, którą król Ludwik węgierski wywiózł był na Węgry. W r. 1412 odesłał ją Zygmunt Luksemburczyk uroczyście do Polski i odtąd — z krótką przerwą podczas wojen szwedzkich za Jana Kazimierza — spoczywała w skarbcu na Wawelu aż do roku 1793, poczem uwieziono ją szczęśliwie przed najeźdźcami w niewiadome miejsce.

UNIA HORODELSKA (1413).

Walne zwycięstwo grunwałdzkie zawdzięczaliśmy nie samym tylko własnym siłom, lecz niemniej połączeniu z Litwą. Zaciągnęliśmy przeto nowe wobec Litwy obowiązki, a przodkowie nasi byli tego dobrze świadomi i nie ociągali się ze spełnieniem ich. Rozkwitający uniwersytet krakowski szerzył zdrowe, chrześcijańskie zapatrywania na stosunek Polski do Litwy, a mianowicie, żeby nietylko dostarczać Litwie pomocy w wojnach, biorąc nawzajem od niej posiłki, ale też opiekować się jej społecznym rozwojem. Już w kilkanaście lat po wznowieniu i uzupełnieniu uniwersytetu

miały się okazać owoce tej nauki, w postaci nowej, nieznanej dotychczas Europie chrześcijańskiej polityki.

Pierwszem wielkiem dziełem polskiej uczciwości jest t. zw. unia horodelska, umowa, zawarta z Litwinami dnia 2 października 1413 roku w Horodle nad Bugiem. Umyślono przyspieszyć swobodną organizacyę litewskiego społeczeństwa przez nadanie polskiego szlachectwa pewnej ilości wybitniejszych litewskich rodów. Stało się to w ten sposób, że 47 polskich rodów przyjęło tyleż litewskich do swego herbu, adoptując je niejako, uznając swymi synami i braćmi. W akcie polskim jest mowa o miłości i braterstwie *(caritas);* po raz to pierwszy odezwały się w polityce takie hasła! Zrównani w ten sposób z polskimi żołnierzami-szlachcicami mieli odtąd prawo do wpływania na tok spraw publicznych; jakoż potomkowie ich korzystali z tego. Organizacya państwowa trzymała się dotychczas na Litwie przymusem; od horodelskiej unii poczyna się powolne opieranie się państwa na społeczeństwie. Musiało jednak minąć dużo czasu, nim się spełnią zamiary polskich dostojników; takich rzeczy nie zrobi się na prędce na papierze, ale stosowną polityką można rozwój społeczeństwa opóźnić lub przyspieszyć, i na tem polega znaczenie aktów horodelskich. Było ich trzy: w pierwszym przyjmują Polacy litewskich katolickich bojarów do swoich herbów, w drugim starszyzna litewska oświadcza, że te herby przyjmuje, w trzecim zaś Jagiełło i Witołd zatwierdzają tę umowę, zgadzają się na prawa nowo powstającej litewskiej szlachty i podają główne zasady stosunków pomiędzy obydwoma narodami. Po śmierci Witołda wyznaczy król polski jego następcę, zasięgając do tego rady u szlachty (a więc już także u przyjętych do szlachectwa Litwinów). Zapowiada król, że zaprowadzi na Litwie takie same urzędy, jakie są w Polsce; a dostęp do tych urzędów mieli przedewszystkiem ci, którzy przyjmowali właśnie polskie herby. Zapowiada też król, że do narady w sprawach, obchodzących i Polskę i Litwę, będzie się zwoływać wspólne zjazdy, „parlamenty“, do Lublina albo do Parczowa; prawo do udziału w takiej naradzie miał każdy szlachcic; urzędnicy zasiadali w kole przy tronie, a reszta stojąc przysłuchiwała się obradom i dawała znać, czy się zgadza na projekty, czy też je odrzuca. Rodziny, obdarzone w Horodle polskimi herbami, mogły już zjeżdżać na takie „parlamenty“ i zaprawiać się do życia politycznego. Nie na samych tylko Pola-

kach miało się opierać olbrzymie państwo polsko-litewsko-ruskie, ale też na katolickich Litwinach. Nie przypuszczono do tego politycznego równouprawnienia Rusinów, bo byli schyzmatykami, a Witołd starał się właśnie usilnie o unię cerkiewną.

Aktowi unii horodelskiej towarzyszył godnie chrzest Żmujdzi. Nieszczęśliwa ta kraina nie opierała się już wodzie chrztu św., odkąd miała spokój od nawracających mieczem niemieckich rycerzy. Z Horodła udali się tam obaj monarchowie, Jagiełło i Witołd, a dokonawszy nawrócenia kraju, założyli dla Żmujdzinów osobne biskupstwo w Miednikach. Już się Krzyżacy nie mogli powoływać na to, że są jeszcze poganie w ich sąsiedztwie, że więc miecz ich potrzebny chrześcijaństwu!

STOSUNKI CERKIEWNE.

Sprawa unii cerkiewnej na Rusi miała już długą historyę. Włodzimierz Wielki, Wielki Książę kijowski, przyjął w roku 988 chrzest w kościele katolickim, w obrządku grecko-słowiańskim, z ramienia patryarchatu carogrodzkiego. W r. 1054 popadł patryarcha w schyzmę i pociągnął za sobą metropolię kijowską. Niezadługo jednak wyrzekł się schyzmy Wielki Książę Izasław w r. 1075, otrzymawszy za to od papieża Grzegorza VII. tytuł królewski i wprowadzony jest na tron kijowski przez Bolesława Śmiałego; ale panowanie jego rok tylko trwało. Potem około roku 1200 nawiązał stosunki z papieżem Innocentym III. książę halicki Roman i też przez pewien czas, lecz niedługi, używał zachodnio-europejskiego królewskiego tytułu. W pięćdziesiąt lat później zawierał ponownie unię z Rzymem Daniel, koronowany uroczyście w Drohiczynie w roku 1254; ani tym razem jednak nie ostała się unia.

W r. 1204 powstał osobny patryarchat słowiański, bułgarski, w Trnowie w Bułgaryi. Odradzała się w nim cerkiew, pozbywała się bizantyńskiego zastoju, duchowieństwo było wykształceńsze i nie czuło do Rzymu takiej nienawiści, jak Grecy. Metropolitami w Kijowie byli jednak aż do r. 1354 sami Grecy; w owym roku dopiero udało się pod wpływem Trnowy wynieść na tę godność Rusina Aleksego. Wtenczas też przeniesiono stolicę metropolii z Kijowa aż na Ruś Suzdalską, do Włodzimierza nad Klazmą, w obrębie Wielkiego Księstwa moskiewskiego. Olgierd wystarał się w Carogrodzie o osobnego metropolitę dla Rusi sobie podległej, bo się

bał wpływu moskiewskiego. W r. 1371 powstała w Haliczu trzecia metropolia, skutkiem starań Kazimierza Wielkiego.

Z początkiem panowania Władysława Jagiełły był metropolitą „kijowskim“ Bułgar Cypryan, pochodzący z patryarchatu trnowskiego i unii kościelnej życzliwy. Ze względów politycznych przyjmowała się też myśl unii na dworze cesarzów greckich, bo liczyli na to, że papieże urządzą wyprawy krzyżowe na Turków, którzy coraz bardziej zagrażali wschodniemu cesarstwu. W r. 1369 wyprzysiągł się w Rzymie schyzmy cesarz bizantyński, Jan V. Paleolog, a następca jego, Emanuel II., nawiązał stosunki z Polską, z królem Władysławem Jagiełłą. Jagiełło nie uznał Cypryana, ponieważ metropolita ten zamieszkał w samej Moskwie. Król starał się w Carogrodzie o osobnego metropolitę litewskiego, jak niegdyś Olgierd, a gdy tego nie mógł osięgnąć, próbował wznowić przeciw Cypryanowi metropolię halicką i wyniósł na nią biskupa łuckiego, Sabbę. Zamąciły się stosunki z Carogrodem, gdy tam Sabbę wyklęto. Ale tym razem król polski nie miał słuszności; jeżeli się miało osięgnąć jedność kościelną z Rzymem, trzeba było zaprowadzić ją najpierw u siebie, na Rusi i do tego właśnie dążył Cypryan. Wielki kniaź moskiewski, zięć Witołda, Wasyl, był takim zaciętym przeciwnikiem unii, że kazał wykreślić z dyptychów (ksiąg modlitewnych) imię cesarza Emanuela II. za to, że unii sprzyjał. Cypryan był doskonałym politykiem i tak politykował, że jednak utrzymał się w Moskwie, a w roku 1401 uznała go także Litwa i Polska i pozwolono mu Sabbę złożyć z urzędu. (Odtąd przestała istnieć cerkiewna prowincya halicka, a władyki, t. j. biskupa ruskiego, nie było w Haliczu aż do roku 1539). Cypryan, będąc jedynym metropolitą całej Rusi, składał z godności tych władyków, którzy niechętni byli unii (smoleńskiego w roku 1396, turowskiego w roku 1405), wizytował dyecezye pod panowaniem litewskiem i polskiem, a rezydował naprzemian, to w Moskwie, to w Kijowie. W roku 1405 odbył tygodniową naradę w Miłołubiu z Jagiełłą i z Witołdem, a wkrótce potem zaczęły pomiędzy Wilnem a Carogrodem chodzić poselstwa w sprawie unii kościelnej. Jagiełło i Cypryan żądali zwołania generalnego synodu władyków ruskich, patryarcha jednak uważał to za zbyteczne i odłożył sprawę do soboru powszechnego, który papież zamierzał zwołać. Sobór odbył się we Włoszech, w Pizie, w roku 1409, i rzeczywiście radzono tam z udziałem Polski nad unią, ale

sobór ten krótko obradował i rozszedł się na niczem. Cypryan nie dożył już tego soboru; zmarł we wrześniu 1407 roku. Witold miał kandydata na jego miejsce, ale patryarcha go nie potwierdził, lecz zamianował metropolitą Greka, Focyusza. Zmieniły się stosunki w Konstantynopolu; zawiał inny wiatr, nie kwapiono się do unii. Trzeba było załatwić tę sprawę samemu, bez Konstantynopola. Witold Focyusza nie uznał, a gdy ten przyjechał na Litwę w roku 1415 pokłonić się i przebłagać, nawet go nie przyjął. Zwołał natomiast synod ruski w Nowogródku na 15 listopada 1415 r. Zjechało ośmiu władyków: połocki, czernichowski, łucki, włodzimirski (z Wołynia), przemyski, chełmski, turowski i smoleński. Wznowiono oddzielną metropolię litewską, t. j. kijowsko-halicką, a metropolitą wybrano z zakonu Bazylianów Grzegorza Cembłaka, synowca Cypryana, rodem Bułgara. Nie uznał go zrazu patryarcha, ani cesarz bizantyński; ale potem dali się przebłagać. Witold wydał odezwę, w której pozostawia Rusinom wybór pomiędzy Cembłakiem a katolicyzmem, ale Focyusza uważać za metropolitę nie zezwala. Ponieważ wszyscy władycy litewscy i polscy Cembłaka uznali, nie było obaw o rozłam cerkwi w państwie i rozpoczęto układy o unię z nowym soborem powszechnym, który od roku 1414 obradował w szwajcarskiem mieście Kostnicy (Konstancyi).

Na soborze tym miano obradować także o sporze polsko-krzyżackim.

WOJNA GŁODOWA (1414).

Krzyżacy bowiem nie chowali miecza do pochwy nawet po Grunwałdzie, a horodelska unia i chrzest Żmujdzi wypadły w sam raz równocześnie z nową wojną krzyżacką. Pokój toruński uważały obie strony li tylko za rozejm. Polska nie mogła zgodzić się na to, żeby Żmujdź po śmierci Jagiełły i Witołda naprawdę dostała się Krzyżakom, oni zaś nie tracili jeszcze nadzieji, że uda im się powetować klęskę. Prawnicy polscy zgłosili imieniem dwóch córek Witołdowych i Jagiełłowej jedynaczki, pięcioletniej Jadwigi, zrodzonej z Anny Cylejskiej, protest przeciw uszczuplaniu ich dziedzictwa, do którego Żmujdź się liczyła. Wojowniczy zaś W. Mistrz Henryk Plauen sądził, że najlepiej będzie, jeżeli Polskę sam zaczepi, złamał pokój, napadł na Mazowsze i spustoszył to lenno Korony polskiej. Przelękli się tego zuchwalstwa sami Krzyżacy

i w październiku 1413 złożyli Plauena z godności, wybierając na jego miejsce Michała Kuchmeistra. Ten prosił o układy i zjechał się w tym celu z Jagiełłą w Grabowie. Polacy mieli zupełną słuszność, uważając już teraz pokój toruński za niebyły, skoro go Zakon sam zerwał i oświadczyli, że nie będzie trwałego pokoju, póki nie oddadzą wszystkiego, co Polsce wydarli, a więc nietylko kilku spornych pogranicznych grodów, ale też ziemi chełmińskiej i gdańskiego Pomorza. Takie warunki byłyby jednak dla Zakonu ruiną i dosyć było czasu przystawać na nie po najcięższej klęsce; przecież ani po Grunwałdzie nie zdołała ich Polska wymusić. Wybuchła więc na nowo wojna w lipcu 1414 r. Polacy byli pewni, że odniosą znowu zwycięstwo takie, jak pod Grunwałdem i Koronowem; ale — nie było wcale bitwy! Zakon zmądrzał po szkodzie i nigdzie żadnej bitwy nie chciał staczać. Pozamykali się w twierdzach, wydając kraj na spustoszenie. Czekało na Polaków ciężkie zadanie zdobywania kilkudziesięciu grodów, co byłoby wymagało chyba kilku lat czasu w ówczesnych warunkach i trzebaby na to licznych hufców zaciężnych. Było trochę zaciężnych, tym razem ze Ślązka — siedmiu ślązkich Piastowiczów walczyło tu po naszej stronie — ale to była ledwie cząstka tego, czego było potrzeba na wojnę oblężniczą. A kraj cały zniszczony, wszelkie zapasy żywności uprowadzone do grodów, wojsko polskie musiało się żywić głównie — owocami! Zgłodniałe i schorowane rycerstwo nie miało co robić na tej wojnie, w której nie było żadnej bitwy! Pożądanem więc nawet było, gdy papież Jan XXIII. ofiarował swoje pośrednictwo do zawarcia pokoju. Pokoju nie chciano, ale zawarto rozejm w Brodnicy na dwa lata, przyczem zyskiwała Polska gród Jasieniec nad ujściem Brdy do Wisły. Wojnę tę nazwało rycerstwo polskie „głodową“.

W Brodnicy podał legat papieski myśl, żeby spór Polski z Zakonem dać do rozstrzygnięcia soborowi powszechnemu w Konstancyi. Przystano na to. Mieli tedy Polacy już dwie sprawy na soborze, bo równocześnie Grzegorz Cembłak gotował się do układów o unię cerkiewną.

SCHYZMA PAPIESKA (1378—1417).

Sobór jestto zgromadzenie biskupów całego Kościoła pod przewodnictwem papieża, rozstrzygające w najwyższej instancyi

wątpliwości w sprawach wiary i obyczajów, o ile Ojciec św. uchwały jego zatwierdzi. Zwołuje się wtenczas, gdy Kościołowi grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdy urządzenia kościelne wymagają poprawy, lub gdy czystości wiary zagraża szerząca się herezya. Sobór kostnicki miał do czynienia i z jednem i z drugiem. Urządzenia kościelne wymagały poprawy od samej Głowy, gdyż od r. 1378 trwała owa nieszczęsna schyzma papieska, gdy nie wszyscy kardynałowie chcieli wracać z Awinionu do Rzymu, a obie części wybierały sobie ciągle osobnych papieżów, ku strasznemu zgorszeniu całego chrześcijaństwa. Historya kościelna uznaje za prawych tylko rzymskich papieży, Urbana VI., Bonifacego IX.. Innocentego VII. i Grzegorza XII. i tych też uznawała Polska, trzymając się rzymskiego posłuszeństwa, czyli obedyencyi. Francuscy papieże nie chcieli ustąpić. Było rzeczą uczonych teologów, żeby obmyśleć sposób na usunięcie tej schyzmy. Uniwersytety zajmowały się też tą rzeczą gorliwie, a najważniejszy ze wszystkich i najbardziej poważany, paryski, zwany drugiem (obok stolicy apostolskiej) „światłem świata“ stanął na czele. Już w r. 1380 wydał profesor paryskiej teologii, Konrad von Gelnhausen (Niemiec z rodu) rozprawę, w której wywodził, że sobór stoi ponad papieżem, może więc zmusić go do ustąpienia. Twierdzenie było mylne, bo sobór bez papieża jest nieważny, a zatem nie może być ponad nim. Dziś wie o tem każdy początkujący kleryk, ale wtenczas były jeszcze wątpliwości, gdyż po raz pierwszy dopiero w historyi Kościoła miało się do czynienia z podobnem zagadnieniem i sprawa nie była rozstrzygnięta. W sprawie wątpliwej wolno bez grzechu twierdzić tak i owak, póki Kościół spornego pytania nie rozstrzygnie. Myśl Gelnhausena bardzo się spodobała, bo się wydawała praktyczną. Cały uniwersytet paryski chwycił się tej nauki o wyższości soboru, bo się wydawała jedyną deską ratunku; przyklasnął jej sławny i wielbiony w całej Europie uczony kanclerz paryskiego uniwersytetu, Gerson (czyta się Żersą). Rozpisywali się o tem i rozprawiali uczeni wszystkich narodów, a gdy potem w r. 1395 uniwersytet paryski wysłał do wszystkich innych okólnik tej treści, że obydwaj papieże, rzymski i awinioński, powinni ustąpić a sobór ma wybrać nowego, była już na to powszechna zgoda. Chociaż Francya miała u siebie swojego papieża, sprzykrzyła się jej schyzma. W roku 1408 wezwał rząd francuski monarchów, żeby się

ogłosili neutralnymi, to jest żeby nie uznawali ani rzymskiego papieża, ani awiniońskiego, a ci z kardynałów obydwóch obedyencyi, którzy się godzą na wyższość soboru, urządzą sobór i dokonają nowego wyboru. Dnia 25 marca 1409 r. zagaili rzeczywiście kardynałowie sobór we Włoszech, w mieście Pizie. Zjazd był nieliczny, biskupów niewielu i tylko trzynaście uniwersytetów przysłało swych przedstawicieli. Było tam i polskie poselstwo z biskupem krakowskim, Piotrem Wyszem, na czele; był też rektor naszego uniwersytetu, Eljasz z Wąwelnicy. Złożono z godności tamtych obydwóch papieży, a wybrano nowego: Aleksandra V. Był ten nowy papież z zakonu franciszkańskiego, bywał za lat młodszych misyonarzem na Rusi, znał język ruski, a Jagielle był osobiście znajomy.

O jednem przepomniano. Nikt nie przypuszczał, żeby tamci papieże mogli nie poddać się uchwale soboru pizańskiego. Tak się jednak stało i było odtąd jeszcze gorzej, bo aż trzech papieży: rzymski, awinioński i soborowy. A prawdziwym następcą Piotra św. był ciągle tylko rzymski, Grzegorz XII. Papież soborowy, Aleksander V., zmarł następnego roku 1410, ale kardynałowie jego wybrali zaraz następcę w osobie Jana XXIII.

Większość monarchów i państw uznawała już tylko soborowego papieża. I Polska porzuciła obedyencyę rzymską, a przystała do Jana XXIII. Ale przez to sprawa nie była wcale załatwiona, a Kościołowi groził straszny upadek, gdyby tak każdy rząd, każdy biskup mógł sobie dowolnie wybierać papieża i przenosić się z jednej obedyencyi do drugiej. Nalegano więc na Jana XXIII., żeby teraz sam zwołał sobór, celem ostatecznego usunięcia schyzmy i reformy urządzeń kościelnych. Dnia 9 grudnia 1413 wydał też ten papież bullę zwołującą sobór do Kostnicy, który po wstępnych przygotowaniach zagajono uroczyście w listopadzie 1414 r.

HUSYTYZM.

Miał ten sobór rozstrzygać także o wątpliwościach w wierze, z powodu herezyi. Z końcem XIV. wieku nauczał w Anglii teolog Jan Wiklef, że kapłan pozostający w grzechu śmiertelnym traci moc swego urzędu, póki się z grzechu nie oczyści. Tłumaczył się

tem, że przecież tylko ludzie świątobliwi powinni być kapłanami i lepiej będzie, jeżeli się grzesznym księżom odejmie władzę. Na pozór brzmi to bardzo ładnie, ale jakie z tego praktyczne następstwa? Któż ma osądzać, czy ksiądz zgrzeszył, czy nie? Nigdy nie możnaby wiedzieć, czy ważny był Sakrament Ołtarza, rozgrzeszenie przy spowiedzi, czy biskup ważnie udzielił bierzmowania, czy papież prawnie wydał bullę. Na całym świecie nie byłoby ani jednej Mszy św., o której możnaby na pewno twierdzić, że jest rzeczywiście ustanowioną przez Zbawiciela ofiarą, bo któż zaręczy, czy odprawiający ją kapłan nie jest w stanie grzechu śmiertelnego? Na całym świecie nie mogłoby być ani jednego kapłana, pewnego mocy swego wyświęcenia, bo nuż biskup był w grzechu, gdy go wyświęcał, a więc święcenia nie ważne? Z nauki Wiklefa wyniknęłaby taka praktyka, że nie byłoby całkiem ani księży, ani Sakramentów, nie byłoby zgoła Kościoła. Nauczał też, że Kościół nie powinien posiadać dóbr ziemskich. I to na pozór bardzo ponętne, ale w praktyce wyszłoby na to, że Kościół nie mający nic swego, skazany tylko na jałmużnę, byłby dopiero zależny, co się zowie, od bogatszych!

Błędy Wiklefa szerzyły się jednak w zachodniej Europie, a około roku 1400 pojawiły się w Pradze. Tutaj przypadła ta nauka bardzo do przekonania profesorowi teologii, mistrzowi Janowi Husowi. Rozszerzył on ją jeszcze bardziej i przydał jeszcze dwa twierdzenia. Wznowił potępioną już dawno naukę, że Komunia św. musi być pod obiema postaciami, że więc trzeba koniecznie i świeckim podawać kielich. A co miano robić w dalekich północnych krajach, gdzie wino nietylko nie dojrzeje, ale nawet nie rośnie? Co ma począć misyonarz, gdy się dostanie do kraju, w którym nawet nie wiedzą, co to jest wino? — nad tem się nie zastanowił. Pomimo swej szalonej niepraktyczności zyskiwała jednak nauka Wiklefa i Husa wielu zwolenników wśród Czechów, a to dlatego, że sama osoba Husa bardzo była lubiana. Mistrz Jan Hus stał bowiem na czele narodowego ruchu czeskiego. Jestto prawdziwem nieszczęściem Czech, że ten sam Hus popadł w niezgodę z Kościołem, a Czechom tak się potem pomięszały sprawy narodowe z religijnemi, że nie mogli odróżnić jednego od drugiego i narazili ostatecznie na szwank i to i tamto.

Czeskie społeczeństwo wspaniale się rozwijało i widzieliśmy,

jak nam Polakom od nich przyszło czerpać światło nauki. Nie dali dynastyi Luksemburskiej zamienić swego kraju na prostą prowincyę dynastycznego państwa. Mądry Karol IV., współczesny Kazimierza W., bardziej też dbał o Czechy, niż o całe Niemcy, a za jego następcy, niedołężnego Wacława, sami się rządzili, jak my pod Ludwikiem. Czesi narzucali teraz dynastyi swoją narodową politykę, a pierwszem ich hasłem było: precz z niemiecką przewagą! Dlatego też tak chętnie zaciągali się przeciw Krzyżakom na ową wielką wojnę.

Niemcy chcieli mieć przewagę nawet w uniwersytecie praskim. Hus całkiem słusznie pragnął zapewnić na czeskiej ziemi przewagę Czechom, ale był bardzo słabym politykiem i zabrał się do zmiany statutów uniwersyteckich tak gwałtownie. że w roku 1409 wszyscy cudzoziemcy, kształcący się w Pradze, nagle opuścili to miasto i wywędrowali do Niemiec, do Lipska, gdzie margrabia miśnieński założył dla nich nowy uniwersytet. Przy całej dobrej woli, miał jednak Hus dwie wady, które sprawiały, że najlepsze jego chęci wychodziły ciągle na szkodę narodu: gwałtowność i upór. Ale ta gwałtowność podobała się właśnie ogółowi. Nienawiść do Niemców zaślepiała ich tak, że byle Niemcom dokuczyć, nie baczyli już, czy nie działają na własną szkodę. Tłumaczy się to dostatecznie tem, że Niemcy dali się już wszystkim aż nazbyt we znaki. Powstała na nich straszna zaciekłość, na którą, niestety, zasłużyli w zupełności. Ale w zaciekłości tej stracili Czesi główny przymiot, niezbędny do skutecznego zwalczenia wroga: przezorność. Nie bacząc na nic, szło stronnictwo radykalne za Husem już we wszystkiem, na ślepo, nawet w sprawach religijnych. Biskup praski rzucił na niego klątwę w r. 1412; pomimo to zbiegały się całe tłumy nadal na jego kazania i pozostał uznanym wodzem stronnictwa, które od jego imienia husyckiem zwać poczęto.

Wezwano go przed sobór w Konstancyi, żeby albo się wytłumaczył, albo odwołał swe błędy. A było tych błędów coraz więcej, gdyż począł też mylnie nauczać o spowiedzi i odpustach. Hus gotów był stawić się przed soborem, gdyby mu zaręczono bezpieczeństwo osoby. Zaręczył mu to Zygmunt Luksemburczyk, jako cesarz i świecki zwierzchnik Kostnicy; należało bowiem to miasto wówczas do cesarstwa. Hus pojechał, ale przekonać się nie dał, odwołać swej nauki nie chciał, pomimo przedstawień

i próśb i rodaków swoich i Polaków. Zwłaszcza biskup poznański, Andrzej Laskarz z Gosławic, do ostatniej chwili odwiedzał go, lecz napróżno. Potępiono więc ponownie mylną naukę, uznano go kacerzem i — stosownie do ówczesnych praw — oddano w ręce władzy świeckiej, t. j. cesarza. Hus był nie jego poddanym, lecz jego brata, króla czeskiego, Wacława; a zresztą Zygmunt sam zaręczył mu bezpieczeństwo osoby w Kostnicy. Pomimo to skazano go na śmierć i okrutnym owych czasów zwyczajem spalono żywcem na stosie w lipcu 1415 r. w Kostnicy. Nie sobór wprawdzie skazał go na stos, ale spalono go wobec soboru, a nikt nie widział w tem nic zdrożnego. Było powszechne przekonanie, że kacerzowi to się należy. Od stosu Husa powstał strażny pożar wojen religijnych, które przez lat blisko dwadzieścia wstrząsały środkową Europą. W Czechach nastało powszechne oburzenie z powodu wyroku kostnickiego. Stronnictwo husyckie zacięło się tem bardziej i postanowiło przeprowadzić zasady Husa choćby wojną domową. W Pradze wybuchło powstanie, a gdy w r. 1419 po śmierci Wacława Zygmunt chciał objąć tron czeski w dziedzictwie, powstała ogólna niechęć przeciw zabójcy Husa. Zygmunt musiał zaraz po koronacyi uciekać z Czech, a gdy chciał tron odzyskać przemocą, powstały z tego straszne wojny, husyckiemi zwane.

SOBÓR KOSTNICKI (1414 - 1417).

Czesi i Polacy trzymali się na soborze razem i wzajem sobie pomagali, ubolewając nad sprawą Husa. Sobór był świetny; nie taki, jak w Pizie. Było na nim 33 kardynałów, 5 patryarchów, 47 arcybiskupów, 228 biskupów, około 500 prałatów i przeszło 5.000 uczonych stanu duchownego, nadto mnóstwo osób świeckich. Pozjeżdżali się monarchowie i książęta, poselstwa od wszystkich państw katolickich, poselstwa nawet z Azyi i z Afryki; 37 uniwersytetów przysłało swych delegatów. Zebrały się na jednem miejscu najtęższe rozumy europejskie. Toteż sobór ten był zarazem i wielkim kongresem politycznym i największym zjazdem naukowym, jaki kiedykolwiek widziano. Nie można było wówczas podróżować bez orszaku, i to zbrojnego. Toteż wraz z orszakami i służbą przybyło do Kostnicy około 60.000 osób. Same poselstwa polskie obliczano na ośmset koni.

Soborowi temu udało się usunąć schyzmę papieską. Złożono z godności Jana XXIII., obranego w Pizie, a nie wybrano po nim zrazu żadnego następcy. Grzegorz XII., papież rzymski i jedyny prawdziwy, zrzekł się dobrowolnie tyary, żeby uprościć sprawę. Największa trudność była z awinionskim Benedyktem XIII.; gdy go się Francya wyparła, przeniósł się do Hiszpanii, i nie chciał ustąpić z obedyencyi tego jedynego już kraju, jaki mu pozostał. Dopiero w 1417 r. wypowiedziała mu wreszcie i Hiszpania posłuszeństwo, a przezorny sobór teraz dopiero w lipcu 1417 r. ogłosił go wiarołomcą i schyzmatykiem. Czekano jeszcze i potem cztery miesiące, czy się gdzie nie odezwie jaki głos z uznaniem dla którego z trzech byłych papieży. Dopiero, gdy się przekonano, że nikt nigdzie żadnego z nich za papieża już nie uważa, że jest na to wszędzie zgoda, że papieża teraz niema, postanowiono odbyć konklawe, t. j. wybór nowego papieża. Dnia 11 listopada 1417 r. wybrano Marcina V., który uważał się za następcę Grzegorza XII. i po soborze zamieszkał w Rzymie. Był ten papież bardzo życzliwy sprawie polskiej. Potwierdził postanowienie Jana XXIII., mianujące Jagiełłę i Witołda wikaryuszami Kościoła rzymskiego na ruskie rzeczpospolite nowogrodzką i pskowską, a mianował ich nadto opiekunami biskupstwa dorpackiego w Inflanciech, czemu Krzyżacy nie byli radzi.

Polskie poselstwo wjechało uroczyście do Kostnicy dnia 29 stycznia 1415 r. Najwybitniejsze były między polskimi pełnomocnikami trzy osoby: Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, mieszczańskiego pochodzenia, który lubował się w przepychu, a podróżując wiele w sprawach soboru chciał i zewnętrznym blaskiem szerzyć sławę imienia polskiego. Wyjednał on u soboru dla arcybiskupstwa swego godność prymasowską, tj. że każdorazowy arcybiskup gnieźnieński ma być naczelnikiem całej polskiej prowincyi kościelnej, chociażby powstały inne jeszcze arcybiskupstwa (było już lwowskie) lub choćby który inny biskup został nawet kardynałem. Uczonością odznaczało się najbardziej dwóch posłów: biskup poznański Andrzej Laskarz i Paweł z Brudzewa, Włodkowicem zwany po ojcu swym, Włodzimierzu, rektor krakowskiego uniwersytetu. Obydwaj oni kolegowali dawniej ze sobą na uniwersytecie w Padwie i uczyli się tam u słynnego prawnika Zabarelli,

który potem został biskupem i kardynałem; spotkali się z nim na soborze i dużo nowych dzieł naukowych nabyli za jego pośrednictwem i do Krakowa przesłali. Spotkali się też w Kostnicy ze sławnym Czechem Rwaczką, u którego Paweł z Brudzewa uczył się też za młodu w Pradze. Drugim najuczeńszym Czechem na soborze był teolog i prawnik Stefan Palecz. Czesi ci dzielnie pomagali naszym przeciwko Krzyżakom, i należy im się w dziejach narodu polskiego wdzięczne wspomnienie.

Przypomnijmy sobie, jak jesienią 1414 r. nakłonił legat papieski Polaków, gdy rozejm zawierali w Brodnicy, żeby spór z Zakonem zdali na sąd soboru. Spór ten tylko mieczem mógł się już rozstrzygnąć, ale soborowi nie można było odmówić, a przytem dobrze było, że przedstawiciele wszystkich narodów dowiedzą się przy tej sposobności trochę prawdy o Krzyżakach. Już 11 maja 1415 r. wyznaczył sobór komisyę do tej sprawy, a na czele jej stał kardynał Zabarella.

PAWEŁ BRUDZEWSKI.

Krzyżacy powoływali się na dawne przywileje cesarzów, lubiących rozdarowywać to, czego sami nigdy nie mieli, że wszystkie ich posiadłości przez cesarzów są im przyznane. Powoływali się nadto na przywilej papieża Grzegorza IX. z r. 1234, nadający im wszystkie ziemie, jakie tylko na poganach zdobędą[1]). Twierdzili też, że Żmujdź jeszcze jest pogańska. I nie brakło jeszcze zwolenników starego poglądu, że poganie wyzuci są ze wszelkiego prawa. Nawet między świecznikami Kościoła, między kardynałami, znalazł się jeden, Henryk de Susa, który twierdził, że od Chrystusa Pana wszelkie prawa nad niewiernymi przeszły na chrześcijan. Wynikało z tego, że poganie są niewolnikami niejako i własnością chrześcijan, którą wolno rozrządzać dowolnie, tudzież, że wolno nawracać mieczem. Ależ w takim razie religia chrześcijańska nie byłaby lepszą od mahometańskiej, bo tam także powiedziano, że „niewierny“ (giaur) jest od tego, żeby był podnóżkiem wyznawców

[1]) Udzielając tego przywileju papież Grzegorz IX. nie działał ani w sprawie wiary, ani obyczajów, lecz w sprawie politycznej; a w tem mógł pomylić się i zbłądzić, jak każdy człowiek.

Mahometa, a nawracanie mieczem polecone jest, jako wielka zasługa; nie byłaby lepszą od religii żydowskiej, bo żydzi tylko swoich uważają za bliźnich.

Przeciw takim szczególnym zapatrywaniom wystąpił rektor krakowski, doręczając dnia 5 lipca 1415 roku napisaną umyślnie uczoną rozprawę „O papieskiej i cesarskiej władzy względem niewiernych". We wstępie powiada dzielny rektor: „Przyjęli Polacy do siebie Krzyżaków, żeby im tarczą byli, a oni drapieżcy w bicz się zamienili". Twierdzi dalej, że poganie mają prawo do życia i rozwoju zupełnie tak samo, jak chrześcijanie i skoro tylko niema od nich niebezpieczeństwa, nie wolno ich kraju pustoszyć, ani ludności ich tępić; nie wolno ich mienia rabować, a już stanowczo nie godzi się zmuszać ich do chrztu wojną i prześladowaniem, bo „wiara niema być z przymusu", jak się wyraził (po łacinie dosłownie: *fides ex necessitate esse non debet).* Ani cesarz, ani nawet papież nie mają prawa upoważniać do prześladowania pogan; boć poganin bliźni i stoi pod ochroną prawa boskiego. Nieważne przeto są wszystkie te dokumenty papieskie i cesarskie, na które się Krzyżacy powołują. Wszystkie wojenne wyprawy Krzyżaków na pogan, przez których sami nie byli zaczepieni, były niegodziwością. Co zaś do stosunku władzy cesarskiej a papieskiej, uważał Paweł z Brudzewa cesarza „ministrem w rzeczach ziemskich, mającym swą władzę od papieża".

Dowiedziawszy się o tem obecny w Kostnicy Zygmunt Luksemburczyk, wezwał przed swój cesarski majestat posłów polskich na uroczyste posłuchanie, na które zaprosił też pełnomocników krzyżackich i wielu członków soboru i tak publicznie zapytał ich, czy uznają nad sobą zwierzchnictwo „świętego rzymskiego cesarstwa narodu niemieckiego"? Przypominało to czasy Bolesława Krzywoustego! Polacy zwierzchności niczyjej uznać nie mogli, jak chyba tylko papieską w sprawach wiary i obyczajów, ale poza tem byli sami sobie panami.

Dali posłowie nasi znać do kraju, że Zakon twierdzi, że Żmujdź jeszcze jest pogańska. Czekała Krzyżaków niespodzianka. Dnia 28 listopada 1415 r. wjeżdża do Kostnicy sześćdziesięciu rodowitych Żmujdzinów i przedstawia się soborowi, żeby zebrani z całego świata biskupi przekonali się, kto mówi prawdę. Sobór nie wie-

dział, co na to powiedzieć. Można było zarzucić, że owych sześćdziesięciu sztucznie zebrano. Polacy proszą, żeby sobór wyprawił na Żmujdź swych delegatów; niechby się sami tam na miejscu przekonali o prawdzie. I tak się stało. Pojechał aż na Żmujdź kardynał Jan Domenici, arcybiskup dubrownicki (w Dalmacyi) z całą komisyą duchowną. Wróciwszy podał soborowi wniosek, żeby Zakonowi niemieckiemu udzielić publicznie urzędowej nagany! Ale ujął się za Krzyżakami cesarz, żeby im nie robić takiego wstydu przed całą Europą.

HASŁO WYTĘPIENIA POLAKÓW (1416).

W lutym 1416 roku wnieśli Polacy urzędowo nowe skargi na Zakon, głównie z powodu częstych naruszeń granicy. Wiedziano dobrze, że musi być znowu wojna, ale nie chciano jej prowadzić podczas soboru, a przynajmniej nie wcześniej, aż sobór uzna, że słuszność jest po stronie polskiej. Przyjęto więc pośrednictwo cesarza, bawiącego podówczas w sprawach soboru w Paryżu. Pojechali do Paryża w kwietniu 1416 roku pełnomocnicy obydwóch stron; z naszych pojechał sam arcybiskup Mikołaj Trąba. Przedłużono rozejm brodnicki do 12 lipca 1417 r.

W Paryżu pokazali Francuzi arcybiskupowi pamflet na Jagiełłę i Polaków, ohydne pismo oszczercze, puszczone w obieg przez Krzyżaków. To Henryk Plauen, nie mogąc już wojować orężem, wojował oszczerstwami. Z jego wiedzą napisał o Polsce kłamliwą książkę Dominikanin, Jan Falkenberg, Niemiec, używający w swym zakonie smutnej zresztą opinii nieszczególnego zakonnika. Był to pamflecista z rzemiosła. Przebywając przez jakiś czas w krakowskim klasztorze, ułożył tu pierwszy swój pamflet i to na tak poważanego w świecie człowieka, jak Mateusz z Krakowa, profesor w Pradze, w Heidelbergu, biskup w Wormacyi, poważany przez samych Niemców. Potem w Kostnicy pisał na kanclerza paryskiego uniwersytetu, Gersona, i na sławnego teologa francuskiego, Piotra d'Ailly. Teraz zaciął sobie pióro na Polskę. W piśmidle swojem nie bardzo się jednak troszczył o to, czy mu ludzie uwierzą, bo strasznie przesadził w oszczerstwach i popisał śmieszne dziwolągi. Pisze, że Polacy są poganami i czczą bożka, który się nazywa Jagiełło; dla tego Jagiełły wyparli się oni Chrystusa i są to „psy

bezwstydne, którzy wrócili do odmętu niewiary". Cała Europa powinna więc wyruszyć na krucyatę przeciw Polakom. Każdego Polaka wolno zabić bez grzechu, a nawet będzie to zasługą przed Bogiem, dostojnikom zaś i książętom polskim należą się szubienice i trzeba ich powywieszać dla dobra chrześcijaństwa.

Tak więc niemieckie hasło „wytępić Polaków" rozbrzmiało po raz pierwszy nie dopiero za naszych czasów, ale już w roku 1416. Wytępili Niemcy Obotrytów, Lutyków, Połabian, wytępili Prusaków, czemużby nie mieli chcieć wytępić i innych, a przedewszystkiem Polaków i Czechów? Nie brakło ochotnych do usłuchania rad Falkenberga, ale Polak wtedy bronić się umiał, a moralność w Europie stała jeszcze na tyle wysoko, że publicznie przynajmniej nikt Falkenbergowi nie śmiał przyklasnąć, podczas gdy dzisiaj... siedzą tacy Falkenbergowie na profesorskich katedrach! W całym soborze było oburzenie na plugawe zuchwalstwo paszkwilanta, gdy Mikołaj Trąba przywiózł z Paryża jego rozprawkę. Uwięziono go na żądanie Polaków, a z całego soboru ujął się za nim jeden tylko człowiek, Mikołaj von Dinkelsbühl, profesor wiedeński. Wyznaczono do zbadania tej książki osobną komisyę, której przewodniczył znowu kardynał Zabarella; komisya uznała książkę za „fałszywą i błędną, tudzież jawnie do herezyi się skłaniającą". Potępiono szereg ustępów i twierdzenie, że Polaków należy wytępić; Falkenberg to odwołał, więc go wypuszczono z więzienia. Mogli byli Polacy na tem poprzestać, ale urażeni, żądali jeszcze, żeby cały sobór, na ogólnem posiedzeniu, a nietylko komisya, potępił tę książkę, a Falkenberga uznał kacerzem. Żądali za dużo o tyle, że jakżeż miał sobór traktować pamflet, jakby jakie poważne dzieło i wydawać wyrok o kacerstwo? Wystarczyło, że komisya orzekła, że piśmidło ku herezyi się skłania, t. j. byłoby herezyą, gdyby zachodziła obawa, że n. p. biskupi niemieccy chwycą się nauki, że tępienie i wieszanie Polaków jest zasługą przed Bogiem. Ale nie było jeszcze wtenczas w Niemczech takiego biskupa!

Napisał Falkenberg jeszcze jedną rozprawę, także „o władzy papieskiej i cesarskiej"; twierdzi, że w sprawach świeckich cały świat ma cesarza słuchać (a więc króla niemieckiego) i znowu powtarza, że Jagiełłę należy pozbawić korony, a Polaków uważać za pogan. Zawtórował mu Jan z Bambergu, doktor prawa, ogłaszając

rozprawę tej treści, że Krzyżacy spełniają mieczem misyę, że ich wyprawy wojenne są zbożnem dziełem. Odpowiedział na to Paweł z Brudzewa pismem „O Zakonie Krzyżaków i wojnach z Polakami“, gdzie odsłania przed światem, czem na prawdę są Krzyżacy, a broni ludzkich, przyrodzonych praw pogan. Niektórych wywodów dostarczył mu do tej pracy przyjaciel nasz wierny, Maurycy Rwaczka.

Sprawa Falkenberga roznamiętniała umysły. Pełnomocnicy polscy chcieli koniecznie, żeby cały sobór uznał go heretykiem i domagali się tego w gwałtowny sposób, zaburzając nawet przez to spokój na ostatniem ogólnem posiedzeniu soboru, potem na publicznym papieskim konsystorzu, wdzierając się nawet do papieskiego mieszkania. Nie zawahali się przed niczem i doprowadzili do tego, że Falkenberga uwięziono na nowo, że nowa jeszcze komisya uznała jego pracę „błędną, gorszącą, okrutną“, a co do pytania, czy dziełko jest kacerskie, postanowiono dalsze śledztwo, tymczasem zaś zatrzymano autora w więzieniu. Papież twierdził, że posłowie polscy gwałtownem swem postępowaniem działają wcale nie po myśli Jagiełły i Witołda. Widocznie tedy król i wielki książę gotowi byli poprzestać na wyroku komisyi i na tem, że Krzyżacy stanęli przed opinią całej Europy w nieszczególnem świetle. Rzeczywiście bowiem pamflet Falkenberga wyszedł tylko na dobre Polsce i Litwie, bo wielkie, ciężkie oskarżenia skłoniły ludzi do badania prawdy.

Podczas tej wojny na pióra okazało się, co Polska dla chrześcijaństwa robi, chociaż nie wojuje mieczem pod płaszczykiem nawracania. Deputacya Żmujdzinów, ochrzczonych nie przez Zakon, lecz przez Polaków, była gromem na krzyżackie głowy. Dnia 19 lutego 1418 roku wjechała do Kostnicy inna jeszcze deputacya, także z ramienia rządu polskiego. Oto wjeżdżał metropolita kijowski Cembłak z licznym orszakiem, w towarzystwie dzielnicowych książąt ruskich, ażeby zawrzeć unię kościelną z Rzymem i uznać rzymskiego papieża głową kościoła powszechnego. Polacy wprowadzili go przed tron papieski, arcybiskup i prymas nasz Mikołaj Trąba, i biskup płocki, Jakób, a mowę w imieniu Rusi wygłosił Rwaczka. I tak w owym dniu stali obok siebie Polacy, Rusini, Czesi, zjednoczeni w jednem dziele. Sobór kostnicki nie załatwił niestety sprawy unii. Cembłak zmarł następnego roku i nie miał

następcy. Pogodził się bowiem z Witołdem ów Focyusz, przeciw któremu wybrano niegdyś Cembłaka. Uznały go wszystkie eparchie litewskie i czerwonoruskie, on zaś odbywał po nich podróże wizytacyjne. Był znowu na całej Rusi jeden metropolita; łudzono się, że może z czasem nawet Moskwa oswoi się z myślą o unii i dlatego nie chciano jeszcze zupełnie zrywać cerkiewnego związku z nią. Focyusz zaś nie był już takim wrogiem katolicyzmu, jak przedtem, gdy się przekonał, że papież nie żąda zmiany obrządku; nowy zaś cesarz bizantyński, Jan VII., który nastał w roku 1425, był o wiele skłonniejszy do unii od swego ojca. Focyusz rządził cerkwią ruską aż do swej śmierci w roku 1431.

Sobór kostnicki załatwił tylko jedną sprawę, t. j. schyzmę papieską; nie przeprowadził jednak ani reformy urządzeń kościelnych, ani też nie załatwił sprawy unii cerkiewnej, ni sporu Polski z Krzyżakami. Spaleniem Husa uraził tylko Czechów i dolawszy oliwy do ognia, wywołał szereg strasznych wojen, pełnych okrucieństw. Zawiodły nadzieje, które polski świat naukowy przywiązywał do tego soboru; a jednak uczeni nasi obstawali nadal przy nauce o wyższości soboru nad papieżem.

WOJNY: ODWROTOWA I GOŁUBSKA (1419, 1422).

W sprawie krzyżackiej przywieziono ze soboru przedłużanie ustawiczne rozejmu z roku na rok. Z początkiem roku 1417 przedłużono go do 12 lipca 1418 r., znowu za pośrednictwem cesarza Zygmunta; potem znowu na rok w Brześciu kujawskim w kwietniu 1418 roku. Wtenczas wyznaczył papież delegatów swoich do zawarcia pokoju, dwóch biskupów, z Dalmacyi ze Splitu i z Włoch z miasta Lukki. Odbyły się w tym czasie dwa „zjazdy ugodowe“; jeden w październiku 1418 roku w Wieluniu, na który przyjechali osobiście i Jagiełło i Wielki Mistrz, drugi w obecności papieskich wysłanników w Gniewkowie w r. 1419. Nie mogło się to wszystko zdać na nic, bo Polska żądała zwrotu zagrabionych swych ziem, a Krzyżacy musieliby w takim razie ustąpić połowy swego państwa; na to mieli dosyć czasu, aż będą wojną do tego zmuszeni. Wiedziano też dobrze, że musi być jeszcze jedna wielka wojna. Polacy twierdzili słusznie, że Zakon jest od tego, żeby bronić chrześcijan przed poganami, a skoro tu ich niema, powinni się więc Krzyżacy przenieść tam, gdzie poganie są. Zagrażało południowej

Europie niebezpieczeństwo od Turka; chcieli więc polscy statyści żeby się w tamte strony przenieśli niemieccy rycerze, mianowicie na wyspę Cypr, na morzu Egejskiem pomiędzy Europą a Azyą i mieli zupełną słuszność. Przeciw temu gotowi byli Krzyżacy bronić się do upadłego. Na pograniczu wszystko wrzało, społeczeństwo polskie rwało się do wojny. Wśród tego zdarzyło się, że komturowie na pograniczu dopuścili się gwałtów; gdy więc zjazd gniewkowski spełzł na niczem, wypowiedziano im wojnę. Już zebrały się wojska litewskie i polskie, już stanęły na granicy pod Bądzyniem, gdy wtem nowy delegat papieski, arcybiskup medyolański Kapra, zjechał niespodzianie i wzywał do zgody. Jagiełło powolny wezwaniu Głowy Kościoła przystał na rozejm do lipca 1420 roku. Cesarz Zygmunt Luksemburczyk żądał, żeby się zdać na jego sąd polubowny. Przystano i na to. Wiedziano już z historyi, że to i tak niema żadnego znaczenia; sądzono zaś, że cesarz będzie mieć w sobie na tyle uczciwości, żeby jako sędzia nie wchodzić w konszachty z jedną ze stron, które ma sądzić. Ale cesarz był stale wrogiem Polski, czasem jawnym, a czasem podstępnym, przyjaźń udającym. Wrócono z nad pruskiej granicy, nawet jej nie przekroczywszy. W kraju było o to dużo niechęci na dwór królewski, a głos publiczny nazwał tę wyprawę 1419 roku szyderczo „odwrotową". Żal było, że nie spróbowano na krzyżackich karkach miecza już wydobytego! Żal zwiększył się, gdy Zygmunt Luksemburczyk wydał w styczniu 1420 roku we Wrocławiu wyrok, skazujący Polskę na zrzeczenie się raz na zawsze Pomorza, ziemi chełmińskiej i Żmujdzi w zamian za 25.000 dukatów odczepnego! Witołd zawierał sojusze przeciw Zakonowi z królem duńskim Erykiem i z Wielkim Księciem moskiewskim, zbrojono się na nowo powszechnie, gdy wtem sprawy czeskie zajęły w zupełności politykę polską. Wybuchła wprawdzie znowu wojna w roku 1422, zwana gołubską, ponieważ głównym wypadkiem w niej było zdobycie grodu Gołubia w chełmińskiej ziemi, ale wojna ta trwała tylko siedm tygodni, przerwana, bo Polacy potrzebowali pokoju, żeby się zająć spokojnie sprawami czeskiemi. Zawarto wtenczas już nie rozejm, lecz pokój nad jeziorem Melnem, stąd zwany melneńskim. Uzyskano na Krzyżakach kilka grodów granicznych i to, że się przynajmniej Żmujdzi zrzekli i nie żądali już, żeby kraina ta przeszła po śmierci Jagiełły i Witołda pod panowanie Zakonu. Wytoczono też Krzy-

żakom nowy proces kanoniczny, tj. według prawa kościelnego o to, że stracili prawo do Pomorza, skoro nie wypełniają warunków pokoju kaliskiego z roku 1343, t. j. nie płacą lennej daniny, ani nie dają zbrojnych posiłków Koronie. Dokument krzyżacki na to skradziony był i sprzedany Krzyżakom jeszcze przez Władysława Opolczyka; udało się zebrać skądinąd dowody, że Pomorze pozostało lennem Korony polskiej, podniesiono więc obecnie tę sprawę na nowo.

PRZYWILEJ CZERWIŃSKI (1422).

Podczas wojny gołubskiej w r. 1422, gdy pospolite ruszenie było we wsi mazowieckiej Czerwińsku, zamieniło się ono ze zgromadzenia wojskowego na obradujące, polityczne. Jak niegdyś wieców sądowych, użyto teraz pospolitego ruszenia do narad, bo też przy żadnej innej sposobności nie było tyle szlachty razem. Sejmiki nie miały prawa inicyatywy, a szlachta miała rozmaite i to zupełnie słuszne swoje żądania. Chciano znieść wszelkie daniny i ciężary w naturze, wszelkie świadczenia służebne na rzecz państwa, żeby tylko podatkiem, wypłacanym gotówką, opędzać państwowe potrzeby; bardzo słuszne żądanie, skoro obrót pieniężny już się wzmógł dostatecznie. Żądano, żeby nie można było nikomu skonfiskować majątku inaczej, jak tylko za wyrokiem sądowym; również bardzo sprawiedliwa myśl. Żądanie trzecie, żeby nie można było być w jednej osobie i sędzią ziemskim (nad szlachtą) i starostą grodowym, świadczy zaszczytnie o tem pokoleniu. Oddzielenie sądownictwa od administracyi jest fundamentem sprawiedliwości, toteż uchwała ta jest wielkim postępem w rozwoju prawa polskiego. Pozostawiono tylko jeszcze sądownictwo administracyjne do ciężkich zbrodni, takich, na które mogła być kara śmierci; zwano je sprawami gardłowemi. To wszystko król przyjął i zatwierdził zaraz na miejscu i to jest t. zw. przywilej czerwiński. W następnym roku 1423 zjazd dostojników całego państwa w Warcie zajmował się prawem spadkowem, opieką nad małoletnimi i nadzorem ksiąg sądowych. Nie domagała się tedy wówczas szlachta żadnych szczególnych praw stanowych dla siebie, ale wywalczała sobie stopniowo prawa, które my dziś uważamy za całkiem naturalne, takie, bez których nie umiemy sobie dzisiaj nawet wyobrazić państwowego po-

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO BIBLIOTEKA

rządku. Nie psuła ona jeszcze niczego w państwie, ale owszem, poprawiała ustrój państwowy, doskonaliła go.

Przywilej czerwiński jest nader chwalebny, ale niebezpieczny był sposób, w jaki go otrzymano. Narady obozowe musiały rozluźniać karność wojskową, a zamieniając wojsko na jakiś olbrzymi sejmik, mogły się łatwo wyrodzić w klątwę i plagę wypraw wojennych. Toteż najpilniejszą sprawą rozwoju polskiego prawa było odtąd, żeby szlachcie dać jakąś instytucyę prawną do obrad w imieniu wszystkich ziem polskich, z prawem inicyatywy, żeby nie radzili po obozach nad swoją dolą i niedolą. Minęły dwa pokolenia, nim to obmyślano.

ORZECZENIE PADEWSKIE.

Tymczasem zaś po wojnie gołubskiej i pokoju melneńskim toczyła się dalej wojna na pióra, korzystna dla nas o tyle, że zjednała nam opinię wśród uczonych europejskich. Polacy zwrócili się do papieża Marcina V. z prośbą, żeby rozpatrzył wyrok wrocławski, przypominając, że już w r. 1339 wydał papież wyrok, przyznający słuszność Polsce. Jeździł w tej sprawie do Rzymu znowu Paweł z Brudzewa, najznakomitszy z polskich uczonych i jeden z największych w Europie i ogłosił we Włoszech książkę „Zwalczenie krzyżackich przywilejów“. Zajęli się tym sporem teraz włoscy uczeni prawnicy, poczęli pisać o tem rozprawy i ku wielkiemu zmartwieniu Zakonu stanęli wszyscy po stronie polskiej. Dnia 4-go marca 1421 r. wydał cały wydział prawniczy uniwersytetu w Padwie, do którego zjeżdżano się z całej Europy na naukę prawa, zasadnicze orzeczenie, że wyrok wrocławski nieważny i że w tym sporze tylko papież mógłby być rozjemcą, a nie cesarz. W listopadzie 1421 roku wysłał Marcin V. na północ swego delegata, Antoniego Zeno, ale Krzyżacy oświadczyli zaraz, że się nie poddadzą jego rozjemstwu. Gdy Zeno rozpoczął proces, nie stawili się pełnomocnicy krzyżaccy i nie przysłali całkiem żadnych świadków ze swej strony. Przesłuchiwano więc tylko polskich świadków, co trwało aż do początku roku 1423 i zebrane w ten sposób świadectwa odesłano do Rzymu. Ponieważ materyał był jednostronny, nie nadawał się do wyroku. Paweł z Brudzewa przypomniał tymczasem w Rzymie sprawę Falkenberga i ostatecznie postawił na swojem. Dnia 17 stycznia 1424 roku zatwierdził papież na publicznym kardynal-

skim konsystorzu wyrok komisyi soborowej, przez co nabrał mocy obowiązującej w Kościele. Falkenberg jeszcze raz odwołał oszczerstwa i teraz dopiero odzyskał wolność. Pojechał do Krzyżaków po zapłatę. Nie było już Henryka Plauena, a Wielki Mistrz Paweł Rusdorf dał mu mizerne cztery grzywny. Za tyle kłopotów i utrapień, które ściągnęła na Falkenberga służba u Krzyżaków, tak mało! Oburzony pismak zemścił się po swojemu. Napisał teraz pamflet na Krzyżaków, jeszcze gorszy od tamtego! Następna wojna z Krzyżakami przypadła zaś niezadługo, w roku 1431.

WEZWANIE NA TRON CZESKI.

W kwietniu 1420 roku przybyło do Polski poselstwo z Czech, ofiarując Jagielle koronę świętego Wacława. Król polski i Wielki książę Litwy miał nadto zasiąść na tronie czeskim, a Ślązk cały miał przejść pod jego panowanie. W olbrzymi jeden ustrój państwowy miały się złączyć Czechy, Polska, Ruś i Litwa; powstałaby potęga polityczna taka, że równej nie było od czasów Karola Wielkiego, a byłoby to mocarstwo słowiańskiem pod polskim przewodem. Niosło to poselstwo dar wspaniały, olśniewający; nie sposób było wymyśleć coś ponętniejszego, polskim sercom pożądańszego. A jednak daru tego nie można było przyjmować bez zastrzeżeń.

Początkiem całej sprawy był husytyzm, a więc herezya, potępiona przez sobór kostnicki. O Husa począł się opór przeciw Zygmuntowi Luksemburczykowi; z powodów, pozostających w najściślejszym związku z husytyzmem, nie dopuszczono go zrazu do rządów. Następnie dopiero stopniowo łączył się z tem wszystkiem ruch narodowy, słowiański, słuszny żal i niechęć do Niemców. Husytyzm nie objął nigdy całych Czech; naród podzielił się pod względem religijnym na dwa obozy, husycki i katolicki, a obozy te stanęły wnet przeciw sobie z bronią w ręku, wszczynając wojnę domową. I jedni i drudzy atoli byli jednako dobrymi Czechami, pragnęli pozbyć się Niemców i zerwać związek polityczny z cesarstwem; łączyli się też chętnie do walki z wrogiem narodu. Ze względów narodowych radzi byli, że husyci strącili Zygmunta z tronu i do powołania króla polskiego w zupełności się przyłączali, chociaż zwalczali husytyzm. Nie przypuszczano z początku, żeby o naukę Wiklefa miała powstać długa bratobójcza walka; mniemano, że uda się jakoś pogodzić husytów z Kościołem. Wśród husyckich

żądań były też takie, na które można było przystać. Tak n. p. herezyą jest twierdzić, że Komunia święta pod jedną postacią nieważna; ale pod obiema także ważna i papież ma prawo orzekać, jak Sakrament Ołtarza przyjmować należy, ma prawo zakazać kielicha świeckim, lub pozwolić. Pojawiło się też żądanie, żeby księża się żenili. Celibat nie jest dogmatem, to także zależy od uznania stolicy apostolskiej; wolno bez grzechu o tem rozprawiać, niewolno tylko małżeństwa takiego zawrzeć bez pozwolenia papieża. Żeby się jak najbardziej odczepić od Niemców, domagano się wyrzucenia łaciny z nabożeństw, a wprowadzenia obrządku słowiańskiego; to już nietrudno uzyskać, bo to samo miało się przyznać Rusinom. Na te trzy żądania mógł papież przystać; żeby ułatwić zgodę z husytami, popierało te żądania nawet bardzo wielu katolików, licząc na to, że gdy Ojciec św. da pozwolenie, odciągną za to nawzajem wielu z obozu husyckiego i skłonią ich do porzucenia tych nauk Husa, które dogmatów się tyczyły i naruszały samą naukę wiary. Były więc w Czechach trzy stronnictwa: prawdziwe husyckie, trzymające się nauki Wiklefa, heretyckie; ściśle rzymsko-katolickie, nie chcące niczego zmieniać w rzeczach kościelnych i stronnictwo zwane „kielichowem“, z łacińska Kalikstynie, pragnące zgody z Rzymem za niektóre możliwe ustępstwa, z których najbardziej domagali się używania kielicha przy Komunii świętej. Wszystkie te trzy stronnictwa zgodne były w nienawiści do Niemców, a zwolenników Zygmunta było tak niewielu, że nawet nie można ich nazwać stronnictwem. Wszystkie trzy pragnęły połączyć się politycznie z Polską, a jednak — było to niemożebne.

Jagiełło nie mógł przyjąć tronu od stronnictwa ściśle husyckiego, bo katolikiem był i Polska katolickiem państwem, a nie frymarczyło się jeszcze wtenczas wyznaniem dla pozyskania korony. Z herezyą Polska nie mogła się łączyć. Nie można też było przyjmować korony od Kalikstynów, póki papież nie udzielił im swego uznania. Nie można jej było przyjąć od stronnictwa katolickiego, bo ono było wobec tamtych dwóch w znacznej mniejszości. Koronę bierze się od całego narodu, a nie od jednej cząstki. Husyci żądaliby od króla, żeby prześladował katolików; katolicy żądaliby wytępienia husytów. Miałżeż król polski przyjmować czeską koronę na to, żeby prowadzić wojnę domową u bratniego narodu? Nie, Czesi musieliby się wpierw sami między sobą

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

pogodzić, a potem dopiero mógł Jagiełło przyjąć tron od całego narodu. Królem czeskim chciał być, lecz nie mógł być królem husyckim, a nie chciał antyhusyckim. Taką była polityka polska i dziś, po upływie już blizko pięciu wieków, należy ją uznać jako sprawiedliwą i rozumną.

Zygmunt Luksemburczyk odrodził się najzupełniej od swego ojca Karola IV.; nienawidził wszystkiego, co słowiańskie. Zawierucha religijna w Czechach była mu pożądana; na rękę mu było, że pod pozorem walki z herezyą wkroczy do Czech z wojskiem i przemocą kraj zdobywszy, stłumi żywioł narodowy czeski. Głosiło się urzędowo, że Zygmunt walczy z husytami, a na prawdę walczyli Niemcy z Czechami. Kiedy Zygmunt, jako król węgierski, miał wojnę z Turkami, posłał mu posiłki polski król, a Niemcy siedzieli cicho; ale na wojnę z „husytami“ garnęły się Niemcy całe i wszystkie a wszystkie niemieckie kraje wystawiały na wyścigi coraz nowe wojska, bo czuły żer słowiański. I tak zwaliła się na Czechy taka nawała niemiecka, jakiej nigdy przedtem jeszcze nie było. Pomięszanie sprawy narodowej z wyznaniową i niefortunna herezya Husa mogły były sprowadzić na Czechy zagładę i — niestety — ostatecznie, chociaż znacznie później, w dwieście lat potem, sprowadziły ją.

W XV. wieku mieli Czesi dzielnych wodzów, którzy rozmaitymi nowymi wynalazkami tak podnieśli sztukę wojenną, że im nikt nie mógł sprostać. Między innemi wynaleźli t. z. tabor, tj. czworobok ustawiony z wozów urządzonych do walki; czworobok taki tworzył ruchomą, posuwającą się twierdzę, wypełnioną załogą i ani razu nie udało się Niemcom zdobyć taboru. Wśród szeregu wybitnych wodzów najlepszym był Żiżka, ten sam, który dowodził pod Grunwałdem czeskimi posiłkami. Ten to Żiżka pobił Zygmunta w listopadzie 1420 pod Wyszegradem, pod Pragą, i zamknął mu dostęp do stolicy.

Już z początkiem roku 1421 stanęło drugie czeskie poselstwo w Krakowie; byli w niem już i katolicy i husyci. Ci chcieli w publicznej dyspucie bronić husyckiej nauki; nie można było na to przystać, bo co raz Kościół potępił, to już nie jest katolickie i obronić się nie da. Sprzyjano w Krakowie Czechom, ale nie herezyi! Byli zresztą w Krakowie czescy uczeni, Rwaczka i Palecz, i sami przestrzegali przed kacerską nauką. Pomimo to wyprawili Czesi

wielkie poselstwo — trzecie z kolei — na Litwę, gdyż tam u Witołda bawił król, w Woranach, na zimowych łowach. Postanowiono próbować, czy się nie uda pogodzić husytów z Kościołem i w imię narodowej walki z Niemcami, w imię powodzenia sprawy czeskiej, skłonić ich do umiarkowania, żeby przynajmniej poprzestali na kalikstyniźmie. Jagiełło i Witołd gotowi byli stanąć na czele słowiańskiego ruchu, a u papieża wyprosić owe ustępstwa nie tyczące się dogmatów. Chodziło tylko o to, czy husyci sami na to się zgodzą i czy się uda powstrzymać grożącą Czechom wojnę domową? Postanowiono zrobić próbę. Sam król nie mógł się narażać na to, żeby go w całym chrześcijańskim świecie okrzyknięto protektorem husytów, co mogło się łatwo stać, gdyby sam przyjął koronę; ani też na to, żeby z mieczem w ręku walczył w Czechach z husytami, gdyby mu koronę potem chcieli odebrać. Powstało już bowiem stronnictwo skrajne, głoszące, że tylko prawdziwy husyta może być królem czeskim, a więc innowierca, porzucający katolicyzm i zrywający z Rzymem; które zaś stronnictwo zwycięży, to było zagadką przyszłości. Ażeby dopomódz stronnictwu umiarkowanemu, nie odmówiono tym razem zupełnie, a z przezorności na wszelki wypadek urządzono się tak: Jagiełło nie przyjmował korony czeskiej, ale przyjmował ją Witołd, dodając jednak warunek, że Czechy pozostaną przy katolickim Kościele, co nie wykluczało ani słowiańskiego obrządku, ani używania kielicha; (wszak jedno i drugie było w metropolii Cembłaka!) skoro się Witołd upewni, że sprawa czeska da się przeprowadzić bez zrywania z Kościołem, pojedzie do Czech na koronacyę, tymczasem zaś posyła na swego namiestnika jednego z młodszych Gedyminowiców, księcia Zygmunta Korybuta. Korybut ma się starać o doprowadzenie Czechów do jedności i pomiędzy sobą i z Rzymem; jeżeli zaś to się zrobić nie da, wszystko przepadnie.

WOJNY HUSYCKIE.

Zwołany do Lublina zjazd dostojników przystał na ten program polityczny. Po zjeździe wyprawiono poselstwo do Zygmunta Luksemburczyka z wezwaniem, żeby się zrzekł korony czeskiej, albo też zawarł z Polską sojusz. Propozycye polskie do tego sojuszu brzmiały ironicznie. Ofiarowano cesarzowi pomoc do odzyskania Czech. W praktyce wyszłoby to tylko na to, że raczej on, Zygmnt,

pomagałby Jagielle, boć jego w Czechach nikt nie chciał! Sojusz miałby na celu zapewnić sobie i Czechom neutralność cesarza! Dodawali jeszcze polscy posłowie, że gdy już na spółkę odzyskają Czechy, ruszą potem na spółkę przeciw Krzyżakom, Polska odbierze sobie Pomorze, ziemie michałowską i chełmińską, a resztą państwa Zakonu, tj. dawnemi Prusami podzielą się Jagiełło z Zygmuntem. Gdyby Zygmunt na to przystał, byłby doprawdy chyba gorącym zwolennikiem Polski i Słowian w ogóle! Na dobitkę było w poselstwie jeszcze jedno zastrzeżenie: żeby Zygmunt dał Jagielle tymczasem na zastaw Ślązk. Ale Zygmunt znalazł odpowiedź niemniej chytrą: Jagiełło był znowu wdowcem. Oświadczając się z wielką przyjaźnią dla króla polskiego podsuwa mu myśl, żeby się ożenił z Ofką, wdową po królu Wacławie, a Ślązk może mieć na wiano. I pewnie dałby chętnie część Ślązka, byle się Polska nie wdawała w sprawy czeskie, byle nie dopuścić do słowiańskiego związku politycznego. Za pomoc do odzyskania Czech wspólnemi siłami dziękował; nie życzył on sobie widzieć w Czechach ani jednego polskiego żołnierza; nie chciał za nic w świecie widzieć ich tam ani w sojuszu, ani bez sojuszu, bo czesko-polska łączność była dla niego największem niebezpieczeństwem. Dawał Ślązk za to, żeby się nie mięszać w te sprawy. Byli tacy, którzy się dali złapać na ten podstęp, a inni radzili udawać, że się przystaje, żeby uśpić tymczasem czujność cesarza. Wysłano do Zygmunta Zawiszę Czarnego, niby celem dalszych układów, a tymczasem robiono przygotowania do wyprawy Korybuta i do małżeństwa królewskiego, ale w całkiem innej stronie, bo w zapusty 1422 r. ożenił się Jagiełło z ruską księżniczką holszańską, Sońką czyli Zofią. Podczas tych kilku miesięcy rozgromili Czesi dwa wojska Zygmunta, a w styczniu 1422 r. zadali mu walną klęskę pod Horą Kutną. W kwietniu wyruszył zaś Korybut na czele 5.000 zbrojnych ochotników do Czech. Przerażony Zygmunt przewidywał, że nie za jego sprawę będą tam walczyć. Równocześnie pisał Witołd do papieża Marcina V. z prośbą, żeby nie ogłaszał krucyaty przeciw husytom, aż on sam popróbuje nawrócić ich na łono Kościoła, aż będzie wiadomość, jak się powiedzie jego namiestnikowi. Niestety, papież wolał pokonać husytów przemocą; dał się zmylić Zygmuntowi, który wysłanie Korybuta przedstawiał, jako sojusz z husytami i przystał na politykę niemiecką. Dopiero potem, gdy kilka takich „wypraw

krzyżowych", a właściwie niemieckich najazdów na zdobycie Czech, skończyło się sromotnemi porażkami najeźdźców, gdy ośmielone tem radykalne stronnictwo poczynało sobie coraz śmielej i rząd Czech zagarnęło w swoje ręce, gdy już było za późno, wtenczas przystał papież na politykę polską i sam prosił Jagiełły i Witołda, żeby się zajęli czeskiemi sprawami. Póki jednakże Korybut miał w Czechach władzę, uznany wielkorządcą królestwa, póki miał pod sobą potężne wojsko, przeszkadzano na każdym kroku jego polityce i nie dopuszczono nawet do żadnych wstępnych układów pomiędzy umiarkowanymi Kalikstynami a Rzymem. Odtrącone stronnictwo traciło coraz bardziej na znaczeniu, a dochodzili do steru ci, którym więcej zależało na wiklefowskiej nauce o odpustach i o ustaniu mocy kapłańskiej, gdy kapłan zgrzeszy, niż na wszystkiem innem. Z tymi trudno było cokolwiek poczynać. Przez to, że papież zagrzewał ciągle Niemców przeciw Czechom, doszło do takiej nienawiści przeciw Rzymowi, że o żadnej zgodzie nie mogło teraz być mowy. Zdawało się, że zwycięstwo narodowe musi się już dokonać kosztem zupełnej klęski katolicyzmu i że na to żadnej już nie ma rady. Korybut tracił zwolenników, Żiżka, stojący teraz na czele narodu, odmówił mu poparcia. Nie chciano już Polaków, skoro nie chcieli być husytami. Wśród takich stosunków najlepiej było Korybuta odwołać. Na Boże Narodzenie 1422 opuszczał Pragę namiestnik Witołda.

Pomimo to zbierał Zygmunt Luksemburczyk koalicyę na Polskę. Obiecywał Krzyżakom, że im da Kujawy, ziemię łęczycką i dobrzyńską, do Węgier przyrzekał przyłączyć Ruś Czerwoną i Podole, ślązkim książętom pozwalał zabrać Małopolskę, a Wielkopolskę związkowi miast w Łużycach, byle tylko pomogli mu na wojnę z Polską. Rozbiór Polski był już po raz drugi obmyślany. Ale nikt nie wierzył w spełnienie tego szalonego projektu na potężnej Polsce! Panowie węgierscy oświadczyli wręcz swemu królowi, że sobie wcale żadnej wojny z Polską nie życzą. Lekkomyślny cesarz musiał nagle dokonać zwrotu i na nowo oświadczał się Jagielle z przyjaźnią i prosił o zjazd. Zjechano się w marcu 1423 r. w Kezmarku na Węgrzech; Jagiełło zaręczył, że nie będzie popierać husytów, a Zygmunt przyrzekał, że już nigdy nie będzie podmawiać Krzyżaków.

Papież wzywał Jagiełłę, żeby zebrał wojsko i ruszył na pomoc

cesarzowi przeciw Czechom. Król chciał pokazać, że Zygmuntowi nie o religię chodzi, ale o pokonanie narodu czeskiego i ujarzmienie go przez Niemców. Zebrał rzeczywiście wojsko i ofiarował je walczącemu w Czechach zięciowi Zygmunta, Albrechtowi rakuskiemu. Gdyby wojsko polskie do Czech weszło, staliby się Polacy niechybnie pośrednikami. Ale tego właśnie Zygmunt nie chciał; jakoż Albrecht nie przyjął ofiarowanej pomocy. O tę zamierzoną rzekomo wyprawę powstała w Polsce znowu wielka niechęć przeciwko Jagielle. Husytów było w Polsce tylko bardzo niewielu, ale cały naród życzył husytom zwycięstwa w walce z Niemcami. Odbywały się zjazdy szlacheckie w rozmaitych miejscach kraju, objawiające głośno swe sympatye dla Czechów, chociaż nawet husytów. To przedstawiano znowu w Rzymie, jako szerzenie się husyckiej herezyi w Polsce; jakoż rzeczywiście gorączka była w kraju taka, że niektórzy biskupi zaczynali się obawiać, czy ta przyjaźń dla Czechów nie skończy się naprawdę husytyzmem. W Czechach walczyło dosyć jeszcze Polaków pod wodzą Żiżki, chociaż Korybut dawno już wrócił; to zwiększało podejrzenia, a Jagiełło bał się bardzo zarzutów o nieprawowierność. Wydał przeto w r. 1424 srogi edykt królewski przeciw husytom, żeby mu w Rzymie nic nie mogli zarzucić; ale edykt ten był srogi tylko na papierze. Dnia 9 kwietnia 1424 r. ogłaszał król w Wieluniu, że nie wolno nawet handlu prowadzić z Czechami; ale podczas wojen i tak handlu nie było! Wszyscy Polacy mają do 15 sierpnia wracać z Czech do domu, pod karą konfiskaty majątków; ochotnicy ci nie z bogaczów się składali, a mając cztery miesiące czasu, mogli powracać spokojnie; za to zaś, że dotychczas walczyli razem z husytami przeciw „krucyatom“, edykt żadnej nie nakładał kary. Powracających z Czech Polaków każe król egzaminować, czy przypadkiem nie zarażeni herezyą. Na wypadek, gdyby tak było, nie oddaje ich sądom duchownym, lecz starościńskim. Mogłoby się zdawać, że każdy taki ma być skazany na ścięcie, ale nikomu się nic nie stało. Co innego też pomagać Czechom bić Niemców, a zupełnie co innego być husytą. Żeby pokazać, że sympatye czeskie nie z husytyzmu wcale pochodzą, zawarto w czerwcu 1424 r. uroczysty związek przeciw husytyzmowi w Polsce. Zawierają go król i Witołd, Rada królewska, dostojnicy państwa, rycerstwo tj. szlachta, i miasta; każdemu husycie grozi się wygnaniem, konfiskatą i t. d.

Związek ten przybrano (na papierze) w taką poważną i uroczystą formę, że zdawaćby się mogło, że Polsce naprawdę groziło niebezpieczeństwo herezyi. Ale akt ten wydany był ze względu na zagranicę. W całej Polsce było husytów może kilka tuzinów i z tymi radzono sobie doskonale bez związku.

Te edykty i związki poruszyły jednak opinię publiczną. Korybut ośmielił się nawet z własnej woli, na swoją rękę, ruszyć powtórnie do Czech; przybył do Pragi w czerwcu 1424 r., ale zastał taką już przewagę najzacieklejszych husytów, że już wszystko przepadło. Odnosili zresztą husyci ciągle takie świetne zwycięstwa, że zaczęli przypuszczać, że już panowanie ich nie ulega wątpliwości, że pokonają i Niemców i katolików u siebie w domu, że Czech a husyt będzie jedno i to samo. Rozpoczęło się prześladowanie katolików przez husytów. Póki żył Żiżka, miarkował jeszcze te zapędy; ale gdy umarł w październiku 1424 r., nie zdołał ich już nikt utrzymać w karbach roztropności. Odniósłszy w czerwcu 1426 r. wielkie zwycięstwo pod Uściem nad niemiecką „krucyatą", pewni już swego, zaczęli prześladować stronnictwo umiarkowane. Korybut brał udział w ich walkach, okazał zdolności wojskowe, a pomimo to nie był już lubiany, że nie podzielał skrajnych zapatrywań i nie wyrzekł się myśli pogodzenia zbłąkanych z Kościołem. Gdy zaczął szukać porozumienia z Rzymem, uwięziono go i we wrześniu 1427 r. odstawiono do polskiej granicy. Tak spełzła na niczem polska misya w Czechach. Odtąd przez kilka lat trwały tam rządy najzagorzalszych husytów, oparte na postrachu i prawie wojennem. Pod jednym względem przyznać należy przywódcom husyckim zasługę, a mianowicie, że czynili kraj tak obronnym, jak nigdy przedtem. Doszło do tego, że nieprzyjaciel pierzchał na sam widok ich taborów. Husyci nietylko nie bali się już obcego najazdu, ale sami zaczęli najeżdżać ościenne kraje, odpłacając teraz wet za wet swym wrogom. Dużo ucierpiał od nich Śląsk; w Polsce obawiano się, czy nie napadną na pograniczne powiaty, żeby i tu szerzyć mieczem i pożogą swe zasady. I nie zostało im na tyle roztropności, żeby się od tego powstrzymać; jeden hufiec husycki zapędził się za łupem aż pod Częstochowę.

W r. 1429 zwrócił się wreszcie papież Marcin V. do Jagiełły i Witołda, wzywając ich pośrednictwa, żeby swym wpływem ułagodzili jako burzę husycką i udzielił im swego pełnomocnictwa.

Nie łatwe to teraz było zadanie, a wymagało niesłychanej ostrożności, żeby husyci nienawiści swej względem papiestwa nie przenieśli na Polskę. Dopiero w r. 1431 udało się Jagielle sprowadzić czeskich delegatów do Krakowa; przybyli sami tylko husyci, bo tylko oni byli przy władzy w swym kraju. Do tego czasu zaszły atoli różne wypadki, które zmieniły wielce stosunki polityczne; należy je też poznać, zanim się opowie dalszy rozwój sprawy czeskiej.

FRYDERYK HOHENZOLLERN.

Król Władysław Jagiełło kończył już siódmy krzyżyk, a nie miał męskiego potomka. Z pierwszego małżeństwa z Jadwigą, córeczka Bonifacya żyła ledwie kilka dni, z drugiego, z Anną Cylejską, miał też tylko córkę, nazwaną imieniem czczonej i wielbionej pierwszej małżonki. W r. 1417 wstąpił Jagiełło w trzecie związki małżeńskie z poddanką, Elżbietą z Pileckich Granowską, niemłodą już wdową. Małżeństwo to pozostało bezdzietnem, trwało zresztą krótko, bo Elżbieta umarła już w maju 1420 r. Królowa ta była powszechnie nielubianą. Królom nie wolno się żenić według własnej woli; każdy możnowładca z osobna oburzony, że król wybrał sobie na żonę nie jego córkę lub siostrę, lecz tamtę! Zawiść i zazdrość zatruły Elżbiecie życie na tronie.

Dziedziczką korony, uznaną formalnie przez polskich panów, była jedynaczka Jagiełły, królewna Jadwiga. Rządy najrozleglejszego w Europie państwa mogły przypaść w przyszłości jej mężowi. Starał się o jej rękę Bogusław, książe Słupski z Pomorza i miał zwolenników w radzie królewskiej. Stryjeczny brat tego księcia, Eryk, władał w zjednoczonych trzech państwach skandynawskich, t. j. w Danii, Norwegii i Szwecyi. Polska i Litwa zawarły sojusz z potężnym królem północy. Z pomocą Eryka możnaby wziąć Krzyżaków we dwa ognie, od lądu i morza, od strony Polski i Skandynawii; odzyskałoby się Pomorze gdańskie i jeszcze pozyskałoby się przez Bogusława zniemczone już w znacznej części Pomorze szczecińskie, na które spoglądała od dawien zazdrosnem okiem Brandeburgia. A więc wznawiano znowu dawne plany, imano się starej wielkopolskiej polityki, która pragnęła dojść do Bałtyku już to przez łączność z krainami nad dolną Odrą, z owem Pomorzem tylnem, już to z Brandeburgią. Brandeburgia nie długo

była w ręku dynastyi luksemburskiej. Zygmunt, wiecznie pieniędzy potrzebujący, zastawił ją w roku 1415 burgrabi Norymbergi, miasta w Bawaryi, Fryderykowi z rodu Hohenzollernów. Była to trzeciorzędna dynastya wśród mnóstwa książęcych rodów niemieckich, niewiele znacząca, dopiero na dorobku. Odznaczali się jednak wzorową rządnością w interesach i mieli skarbiec pełny. Burgrabia pożyczył cesarzowi 400.000 niemieckich guldenów i wziął marchię w zastaw. Po dwu latach, dopłaciwszy jeszcze, był już prawnym posiadaczem Brandeburgii, a przez to w jednej chwili pierwszorzędnym księciem Rzeszy niemieckiej, jednym z siedmiu elektorów, tj. tych, którzy wybierali króla i cesarza. Taki początek tej dynastyi, dzierżącej dzisiaj tron protestanckiego niemieckiego cesarstwa.

W r. 1420 była wojna książąt szczecińskich z tym pierwszym elektorem brandeburskim, a Polska posłała posiłki książętom. Następnego roku nagle zmienia się stan rzeczy. Siedmioletni synek elektora, margrabia Fryderyk II., zostaje narzeczonym królewny Jadwigi, dwunastoletniej, i uznanym następcą tronu w Polsce. Równocześnie zawiera się z Brandeburgią tajne przymierze przeciw Krzyżakom, i to zaczepne. Brandeburskie pacholę przyjeżdża do Polski i tu już stale przebywa, wychowując się na Polaka. Ożenił się wprawdzie Jagiełło tegoż roku po raz czwarty, z Rusinką Sońką, czyli Zofią, księżniczką holszańską, ale miał już lat 70, więc Hohenzollernowie nie uważali tego małżeństwa za groźne dla siebie.

Elektor brandeburski pozostawał w ścisłym sojuszu z największym wrogiem Polski, z Zygmuntem Luksemburczykiem; od tych zaręczyn poróżnili się jednak dawni przyjaciele, a elektor dawał się nawet cesarzowi potężnie we znaki w stosunkach niemieckich, a nawet przeszkadzał do zebrania „krucyat“ w Niemczech przeciw husytom. W r. 1424 postanowił Jagiełło ukoronować swą małżonkę, królowę Sońkę-Zofię. Odbył się w Krakowie liczny zjazd książąt na tę koronacyę. Przyjechał cesarz, król Eryk duński i książę bawarski Ludwik, największy wróg elektora. Ci wraz z książętami mazowieckimi i ślązkimi nalegali na Jagiełłę, żeby wydał córkę nie za Fryderyka, lecz za księcia Słupskiego. Równocześnie jednak sam papież Marcin V. i grono książąt-elektorów Rzeszy niemieckiej wstawia się za margrabią brandeburskim, jako jednym ze swoich. Jagiełło nie chciał dawać wprost odpowiedzi odmownej i wymówił

się, że tak ważnej sprawy nie może załatwić bez swego współrządcy, bez Witołda. Posłowie obydwóch królów udali się przeto wraz z panami polskimi do Grodna, żeby skłonić Witołda do tych zamiarów. Witołd nie odpowiedział jeszcze stanowczo, ale wyprawił gońca do Jagiełły z tem, żeby nie zrywać zaręczyn z Hohenzollernem. Postąpiono tak może dlatego, że królowa Zofia była właśnie od kilku tygodni w stanie błogosławionym; wtenczas mało kto jeszcze o tem wiedział, a nie wiedzieli zgoła obcy. Zwlekano i przewlekano sprawę aż do rozwiązania królowej, czy syn będzie, czy córka. Dnia 30 października 1424 r. urodził się syn, nazwany Władysławem (późniejszy król Władysław Warneńczyk). Potem dnia 16 maja 1426 r. urodziło się drugie dziecię; znowu syn. Ten zmarł po kilku miesiącach. Dnia 29 listopada 1427 r. powiła królowa Zofia trzecie dziecię, znów syna (późniejszy król Kazimierz Jagiellończyk). Wobec tego traciła królewna Jadwiga prawa do tronu; trudno było przypuścić, żeby Polacy zerwali unię z Litwą dla związku z Brandeburgią. Mogli jednak królewicze pomrzeć wszyscy młodo, lub bezpotomnie, a w takim razie małżeństwo z Jadwigą miałoby nieocenioną wartość polityczną. Toteż elektor nie odwoływał syna z Polski, a młody Fryderyk wychowywał się na dworze Jagiełły aż do ośmnastego roku życia, przysposabiany we wszystkiem na Polaka. Wrócił do ojca dopiero w r. 1431 i to po śmierci swej narzeczonej, królewny Jadwigi. Starał się on potem o tron polski w r. 1446. Śmiesznem jest, że Niemcy uważają tego elektora Fryderyka za wielkiego patryotę niemieckiego i wmawiają w siebie, że od podniósł ideę narodową niemiecką na wschodzie przeciw Słowianom! Dynastami byli Hohenzollernowie i niczem więcej; gdyby zasiedli na polskim tronie, bilibyśmy Niemców pod ich przewodem.

PRZYWILEJ JEDLNEŃSKI (1430).

Od r. 1424 miał król Władysław Jagiełło dziedzica, ale tylko dziedzica Litwy, bo w Polsce tron był elekcyjny i nikt nie był obowiązany uważać królewicza za następcę polskiego tronu. Społeczeństwo nie mogło się też oddać nowej dynastyi, póki nie było rękojmi, że prawa krajowe będą poszanowane. Gdy król pragnął zapewnić koronę swemu potomkowi, podyktowano warunki. Nie rozumiano wówczas zgoła, że ograniczona władza monarsza da

się pogodzić z dziedzicznością tronu; nie zrozumiano tego nigdzie w Europie aż do XIX. wieku.

Skorzystano też ze sposobności, gdy król musiał się prosić, żeby uznać nowonarodzonego syna następcą tronu. Układano się o dokładniejsze spisanie praw. Następnego roku uznano następstwo królewicza na zjeździe w Brześciu kujawskim dnia 25-go kwietnia 1425 roku, ale żądano wzajem, żeby dawne prawa przejrzeć i stosownie uzupełnić. Żądano, żeby król nie rozsyłał po kraju sędziów od siebie bezpośrednio, t. zw. justycyonaryuszów, żeby tedy zajmował się sądami tylko w najwyższej apelacyi, żeby podróżował po kraju na koszt własnego skarbca, a nie wybierał t. zw. „stacyj“, żeby nie bił monety bez zezwolenia dostojników państwowych, żeby poradlne płacili także mieszczanie ze swych gruntów położonych za murami miast, żeby właściciela ziemskiego nie można było więzić inaczej, jak tylko za wyrokiem sądowym, a wreszcie, żeby wszystkie ziemie polskie były zrównane w prawach. Tyczyło się to Kujaw, które dopiero w r. 1396 odebrano Opolczykowi, ziemi Dobrzyńskiej, którą dopiero 1404 r. wykupiono od Krzyżaków; ziemie te nie podlegając poprzednio ogólnemu prawu polskiemu, nie korzystały też z prawodawstwa ostatnich czasów. Tak np. obowiązywała jeszcze w tych ziemiach danina z owsa, zniesiona już w reszcie Polski. Król chciał ją zachować, szlachta decydowała się pozostawić ją tylko jeszcze przez lat 10. Nadto zaś zażądali biskupi pod przewodem Zbigniewa Oleśnickiego, żeby stan duchowny zrównać zupełnie ze szlachtą co do swobód obywatelskich, skoro i Kościół posiadał ziemię na własność. Dotychczas bowiem nie było żadnej ustawy polskiej co do duchowieństwa. Opierał się Kościół tylko na swojem prawie kanonicznem, ale zależało to zawsze od króla, o ile sam je będzie uznawał. Przywilej koszycki króla Ludwika z r. 1374 nie tyczył duchowieństwa. Płacili po 6 groszy z łanu, a choć potem przystał król na 2 grosze, przyznał tę ulgę tylko świeckiemu duchowieństwu; zakony płaciły po 4 grosze, a więc dwa razy więcej od szlachty. Te więc warunki podano królowi od obydwóch stanów, świeckiego i duchownego; dla każdej ziemi miał król wydać osobny „przywilej“ z wymienieniem i uznaniem tych praw. Jagiełło nie chciał uznać zrównania praw duchownych ze świeckiemi. Powstało wielkie rozdrażnienie, zwolennicy duchowieństwa byli na zjeździe w wię-

kszości i nie tylko obstawali przy swych żądaniach, ale uważali je wprost za warunek panowania królów; dodali do swego projektu, że społeczeństwo będzie mieć prawo wypowiedzieć królowi posłuszeństwo, gdyby uchybił któremu z owych praw. Jagiełło nie wydał jednak owych przywilejów dla każdej ziemi z osobna, a na następnym zjeździe, w Łęczycy, w maju 1426 r. odmówił swego potwierdzenia brzeskiemu projektowi. Natenczas zwrócił biskup Oleśnicki obradującym przechowywany u siebie dokument elekcyi królewicza Władysława, a zebrani zaraz go zniszczyli. Trwały jeszcze cztery lata obrady i układy, aż wreszcie w r. 1430 Jagiełło wszystkie te projekty do ustaw zatwierdził na zjeździe w Jedlnie. Opuszczono w nim tylko niemiły dla tronu artykuł o wypowiedzeniu posłuszeństwa. Duchowieństwo odniosło zupełne zwycięstwo. Nadto jeszcze w r. 1433 uzyskali na królu edykt przeciw tym, którzyby przez rok cały pozostawali pod klątwą; przez to klątwa nabrała mocy także przed prawem świeckiem, a ktoby się dotknięty nią nie uwolnił od niej w ciągu roku, miałby do czynienia z królewskimi starostami. Edykt ten zwracał się surowo przeciw grabieżom dóbr duchownych, bo klątwa spadała najczęściej o naruszenie kościelnej własności. Szlachta zaś otrzymała równocześnie w styczniu 1433 r. nowy przywilej. Dotychczas jeńcy wojenni królowi się należeli i okup za nich brał królewski skarb; odtąd płacił ten skarb za każdego jeńca kopę groszy. Zniesiono już w Jedlnie daninę owsa na Kujawach i w Dobrzyńskiej ziemi, tylko Ruś Czerwona miała ją jeszcze płacić do końca życia Jagiełły.

W roku 1430 było już dwóch królewiczów; nie oznaczono w Jedlnie, który z nich będzie następcą po ojcu, zastrzegając sobie wolny wybór pomiędzy nimi.

NIEDOSZŁA KORONACYA WITOŁDA (1429).

Miał już Jagiełło naturalnych dziedziców; jeden z synów mógł zostać królem polskim, drugi Wielkim księciem litewskim. Ale obydwaj byliby tylko z imienia władcami, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa należało przewidywać, że los powoła ich na ojcowskie trony jeszcze dziećmi. W r. 1430 miał Jagiełło lat 78, a Witołd, nie mający wcale męskiego potomka, był tylko o dwa lata młodszy, podczas gdy starszy królewicz, Władysław, liczył lat sześć. Nie było to niebezpiecznem dla polskiego społe-

czeństwa, wyrobionego z dawien politycznie, które samo sobie wytworzyło państwo i pokierowało niem doskonale. Ale Litwini nie umieli się jeszcze sami rządzić, a małoletność władcy prowadziłaby tylko do walk o tron, które mogły się skończyć rozbiciem państwa. Gedyminowice wydzieraliby sobie nawzajem panowanie, szukaliby pomocy u wrogów Litwy, a przedewszystkiem Świdrygiełło, który już pięć razy bunt wszczynał.

Witołd i Jagiełło mniemali, że zamieszkom o tron zapobiegnie się, wracając do tradycyj Mendoga i Gedymina i ogłaszając Litwę królestwem; przypuszczali, że dziedziczny król będzie miał stanowczą przewagę nad wszystkimi książętami dzielnicowymi, a korona sprzęże wszystkie dzielnice raz na zawsze w nierozdzielną całość. Miała Litwa prawo do korony niewątpliwe, bo każdy naród ma prawo do zupełnej samodzielności. Litwinów jednak ta sprawa nie zajęła, tak dalece jeszcze społeczeństwo było obojętnem dla spraw państwowych. Gdyby Witołd się koronował, przestałby być lennikiem korony polskiej; stanęłoby królestwo obok królestwa. Jagiełło przestałby być pierwszym księciem i dziedzicem Litwy; nie jego dzieci byłyby spadkobiercami litewskiej korony, lecz brat Witołda, Zygmunt Kiejstutowicz. Nie chodziło Witołdowi o ambicye osobiste; nie chciał korony ani w r. 1398, ani na zjeździe kezmarskim, a zgoda Jagiełły świadczy, że chodziło mu o dobro Litwy. Plan ich nie był wymierzony przeciw Polsce, bo wyniesienie litewskiego tronu do królewskiej godności nie przeszkadzało najściślejszemu sojuszowi obydwóch państw. Czy jednak plan ten był rzeczywiście korzystny dla Litwy, to wątpliwe. Król polski, przestając być lennym zwierzchnikiem Litwy, traciłby prawo wpływać na jej stosunki. Bez Polski byłaby Litwa narażona na przewagę żywiołu ruskiego i schyzmatyckiego, a że Ruś stała wówczas pod względem społecznym znacznie wyżej od Litwy, groziłoby Litwie niebezpieczeństwo zruszczenia, którego niedawno dopiero uniknięto przez połączenie z Polską! Przyszły król litewski albo zerwałby zupełnie z Polską i wojowałby z nią, albo też przyzwałby Polaków na pomoc przeciw swym ruskim poddanym. Polacy dowiedli unią horodelską, że myśleli szczerze o równouprawnieniu Litwinów, ale na zniesienie lennego stosunku przystać nie chcieli żadną miarą. Spodziewany bunt Świdrygiełły, mającego uroszczenia do wielkoksiążęcego tronu, zagrażał właśnie zruszczeniem Litwy, bo książę

ten, chociaż sam katolik, opierał się na schyzmie, żeby mieć zwolenników; ogólnego naporu ruskiego nie zdołałaby Litwa wytrzymać bez pomocy nietylko oręża, ale też polityki polskiej. Jakoż przyszłość niedaleka okazać to miała. Polacy gotowi byli sami bronić całości litewskiego państwa, ale nadto chodziło im o to, żeby Litwa nie utraciła nawiązanego z Zachodem związku cywilizacyjnego.

Papież Marcin V. odmówił Witołdowi korony. Zdawało się, że rzecz już załatwiona i sprawa skończona; ale Witołd i Jagiełło nie dali za wygraną. Chwycili się sposobu, który zostawał w rażącej sprzeczności z polityką całego panowania Jagiełły: Witołd miał przyjąć koronę — od cesarza niemieckiego.

Zygmunt Luksemburczyk, dowiedziawszy się o całej sprawie, sam się z tem ofiarował. Miał przytem swoje wyrachowanie. Ponieważ Polska nie zgadzała się na koronacyę, cieszył się, że się o to rozerwie unia, że Litwa stanie przeciw Polsce. Ofiarował też Witołdowi zaraz swój sojusz, podsuwał stały sojusz z Rzeszą niemiecką, Węgrami, Czechami (których sam nie miał, wypędzony przez husytów), a nadto nawet z Zakonem niemieckim. W wyobraźni swej widział już Polskę otoczoną do około związkiem sprzymierzonych wrogów. Były to śmieszne rojenia polityczne, bo ani Czesi, ni Węgrzy nie wojowaliby z Polską, a trwały sojusz Litwy z Zakonem był niemożliwością wobec sprawy pskowskiej i o Watland. Ale gotowość cesarza postanowiono wyzyskać, nie dbając o to, że tyle razy zastrzegano się przeciwko cesarskiej władzy. Były tylko wątpliwości prawnicze, czy Zygmunt może ważnie przyznać komu koronę. Był bowiem Zygmunt królem niemieckim, a cesarzem tylko z tej racyi, że związek elektorów uchwalił w r. 1338 w Rense, że każdy król niemiecki jest tem samem i cesarzem rzymskim, nawet bez koronacyi papieskiej; a tej koronacyi brakowało właśnie Zygmuntowi. W końcu jednak namyślił się Witołd przyjąć koronę nawet od takiego niezupełnie pewnego cesarza, byle tylko ją mieć. Polscy panowie tem bardziej oczywiście nie mogli do takiej koronacyi dopuścić; wszak cała polityka polska polegała na ustawicznej walce z nauką o cesarskiej władzy króla niemieckiego.

Zygmunt Luksemburczyk wybrał się osobiście na Litwę i w styczniu 1429 r. przybył do Łucka wraz ze swą małżonką

i z całym cesarskim dworem. Zjechał też Jagiełło z królową Sońką; stawili się liczni książęta ruscy i poselstwo krzyżackie. Ale zjechali też polscy dostojnicy i pilnowali dobrze zjazdu monarchów, nie dając się złudzić, że tu chodzi o omówienie sprawy wołoskiej i wyprawy na Turka. Ostatecznie wymogli na Jagielle, że pozwolenie swe następnie cofnął. Witołd jednak czynił dalej przygotowania. Dzień 29 września 1429 r. przeznaczony był na koronacyę i zaproszenia porozsyłano na wszystkie strony. Polacy porozstawiali czaty wzdłuż granicy zachodniej, żeby nie przepuścić posłów Zygmunta na Litwę. I rzeczywiście przychwycono dwóch, a z przejętych listów okazało się, że Zygmunt podmawia Witołda do przymierza z Zakonem niemieckim przeciw Polsce.

Dostojnicy polscy odbyli w tej sprawie zjazd w Sandomierzu dnia 8 września 1429 r., a wynikiem obrad był projekt, żeby Jagiełło zrzekł się tronu polskiego, a Witołd koronowałby się na króla Polski i Litwy. Jagiełło przystał na to, lecz Witołd ofiary nie przyjął. Odgrażał się panom polskim, że nietylko z Zakonem się zwiąże, ale nawet Ruś Czerwoną przemocą od Polski oderwie. Jagiełło pojechał znowu na Litwę i sprawił tyle przynajmniej, że Witołd napisał do Zygmunta, że z Polską pragnie pozostać w zgodzie. Jakoż groźby jego były udane, bo wojna z Polską byłaby dla Litwy najstraszniejszą klęską, cofnęłaby ją do stanu gorszego jeszcze, niż przed r. 1386. Bez zgody Polaków Witołd nie mógł się koronować, a widząc, że pogróżki nie skutkują, próbował na nowo otrzymać zgodnie pozwolenie. Pisał do Zygmunta, że spodziewa się, iż wkrótce będzie mu cesarz mógł posłać jawnie koronę przez kraje polskie. Nawiązał na nowo rokowania z Radą koronną polską i odłożył całą sprawę aż do przybycia poselstwa z Polski. Już się go atoli nie doczekał.

Już podczas pobytu króla polskiego na Litwie był niezdrów, ale nikt nie przypuszczał, żeby to miała być poważna choroba. W dwanaście jednak dni po wyjeździe Jagiełły, dnia 27 października 1430 r., dopełniły się dni bohatera Litwy. Umierał przytomnie. Wobec całego dworu i żony, księżny Anny, kazał Jagielle oświadczyć, że składa w jego ręce godność Wielkiego księcia Litwy; znaczyło to, że ten tylko może być jego następcą, kogo król zamianuje i należy to uważać za dowód, że Witołd pragnął zgody z Polską.

BUNT ŚWIDRYGIEŁŁY (1430 - 1437).

Zaraz po śmierci Witołda przywłaszczył sobie Świdrygiełło wielkoksiążęcą władzę śmiałym zamachem. Pozajmował szereg grodów i ledwie udało się Polakom ocalić Podole przed jego zaborem. Co więcej, nowy Wielki książę, a raczej przywłaszczyciel Wielkiego księstwa, pojmał bawiącego na Litwie króla i trzymał go w niewoli, póki mu nie przyrzekł zwrócić Podola. Ostateczne warunki pojednania miano ułożyć na zjeździe panów polskich i litewskich, wyznaczonym na 15 sierpnia 1431 roku. Polscy starostowie nie wydali jednak grodów podolskich. Świdrygiełło rozpoczął wojnę, przyczem spustoszył też Ruś Czerwoną; pobity jednak nad Smotryczem, musiał się cofnąć. Zaczęło się też wśród Rusinów organizować stronnictwo polskie, a Ruś Czerwona nie posłuchała całkiem wezwania Świdrygiełły. Rozglądał się za sprzymierzeńcami i znalazł zaraz gotowych w Zakonie Niemieckim, wyczekującym radośnie zerwania unii. Dnia 19-go czerwca 1431 roku zawarli ze Świdrygiełłą w Skirstymoniu przymierze zaczepno-odporne i wkrótce ruszyli na Polskę. Drugim sprzymierzeńcem był hospodar mołdawski, dostarczył też posiłków han tatarski, któremu wszystko jedno było, o co wojnę się prowadzi, skoro tylko jest sposobność do brania jassyru i łupów. Z daleka dolewał oliwy do ognia Zygmunt Luksemburczyk i przyrzekał poparcie. Przez jakiś czas łudził się Świdrygiełło, że będzie mieć sojusz z husytami! Schyzma miała Sakrament Ołtarza dla świeckich pod obiema postaciami, popów żonatych i obrządek słowiański; trzy z husyckich żądań były tu gotowe, a więc co do formy schyzma zdawała się być blizką husytyzmu. Ustawiczne wojny w Czechach trzymały cały naród ciągle pod bronią, a że kraj był zupełnie zniszczony, doszło tam już do tego, że wojna była dla wielu jedynym sposobem utrzymania i tem się też tłumaczą w znacznej części owe najazdy husytów na ościenne ziemie. Musieli napadać na sąsiadów, żeby mieć z czego żyć. Polska uważała ich zawsze za kacerzów, w Polsce były ustawy przeciw husytyzmowi, a więc mieli w Polsce wroga; czemużby na nią napaść nie mieli? Ale Czesi nie stracili do reszty zmysłu politycznego; wiedzieli, że chociaż Polska Kościołowi wierna, husytyzmowi nie sprzyja, sprzyja jednak gorąco narodowemu ruchowi czeskiemu i że w razie potrzeby Czechy tylko w Polsce mogą

szukać oparcia. Jagiełło mając właśnie od papieża upoważnienie do pośrednictwa, wezwał posłów husyckich do siebie. Przyjechali z wiosną 1431 r. do Krakowa, ale nie chcieli w niczem od swej nauki odstąpić; odrzucili zupełnie myśl powrotu do Kościoła katolickiego i wyjechali zagniewani i podrażnieni. Ale ze Świdrygiełłą przymierza przecież nie zawarli.

Umiarkowańsi husyci nawiązali wkrótce rokowania z nowym soborem. Ponieważ kostnicki sobór nie załatwił ani ogólnej reformy Kościoła, ani unii z kościołem wschodnim, ani sprawy husyckiej, zwołano w roku 1424 nowy sobór do Syeny, miasta w północnych Włoszech; ten jednak zupełnie się nie udał. Oznaczono następny sobór na r. 1431 i w tym właśnie roku buntu Świdrygiełły zwołał papież Eugeniusz IV. sobór do Bazylei w Szwajcaryi. Zaczęto tam obradować, ale Grecy żalili się, że im za daleko jeździć układać się o unię. Obiecał więc papież przenieść sobór do Włoch, a bazylejskie obrady rozwiązał. Nie usłuchano go jednak, bo wielu teologów uważało sobór za wyższy nad papieża. Obradowano więc dalej w Bazylei, wysyłano poselstwa do Carogrodu i rozpoczęto układy z husytami, całkiem bez uczestnictwa papieża. Prymas polski, arcybiskup gnieźnieński, Władysław Kot i biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki, wyprawili od siebie posłów do Bazylei, uznając wyższość soboru; król jednak nie chciał wysyłać z urzędu przedstawicieli Korony polskiej, dopóki sobór był w rozterce z papieżem. Wyczekiwano tylko niecierpliwie, czy husyci ułożą się z soborem, bo to miało i dla nas wielką doniosłość ze względu na wspólny interes walki z niemczyzną.

BITWA POD NAKŁEM (1431).

Szalał po polskich ziemiach straszny najazd krzyżacki, najstraszniejszy ze wszystkich, o jakich wspominają dzieje. Jak gdyby każdy Krzyżak czerpał swą wiarę z książki Falkenberga, wołali, że ruszają na wytępienie imienia polskiego. Mordowali kobiety i dzieci, mężczyzn trzebili; tak się rzeczywiście działo, są na to świadectwa współczesnych i niech Polak o tem pamięta! Nie o zdobycie kraju teraz im chodziło, lecz o to, żeby jak najwięcej Polaków wymordować, a zwłaszcza młodzieży. Nie bitwy to były, ale rzezie. Krzyżacy unikali spotkania z wojskiem polskiem, ale rzucali się, wieś po wsi, na bezbronną ludność rolniczą, na lud dzierżawców, nie

biorący zupełnie udziału w życiu publicznem i nie służący całkiem wojskowo. W ziemi Dobrzyńskiej i w Kujawach spalili 24 miast i setki wsi, gwałcili niewiasty, spędzali bezbronną ludność męską i trzebili ją, żeby wygasło nasienie polskie. Doszło do tego, że Polacy nie mogli ich ścigać po wojennemu, bo musieli zostawiać w każdej okolicy zbrojne oddziały dla strzeżenia kobiet i dzieci. A była wojska krzyżackiego moc wielka; wypróżnili swój główny skarb w Malborgu, licząc na to, że tym razem wraz z Litwą, Rusią i z siłami Luksemburczyka, króla Niemiec, Węgier i Czech, zduszą nareszcie Polskę. Zebrali 30.000 jazdy ze wszystkich stron Niemiec. Radowali się Niemcy, że równocześnie zgniotą i Polskę i Czechy, na które nowe zbierali „krucyaty".

Dla rządu polskiego był ten krzyżacki najazd zupełną niespodzianką, boć był przecież pokój melneński z roku 1422! Nie było tedy należytej obrony, wojsko było na wschodzie, a tylko niewiele można było wystawić na północy. Ale lud zabrał się sam do obrony. Pod wodzą starszych z wielkopolskiej szlachty, starszych wiekiem, którzy sami do służby wojennej, synami się już wyręczając, obowiązani nie byli, a tylko z miłości Ojczyzny i z żalu nad utrapionym ludem dosiedli konia, zebrał się znaczny hufiec ludowy; dzierżawcy szlacheckich zagonów zebrali się pod Nakłem w Wielkopolsce, uzbrojeni w cepy i kosy. Tam napadli na oddział krzyżackiego wojska i zadali mu ciężką klęskę; odebrali jeńców, niewiasty i wiedzione w niewolę dzieci, ubili mnóstwo żołnierzy i sześciu komturów, a do niewoli wzięli 50 rycerzy, dziewięciu komturów i marszałka inflanckiego, Nesselrodego, wodza tego oddziału. Był to znakomity czyn wojenny, a bitwa pod Nakłem jest ważnem zdarzeniem w historyi społeczeństwa polskiego.

Szkoda, że lud nie był obowiązany do służby wojskowej! Nie pociągano go do tego w imię słuszności; skoro nie posiadał własnej ziemi, nie chciano żądać krwi na jej obronę; uważanoby to za krzywdę. Skoro dzierżawca nie miał żadnych praw w życiu publicznem, nie wymagano od niego żadnych ciężarów na utrzymanie państwa. Dziś przychodzi żałować, że ciężaru tego nie nałożono, bo z podejmowania obowiązków rodzą się wcześniej czy później także prawa.

WOJNA Z CAŁĄ NACYĄ NIEMIECKĄ (1431–1435).

Na hasło niemieckie wytępienia narodu polskiego odpowiedzieli Polacy ogłoszeniem wielkiej wojny „z całą nacyą niemiecką". Znaczyło to nietylko, że gotowi są wojować choćby ze wszystkimi krajami niemieckimi, z całą ich Rzeszą i cesarstwem, z którego Zakon czerpał ciągle soki, ale ze wszystkiem, z całym tym systemem politycznym, z temi urządzeniami publicznego życia, które w Europie zaprowadzali Niemcy. Wypowiadali przodkowie nasi walkę temu prądowi publicznego prawa europejskiego, które się opierało na uznawaniu cesarskiego niemieckiego przodownictwa; wojnę wszelkiej polityce, opartej na interesach dynastycznych, na podbojach i uciemiężaniach. Staremu prawu narodów przeciwstawiono system nowy, polski, system unii, to jest zgodnego pożycia narodów, które same mają stanowić o swoim losie, nie dążąc wcale do uciemiężania jednego narodu przez drugi. Nie z dynastyami, lecz z narodami chciała się łączyć Polska i dla ich dobra pracować na zasadzie przyrodzonego prawa narodów, tego prawa, które Paweł z Brudzewa głosił na soborze kostnickim. Z książek przechodziła sprawa do praktycznego życia. Wojna lat 1431–1435 nie była niczem innem, jak próbowaniem w czynach tego, o czem pisali przeciw sobie Falkenberg i rektor krakowski.

Poruszono ościenne ludy przeciw ciemiężącym je rządom, na dawnem prawie rządzącym. W państwie krzyżackiem było tyle szlachty, tyle miast kwitnących, a rządy należały tam do szczupłej garstki rycerstwa zakonnego; ludność chciała się łączyć z Polską, ale na rozkaz swych panów nietylko nie mogli w pokoju z Polską pozostawać, lecz musieli pracować na wojnę z Polakami. Ludy węgierskiej korony, tak Madiarzy, jakoteż Słowianie, już raz oświadczyli Zygmuntowi Luksemburczykowi, że nie chcą wojny z Polską, a król węgierski na każdym kroku parł do tej wojny. Czesi chcieliby nawet króla z Polski, a ten, który się koronował ich królem, przysięgał Polsce zagładę. Wszędzie rząd działał wbrew woli i interesom poddanych, wszędzie rząd szkodził krajowi; organizacya państwowa nie na społeczeństwie była oparta, lecz na jakiemś sztucznie wymyślonem prawie. Czyż takie prawo monarsze nie było urąganiem z wszelkiego prawa? Rzucił się na to wszystko naród polski, przejęty duchem wielkiego swego mistrza, Pawła z Brudzewa.

Porozjeżdżali się na wszystkie strony polscy wysłannicy, nie do rządów ale do ludów, i ponawiązywali porozumienie ze stanami węgierskimi i pruskimi; a wszędzie zapewniano ich, że się będzie wszelkimi sposobami przeszkadzać władcom do prowadzenia wojny, uważanej przez obywateli za zdrożną i zgubną.

W wojnie „z całą nacyą niemiecką“ najlepszymi sprzymierzeńcami mogli być Czesi. Gdyby nie nieszczęsny husytyzm, innąby postać przybrała cała środkowa Europa! Czechy związałyby się politycznie z Polską i powstałaby wielka Rzesza Słowiańska! Husyci gotowi jednak byli do pomagania Polsce pomimo niechęci do katolicyzmu, byle tylko Niemców bić! Przyjęto ich pomoc. Był to krok wielkiej odwagi, było w tem coś rewolucyjnego według ówczesnych pojęć. Przyświecała atoli polskim politykom myśl, że wyzyska się tylko narodowy pierwiastek husyckiego ruchu i nawzajem mu się dopomoże i że uda się Czechów pogodzić z Kościołem, a w każdym razie łatwiej to będzie po zupełnem Niemców pokonaniu, gdy i oni bezpieczni już będą, że kraj czeski dla Czechów jest, a nie przeznaczony na żerowisko butnym najeźdźcom. Na tem jednak nie koniec nowej broni, użytej przez Polaków.

Najwalniejszym środkiem, przeciwnym wszelkim ówczesnym pojęciom politycznym w Europie, było to, że w roku 1432 ogłoszono równouprawnienie schyzmatyków z katolikami. Kiedy na Litwie i Rusi wrzała właśnie największa walka, przybyło do Grodna siedmiu polskich dostojników z najwyższej rady królewskiej, a na czele ich Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, ten sam, który walcząc niegdyś pod Grunwałdem, ocalił życie Jagielle. Polskie stronnictwo na Litwie ułożyło spisek na Świdrygiełłę; napadnięto go w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1432 r. tak niespodzianie w Oszmianie, że ledwie zdołał ujść żywy, uciekłszy do Połocka ze szczupłym orszakiem czternastu zaledwie towarzyszy. Obwołano na jego miejsce Wielkim księciem Zygmunta Kiejstutowicza, Witołdowego brata i w porozumieniu z nim przystąpiono do wydania nowych praw dla schyzmatyckich Rusinów. Dnia 15 października 1432 r. ogłoszono ułożony przez owych siedmiu dostojników akt, mocą którego nadaje się schyzmatykom wszystkie swobody katolickich Litwinów i pozwala się im przyjmować herby szlachty polskiej. Ruscy bojarzy zyskiwali tedy prawa obywatelskie w życiu

publicznem. W drugim dokumencie, czyli przywileju, jak wówczas mawiano, wydanym dnia 30-go października, zastrzeżono schyzmie wyraźnie swobodę wyznania, postanowiono, że nie wolno zamieniać cerkwi na łacińskie kościoły, ani też nikogo zmuszać do katolicyzmu. I to także było spełnieniem wzniosłej zasady Pawła z Brudzewa, że „wiara niema być z przymusu".

Ogłoszone równouprawnienie wydało zaraz najlepsze skutki. Całe powiaty garnęły się same pod polskie rządy; Wołyń, ziemia duża, poddał się dobrowolnie i prosił o wcielenie do Korony polskiej. Rząd polski postępował z największą łagodnością i przebaczał stronnikom Świdrygiełły. Tak n. p. bojarowie koło zamku Oleska zawinili tem bardziej, że nawet rozejm raz złamali i dopuścili się zdrady; mimo to, zdobywszy Olesko, pozostawiono im wszystkie majątki nietknięte, jak je mieli pod Świdrygiełłą. Łuck, główna siedziba buntu, poddał się dobrowolnie, widząc, że Polacy się nie mszczą.

Niemniej przeto walka trwała jeszcze dalej. Zakon najechał powtórnie Polskę, Tatarzy i Wołosza Podole, a sam Świdrygiełło z inflanckimi Krzyżakami Litwę. Poniósł jednak zupełną klęskę pod Oszmianą dnia 30 listopada 1432 r., a w tym samym czasie przegrał sprzymierzeniec jego, Fedko, książę nieświdzki, pod Kopestrzynem na Podolu. Z początkiem roku 1433 spotkał Świdrygiełłę zawód ze strony najlepszego przyjaciela, bo krzyżackiego Zakonu. Wielki Mistrz, Paweł Rusdorf, bał się wyniku walki i chciał poczekać, kto będzie górą; próbował mącić w różny sposób, ale nie udało mu się omamić Polaków. Już jesienią poprzedniego roku czynił starania o rozejm, ale Polacy odpowiedzieli, że całkiem z nim traktować nie będą. W lecie 1433 nastąpił odwet na Krzyżakach, dokonany w przymierzu z husytami. Przyprowadził liczny hufiec husycki do Wielkopolski Jan Czapka, jeden z lepszych wodzów po Żiżce i dał się srodze we znaki Krzyżakom, dotarłszy aż do brzegów morza Bałtyckiego. Teraz dopiero przystano na krótki rozejm, tylko na trzy miesiące. Chciał rozejmu i Świdrygiełło, ale nie zgodził się na to Wielki książę Zygmunt Kiejstutowicz. Wyzyskał te trzy miesiące, podczas których był spokój od Krzyżaków, prowadził wojnę dalej i odzyskał też wszystkie ziemie, przez Świdrygiełłę zdobyte.

Rozejm z Zakonem miał służyć za podstawę do zawarcia sta-

łego pokoju. Ze strony polskiej podano między innemi dwa warunki: ani cesarz, ani papież nie mają odtąd mieć wpływu na sprawy pomiędzy Zakonem a Polską, żeby się już skończyło wieczne odwoływanie się od jednego do drugiego, a pokój mają poręczyć stany obydwóch państw, t. j. obywatele mają poręczyć za rząd i wziąć na siebie odpowiedzialność za dotrzymanie pokoju. Żądali więc Polacy, żeby Krzyżacy przyznali obywatelom swego państwa wpływ na sprawy wojny i pokoju, żeby bez ich przyzwolenia nie mogli już wojny wypowiadać. Rzecz taka prosta i naturalna; obywatele ponoszą ciężary wojenne, oni tracą mienie i życie, jakżeż więc godzi się narzucać im wojnę, której nie chcą? A jednak ta prosta rzecz była wtedy w Europie czemś nowem. Warunki polskie wywołały w Europie niezmierne zdziwienie i rozprawiano o nich nawet na soborze bazylejskim. Cesarz, Zakon i Świdrygiełło domagali się od soboru, żeby Jagielle wytoczyć proces o podburzanie poddanych przeciw monarchom. Ale sobór pozostał w dobrych stosunkach z królem polskim. Zakon odrzucił warunek o gwarancyi stanów i chciał się na nowo ząbrać do wojny; ale natenczas oświadczyły stany, że pragną pokoju z Polską, a gdy Krzyżacy nie przystaną, poszukają sobie innego pana, który pokój zabezpieczy. Rusdorf zmuszony przez własnych poddanych musiał więc przystać na dwunastoletni rozejm w Łęczycy zawarty na Boże Narodzenie 1433 r. Zastrzeżono, że Zakon nie będzie już popierać Świdrygiełły, a gdyby rozejmu nie dotrzymał, poddani mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Rozejm obejmował jednak tylko Krzyżaków w Prusiech, a nie tyczył się inflanckiego oddziału Zakonu.

Uspokoiwszy znacznie kraj, prosił Zygmunt Kiejstutowicz Jagiełłę, żeby przyjechał na Litwę i wprowadził go sam uroczyście na tron Wielkoksiążęcy. Dokonał tego król, ale była to ostatnia podróż 82-letniego starca. Wracając z Litwy, umarł w Gródku pod Lwowem dnia 1 czerwca 1434 roku.

KOMPAKTATY (1433).

Śmierć Władysława Jagiełły przypadła w ważnej chwili dziejowej, kiedy u czeskich pobratymców zwyciężał ostatecznie ten prąd umiarkowany, z którym można się było układać; odżywała na nowo sprawa ściślejszego związku korony czeskiej z polską, bo sobór ułożył się z Czechami.

W Bazylei nie było ani trzeciej części tylu dostojników kościelnych, jak w Kostnicy, a tylko mnóstwo niższego duchowieństwa. Pomimo to sobór ten, w r. 1433, bez papieża, a więc nieważnie, powziął doniosłe uchwały i zawarł przez swych delegatów umowę w Pradze z husytami, zwaną: kompaktaty praskie. Przyznawano husytom prawo używania kielicha, ale nie dopuszczono oczywiście żadnych zmian dogmatycznych, nie uwzględniając całkiem nowej teologii Wiklefa i Husa. Sobór nie obliczył się z tem, że prawdziwi husyci wcale nie chcą wracać do Kościoła, że kompaktaty są tylko dla kalikstynów czyli kielichowców, dla tego stronnictwa, któremu nie tyle chodziło o naukę Husa, jak raczej o wyzyskanie husyckiego ruchu przeciw Niemcom, wogóle dla celów narodowych. Ci, pobiwszy już Niemców, wracali chętnie na łono Kościoła, ale tamci nie dali się ułagodzić kompaktatami, a nie chcąc ustąpić od husyckiej nauki wiary, wszczęli z kielichowcami wojnę domową. W morderczej bitwie pod Lipanami poległo dnia 30-go maja 1434 r. trzynaście tysięcy Taborytów, stronnictwa nie chcącego zgody z katolicyzmem.

Było to w sam raz w wigilię śmierci króla Władysława Jagiełły. Na kilka tygodni przedtem, w kwietniu 1434 roku, nastała chwilowa zgoda soboru z papieżem, co kompaktatom nadawało tem większe znaczenie; powstawała nadzieja, że papież je zatwierdzi. Król polski wybierał się wyprawić uroczyste poselstwo od siebie do Bazylei, skoro zażegnano rozdwojenie kościelne. Miał tam jechać sam Oleśnicki, gdy wtem śmierć króla zatrzymała go w kraju. Wyprawiono więc trzech innych posłów od państwa polskiego: słynnego z nauki proboszcza krakowskiego Mikołaja Lasockiego, kanonika gnieźnieńskiego Lutka z Brzezia, i biskupa poznańskiego Stanisława Ciołka.

Zwycięscy kalikstyni znosili się dalej z soborem bazylejskim, a potem i z Zygmuntem Luksemburczykiem, żądając od niego tylko uznania kompaktatów, byle już raz skończyły się wojny. Zygmunt stał po stronie soboru, uznał więc kompaktaty i wracał do Czech, pouczony już zresztą doświadczeniem całego życia, że Czechy nie są wcale prowincyą niemiecką. Nie długo się cieszył odzyskaną koroną. Zmarł dnia 9 grudnia 1437 roku; liczył sobie panowania czeskiego lat 18, w rzeczywistości jednak rządził tam tylko miesięcy szesnaście.

Przez kompaktaty zaczął się szerzyć kalikstynizm w Polsce. Chociaż niegdyś tylu polskich ochotników poszło z księciem Korybutem na wojnę do Czech, jednakże husytów była u nas ledwie nic nie znacząca garstka. Kiedy w r. 1429 znalazł się w krakowskim uniwersytecie jeden zwolennik Husa, Henryk z Czech, i gdy go biskup Oleśnicki uwięził, nikt się za nim nawet nie ujął. Uniwersytet należał stale do największych wrogów husytyzmu; ale najprawowierniejsi nawet profesorowie nie byli od tego, żeby wprowadzić liturgię słowiańską, lub znieść nawet celibat duchowieństwa. Po kompaktatach zaczęły się budzić rozmaite nadzieje w tym kierunku, toteż wśród niewątpliwych katolików wytwarzało się stronnictwo, dążące do wspólności wyznaniowej z Czechami na podstawie kompaktatów.

Na czele polskich kalikstynów stali Spytek z Melsztyna w Małopolsce, a w Wielkopolsce Abraham ze Zbąszyna, sędzia poznański. Głównemi siedzibami ich były wielkopolskie miasta Pakość i Zbąszyn. Biskupi byli im przeciwni, a zwłaszcza Zbigniew Oleśnicki.

Krzyżacy oskarżali Polaków już w Bazylei o sprzyjanie husytyzmowi, jeszcze za czasów panowania Jagiełły. Podjął obronę Mikołaj Lasocki, sławił gorąco pamięć Władysława Jagiełły, jako najlepszego katolika, najwierniejszego syna Kościoła, a odpłacając Krzyżakom pięknem za nadobne, zapowiadał, że przed całym soborem udowodni, że Zakon ich „nietylko jest niepotrzebny, lecz, że jako skandal Kościoła i prześladowca“, powinien być zniesiony. Tem bardziej nie można było niczego zaczynać w sprawach wyznaniowych i miał słuszność Oleśnicki, że na to nie pozwalał. Po narodowym kalikstynizmie mogłaby przyjść kolej na herezyę, na jaki nowy, polski husytyzm. Wolał rzecz stłumić w zarodku i uchronić kraj od wojen religijnych; nie chciał też dostarczać wrogom Polski żadnego pozoru

A Oleśnicki stał w sam raz na czele rejencyi, mającej sprawować rządy za małoletniego następcę Jagiełły, imieniem również Władysława (Warneńczyka). Próbowano nie dopuścić Oleśnickiego do rządów. Nie mieli jednak nasi kielichowcy zmysłu politycznego; ażeby rejencyę zawikłać w trudności, zaczęli przeszkadzać koronacyi Władysława III., podając za powód, że państwo potrzebuje dojrzałego męża na tronie, a nie dziesięcioletniego chłopczynę. Narazili się jednak na śmieszność przez to, że nie podawali żadnego

innego kandydata do tronu. Toteż olbrzymia większość oświadczyła się za koronacyą królewicza, której też dokonano dnia 25 lipca 1434 r. I tak zasiadł na tronie małoletni król Władysław III. Warneńczyk, a rządy pozostały przy biskupie Oleśnickim.

KONIEC WIELKIEJ WOJNY (1432–1437).

Zakon niemiecki nie miał ochoty dotrzymać warunków łęczyckiego rozejmu, ale stany pruskie stały na straży pokoju; były nawet o to zaburzenia w Prusiech. Wielki Mistrz Rusdorf wyręczał się tymczasem w wojnie Krzyżakami z Inflant, podczas gdy z Polską układał się podstępnie o trwały pokój. Rokowania rozbijały się ciągle o owe dwa zasadnicze warunki. Z wiosną 1435 r. gotów był Rusdorf wznowić wojnę, ale wnet się przekonał, że ludność Prus stanęłaby w takim razie po stronie polskiej.

Równocześnie Świdrygiełło chciał ocalić swoje panowanie staraniami o unię kościelną. Pomiędzy papieżem Eugeniuszem a soborem bazylejskim były jednak spory. Polska stała po stronie soboru, więc Świdrygiełło i Zakon nawiązali rokowania z papieżem. Po Focyuszu został w roku 1432 metropolitą Herazym, przedtem władyka smoleński. Ten nie ufał religijności Świdrygiełły, bo książę ten, katolik, udawał obrońcę schyzmy, i walczył z katolicyzmem dla własnego wyniesienia się, a teraz przymilał się znowu Rzymowi dla osobistego interesu. Herazym pragnął unii szczerze i dlatego właśnie sam stanął po stronie Polaków, od których spodziewał się, że przeprowadzą unię szczerze i na pewno. Herazym wziął nawet udział w nowym spisku przeciw Świdrygielle. Sprzysiężenie odkryto i stłumiono, Herazyma uwięziono, a po czterech miesiącach kazał go Świdrygiełło spalić na stosie w Witebsku dnia 26 lipca 1435 r. Tam bowiem, na dalekim północnym wschodzie, trzymał się ciągle jeszcze Świdrygiełło. Po Herazymie nastąpił Grek Izydor, ostatni Grek przysłany na metropolią z Konstantynopola, nazwany słusznie „pasterzem bez owiec“, o którym będzie obszerniej w następnym rozdziale.

Losy wielkiej wojny wznawianej kilkakrotnie od Grunwaldu, rozstrzygnęły się w r. 1435. Zakon pospieszył z Inflant na pomoc Świdrygielle. Sam Rusdorf radby też z Prus wkroczyć do Polski, ale obawiał się oporu stanów. Sądził, że opór ich przełamie powaga cesarskiego imienia, poprosiwszy więc cesarza o wydanie

„mandatu“ do ludności pruskiej, stanął z wojskiem na samej granicy. Polacy zdołali jednak tym razem usidlić Luksemburczyka dyplomacyą, zaczynając z nim układy o małżeństwo swego młodziutkiego króla z jedną z jego wnuczek. Wojsko polskie zabierało się do drogi na Litwę. Żeby temu zapobiedz, wysłał Rusdorf do Polaków t. z. *ultimatum*, tj. ostre postawienie ostatnich warunków zgody; z pisma tego zdawało się, że on jednak przekroczy granicę, pomimo że rozejm łęczycki obowiązywał go jeszcze przez dziesięć lat. Udało mu się; wojsko polskie pozostało pilnować własnej granicy. Ale na nic się to Rusdorfowi nie zdało, bo Świdrygiełło i landmistrz inflancki ponieśli pomimo to straszną klęskę pod Wilkomierzem nad rzeką Świętą, dnia 1 września 1435 r. Bitwę tę walną porównywali już współczesni z pogromem grunwałdzkim. Teraz musiał Zakon przystąpić do zawarcia stałego pokoju; zawarto go w Brześciu dnia 31 grudnia 1435 r. Zakon oddawał Nieszawę z okręgiem, płacił 9500 węgierskich dukatów za złamanie pokoju, zobowiązywał się, że już nigdy żadnemu księciu litewskiemu nie będzie pomagać przeciw Polsce. Nie żądano niczego więcej, bo trudno było wojnę jeszcze dłużej prowadzić. Świdrygiełło trzymał się jeszcze na Białorusi.

Walcząc z posiłkami tatarskimi odnosił Świdrygiełło jeszcze mniejsze zwycięstwa, aż go wreszcie Białoruś opuściła, zjednana polityką polską, łagodną i pokojową. Wtenczas zawarł rozejm w listopadzie 1436 r. Polacy chcieli się z nim obejść łagodnie. Zygmunt Kiejstutowicz jednak obawiał się tego właśnie, żeby warunki pokoju nie były zbyt łatwe i żeby jego wróg nie dostał znaczniejszej dzielnicy. Ruszył więc na resztę południowych posiadłości Świdrygiełły, na Kijów, mający już w tym okresie podrzędne tylko znaczenie. Natenczas zawarł Świdrygiełło we Lwowie układ z panami Czerwonej Rusi, mocą którego przyznawał Polsce Łuck i cały Wołyń, a w zamian za to zapewniał sobie poparcie tych dostojników przy układach, przeciw żądaniom Zygmunta. Odbył się w tej sprawie zjazd polskich i ruskich dostojników w Sieradzu; unieważniono tam umowę lwowską. Opinia była podzielona. Panowie czerwonoruscy chcieli Litwę podzielić pomiędzy Zygmunta a Świdrygiełłę, podczas gdy stronnicy Zygmunta chcieli Świdrygiełłę zniszczyć doszczętnie. Możnowładztwo Czerwonej Rusi miało słuszność. Zygmunt Kiejstutowicz także bowiem nie był

zupełnie pewnym i bezpiecznym, a gdy mu owi panowie czerwonoruscy nie chcieli wydać Łucka, począł się i on także zmawiać z Krzyżakami i zawarł też przymierze z następcą Zygmunta Luksemburczyka, z jego zięciem, Albrechtem II. rakuskim, z rodu Habsburgów. Przeważyło jednak zdanie, żeby się Świdrygiełły pozbyć raz na zawsze; odebrano mu tedy wszystko. Dopiero po śmierci Zygmunta Kiejstutowicza, zamordowanego dnia 10 marca 1440 r., pozwolono Świdrygielle osiąść na Łucku.

Z tej długiej, a tak niebezpiecznej wojny, wyszła Polska nietylko obronną ręką, lecz wzmocniona. Zakonu potęga była podcięta oporem własnych poddanych, a co najważniejsza, „nacya niemiecka“ odcięta już od wpływu na losy państwa polskiego. Nie troszcząc się o uroszczenia cesarskie i o cały ustrój według dawnego prawa publicznego, według przestarzałego prawa wywodzącego wszystko od cesarza i tronu, niesiono coraz wyżej i coraz śmielej sztandar unii, braterstwa narodów. Pamiętano też o zasadzie, że „wiara nie ma być z przymusu“ i potwierdzono w r. 1443 przywilej zabezpieczający schyzmatykom równość polityczną z katolikami.

ROZDZIAŁ III.

WALKA O WYBRZEŻA MORSKIE.

Pokolenie z czasów Władysława Jagiełły przeżyło wiele, a nie żyło napróżno; oddawało Ojczyznę swym następcom wzmożoną, uwolnioną od zmory zachłanności niemieckiej i bezpieczną już o Ruś. Po ukończonej wojnie z „całą nacyą niemiecką“ panował dookoła spokój i zupełne bezpieczeństwo na wszystkich granicach. Nie groził Polsce żaden najazd, nie było obawy żadnego zamachu. Rok 1436 był wypoczynkiem po trudach i znojach długoletnich. Wypoczynek trwał zaledwie trzy lata, bo społeczeństwo, pełne sił i świadome swej mocy, zerwało się do nowych zabiegów. Tym razem nie trzeba się już było bronić przed nikim, więc jęto się pracy około wzmacniania i rozszerzania własnych wpływów. Rozpoczął się okres wielkiej polityki zagranicznej, której celem dotarcie do wybrzeży dwóch mórz: Bałtyckiego i Czarnego. Nie była ta polityka wydziercza. Wybrzeże Bałtyku nasze było i mieliśmy nietylko prawo, lecz obowiązek odebrać je, zwłaszcza, że ludność tamtejsza gorąco pragnęła połączenia z Polską. Do morza zaś Czarnego wiodła droga przez bezludne stepy Ukrainy, lub przez Wołoszę, z którą chciano sojuszu wśród takich okoliczności, że przystać na politykę polską było obowiązkiem chrześcijańskim, gdyż sojusz zwrócony być miał przeciw Turkowi, najeźdzcy z Azyi.

Wybrzeży morskich potrzebowała Polska dla zapewnienia rozwoju swemu rolnictwu, handlowi i przemysłowi. Trzeba było posiadać już znaczny stopień dobrobytu, żeby módz zabrać się do takiej rozległej i śmiałej polityki; ubogi kraj nie byłby się mógł

tego podjąć, nie byłby podołał wielkim ciężarom i ofiarom, których ta polityka wymagała. Zwróćmyż się więc w tem miejscu wstecz, ażeby wspomnieć wdzięcznie tego monarchę, który przygotował podwaliny pomyślności przyszłych pokoleń roztropnością i mądrą wstrzemięźliwością w polityce: Kazimierza Wielkiego, który nie zrywał się do wojen lekkomyślnie, nad uczuciem zapanował i kazał się Polsce najpierw wzmocnić na wschodzie i zagospodarować. Skutki gospodarczej polityki Kazimierza Wielkiego odczuło błogo pokolenie Grunwałdu i Wilkomierza.

WYWÓZ ZBOŻA.

Ziemia miała do niedawna ledwie tyle wartości, że można się było na niej utrzymać; kto jej miał więcej, niż na własną potrzebę, rad był, gdy mógł innym, bezrolnym, wydzierżawić za skromnym bardzo czynszem; nikt zaś nie dzierżawił więcej, jak znów tylko tyle, ile trzeba było na utrzymanie przyzwoite rodziny. Nikt z kmieci nie dzierżawił nigdy więcej, jak jeden łan, t. j. około 30 morgów, z czego 10 morgów stało zawsze ugorem. A nie bywało w XIV. wieku w jednej wsi więcej, jak 7 do 10 kmiecych gospodarstw. Sam właściciel zachowywał dla siebie jeden albo najwięcej dwa łany. Większa zaś część ziemi była i tak jeszcze bagnem lub lasem. Właściciel, żołnierz-szlachcic, tyle miał dochodu ze swego majątku, ile zebrał czynszów kmiecych. Podniosła się była produkcya zboża z rozkwitem miast za Kazimierza Wielkiego, a jednak za tego króla opiekun składał rachunki z opieki tylko z trzód, ze stadnin i z czynszów; dochód ze zboża nic nie znaczył, po większej części całkiem go nie było. Nie mówiąc o wielmożach, o największych panach królestwa, był zresztą dobry rzemieślnik w mieście zamożniejszy od średniego szlachcica, mającego dwie lub trzy wsie.

Zaczyna się to zmieniać za Władysława Jagiełły. Przez odzyskanie Czerwonej Rusi, a następnie przez przyjazne stosunki z daleką Mołdawą, Wołoszą i Bessarabią, której władcy hołdowali koronie polskiej, wzmógł się niepospolicie handel wschodni wogóle, wzrósł zwłaszcza na polskich targowiskach handel ormiański i pojawił się handel zbożowy. Droga handlowa aż do morza Czarnego stanęła otworem, i zaczyna się wywóz polskiej i podolskiej pszenicy do czarnomorskich przystani. Genueńscy kupcy

z Włoch założyli na Krymie handlową osadę Kaffę i utrzymywali też stosunki przeważnie z Polską. Przez Kaffę szła ta pszenica aż do Cypru, a przez osadę Kaczibej (dzisiejsza Odessa) morzem Czarnem i Śródziemnem aż do Francyi. Mąka stawała się coraz ważniejszym i powszechniejszym środkiem żywności w Europie; kraje zachodnie nie mogły wytworzyć u siebie tyle zboża, ile go potrzebowały, więc musiały się zaopatrywać w żyznej Polsce. Zaczynały się lepsze czasy dla właścicieli ziemskich. Druga droga wywozowa była do Gdańska, a chociaż na niej od Torunia wrogowie siedzieli, którzy dla siebie zabierali lwią część zysków, jednakże blizkość Bałtyku wpływała korzystnie na podniesienie się rolnictwa w Wielkopolsce. Już w r. 1392 przypłynęło do Gdańska przeszło 300 okrętów francuskich i angielskich po polską pszenicę.

Kupcy zbożowi w Gdańsku, w Kaffie, kupiliby jeszcze znacznie więcej ziarna, żeby im go tylko Polska dostarczyć mogła. Spostrzegają się na tem zwolna właściciele i dzierżawcy, szlachta i kmiecie, a najwcześniej najinteligentniejsi wśród właścicieli ziemskich, a więc duchowieństwo. Uprawa roli opłacała się sowicie, chodziło więc o to, żeby jak najwięcej gruntów obsiać na własny rachunek, nie poprzestając na dochodach ze skromnych czynszów dzierżawnych kmiecych. Przygotowuje się zwolna i stopniowo nowy okres w dziejach rolnictwa i stosunków ekonomicznych w Polsce, gospodarstwo folwarczne. Okres przejściowy trwał przeszło sto lat; dopiero około roku 1550 można powiedzieć na pewno, że już w każdej wsi polskiej był folwark i to, co poczęto nazywać dworskiem gospodarstwem. Długo jeszcze po Władysławie Jagielle większa nawet część wsi nie miała wcale szlacheckich folwarków.

Gospodarstwa w dobrach biskupich i klasztornych służyły za wzór, jak się należy obchodzić z ziemią i powiększać dochody z gospodarstwa. W dobrach biskupstwa krakowskiego zaprowadzono już z początkiem XV. w. gospodarstwa folwarczne, a czynsze kmiece stanowiły dochód drugorzędny. Kiedy w r. 1404 zakładano folwark w Świątnikach, nałożono powinność uprawy folwarcznych gruntów na kmieci, licząc tę robociznę za część należytości za dzierżawione grunta. Było to podwyższenie czynszu dzierżawnego, nieznaczne zresztą w ówczesnych stosunkach. Folwark nie był duży, a ludność wsi tak starej, jak Świątniki (z naroczników jeszcze

powstałej), liczna stosunkowo. I z tego to sposobu podwyższania dzierżawy miała powstać kiedyś w przyszłości niewola ludu! Wartość ziemi w Polsce, zacząwszy się podnosić z końcem rządów Kazimierza W., rosła i rosła bez końca aż do ostatnich czasów państwa polskiego; coraz więc gorzej być musiało tym, którzy się na cudzej żywili. Gdyby wartość ziemi była spadała, byłoby przeciwnie coraz lepiej dla kmieci, a coraz gorzej dla właścicieli, tj. szlachty i także nikt nie byłby na to poradził.

Takie pogorszenie warunków dzierżawy było jednak wówczas jeszcze czemś wyjątkowem i zdarzyć się mogło tylko w dobrach duchownych, dlatego, że kmieć chętnie ponosił większe ciężary, byle tylko zostać na gruncie kościelnym, bo mu to dawało różne wygody. Wogóle dola kmiecia nietylko nie pogarszała się, ale nawet polepszała, jeżeli tylko miał przedsiębiorczość. Gdy właścicielom pustych nieużytków zależało na tem, żeby je zamienić na orne role, powstawały t. z. „wole“ i „lgoty“, t. j. nowe osady, nie płacące przez pewien szereg lat (średnio 15 lat) ani czynszów, ani żadnych danin w naturze. Powstał wśród kmieci rodzaj zawodowych kolonistów, przenoszących się z „woli“ na „wolę“. Trudniejsze warunki można było stawiać kmieciom tylko na północy, ku Prusom i na południu, koło Krakowa, gdzie mniej było nieużytków, a ludność gęstsza.

W okolicach nad spławnemi rzekami zamieniał się szlachcic sam w rolnika: nad Wartą, Nidą, Pilicą, nad Wisłą, Bugiem, Sanem i Dniestrem. Ażeby mieć więcej gruntów do uprawy na własny rachunek, wykupywano też coraz częściej sołtystwa we wsi, zyskując na tem średnio około 120 morgów, bo sołtys miał zwykle cztery łany. Wykupno sołtystw opisano w r. 1421 ustawą. Sołtysi przenosili się z kapitałem do miast, niektórzy zaś, już zbogaceni, kupowali sobie gdzieindziej dobra ziemskie i przemieniali się na szlachtę. Przez wykupno takie przechodziła władza administracyjna i sądowa w pierwszej instancyi we wsi w ręce właściciela wsi.

PRAWO POLSKIE NA RUSI CZERWONEJ (1433).

Była atoli jedna wielka przeszkoda do rozszerzania folwarków: brak rąk roboczych. Najłatwiej było urządzać folwarki na Rusi, bo tam można było uprawiać je rękami niewolników. Polski szlachcic miał wolnych dzierżawców i kmieci, a ruski bojar pod-

danych niewolników. Aż do r. 1435 obowiązywał na Rusi Czerwonej zwyczaj, że tylko co jedenastemu włościaninowi wolno było wieś opuścić w terminie Bożego Narodzenia, za opłatą jednej grzywny i to z zastrzeżeniem, że się przenosi do wsi rządzącej się tem samem prawem. Skoro nie było wolno przenosić się do wsi używającej łagodniejszego prawa, całe prawo przenoszenia się było bez znaczenia. Włościanie zbiegali często do polskich właścicieli ziemskich, na grunty nielicznych jeszcze Polaków, obdarowanych na Rusi Czerwonej przez Kazimierza Wielkiego i Władysława Opolczyka. Bywało z tego wielkie niezadowolenie. Lud wieśniaczy na Rusi Czerwonej i na Podolu mówił, że woli, żeby Tatarzy wrócili, niż być w niewoli u bojarów; a bojarowie także powiadali, że wolą Tatarów, niż te polskie rządy, pod którymi wieśniacy z ról im zbiegają.

Zwolna ustępowało jednak przynajmniej na Rusi Czerwonej dawne prawo służskie przed nowem prawem polskiem, ziemskiem, nie znającem wówczas zgoła osobistej zależności. Nie spieszyło się królowi z tem równouprawnieniem. W roku 1425 kazał król ruszyć właścicielom ziemskim z Rusi Czerwonej nad Dunaj przeciw Turkom, na pomoc Zygmuntowi Luksemburczykowi. Ci zażądali po 5 grzywien od włóczni, opierając się na prawie polskiem z r. 1388, przyznającem takie wynagrodzenie za wyprawę zagraniczną. Ale Jagiełło prawa polskiego wcale im jeszcze nie był nadał, służskiego nie odwołał. Miał więc król zupełną słuszność, że im pogroził konfiskatą majątków, i sam też Witołd upominał króla, żeby opornych ukarać surowo. Dopiero w jedlneńskim przywileju uznał król, że prawo ziemskie rozciąga się i na Ruś Czerwoną. Długo to jednak jeszcze trwało, zanim zniknęły czerwonoruskie odrębności; długo jeszcze istniały tam t. z. maństwa, t. j. lenna ziemskie z drugiej ręki, których właściciele podlegali władzy swego lennego zwierzchnika, od którego ziemię wzięli, a ten dopiero królowi, chociaż nie dzierżawcami byli, lecz właścicielami i obowiązani do służby wojskowej. Prawo polskie nie znało czegoś podobnego i wszystką szlachtę, tj. właścicieli ziemskich i żołnierzy zarazem, uznawało równymi. Nie dziw przeto, że ziemianie tamtejsi garnęli się gorąco do prawa polskiego i gdy w r. 1433 przyznano im zupełne równouprawnienie, gdy ich uznano za nową (szóstą) „społeczność“ w Polsce i przyznano im prawo sejmików, zawią-

zali wnet potem, w r. 1436 konfederacyę przeciw każdemu, ktoby im te wolności chciał ukrócić. Odtąd zaczęło się coraz częstsze przenoszenie polskiej szlachty na Ruś; dotychczas odstraszał ją bowiem brak należytych swobód obywatelskich.

W roku 1435 pod wpływem polskich właścicieli ziemskich uchwalono na wiecu sądowym w Haliczu, na który zjechali się, jak zwykle, ziemscy dostojnicy, że na Boże Narodzenie każdy ma prawo odejść ze wsi, zapłaciwszy kopę groszy, pewną ilość pszenicy i owsa, cztery sery, cztery kury, wóz siana i wóz drzewa. Właściciel musi puścić wolno włościanina w tych warunkach, inaczej ten ma prawo skarżyć go do sądu, a właściciel zapłaci w takim razie sześć grzywien, z czego trzy sądowi, a trzy włościaninowi za bezprawne przytrzymanie go. Wpływ polski dążył więc do zamiany stosunku poddańczego na dzierżawny. Najlepszym dowodem, że włościanin miał prawo skarżyć właściciela ziemi do sądu, czego poddany nie mógłby oczywiście czynić. Przyznano im też zupełne prawo posiadania własności ruchomej i nieruchomej, a zatem także kupowania ziemi na własność. Toteż wielu z ludu przeszło tam za panowania Jagiełły do szlachty, gdy nabyło ziemię i poczęło pełnić przywiązany do własności ziemskiej obowiązek służby wojskowej. Ludowi wiejskiemu zaczęło się bardzo dobrze powodzić pod polskiem prawem. Przy ówczesnej trzypolowej gospodarce zbierano z łanu średnio 150 korcy; powinności zaś dzierżawne wynosiły średnio z łanu: czynszu grzywnę, dwie miary chleba, dwie kury, dwanaście jaj, dwa grosze podatku zwanego podymnem (od dymu, tj. od ognisk, więc podatek z domu), dla plebana zaś sześć groszy tytułem dziesięciny i dwie miary chleba; wszystko razem czyniło około siedmiu grzywien groszy polskich. Wychodziło na to, że włościanin dzierżawca spłacał wszystkie swe powinności wartością jednej trzeciej części zbioru oziminy; zostawały mu się dwie trzecie części oziminy i cała jarzyna. Miał się tedy bardzo dobrze, o wiele lepiej, niż za naszych czasów, bo dzisiaj trzecią częścią oziminy nie opędzi powinności rządowych, krajowych, powiatowych i gminnych. We wsiach na prawie niemieckiem bywało 14 dni pańszczyzny na rok.

ZAGRODNICY.

Brak rąk do pracy na roli sprawił, że i polscy właściciele rozglądali się jednak za niewolnikiem. W pięćdziesiąt lat po śmierci Kazimierza Wielkiego pojawiają się znowu niewolnicy, zakupieni u żydów, „niewolni i służebne“ *(servi et ancillae)*, których niewola była dziedziczną, przechodziła z rodziców na dzieci i nie mogła się inaczej skończyć, jak tylko, gdy ich własny pan wolnością obdarzył. Czasem popadł ktoś w taką niewolę za długi i już się z niej nie wydobył. Czasem pozostał w ręku prywatnem jeniec wojenny, jaki ciura obozowy, o którego nikt się nie troszczył i za którego nie warto było skarbowi królewskiemu dawać kopę groszy. Ale tych wszystkich niewolnych było niewiele i rzadko kto mógł się nimi posługiwać; ani też handel ludźmi nie zagnieździł się już i wnet znikają znowu jego ślady.

W okolicach mających ułatwiony handel zbożem nie chciała jednak szlachta wydzierżawiać nowych łanów kmieciom; zgłaszających się nowych bezrolnych osadników chciano użyć przedewszystkiem do uprawy folwarków. Przestaje się powiększać ilość kmiecych łanów. Po dwie i trzy rodziny kmiece siedziały już na jednym łanie, rodzice z żonatymi synami, bracia z braćmi. Szukającym utrzymania przy rolnictwie ofiarował szlachcic całe utrzymanie w zamian za robotę na folwarku i stawiał dla nich zagrody. W ten sposób powstała nowa warstwa społeczna wśród rolniczej, warstwa wolnych zagrodników (po łacinie *hortulani*), których stosunek do właściciela folwarku polegał na dobrowolnej umowie. Od roku mniej więcej 1420 mnoży się szybko ilość zagrodników. Niejeden syn kmiecy musiał pójść na zagrodnika, gdy rodzina była zbyt liczna, gdy nowego łanu nie można było w okolicy dostać, a nie stało odwagi i przedsiębiorczości szukać szczęścia w innej stronie, na jakiej „woli“.

Założenie i rozwój folwarku zależały przedewszystkiem od kapitału. Kto miał gotówkę na kupno „niewolnych“, lub na sprawienie zaprzęgów i narzędzi i na wystawienie chat zagrodnikom, ten zabierał się śmiało do dzieła. Bogaty bogacił się więc jeszcze bardziej, ubogi tem bardziej zostawał w tyle za tamtymi. Zakładali folwarki wielmożowie i — mieszczanie.

Od zajęcia Rusi Czerwonej nastały złote czasy dla mieszczań-

stwa, tem bardziej, gdy tyle Rusi przybywało polskiemu handlowi przez łączność z Litwą. Na wywozie zboża zyskiwał rolnik, ale o wiele szybciej bogacił się handlarz zboża, mieszczanin. Z zysków zbożowego handlu większa część zostawała w kieszeni kupca, mniejszą dzielił się właściciel ziemi z kmieciem i zagrodnikiem. Każde miasto miało za murami pewną ilość łanów do swego użytku; te grunta miejskie przemieniano też na orną rolę, bo gdy sam właściciel był zarazem kupcem, zysk był podwójny. Rzuciło się też mieszczaństwo do kupna ziemi w sąsiedztwie i niedługo całe okolice podmiejskie znalazły się w mieszczańskiem ręku. Zasobny w gotówkę mieszczanin zakładał bez trudu kwitnące folwarki, a szlachcie groziło niebezpieczeństwo, że będzie zupełnie wyrugowana z pobliża miast, nie mogąc wytrzymać konkurencyi kapitału. Niektórzy mieszczanie rzucali dotychczasowe zajęcia i cały kapitał wkładali w ziemię. Ale szlachtą być nie chcieli i przed służbą wojskową zasłaniali się tem, że, jako mieszczanie, obowiązani są tylko do obrony murów miejskich. Żaliła się na to szlachta już za Władysława Jagiełły, lecz zupełnie bezskutecznie. Ekonomiczna przewaga mieszczaństwa miała się jeszcze powiększać w następnych pokoleniach.

Obydwom stanom, tak mieszczańskiemu, jakoteż szlacheckiemu, zależało na tem, żeby Polska posiadała wybrzeża morskie.

TURCY I TATARZY.

Czarnomorski handel był zrazu całkiem bezpieczny. Olbrzymie niegdyś państwo tatarskie porozpadało się już od dawna na szereg mniejszych, zwanych hordami, które osłabiały się w wzajemnych walkach. Zwierzchność nad Rusią odjęła im Polska i Litwa; walczyła też z nimi skutecznie owa Ruś Nowa, Suzdalska, z Moskwą na czele, a w roku 1380 zadał im walną klęskę Wielki książę Dymitr, Dońskim zwany. Tatarzy skłaniali się też już do życia osiadłego, do rolnictwa i kupiectwa, nawet chrześcijaństwo poczęło do nich docierać, papieże utrzymywali tam z świętopietrza misye, a polska prowincya franciszkańska wyprawiała misyonarzy, których rzadko kiedy spotykało prześladowanie. Zanosiło się w najlepsze na to, że Tatarzy, jak niegdyś Madjarzy, uspokoją się i zdobędą się na porządną organizacyę państwową i będą dobrymi sąsiadami Rusi i Polski. Przeszkodził temu wzrost państwa ture-

ckiego. Już od r. 1365 była stolica sułtana w Europie, w Adryanopolu. Bitwa na Kosowem Polu oddała im w r. 1389 w niewolę naszych południowych pobratymców, Serbów i Bułgarów, kiedy Polska nie brała jeszcze udziału w polityce zagranicznej, zajęta obroną nowo nawróconej Litwy przed Krzyżakami. Dwa razy kusili się już Turcy o zdobycie Konstantynopola, w r. 1396 i 1422; nie zajęli wprawdzie stolicy, ale też oprócz niej nie mieli już niczego do zdobywania na bałkańskim półwyspie. Zamknięci w Carogrodzie cesarze bizantyńscy układali się o unię cerkiewną z Rzymem, żeby pozyskać posiłki zachodniej Europy, a tymczasem Turcy rośli w potęgę, a w Tatarach zyskiwali gotowych sprzymierzeńców. Shołdowali sobie Tatarów w Azyi, zmusili ich do przyjęcia muzułmańskiej wiary, w Europie zaś uczynili sobie z krymskich i nadwołżańskich Tatarów jakby straż przednią lekkozbrojną. Pod zasłoną Turcyi powrócili Tatarzy do dawnego obyczaju; gardząc pracą, poczęli żyć na nowo z wojennego rabunku i z pracy jeńców, branych w jassyr.

Rozpoczęły się na nowo tatarskie najazdy. W r. 1438 napadli na Podole z taką siłą, że cała ludność była zrujnowana. Jedynym sposobem zapobieżenia ogólnemu bankructwu było ogłoszenie na cały rok tak zwanego w kupieckim języku moratoryum, to znaczy, że wstrzymano wówczas na cały rok wszelkie zobowiązania pieniężne. Dłużnik po roku dopiero miał płacić należytość, kupujący po roku zapłacić i t. p., żeby ludzie mieli czas zagospodarować się jako tako. Odtąd ponawiały się te najazdy często. Wschodnim krainom zagrażało wyludnienie z powodu jassyru, a całym okolicom zabrakło rąk do uprawy roli. Nagle spadła na Podolu wartość ziemi bardzo nisko, podczas gdy wzrastała ciągle w ziemiach dalej na zachód położonych.

RZĄDY OLEŚNICKIEGO.

Polityka polska musiała się tem zająć, żeby Tatarów poskromić, a na to jedyną radą było rozgromić muzułmańską potęgę. Tatarzy zagrodzili czarnomorskie drogi, jako podwładni sułtana, i pod jego osłoną i pókiby sułtan nie był pokonany, nie było nadzieji poprawy stosunków. Polska musiała się tedy zwrócić zawczasu przeciw Turcyi. Rozumiał to biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki, stojący na czele rządu w imieniu małoletniego króla

Władysława i dlatego pragnął jak najściślejszego sojuszu z Węgrami, bo to państwo zagrożone było bezpośrednio turecką nawałą, sąsiadując już niemal z ich zaborami. Postanowił więc przeprowadzić wybór młodziuchnego Władysława Jagiellończyka na króla węgierskiego.

STRONNICTWO CZESKIE I WĘGIERSKIE (1437–1439).

Po śmierci Zygmunta Luksemburczyka, w roku 1437, uważał się zięć jego, Albrecht Habsburski, za spadkobiercę trzech koron po teściu: niemieckiej, węgierskiej i czeskiej. Wszystkie trzy były elekcyjne. Książęta Rzeszy niemieckiej wybrali go królem nad sobą, a już się przyjęło, że każdy król niemiecki używał tytułu cesarskiego. Ofiarowali mu koronę też Węgrzy, gdyż łączność z krajami, dynastyi habsburskiej podległymi, była dla nich bardzo korzystną. Nim polska rejencya zdołała pozyskać na Węgrzech zwolenników dla myśli połączenia w jednej osobie tronu węgierskiego z polskim, już wybór Albrechta był dokonany. Nie zrzekając się na przyszłość kandydatury króla polskiego i zbierając stronników przeciw habsburskiemu panowaniu na Węgrzech, postanowił Oleśnicki starać się tymczasem przynajmniej o sojusz na wojnę zaczepną przeciw Turcyi.

Wtem niespodzianie przybyło w r. 1438 z Pragi poselstwo zapraszające Władysława Jagiellończyka na tron czeski. Znaczne stronnictwo nie chciało dopuścić niemieckiego księcia do tronu, a od króla polskiego żądali, żeby objąwszy tron czeski, bronił kompaktatów, a żadnego urzędu nie powierzał Niemcom. Nie na rękę było Oleśnickiemu to zaproszenie. Żywotną była dla Polski sprawa czarnomorska i wymagała całych sił społeczeństwa; nie chciał, żeby je pochłonęła sprawa czeska.

Kalikstyni jednak polscy, ze Spytkiem z Melsztyna na czele, pragnęli wyzyskać sposobność połączenia z Czechami; znajdowali też poparcie u wielu, którym kompaktaty zupełnie były obojętne, przez wzgląd na pobratymstwo słowiańskie i wspólną walkę z Niemcami i tak utworzyło się przeciw Oleśnickiemu silne stronnictwo czeskie. Oleśnicki przeprowadził przynajmniej tyle, że nie dano Czechom króla Władysława, lecz przeznaczono na tron czeski młodszego królewicza, Andrzeja Kazimierza, liczącego natenczas jedenaście lat.

Zebrano 9.000 zaciężnych, których poprowadzili do Czech wojewoda krakowski Jan Tenczyński, i poznański, Sędziwój Ostroróg, a przyłączyło się do nich 3.000 ochotników ze stronnictwa Spytka z Melsztyna. Pokazało się niebawem, że nie wszyscy Czesi są zwolennikami polskiego królewicza, a cesarz Albrecht ma wojsko dwa razy liczniejsze od polskiego. Pod Taborem było kilka drobnych starć, lecz większej bitwy nie stoczono. Rozpoczęte tam układy nie dopisały, i wojsko polskie wróciło do domu bez szwanku wprawdzie, ale też i bez korzyści. Podczas tej wyprawy próbowano też wstępnych układów w sprawie węgierskiej. Dostojnicy polscy ze stronnictwa Oleśnickiego pisali do panów węgierskich, że Polska gotowa im dostarczyć pomocy przeciw Turcyi pod „dobrymi warunkami". Węgrzy nie dowierzali, widząc, że Polacy walczą z ich królem w Czechach; prosili w odpowiedzi, żeby się najpierw z Czech wycofać.

Oleśnicki nie myślał wyprawiać drugiego wojska do Czech, ale chciał spróbować, czyby się nie udało odzyskać Ślązka. Byle tylko książęta ślązcy uznali Jagiellończyka królem czeskim, mniej już zależało na tem, czy naprawdę tron czeski osiągnie. Obwołano pospolite ruszenie w Małopolsce i wezwano ślązkich Piastów do łączności broni. I rzeczywiście uznali Kazimierza książęta górnoślązcy, sprzeciwił się jednak główny książę Ślązka, biskup wrocławski, Konrad, żarliwy Niemiec. Biskup ten w zmowie z Zygmuntem Luksemburczykiem przeszkodził był w roku 1427 arcybiskupowi gnieźnieńskiemu do odbycia wizytacyi kanonicznej, do której arcybiskup miał nietylko prawo, lecz obowiązek, jako zwierzchnik metropolitalny dyecezyi wrocławskiej. Za sprawą biskupa Konrada wydano w r. 1435 ustawę, żeby tylko „rodowity Ślązak" mógł sprawować urzędy duchowne we wrocławskiem biskupstwie, żeby zagrodzić drogę do nominacyj duchownych, pochodzących z królestwa polskiego. Ślązkich zaś Polaków nie dopuszczali Niemcy już dawno do niczego; ci szukali stanowiska w Polsce i zawsze je tu znajdowali. Słowa „rodowity Ślązak" znaczyły więc w ustawie biskupa Konrada tyle, co Niemiec ze Ślązka. Biskup Konrad zajął się gorliwie sprawami cesarza Albrechta; stanął też po jego stronie książę opawski. Wojsko polskie ruszyło na Opawę, ale dalej się już nie posunęło. Oleśnicki nawiązywał tymczasem dalej stosunki na Węgrzech. W drugim liście do węgierskich panów, pi-

sanym podczas wyprawy śląskiej, tłumaczono im, że sprawa czeska niema związku z turecką i zaczęto porozumiewać się bliżej, a w tajemnicy przed Albrechtem. Ażeby uśpić jego czujność, prowadzono równocześnie układy z nim samym we Wrocławiu, a gdy te się rozwiały, udano się do pośrednictwa papieża Eugeniusza IV-go, gorliwego poplecznika węgierskich zamysłów polskiej rejencyi.

Stronnictwo czeskie spostrzegło się, że Oleśnicki zmierza w inną stronę i że używa sprawy czeskiej tylko do zakrycia swej właściwej polityki; postanowili więc usunąć go przemocą od rządów.

W imię kalikstynizmu nie byłoby się zebrało dostatecznej ilości zwolenników; jęto się więc przeróżnych innych sposobów. Wszystko, co tylko w kraju działo się złego, zganiano na Oleśnickiego, zbierano zażalenia i wystąpiono przeciw biskupowi pod pozorem żądania rozmaitych reform; wyzyskano zwłaszcza wszystkie spory z duchowieństwem, mianowicie o dziesięciny i tak zebrane przeciw osobie Oleśnickiego stronnictwo związano w t. zw. konfederacyę, którą ogłoszono dnia 3 maja 1439 r. Rząd zwołał właśnie zjazd dostojników państwowych do Nowego Miasta Korczyna; na zjeździe tym miały zapaść uchwały na korzyść polityki węgierskiej, a niekorzyść czeskiej. Spytek napadł zbrojno na obradujących, a biskupowi krakowskiemu splądrował dobra. Na to postarał się Oleśnicki, żeby też jego zwolennicy związali się w konfederacyę. Obydwa stronnictwa uzbroiły się i tak z powodu sprawy czeskiej wybuchła w Polsce wojna domowa. Pod Grotnikami nad Nidą pokonano stronnictwo czeskie i kalikstyńskie zarazem, a sam Spytek z Melsztyna poległ. Tegoż jeszcze roku obległ biskup poznański, Andrzej Bniński, Zbąszyn i zmusił sędziego Abrahama, że mu wydał pięciu zamieszkałych tam husytów czeskich, których kazał spalić na rynku poznańskim. Sędzia Abraham wkrótce umarł. Stronnictwo topniało coraz bardziej, i nie udało się już nigdy zorganizować go na nowo.

Z początkiem jesieni 1439 r. napadli Turcy na Siedmiogród. Albrecht Rakuski spełnił swój obowiązek, jako król węgierski, wyruszył w pole przeciw nim, ale nie było mu sądzono dokonać odwetu. Umarł podczas wyprawy, dnia 27 października 1439 roku, pozostawiając żonę, Elżbietę, w stanie błogosławionym. Teraz można było starać się o tron węgierski całkiem jawnie, bo choćby

nawet Elżbieta powiła syna, nie miałoby to nic do rzeczy, skoro korona węgierska nie była dziedziczną, lecz elekcyjną.

PRÓBA ODZYSKANIA ŚLĄZKA (1440–1447).

Czesi nie przystępowali po śmierci Albrechta do elekcyi, uważając, że ich królem jest i tak Kazimierz Jagiellończyk, polski królewicz. Pókiby on nie objął tronu, ustanowili namiestnikiem najzdolniejszego ze swych wielmożów, Jerzego z Podiebrad, czyli Podiebradzkiego, kalikstyna. I tron węgierski łatwiej teraz było posiąść; nikt do niego przystępu nie bronił! Czy w tę, czy w ową stronę trzeba jednak było zwrócić się już stanowczo. Ale też Oleśnicki teraz stanowczo odmówił poparcia sprawie czeskiej, ograniczając się tylko do zabiegów o odzyskanie Ślązka, a zatem występując raczej przeciw koronie czeskiej.

Poselstwo polskie, próbujące w styczniu 1440 roku zjednać Wrocławian, doznało od tego zniemczonego miasta stanowczej odmowy. W lutym powiła Elżbieta, wdowa po królu Albrechcie, syna, Władysława, zwanego Pogrobowcem, a Niemcy ślązcy stanęli przy jego prawach do tronu. Udało się pozyskać dla sprawy Jagiellońskiej tylko księcia oleśnickiego, Konrada Białego. W roku 1441 nastąpiła wyprawa polska do ziemi wrocławskiej; w następnym roku zdobyto kilka gródków, ale potem odwołano wojsko i w marcu 1442 roku zawarto rozejm. Nie było pieniędzy, ani wojska na należyte poparcie ślązkich wypraw, bo siły polskie zwrócone były równocześnie na południe, ku Węgrom i Turcyi. Konrad Biały, spodziewający się jakiegoś wywyższenia od Polski, zawiedziony w tych nadziejach, zaczął teraz szukać sobie łupu kosztem Polski i znalazł towarzyszów w Bolesławie opolskim, Bernardzie świdnickim, w Bolku raciborskim i Wacławie cieszyńskim. Książęta ci urządzali sobie obławy na dobrze zagospodarowane sąsiednie polskie wsie i miasteczka. Nie chodziło im o żadne względy polityczne, tylko o rabunek, o dochód z wojenki. Z Wrocławianami przedłużano tymczasem ciągle rozejmy. W marcu 1444 roku zawarto rozejm na trzy lata, który wznowiono w roku 1446, aż wreszcie w roku 1447 zawarto pokój zupełny. Znaczyło to, że rząd polski nie myśli już o odzyskaniu Ślązka. W ciągu tych zamieszek złożył jednak hołd Koronie polskiej książę oświęcimski, a w roku 1443 odkupił biskup Oleśnicki księstwo siewierskie od Wacława cieszyń-

skiego i Bolka raciborskiego. Należało ono odtąd aż do końca polskiego państwa do biskupów krakowskich i stąd ich tytuł książęcy (obecnie jest księstwo siewierskie w zaborze rosyjskim).

Na Węgrzech było stronnictwo za Pogrobowcem, a tylko część narodu za wyborem króla polskiego. Był więc podobny stan rzeczy, jak w Czechach po śmierci Zygmunta Luksemburczyka, ale na Węgrzech poparto elekcyę jagiellońską z całych sił, nie szczędząc z Polski pomocy pieniężnej na dwuletnią wojnę z królową wdową Elżbietą i stronnictwem Pogrobowca. Dnia 8 marca 1440 r. ofiarowało stronnictwo jagiellońskie koronę Węgier polskiemu królowi.

UNIA FLORENCKA (1439).

Kandydatura Władysława III. do tronu węgierskiego zwracała na Polskę uwagę całej Europy. Papież i cesarz bizantyński mieli już przygotowane plany unii Kościoła wschodniego z zachodnim i wielkiej wyprawy na Turka. Sprawa unii straciła wartość dla Polski, bo ruscy bojarzy woleli przechodzić wprost na łaciński obrządek, ale poza Polską miała niezmiernie doniosłe europejskie znaczenie, bo w Carogrodzie nikt nie myślał o obrządku rzymskim i tam unia była jedynym sposobem przywrócenia katolicyzmu. Toczą się więc dalej układy o unię, chociaż bez udziału duchowieństwa i rządu polskiego. Wielki Książę Zygmunt Kiejstutowicz bał się, że sympatye ruskiej ludności zwrócą się ku Moskwie, jako opiekunce schyzmy. Toteż gdy z początkiem roku 1437 metropolita Izydor jechał z Carogrodu do Moskwy, oświadczył mu, że poprze go w takim tylko razie, jeżeli do układów o unię przystąpi znaczniejsza ilość moskiewskich władyków i bojarów. W Moskwie przyjęto Izydora niechętnie, ale przyzwoicie i ostatecznie na sobór go puszczono, zastrzegając, żeby tylko nie przywoził stamtąd „nic nowego, ni obcego“. Jechał z metropolitą jeden tylko biskup, Abraham suzdalski, i grono niższego duchowieństwa, którzy szpiegami raczej byli, niż towarzyszami.

Właśnie wtenczas poróżnił się znowu sobór z papieżem, toteż Izydor nie wiedział, dokąd jechać, do Bazylei, czy do Rzymu. Nie jechał przez Litwę, lecz przez posiadłości krzyżackie, a o kierunku podróży mówił rozmaicie, czekając, co postanowią w Carogrodzie. W styczniu 1438 roku ogłosiło bazylejskie zgromadzenie

suspenzyę papieża, t. j. że się go zawiesza w sprawowaniu rządów Kościoła! Cesarz bizantyński przystał jednak na stronę papieską. Eugeniusz IV. zwołał nowy sobór do Ferrary, żeby Grekom było bliżej, a stamtąd przeniósł go jeszcze dalej na południe, do Florencyi. Nie było na tym soborze ani jednego Polaka.

W Bazylei posunął się rzekomy sobór do tego, że dnia 25 czerwca 1439 r. strącił Eugeniusza IV. z papieskiego tronu, poczem ogłoszono konklawe, t. j. wybór nowego papieża. Wybrano do tej czynności 32 wyborców z pośród wszystkich narodów; brał w tem konklawe udział także archidyakon krakowski i rektor uniwersytetu, Dersław z Borzynowa. Wybrali sobie nowego papieża, a właściwie antypapę, Feliksa V. Uznały go tylko dwa kraje, Szwajcarya i Zakon Niemiecki, tudzież pięć uniwersytetów, wśród nich paryski i krakowski.

A równocześnie dojrzewały we Florencyi układy o unię pod przewodnictwem kardynała Cezariniego, a przy współudziale cesarza bizantyńskiego Jana VII. Paleologa, patryarchy carogrodzkiego Józefa i metropolity kijowskiego Izydora. Chodziło o to, żeby Grecy uznali, że Duch św. pochodzi nietylko od Boga-Ojca, lecz także od Syna, żeby przyjęli naukę o czyścu, żeby nie uważali za herezyę wypiekania hostyi na przaśno (jak jest zwyczaj katolicki), lecz uznali, że to również dobrze, jak na kwaśno (co jest zwyczajem u schyzmatyków), i żeby uznali rzymskiego papieża Głową całego Kościoła. Po długich naradach pogodzono się; co zaś do różnicy samego obrządku, o to nie było nigdy w Rzymie wątpliwości; przyznano unitom prawo zachowania dawnego ich obrządku, a zatem Rusinom nabożeństwo w języku cerkiewnym, staro-bułgarskim, używanym też do liturgii w Serbii i Bułgaryi. Obydwa obrządki uznano za zupełnie sobie równe, księżom pozwolono wzajemnie udzielać sakramentów wiernym drugiego obrządku, a samym wiernym nietylko pozwolono, ale nawet zalecono uczęszczać wzajemnie na nabożeństwa to do łacińskiego kościoła, to do greckiej cerkwi. Duchowieństwu greckiemu pozwolono zawierać związki małżeńskie. To uradziwszy, podpisano dnia 5 lipca 1439 roku akt unii, następnego zaś dnia ogłoszono ją uroczyście w katedrze florenckiej. Od miasta Florencyi zowie się ta unia florencką.

W Polsce unia florencka nie podobała się. Zdaniem profe-

sorów teologii w Krakowie, zrobiono schyzmatykom za wiele ustępstw. Niezadowolenie uniwersytetu pochodziło także stąd, że unii dokonał Eugeniusz IV. a nie Bazylejczycy! Nie uznając papieża, nie uznawali tem samem unii przez niego zawartej; nie uznał jej uniwersytet, ani prymas gnieźnieński, ani biskup wileński Maciej, na którym najbardziej zależało. Biskup ten twierdził, że chrzest schyzmatycki jest nieważny i żądał, żeby nawróconych chrzcić na nowo.

Nagrodą za unię i uwieńczeniem jej miała być wyprawa turecka pod wodzą króla polskiego. Metropolita Izydor, mianowany kardynałem, wracał na północ przez Budzyń, gdzie zatrzymał się trzy miesiące. W trzy dni po jego przybyciu ofiarowano koronę węgierską Władysławowi III. Z końcem czerwca był Izydor w Krakowie, przyjmowany uroczyście, bo tak król kazał, ale chłodno. Król wyjechał w lipcu na Węgry, koronowany tam 17 lipca 1440 roku, i już na Węgrzech pozostał, nigdy do Polski nie wróciwszy.

Oleśnicki rządził, a przeprowadziwszy swoje z pomocą Eugeniusza IV., dał teraz folgę swym sympatyom soborowym, w czem znalazł zresztą powszechne poparcie. Kiedy jesienią 1440 roku, wkrótce po wyjeździe króla na Węgry, przybyło do Krakowa uroczyste poselstwo Bazylejczyków, miał profesor uniwersytetu, Jakób z Paradyża, mowę, w której wzywał, żeby księżom było wolno żenić się. Wydano też przy tej sposobności rozprawę o wyższości soboru nad papieżem. Synod łęczycki oświadczył się wprawdzie za neutralnością, ale prymas trwał przy soborze i przy antypapie Feliksie V. Jesienią 1441 r. przyjął od antypapy kapelusz kardynalski wraz z Oleśnickim, podczas gdy poprzednio odmówili przyjęcia tych godności od Eugeniusza IV. Występujący w imieniu Eugeniusza IV. metropolita Izydor nie znalazł też poparcia u naszych biskupów. Bawił cały rok na Rusi Czerwonej i litewskiej. We Lwowie odprawił uroczyście grecką liturgię w katedrze łacińskiej, na co tam krzywo patrzano. Na Litwie zaś miał nieprzyjaciela i w biskupie wileńskim i w rządzie.

JAN GASZTOŁD.

Litwa nie brała zupełnie udziału w sporach o zagraniczną politykę pomiędzy stronnictwem czeskiem a węgierskiem. Polacy zajmowali się żywo sprawami litewskiemi, ale Litwinom sprawy

polskie były obojętne. Skoro tylko nie chodziło o zabór Nowogrodu, Pskowa, Moskwy, nie troszczyli się o resztę; tam zaś nie mogli sięgnąć. Wielki Książę Zygmunt Kiejstutowicz, brat i następca Witołda, był zaś na Litwie takim monarchą w XV. w., jak w Polsce w XII. w. Mieszko Stary. Był przeciwnikiem wszelkich swobód obywatelskich, niesionych na Litwę z Polski. Wywołał też przeciw sobie spisek wielmożów, na których czele stanęli Iwan i Aleksander Czartoryscy. Zamordowano go dnia 20 marca 1440 roku. Było na Litwie stronnictwo pod przewodem Jana Gasztołda, pragnące stosować wszelkie swobody prawa publicznego polskiego i życzące sobie społecznego związku z Polską, lecz dążące do zupełnej niezależności politycznej od Polski. Ci chcieli obwołać Wielkim Księciem królewicza Andrzeja Kazimierza, niedoszłego króla Czech, który, jako syn Jagiełły, mając do Litwy prawa dziedziczne, przekazałby je swym potomkom. Plan Gasztołda rozdzielał tedy dynastyę Jagiellońską na dwie gałęzie: polską i litewską, a stosunek Litwy do Polski zamieniał na zwykły sojusz. Panowie polscy chcieli wysłać na Litwę tylko zwykłego namiestnika, aby zaznaczyć, że władcą Litwy najwyższym jest król polski. Ale król nie mógł jechać na Litwę i objąć tam zwierzchniczych rządów imieniem korony polskiej, bo się wyprawiał w sam raz na koronacyę węgierską. Zastrzegano się więc tylko, że się królewicza wysyła na Litwę nie na Wielkiego Księcia, ale tylko na namiestnika, ale to było tylko prawne zastrzeżenie. Wiedziano dobrze, że go tam zaraz wyniosą na tron wielko-książęcy i tak się też stało dnia 3 czerwca 1440 roku. Nowy monarcha litewski miał lat 13, a rządy Litwy spoczęły w ręku Gasztołda i biskupa Macieja. Podnieśli uroszczenia do wielkoksiążęcej godności dwaj stryjeczni Kazimierza: syn zamordowanego poprzednika, Michał Zygmuntowicz, bratanek Witołda i Jerzy Lingwenowicz, bratanek Jagiełły; obydwaj występywali zbrojno i wszczynali wojnę domową, ale Gasztołd stłumił te ruchy z całą bezwzględnością.

METROPOLITA IZYDOR.

Dla unii były to stosunki bardzo niekorzystne. Izydora uznano wprawdzie w Kijowie, ale biskup Maciej nie dopuszczał do zorganizowania unickich biskupstw, oświadczając, że nie uzna Izydora, póki go sobór bazylejski o unii nie zawiadomi. Izydor znalazł

chętnych w Pskowie, ale w Moskwie, dokąd wybrał się na wiosnę 1441 r., natrafił na opór Wielkiego Księcia. Duchowieństwo tamtejsze przywykło do ślepego posłuszeństwa świeckiej władzy, a w społeczeństwie tkwił gruby bizantynizm, nie pojmujący żadnej odmiany od utartych form. Izydor chcąc zaznaczyć, że kościół grecki a łaciński, to już jedno, kazał wjeżdżając do Moskwy dnia 19 marca 1441 r. nieść przed sobą krzyż łaciński, z rzeźbioną figurą Chrystusa, z nogami przebitemi jednym tylko gwoździem. Moskalom wydawało się to zaparciem wiary, że na wizerunku Zbawiciela nie jest każda noga z osobna przygwożdżona do krzyża, jak do tego byli przyzwyczajeni. Wasyl korzystał z tego, że Izydor rozmaitemi takiemi drobnemi odmianami zrażał sobie ludność, wzniecał nienawiść ku metropolicie, bo chciał schyzmę utrzymać bezwarunkowo. Głowa schyzmy, patryarcha carogrodzki, przystał na unię, ale Wasyl o to nie dbał, sam wbrew patryarsze stawał na czele sprawy kościelnej. Zwołał synod, który na jego rozkaz potępił Izydora, poczem zamknięto go w Czudowym monasterze. Było to jawnym buntem przeciw patryarsze, samowolnem nadużyciem sprawy religii do celów świeckiej polityki. Uwięziony metropolita zbiegł wprawdzie we wrześniu 1441 r. do Tweru, ale tamtejszy książę również go uwięził i wypuścił dopiero w marcu 1442 r. Przybył na Litwę, do Nowogródka, do Andrzeja Kazimierza Jagiellończyka, ale tu trzymano się ciągle soboru. W maju 1442 Wielki Książę i biskup wileński wysłali właśnie poselstwo z obedyencyą do Bazylei. Izydor nie miał tu co robić; wracał więc do Włoch. Jechał przez Węgry, zatrzymał się w Budzyniu u króla Władysława III., wyjednawszy tu ważny dla Rusinów przywilej.

Schyzmatycy, a więc Rusini, otrzymali równouprawnienie w państwie litewskiem jeszcze w r. 1432, podczas buntu Świdrygiełły, bez unii. Schyzmatycy na Rusi Czerwonej, w państwie polskiem, nie mieli jeszcze tych praw. Otrzymali je teraz, przywilejem Władysława III., jako pana Czerwonej Rusi, dnia 22 marca 1443 r., a prawa te rozciągnął król także na Rusinów zamieszkałych w państwie węgierskiem. Uczynił to w tej myśli, że unia florencka przyjmie się w Polsce i na Węgrzech.

Izydor krótko bawił u papieża Eugeniusza; już w sierpniu 1443 r. jechał na synod do Konstantynopola. Ustanowiono tam

unickiego biskupa dla Włodzimierza (na Wołyniu) i Brześcia. Izydor wrócił następnie do Rzymu, skąd wyprawiał ciągle zaufanych na Litwę; ale władzę metropolitalną sprawował mianowany przez Wasyla Jonasz, schyzmatyk.

Bazylejskie zgromadzenie traciło coraz bardziej uczestników; w uszczuplonem wielce gronie przeniosło się z końcem 1442 r. nieco dalej, do miasta Lozan (Lausanne) i tam założył swą rezydencyę antypapa. Wysyłano na wszystkie strony ciągle poselstwa, żeby utrzymać i rozszerzyć soborową obedyencyę; jeździli też i do Polski ciągle posłowie. Ale rozpoczął teraz też Eugeniusz IV. działanie ze swej strony. Kardynał Cezarini objeżdżał monarsze dwory północnych państw; uczony ten mąż i biegły polityk jednał w Czechach i w Polsce umysły dla papieża rozgłaszaniem, że na kompaktaty się zgadza, a komunię św. pod obiema postaciami mógłby papież przyznać nie tylko Czechom, ale też i Polakom. Ze strony antypapy jeździł na północ Polak, polski książę, Aleksander z książąt mazowieckich, kardynał Feliksa V., ale ten nie posiadał tych osobistych przymiotów, żeby się mógł równać z Cezarinim. Władysław III. nie chciał już słyszeć o Bazylejczykach, a w r. 1444 zgromił nawet polskich zwolenników Feliksa V. Kardynał Cezarini był już głównym doradcą politycznym króla. Uznawał król najzupełniej Eugeniusza IV., a tylko dla tego głoszono urzędowo neutralność, że polscy biskupi z prymasem na czele obstawali przy Feliksie.

WOJNA TURECKA (1443 – 1444).

Wśród takich okoliczności nastąpił wyjazd króla Władysława III. na Węgry, celem podjęcia walnej wyprawy na Turka. Polskie sprawy załatwiało się już od r. 1440 bez króla, ustanowiwszy namiestników dla Wielkopolski i Małopolski. Przygotowania do wojny tureckiej wymagały wiele pieniędzy; zasiłki z Zachodu były nieznaczne, węgierski skarb nie mógł nastarczyć, król czerpał pełną dłonią z Polski. Zachwiały się też wtenczas dochody państwowe; król rozpoczął zastawianie dóbr koronnych, żeby tylko zebrać jak najwięcej na zbrojenie. Dopłacała też Polska grubo do węgierskiej korony swego monarchy, a to wpłynęło źle na tok spraw społecznych.

W r. 1443 rozpoczęto wojnę, po której spodziewano się wy-

pędzenia Turków z Europy. Kilka tysięcy Polaków ruszyło na Węgry za królem; za polskie i węgierskie pieniądze zebrano 25.000 zaciężnych; stanęło w szeregach kilka tysięcy szlachty węgierskiej; magnat węgierski Jan Hunyady dał na koszta wyprawy własnych 32.000 dukatów; z zachodnich państw przybyło trochę ochotników. Dynastya habsburska, broniąca praw swego Pogrobowca do tronu węgierskiego i będąca skutkiem tego w wojnie z naszym Władysławem, którego uważała za wydziercę tronu, zawarła z nim jednak rozejm dwuletni, żeby nie być przeszkodą do wyprawy tureckiej; historya winna zapisać z uznaniem ten uczciwy postępek. Jesienią przekroczył król Dunaj z dzielnym Janem Hunyadym pod Salankenem, wkroczył do Serbii, a następnie do Bułgaryi, witany radośnie przez pobratymców słowiańskich. Odniósł świetne zwycięstwo nad rzeką Morawą serbską, pod Nyszem, poczem w listopadzie 1443 r. dotarł do stolicy bułgarskiej Sredca (Sofii). Rozgromił Turków jeszcze dwa razy, pod Derbend - Isladi i pod Kunobicą. Nie prowadziło się wówczas wojen w zimie, wraca więc Władysław do Budzynia okryty chwałą. Zwycięstwa jego i Hunyadego okazały Europie, że można jednak Turka pokonać, dodały otuchy, i jak to zwykle bywa, zaczęto pomagać temu, który sam własnemi siłami zrobił już dobry początek. Niektóre państwa zachodnie posłuchały głosu Eugeniusza IV., i przyrzekły pomoc na rok następny, 1444.

Chodziło o to, żeby Turka wziąć we dwa ognie, od lądu i morza. W Rzymie, na papieskim dworze, ułożono plany wojenne. Król Władysław miał znowu od Dunaju, przez góry Bałkańskie, dążyć na zdobycie tureckich zaborów, podczas gdy flota miała zebrać się nad morzem pod Gallipolis. Dostarczyły okrętów dwie rzeczpospospolite włoskie: wenecka i genueńska, książę burgundzki i sam papież. Hunyady dał tym razem aż 63.000 dukatów.

Sułtan turecki pragnął pokoju, bo w Azyi Mniejszej wybuchło powstanie przeciwko niemu. Przyrzekał, że uwolni jeńców i zrzecze się panowania nad Serbią, że tedy nie będzie się już zapuszczał dalej w Europie. Sejm węgierski uchwalił jednak w Budzyniu dnia 18 kwietnia 1444 r., że nie wolno się układać z Turkiem pod karą śmierci. Król za nic w świecie nie byłby od wojny odstąpił, od wojny, dla której jedynie przyjął węgierską koronę. Nie brakło pilnych spraw w Polsce, odzywały się niechętne głosy,

że król powinien już wracać do Krakowa, przynajmniej na jakiś czas. Jak się na to zapatrywał młody Władysław III., okażą najlepiej słowa z listu królewskiego (pisanego do Krzyżaków, z wezwaniem o pomoc przeciw Turkom): „Z obojętnością zniesiemy własne i kraju rany, nie czujemy ich, podejmując trud dla wiary. Niechaj w naszej nieobecności rozwielmożni się nieład w domu (tj. w Polsce), my spieszymy do dawnych zwycięstw dołączyć nowe". Ale innego zdania poczęli być Hunyady i władca części Serbii, despota Rascyi, Jerzy Brankovicz, o którego w tych wojnach głównie chodziło, bo przez jego ziemię trzeba było ruszać. Sułtan Murad obiecał mu zwrot jego grodów i wydać synów zabranych mu do niewoli, byle do nowej wojny nie dopuścił. Miał więc Brankovicz bez wojny obiecane wszystko, czego wojną chciał dochodzić, a wszak wynik każdej wojny niepewny. Interes Brankovicza wymagał pokoju, interes całego chrześcijaństwa wojny; nie miał Serb na tyle zaparcia się, żeby swą sprawę złożyć chwilowo na ołtarzu chrześcijaństwa, żeby zaryzykować wojnę na ten raz, a sprawę wolności reszty Serbii złączyć ze sprawą zupełnego wypędzenia Turków, z wolnością Bułgaryi i Grecyi. Wolał jakietakie dziś, niż lepsze jutro. Nie dowierzał widać wyprawie; czyż dowierzał, że Turcy nie zechcą w przyszłości zagarnąć tej reszty Serbii? Poprzestawał jednak na tem, że Turcy teraz dadzą mu spokój, zwrócą synów i zaczął wpływać na Hunyadego, żeby się oświadczył przeciw wojnie. Obiecał mu zwrócić koszta na te wojny już wyłożone, a mianowicie w ten sposób, że mu ofiarował swoje własne posiadłości na Węgrzech, zamek Vilagosz z przyległościami, 120 miast, miasteczek i wsi, tudzież kopalnie złota i srebra. Dał się skłonić Hunyady i dnia 3 lipca 1444 r. zawarł z Brankoviczem umowę. Król obiecywał mu tron Bułgaryi w razie zwycięstwa; napróżno, Hunyady już wojny nie chciał i wbrew uchwale budzyńskiego sejmu nie tylko wpuścił na Węgry posłów Murada, ale sam z nimi zaczął się układać z początkiem lipca w mieście Szegedynie i po kilku dniach, (około 8 lipca 1444 roku) zawarł z Turkami rozejm bez wiedzy królewskiej, a zatem nieważny, pókiby go król nie potwierdził. Posłowie tureccy czekali też w Szegedynie na przybycie Władysława. Przybył król do tego miasta dopiero dnia 1 sierpnia, w towarzystwie kardynała Cezariniego. Posłom tureckim posłuchania udzielił, ale rozejm odrzucił. Dnia

zaś 4 sierpnia wydał z Szegedynu orędzie królewskie, w którem zapowiada, że wyprawa się odbędzie, a termin do wyruszenia w pole oznaczył na dzień 1 września.

Ta ochota wojenna młodego króla nie wszystkim jego poddanym się podobała. Nie tylko na Węgrzech było stronnictwo z Hunyadym na czele pragnące pokoju, ale też i w Polsce krzywiono się na tę wojnę. Zapanowała wielka radość, gdy się rozeszła wieść, że Hunyady zawarł rozejm; nie wiedząc, jak się rzeczy naprawdę miały, sądzono, że wszystko stało się z wiedzą i przyzwoleniem króla. Cesarz bizantyński przeraził się i zaklinał króla, żeby rozejmu nie zawierał, a uradowani Polacy chwalili go właśnie za to! Gdy się wkrótce okazało, że wola królewska inna, zaczęto z Polski wywierać nacisk. Zjazd dygnitarski w Piotrkowie wezwał wprost króla, żeby wracał do Polski. Gdyby król posłuchał, nie byłoby wojny i zwyciężyłaby pokojowa polityka Hunyadego i Brancovicza. Ale powrót byłby strasznym zawodem dla Greków, Bułgarów, dla papieża i zachodniej Europy, gotującej już posiłki. Został król na Węgrzech i tylko opóźniła się o trzy tygodnie wyprawa przez te przeszkody i wstręty.

BITWA POD WARNĄ (1444).

Dnia 20 września 1444 r. przekroczono Dunaj. Hunyady i Brankovicz, którzy zaręczyli Turkowi, że wyprawy nie będzie, byli teraz w opałach. Brankovicz nie długo się namyślał i stanął przeciw królowi. Zaraz posłał do sułtana Murada z uwiadomieniem o ruchach wojsk królewskich. Gdy Skanderbej, rządca prowincyi bałkańskiej Rascyi (południowej Bośnii), ruszył ze swym wojskiem, żeby się połączyć z królem, zaszedł mu Brankovicz drogę i do tego połączenia nie dopuścił. Było to wielkiem osłabieniem sił Władysławowych. Nie otrzymawszy na Bałkanie żadnych posiłków, miał król pod sobą zaledwie 16.000 żołnierza, wraz z 4.000 Wołochów pod wodzą Drakuły i z hufcem rakuskiego rycerstwa. Flota papieska i genueńska czekała z drugiem wojskiem pod Gallipolis. Skutkiem odstępstwa Brankovicza zmienił król kierunek pochodu; chciał być jak najprędzej nad morzem, żeby w razie potrzeby łatwiej i prędzej można było mieć pomoc od floty. Podążył więc w kierunku Warny, skąd wybrzeżem chciał się posuwać dalej na południe, pod Konstantynopol. Zanim jeszcze zdą-

żono porozumieć się z flotą, wypadło stoczyć bitwę, gdyż pod Warną zastąpił chrześcijanom drogę sułtan Murad.

Sprawił szyk bojowy Hunyady, jako doświadczony już wojownik. Kardynał Cezarini radził urządzić tabory z wozów, żeby z nich mieć na wszelki wypadek odwodową linię, lecz wódz węgierski odrzucił tę radę; szkoda, bo tabor byłby się właśnie przydał jego Węgrom. Bitwę rozpoczęli Turcy atakiem na prawe skrzydło węgierskie, które pierzchnęło. Natenczas sam król ruszył do boju, objął dowództwo i silnym atakiem naprawił, co Węgrzy psuć zaczęli. Pędził Turków przed sobą tak, że rozprószeni zaczęli uciekając szerzyć po okolicy wieść o zwycięstwie chrześcijańskiego oręża. Za przykładem króla poszedł Hunyady. Zapowiadało się rzeczywiście świetne zwycięstwo. Poległ namiestnik (beglerbej) Anatolii (w Azyi Mniejszej) Karadsza, a wśród Turków powstała z tego pogłoska, że sam sułtan padł na pobojowisku. Już złamano lewe skrzydło tureckie i część nieprzyjaciela odpędzono na trzy mile od Warny. Sułtana Murada wciśnięto w wąwóz pomiędzy wzgórkami. Ale nie było należytego porozumienia pomiędzy Władysławem a Hunyadym; każdy z nich walczył i prowadził swe hufce na własną rękę. Hunyady uderzył teraz na lewe skrzydło tureckie, podczas gdy król ruszył na wyborową piechotę turecką, janczarami zwaną, strzegącą sułtana i jego otoczenia. Pole walki zaczęło się z jednej walnej bitwy zmieniać na szereg odrębnych bitew i odrębnych ataków, pomiędzy któremi brakło potrzebnego związku. Lewe skrzydło Turka pierzchnęło wprawdzie przed Hunyadym, ale koło króla szczęście poczęło się wahać. Sprzyjało mu zrazu, król złamał szyki janczarskie, sam zabił ich wodza; chcąc jednak dotrzeć dalej naprzód, ku sułtanowi, potrzebował posiłków. Wołosza nie wsparła go należycie, poczynało być niebezpiecznie; Węgrzy z jego otoczenia poczęli uciekać. Polacy stali jak mur; nie opuścił króla nikt z rodaków. Posyła król do Hunyadego po posiłki, lecz czeka napróżno; posyła kilkakrotnie, wciąż napróżno. Hunyady pobiwszy lewe skrzydło już się nie ruszył. Żołnierze jego byli przekonani, że król sam ze swemi oddziałami poradził sobie, że posiłków nie potrzebuje. Część węgierskiego wojska powróciła do obozu, zupełnie pewna wygranej, oczekując powrotu zwycięskiego króla. Zaszły jakieś nieporozumienia. Być może, że gońcy królewscy, wysyłani do Hunyadego, nie zdołali do niego dojechać

i że ten nie wiedział nic o królewskich rozkazach. Podczas gdy tak jedna część wojska spoczywała bezczynnie w obozie, druga część ruszyła w kierunku Gallipolis; uważali widocznie, że pod Warną już niepotrzebni, mniemali, że bitwa już się kończy i szli na spotkanie floty, jak było umówione. Król został ledwie z trzecią częścią wojska, a gdy Węgrzy poczęli pierzchać, zostali mu niebawem sami tylko Polacy. Pewny, że Hunyady z wielką siłą lada chwila przybędzie, parł młodociany król ciągle naprzód, aż się znalazł otoczonym przeważnemi siłami tureckiemi. Nie było sposobu ocalenia, bo za mało miał przy sobie żołnierza. Został w końcu tylko polski hufiec, z którego ani jeden nie wrócił z tej bitwy; wszyscy polegli broniąc królewskiego życia. Bohaterstwo tej garstki nie odniosło jednak skutku. I król poległ. Nie było nawet nikogo, ktoby o jego śmierci tamte pułki zawiadomił, bo nikt z Polaków żyw nie uszedł. Turcy też nie spostrzegli się, że w tym zaciekłym hufcu walczy sam król. I tak ani Hunyady, ani Murad nie wiedzieli całkiem, że król Władysław śmiercią przypłacił tę bitwę. Hunyady jeszcze w dwa tygodnie potem nie wiedział, co się stało z królem.

Ponieważ tylko w dwóch atakach zwyciężyli Turcy, a we wszystkich zresztą chrześcijanie; ponieważ chrześcijanie stali niezaczepieni w swym obozie, uważano słusznie bitwę za wygraną Jeden tylko jeszcze polski oddział walczył aż do wieczora na jednem ze wzgórz, a chociaż ten oddział nie wrócił, wyrżnięty w pień, nie powinnoby to wpłynąć na ogólny wynik bitwy. Nie wiedziano, że przy tym oddziele jest sam król. Z winy Hunyadego wojsko rozdzieliło się na części stojące daleko od siebie, które nie miały wzajemnie o sobie dokładnych wiadomości i z tego rozłączenia wojsk chrześcijańskich poszło całe nieszczęście. Turcy nie uważali tego dnia bitwy za rozstrzygniętą. Dopiero nazajutrz przekonali się o śmierci króla; to dodało im otuchy i pod wieczór uderzyli na obóz Hunyadego. Większa część żołnierzy pierzchnęła ku Dunajowi, podczas gdy sam Hunyady z mniejszą ruszył ku Gallipolis, w ślad za oddziałami, które już poprzedniego dnia wybrały się na południe. I rzeczywiście stanął dnia 22 listopada pod Gallipolis nad Dardanelską cieśniną morską, gdzie czekała flota pod wodzą Franciszka Kondolmieri, Włocha. Tu było umówione miejsce zborne, stąd miano, dobrawszy posiłki z Kon-

stantynopola, od greckiego cesarza, przeprawić się przez cieśninę i przenieść wojnę do Azyi. Tu czekano na króla...

Zamiast ruszyć rozgromić Turka we własnem jego gnieździe, w Azyi, trzeba było przenieść wojnę nad Dunaj, żeby Turek nie postąpił dalej do Europy. Przewieziono więc pułki Hunyadego nad Dunaj, poczem flota powróciła pod Gallipolis, przezimowała w cieśninie i dopiero w lutym 1445 r. opuściła wody Bosforu. Czekano ciągle wiadomości o królu, czekano, że się zjawi i wojnę na nowo rozbudzi. Ale króla się nie doczekano, a Hunyady wojny tej od początku nie chciał. I tak przez śmierć królewską spełzło wszystko na niczem. Sama bitwa nie była wcale klęską; wszak trzy czwarte części węgierskiego wojska wróciły z tej wyprawy zdrowo do domu! Ale nie było już wodza, któryby chciał pokusić się o wyparcie Turka z Europy. Hunyady dostał Vilagosz od Brancovicza w marcu 1445 r... a swoją drogą Turcy Brankoviczowi przyrzeczeń nie dotrzymali.

O samej bitwie i całej tej wojnie poczęły krążyć najrozmaitsze i najniedorzeczniejsze wieści; pobałamucono sprawę rozejmu zawartego w Szegedynie przez Hunyadego, przekręcono i wyrobiła się nawet mylna zupełnie tradycya, jakoby król Władysław III. zawarł był rozejm i zaprzysiągł, a w śmierci jego pod Warną upatrywano karę za krzywoprzysięstwo. Współcześni jednak długo nie umieli sobie wytłómaczyć, co właściwie stało się pod Warną, a w śmierć króla nie wierzyli. Chodziły po Europie rozmaite pogłoski. Utrzymywano, że dostał się do niewoli tureckiej, że go ocalił jakiś możny Anatolczyk (z Azyi Mniejszej), że jest w Konstantynopolu na dworze greckiego cesarza i żeni się tam z cesarską córką. Przez długie lata jeszcze potem powstawały rozmaite baśnie o królu Władysławie. W ośm lat po bitwie warneńskiej w r. 1452 udawał się za niego niejaki Jan z Wilczyny koło Ryczywołu, sprytny oszust, który włóczył się po świecie, udając po kolei różnych książąt. Jeszcze ciekawsze, że w r. 1466 magnat czeski, Leon z Rozmitalu, podróżując po Hiszpanii, spotkał się tam z pustelnikiem, którego miano za króla polskiego, pokutującego za rzekome złamanie danej Turkom przysięgi. Pustelnik nie chciał oszukiwać i wypierał się, ale jakiś Polak z orszaku Leona mniemał, że to król i utrzymywał, że go poznaje po — sześciu palcach na stopie. Takich ludzi może być w każdym kraju wielu, to nic oczywiście nie stanowi i jest

tylko przykładem, jak długo i uporczywie utrzymywało się przekonanie, że młodociany król nie zginął pod Warną.

Od pola tej bitwy ma ten król w historyi przydomek Warneńczyka.

Nieszczęśliwy koniec wyprawy warneńskiej był też końcem dzieła unii florenckiej. Carogród, Grecy i Bułgarzy przystępowali do łączności z Kościołem rzymskim i do posłuszeństwa Ojcu św., bo się spodziewali, że się ich za to uwolni od Turków. Turcy zostali i schyzma została! Kardynał Izydor, ruski metropolita, niemiał się już oprzeć na kim, nie mógł się powoływać na patryarchę carogrodzkiego. W dziewięć lat po bitwie warneńskiej, w roku 1453 Turcy zdobyli Konstantynopol i był koniec już greckiego cesarstwa, koniec chrześcijańskiego panowania na półwyspie bałkańskim. Ludność przyjęła w znacznej części religię Mahometa, wiarę wyznawaną przez Turków i narzuconą przez to, że kto jej nie przyjął, nie posiadał żadnych praw w państwie tureckiem. Patryarchat carogrodzki popadł w zupełną zależność od sułtana, który wynosił patryarchów i strącał z godności według swojej woli. Uleciał z cerkwi do reszty duch religijny, duchowieństwo schyzmatyckie było coraz gorsze i coraz mniej uczone.

POLITYKA GASZTOŁDA PODCZAS BEZKRÓLEWIA.

Odkąd nie stało Władysława Warneńczyka, musieli Polacy uznać w młodszym jego bracie prawego Wielkiego Księcia Litwy, boć był on jedynym już dziedzicem Jagiełły, a na Litwie tron był dziedziczny. Polacy mogli sobie wybrać na króla, kogoby chcieli, a według brzmienia unii horodelskiej wcielona do polskiej Korony Litwa musiałaby w każdym razie pozostać polskiem lennem, tak, że wielki książe litewski Andrzej Kazimierz Jagiellończyk miałby wziąć Litwę na dziedziczne lenno od nowego polskiego króla. Ale to była tylko litera prawa; w rzeczywistości miały się sprawy zupełnie inaczej. Litwini wcale sobie nie życzyli, żeby ich potężne państwo było zależnem od Polski, a Gasztołd zmierzał też do zmiany tego ustępu unii horodelskiej (powtórzonego jeszcze z unii krewskiej) i wcale się z tem nie taił, że życzy sobie zachowania unii tylko pod warunkiem zupełnej równości politycznej z Polską. Ponieważ każdy naród ma prawo przyrodzone do najzupełniejszej udzielności, trzeba przyznać, że Gasztołd miał słuszność. Była też

Litwa dosyć silną na to, żeby swe stanowisko obronić. Wobec tego mogłaby się unia z Litwą zerwać całkowicie, gdyby Polacy wynieśli jakiego obcego księcia; ocalić ją i zachować dla przyszłości mógł tylko dynastyczny związek. Trzeba było koniecznie ofiarować koronę Kazimierzowi, temu samemu Kazimierzowi, który był przedstawicielem i wykonawcą polityki Gasztołda.

W kwietniu 1445 r. wezwał zjazd dostojników w Sieradzu Kazimierza (w Polsce zwano go zawsze tylko według drugiego imienia), żeby objął tymczasowo rządy w Polsce, póki Władysław nie wróci, lub póki się nie nabędzie pewności o jego śmierci. Kazimierz odmówił. Nowe poselstwo z Polski wezwało go już nie do tymczasowych rządów, ale na króla i na koronacyę. Zwlekał z odpowiedzią, nareszcie w styczniu 1446 r. znowu odmówił, ale zastrzegał się zarazem, że nie dopuści, żeby sobie Polacy wybrali innego króla; radził, żeby tymczasem rządziła dalej rejencya, jak za Warneńczyka. Chciał więc Kazimierz zostać królem polskim, ale jeszcze nie teraz.

Gasztołd i Kazimierz mieli do zwłoki dwie przyczyny. Chcieli przy tej sposobności zyskać lepsze warunki unii, a zwłaszcza zmusić Polaków do uznania, że Wołyń i Podole do litewskiego państwa należą, a nie do polskiego. Większa część Wołynia, ze stolicą Łuckiem, była teraz w posiadaniu Świdrygiełły, który będąc już sędziwym starcem, dożywał tam w spokoju dni swoich. Gasztołdowa polityka bardzo mu była na rękę, toteż zaznaczał na każdym kroku swą wierność i uległość względem Wielkiego Księcia Kazimierza. Reszta Wołynia i Podole całe znajdywały się w ręku polskich dostojników. Co do Podola, nie miał Gasztołd słuszności. Już Kazimierz Wielki wykonywał tu prawo zwierzchnicze, potem przez pewien czas korona węgierska, poczem kraj ten wrócił znowu do Polski; ziemianie podolscy byli nawet za Witołda wasalami nie Litwy, lecz Polski. Teraz jednak dawała polityka Gasztołda Polakom do wyboru: albo unię z Litwą posiadającą Wołyń i Podole, albo zerwanie unii.

Drugim powodem zwłoki była zewnętrzna polityka litewska, a mianowicie sprawa moskiewska. Dla Litwy ważniejszem było pokonanie Moskwy, poddanie jej w zależność, ażeby z czasem nawet wcielić ją wprost do litewskiego państwa, ważniejszem było zapewnienie sobie raz na zawsze przewagi na północnym wschodzie,

niż to, żeby jej Wielki Książę był zarazem polskim królem. Gasztołd upatrywał dla Litwy pilniejsze i donioślejsze interesy w Moskwie, niż w Krakowie. Unia z Polską była niezbędna, póki Litwie groził krzyżacki zabór; to już minęło, już było po Grunwałdzie. Obecnie wystarczało Litwie pozostawać z Polską w zgodzie, być z nią w pokoju, żeby, nie potrzebując obawiać się wojny od zachodniej ściany, nieść ją tem śmielej na wschód. Gdyby Wielki książę Litewski został królem polskim, powtórzyłoby się znowu to samo, co było z początkiem rządów Jagiełły: za dużo spraw w jednem ręku, spraw nie mających ze sobą związku i znowuby musiały uledz zaniedbaniu albo polskie interesy, albo litewskie. Takiemu połączeniu wszystkiego w jednym rządzie był przeciwny Gasztołd, a przyszłość pokazała, że był mądrym politykiem i że miał słuszność.

A właśnie była chwila rozstrzygająca w sprawie moskiewskiej. Gasztołd sprawował rządy dzielnie. Mięszał się w spory tatarskich hanów, osadził w Perekopskiej hordzie hana sobie powolnego, Aczi-Gireja, zapewnił Litwie powagę w Pskowie i Wielkim Nowogrodzie, a dookoła Moskwy pozawierał przymierza. Tak przygotowany skorzystał z buntu, który wybuchł w Moskwie pod wodzą Dymitra Szemiaki, podczas gdy równocześnie wystąpili przeciw Moskwie książę twerski Borys, Złota horda i car kazański. Do tej koalicyi przyłączyła się Litwa. Gasztołd zamierzał po strąceniu Wasyla osadzić w Moskwie księcia możajskiego, Jana Andrejewicza, jako lennika Litwy i już się z nim o to umówił. Wasyla rzeczywiście strącono z tronu i oślepiono go. Dawne Olgierdowe plany zdawały się być blizkie spełnienia. Pragnął więc Gasztołd zwlec koronacyę Kazimierza na króla polskiego, aż książe możajski wprowadzony będzie do Moskwy. W Krakowie nie troszczonoby się o tę sprawę, bo Polaków nic nie obchodziła nieznana im zgoła Moskwa, z którą żadnych nie mieli stosunków, ni przyjaźni, ni nieprzyjaźni. Polakom była wówczas jeszcze Moskwa zupełnie obojętna i zdawało się, że na zawsze obojętną pozostanie.

W Polsce były zdania podzielone. Zbigniew Oleśnicki, Wincenty Kot, arcybiskup gnieźnieński, biskup włocławski Władysław i poznański Andrzej, zamierzali powołać na tron dawnego wychowanka Jagiełły, Fryderyka Hohenzollern, elektora brandeburskiego, podejmując na nowo politykę zachodnią. Większość chciała jednak tylko wywrzeć nacisk na Litwę udaną elekcyą. Elektor,

raz wybrany gotówby wkroczyć z wojskiem i domagać się korony. Wybrano więc sobie na chochoła Bolesława mazowieckiego, którego też wybrano królem na elekcyjnym zjeździe dostojników w Piotrkowie, dnia 28 marca 1446 r., lecz tylko warunkowo, zastrzegając, że elekcya ta ważną będzie dopiero wtenczas, gdyby Kazimierz Jagiellończyk do pewnego czasu korony nie przyjął. Większość gotowa była do znacznych ustępstw, byle utrzymać dynastyę Jagiellońską.

Kazimierz, dziewiętnastoletni młodzieniec, nie mógł oczywiście być ani biegłym politykiem, ani też nie umiał daleko w przyszłość patrzeć. Około Moskwy wrzała właśnie wojna, zaczęły się przygotowywać sprawy mogące rozstrzygnąć o całej przyszłości Wschodu na całe pokolenia. Teraz trzeba było przetrzymać czas sposobny. Gasztołd nie pozwalał przyjmować korony, wiedząc, że i tak jej nie utraci, ale Kazimierz się bał, że go minie tron ojcowski. Nie mogąc urzędowo i jawnie oświadczyć z Wilna, że koronę przyjmie, zrobił to po cichu przez pośrednictwo swej matki, królowej-wdowy Zofii, Sońką zwanej, a ta doniosła o tem panom małopolskim. Ogłoszono to na zjeździe krakowskim na św. Stanisław 1446 r. Oleśnicki protestował, że takie pokryjomu dawane obietnice nic nie znaczą, a ubliżające są dla godności polskiego tronu, ale już go nie słuchano i na 29 września 1446 r. wyznaczono zjazd polsko-litewski do Parczowa i Brześcia, żeby się ostatecznie umówić o warunki. W Parczowie zawarto nową unię, zniesiono ustęp o wcieleniu Litwy do polskiej Korony, tudzież odstąpiono Litwie i Wołyń i Podole. Rozumowano, że to wyjdzie na jedno, skoro będzie jeden król. Gasztołd cieszył się, że przynajmniej jedną połowę swych planów przeprowadzi, ale przyszłość gotowała wielkie zawody. Sejmy polskie nie potwierdziły potem umowy zawartej pospiesznie i jednostronnie przez pełnomocników parczowskiego zjazdu. W r. 1447 koronował się Kazimierz Jagiellończyk na króla polskiego; panował długo, aż do r. 1492, a sprawę o Wołyń i Podole pozostawił niezałatwioną swoim następcom.

KRÓL KAZIMIERZ IV. JAGIELLOŃCZYK (1447-1492).

Tę cząstkę Wołynia, której nie miał Świdrygiełło, przyłączył zaraz nowy król do Litwy. To samo chciał zrobić z Podolem, ale tamtejsi polscy namiestnicy oparli się temu i na własną rękę po-

zostali przy polskiej przynależności państwowej. Na sejmach ciągle były o to swary, a król chciał na Polakach wymusić powolność przez to, że nie potwierdził t. z. przywilejów, tj. praw i swobód obywatelskich polskich. W r. 1452 posiadła Litwa cały Wołyń, gdyż Świdrygiełło umierając, Litwie go przekazał. Ale Podola nie dali Polacy tknąć, a skoro król nie zatwierdził przywilejów, mogli byli wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Kazimierz znalazł się między młotem a kowadłem, bo równocześnie Litwini grozili oderwaniem się, gdyby potwierdził przywileje polskie, póki Polacy nie odstąpią Podola. Zaprzysiągł król wreszcie przywileje w roku 1453, ale zrobił to nie w uroczystej formie, a do dokumentu nie chciał przywiesić majestatycznej pieczęci; chciał mieć na wszelki wypadek jakąś wymówkę przed Litwą. Dopiero w roku 1470 skończyła się ostatecznie ta sprawa potwierdzenia przywilejów, zatruwając 23 lat panowania Kazimierzowego! O Podole zaś sprzeczano się z Litwą jeszcze w sto lat później.

WYRZECZENIE SIĘ WALKI Z MOSKWĄ (1449).

Swary te i przykrości czyniły panowanie Kazimierza w Polsce zrazu niepewnem; ciągle się trzeba było obawiać jakiego wypadku, a na podolskiej granicy nawet wojny domowej. I Polski i Litwy uwaga zwróciła się w tamte strony. Toteż pierwszym skutkiem objęcia rządów w Polsce było zupełne zaniedbanie sprawy moskiewskiej. Król wyrzekł się uroczyście dawnych planów Olgierdowych, t. j. dążeń do zagarnięcia Moskwy.

Dymitr Szemiaka nie otrzymał z Litwy poparcia i krótko tylko cieszył się powodzeniem, a książę możajski wcale do Moskwy nie wszedł. W rok po koronacyi Kazimierzowej wracał Wasyl III., choć ślepy, na tron moskiewski. Zagarnął Możajsk, a książę możajski musiał uciekać na Litwę. Polityka Gasztołdowa przepadła zupełnie. Litwini w ciągłej obawie o Wołyń, a zajęci Podolem, wyrzekli się działania na wschodzie. Kazimierz, potrzebujący zupełnego spokoju do spraw polsko-litewskich, nietylko nie wojował już z Wasylem III., ale cofnął się i ustąpił mu pola!

W roku 1449, dnia 31 lipca, zawarł Kazimierz z Wasylem pokój wieczysty, przymierze i przyjaźń. Ułożono się o wszystkie dawniejsze spory i ustalono granice. Litwa zrzekała się praw zwierzchniczych nad Wielkim Nowogrodem na rzecz Moskwy i przyrze-

kała samej o panowanie nad Nowogrodem się nie kusić, Moskwie zaś tam nie przeszkadzać. Gdyby pomiędzy Kazimierzem a Wasylem nastał jaki nowy spór, rozsądzić go ma metropolita, ale nie Izydor, lecz schyzmatycki metropolita Jonasz, ustanowiony za wpływem Wasyla. Równocześnie bowiem wyrzekał się rząd litewski do reszty unii. Kazimierz Jagiellończyk, jako król polski, oświadczył się wprawdzie z posłuszeństwem papieżowi Eugeniuszowi, twórcy unii, lecz swoją drogą pozwolił na to, żeby synod litewskich biskupów wschodniego obrządku złożył Izydora z metropolii. Gdy wkrótce potem zimą r. 1450 na 1451 zjechał król na Litwę, dał Jonaszowi schyzmatykowi metropolię w Wilnie a wszyscy biskupi wschodniego obrządku wyrzekli się uroczyście na jego ręce unii.

Taki był koniec planów i Oleśnickiego i Gasztołda. A jednak ani walka z Turkami, ani starania o unię nie dały się usunąć z historyi polskiej, a z litewskiej nie dało się usunąć współzawodnictwo z Moskwą; wszystko to miało jeszcze powrócić za następnych pokoleń.

HUSYCI POLSCY.

Dla stronnictwa Oleśnickiego była bitwa pod Warną ciężką polityczną klęską; upada też jego znaczenie, a podnosi na nowo głowę stronnictwo czeskie, jakkolwiek nie zorganizowane należycie. Słychać znowu narzekania duchowieństwa na husytyzm, a tym razem pojawiały się rzeczywiście odstępstwa od dogmatów Kościoła, zwłaszcza znowu w Wielkopolsce. Nawet wśród księży zdarzały się podejrzane wypadki. W ziemi Dobrzyńskiej było sporo husytów, lub przynajmniej sprzyjających husytyzmowi, a w dyecezyi płockiej spustoszono dobra biskupie za to, że biskup nie chciał wyświęcić kleryków, których podejrzywał o kacerstwo. W samym też Uniwersytecie krakowskim znalazł się profesor, który oświadczył się już nietylko za używaniem kielicha przy komunii wiernych, lub za małżeństwem księży, lecz wprost za teologiczną nauką Husa. Był nim Andrzej Gałka z Dobczyna, dziekan (t. j. przełożony) wydziału nauk wyzwolonych i proboszcz kościoła św. Floryana na Kleparzu. Zagrożony karami zbiegł, przebywając głównie w Głogowie, u księcia opolskiego Bolesława. Książę nie chciał go

wydać, a Gałka szerzył stamtąd wpływ po Wielkopolsce jeszcze w roku 1450.

To zajęcie dla czeskich nowinek religijnych jest tem znamienniejsze, że właśnie w roku 1447 państwo polskie uznało urzędowo prawnego rzymskiego papieża, w osobie Mikołaja V-go, następcy Eugeniusza IV. Biskup Oleśnicki przyjął godność kardynalską od nowego papieża. W roku 1449 antypapa Feliks V. zrzekł się wreszcie swej godności i rozwiązał się nareszcie sobór bazylejski, zostawiając po sobie kompaktaty nie zatwierdzone przez papieża, a więc nie ważne wobec Kościoła. Uniwersytet krakowski musiał się już także poddać Mikołajowi V. Z długoletniej walki o wyższość soboru pozostawała jednak w Polsce pewna niechęć do papiestwa, chętka, żeby w sprawach kościelnych mieć jak najmniej do czynienia z Rzymem. Przez długie pokolenia wyobrażano sobie u nas katolicyzm nie zupełnie tak, jak być powinno, a przy kościelnych sprawach zważano za mało na to, co jest Kościoła kamieniem węgielnym, na papiestwo.

POCZĄTKI HUMANIZMU.

Były też inne jeszcze powody do nieporozumień uczonych już nietylko z papiestwem, jak w Polsce, lecz wogóle z całym Kościołem, a to w krajach zachodniej Europy, skąd prądy te przybywały następnie do Polski.

Kościół, pielęgnując zawsze jak najstaranniej nauki, doprowadził wreszcie do tego, że w XV. wieku i świeccy poczęli się im poświęcać. Z początkiem zaś już XIV. wieku powstała we Włoszech nowa nauka, którą można było uprawiać, nie znając się nawet całkiem na teologii: nauka starożytności rzymskich i greckich. Stały się te badania starożytnego pogańskiego świata ulubionem ćwiczeniem umysłu, a niebawem poczęto się naigrawać z tych, którzy w tem biegłymi nie byli i uważać ich za nieuków. Choćby kto najuczeńszym był, nic to nie znaczyło, jeżeli się nie znał na starożytnościach. Teologia i filozofia uchodziły za nic, jeżeli im nie towarzyszyło znawstwo dawnych rzeczy rzymskich i greckich. Zachwycali się Włosi wszystkiem, co starożytne rzymskie, bo niegdyś Rzym panował nad światem, a oni wmówili w siebie, że są ich dziedzicami i następcami. Język dawnych Rzymian, łaciński, był znakomicie wyrobiony, dzieła ich pisarzów piękniej były pisane

od książek średniowiecznych, układanych już w zepsutej łacinie. Włosi, wmówiwszy tedy w siebie, że stara łacina jest dawnym ich językiem ojczystym, starali się ją wskrzesić w całej czystości i piękności, co też najzupełniej im się powiodło. Dawni Rzymianie czerpali byli swą kulturę w znacznej części od starożytnych Greków, których język był jeszcze bardziej udoskonalony i piśmiennictwo jeszcze piękniejsze. W XV. wieku jęto się badać także greckie starożytności, a wtenczas zapał i zachwyt doszedł do szczytu. Było się rzeczywiście czem zachwycać, bo do dziś dnia nie wydała cywilizacya wspanialszych dzieł piśmiennictwa od dawnych greckich, a największą pochwałą dla największych poetów chrześcijańskich jest, jeżeli kilku zaledwie z nich porównać można z tamtymi (tak n. p. porównuje się Mickiewicza z Homerem z powodu „Pana Tadeusza"). Świat starożytny pogański stał bowiem znacznie wyżej od chrześcijańskich średnich wieków co do dzieł mających na celu piękno, w zakresie sztuk pięknych, malarstwa, rzeźby i poezyi. W średnich wiekach kwitnęła tylko architektura (budownictwo ozdobne); malarstwo i rzeźba poczęły się kształcić dopiero w XIV. wieku we Włoszech, a całe chrześcijaństwo miało jednego dopiero wielkiego poetę, Włocha Dantego (1265—1321), który też był pierwszym znawcą starożytności i na niej wiele się kształcił. Poganie bardziej dbali o piękno, niż o prawdę; chrześcijanie dbając bardziej o prawdę, zaniedbali z początku piękno. Toteż badacze starożytności byli z początku jakby oczarowani jego blaskiem, a uwiedzeni niem, zachwycali się już wszystkiem a wszystkiem, co było w starożytnym świecie, nawet tem, co wcale chwalebnem nie było. Nastało istne odrodzenie starożytności pogańskiej i tak się też ten prąd umysłowy nazywa (z francuska mówi się często: renesans). Badania te zajmowały się tylko ludzkiemi sprawami, nie tykając teologicznych zagadnień; ale też to, co jest tylko ludzkiem, podnosiły wysoko, nadawały wszystkiemu piękną szatę, kształty wytworne, godne zaiste (pod tym względem) cywilizowanego człowieka; stąd druga nazwa prądu, jako podniesienia człowieczeństwa, z łacińska: humanizm (po łacinie człowiek: *homo).*

Co było dobrego w humanizmie, to pochwalił też Kościół i przyjął za swoje. Sami papieże bywali biegłymi humanistami, uznając za rzecz pożądaną, żeby prawdzie nadawać zarazem piękną formę.

Dziś, odróżniając w humanizmie dobre od złego, dziwimy się tylko, jak z początku trudno było ludziom oceniać to sprawiedliwie. Było bardzo wielu, którzy rozczytani w starożytnych poetach, nic innego nie umieli, jak tylko naśladować ich niewolniczo i stawiać łacińskie wiersze; byli więc wprawnymi rymotwórcami (i to tylko naśladowcami!), a ówczesny świat przez dziwne jakieś nieporozumienie uważał ich za uczonych, chociaż oni o żadnej nauce pojęcia nie mieli. Teologowie i filozofowie patrzeli na nich, jako na wierszokletów; oni zaś na tamtych, jako na zacofańców.

Nie brakło teologów, którzy umieli dobrze połączyć jedno z drugiem, a czerpiąc wiedzę z chrześcijańskich źródeł, nadawali jej piękne starożytne formy. Przykładów dostarczyć może polska historya, a zwłaszcza zasługują na pamięć dziejową dwaj wybitni mężowie, biskup Zbigniew Oleśnicki i Jan Długosz. Oleśnicki był wielkim protektorem humanizmu, a Długosz, kanonik krakowski i jego wieloletni sekretarz, postanowiwszy opisać obszernie dzieje polskie (po łacinie), wystarał się najpierw z wielkim trudem i mozołem o nieznaną jeszcze u nas historyę Rzymu starożytnego, napisaną w I. wieku przed Chrystusem przez rzymskiego historyka Liviusa, żeby się na nim nauczyć dobrego sposobu pisania. Listy, wychodzące z kancelaryi Oleśnickiego, zadziwiały cudzoziemców pięknym łacińskim językiem (po polsku jeszcze nie pisywano), a historya Długosza jest najlepszem dziełem historycznem średnich wieków. Sędziwój z Czechla zbierał również materyały historyczne. Mąż ten, wielkiej świątobliwości, używający nieraz włosiennicy, najgorliwszy wielbiciel Najśw. Panny, znał wybornie humanizm i unosił się nad poezyą starożytnych, odczuwając doskonale jej piękno i śpiewność. Pisze raz do Długosza (po łacinie): „Zapłoniłem się, bo nie powinienem się napawać ich śpiewnością, lecz raczej wpatrywać się w krzyż Jezusa Chrystusa".

Nie wszyscy umieli pogodzić jedno z drugiem. Zaczyna się już od XV-go wieku szereg duchownych, którzy zatopieni w pięknych pogańskich księgach, nie dosyć pamiętali o krzyżu. Bardziej humanistą, niż księdzem, był n. p. Grzegorz z Sanoka, od r. 1451 arcybiskup lwowski, który pierwszy wykładał był uczniom krakowskiego uniwersytetu poezyę starorzymską. Ten przygarnął w roku 1470 na swoim dworze włoskiego humanistę, Filipa Buonakorsi, zwanego Kallimachem, sławnego z pięknego wysławiania się w ję-

zyku łacińskim i znającego gruntownie całe piśmiennictwo starożytne rzymskie i greckie. Około roku 1470 musiał już każdy być choć trochę humanistą, kto chciał uchodzić za wykształconego. Dbały o wykształcenie synów Kazimierz Jagiellończyk użył też Kallimacha do nauki dzieci, obok Długosza. Ulubionym uczniem Długosza był królewicz Kazimierz, drugi ze starszeństwa, a ulubieńcem Kallimacha trzeci z kolei Jan Olbracht. Obydwaj ci nauczyciele królewiczów zajmowali się wiele polityką, obydwaj bywali posłami od króla do zagranicznych dworów. Ale Kallimach nabrał z humanizmu pogańskich pojęć o polityce i nie troszczył się o moralność w życin publicznem, w sprawach państwowych i społecznych. Nie spostrzeżono się na tem wówczas, a cała polityka europejska poczęła się przez humanistów zwracać na tory pogańskie, naśladując politykę dawnego Rzymu, który zawładnął światem nie samą tylko dzielnością, ale też podstępem, przemocą i grabieżą.

LEGIZM.

Niema takiej sprawy, na którą nie byłby humanizm wywarł wpływu, od zapatrywań na najważniejsze zagadnienia ludzkości aż do obyczaju życia towarzyskiego. Najważniejszym był wpływ humanistów na prawodawstwo. Dla nich wzorem wszelkiego prawa było prawo rzymskie, które uważali za taką doskonałość, że wszystkie a wszystkie prawa chrześcijańskich narodów całej Europy uważali przy tamtem za zupełnie niepotrzebne; ich zdaniem powinna była cała Europa przyjąć prawo rzymskie. I postawili też w znacznej części na swojem, napawając europejskie prawodawstwo duchem pogańskim, którego do dnia dzisiejszego nie możemy się już pozbyć. Humaniści zachwyceni byli dokładnością przepisów, ścisłością, jasnością prawa rzymskiego i tem, że tam wszystko było przewidziane, na wszystko był przepis. Dając się we wszystkiem oczarować formie, mniej przenikliwi na treść, nie spostrzegli, że prawo to daje zawsze przewagę silniejszemu nad słabszym. Rozszerzyło się ono jednak, bo się bardzo podobało monarchom. Prawo rzymskie zostało bowiem ostatecznie ułożone za czasów cesarskich, a cesarze rzymscy mieli władzę nieograniczoną, byli panami życia i śmierci wszystkich poddanych; humaniści-prawnicy, czyli t. zw. legiści, byli zwolennikami władzy absolutnej, wbrew nauce i tradycyi Kościoła. To im zapewniało łaskę monar-

szą i urzędy. Kazimierz Wielki pragnął za przykładem Karola IV. w Pradze wprowadzić prawo rzymskie na krakowski uniwersytet i zamierzał sprowadzić do niego pięciu profesorów, ale zamiar ten nie był wykonany. Kościół ganił wprowadzanie prawa rzymskiego, ale w drugiej połowie XV-go wieku wykładano je już niemal we wszystkich uniwersytetach. Na krakowskim pojawiło się ono dopiero około r. 1490, wprowadzone przez niemieckiego mieszczanina z Krakowa Jana Bera. Ale nie brakowało mu zwolenników poza uniwersytetem znacznie wcześniej. Między innymi Jan Ostroróg był zapalonym jego wielbicielem, nazywając system prawa rzymskiego „spisanym rozumem". Legiści wszyscy i wszędzie byli mniej lub więcej Kościołowi niechętni. Ostatecznie jednak legizm w Polsce się nie przyjął i głównie dlatego ustrój państwa polskiego rozwijał się odmiennie od państw zachodniej Europy, opartych na prawie rzymskiem.

ZALEŻNOŚĆ KOŚCIOŁA OD KRÓLA.

Piętnasty wiek jest okresem przełomowym; kończy się jeden okres dziejowy, a nowy poczyna, bo się szerzyć poczynały nowe poglądy na świat, życie i jego sprawy. Ludzie poczynali inaczej myśleć, zmieniali sądy swe i zapatrywania, a przez to nastały też zmiany w ich czynach. Odsuwali się ludzie coraz bardziej od Kościoła, pragnąc więcej używać świata, a mniej się poskramiać w imię obowiązków. Jakoż rzeczywiście w ciągu stu lat, od połowy XV. do połowy XVI. wieku zmalała znacznie u ludzi ilość obowiązków; niejedno, co towarzysze Długosza uważali jeszcze za obowiązek, uchodziło w sto lat potem już za niepotrzebny skrupuł, a nawet za przesąd.

Kościół w sam raz osłabiony zepsuciem papieskiego dworu, rozluźnieniem karności i upadkiem wiedzy teologicznej, nietylko nie dał rady temu, co w nowych prądach było złego, ale sam od nich ucierpiał. Wśród duchowieństwa także malała ilość obowiązków i przez sto lat świecczył się Kościół coraz bardziej.

Brak zrozumienia istoty i ustroju katolicyzmu okazał się jaskrawo na samym wstępie rządów Kazimierza Jagiellończyka w r. 1449. Wzywano króla, żeby Oleśnickiemu nie pozwolił przyjąć kardynalskiej godności! Gdy wszedł w kardynalskich szatach na sejm piotrkowski owego roku, natenczas biskupi wielkopolscy z pryma-

sem na czele wyszli ze sali obrad. Zdawało im się, że kapelusz kardynalski biskupa krakowskiego burzy dawny porządek polskiej prowincyi kościelnej, że odejmuje przodownictwo kościelne od Gniezna. Przez dwa lata były o to kłopoty, aż sejm r. 1451 oznaczył, że arcybiskup gnieźnieński ma pozostać zwierzchnikiem krakowskich biskupów. Sejm uchwalał to, co się rozumiało samo przez się, boć organizacya prowincyi kościelnej jest stała, a nadanie kardynalskiej godności któremu z biskupów tylko dożywotniem, więc czasowem. Śmieszną i małostkową była druga uchwała, żeby prymas i kardynał nie przychodzili razem na posiedzenia, tylko kolejno co drugi dzień. Szkodliwem zaś i pełnem najgorszych następstw było postanowienie, że na przyszłość nie wolno przyjmować kardynalstwa, ani nawet godności legata papieskiego bez pozwolenia króla i jego rady przybocznej. Kościół obszedł się bez polskich kardynałów, ale Polska traciła na tem wiele, że rzadko kiedy miała swych przedstawicieli w gronie naczelnej Kościoła władzy, bo interesy polskie załatwiano tam bez Polaków.

W XV. wieku powstało nowe zapatrywanie na stosunek Kościoła do państwa, żeby go uczynić zależnym od władzy świeckiej, żeby rząd dozorował biskupów, a nie papież. Tak było już od wieków w schyzmatyckiej cerkwi i skończyło się zastojem cywilizacyi, jednostronnem wyniesieniem nieograniczonej władzy rządowej ponad społeczeństwo, a nawet ponad sumienia ludzkie. Czegoś podobnego domagano się w XV. wieku w rozmaitych stronach Europy, a najgłośniej może w Polsce. Sam król, liczący przy swej koronacyi ledwie 20 lat, widział w tem tylko to, co było najbliżej, t. j. pomnożenie swej własnej władzy. Zaraz przy poselstwie z obedyencyą prosił król papieża, żeby mu na sześć lat odstąpił prawa mianowania na wszystkie godności duchowne w państwie. Dziwną tę prośbę wystosowano pod pozorem, że chodzi o zasilenie zubożałego skarbu państwowego opłatami od nominacyj. Proszono też równocześnie o odstąpienie skarbowi świętopietrza na sześć lat, i o to jeszcze, żeby król mógł pobierać dziesiątą część od kościelnej dziesięciny. Uwzględnił papież prośbę o zasilenie polskiego skarbu, ale uczynił to w sposób, nie dopuszczający mieszania się władzy świeckiej w sprawy dochodów kościelnych; polecił dać królowi z dochodów polskiego Kościoła dziesięć tysięcy dukatów, kwotę na owe czasy bardzo znaczną. Zrobił też króla kolatorem

w dziewięćdziesięciu miejscach korony polskiej. Nie poprzestano na tem, pracowano z wysiłkiem nad umniejszeniem papieskiego wpływu, aż doprowadzono do tego, że od roku 1460 król polski sam mianował biskupów w swem państwie. Odtąd też na długie czasy mieliśmy coraz gorszych biskupów; byli oni bardziej dworakami, niż kapłanami; bardziej świeckimi panami, niż dostojnikami Kościoła. Od połowy XV. wieku aż do połowy XVI. trwa przykry upadek polskiego Kościoła, z czego wyniknęły jak najsmutniejsze następstwa nietylko kościelne, ale też wogóle społeczne i polityczne.

Najbardziej zależało królowi na obsadzeniu biskupstwa krakowskiego, skoro Kraków był stolicą państwa. W biskupie, siedzącym tuż pod bokiem tronu, chciał król mieć powolne narzędzie. Po kardynale Oleśnickim, który umarł w roku 1455, nastąpił Tomasz Strzempiński, który zaledwie pięć lat rządził dyecezyą. Panujący wówczas papież, Pius II., zawiesił na ten raz prawo kapituły do wyboru pasterza i mianował sam od siebie biskupem Jakóba z Sienna, bratanka nieboszczyka kardynała Oleśnickiego, znanego z nieugiętych zapatrywań kościelnych. Król skazał go w roku 1461 na wygnanie, a zwolennikom jego groził konfiskatą majątków, a nawet karą śmierci. Król chciał mieć biskupem w Krakowie Jana Gruszczyńskiego, będącego dotychczas biskupem kujawskim. Kapituła zaś nie wiedząc, że papież sam biskupa wyznaczy, a nie życząc sobie Gruszczyńskiego, przystąpiła zaraz po śmierci Strzempińskiego pospiesznie do wyboru i wybrała biskupem Lutka z Brzezia. Gdy nadeszła papieska t. zw. prowizya, Lutko chciał się zaraz zrzec, ale król mu nie pozwolił, i byle nie dopuścić Jakóba, ujął się za Lutkiem. Kapituła rada była, że z pomocą królewską przeprze swój wybór. W całej kapitule znalazł się jeden tylko kanonik — Jan Długosz — który rozumiał, że ślepe posłuszeństwo papieżowi jest pierwszym obowiązkiem kapłana. Więcej takich znalazło się wśród duchowieństwa parafialnego. Król zagrabił im dobra, a w domu Długosza przy ul. Kanoniczej w Krakowie kazał wyłamać drzwi i pozabierać uczonemu kanonikowi wszystkie sprzęty i książki. Oświadczył król głośno, że wolałby stracić królestwo, niż ustąpić papieżowi. Jakoż rzeczywiście gotów był na wszystko, choćby miał opuścić Polskę, lub nawet wzniecić wojnę domową. Ażeby nie doprowadzać do takiej ostateczności, zrzekł się Jakób z Sienna infuły w r. 1463, a król zrobił teraz Lutka biskupem, ale nie krakowskim, lecz

kujawskim, a Gruszczyńskiego przeniósł z Kujaw do Krakowa i na swojem postawił. Papież już nie protestował. Nie miał król nic zresztą przeciw osobom tamtych dwóch; chodziło mu tylko o przewadzenie swej woli. Gdy już postawił na swojem, zrobił Jakóba z Sienna biskupem płockim, a potem kujawskim. Gdy zaś następnie Gruszczyński został prymasem, dał król Lutkowi krakowskie biskupstwo. Co zaś najciekawsze, temu samemu kanonikowi Długoszowi, którego prześladował w r. 1461, powierzył w sześć lat później wychowanie swych synów. Podobało mu się właśnie, że miał charakter i chciał, żeby stałość i obstawanie przy zasadach wpoił też w królewiczów. Używał też potem Długosza często do sprawowania poselstw zagranicznych. Świadczy to pięknie o królu, że walcząc z zasadami nie odczuwał nienawiści do ludzi przeciwnych przekonań, owszem, umiał uszanować charakter w przeciwniku.

Jak widać z poprzedniego opowiadania, nastał zwyczaj przenoszenia biskupów z jednego biskupstwa na drugie. Były one niejednakowo uposażone, a stąd pokusy polowania na intratniejszą infułę, żeby przez posłuszeństwo władzy świeckiej powiększyć sobie dochody. Odkąd też kolejno zajmowane biskupstwa służyły za szczeble karyery, zniknęło przywiązanie biskupów do dyecezyj! Król trzymał wszystkich w swem ręku nadzieją przeniesienia przy sposobności na lepsze biskupstwo i zamieniał jednych na pochlebnych dworaków, innych na narzędzia świeckiej polityki. Niestety, szczególniejsze to urządzenie przetrwało aż do końca państwa polskiego.

Król mógł śmiało występować przeciw prawu kościelnemu, bo miał za sobą olbrzymią większość społeczeństwa. Działo się tak zresztą nie w samej tylko Polsce, lecz w całej Europie. Stracono zaufanie do papiestwa, które jest fundamentem katolicyzmu, bo też z wyżyn Watykanu przestała przyświecać narodom przewodnia myśl dziejowa. Wiele przestarzałych urządzeń w administracyi Kościoła wymagało poprawy; nie uczyniły tego sobory, nie zrobili następnie papieże, a Kościół tracił przez to coraz bardziej na powadze. Najgorszem było to, że dwór papieski nie dawał dobrego przykładu, chciwy był na grosz i rozdawał godności duchowne rozmaicie; namnożyło się też w Rzymie rozmaitych opłat, pobieranych od biskupów i duchowieństwa. Niechęć do

papiestwa szła z zachodniej Europy do Polski, podniecana u nas jeszcze bardziej przyjaznem uczuciem względem pobratymców Czechów, którzy pozostawali w jawnym oporze przeciw Rzymowi.

ŚWIĄTOBLIWI POLACY.

W drugiej połowie XV. wieku, za Kazimierza Jagiellończyka, gotowi byli polscy uczeni bronić z największym zapałem dogmatów katolickiej religii. Uniwersytet kazał każdemu profesorowi składać przysięgę, że nie uznaje nauki Wiklefa i Husa, a Polacy odznaczyli się w obronie dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny.

Nie brakowało też w Polsce przykładów świątobliwego życia, a nawet kwiatów świętości. Wielu sławnych mężów wstępowało na starsze lata do zakonów; osiągnąwszy na świecie niemało zaszczytów, rzucali wszystko, żeby się poświęcić wyłącznie chwale Bożej. Między młodzieżą również możnaby wyliczyć dużo przykładów zaparcia się i to między najbogatszą nawet (np. Jan Melsztyński, syn Spytka, Franciszkanin). Za Kazimierza Jagiellończyka żyli i działali błogosławieni: Szymon z Lipnicy w Krakowie, Jan z Dukli we Lwowie, Władysław z Gielniowa w Warszawie, Izajasz Augustyanin w Krakowie, Michał Gedrojć (Litwin) w Krakowie, Stanisław Kazimierczyk w Krakowie; sześciu błogosławionych, których kanonizacyi, niestety, nie dopilnowali potomni i dwóch kanonizowanych świętych, św. Jan Kanty, krakowski profesor, a wreszcie własny syn Kazimierza Jagiellończyka, św. Kazimierz królewicz. Była też Polska XV. wieku gorliwą w wierze, ale pomimo to pełno było głosów niechęci przeciw papiestwu, a głos przychylny należał do rzadkości. Z błędów papieskiego dworu wyrosły dla Kościoła ciernie kolące, a jeszcze gorzej było w późniejszych latach, w drugiej połowie rządów Kazimierza Jagiellończyka. W Rzymie poczęli papiescy krewniacy, t. zw. nepoci, wyzyskiwać stanowisko papieskie do celów familijnych. Przykre nastały czasy w dziejach papiestwa, za Sykstusa IV. (1471 — 1484), Innocentego VIII. (1484 — 1492), a najgorsze za Aleksandra VI. (1492 — 1503). Toteż niechęć do papiestwa wzrastała przez cały wiek XV.

W Polsce, jak wszędzie, pojawiały się książki, doradzające, jak urządzić sprawy kościelne bez oglądania się na Rzym. Zasły-

nęła rozprawa Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego, napisana po łacinie, w której występuje nawet przeciw temu, żeby królowie wysyłali po koronacyi, albo też do nowych papieżów, poselstwo do Rzymu z „obedyencyą". Zapomina, że posłuszeństwo przyrzekało się tylko w sprawach wiary i obyczajów i pisze, że należałoby raczej upomnieć papieża, żeby Kościołem rządził święcie i sprawiedliwie. A jednak ten sam Ostroróg gorliwym był katolikiem i zgadzał się na to, żeby przez poselstwo do papieża wyznać katolicki charakter królestwa polskiego! Było więc wielkie nieporozumienie, że zamiast zastanawiać się nad tem, jak podnieść na nowo papiestwo i uczynić je tarczą Kościoła, rozmyślano o tem, jakby się bez papiestwa obejść! Z nieporozumienia tego wyniknęły potem coraz gorsze skutki.

Spierał się król Kazimierz Jagiellończyk przez całe panowanie z papieżami, ale pozatem nie byłby od nauki katolickiej odstąpił na włos i dbał wielce o rozszerzenie katolicyzmu na wschodzie. Sprzyjał też wielce katolicyzmowi Gasztołd. Nie chciał obrządku grecko-katolickiego, czyli unii, lecz pragnął, żeby Rusini przyjęli obrządek łaciński, tak samo, jak Litwini.

BERNARDYNI.

W roku 1451 zaprosił król do Polski słynnego świątobliwego kaznodzieję, św. Jana Kapistrana, ucznia św. Bernarda Seneńskiego, prosząc, ażeby się podjął misyj na wschodzie. Św. Bernard, żyjący wówczas do niedawna (zmarł r. 1444) był twórcą nowego zakonu Obserwantów, zwanych od jego imienia zwyczajnie Bernardynami. Św. Jan Kapistran objeżdżał rozmaite kraje, a płomienną wymową swych kazań dokonywał cudownych nawróceń, przywodząc ludzi całemi tłumami do pokuty. Kazania te odbywały się po łacinie, w języku zrozumiałym w całej Europie dla wszystkich, którzy uczęszczali do szkół; dla ludu tłumaczył je jaki inny ksiądz na język ojczysty. Dopiero po dwóch latach mógł święty kaznodzieja zawitać do Krakowa, gdzie też obfity zebrał połów dusz; bawił w stolicy Polski od 28 sierpnia 1453 do 15 maja 1454 r. i zorganizował rzeczywiście misyę wschodnią. Wiele uczonych osób zgłaszało się do zakonu bernardyńskiego, obierając sobie za cel szerzenie katolicyzmu (lecz bez unii, wprost w łacińskim obrządku) wśród schyzmatyków. Pierwszy klasztor założył

we Lwowie Andrzej Odrowąż w r. 1460. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka powstało bernardyńskich klasztorów na Litwie i Rusi czternaście; fundowali je biskupi i świeccy dostojnicy, fundował król i Gasztołd, który wielce im sprzyjał. Już w r. 1467 powstała odrębna polska prowincya tego zakonu. Jaśniał on długo nauką, cnotami i gorliwością swych członków (św. Jan z Dukli we Lwowie — O. Maryan z Jeziorka na Litwie) i rzeczywiście nawracał licznych schyzmatyków bezpośrednio do rzymskiego Kościoła. W r. 1481 otrzymali pozwolenie od Stolicy apostolskiej, że schyzmatykowi nawracającemu się przed nimi wystarcza tylko uznać prymat papieski, podczas gdy świeccy duchowni aż do r. 1501 upierali się przy tem, że schyzmatyk powinien się na nowo ochrzcić. Działalność Bernardynów, jakkolwiek obfita, nie mogła jednak wystarczyć; nie sięgnęła też nigdy do ludu.

Stolica apostolska nie mogła patrzeć obojętnie, jak Kazimierz Jagiellończyk samowolnie zniósł unię na Litwie. W r. 1458 mianował papież Kalikst III. nowego metropolitę unickiego, Bazylianina Grzegorza, opata klasztoru śgo. Dymitra w Carogrodzie. Postanowił też, że ma być dziewięć unickich dyecezyj z następującemi stolicami biskupiemi: Brańsk, Smoleńsk, Połock, Turow, Łuck, Włodzimierz (wołyński), Przemyśl, Chełm i Halicz. Następny papież, Pius II., zajmował się też gorliwie tą sprawą, ale postanowienia papieskie nigdy w zupełności wykonane nie były. Unia była tylko — na papierze. Stolice biskupie nie bywały obsadzane, a jeżeli były, biskupi ci bywali pasterzami bez owieczek. Rusini sprzyjający katolicyzmowi woleli odrazu obrządek łaciński, a ci, którzy nie lubili katolicyzmu, nie cierpieli unii jeszcze bardziej od łacińskiwa.

Bawiący w Krakowie w r. 1454 św. Jak. Kapistran dawał ślub królowi, pojmującemu w małżeństwo siostrę Pogrobowca, Elżbietę, z dynastyi Habsburskiej (z małżeństwa tego było sześciu synów i siedm córek; słusznie też zowie się tę królowę „matką Jagiellonów“). Świątobliwy mnich korzystał ze zjazdu książąt, żeby zachęcać do nowej wyprawy tureckiej, a w kazaniach swych wracał wciąż do tego przedmiotu. Ludność krakowska poruszona do łez cudowną wymową, znosiła mu klejnoty na tę ponowną wyprawę, ale politycy zachowywali wymowne milczenie, bo się obawiano ponownej.... Warny. Czekano, żeby teraz zaczęli inni. Je-

den tylko Oleśnicki nie zmienił swych dawnych zapatrywań, ale nikt go już nie słuchał, a to tem bardziej, że tegoż właśnie roku 1454 nadarzała się sposobność odzyskania ujść Wisły, wypędzenia Krzyżaków z Pomorza.

WOJNA TRZYNASTOLETNIA (1454–1466).

Od bitwy wilkomierskiej w r. 1435 pozostawał Zakon Krzyżacki w pokoju z Polską i Litwą, zwracał się tylko czasem w stronę Pskowa i Wielkiego Nowogrodu, lecz zawsze bezskutecznie, tem bardziej, że od pokoju brzeskiego rozluźniał się coraz bardziej państwowy związek Inflant z Prusami. Zmienił się też ustrój krzyżackiego państwa. Pod wpływem Polski i głównie za sprawą polskich swych poddanych, musieli się Krzyżacy podzielić władzą z obywatelami kraju. Społeczeństwo poczęło się organizować i zdobywać sobie coraz rozleglejszy samorząd. Nie było wolno teraz prowadzić wojen, ani też nakładać nowych podatków bez zezwolenia Rady, urzędującej w Elblągu, a złożonej z 20 szlachty i 27 mieszczan. Wśród Krzyżaków powstało stronnictwo przeciwne nowym prądom, dążące do przywrócenia dawnych stosunków, ludność zaś łączyła się w związki dla obrony swobód obywatelskich. Najcelniejszym był związek Jaszczurców, założony jeszcze w r. 1397 w celach handlowych i politycznych, który stanął teraz na czele ruchu o prawa obywatelskie, a do którego przystąpili też Polacy zamieszkali w państwie Zakonu. Członkowie jego przyjęli sobie za godło jaszczurkę, jako godło trwałości, gdyż był przesąd, że jaszczurka w ogniu się nie spali. W sporze ludności z Krzyżakami chodziło też o sprawy materyalne, bo Krzyżacy czynili rozmaite wstręty i trudności handlowi zbożowemu z Polską, chcąc zachować dla Zakonu wyłączne prawo zawierania zagranicznych umów handlowych. Krzyżacy nie dotrzymywali zobowiązań, łamali prawa, usuwali obywateli od spraw publicznych, wydawali dokuczliwe postanowienia, dopuszczali się ucisku, tak że już około roku 1440 zanosiło się na powstanie. Polska ludność tęskniła już od dawien dawna za powrotem pod polskie rządy, ale już też ludność niemiecka odgrażała się, że poszuka sobie innego pana. Niektórzy doradzali króla duńskiego, ale większość oświadczyła się za polskim. A nietylko gdańskie Pomorze i chełmińska ziemia, ale pragnęła też przejść pod rządy polskie także pruska kraina,

ziemia po wytępionych Prusakach, osiedlona Niemcami. Celem połączenia z Polską powstał Związek pruski, złożony z Polaków i Niemców. Rozwój polskiego społeczeństwa, samorząd i polskie zapatrywania na prawo publiczne, nęciły Niemców pod rządy polskiego króla. Czego nie dokonał Grunwałd, to miało się dokonać dzięki pracy społecznej w narodzie polskim, pracy, której wyniki chcieli sobie przyswoić ościenni.

Dnia 4 lutego 1454 r. wypowiedział Związek pruski posłuszeństwo W. Mistrzowi Krzyżaków, a deputacya pod wodzą braci Bażeńskich wyjechała do Krakowa zaprosić Kazimierza Jagiellończyka, żeby objął panowanie nad krajem. Król zwołał naradę dostojników, na której kardynał Zbigniew Oleśnicki sprzeciwił się przyjęciu ziem Zakonu w opiekę i poddaństwo, radząc, żeby pieniędzy i wojsk użyć raczej na przygotowania do nowej wojny z Turkami, żeby je zachować na posługę całego chrześcijaństwa i o czarnomorskie wybrzeża starać się wpierw, niż o bałtyckie.

Oleśnicki liczył na to, że Zakon krzyżacki będzie coraz słabszy, że ludność kraju będzie mieć coraz większą przewagę nad nim, aż w końcu Zakon nie zdoła utrzymać się przy władzy, a natenczas polskie Pomorze i ziemia chełmińska odpadną do Polski, jak dojrzały owoc, bez wielkich wysiłków z naszej strony. Liczył na to, że te ziemie polskie i tak nie poddadzą się Danii, a z konieczności muszą po pewnym czasie przypaść Polsce. Wojna mogła w Niemczech rozbudzić życzliwość dla Zakonu, mogły nadejść ztamtąd posiłki przeciw Polsce, podczas gdy Zakon, pozostawiony w spokoju, byłby się sam starł wśród niesnasek domowych. Oleśnicki pragnął oczywiście gorąco odzyskania ujść Wisły i wogóle zniesienia krzyżackiego państwa, ale sądził, że może się obejść bez tej wojny na północy. Wolałby siły Polski zwrócić przeciw Turcyi, rozumiejąc, że pod czyją wodzą będzie Carogród odzyskany, ten na długie pokolenia będzie panem wschodniej Europy.

W myśli przeznaczał on ten tryumf swej Ojczyźnie. Marzył, że Polska rozstrzygnąwszy losy Grecyi, Bułgaryi, Serbii, pozyskawszy kiedyś w szczęśliwej przyszłości wpływy na półwyspie Bałkańskim i wdzięczny mir południowej Słowiańszczyzny, będzie przez to samo kierować polityką Węgier, będzie rozstrzygać o stosunkach Wołoszczyzny; marzył, jak po wypędzeniu Turków Tatarzy zaprzestaną zbójeckich najazdów, a Moskwa nie będzie mieć narzędzia przeciw

Litwie; radował się nadzieją, jak po odzyskaniu Wschodu dla jedności katolickiego Kościoła runie schyzmatycka polityka Moskwy, a polski wpływ na Rusi oprze się na niewzruszonych podstawach. Wtenczas stanowiłaby Polska mocarstwo najpotężniejsze w Europie, tak potężne, że nikt z sąsiadów nie mógłby się z niem równać. Wyświadczając chrześcijaństwu największą przysługę, wydobyłaby się też Polska wśród Europy na pierwsze miejsce. Dla takiego mocarstwa byłoby potem odzyskanie Gdańska łatwą rzeczą, wybrzeża Bałtyku musiałyby mu przypaść; toby nie przepadło, podczas gdy równocześnie na południu otwarłby się dostęp wolny do morza Czarnego. Póki zaś Turcy pozostaną w Carogrodzie, będzie Polska ciągle miała do czynienia z nieprzyjaźnią Turcyi, Tatarów i Moskwy, a te trzy niebezpieczeństwa będą wyczerpywać siły społeczeństwa, chociażby nawet Gdańsk był odzyskany. Miał więc kardynał swoje wielkie plany i nie głosował lekkomyślnie. Później, gdy przestano rozumieć ówczesne stosunki i związek wydarzeń, tłumaczono sobie postępowanie Oleśnickiego w rozmaity sposób, nieraz niedorzeczny. Niektórzy np. mówili, że Oleśnicki, ksiądz, widział w Krzyżaku także kawałek księdza i dlatego nie chciał mu kraju odbierać.

Głosowano za wojną z Zakonem, a przeciw Oleśnickiemu, w tem przekonaniu, że z zajęciem Pomorza i Prus nie będzie wielkich kłopotów. Wojna miała jednak trwać lat trzynaście, a i tak zdołano odebrać ledwie połowę krzyżackiego państwa, pozostawiając na drugiej połowie nadal tego najgorszego, najzjadliwszego wroga imienia polskiego.

Związek Pruski jął się rączo dzieła. W przeciągu czterech tygodni opanowali w Prusiech 56 miast i grodów, a Krzyżakom pozostały tylko trzy: stolica Malborg, Sztum i Chojnice. Podzielił więc król polski całe państwo krzyżackie z góry na cztery województwa: chełmińskie, pomorskie, elbląskie i królewieckie, a Jana Bażyńskiego mianował gubernatorem ziem pruskich. Król nietylko przybył do Prus osobiście, ale zabrał z sobą żonę, królową Elżbietę i matkę, królową Zofię; nie na trudy obozowe się wybierał, lecz w podróż tryumfalną. W Toruniu odebrał hołd od mieszczaństwa i szlachty, w Elblągu od czterech biskupów pruskich. Krzyżacy siedzieli cicho. Ale nadchodziło z Niemiec wojsko zaciężne, zebrane za pieniądze, których jeszcze nie brakowało w malborskim skarbcu.

U nas nie było jeszcze zwyczaju najmowania obcego żołnierza za pieniądze; sądzono, że wystarcza zupełnie, iż wszyscy właściciele ziemi są żołnierzami w razie potrzeby. Zwołał więc król pospolite ruszenie, ale tylko z Wielkopolski, przypuszczając, że siły jednej prowincyi podołają najzupełniej zadaniu. Przechwalali się też Wielkopolanie, że batami Niemców rozpędzą, a pewni zupełnie swego, nie spieszyli się nawet na pole walki i nim się bić zaczęli, odbyli przedtem naradę obozową w Cerekwicy, w powiecie nakielskim.

USTAWY NIESZAWSKIE (1454).

Szlachcic polski obowiązany był do służby wojskowej, ale swoim kosztem miał obowiązek służyć tylko wewnątrz kraju; za granicą należało mu się ze skarbu państwa po pięć grzywien „od oszczepu“ tj. pięć grzywien za siebie i również po pięć od zbrojnych towarzyszy, których z sobą przyprowadzał, stosownie do wielkości swych posiadłości. Nasuwała się wątpliwość, czy wyprawa ta jest w granicach państwa, czy też zagraniczna? Nie chodziło im o owe pięć grzywien, bo im nie brakowało miłości Ojczyzny, a dla odzyskania Gdańska gotowi byli wszyscy, a zwłaszcza Wielkopolanie, do jak największych ofiar. Chodziło im o porządek, o prawo, o swobody obywatelskie, o to, żeby król nie robił tego, do czego nie miałby prawa. Dali sobie wytłumaczyć, że skoro król wydał już dokument przyłączający Prusy do Korony i wojewodów swoich tam mianował, więc kraj ten jest już częścią państwa polskiego i należy się w nim służba wojskowa za darmo.

Tego zebrania obozowego w Cerekwicy użył król, żeby się uwolnić od przewagi małopolskich wielmożów. Od czasów króla Ludwika spoczywał ster rządów bez przerwy w ich ręku, a stosunek ich do Kazimierza Jagiellończyka nie był przyjazny. Sprawa o Podole i Wołyń miała znaczenie praktyczne dla nich niemal tylko samych, bo oni spodziewali się tam nowych dostojeństw, nadań i bogactw; chętnie odebraliby Wołyń Litwie nawet przemocą. Zwykły szlachcic nie miał tam na wschodzie wówczas żadnego jeszcze interesu osobistego i obojętnem mu było to, co najbardziej różniło króla z wielmożami. Miał zaś ogół szlachty przeciw możnowładcom wogóle niechęć o to właśnie, że sami rządy zagarnęli. Szerzył się dobrobyt, szerzyła oświata, zwiększało się z każdem pokoleniem zajęcie dla spraw publicznych. Szlachta, która jeszcze

za Władysława Łokietka wytworzyła nowe polskie państwo, nie chciała za Kazimierza Jagiellończyka poprzestać na tem tylko, że bez jej zgody nie wolno było nałożyć na nią podatków; chciała mieć większy udział w rządach i stały wpływ na prawodawstwo. Rozpoczął się w Polsce między szlachtą ruch demokratyczny polityczny, tj. dążenie do przyznania ogółowi jak najszerszych praw politycznych do udziału w rządach państwem. Król postanowił ruch ten wyzyskać przeciw możnowładztwu i ośmielał go.

Pewni królewskiego poparcia obradowali zebrani w Cerekwicy Wielkopolanie o różnych sprawach, które im dolegały. Skarżono się, że król pomija Wielkopolan przy obsadzaniu dostojeństw. Skarga ta podsunięta była prawdopodobnie wprost z królewskiego dworu, żeby król mógł mniej dostojeństw nadawać odtąd małopolskim panom. Podano też rozmaite wnioski zmierzające do poprawy i wydoskonalenia sądownictwa, wnioski zupełnie słuszne, które rozwijały polskie prawo sądowe w kierunku prawdziwie cywilizacyjnym, tak, żeby słabszemu zapewnić jak najlepszą opiekę przed silniejszym, ażeby ubogi mógł łatwiej otrzymać sprawiedliwość przeciw bogaczowi. W końcu zaś zażądano, żeby nie było wolno prowadzić wojny bez uchwały sejmików. Wszystkie te wnioski spisano. Było ich razem 35, począwszy od tak doniosłego, jak wypowiadanie wojny, aż do drobnych szczegółów tyczących przewodu sądowego. O ile uchwały w sprawach sądownictwa zasługują na wdzięczną pamięć potomnych, o tyle nie można pochwalić tamtych dwóch żądań. Kogo król ma mianować na urząd, to powinno być jemu samemu pozostawione. Widocznie wielką była potęga małopolskiego możnowładztwa, skoro król nie miał odwagi sam od siebie odsuwać ich od urzędów, lecz uważał za stosowne wywołać przeciw nim uchwałę szlachty, krępującą zarazem władzę królewską, bo wdająca się w sprawę, która ściśle do króla należała. Bardzo zaś niebezpieczną była uchwała. żeby sejmiki postanawiały o wyprawach wojennych. Cóż począć, gdyby jedne sejmiki były za wojną, a drugie przeciw? Jeżeli zaś o zamierzonej wojnie miało się radzić na sejmikach, publicznie, jawnie przed całym światem, nie możnaby nigdy zajść nieprzyjaciela nieprzygotowanego. Uchwała taka równała się niemal zakazowi wojen zagranicznych i wychodziło to w praktyce na to, że Polska zawsze poczeka, aż napadniętą będzie. Chodziło królowi o to, żeby Rada

przyboczna królewska, złożona z dostojników, których większość składała się jeszcze z Małopolan, nie porwała się do wojny o Wołyń i nie zagroziła jego panowaniu w Polsce z powodu tej sprawy. Nie przewidywał król, że uchwała ta będzie stosowaną przedewszystkiem do wojny pruskiej, którą tak on, jak też szlachta lekceważyli, nie przypuszczając, że się przewlecze na długie lata.

Wszystkie cerekwickie wnioski zatwierdził król zaraz 15 września 1454 r. i na prawomocne uchwały zamienił. Ten król, który nie ustąpił ani kroku w sprawie o Wołyń i Podole, który tak długo zwlekał z potwierdzeniem przywilejów tj. ustaw krajowych, który wolałby tron stracić, niż przyznać papieżowi pierwszeństwo przy obsadzaniu biskupstwa, ten sam król tutaj wcale nie spierał się i w przeciągu trzech dni zatwierdził uchwały uszczuplające jego władzę wielce ponad słuszność i rozumną potrzebę. Nie można tego tłumaczyć obawą, że inaczej Wielkopolanie nie ruszyliby dalej w pole, bo oni sami mieli największy interes w zdobyciu Prus, król zaś był na wojnie władcą nieograniczonym, a za nieposłuszeństwo na wyprawie wojennej była kara konfiskaty majątku. Ta nieprzezorność Kazimierza Jagiellończyka miała się potem ciężko dać we znaki ustrojowi polskiego państwa.

W trzy dni później, dnia 18 września 1454 r., stoczono z krzyżackimi zaciężnymi bitwę pod Chojnicami i poniesiono zupełną klęskę; pięć polskich sztandarów dostało się w ręce wroga. Dużo miast pruskich poddało się po tej bitwie na nowo Zakonowi. Pokazało się, że trzeba będzie prowadzić ciężką wojnę. Teraz dopiero powołał król pospolite ruszenie z Małopolski. Małopolanie odbyli także naradę we wsi Opokach, żądając, żeby król dał im te same nowe prawa, które Wielkopolanie otrzymali w Cerekwicy. Zgodził się król, a połączywszy obydwa pospolite ruszenia pod Nieszawą, wydał tu pomiędzy 11 a 16 listopada dokumenty na to dla wszystkich prowincyj i ziem. Ruszono potem na drugi brzeg Wisły pod Łaszyn, ale go zdobyć nie zdołano. Nic nie sprawiwszy wracało wojsko polskie w styczniu 1455 r. do domu. Sprawa polska stała teraz w Prusiech bez porównania gorzej, niż przed kilku miesiącami. Zachodziła obawa, że ofiara Związku pruskiego nie zda się na nic. Umierający w kwietniu 1455 r. kardynał Oleśnicki doznawał przed zgonem przygnębiającego wrażenia, że Polska nie wypędzi ani Turków z Bałkanu, ani Krzyżaków z Prus.

ZACIĘŻNI.

Nie ubyło męstwa polskiemu rycerstwu, ani też nie brakowało dobrych wodzów. Ale tej wojny pospolitem ruszeniem nie można było wygrać. Już za Władysława Łokietka pokazało się, że choćby nad Krzyżakami odnieść w polu zwycięstwo, na nic to, skoro się nie pozdobywa ich grodów. Za Władysława Jagiełły zadano im taki cios pod Grunwałdem, a jednak nie odjęto im panowania, bo zostali w swych warownych zamkach. Po Grunwałdzie i po Wiłkomierzu nie mogli już Krzyżacy Polski zwycięsko zaczepiać; ale schowani za mury swych fortec byli od Polski zupełnie bezpieczni, póki im właśni poddani nie wypowiedzieli posłuszeństwa. Teraz przestali być panami kraju, nie mogli mieć nawet wojska z ludności Prus, która przeszła do króla polskiego, ale nie przestali być w kraju, mając Malborg, Chojnice, a od chojnickiej bitwy jeszcze przeszło 20 innych grodów w swem ręku. W tych warowniach siedzieli bezpieczni, a póki mieli pieniądze, mogli sobie z zagranicy sprowadzać zaciężnych i prowadzić wojnę i zdobyć na nowo panowanie w Prusiech. Chcąc ich wyrugować, trzeba było każdy ich zamek zdobywać z osobna oraz i ten Malborg sławny, uważany w całym świecie za niezdobytą fortecę, najlepszą warownię w całej Europie.

Do tego potrzeba było zawodowego żołnierza, ale nie rolnika zamienionego w żołnierza na prędce. Bić się mężnie w otwartem polu mógł każdy, ale oblęgać miasto, sypać wały, robić podziemne krużganki itp. mógł z dobrym skutkiem tylko ten, kto się tego osobno uczył, kto życie wojskowemu zawodowi poświęcił[1]). Oblęganie warowni mogło też trwać całe lata; to nie dla rolnika, który musi wracać na siewy i żniwa! Szlacheckie wojsko z Prus Krzyżaków nie wypędzi; to było jasnem dla każdego z początkiem 1455 r. Trzeba sobie nająć z zagranicy wojsko zaciężne, ludzi, którzy z rzemiosła wojują, a biją się za tego, kto lepiej zapłaci. Było ich pełno w Niemczech i w Czechach od czasu wojen husyckich. Rzecz to była niezmiernie kosztowna; ale dla odzyskania

[1]) Pod Chojnicami np. próbowano podkopać się pod mury, ale sztolnia zasypywała się ciągle na piaszczystym gruncie, a nie umiano ścian jej sztucznie umocnić.

ujść Wisły gotowa była szlachta do największych podatków. Gotów też był Kościół polski do znacznych ofiar pieniężnych, byle one tylko nazywały się dobrowolnym datkiem, a nie podatkiem. Litwa nie zamierzała brać udziału w tej wojnie, ani też nie wzięła, niepomna, że Polacy w jej wojnach i jej sprawach zapędzali się aż w moskiewskie krainy.

Latem roku 1455 wypowiedział Polsce wojnę król duński, Krystyn I. Gdy Związek pruski nie jemu się poddał, lecz Polsce, ofiarował Krystyn swą pomoc Krzyżakom w zamian za ustąpienie mu Estonii, najdalszej na północy krainy pozostającej pod panowaniem Krzyżaków inflanckich, a do której wywodziła Dania pretensye jeszcze od XIII. stólecia. Flota duńska ścigała na morzu statki gdańskie. Król Krystyn wojował równocześnie ze Szwecyą, a w r. 1456 musiał się król szwedkzi, Karol Knudson, schronić przed nim do Gdańska. Zabrał ze sobą znaczne skarby, z których, przebywając w Gdańsku przez siedm lat, chętnie pożyczał na wojnę z Krzyżakami, bo szkodził przez to pośrednio Krystynowi. Tak więc wypowiedzenie wojny przez Danię raczej pomogło Polsce, niż zaszkodziło. Krystyn, zajęty Szwecyą, nie mógł się też zajmować Prusami.

Zakon nie mając ze swego państwa żadnego dochodu, nie mogąc nakładać podatków na stany, które poddały się Polsce, żył z gotówki, czerpiąc z Malborskiego skarbca. Utrzymywanie zaciężnych było tak kosztownem, że nawet bogatemu Zakonowi zaczęło brakować. Ratowali się zastawianiem ziem pogranicznych, zagrabionych Polsce. Już przedtem zastawili Brandeburgii Nową Marchię; obecnie zastawili dwa grody, Drezdenko i Schifelbein z okolicą, margrabi brandeburskiemu Fryderykowi Hohenzollern, owemu byłemu następcy polskiego tronu, póki Jagiełło nie miał jeszcze synów. Gdyby Brandeburgia wypowiedziała Zakonowi wojnę, a połączyła się z Polską, ostateczny upadek Zakonu nie ulegałby wątpliwości. Fryderyk jednak, straciwszy już wszelką nadzieję pozyskania polskiego tronu, sprzyjał Zakonowi.

Pomimo zaciągania długów, nie zapłacił Zakon żołdu głównemu przedsiębiorcy i wodzowi zaciężnych, Czechowi Ulrykowi Czerwonce. Ten wolałby być na polskim żołdzie i gdy się rozeszła wieść, że Polacy będą także werbować zaciężnych, pogroził Krzyżakom, że przejdzie na stronę polską, jeżeli go nie zapłacą. Groźba

była straszna, bo Czerwonka miał w swem ręku Malborg, samą stolicę Zakonu. Pieniądze nie nadeszły na termin, a wtedy umówił się Czerwonka z Polakami dnia 15 sierpnia 1456 r., że za 436.000 złotych wyda im Malborg i 21 innych grodów. Połowę pieniędzy miała złożyć Polska, drugą połowę Związek Pruski. Ale ani w Gdańsku, ani w Krakowie nie było już tyle gotówki, bo wojna pochłonęła już i po tej stronie wszystkie zasoby, a kwota ta była na owe czasy olbrzymim wydatkiem. Zjazd piotrkowski we wrześniu 1456 r. uchwalił przeto niesłychany podatek, bo aż połowę czynszów ze wszystkich dóbr, nietylko szlacheckich, lecz również królewskich i duchownych, a nadto jeszcze zwyczajny podatek po dwa grosze z łanu. Biskupi pozwolili prócz tego pozastawiać złote i srebrne naczynia kościelne, z czego zebrano 12.000 dukatów. Król też pożyczał i zastawiał na wszystkie strony. Gdańszczanie pożyczyli 15.000 grzywien u króla szwedzkiego, a na siebie nałożyli przymusową pożyczkę i każdy musiał dać dziesiątą część swego majątku. Taką to ofiarnością dla dobra Ojczyzny doprowadzono wreszcie do tego, że dnia 8 czerwca 1457 r. król polski wjechał do Malborga. Wielki Mistrz, Ludwik Erlichshausen, przeniósł się dwa dni przedtem do Królewca, do wschodniej części swego państwa. Krótko jednak cieszyliśmy się Malborgiem. W kilka tygodni potem miasto było znowu w ręku krzyżackiem; szczęściem sam zamek przynajmniej został się przy Polakach. Na odzyskanie miasta uchwalono w r. 1458 znowu znaczne podatki i pospolite ruszenie, które poniosło jednak znowu klęskę przy oblęganiu Malborga.

JERZY PODIEBRADZKI.

W r. 1457 łudzono się płonną nadzieją zakończenia wojny pruskiej, a król Kazimierz Jagiellończyk był tego w lecie tak pewny, ze wybierał się nawet w podróż zagraniczną, mianowicie do Pragi Czeskiej. Tam królowało po śmierci Albrechta II. (w r. 1439) niemowlę, ów Władysław, powity w kwartał po śmierci ojca i dlatego zwany Pogrobowcem. Rządy za niego sprawowała rejencya, na której czele stał przedsiębiorczy i zdolny Jerzy Podiebradzki, ze szlacheckiego rodu na Morawach. Już jako 14-letni chłopiec brał udział w bitwie pod Lipanami. Jako rządca Czech stawał w obronie kompaktatów bazylejskich, które tłumaczył sobie jednak bardzo

swobodnie. Sobór pozwalał komunikować wiernych z kielicha, lecz tylko dorosłych i to pod warunkiem, żeby byli pouczeni i wierzyli, że Sakrament Ołtarza pod jedną postacią również jest ważnym. Tego warunku nie dopełniali kapłani utrakwistyczni, a udzielali kielicha jawnie dzieciom. Co więcej, magistrat praski zabronił komunii pod jedną postacią! Poczęto prześladować tych, którzy pragnęli pozostać katolikami bez kompaktów. W roku 1448 doszło w Pradze do rozruchów, skutkiem których katolicy opuścili miasto. Kielichowców tych czasów nie można było uważać za katolików, gdyż zapragnęli oni dalszych zmian w Kościele; niektórzy odrzucali modły za umarłych, odpusty i naigrawali się z czci oddawanej świętym. Wkrótce nastały takie stosunki, że w niektórych powiatach czeskich wydano dekrety, nakazujące zaprzysiężenie utrakwizmu do śmierci pod karą, że inaczej nie wolno dóbr kupować, ani dziedziczyć, ani otrzymać ślubu, ani nawet mieć pogrzebu chrześcijańskiego. Nie o kielich tu już chodziło; utrakwizm był tylko początkiem, którego widocznym już ciągiem dalszym była herezya. Za Jerzego Podiebradzkiego utrakwizm zamienił się zupełnie na husytyzm; toteż ci z katolików, którzy nie chcieli popaść w odszczepieństwo, wyrzekli się kompaktatów i utrakwizmu.

Wśród takich okoliczności doczekał się wątły i zawsze chorowity Władysław Pogrobowiec ośmnastego roku życia. Postanowiono go ożenić z królewną francuską Małgorzatą, siostrą króla Ludwika XI. Na to wesele wybierał się król polski, a papież Kalikst III. wyprawiał swego legata, gdy w tem zdrowie czeskiego króla znacznie się pogorszyło, a w listopadzie 1457 r. nadeszła wiadomość o jego śmierci.

Pozostały po nim dwa trony, gdyż po śmierci Warneńczyka uznany był Pogrobowiec także na Węgrzech królem. Tam rządy za niego sprawował namiestnik Jan Hunyady, którego syn Maciej Korwin został po śmierci Pogrobowca królem węgierskim w r. 1458. Czesi zaś wynieśli na tron Podiebradzkiego.

Polsce, zajętej wojną na północy, zależało niezmiernie na utrzymaniu dobrych stosunków z nowymi monarchami Czech i Węgier. Wikłało się to atoli z ogólnym ich stosunkiem do papiestwa. Nowy papież, panujący od r. 1458, Pius II. uważanym był powszechnie za życzliwego Krzyżakom. Na Związku Pruskim

ciążyła już od roku 1455 klątwa papieska, bo Krzyżacy zawsze w Rzymie mieli swoich poufników i potrafili wytłumaczyć kardynałom, że po ich stronie słuszność, podczas gdy z polskich biskupów nikt do Rzymu nie zaglądał. W r. 1449 bawił w Rzymie kanonik krakowski Jan Długosz, żeby odebrać kapelusz kardynalski dla Oleśnickiego i od tego czasu przez dziesięć lat nie widział dwór papieski żadnego posła z Polski! Przedtem przybył papieski poseł do Polski i to w sprawie pruskiej. Krzyżacy ofiarowali się uznać lennikami Korony polskiej i zapłacić koszta wojenne, byle im zostawiono panowanie w Prusiech. Było to na zjeździe w Krakowie w styczniu 1459 r., w którym wzięli udział nietylko dostojnicy państwa, ale też po raz pierwszy posłowie od szlachty. Zerwała się tam na króla straszna burza; zarzucano mu, że niedołężnie prowadzi tę wojnę, a wypominano przytem w ostrych wyrazach, że sam odrywa od Polski należne jej kraje (Podole i Wołyń) i że w ogóle źle rządzi. W jednem byli jednak wszyscy z królem zgodni, że wojnę z Zakonem dalej prowadzić trzeba. Papieżowi zależało na sprowadzeniu pokoju, bo pragnął ułożyć nowy związek monarchów chrześcijańskich przeciw Turkowi i zapraszał w tym celu na rok przyszły na kongres do Mantuy we Włoszech. Król przyrzekł wyprawić tam swego posła, ale skoro wojnę z Zakonem raz rozpoczął, nie chciał zawierać pokoju, pozostawiającego pruskich obywateli nadal pod krzyżackiem jarzmem. Miał w tem słuszność. Można było w roku 1454 nie przyjmować poddaństwa mieszkańców Prus, ale skoro się je raz już przyjęło, nie można ich było opuszczać, boby to było zdradą. Poseł papieski dowiedział się zresztą, czem są naprawdę Krzyżacy i można było mieć pewność, że papież odwoła klątwę rzuconą na Związek pruski. Pókiby trwała wojna krzyżacka, nie mogłaby oczywiście Polska brać udziału w tureckiej wyprawie, a tem mniej stawać na jej czele.

Stawać na czele tureckiej wyprawy miał ochotę król Jerzy Podiebradzki, oddając się marzeniom, że zdobędzie Konstantynopol i przywdzieje tam cesarską koronę. Do tego jednak trzebaby pozostawać w zgodzie z Kościołem, a pod tym względem miano właśnie wiele do zarzucenia królowi czeskiemu. Kiedy się koronował w roku 1458, nie mając w Czechach prawych katolickich biskupów, sprowadził z Węgier biskupów z Jaworzyna i Wacowa, żeby papież nie mógł zarzucić nieważności. W tajemnicy odprzy-

sięgł też przed nimi utrakwizm i złożył obedyencyę. Pius II. żądał, żeby obedyencya była uczyniona jawnie i przez poselstwo osobne, tak, jak to czynią wszyscy monarchowie katoliccy. Podiebradzkiemu zależało teraz niezmiernie na tem, żeby go papież zaprosił do Mantuy. W lutym 1459 r. miał więc czeski poseł składać obedyencyę, ale tylko w imieniu króla i jego rodziny. To papież odrzucił, żądając obedyencyi imieniem królestwa czeskiego. Bał się się to uczynić król, który zawdzięczał tron stronnictwu husyckiemu. Prosił przynajmniej o zwłokę i uzyskał ją; otrzymał też w końcu zaproszenie do Mantuy.

Polskim posłem do Mantuy był Jakób z Sienna. Przywiózł przypadające na Polskę pieniądze na przyszłą wyprawę turecką i uzyskał uwolnienie Związku pruskiego od klątwy; przedstawiał też papieżowi, że możnaby Krzyżaków przenieść na którą z wysp greckich, żeby mieli sposobność wypełniać swe śluby zakonne, w których jest walka z pogany. Ale tak król polski, jakoteż papież wiedzieli dobrze, że Krzyżacy dobrowolnie z Prus się nie ruszą, a papieski rozkaz wzbudziłby u nich tylko szyderstwo. Poseł polski przywiózł sobie wtedy papieską nominacyę na krakowskie biskupstwo, o co powstał gwałtowny spór i — jak już o tem była mowa — stosunki z papiestwem bardzo się przez to zamąciły. Nastąpiło tem większe zbliżenie się do króla czeskiego.

W r. 1460 odbył się w Bytomiu na Śląsku zjazd czeskich i polskich panów i proponowano przymierze zaczepno-odporne. Obydwa królestwa miały tedy wspólnie prowadzić wojny i mieć jednakową politykę zagraniczną.

Tymczasem w Prusiech wrzała dalej wojna, niszcząca kraj w najstraszniejszy sposób. Nie było walnych bitew, lecz drobne oddziały i zaciężnych i swoich, przechodząc bez końca od grodu do grodu, pustoszyły kraj. W roku 1460 odzyskali nasi wreszcie Malborg, ale pod Chojnicami znów nic nie wskórali, bo znowu było tam pospolite ruszenie. Nałożono więc znaczne podatki na powiększenie nowych wojsk zaciężnych, poczem zajęto niektóre pomniejsze grody. Po dwóch latach różnych oblęgań w kilku stronach kraju, stoczono we wrześniu 1462 r. znaczniejszą bitwę nad samem morzem, pod Puckiem, zakończoną świetnem zwycięstwem Polski. Odtąd coraz bardziej się powodziło orężowi polskiemu. W następnym roku odniesiono zwycięstwo morskie pod Elblągiem.

Polscy zaciężni walczyli na statkach gdańskich, pod wodzą polskich przywódców. Jestto jedyna bitwa morska, stoczona kiedykolwiek przez Polaków. Niedługo potem zajęto nader ważny gród, Gniew, a Ulryk Czerwonka odniósł zwycięstwo pod Skąpem, na północ od Dobrzynia. W roku 1464 jedne tylko Chojnice pozostawały na polskiej ziemi jeszcze pod władzą Krzyżaków; kraj nad Wisłą, ziemia Chełmińska i Pomorze gdańskie były już w zupełności w polskiem ręku. Poddał się też biskup warmiński, krainy na wschód nieco od Wisły, a w której biskup dzierżył zarazem władzę świecką, jako lennik Zakonu. Ale dalej na wschodzie utrzymali się wszędzie Krzyżacy; do kraju wydartego dawnym wytępionym Prusakom oręż polski całkiem nawet jeszcze nie sięgnął. Zdobytą była dopiero połowa krzyżackiego państwa, ta, która była właściwie odzyskaną jako staropolska kraina, a i w tej połowie nie zdobyto jeszcze Chojnic. Całą wschodnią połowę państwa Zakonu należało dopiero zacząć zdobywać, a przecież wojna trwała już jedenasty rok.

W takiem położeniu cennym był sojusz czeski, bo mógł się bardzo przydać. Zawarto go więc w Głogowy dnia 18-go maja 1462 r. pomimo to, że król Jerzy był poróżniony ze stolicą apostolską. Rok przedtem wystawił Podiebradzki na sejmie praskim rewers, że nie odstąpi od kompaktatów, a na kwartał zaledwie przed zjazdem w Głogowy czeskie poselstwo oświadczało w Rzymie, że złożą obedyencyę, ale jeżeli nawzajem papież potwierdzi bazylejskie kompaktaty. W odpowiedzi na to zjechał do Pragi legat papieski i zasuspendował wszystkich księży, obstających przy kompaktatach, zarzucił królowi publicznie wiarołomstwo i zagroził karami kościelnemi. Ale w całym kraju ledwo 700 księży odrzuciło jawnie kompaktaty. Świeccy katolicy byli gorliwsi od duchowieństwa, a głowa czeskich katolików, Zdenko ze Sternbergu, oświadczył królowi, że tylko w świeckich sprawach będą mu posłuszni. Papież wzywał książąt ślązkich do związku przeciw Podiebradzkiemu; wzywał też ościennych książąt Rzeszy Niemieckiej. Nikt się nie ruszył przeciw królowi czeskiemu. W razie najazdu na Czechy, Polska byłaby ich broniła, jak tego wymagał traktat głogowski. Iskra wojenna, rzucona w tej chwili w Czechach, mogła wywołać wielką wojnę, a gdyby Niemcy porwali się do walki z Czechami, byliby zarazem ujęli się za Zakonem krzyżackim, a na

Polskę, wycieńczoną długą wojną, spadłaby nowa wojna, niemal europejska. Mądra i rozważna polityka polska zapobiegła temu, wyświadczając zarazem największą przysługę Czechom. Król polski zawarł zawczasu przymierze z sąsiadem Czech, z księciem bawarskim i z cesarskim bratem, Albrechtem rakuskim, i przez to uczynił wojnę niemożliwą. Czechy miały pokój, a Polska wolne ręce do sprawy z Zakonem.

Następca Piusa II., panujący od roku 1464 papież Paweł II., wystąpił z całą surowością przeciw Podiebradzkiemu. W maju 1465 roku pozwał go przed swój sąd do Rzymu, a przymierza z nim zawarte uznał za nieważne; w grudniu wreszcie uwolnił jego poddanych od posłuszeństwa. Jerzy od kompaktatów nie odstąpił i przypuszczał, że uda się papieża skłonić do powolności obietnicą wyprawy tureckiej. Prosił o pośrednictwo książąt niemieckich, ale wymawiał sobie odrazu, że gdy zdobędzie Carogród, to się tam sam ogłosi cesarzem! Wyrwał się też ze szczególniejszym projektem, żeby papież jego 20-letniego syna zrobił arcybiskupem praskim, że to wpłynie uspokajająco na sprawy kościelne w Czechach. Jakżeż mógł papież mianować biskupem kogoś podejrzanego o herezyę i to takiego młodego! Jakżeż mógł mianować wodzem wojsk katolickich króla, potępionego o herezyę? Król Jerzy znany jednak jest w historyi z rozmaitych dziwacznych, niewykonalnych pomysłów. O zgodzie z Rzymem nie mogło być mowy inaczej, jak tylko bez kompaktatów. Na to nie było rady. Gdy w ciągu roku król czeski nie namyślił się inaczej, ogłosił Paweł II. dnia 23 grudnia 1466 roku na publicznym papieskim konsystorzu, że Jerzy i jego potomkowie pozbawieni są wszelkich godności. W Polsce ubolewano nad tem, oburzano się na papieża, ale rozumiano dobrze, że klamka zapadła. Odtąd przymierze czeskie nie miało dla Polski żadnej wartości. Od roku już było jasnem, że sojusz ten nie zda się na nic przeciw Krzyżakom, bo Czechy same będą miały u siebie dosyć kłopotów. Toteż rząd polski stawał się skłonnym do zawarcia pokoju z Zakonem. Gdy w r. 1465 Krzyżacy sami o pokój prosili, jęto się tego skwapliwie, chociaż jeszcze tyle było do zdobycia!

POKÓJ TORUŃSKI (1466).

Układy były rozwlekłe, długie, a tymczasem swoją drogą próbowano dalej wojennego szczęścia. Służyło ono Polakom, a dnia

20 września 1466 r. zdobyto wreszcie Chojnice. Ażeby sobie ułatwić dostęp do murów miejskich, sypano koło nich nasypy z ziemi, do czego zgromadzono mnóstwo robotników z miast i wsi z całej Wielkopolski i Kujaw; zdobyto na końcu twierdzę zapomocą pocisków ognistych. Na wiadomość o zajęciu Chojnic przyjechał Wielki Mistrz Zakonu do Chełmna i sam wziął udział w układach o pokój. Chciał jednak, żeby mu zwrócić Malborg! Dostojnicy rady królewskiej odpowiedzieli na to, że wolą wojnę prowadzić dalej, aż zdobędą Królewiec i Krzyżaków całkiem wypędzą. Ostatecznie jednak ułożono się, Zakon ustąpił Malborga i dnia 19 października 1466 roku podpisano sławny w dziejach pokój toruński.

Warunki pokoju toruńskiego ustanawiały na przyszłość takie posiadanie, jakie było w chwili, gdy go zawierano. Polska otrzymywała tyle, ile zdobyła na Krzyżakach: Pomorze gdańskie, ziemię chełmińską i michałowską, Malborg, Elbląg i biskupstwo warmińskie. Reszta państwa krzyżackiego pozostawała nadal przy nich. Ale to uszczuplone do połowy państwo Zakonu stawało się lennem Korony polskiej, a Wielcy Mistrzowie obowiązani byli odtąd składać królowi polskiemu hołd i przysięgę na wierność. Tracił więc Zakon prawo prowadzenia polityki zagranicznej na własną rękę; nie wolno mu mieć przymierzy, ani prowadzić wojny samodzielnie, bez zezwolenia króla, obowiązany zaś jest dostarczać królowi polskiemu posiłków na każdą wojnę. Wielkiego Mistrza i komturów Zakonu uznano za dostojników państwa polskiego i zaliczono ich do rady królewskiej, obok wojewodów i kasztelanów polskich; przyznano im więc prawo głosu w sprawach państwowych. Za to nawzajem zobowiązywał się odtąd Zakon przyjmować do siebie na członków nietylko Niemców, lecz także Polaków; miał więc przestać być wyłącznie niemieckim i narzędziem germańskiego naporu; miał się zwolna polszczyć. Zawarli Krzyżacy ten pokój, bo musieli, ale od samego początku nie myśleli dotrzymać warunków! Król Kazimierz Jagiellończyk obszedł się zaś z pokonanymi wielkodusznie. Obchodził się z nimi jak najlepiej, obsypywał darami pamiątkowymi, a nawet dał z własnych pieniędzy 15.000 dukatów, żeby zapłacili zaciężnych, którzy niezapłaceni nie byliby się ruszyli z kraju i byliby trzymali w zastawie Królewiec, nową stolicę Wielkiego Mistrza. Szlachetność względem nieprzyjaciela, wspaniałomyślność względem zwyciężonego piękną jest

cnotą, toteż historya tylko chwalić króla za to może. Zganić go jednak musi, gdy wspaniałomyślność wiodła go do takiego ciężkiego błędu politycznego, że uwolnił Zakon na 20 lat od dostarczania lennych posiłków na wojny polskie. Proszono go, żeby dał Zakonowi czas do podniesienia się z klęski; mógł tedy z królewskiej łaski ulżyć Krzyżakom, mógł przystać na to, żeby przez 20 lat przysyłali na wojnę drobną tylko garstkę rycerstwa, choćby tylko kilkunastu, ale uwolnić ich na tak długi czas całkiem od lennej powinności, było niebezpiecznym darem.

Po raz to już drugi uznawał się Zakon lennikiem Polski. W pokoju kaliskim za Kazimierza Wielkiego uznawał Zakon, że ziemia chełmińska i gdańska są częściami polskiej Korony, że je bierze od niej w lenno, zobowiązując się płacić z nich roczną daninę. Nie dotrzymali tego warunku, doprowadzili do tego, że nawet poszło to w zupełne zapomnienie. Ani też teraz o dotrzymaniu warunków nie myśleli. Póki tylko istniał choćby kawałek krzyżackiego państwa pod bokiem Polski, zawsze miała w nim Polska zaciekłego wroga. Wojna trzynastoletnia, prowadzona z naruszeniem ogólnego dobrobytu z powodu nieustannych nadzwyczajnych podatków (przeszło milion dukatów), przyniosła nam tylko połowiczny owoc, skoro pozostawiała Krzyżakom nadal drugą połowę ich państwa w Prusiech. Nadto pozostawało im panowanie w Inflanciech i olbrzymie posiadłości w całej Europie. Zakon, jakkolwiek teraz po raz trzeci pokonany, mógł jednak przy sprzyjających okolicznościach wzmódz się na nowo. Był bardzo, bardzo osłabiony, ale nie zniszczony.

Bądźcobądź wracały do Polski dawne północne ziemie piastowskie, wydarte chytrością i przemocą. Wracało do Polski wszystko, co tylko pod panowaniem krzyżackiem było polskiego, a wracało za zgodą niemieckich współobywateli, którzy tam osiedli, przez Zakon sprowadzeni. Dobrze widocznie było w Polsce, skoro się do niej nawet cudzoziemcy garnęli, pragnąc być pod polskiem prawem. Widocznie było u nas w owych czasach wielkie prawa poszanowanie. Nie zdarzyło się ani razu, żeby się Polak wpraszał pod niemieckie rządy; ale Niemcy z Prus krwią i mieniem dzielili się z polskimi współobywatelami, żeby tylko dostać się pod polskie rządy.

Jakżeż szczęśliwem było to pokolenie, że mu danem było doczekać się plonów z Grunwałdu, zebrać żniwo po siejbie Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego i Jagiełły, a doczekać się zwycięstwa dobrej sprawy! Odzyskali część Polski, posunęli królestwo swoje do morza! Nadmiar sił, nagromadzonych w społeczeństwie, bujność i krzepkość ogólna narodu, domagały się wielkich czynów. Odtąd Polsce, opartej o morze, łatwiej będzie prowadzić skutecznie wielką politykę, rozpoczętą chrztem Litwy a zmierzającą do zaprowadzenia w stosunkach pomiędzy narodami prawa, opartego nie na kancelaryjnych papierach, opisanych według woli silniejszego, nie na niemieckiem „cesarstwie“, lecz na słuszności i swobodach obywatelskich, na sojuszach, na uniach, wykluczających wzajemne wojny.

TRZY PAŃSTWA W UNII.

Stosunek odebranych Krzyżakom ziem polskich do królestwa polskiego polegał na unii. Kraj ten zachował swój odrębny samorząd i prawa odmienne od polskich, tak, jak się wyrobiły historycznie. Główną różnicę stanowiło wybitne stanowisko miast, podczas gdy w Polsce właściwej miasta, aczkolwiek bardzo bogate, w polityce znaczyły mniej od szlachty. Ustawy, wydawane dla dawnych polskich ziem i województw, nie obowiązywały bynajmniej nowych województw pruskich. Prusy miały swoje osobne sejmiki w każdem województwie, a nadto sejm ogólny pruski, złożony z posłów, wybranych przez owe trzy sejmiki z przedstawicieli szlachty i mieszczaństwa. Rozporządzenia dla Prus wydawał król osobno i ustawodawstwo pruskie osobno się opierało na pruskim sejmie. Tworzyły więc Prusy, podobnie jak Litwa, osobne państwo, związane z prawdziwą Polską, czyli z Koroną, unią, t. j. że raz na zawsze nie wolno sobie było wypowiadać wojny, że polityka zagraniczna, wobec innych państw, miała być wspólną, i że panem i monarchą Prus mógł być tylko król polski. Stosunek Prus do Polski bliższym był, niż Litwy, z tego względu, że Prusy w znacznej części zamieszkane były przez Polaków, tudzież przez to, że podlegały zawsze bezpośrednio królowi polskiemu; nie było nigdy żadnego osobnego księcia lennego, jak na Litwie. Innym zaś zgoła był ten stosunek z tego względu, że Prusy nie stały od Polski niżej pod względem cywilizacyjnym; żadnej misyi cywilizacyjnej nie

miała tu Polska do spełnienia. Obywatele pruscy, tak Polacy jakoteż Niemcy, nie ustępowali Polakom z Korony ani co do wykształcenia, ani co do poczucia swobód obywatelskich, o które od stu lat wiedli walkę z Zakonem. Przewyższali zaś dawne polskie województwa pod względem dobrobytu, bo nad morzem mieszkając, łatwiej się mogli bogacić. Obecnie jednak, po wojnie trzynastoletniej, kraj był strasznie zniszczony; uwolniono ich też na dwadzieścia lat od podatków.

Składało się tedy państwo polskie z trzech państw: Korony, Litwy i Prus, związanych unią.

Dzięki odzyskaniu Prus budziło się coraz bardziej w narodzie poczucie wielkiej siły. Rzecz prosta, że chciano przedewszystkiem odzyskać, co swoje, a były jeszcze inne ziemie polskie, do których odzyskania wzdychano. Spisujący te wypadki, kanonik krakowski Jan Długosz, który był obecny w Toruniu przy zawieraniu pokoju, tak kończy historyę trzynastoletniej wojny:

„Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie krajów ojczystych w jedną całość, a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał za łaską Bożą także zjednoczenia z Polską Ślązka, ziemi lubuskiej i słupskiej, w których są trzy biskupstwa przez Bolesława Chrobrego założone, t. j. wrocławskie, lubuskie i kamieńskie[1]). Z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek".

Odzyskanie i tych ziem było najzupełniej możliwem. Nie nastąpiło, bośmy coraz bardziej zajmowali się sprawami litewskiemi, a coraz mniej własnemi. Obowiązki względem Litwy pochłaniały nas coraz bardziej, a potem wytworzyła się tam na wschodzie Nowa Polska, wymagająca tylu sił, że dla Starej Polski (tak Ślązk zwie się) już ich starczyć nie mogło.

WOJNA Z MACIEJEM KORWINEM.

Sprawa ślązka nasuwała się zaraz po odzyskaniu ujść Wisły. Tego samego jeszcze roku, 1466, wzywał legat papieski Kazimierza Jagiellończyka, żeby zajął tron czeski. Liga czeskich katolickich panów ofiarowała mu też koronę następnego roku, dnia 21-go maja

[1]) Mylił się Długosz w tem, bo lubuskie i kamieńskie (pierwotnie wolińskie) biskupstwa powstały dopiero za Bolesława Krzywoustego.

1467 roku, a papież Paweł II. oświadczył, że póki jej nie przyjmie, on nie zatwierdzi pokoju toruńskiego. Nie chcieli Polacy wydzierać tronu sprzymierzeńcowi, ani też rozstrzygać religijnego sporu u pobratymców z mieczem w ręku i pogrążać Czechy na nowo w odmęt wojenny dla własnego wyniesienia. Znalazł się kto inny do łowienia ryb w mętnej wodzie: król węgierski, Maciej Korwin, ofiarował się wykonać wolę papieża i zabrać tron Jerzemu Podiebradzkiemu. Wypowiedziawszy wojnę, zajął w roku 1468 Morawy i tam ogłoszono go w kwietniu 1469 roku królem czeskim. Polacy, którzy próbowali bez skutku pośrednictwa pomiędzy królem Jerzym a Rzymem, zaprotestowali przeciw wdzieraniu się króla węgierskiego na tron czeski. Podiebradzki ogłosił swym następcą trzynastoletniego królewicza polskiego, Władysława, i sejm czeski dokonał formalnie jego wyboru. Pozyskano też zgodę papieża na takie załatwienie sprawy. Kościół miał już rękojmię, że na tronie czeskim nie utrwali się husycka dynastya.

Król Maciej Korwin nie odstąpił jednak od swych uroszczeń i ruszył na Ślązk, podległy czeskiej koronie, a wkrótce cały kraj od Nysy aż po Łużyce wyglądał, jak pustynia. W marcu 1471 r. umarł król Jerzy, a polski królewicz wyruszył d. 25 lipca w 9.000 żołnierza z Krakowa do Pragi, wymijając stanowiska wojenne Macieja, zbaczając na Nysę i Kłodzko. Dnia 21 sierpnia 1471 r. koronował się Władysław Jagiellończyk na króla czeskiego; dynastya Jagiellońska zasiadła w końcu na czeskim tronie i obejmowała zwierzchnictwo nad Ślązkiem.

Równocześnie powstało na Węgrzech stronnictwo jagiellońskie i ofiarowało tron młodszemu królewiczowi polskiemu, Kazimierzowi. Pozastawiawszy królewszczyzny, żupy solne, cła i t. p., zebrał król 12.000 zaciężnych, ale wyprawa węgierska nie dopisała i w marcu 1472 roku wracał królewicz Kazimierz z niczem do Krakowa.

Król Maciej, trzymający ciągle w swem ręku Morawy, próbował dalej zdobyć Ślązk, gdzie miał 3.000 swych zaciężnych. Sprzyjali mu Wrocławianie. Chcieli się poddać księciu Saskiemu z Rzeszy Niemieckiej, ale przysłali do króla węgierskiego, gdy przyrzekł radzie miejskiej wrocławskiej oddać gubernatorstwo całego Ślązka. Ślązk Dolny był już zupełnie zniemczony, na Średnim było jednak jeszcze wiele polskiej ludności, a Górny pozostał czysto polskim.

Z książąt ślązkich uznali panowanie Władysława Jagiellończyka książęta, pochodzący z bocznej (nieprawej) linii Przemyślidów: Jan karniowski i Wacław rybnicki; dwaj synowie Podiebradzkiego, Wiktor i Henryk, którzy po ojcu dziedziczyli Opawę, Ziembice i Ząbkowice, tudzież z Piastów książę zatorski, Przemysław cieszyński z synowcem swym Kazimierzem i Jan gliwicki. Głównym, obok Wrocławian, zwolennikiem króla Macieja, był książę Fryderyk lignicki, który miał od niego gubernatorstwo Łużyc, i książę Jan II. przybuziecki, który miał pod sobą węgierskich zaciężnych. Nadużył jednak zaufania węgierskiego króla. Użył węgierskiego wojska dla siebie, zdobył sobie Żegań i sprzedał go zaraz książętom saskim z dynastyi Wettyńskiej, uszczuplając przez to granice Ślązka. Opuścił też Macieja książę lignicki, ale Władysław nie miał z tego żadnej korzyści, bo książęta ślązcy zaczęli teraz wojować sami między sobą. Rzadko kiedy zresztą nie było wojny domowej między tymi książątkami, pozbawionymi wszelkiego zmysłu politycznego. W roku 1473 urządzili istną obławę na Wacława rybnickiego, zabrali mu Rybnik i zaczęli oblęgać drugie jego miasto, Żory. Wtenczas odwołał się książę Wacław do króla polskiego. Przyjechał z Krakowa kanclerz Jakób z Dębna i ułagodził zażarte spory. Za pożyczone wtenczas księciu rybnickiemu pieniądze wziął w zastaw Żory i Mysłowice.

W Polsce uważano to za sprawę narodową, żeby Ślązk uwolnić od wojsk węgierskich i uchwalono pospolite ruszenie. Maciej Korwin proponował, żeby się podzielić ziemiami Korony czeskiej, ale odrzucili tę frymarkę Jagiellonowie. Najechał za to król węgierski polskie krainy podkarpackie; spalił wtenczas Jasło, Duklę i Pilzno, ale najazd ten nie powstrzymał polskiej wyprawy na Ślązk. Dnia 26 września 1474 roku przeszedł król Kazimierz Jagiellończyk granicę ślązką, mając znaczną armię 60.000 zbrojnych, do których przyłączyć się miało 20-tysięczne wojsko króla Władysława czeskiego. Maciej czekał już na nich na Ślązku, wymuszając grozą posłuszeństwo u książąt i ludności. Do książąt brał się ostro. Księciu Wacławowi odebrał miasto Pszczynę, a Janowi karniowskiemu zabrał Karniów, Bruntal, Baborów i Lobenstein, zostawiając mu tylko Wodzisław. Zanim jeszcze nadeszło wojsko polskie, już król Maciej trzymał silnie cały kraj w swem ręku i wysyłał oddziały na pustoszenie sąsiednich ziem wielkopolskich. Zdążył na

czas utwierdzić Wrocław tak, że trzebaby go oblęgać chyba lata całe. Poniósł wprawdzie klęskę pod Swantowicami, ale było to też jedyne zwycięstwo oręża polskiego, bo król węgierski urządził istną wojnę głodową. Wielkie wojsko polsko-czeskie, nie mając się czem żywić, stało się niezdatnem do boju; wygłodniałym wszystko szło powoli i niezręcznie. Nadeszła zima, a oblężenie Wrocławia nie postąpiło ani na krok. Zawarto więc rozejm do dnia 25-go maja 1477 roku taki, że każdy zatrzymywał to, co posiadał w grudniu 1474 roku.

Podczas rozejmu znalazł sobie król Maciej nowego sojusznika przeciw Polsce. W roku 1476 Zakon krzyżacki poddał się jego lennemu zwierzchnictwu, nowy Wielki Mistrz, Marcin Truchsess, odmówił hołdu królowi polskiemu, a król Maciej zobowiązał się bronić Krzyżaków przeciw Polsce. W Prusiech wywołał Kazimierz Jagiellończyk spór o obsadzenie biskupstwa warmińskiego, które tworzyło osobne państwo kościelne pod zwierzchnictwem Korony polskiej. Warmia wchodziła klinem pomiędzy Prusy polskie, odzyskane pokojem toruńskim 1466 roku, a resztę Prus, pozostałą jeszcze przy Krzyżakach; tem bardziej przeto nie chciał tam król dopuścić do rządów księcia-biskupa niemiłego sobie. Kapituła warmińska wybrała na biskupstwo w roku 1467 Mikołaja Tungena, król zaś nadał je Polakowi, Wincentemu Kielbasie, który był dotychczas biskupem chełmińskim. Sprawy świeckie wikłały się tu z kościelnemi. Nikt ze współczesnych nie byłby próbował odjąć biskupowi władzę świecką zwierzchniczą i polityczną, ale natomiast łamano prawo kanoniczne, czyniąc obsadzenie biskupstwa zależnem od woli królewskiej. Papież Paweł II. i jego następca Sykstus IV. stanęli po stronie Tungena, prałat występował butnie, obrażał majestat królewski i w roku 1472 zajął rzeczywiście Warmię wbrew królowi polskiemu. Z Tungenem zawarli umowę Krzyżacy, a następnie i z królem węgierskim. Przypuszczano, że skoro w maju 1477 roku skończy się rozejm, zawrze nowa wojna równocześnie na południu i północy. Krzyżacy spodziewali się, że w spółce z królem Maciejem obalą pokój toruński. Papież rzucił klątwę na Jagiellończyków, na ojca i syna, królów polskiego i czeskiego, na wypadek, gdyby rozpoczęli wojnę z Maciejem Korwinem! Wtenczas to wyprawił król Kazimierz Jagiellończyk do Rzymu kanonika poznańskiego, Jana Gosłupskiego, z poselstwem, że odtąd nie pozwoli

papieżowi wydawać nominacyj na żadne godności duchowne w Polsce, że sam będzie obsadzał wszystkie, a z Rzymem pozrywa wszelkie stosunki do tego stopnia, że nie pozwoli nawet polskim księżom przebywać na papieskim dworze.

Gdy rozejm upłynął, weszło wojsko czeskie na Ślązk, a kilku książąt i kilkanaście miast ślązkich zawarło na własną rękę pokój z Władysławem Jagiellończykiem. Król Maciej stał się niespodzianie bezbronnym z powodu braku pieniędzy. Zaciężni węgierscy byli niezapłaceni i nietylko nie chcieli się bić, lecz odgrażali się, że przejdą na stronę Władysława. Ale Jagiellończycy także nie mieli ich czem kupić. Król Maciej zebrał w końcu pieniądze na zapłatę zaległego żołdu; natenczas zaciężni oświadczyli, że i tak minął już czas, na który byli zgodzeni, a nowej umowy nie będą zawierać ze złym płatnikiem i rozeszli się, opuszczając Ślązk ku wielkiemu uradowaniu ludności.

Na północy rozpoczęli natomiast wojnę Krzyżacy i w lipcu 1478 r. zajęli Brodnicę, Chełmno i Starogród. Zaraz atoli wkroczyło wojsko polskie i zajęło całe biskupstwo warmińskie, a Wielki Mistrz czekał napróżno, że król węgierski wznowi wojnę na południu. Tam się już układano o pokój.

W roku 1478 umówił się Maciej Korwin z Władysławem Jagiellończykiem, następnego zaś roku 1479, zawarli pokój w Ołomuńcu, mocą którego Morawy, Łużyce i Ślązk pozostawały dożywotnio przy Macieju, on zaś uznał prawa Władysława Jagiellończyka i jego przyszłych potomków do tronu czeskiego i wszystkich ziem korony czeskiej. Król polski nie uznał tego układu, ale Czechy były już tak wycieńczone ciągłemi wojnami, że nawet nie byłoby za co wystawić nowego wojska; król Kazimierz zaś sam, bez syna, sprawy tej prowadzić dalej nie mógł. Wojna z Maciejem była bądźcobądź skończona, a Tungen i Truchsess opuszczeni. Zaraz też rozpoczęli starania o łaskę królewską. Dnia 9 października 1479 roku złożył Wielki Mistrz hołd królowi polskiemu, a biskup Tungen przysięgę na zachowanie pokoju toruńskiego. Król przebaczył obydwom. Przebaczenie Wielkiemu Mistrzowi było grubym błędem politycznym.

Skutkiem tych wojen rozdrabniał się Ślązk coraz bardziej, a częściowo przechodził w obce ręce. Król Maciej Korwin już to układami, już to przemocą zagarniał coraz więcej kraju na własność swoją osobistą, swego syna (nieprawego) Jana Korwina, a także dla

przywódców swych zaciężnych i głównego swego doradcy w sprawach ślązkich, Jerzego Steina. W roku 1487 posiadał już Opawę (skąd wypędził Wiktora Podiebradzkiego), Głupczyce, Wodzisław, Toszek, Bytom, nadto części księstwa raciborskiego i kozielskiego; Syców i Wąsocze mieli jego wodzowie, a Stein Stynawę i Rudy. Ostatni książę głogowski, Henryk XI., umierając r. 1476, zapisał swe posiadłości swej dwunastoletniej żonie Barbarze, księżniczce brandeburskiej. Wśród wojny o ten spadek zajął margrabia brandeburski Albrecht w roku 1481 Krosno, Cylichowo i Żemr, które odtąd przestały się już liczyć do Ślązka, przyłączone do Brandeburgii.

SZEŚCIU KRÓLEWICZÓW.

O ile trzynastoletnią wojną zajmowało się żywo całe społeczeństwo polskie, o tyle zachowywało się obojętnie wobec wojny z Maciejem Korwinem, nie uważając jej za narodową, lecz raczej za dynastyczną sprawę Jagiellonów. Król Kazimierz Jagiellończyk, mając sześciu synów, marzył o tem, że ród jego będzie mieć najrozleglejsze w Europie panowanie. Najstarszy Władysław był już królem czeskim. Drugi ze starszeństwa, Kazimierz — św. Kazimierz, patron Litwy — prowadzony przez ojca bezskutecznie na tron węgierski, przeznaczony był odtąd na następcę tronu polskiego. Ukończywszy nauki pod kierunkiem Długosza, był od początku r. 1475 ciągle przy ojcu, sposobiony do rządów. Młodszy o rok od niego, Jan Olbracht, miał się następnie pokusić o tron węgierski, na wypadek śmierci króla Macieja. Dwaj następni: Aleksander i Zygmunt nie mieli w ojcowskich planach obmyślonego zaopatrzenia; ale korona czeska z lennami ślązkiemi i łużyckiemi mogła dostarczyć im stanowiska książęcego. Najmłodszy, Fryderyk, przeznaczony był do stanu duchownego; w Warmii było dla niego księstwo i biskupstwo zarazem. Ani w Polsce, ani na Litwie nie zamierzał Kazimierz Jagiellończyk tworzyć lenn dla swych synów. Dążył stale do coraz większej jednolitości państwa i korzystał z każdej sposobności, żeby istniejące lenna znosić. Gdy w roku 1462 zabrakło dziedziców mazowieckim księstwom rawskiemu i gostyńskiemu, nie ustanowił tam nowego lennika, lecz wcielił te krainy do Korony; powróciła też wtedy pod królewską władzę ziemia bełzka, którą niegdyś Władysław Jagiełło nadał był mazowieckiemu

książęciu. W roku 1475 wcielono ziemię sochaczewską również z powodu wymarcia tamtejszej linii mazowieckich Piastów. Tylko na wschodniem Mazowszu pozostali jeszcze osobni książęta. Od roku 1457 należało do króla księstwo oświęcimskie, kupione za 200.000 dukatów (grubo ponad wartość!) od księcia Janusza; chociaż synowie dorośli, nie nadał król ani tego nawet księstwa żadnemu z nich. Na Litwie był panem dziedzicznym i miał władzę tworzenia lenn według własnego uznania, ale ani tam synom księstw nie stanowił. Niegdyś, z początkiem panowania Władysława Jagiełły, było litewskie państwo właściwie tylko zbiorem lennych księstw; już Jagiełło i Witold przestali je obsadzać na nowo po śmierci lenników, korzystając z tego, że lenna litewskie nie były dziedziczne, lecz tylko dożywotnie. Za Kazimierza Jagiellończyka zniknęło ostatnie ze znaczniejszych lenn książęcych, dynastycznych. Po śmierci Szymona Olelkowicza, księcia kijowskiego, w r. 1471, zniósł król zupełnie to księstwo, ustanawiając w Kijowie swego wojewodę w osobie Marcina Gasztołda. Król Kazimierz Jagiellończyk żył jeszcze długo, do roku 1492; doczekał się, że najmłodszy jego syn liczył już lat 24; ale żadnemu w swem własnem państwie lenna nie dał, ani nawet dać nie próbował. Świadczy to zaszczytnie o nim; myślał o wzniesieniu swego rodu, ale nie kosztem Polski, lecz owszem tak, żeby to dla Polski było korzystnem. Zajęcie tronu czeskiego przez polską dynastyę było ostatecznem powstrzymaniem niemieckiego naporu na zachód; zajęcie tronu węgierskiego ułatwiłoby wielce pochód ku morzu Czarnemu, możliwy tylko w sojuszu z Węgrami. Nie otrzymał król poparcia od społeczeństwa ku wykonaniu tych planów. Raz tylko, gdy w roku 1474 wybierał się na zdobycie Ślązka, uzyskał od sejmików uchwałę wojenną i pospolite ruszenie. Wszystkie inne wyprawy tych lat opędzał bez podatków wojennych. Podczas wojny trzynastoletniej nie było nigdy podatku mniejszego, jak sześć groszy z łanu, a więc trzy razy więcej ponad zwyczajną należytość; sejmiki, zwoływane niemal co roku, uchwalały raz wraz nadzwyczajne podatki wojenne. Ale na wojnę z Maciejem Korwinem musiał sobie król radzić pożyczkami i zastawami, co nie podlegało jeszcze nadzorowi społeczeństwa i pozostawione było bez ograniczenia królewskiej władzy.

Nie zajmowało się społeczeństwo zagraniczną polityką Kazimierza Jagiellończyka, pochłonięte w zupełności sprawami polityki

wewnętrznej. Polska przechodziła przez przesilenie wewnętrzne, przeobrażając się; zmieniał się ustrój państwowy, stosunki społeczne i warunki ekonomiczne równocześnie. Okres taki najmniej bywa sposobny do polityki zagranicznej na większe rozmiary przedsiębranej. Ogół nie rozumiał ani wielkich planów Zbigniewa Oleśnickiego, ani też dynastycznych zabiegów Kazimierza Jagiellończyka.

HANDEL POLSKI.

Ruch demokratyczny, który objawił się na naradzie obozowej w Cerekwicy i wywołał ustawodawstwo zwane nieszawskiem, wzmagał się coraz bardziej. Obejmował nietylko szlachtę, lecz także miasta, bo z mieszczaństwa wyłoniło się też możnowładztwo i to o wiele gorsze od szlacheckiego. Nie złączyła się jednak demokracya szlachecka z mieszczańską, bo je rozdzielił interes ekonomiczny.

Ze wszystkich stanów najlepiej powodziło się mieszczaństwu. Miasta polskie miały cztery złotodajne źródła dochodów: dawny handel wschodni i trzy nowe: handel zbożowy, skup płodów surowych na Litwie i Rusi i wywóz wyrobów przemysłowych na wschód. Handel i rzemiosła wzmagały się równomiernie. Wyrabiano rękodzielniczych wyrobów znacznie więcej, niż ich Polska mogła potrzebować, bo robiono na wywóz do wschodnich krain; nastarczyć nie można było popytowi, toteż napływały nadal towary z Zachodu, częścią w Polsce samej sprzedawane, częścią dalej na Ruś i Litwę wywożone, a zawsze za pośrednictwem polskiego kupiectwa. Od końca XIV-go wieku rozwijał się w Polsce handel szybciej od rzemiosł; mieszczaństwo nasze nastarczyło już handlowi, lecz nie nastarczyło rękodziełom.

Już za Kazimierza Wielkiego, po przyłączeniu Rusi Czerwonej, wzmógł się nagle handel, bo przybyło artykułów handlowych, a mianowicie płodów surowych, w które wschodnie krainy obfitowały bardziej jeszcze od Polski. Cóż dopiero po unii z Litwą, gdy cały wschód aż do Dniepru rozwarł się kupcom polskim! Zagranica sprowadzała z Polski skóry i futra, wosk, przedmioty gospodarstwa leśnego: drzewo, smołę, dziegieć, popiół, potaż, wreszcie len, konopie, przędzę, a nadto zboże. Zboża Litwa sama nie miała jeszcze nazbyt; tylko Podole i Ruś Czerwona brały już w tych czasach udział w handlu zbożowym. Ale wszystkich innych przedmiotów handlu było na Litwie i Rusi więcej, niż w Polsce, toteż

obroty handlowe zdwoiły i potroiły się w ciągu XV. wieku. Szczególnie szybko postąpił handel po pokoju toruńskim, gdy po odzyskaniu ujść Wisły w roku 1466 tańsza do przewozu towarów droga wodna stanęła otworem naszemu mieszczaństwu. Nie lądowe drogi bowiem stanowiły połączenie państw i narodów, ale droga morska. Pomiędzy Polską a Francyą, Holandyą, Anglią i Hiszpanią wymieniano towary nie przez Niemcy, ale okrążając morzami całe wybrzeża Europy aż do gdańskiej zatoki. Przewóz na wozach w poprzek całej Europy był tak kosztowny, że opłacić się mógł tylko z towarem kosztownym, a stosunkowo lekkim i niewiele zajmującym miejsca, jak n. p. zbytkowne przedmioty lewantyńskiego handlu, lecz nie mógł być żadną miarą używany do płodów surowych. Odzyskanie Pomorza gdańskiego zbliżyło nas przeto do Europy, bo tam, w zatokach Bałtyckiego morza, były składy polskich towarów dla zagranicznych kupców. Cały niemal handel polski kierować się musiał w dwóch kierunkach: nad morze Czarne i nad Bałtyk. Droga czarnomorska rzadko kiedy bywała już wolna, tem ważniejszym był więc wywóz przez morze Bałtyckie, a więc Wisłą i jej dopływami.

Największą korzyść z przyłączenia Prus do Polski odniosły też Prusy same. Handlowi z Polską nie miały już odtąd przeszkadzać wojny, dorobku z pracy nie trzeba się było pozbywać na poniesienie olbrzymich kosztów ustawicznych wojen z królestwem polskiem, a co najważniejsza, nastała teraz zupełna swoboda handlu, nie krępowanego już konkurencyą i wyzyskiem Zakonu. Nastały złote czasy dla miast pruskich, a zwłaszcza dla Torunia, Elbląga i Gdańska, a najbardziej dla Gdańska. Dawna stolica Krzyżaków, Malborg, niegdyś stolica zbożowego handlu, zeszedł teraz na drugorzędne stanowisko i stracił wszelkie znaczenie dla handlu zagranicznego. W Gdańsku powiększył się ruch okrętów sześciokrotnie w ciągu XV. wieku. W roku 1428 przypłynęło do gdańskiej zatoki 110 okrętów, a w r. 1474 już 430, a ilość ta wzrastała przez całe panowanie Kazimierza Jagiellończyka; w r. 1490 było ich już 720. Dalszym pośrednikiem pomiędzy Gdańskiem a zagranicą było niemieckie miasto Lubeka, głowa Hanzy, położone na zachodnim końcu Bałtyku. Zrazu dojeżdżały niemal same tylko lubeckie statki do Gdańska. Z początkiem XV. wieku próbowali Holendrzy nawiązać bezpośrednie stosunki z Gdańskiem,

ale nie było to rzeczą łatwą. Droga z zachodniej Europy na Bałtyk wiedzie przez wąską cieśninę, Zund zwaną, pomiędzy duńskiemi wyspami. Tam ustanowił król duński znaczne cło, które było tak wydatne, że stanowiło trzecią część wszystkich dochodów duńskiego królestwa. Potężna Lubeka, poparta przez większą część miast hanzeatyckich, wymusiła na Danii ustępstwa dla siebie; pomyślnemi wojnami doprowadziło przemożne miasto do tego, że wywierało wpływ na polityczne sprawy państw skandynawskich i nie Lubeka od Danii, lecz Dania była zawisła od Lubeki. Poczęły się te stosunki zmieniać w ciągu XV. wieku, ale dopiero z początkiem XVI. wieku utraciła Lubeka dawną przewagę. Za Kazimierza Jagiellończyka zawsze jeszcze bywało w Gdańsku lubeckich statków więcej, niż innych; w roku 1475 trzecia część wszystkich okrętów, które zawitały do gdańskiej zatoki, należała do Lubeczan. Obok tego przypłynęło w tymże roku do Gdańska 23 statków francuskich, 8 szkockich, 7 angielskich, 42 holenderskich, po jednym z bliskiej Norwegii i z dalekiej Portugalii. Sam Gdańsk miał niewiele jeszcze własnych okrętów; flota gdańska poczynała się dopiero rozwijać pod polskiem panowaniem.

Polskie mieszczaństwo miało znaczne zyski na skupowaniu towarów dla gdańskiego wywozu. Utrzymywały się z tego tysiące i tysiące rodzin, zwłaszcza, że zniknęli dawni ajenci i faktorzy Zakonu krzyżackiego, uwijający się po wszystkich targach; ich zarobek przeszedł w zupełności w ręce mieszczan. Nadto mieli polscy kupcy zyski z pośrednictwa pomiędzy Węgrami a Bałtykiem, bo Węgry także potrzebowały bałtyckiego szlaku handlowego; panowały wprawdzie nad częścią Adryatyku, lecz nie mając tradycyi żeglarskiej, ni floty, zawisłe tam były od Wenecyi, największej nieprzyjaciółki węgierskiego handlu. Węgierska miedź i ołów dostawały się do handlu europejskiego głównie przez polskie pośrednictwo. Zaczęto też w Polsce poszukiwać kruszców. Saliny wielickie i bocheńskie nie starczyły na potrzebę krajową; sprowadzano przez Gdańsk morską warzonkę z Lubeki, z Francyi Anglii i Holandyi; w r. 1474 wyjechało z Gdańska 71 okrętów po sól. Przedmiotem wywozu był ołów z Olkusza, z Chrzanowa i Trzebini w okolicy Krakowa, a kopalnie te były własnością mieszczan krakowskich. Wnet rozszerzyli swe interesy górnicze na Ślązk i opanowali zupełnie tamtejszy przemysł kopalniany, sku-

pując i urządzając kopalnie ślązkie już od połowy XV. wieku. Na czele tego nowego kierunku przemysłu stanęły krakowskie rodziny Turzonów i Berów. Najwydatniejszym był jednak ze wszystkiego handel zbożowy. Wszak za Kazimierza Jagiellończyka przypływało do Gdańska Wisłą dziennie po 150 łodzi ze zbożem.

KAPITALIZM.

Tworzyły się wielkie fortuny mieszczańskie i gromadziły się w ręku niektórych rodzin bogactwa takie, o jakich dawniejsze wieki nie miały pojęcia. Dawniej byli wszyscy obywatele miejscy mniej więcej równi pod względem majątkowym; w XV. wieku nastają coraz większe różnice. Za Kazimierza Wielkiego bogaczem był, kto miał za pięciu; za Kazimierza Jagiellończyka nie brakło takich, którzy mieli za stu, a byli już i tacy, którzy mieli za tysiąc innych. Nie mogło być inaczej, bo dalszy rozwój przemysłu i handlu nie mógł się obejść bez kapitału, tj. bez tego, żeby pieniądz był nietylko końcem jakiegoś przedsiębiorstwa, jako zysk za pracę i zabiegi, ale żeby bywał także na odwrót początkiem przedsiębiorstw, żeby służył za narzędzie do uzyskania dalszych zysków, coraz większych. Przyszła kolej na te przedsiębiorstwa, których nie można nawet zaczynać bez kapitału. Jak siła fizyczna lub rękodzielnicze narzędzia, podobnież może być i kapitał środkiem do pracy. Nazywa się to produkcyjnością kapitału. Nie było sposobu zagrodzić drogę tej produkcyjności i na nic się nie zdały głosy ostrzegające, że przytem zwichnie się równowaga społeczna i losy społeczeństwa będą złożone w ręce nie najrozumniejszych i najdbalszych o dobro publiczne, lecz w ręce najbogatszych, dbałych tylko o pomnożenie bogactw. Profesorowie krakowskiego uniwersytetu Mateusz z Krakowa i Benedykt Hesse nawoływali, żeby nie dopuścić kapitału do robienia przemożnej konkurencyi mniej zasobnym. Napróżno, bo bez kapitału leżałoby odłogiem zbyt wiele dziedzin ludzkiej pracy i tworczości. Należało myśleć nie o zniszczeniu kapitału, lecz o sposobach uczciwego, sprawiedliwego podziału zysku z kapitalistycznego gospodarstwa, żeby wyzyskać dobre strony kapitału, a nie narażać się na złe. Ale tego nikt w całej Europie nie spostrzegł i dopiero doświadczenie czterech wieków skierowało myśli w tę stronę. I dziś jednak jeszcze zdarzają się marzyciele, przypuszczający, że możnaby się obejść bez kapitału. Mieli oni po-

przedników już w średnich wiekach i to poprzedników, występujących w imię Kościoła, a więc organizacyi najpotężniejszej, jaka tylko może być na świecie, a jednak nie zdołano wstrzymać naturalnego rozwoju stosunków.

Niegdyś pisał św. Chryzostom, czyli Jan Złotousty, około r. 400 po Chr., kiedy się poczynało formować chrześcijańskie społeczeństwo, że kupcy nie przyczyniają się niczem do powszechnego dobra, bo ani nie udoskonalają przedmiotów, któremi handlują, ani koło nich nie pracują, a zyski ciągną, są więc właściwie tylko wyzyskiwaczami społeczeństwa. Po tysiącu lat przyszedł św. Jan Kapistran, gwiazda zakonu Bernardynów i występował w kaznodziejskich podróżach gwałtownie przeciw nowym formom handlu, opartego na kapitale, na kredycie i procencie. Przez tysiąc lat uważał Kościół kupca za coś gorszego i niższego od rolnika, ale handel wzrastał nieustannie, a świat bez kupców obejść się nie mógł; tem gorzej, że Kościół mniej się nimi zajmował i mniej pracował nad ich moralnością, niż innych stanów. W XV. wieku zwróciły się gromy na kapitalistów, a nikt nie pomyślał, jakby kapitalizm zaprządz do służby około dobra wszystkich stanów, jakby nim pokierować w duchu chrześcijańskim. Prawo kościelne, czyli kanoniczne, potępiało tylko kapitalizm i nie chciało mieć z nim nic więcej do czynienia.

Kapitalizm znalazł gorliwego obrońcę w innem prawie, a mianowicie w legizmie, w prawie starorzymskiem, odradzającem się właśnie przez humanizm, a strzegącem bardzo troskliwie praw kapitału. Nastały uczone spory humanistów-legistów z uczonymi „starej daty“, opierającymi się na prawie kanonicznem. W całej Europie wydawano mnóstwo rozpraw o kupnie i sprzedaży, o procentach itp., a w Polsce jeszcze pod koniec XVI. wieku miały się odzywać głosy kanonistyczne.

TŁUMNY NAPŁYW ŻYDÓW.

Czem bardziej handel na kredycie opierał się, tem bardziej musiało się poszukiwać procentowych pożyczek i kapitału ruchliwego. Kościół zakazywał handlu pieniądzmi, uważanemi jakoby za towar, a więc trzeba było uciec się do pomocy Żydów. W starożytnym cesarskim Rzymie pełno ich było przy wszystkich interesach i — rzecz godna uwagi — odkąd w chrześcijańskiej Europie

przyjęto na nowo prawo rzymskie, zaczęli też Żydzi towarzyszyć na nowo handlowi i przemysłowi. W Polsce bywali dotychczas głównie drobnymi wędrownymi kupcami, a raczej kramarzami, a zamożniejsi trudnili się pożyczkami na zastawy. Nie wiele też mieli do czynienia przy miejskich obrotach handlowych i nie wielu ich też było w Polsce. W Krakowie np. wystarczał na pomieszczenie ich kąt pomiędzy dzisiejszemi ulicami Szczepańską a św. Tomasza od Sławkowskiej (ulica ta do niedawna jeszcze Żydowską się nazywała); do tego kąta przenieśli się z dzisiejszej ulicy św. Anny, odkąd ją zajął Uniwersytet. Na Zachodzie była już lichwa powszechnem ich zajęciem; z przemiany handlu na kapitalistyczny oni pierwsi zebrali najwydatniejsze zyski, choć się jeszcze sami handlem nie trudnili. Z powodu lichwy zaczęto ich od r. 1432 wypędzać z Niemiec, chronili się tłumnie — do Polski. Król Kazimierz Jagiellończyk nadał im zaraz w pierwszym roku swego panowania, r. 1447, rozległe przywileje i nagromadziło się ich też za jego panowania więcej, niż we wszystkich innych krajach Europy (a nie za Kazimierza Wielkiego, jak się utarła mylna tradycya!) Św. Jan Kapistran występował z całą gwałtownością przeciw Żydom, we Włoszech, w Niemczech i w Polsce. W Krakowie zgromił w publicznem kazaniu samego króla za przywilej z r. 1447. Kardynał Oleśnicki także był ich nieprzyjacielem. Ale wypędzani z Niemiec żydzi tłoczyli się ciągle do Polski i już z końcem XV. wieku odzywały się głosy szyderskie, że Polska otwarła im wrota na oścież. Wkrótce nastały i w Polsce rozruchy przeciw nim; w Krakowie w r. 1460, w r. 1494 i 1495. Wtenczas to w r. 1495 wymusiło mieszczaństwo zakaz, żeby im nie było wolno przebywać w Krakowie; przenieśli się więc do sąsiedniego miasta, Kazimierza. Ale zaledwie w pięć lat potem, w r. 1500, wybuchnęły i na Kazimierzu rozruchy przeciw Żydom.

MONETA.

Rozwijał się handel w Polsce niesłychanie szybko, bo miał trzy ułatwienia, nieznane w innych krajach: jedną na cały kraj monetę, wolność dróg handlowych i wolność wywozu.

Dla kupca moneta jest ważnym względem handlowym; zależy mu bardziej, niż innym, na tem, żeby moneta była dobra i żeby nie musiał jej ciągle zmieniać, narażając się przy zamianie

na możliwe straty. W Niemczech, co kilka mil były inne pieniądze, bo było tam około sześciuset mennic! Polska wyprzedziła w tej sprawie wszystkie inne państwa stałego lądu Europy, bo już w statucie wiślickim Kazimierza Wielkiego postanowiono, że ma być w całym kraju jedna tylko moneta. Obok Polski mogła się jedna tylko Anglia poszczycić jednością monetarną. Gdy Prusy przyłączono do Polski, zaczęto też zaraz starania, żeby pruskie pieniądze bite były według polskiej miary i wagi, czyli jak się mówi, według polskiej stopy.

Systemy monetarne, tj. rodzaje pieniądza i określenie wzajemnej ich wartości, powstały wszędzie z wagi srebra, a mianowicie stosowano je do wartości funta srebra. Pół funta srebra nazywano grzywną. Funty były jednak nierównego ciężaru w różnych stronach Europy; wszak dopiero za naszych czasów zaczęto wprowadzać w całej Europie jednakie miary i wagi! Krakowska grzywna srebrna ważyła 199 gramów, i na dzisiejsze austryackie pieniądze wartała 35 koron 80 halerzy. Taką monetę można bić tylko ze złota, ale złote monety posiadało aż do końca XIII. wieku tylko cesarstwo bizantyńskie; zwano je dukatami od cesarzów z dynastyi Dukasów. W całej zresztą Europie bito tylko drobną monetę, t. z. denary, których liczono pierwotnie 240 na funt srebra. Pogarszano jednak coraz bardziej stopę menniczą, sami monarchowie psuli umyślnie monetę (w Polsce Mieszko Stary), tak, że niebawem denar nie był wart ani nawet pięćsetnej części funta srebra, a więc ani połowy swej nominalnej wartości. Posunięto się jeszcze dalej, wybijając na pieniądze t. z. brakteaty, blaszki lichego srebra tak cienkie, że tylko po jednej stronie można było stempel wybić. Dopiero w drugiej połowie XIII. wieku poczęto wybijać we francuskiej mennicy w Troyes monetę grubszą, licząc tylko 120 sztuk na funt srebra, czyli 60 na grzywnę; nazwano ją z łacińska groszem, bo po łacinie *grossus* znaczy gruby. Grosze były wybawieniem dla kupców, poczęto się wszędzie za niemi ubiegać i wkrótce musiano je wszędzie wybijać. Około r. 1300 zaprowadzono je w Czechach, a potem naśladowano je także w Polsce. U nas wybijano t. z. półgroszki, których liczono 96 na krakowską grzywnę srebra. Taki półgroszek wart był więc na dzisiejsze pieniądze 37 halerzy, a dzielił się na 3 kwartniki po 3 denary, tak, że denar krakowski miał wartość czterech halerzy. Tymczasem jednak zdo-

była się Wenecya na złote pieniądze (od r. 1284), a za jej przykładem poszła Florencya i inne miasta włoskie; około r. 1320 zaczęto wybijać złote monety na Węgrzech i te węgierskie złote „czerwone“ czyli czerwieńce stały się zasadniczą monetą do rachunku w całej środkowej Europie. Namnożyło się bowiem tyle fałszywych groszy (szczególniej puszczali je w obieg Żydzi), że już nawet prawdziwym nie ufano; wartość grosza opadała bardzo szybko, była zmienna, a więc nie nadawała się do handlowych rachunków. Czerwieńce zaś wybijane były starannie i miały wartość tak stałą, że zaczęto wartość grosza oznaczać według stosunku do dukata czyli czerwonego złotego. Tak np. za Kazimierza Wielkiego liczyło się na dukat 14 groszy polskich, a za Kazimierza Jagiellończyka, w r. 1470, już groszy 22, czyli, że wartość polskiego grosza zmalała z czternastej części dukata na dwudziestą i drugą część. Tak się działo z pieniądzmi w całej Europie, wszędzie traciła srebrna moneta coraz bardziej na wartości, grosz coraz mniej znaczył i dlatego też narzekano na drożyznę. Kupcy bowiem sprzedawali nie według nominalnej wartości grosza, tj. takiej, jakąby mieć powinien, lecz według wartości rzeczywistej, w stosunku do dukata; za grosz coraz cieńszy i z coraz gorszego srebra dawali oczywiście coraz mniej towarów. Niektórzy uczeni mniemali, że czem gorszy pieniądz, tem lepiej dla uboższych warstw społeczeństwa i sprzeciwiali się nawet poprawie pieniądza, twierdząc, że to tylko kapitalistyczny interes. Praktyka wykazała, że dobry pieniądz jest jednak wspólnym interesem wszystkich, a bogatszy i przy złym pieniądzu da sobie łatwiej radę od ubogiego. Bogaty odmawiał przyjęcia złego pieniądza i liczył go według tego, ile był wart do dukata; ubogi był rad, gdy go dostał choćby po cenie nominalnej. Brał go więc według wyższej wartości, a wydawał u kupca według niższej i dopiero tracił podwójnie! W r. 1447 nie chcieli kupcy polscy przyjmować brakteatów, których wartość oznaczono z urzędu 18 na szeroki grosz czeski, czyli prazki. Grożono im karami, ale jakaż kontrola mogła być przy drobnej sprzedaży? Jeżeli który przyjął brakteat, dał mniej towaru, niż za ośmnastą część grosza prazkiego i wyszedł na swoje. A bito te brakteaty już tylko w imię dobra ubogich, żeby więcej zarabiali, a taniej kupowali!

Inny jeszcze środek miał dopomódz ludności przeciw wyzyskowi kupieckiemu, a mianowicie taksy na towary, ułożone

Biblioteka Akademii Sztuk Pięknych Sztabu Generalnego

przez wojewodów w porozumieniu z władzami miejskiemi. Zaczęło się to w r. 1396 w Krakowie (przynajmniej starszej taksy nie znamy) od oznaczania z urzędu cen na towary miejscowe. W r. 1423 zaprowadzono taksy z urzędu w całej Polsce, a niebawem rozszerzono je także do towarów zagranicznych. Taksy przetrwały w Polsce aż do XVII. wieku; ale drożyzny oczywiście nigdy nie usunęły, bo cena towaru zależy nietylko od potrzeby zysku, ale od mnóstwa warunków, nieraz nawet nieznanych zgoła samemu kupcowi. Mylili się prawodawcy, że zwiększą ogólny dobrobyt, strzegąc cen towarów. Taksy i tak musiały się stosować do cen handlowych i trzeba je było coraz częściej zmieniać, aż w końcu spisywano je dwa razy do roku; były więc w końcu tylko urzędowem stwierdzeniem cen kupieckich. Jeżeli próbowały narzucić kupcom cenę ich zbyt niską, mieli kupcy na to prosty sposób: nie sprzedawać tego towaru.

WOLNOŚĆ HANDLOWA.

Bogacili się kupcy i bez wyzysku, bo nastały czasy złote dla nich dzięki kapitalizmowi wogóle, a w Polsce nadto dzięki niebywałej gdzieindziej wolności handlu. Wolno było wszystko wywozić z Polski; wywóz zboża, o które głównie chodziło, nie ulegał najmniejszym ograniczeniom. Wolność tę zaprowadzono w Anglii dopiero w r. 1463, w innych krajach znacznie później, a w niektórych nigdy. Polska miała zboża do zbytku, nie trzeba było obawiać się, że go zabraknie dla swoich: stała się spichrzem Europy i tak ją też rzeczywiście poczęto nazywać.

Było też w Polsce ceł o wiele mniej, niż w jakiemkowiek innem państwie, a to nietylko pomagało kupcom krajowym, ale też nęciło obcych. Za granicą obowiązywała ciągle jeszcze zasada, że wolno każdemu pozwolić lub zakazać obcemu przejścia przez swoje grunty; mógł więc każdy postawić rogatkę na swych gruntach, lub zastawić rzekę w swej posiadłości. Dróg publicznych, państwowych, przybywało, lecz zwolna; toteż za granicą ceł prywatnych było kilkakroć więcej, niż publicznych, t. z. królewskich. Polska wyprzedziła całą Europę przez to, że w r. 1447 ogłoszono zupełną wolność handlu na spławnych rzekach, znosząc od jednego razu wszystkie rzeczne cła prywatne, nie zaprowadzając zaś wcale publicznych. Zakazano też stawiać na rzekach jakiekolwiek prze-

WŁADYSŁAW KOSCIELNY

szkody żegludze, np. zastawy dla hodowli i połowu ryb; o ileby zaś bez zastaw obejść się nie można, nakazano robić w nich bramy i otwierać dla przepływających czółen, tratew, galarów. W ustawie r. 1447 wymienione są rzeki: Wisła, Dunajec, Wisłoka, Bug, Brda, Wieprz, Tyśmienica, San, Nida, Warta, Prosna, Narew, Dniepr i Styr, lecz dodano do tego spisu wyrazy „i inne jakiebądź". Ogłaszano więc „królewskiemi" wszystkie rzeki, wszystkie uznawano drogami publicznemi, otwartemi dla wszystkich. Wymienione imiennie były widocznie spławnemi już w roku 1447 i już wtedy posiadały ożywioną żeglugę, ale ustawa tyczyła się każdej rzeki, którakolwiek stałaby się splawną. Robiło się też w Polsce dla poprawy rzek więcej, niż w jakimkolwiek innym kraju; regulowano je i pogłębiano koryta, tak, że w krótkim stosunkowo czasie posiadała Polska najlepszą z całej Europy sieć dróg wodnych, tanich, bezpiecznych i wolnych od cła. Z dawniejszych zaś jeszcze czasów były publicznemi wolnemi drogami Noteć, wszystkie dopływy i wypływy Gopła i rzeka Odra; tak łączyły się krajowe drogi wodne z Odrą. Spławnemi stały się następnie pomniejsze dopływy Wisły i Warty: Narewka, Drwęca, Pilica, Ligota i w dnieprowem dorzeczu Ropa, Horyń, Słucz, tudzież litewski Niemen ze swym dopływem Wilią.

Równocześnie ze zniesieniem ceł rzecznych urządzono w r. 1447 surową rewizyę lądowych ceł prywatnych, przykazując, żeby każdy, kto je pobiera, wykazał się dokumentami, czy ma na to pozwolenie od którego z poprzednich monarchów. Ogłoszono tedy zasadę, że na pobieranie cła trzeba pozwolenia od króla. Na przyszłość nie dawał król w Polsce takich pozwoleń, a z przeszłości nie wielu mogło oprzeć się na dokumentach; toteż od roku 1447 niewiele takich ceł było w Polce.

Wielkie swobody handlowe ściągały do Polski zagranicznych kupców; wszystkie narody miały swoich przedstawicieli w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu i Lublinie, nie mówiąc już o Gdańsku. Żywioł niemiecki przestawał panować wyłącznie w miejskich murach; osiedlali się obok Niemców głównie Włosi i Szkoci. Poczynały się też miasta polszczyć, a zwłaszcza mniejsze, ulegające łatwiej naporowi okolicznej ludności polskiej. Na Mazowszu były zaś miasta czysto polskie. Główna niegdyś twierdza niemczyzny, Kraków, podległ już znacznie oddziaływaniu Kazimierza i Kleparza. Wszyscy mieszczanie znali już język polski, niezbędny im zresztą

do interesów. W Krakowie już od czasów Władysława Łokietka spisywano księgi radzieckie po łacinie, bo tak król kazał, a za tym przykładem wprowadzano łacinę także gdzieindziej przy różnych sposobnościach; cechy urzędowały jednak wszędzie jeszcze tylko po niemiecku. Kazania bywały w miejskich kościołach naprzemian polskie i niemieckie. W Krakowie były aż do początku XVI. wieku niemieckie kazania w głównej farze, tj. w kościele Maryackim, a we wszystkich innych polskie; potem zaś przeniesiono niemieckie kazania do sąsiedniego mniejszego kościoła św. Barbary.

Politycznego przeciwieństwa pomiędzy mieszczaństwem a ogółem polskiego społeczeństwa nie było już wcale. Mieszczaństwo, pogodzone już zupełnie z państwem polskiem, sprzyjało jego rozwojowi.

STOSUNKI MIEJSKIE.

Nie było żadnej powszechnej ustawy miejskiej. Każde miasto miało z osobna opisane w królewskich przywilejach swój ustrój, urządzenia, prawa i obowiązki. Urządzenie Kazimierza Wielkiego, żeby każde miasto z osobna zależnem było bezpośrednio od łaski królewskiej, pozostało już w Polsce do końca. Słusznie odjęto niegdyś miastom możność łączenia się w związki, skoro one zachowywały się wówczas wrogo wobec państwa. Z końcem XV. wieku nie było już o to obawy i możnaby było śmiało pozwolić na organizacyę ogólniejszą. Ale miasta same tego nie pragnęły. Mieszczaństwo stało pod względem wykształcenia politycznego znacznie niżej od szlachty i dlatego też nie zajęło odpowiedniego stanowiska w ustroju państwowym. Przez cały ten długi okres złotych czasów polskiego mieszczaństwa, trwający przez dwa stulecia, wieki XV. i XVI., nie słychać ani razu, żeby choćby dwa tylko miasta porozumiewały się z sobą w sprawie poprawy miejskiego prawa, nie słychać o najmniejszej próbie jakiegoś wspólnego działania. Najinteligentniejsi z pośród mieszczan widzieli cały świat w swem rodzinnem mieście, a inne miasta już ich nic nie obchodziły; widzieli tylko jedno miasto, nie widząc stanu miejskiego.

Król mógł według własnego uznania ścieśniać lub rozszerzać prawo miejskie, pozwalać w jednem mieście na to, czego zakazywał w drugiem. Wszystkie miasta miały samorząd, ale nie jednako.

Największym samorządem cieszył się Lwów, a najmniej miał go Kraków; inne miasta zajmowały pod tym względem rozmaite pośrednie stanowiska.

Obywatele miejscy dzielili się na dwie warstwy społeczne: patrycyuszów i pospólstwo. Potomkowie pierwotnych osadników miasta tworzyli wraz z rodzinami, które następnie poprzyjmowano (zazwyczaj przez ożenek) do swego grona i do pełnego prawa miejskiego, arystokracyę, możnowładztwo mieszczańskie i dlatego nazwali się z łacińska szumnie patrycyuszami. Oni tylko mogli być burmistrzami, wójtami, rajcami, oni rządzili w mieście. Z początku byli wśród nich wszędzie tak kupcy, jako też rzemieślnicy. Skoro jednak już za Kazimierza Wielkiego handel począł dawać znacznie większe dochody niż rzemiosła, odwracały się stare mieszczańskie rody od zajęć warstatowych, a gdy ojcowie doszli na rzemiośle do zamożności, synowie próbowali handlem do bogactw dochodzić. W mniejszych miastach, gdzie mniej było ruchu handlowego, bywali patrycyusze cechmistrzami, ale w większych poczęło brakować patrycyuszów z za warstatów. W niektórych miastach miewali rzemieślnicy większość w radzie miejskiej, w innych było ich coraz mniej, a w Krakowie dostały się rządy już w XIV. w. w ręce samych kupców. Kraków utracił był za Władysława Łokietka prawo wyboru rajców; mianował ich w tem mieście wojewoda lub starosta na zlecenie królewskie. Przykazał więc Kazimierz Wielki, żeby wojewoda mianował zawsze połowę rajców z rzemieślników, ale przepis ten stał się w XV. wieku niewykonalnym, bo już nie było patrycyuszów pomiędzy rzemieślnikami. Ludność miast wzrastała szybko, a rodzin patrycyuszowskich nie wiele przybyło, a wiele wymarło w ciągu pokoleń; z nowych bowiem przybyszów rzadko kto dostał się pomiędzy tych możnowładzców. Toteż z końcem XV. w. wszyscy rajcowie miejscy byli nietylko dobrymi znajomymi, lecz po większej części krewnymi; rządziło więc miastem szczupłe grono osób, związanych osobistymi interesami. Nieliczni patrycyusze zajmowali kolejno urzędy, a że wszyscy byli z jednej wielkiej familii, spowinowaceni przez żony, zmiana urzędników stała się więc formalnością bez znaczenia. Gdzie rajcy pochodzili z wyboru patrycyuszów, tam dobrzy znajomi sami siebie nawzajem wybierali, a gdzie z nominacyi, kręciły się nominacye również ciągle w tem samem ciasnem kółku. Taki

ustrój rządu, dopuszczający do władzy niewiele tylko osób, zowie się oligarchią. Miasta polskie doszedłszy do tej formy rządu, utknęły już na niej. Tak samo było zresztą za granicą, aż krwawe rewolucye zmieniły te stosunki.

Ogół mieszczaństwa zwał się „pospólstwem“. Nie było w tej nazwie nic obraźliwego. Wyrazy zmieniają w ciągu wieków znaczenie; (jest nawet o tem osobna nauka). Wyraz „pospólstwo“ znaczył wówczas tyle, co „wszyscy pospołem“, tyle, co dzisiaj „społeczność“. Szlachta Korony dzieliła się także na sześć „pospólstw“, czyli społeczności, a organizacyi tej dokonano już za bezkrólewia po śmierci Ludwika Węgierskiego. Że to było to samo, dowodem, że po łacinie jednako nazywały się te społeczności, czy szlacheckie, czy mieszczańskie: *communitas*. Szlacheckie pospólstwa dzieliły się na powiaty, miejskie zaś, zgromadzone na małym obszarze jednego miasta, na cechy, stosownie do zajęć. Każde rzemiosło miało swój cech, a w nim starszyznę, swoją kasę i swoje osobne prawa cechowe. Bez zezwolenia cechu nie wolno było wykonywać rzemiosła; co więcej, uchwały cechowe przepisywały, jak ono ma być wykonywane, stanowiły nawet, ile wolno trzymać czeladzi. Ustawy cechowe były tak obmyślane, żeby się jeden nie bogacił kosztem drugiego, żeby posiadający większy kapitał nie niszczył dobrobytu mniej zasobnych. Kapitalistyczna gospodarka nie dotarła do cechów.

Oligarchiczne rady miejskie zawiadywały majątkiem gminy bez jakiejkolwiek kontroli ze strony pospólstwa; działy się też wielkie nadużycia. Zdarzało się, że majątek miejski po prostu rozdrapywano! Przez złą administracyę dochodów miejskich musiały wzrastać podatki, których rozkład należał do rady, a miejscy oligarchowie zrzucali ich ciężar przedewszystkiem na pospólstwo. Przestarzałe prawo miejskie wymagało reformy. Powstaje też po miastach prąd, który według dzisiejszych wyrażeń nazwalibyśmy demokratycznym, a który był tem samem, co ruch szlachecki przeciw możnowładztwu. Pospólstwo poczęło dążyć do tego, żeby osięgnąć prawo kontroli nad czynnościami patrycyuszowskiej rady. Prąd ten był jednak słaby jeszcze w mieszczaństwie z końca XV. wieku, podczas gdy wśród szlachty był już potężny i blizki zwycięstwa.

Nie wszyscy mieszkańcy miast byli mieszczanami. Mieszkały po miastach jeszcze trzy inne stany: szlachta, robotnicy, żydzi.

Mieszczańskie zajęcia, handel, przemysł, rękodzieła, dostarczały mnóstwo zajęcia wyrobnikom wszelkiego rodzaju, a dobrobyt mieszczaństwa dawał utrzymanie coraz liczniejszej służbie. Setki i tysiące rąk znajdowało zarobek przy ładowaniu i przewożeniu towarów, przy utrzymywaniu porządków w domach i na ulicach, do najrozmaitszych posług, które się powierza takim ludziom, którzy nigdy niczego się nie uczyli, których całą zdolnością są mocne barki i silne dłonie, słowem: robotnikom. Ci byli niemal wyłącznie Polakami, synami wiejskich zagrodników, których wabiła do miasta już to większa łatwość zarobku, jużto większe urozmaicenie życia. Ich synowie bywali już częstokroć rzemieślnikami. W ciągu XV. wieku wzrastała nieustannie ilość tej warstwy, w miarę wzrostu dobrobytu miejskiego. Nie byli zapisani do ksiąg miejskich, nie mieli miejskiego prawa, ani żadnej organizacyi. Wśród innych warstw społecznych stanowili warstwę luźną, toteż słusznie poczynano ich zwać „ludźmi luźnymi“. Raz już przedtem w historyi polskiej było coś podobnego, a mianowicie w XIII. wieku tak zwani „łazęgowie“, którzy również do żadnego nie należeli stanu, także stojąc luzem wśród organizacyi społecznej. Wówczas jednak, skutkiem najazdów mongolskich, warstwa ta nie długo istniała i wsiąknęła w ziemię, oddawszy się zajęciom rolniczym. Teraz zaś ludzi luźnych przybywało coraz więcej, tak, że w XVI. wieku rząd uznał w nich osobny stan, o czem później rzecz będzie. W średnich wiekach miał każdy stan swe sądownictwo własne. Luźni, nie tworząc jeszcze „stanu“, nie mieli żadnego prawa. Podlegali władzy patrymonialnej swych pracodawców, w razie zaś przekroczenia karnego, zakłócającego porządek publiczny, dawało się im chłostę i wyganiało za bramy miejskie. Jeżeli któremu z nich działa się krzywda od pracodawcy, nie miał żadnego sposobu dochodzenia sprawiedliwości, bo nie będąc mieszczaninem, nie miał prawa wzywać opieki sądów miejskich. Człowiek luźny, jeżeli przybył do miasta już w dojrzałym wieku, nie mógł zostać rzemieślnikiem, choćby miał do tego zdatność i ochotę, bo był już za stary, żeby być przez kilka lat terminatorem, jak tego wymagały ustawy cechowe. Niejeden z nich, przyjęty na posługiwacza w warstacie, wyuczył się rzemiosła i był naprawdę czeladnikiem,

ale praw czeladnika pozyskać nie mógł. Majster chętnie się takimi posługiwał, bo taki czeladnik „nadzwyczajny“ był tańszy, a do tego zależny od niego w zupełności; trzymając takich pomocników niewpisanych do cechu, obchodził ustawę, ograniczającą ilość czeladzi. Cech pilnował się jednak i tępił to nadużycie, wymierzając dotkliwe kary i wydając zakazy. Wypędzony z warstatu człowiek luźny, próbował po kryjomu rzemiosła na własną rękę. Nie najmował się do służby na stałe, tylko za dziennym zarobkiem; udawał przed władzami wyrobnika, a w skrytości uprawiał rzemiosło, robiąc za tańszą cenę od cechowego rzemieślnika i obniżając przez to poziom zarobku. Takie wykonywanie rzemiosła poza związkiem cechowym nazywało się „partactwem“. Gdy cech partacza wytropił, postępowano z nim bez litości i wypędzano z miasta. Syn luźnego mógł bez trudności pójść na terminatora i zazwyczaj też tak bywało; ale nie każdy z nich został czeladnikiem, bo do tego trzeba było po pierwsze trochę pieniędzy na „wyzwoliny“, a powtóre jeżeli majster takiego chłopaka krzywdził i przetrzymywał, nie miał się kto za nim ująć. Mnóstwo „luźnych“, znających już rzemiosło, nie ostało się jednak w miastach i powróciło potem na wieś w następnych czasach.

Szukała też po miastach zarobku szlachta. Komu dział ojcowski był za mały, próbował zwiększyć swe dochody handlem i osiadał w mieście. Tak np. w Kazimierzu pod Krakowem dużo szlachty oddawało się kupiectwu. Było to także partactwo, ale ponieważ kupcy nie byli jeszcze zorganizowani korporacyjnie, a ze szlachcicem sprawa inna była, niż z „luźnym“, uchodziło to. Mieszczaństwo wzdychało do ustawy, którąby zakazała szlachcie trudnić się łokciem, kwartą i wagą, ale do wydania takiej ustawy było jeszcze bardzo daleko. Handlujący szlachcice krewnili się i bratali z patrycyuszami mniejszych miast i piastowali nieraz urzędy miejskie, zwłaszcza pisarstwa. Dla wielkich kupców nie była ta szlachecka konkurencya niebezpieczną, bo handlu imał się tylko szlachcic uboższy, bez kapitału; byli to kramarze raczej, niż kupcy. Często zajmowała się szlachta po miastach karczmarstwem.

Ponieważ każdy stan miał swe własne prawo i osobne sądownictwo, zachodziły wątpliwości, jak sądzić szlachcica, który dopuścił się w mieście przestępstwa? Nie wydano na to wyraźnej ustawy, ale utarła się praktyka, że w sprawach o umowy i nale-

żytości prywatne musiał się powód zwracać do tego sądu, jakiemu podlegał pozwany, w sprawach zaś o cielesne obrazy rozstrzygał sąd pokrzywdzonego, tego, kto doznał obrazy. Było to na pozór słusznem, ale wiodło do nieporządków w mieście. Szlachcic miał w bójkach miejskich tę przewagę, że choćby ją sam był wszczął, nie odpowiadał przed sądami miejskiemi, bo jeżeli tylko ktoś go poturbował, mógł on sam przewlec sprawę przed prawo ziemskie. Lwów miał ten przywilej, że wszystkie przestępstwa, popełnione w obrębie miasta, miejskiemu prawu podlegały, a w innych miastach bywały nieraz ciężkie kłopoty z powodu wątpliwości, przed jakim sądem dochodzić prawa. Brak ustawy kusił do samowoli, a gdy się zdarzyło, że jaki wielki pan, z możnowładczego rodu, zawinił, proces o zbrodnię bywał dla miasta nieraz niebezpieczniejszym od samej zbrodni. Sądy miejskie miały prawo miecza na równi z sądami grodzkiemi, miały więc prawo skazać na śmierć szlachcica za gwałt publiczny, w mieście dokonany; dopiero w roku 1520 wyszła ustawa, wymagająca do ważności takiego wyroku dwóch procesów i dwóch wyroków: miejskiego i grodzkiego. W razie niezgodności wyroku rozstrzygał król. Z powodu niedokładności niewyrobionego jeszcze w tym względzie ustawodawstwa dostawały się przed samego króla w znacznej ilości sprawy szlachty z mieszczaństwem.

MIESZCZAŃSCY WŁAŚCICIELE DÓBR.

Odgrodzone przedtem od siebie dwa stany: szlachecki i mieszczański zaczynały się z sobą mięszać w połowie XV. wieku, co zdawało się wróżyć jak najlepiej o przyszłości społeczeństwa polskiego, ale na razie wywołało wiele nieporozumień prawnych, a skutkiem tego wiele hałasów, wzajemnych oskarżań i niechęci. Ci, którzy z jednego stanu przenosili się do drugiego, chcieli zbierać korzyści obydwóch, ale ponosić ciężary tylko jednego i to tak, jak im było dogodniej. Szlachta, zarobkująca w mieście, musiała się poddać miejskim podatkom, bo inaczej mieszczanie znaleźliby dosyć sposobów, żeby im zepsuć interes; chcąc żyć i zarabiać, trzeba było pozostawać w zgodzie z ludnością. Trudniej było szlachcie zmusić do ponoszenia ciężarów prawa ziemskiego mieszczanina, który kupił wieś, a nie dawał żołnierza na wojnę. Toteż prawie wszyscy mieszczanie, posiadający wiejskie gospodar-

stwa, dopuszczali się tego nadużycia z wielką krzywdą rzeczy publicznej. Gdyby owo wzajemne przekraczanie stanowych szranków potrwało dłużej, gdyby się było rozwinęło na większe rozmiary, byłaby w końcu musiała wyjść ustawa jakaś ogólna, nie bacząca na stan według urodzenia; od pierwszej takiej ustawy zacząłby się nowy okres w rozwoju społeczeństwa i państwa. Niestety, nowe te objawy społecznego życia nie zdołały się rozwinąć należycie!

Za panowania Kazimierza Jagiellończyka dużo mieszczan prowadziło gospodarstwa rolnicze. Niegdyś trudnili się mieszczanie rolnictwem tylko na gruntach miejskich, na swe własne potrzeby; gdy się handel począł wzmagać, zajmowali się tem coraz mniej, bacząc pilniej rękodzieł; ale gdy się wzmógł handel zbożowy, oni właśnie najbardziej pragnęliby rozszerzyć swe gospodarstwa i mieli też do tego środki pieniężne. Szlachcic, chcący u siebie zaprowadzić gospodarstwo folwarczne, potrzebował do tego kapitału i pożyczał u mieszczanina; niejeden zadłużywszy się musiał następnie odstąpić swej wsi wierzycielowi. Mieszczanie skupywali chętnie dobra ziemskie, a mając po swej stronie przewagę kapitału, posiadali coraz więcej ziemi. Ku schyłkowi XV. wieku znajdywały się w ich ręku już całe okolice podmiejskie; koło każdego miasta powykupywali dobra z rąk szlacheckich. W najbliższej okolicy Krakowa nie było już ani jednej wsi w posiadaniu szlachcica, a podobne stosunki panowały także w sąsiedztwie miast mniejszych, nawet całkiem małych. Obywatele takiej mieściny, jak Proszowice, byli właścicielami dóbr ziemskich, i to nie małych, a cóż dopiero krakowscy bankierowie! Wszak ówczesne bogate mieszczki chadzały w czepcach po kilkadziesiąt dukatów, a ich wesela, chrzciny i t. p. pochłaniały takie sumy, że można było za to śmiało kupić wioskę! Nie było dosyć drogiego wina zagranicznego na stoły miejskich możnych. Książęta ślązcy, Piastowicze, naprawiali sobie fortunę posagami bogatych Krakowianek, a szlacheccy możnowładcy czasem piorunowali na zbytek i pychę patrycyuszów, a czasem ubiegali się też o posagi ich córek. Bankierowie i wielcy przedsiębiorcy głównych miast, a zwłaszcza Krakowa, mieli w jednej połowie szlacheckich wielmożów swych poufałych i powinowatych, a w drugiej połowie wrogów zaciętych, bo zazdrosnych. Drobna szlachta jednak nie miała z bogactw u mieszczan nagromadzonych żadnych korzyści, przyłączała się więc tylko do zazdrości, myśląc — i słu-

sznie — o tem, jakby tych bogaczów pociągnąć do większych ciężarów na rzecz państwa.

Miejska oligarchia niebezpieczną była dla ziemiańskiego możnowładztwa tem, że zrównawszy się już z niem, a nawet po części prześcignąwszy je majątkowo, sadowiąc się na coraz większych obszarach dóbr ziemskich, mogłaby poczuć w sobie ambicyę polityczną i sięgnąć po dostojeństwa, po stanowiska wpływowe. Na królewskim dworze patrzano krzywo na stare możnowładztwo szlacheckie; król popierał przeciw nim demokratyczny ruch szlachecki; ale bankierzy zyskiwali coraz więcej wpływu na dworze, bo skarb królewski osłabiony był już od czasu węgierskiego panowania Władysława Warneńczyka, a wojna pruska i następna z Maciejem Korwinem wycieńczyły go do reszty. Skarb publiczny bywał odtąd przez długie lata coraz częściej pusty, a zatem coraz bardziej rozglądano się za bankierem, któryby wziął w zastaw królewszczyznę lub dał z góry znaczną zaliczkę na dzierżawę żup lub ceł królewskich. Blizkie tronowi mieszczaństwo krakowskie stało się też potężnym czynnikiem na królewskim dworze, a od tego mógł być tylko krok do jawnego, urzędowego wpływu w państwie.

Nie wszyscy mieszczanie byli bogaczami, ale dobrobyt był w miastach powszechny i można śmiało powiedzieć, że od drugiej połowy XV. wieku aż do końca XVI. wieku nie było wśród miejskich obywateli takich, którzyby nie mieli więcej, niż potrzebowali do przyzwoitego trybu życia. Inaczej między szlachtą! Kto nie mógł założyć folwarku i utrzymać się przy nim, kto poprzestawać musiał na czynszach kmiecych, ten miał coraz mniej dochodu, bo wartość grosza upadała szybko. W roku 1470 liczono 22 groszy polskich na dukat, a w roku 1496 już 30 groszy! Taka szlachta ubożała więc coraz bardziej.

SZLACHTA I KMIECIE.

Najuboższa szlachta była na Mazowszu. Prowincya ta, pozostająca ciągle pod rządami osobnych książąt, lenników korony polskiej, ze starożytnej jeszcze piastowskiej dynastyi, inne miała stosunki ekonomiczne. Wielka własność ziemska rzadko powstawała w średnich wiekach przez skupywanie dóbr, prawie zawsze przez nadania monarsze. Czem większe państwo, tem łatwiej o wielkie nadania; król polski darowywał często po kilka mil kwadratowych

(zwłaszcza na Rusi), książę mazowiecki nie miał z czego być tak hojnym, a tem bardziej, gdy mazowiecka dzielnica rozdrobniła się przez spadkowe działy na kilka nieznacznych księstw. Darowizna kilku łanów była już wielkim darem od takiego księcia. Toteż na Mazowszu ledwie kilku tylko było bogaczy, prawdziwych panów, mogących choć z daleka równać się z możnowładcami w Koronie; za pana uchodził tam taki, kto miał z czego wygodnie żyć, lecz i tych nie było wielu, a za to mnóstwo szlachty-chudopachołków. Zmniejszające się przez działy spadkowe majątki coraz rzadziej ożywiały się łaską książęcą, aż gdy w końcu książęta sami niewiele posiadali i dłoń ich zamknęła się, młodszemu pokoleniu znikąd nic już nie przybywało, a tylko ubywało. Doszło do tego, że byli już na Mazowszu tacy szlachcice, którzy posiadali ledwie ósmą część łana (niespełna cztery morgi). Stąd przysłowie o mazowieckiej szlachcie, że „gdy pies usiądzie na jednem dziedzictwie, ogon musi już położyć na drugiem“. Mazowszanie nie mieli gruntów do wydzierżawiania, toteż całemi milami nie spotykało się tu wcale kmieci. Około roku 1500 było już Mazowsze przeludnione; przy ówczesnym stanie rolnictwa — zwłaszcza gdy trzecią część gruntu zostawiało się ugorem — nie można już było dalej gruntów dzielić, jak do ósmej części łanu. Siedzieli więc już z końcem XV. wieku tu i ówdzie bracia w jednym dworku, ledwie mając czem głód zaspokoić, zazdroszcząc kmieciowi w pańskich dobrach. Niejeden też, nie mając już czem doma się dzielić, przystał na kmiecia. Znowu dowód, że stan kmiecy pogardzanym wówczas nie był. Kto dziś dojdzie, w ilu „chłopskich“ rodzinach płynie krew mazowieckiej szlachty już od czterechset lat! Mazowiecka szlachta jęła się emigracyi do innych prowincyj i niema takiej krainy polskiej, gdzieby nie było „mazurskiego“ osadnictwa, które od szlachty się zaczęło, a wcale nie od włościan.

Na Mazowszu było więc bardzo mało kmieci, prawie wszystka ziemia pozostała bezpośrednio w ręku szlachty. Ale to był wyjątek, a w całej zresztą Polsce było łanów kmiecych znacznie jeszcze więcej, niż „dworskich“, to jest szlacheckich folwarcznych. Tak n. p. w województwie brzesko-kujawskiem było w roku 1489 łanów dworskich tylko 600, a kmiecych 2665. Bo też kmiecie trudnili się rolnictwem przynajmniej od dwustu pięćdziesięciu lat, a niejeden kmiecy ród znacznie nawet dłużej, podczas gdy zna-

czna część szlachty zabrała się do pługa co najwięcej dopiero od wieka, niektórzy teraz dopiero na rolników się przemieniali, a znaczna część poprzestawała jeszcze na czynszach dzierżawnych. Mnożyła się ciągle ilość folwarków, ale trzeba było jeszcze kilku pokoleń, zanimby ilość łanów dworskich dorównała kmiecym, a cóż dopiero, żeby je prześcignęła! Nie każdy miał kapitał na założenie folwarku i rad był, gdy mógł na razie zamienić trochę nieużytków jakkolwiek na glebę orną. W prowincyach południowych, dalej od morza Bałtyckiego i Gdańska, mnożyły się ciągle wole i wólki, lgoty i lgotki, nęcące nowych osadników jak najdogodniejszymi warunkami, bo powstała konkurencya między właścicielami ziemi o kmieci.

Stosunek kmiecia do szlachcica pozostał nadal stosunkiem czystej dzierżawy, z zupełną osobistą wolnością. Nie wolno było dziedzicowi uszczuplić samowolnie gruntu kmiecego; mamy bowiem z tych czasów dowody procesów, wytaczanych szlachcicom przez kmieci o naruszenie granic. Obszar dzierżawy, wziętej niegdyś przez kmiecego przodka, przechodził nieuszczuplony z pokolenia w pokolenie. Wobec sądów był kmieć stroną tak samo, jak szlachcic. Mamy z XV-go wieku ślady kmiecych pozwów przeciw szlachcie o zranienie. W roku 1464 udali się na drogę sądową kmiecie wsi Krosna w ziemi sanockiej przeciw Herburtowi Błozowskiemu o rozmaite szkody i prześladowania. Sprawa doszła przez apelacyę przed samego króla; kmiecie nietylko otrzymali sprawiedliwość, ale Herburt musiał złożyć 3.000 dukatów na rękojmię, że kmieci już krzywdzić nie będzie. Mógł więc kmieć używać opieki sądowej zupełnie tak samo, jak szlachcic, który nie miał do jego osoby żadnych praw poza tem, co wypływało z umowy dzierżawnej. Cały majątek kmiecia przechodził na jego dzieci. Mamy z tych czasów wiadomość o procesie dwóch kmieci, rodzonych braci, o parę koni ze spadku po ojcu. Na Rusi Czerwonej brał dawniej właściciel ziemi po kmieciu t. zw. umorki, ale prawo polskie usunęło to zupełnie, a sejmik ziemi chełmskiej, odbyty roku 1477 w Krasnymstawie, zakazał tego surowo. Rozporządzał też kmieć zupełnie dowolnie swem zbożem, inwentarzem i gotówką. Zboże sprzedawał albo szlachcicowi, albo kupcowi z miasta. Mógł zebrać majątek, albo też popadać w długi; szlachcica to nic nie obchodziło. Mamy we współczesnych aktach dowody, że kmiecie zadłużali się u mie-

szczan i to często ponad możność swego majątku. Z końcem XV. wieku słychać było utyskiwania, że kmiecie ubierają się kosztownie (nie było jeszcze owych ubiorów, ludowymi zwanych) i wystawnie żyją. Był więc dobrobyt w tej warstwie, a kto chciał dużo wydawać, miał z czego. Mógł też kmieć polski aż do roku 1496 nabywać ziemię na własność. Zamożny kmieć trzymał sobie zagrodnika zupełnie tak samo, jak szlachcic. Z końca XV. wieku mamy ciekawy przykład, jak jeden kmieć wydzierżawia drugiemu część swego gruntu. We wsi Tyrawie, w ziemi sanockiej, wydzierżawił kmieć Lew (Leon po rusku) kmieciowi z innej wsi, Semkowi, zwanemu Kocian, z Olchowic, trzecią część swych gruntów na cztery lata (najstarszy-to w polskich aktach przykład dzierżawy rolnej na czas ograniczony). Tytułem dzierżawy zobowiązywał się Kocian do czterech dni robocizny dla Lwa, a gdyby chciał dzierżawić jeszcze nadal po czterech latach, miał potem płacić po pół grzywny rocznie. Mamy tu przykład robocizny pomiędzy samymi kmieciami, przyjętej zamiast czynszu; robota zamiast gotówki. Robocizna ta nie była wcale oznaką poddaństwa, była tylko sposobem uiszczenia się z należytości dzierżawnej i widocznie kmiecie nie upatrywali w niej nic zdrożnego, skoro sami między sobą ją wprowadzali. Była to dzierżawa na odrobek i nic więcej.

Ci właściciele ziemscy, którzy mieli folwarki, nie dawali już kmieciom gruntu bez obowiązku robocizny oprócz czynszów. W różnych okolicach różne bywały warunki dzierżaw kmiecych, toteż kmiecie próbowali nieraz zmiany na lepsze, lżejsze warunki, a zwłaszcza młodsi synowie kmiecy, zamiast zostawać doma na dzielonym łanie, woleli szukać w świecie jakiej nowej „woli“, lub przynajmniej tańszej dzierżawy. Czem bliżej Gdańska, tem droższa była ziemia i trudniejsze warunki dzierżawy; ziemie wschodnie, niezagospodarowane jeszcze należycie, nęciły taniością ziemi, a zatem także mniejszemi wymaganiami. Młodzież kmieca rzucała się też na wschód, a często emigrowały całe rodziny na Ruś litewską; opuszczony grunt nie zawsze można było przyłączyć do folwarku i trzeba było szukać nowego osadnika. Ustawiczna zmiana rolniczej ludności musiała się dawać we znaki i wywierać zły wpływ na gospodarstwo. Własny interes właścicieli wymagał, żeby się porozumieli i wszyscy pod jednakimi warunkami wypuszczali grunta. Pierwszy przykład dali ziemianie ziemi chełmskiej, uchwalając w r.

1477 na sejmiku w Krasnymstawie, żeby z łanu (30 morgów) wymagać 24 groszy czynszu i jeden dzień robocizny. Sądzono, że przez jednostajność ciężarów zapobiegnie się wędrówkom corocznym włościan, a zwłaszcza zbieganiu ich z gruntów nawet bez spełnienia warunków dzierżawnych. Nadzieja okazała się płonną, bo wkrótce rozpoczęło się wielkie osadnictwo w prowincyach litewskich i lud tłumnie począł emigrować. Bliższa tamtych stron ziemia chełmska poczęła to już odczuwać. Ten sam sejmik uchwalił, że niewolno nikomu zatrzymać u siebie zbiegłego kmiecia pod karą trzech grzywien. Być może, że wszyscy obywatele ziemi chełmskiej trzymali się tego solidarnie — ale cóż z tego, skoro inne ziemie pilnowały także swego interesu, a ten polegał na tem, żeby przyjmować do pracy na roli każdego, kto tylko się zgłosi!

W zachodnich ziemiach, gdzie mniej było nieużytków, a zwłaszcza w Wielkopolsce, gdzie ich było najmniej, nie wydzielano już nowych łanów kmiecych. Szlachta starała się tam o zagrodników, a więc o służbę, o czeladź dworską, a nie o nowych kmieci. Synowie kmiecy musieli się tedy coraz częściej dzielić ojcowskim łanem. Bywały już gospodarstwa kmiece ćwierćłanowe, t. j. po półosmej morgi, podczas gdy folwarki obejmowały już zazwyczaj po cztery łany, t. j. 120 morgów. A jednak razem wziętych było łanów kmiecych więcej, niż dworskich; dowód, jak rzadko jeszcze i jak daleko od siebie były folwarki w porównaniu z późniejszemi czasami.

Czynsz płaciło się nie od gospodarstwa, lecz od łanu; kto więc miał pół łanu, płacił tylko połowę dawnego czynszu. Obojętnem było, czy synowie podzielili się ojcowskim łanem, czy też gospodarują wspólnie; czy każdy z nich stawia nowe „dworzyszcze“, czy też mieszkają razem. Urządzano się też rozmaicie. N. p. w Karaczynowie, w powiecie lwowskim, mieszkało wspólnie w jednem dworzyszczu aż 17 kmieci! a nie tak daleko stamtąd, w Łysiatyczach stryjskiego powiatu, było aż 32 dworzyszcz, na których gospodarowało 157 ludzi.

Narzekano powszechnie na brak rąk do pracy, ale najbardziej brakowało robotnika w dwóch ziemiach wyniszczonych najbardziej wojnami i potrzebujących szybkiego zagospodarowania się na nowo: w oderwanym od związku państwowego z Polską Ślązku i w przywróconych niedawno do tegoż związku Prusiech, tak w królewskiej

części, jakoteż w hołdowniczej krzyżackiej. W Prusiech, położonych nad morzem, rozkwitało najbardziej gospodarstwo rolnicze i zakładano najwięcej folwarków; dużo polskiego ludu garnęło się tam i nawet we wschodnich Prusiech powstało kilkadziesiąt nowych wsi polskich. Nie wystarczało to jednak i podczas żniw sprowadzano do Prus, podobnie jak na Ślązk, robotnika z Polski. Szli całemi gromadami i po kilku tygodniach wracali z zarobkiem; byli też przedsiębiorcy, trudniący się zawodowo zbieraniem tych gromad żniwiarskich. Sejm roku 1496 zabronił wychodzić na żniwa poza granice królestwa, t. j. na Ślązk i do Prus krzyżackich, pragnąc, żeby ta ludność robotnicza szukała zarobku w kraju. W kraju trzeba było jednak przystać na zagrodnika, zobowiązać się na cały rok i poświęcić się już zupełnie tylko rolniczemu zarobkowi; jeszcze bowiem nie wynajmowano w Polsce robotnika wiejskiego na tygodnie. Nie każdy zaś miał ochotę osiąść na wsi i wejść w stały stosunek służbowy na folwarku. Coraz liczniejsze rzesze robotnicze znajdywały zarobek po miastach, a do wiejskiej roboty wynajmowały się tylko o tyle, o ile znajdywały przytem zarobek większy, a więc tylko podczas zbiorów, w porze, kiedy w miastach właśnie zmniejszają się zarobki. Robotników tych, ludzi „luźnych“, odróżnić trzeba od zagrodników, a tem bardziej od kmieci, z którymi nie mieli żadnego zgoła związku, tworząc zupełnie inną i to niższą warstwę społeczną. Kmieć opuszczał gospodarstwo, jeżeli znalazł gdzieindziej lepsze warunki dzierżawy, ale za zarobkiem dziennym nie wędrował!

CHWIEJNOŚĆ PODATKU ŁANOWEGO.

Niechęć do wydzielania nowych łanów kmiecych powstawała także stąd, że szlachcic jednako płacił podatek z łanu, czy sam na nim gospodarował, czy też wypuszczał w dzierżawę. W roku 1468 postanowiono, że podatek łanowy płacić należy także z gruntów kmiecych. Była w tej mierze ustawa podatkowa polska niepraktyczna. Kmiecie nie byli całkiem opodatkowani przez państwo z tego samego powodu, dla którego nie wymagano od nich służby wojskowej; nie posiadali politycznych praw obywatelskich, a więc nie ponosili też żadnych ciężarów. Podatek za ich łany płacił szlachcic, pobierający z nich czynsze i robociznę. Podatek ten był niestały, bo zależał od uchwały sejmowej. Dwa grosze z łanu należały się

zawsze i te rozumiały się same przez się każdego roku, ale też do wyjątków należał rok taki, w którymby nie było większego podatku. Sejmiki lub sejm mogły niespodzianie uchwalić z łanu groszy sześć, dwanaście, dwadzieścia. Gdyby kmieć miał to płacić sam ze swych łanów, nigdyby wiedzieć nie mógł, jakie będą w pewnym roku jego ciężary dzierżawne, stosunki gospodarcze byłyby niepewne, chwiejne. Właściciel dążył oczywiście do tego, żeby mieć czynsz jak największy, a oznaczając go, pamiętał już o podatku, który będzie musiał płacić za kmiece łany, ale nie mógł wymagać zbyt wiele wobec wzmagającego się prądu emigracyjnego na wschód i musiał poprzestać na średniej mierze czynszowej, obliczając sobie pewien średni dochód z kmiecego łanu. Ile razy podatek podskoczył ponad tę średnią przewidywaną wysokość, tyle razy miał szlachcic stratę. Kmieciom czynszu podwyższać nie mógł, boby mu pozbiegali i nie miał też do tego najmniejszego prawa, a więc musiał dopłacać ze swego, poprzestając na zmniejszonych w takim roku dochodach. Wydzierżawianie łanów kmieciom poczęło być bardzo niepewnym interesem. Łan folwarczny dawał dochód większy, a podatek był z niego taki sam; dlatego zamożniejsza szlachta coraz rzadziej i coraz trudniej przystawała na nowe kmiece dzierżawy. Chwiejność podatków dawała się szlachcicowi i tak we znaki, ale on był obywatelem państwa i gdy płacił większe podatki, wiedział, na co je płaci i sam je uchwalił na sejmiku; płacił więc zawsze tyle, ile chciał, a opodatkowywał sam siebie przez poczucie obywatelskiego obowiązku, który na nim ciążył, a nie ciążył na kmieciu. Byłoby o wiele lepiej, gdyby na kmieci nałożono osobny podatek, zastosowany do ich środków i stosunków; możeby w takim razie nie było niechęci do pomnażania kmiecych dzierżaw, bo nie byłoby straty na kmiecych łanach. Ale opodatkowanie kmieci na rzecz państwa sprzeciwiało się ówczesnym pojęciom o sprawiedliwości społecznej. Mniemano, że byłoby to niesprawiedliwością wymagać czegoś od tych, którzy nie posiadają własności.

ZUPEŁNY SKUP SOŁTYSTW.

Kierowano się więc względem kmiecia poczuciem sprawiedliwości społecznej, a jednak, bez najmniejszej intencyi krzywdy, zyskiwała szlachta nad nim coraz większą przewagę osobistą przez to, że skup sołtystw odbywał się na coraz większą skalę. W roku

1420 stanęła ustawa, że sołtys musi odsprzedać swoje sołtystwo, gdy właściciel wsi tego zażąda. Około roku 1500 prawie już wszędzie sołtysem był sam dziedzic, a przez to stawał się sędzią i urzędowym zwierzchnikiem kmieci. Nie przeszkadzało to, jak widzieliśmy, sprawiedliwości, którą można było otrzymać nawet przeciw dziedzicowi, ale takie połączenie władzy administracyjnej i sądowej w jednem ręku z przewagą ekonomiczną, ta zależność prawna od tego samego, od którego się było zależnym materyalnie, mieściły w sobie niebezpieczeństwo społeczne właśnie przez to, że jednemu człowiekowi pozwalały skupić za wiele władzy. Szlachcic poczynał we wsi naprawdę panować, chociaż żadna ustawa nie robiła go panem nad kmieciami.

Skup sołtystw jest najważniejszem wydarzeniem z historyi społecznej Polski, bo skutki tego tak były doniosłe, że zmieniły zupełnie ustrój życia wiejskiego, a wpłynęły pośrednio na cały ustrój społeczny, a przez to potem na ustrój państwa. Wracaliśmy się, cofaliśmy się ku dawniejszemu ustrojowi. Wsie polskie miały samorząd i to większy od miejskiego, bo nigdy niczem nie uszczuplany; naczelnikiem tego samorządu bywał sołtys, a teraz sołtysem bywał szlachcic. Nie zmieniała się przez to wcale ustawa wiejska, i wogóle nie zmieniono nigdy a nigdy niczego w wiejskim samorządzie, ale skoro tylko rządy wsi sprawował sam właściciel, było to przecież w praktyce czemś zgoła innem, było zwrotem ku stosunkom patrymonialnym, zarzuconym za Kazimierza Wielkiego. Bez skupu sołtystw zwrot ten byłby niemożliwy.

ŻYDZI NA WSI.

Do sołtysostwa należał z dawien dawna monopol młyna i karczmy, to jest, że wolno je było mieć we wsi tylko sołtysowi lub jego spadkobiercom. Przechodziły więc w ręce szlachty wszystkie młyny i wszystkie karczmy; przechodziły całkiem słusznie i po prawdzie, bo sprawiedliwie kupione. Krok ten nie był niczyją krzywdą, a jednak dużo potem krzywd z niego powstało. Był grubym błędem społecznym. Szlachcic nie sprawował sam ani młyna, ani karczmy, bo ani się na tem znał, ani na to nie miał czasu: potrzebował więc do tego dzierżawcy, a przynajmniej zarządcy. Młyny pobrali w dzierżawę kmiecie, ci sami, którzy je brali od sołtysów, i powstał w Polsce liczny nader stan wiejskich młyna-

rzów, któregoto stanu resztki dziś jeszcze widzimy. Powstał też drugi stan i to jeszcze liczniejszy: karczmarze, ale ten stan niedługo począł się zmniejszać. Przyszli inni ludzie, dający lepsze warunki dzierżawy, poprzestający sami na bardzo małem, a przystający na wszystko, czego od nich zażądano: przyszli żydzi i zajęli się ze szczególnem upodobaniem karczmarstwem, a potem — gdy już karczem dla nich nie starczyło — rzucili się także na młyny. Wprowadzenie żyda do wsi nie wyniknęło z żadnych złych zamiarów, a jednak stało się najcięższą klęską dla społeczeństwa polskiego.

Zaczęło się to za panowania Kazimierza Jagiellończyka, a w sto lat potem do wyjątków tylko należała wieś bez żyda. Stanowisko ich na wsi było od początku zaraz nadzwyczaj silne, bo byli pośrednikami w sprowadzaniu kapitału, którego potrzebował nietylko szlachcic, ale także kmieć, chociaż w mniejszej mierze. Pozostając w ścisłych stosunkach z żydami w mieście, trudnili się nawet najubożsi żydzi po wsiach pożyczkami i dlatego nawet byli pożądani, bo kredyt stawał się coraz potrzebniejszym. Kmieć nie potrzebował szukać kredytu u mieszczan, jeździć do miasta i prosić się; miał we wsi swojego żyda, który mu się wpraszał, bo lichwa była jego zawodowem zajęciem, jemu dozwolonem. Nie mogło wówczas jeszcze być mowy o tem, żeby żyd zaciężył nad dobrobytem kmiecym; był nietylko szlachcica, ale też kmiecia najpokorniejszym sługą, szczęśliwym, że ma gdzie głowę schronić przed prześladowaniem po miastach. I to godne uwagi, że mieszczanie rzucali się często na żydów już w XV. wieku, ale lud wiejski żadnych rozruchów żydowskich nie urządzał. Ludność wiejska, czy szlachcic, czy kmieć, zadowoloną była z żydów i upatrywała w pobycie ich na wsi tylko wygodę.

Nikt nie przypuszczał, że wieś polska stanęła na przełomie swego dziejowego rozwoju!

Przełomowymi były te czasy pod każdym względem. Nad czemkolwiek się zastanowić, wszędzie widzimy coś nowego, co nieznaczne z początku, miało jednak następnie zmienić zupełnie Polskę. Życie wkraczało na nowe tory.

SEJM WALNY.

Podczas wojny trzynastoletniej trzeba było raz w raz uchwalać większe podatki. Najmniejszy podatek od ziemi w ciągu owych trzynastu lat wynosił sześć groszy od łanu, a więc trzykrotnie ponad zwykłą należytość; zwoływał też król ciągle sejmiki. Okazała się wkrótce niepraktyczność, żeby każda ziemia uchwalała podatek zosobna, bo zapadały przez to czasem niezgodne uchwały. Poczęto tedy łączyć w jedno sejmiki sąsiednich ziem i tak powstały dwa sejmy prowincyonalne, wielkopolski i małopolski. W roku 1457 zdarzyło się jednak, że Wielkopolska uchwaliła pospolite ruszenie, a Małopolska podatek po 12 groszy z łanu. W r. 1464 chciał zaś król pospolitego ruszenia z Wielkopolski, ale Wielkopolanie oświadczyli, że skoro Małopolanie nie ruszają w pole, a tylko dają podatek na zaciężnych, i oni też wolą płacić po 12 groszy. Taka różność uchwał była kłopotliwą; chcąc dojść do jednakiej powszechnej uchwały, trzeba było sejm prowincyonalny jednej lub drugiej prowincyi, a czasem sejmik jakiej ziemi zwoływać powtórnie i starać się o zmianę poprzedniej uchwały. Próbowano poradzić na to w ten sposób, żeby zebrać odrazu na jednem miejscu obydwa sejmy prowincyonalne, a przynajmniej ich delegacye. Pierwszy taki ogólny zjazd sejmowy odbył się w r. 1459 w Piotrkowie. W r. 1468 obmyślono po raz pierwszy prawidło, jak takie zjazdy zbierać. Małopolski sejm prowincyonalny zażądał wtenczas sam zwołania sejmu obydwóch prowincyj do Piotrkowa. Postanowiono, żeby szlachta wybrała z każdego powiatu po dwóch posłów sejmowych. Wtenczas też pojawia się nazwa na taki zjazd posłów: sejm walny.

Sejm walny miał zwolenników i przeciwników. Jedni upatrywali w nim rękojmię, że ziemia czy województwo podda się przez to łatwiej interesowi całego państwa, że wyrobi się na sejmach walnych zmysł polityczny państwowy. Inni jednak upatrywali w sejmach walnych niebezpieczeństwo dla swobód obywatelskich; bali się, że posłowie, oddaleni od współobywateli, a zbliżeni natomiast do króla i dostojników, będą nazbyt podlegać i ulegać ich wpływom i że zwabieni łaską dworu przystaną na wszystkie żądania królewskie. W r. 1478 zdarzyło się, że sejm piotrkowski uchwalił podatek, ale Wielkopolanie wyparli się swoich

posłów i trzeba było tę sprawę roztrząsać na nowo na ich sejmikach. Wracano też często do zwoływania dwóch sejmów prowincyonalnych z osobna. Sejmiki pozostały po dawnemu; było ich w drugiej połowie rządów Kazimierza Jagiellończyka w Wielkopolsce dziesięć, a w Małopolsce sześć. Nie zyskał jeszcze sejm walny bynajmniej przewagi nad sejmikami.

W sejmie walnym nie brały udziału Prusy, mające sejm osobny dla siebie, ani też Wielkie księstwo litewskie, nie posiadające jeszcze wcale ni sejmików, ni sejmu. Przedstawiał jednak sejm walny całą Koronę, t. j. dawne państwo Piastowskie wraz z Rusią Czerwoną i nadawał się doskonale na urzędową reprezentacyę całego obywatelstwa Korony i mógł zastąpić owe niebezpieczne z innych względów narady obozowe. Należało tylko powołać do nich obok posłów szlacheckich także przedstawicieli miast, a powstałaby reprezentacya państwa wyższa ponad stany, ogólna. Kiedy podczas bezkrólewia po śmierci Ludwika węgierskiego społeczeństwo samo sobie rząd obmyśliło, wyznaczono też miastom udział w owym rządzie. Obecnie zanosiło się na to samo. Na prowincyonalny sejm małopolski wzywano rajców krakowskich, dopuszczono ich też do sejmu walnego. Ale miasta nie były zwolennikami walnego sejmu, bo tam obradowano jeszcze tylko o podatkach, a wypominano (i słusznie), że mieszczanie uchylają się od poradlnego. Z obawy, żeby nie trzeba było nałożyć mieszkiem, wolały się miasta trzymać z daleka od sejmów.

Zrazu niewielu tylko spostrzegło, że sejm walny nie jest prostym tylko zjazdem na uchwalenie podatku, lecz nowem urządzeniem w ustroju państwa, a wyższem ponad wszystkie dotychczasowe. Zwolna kiełkowała myśl, żeby sejmowi walnemu przyznać władzę ustawodawczą i prawo inicyatywy; gdyby to pozyskał, stałby się największą dźwignią demokratycznego ruchu. Ogół patrzał jednak jeszcze długo podejrzliwie na te obrady posłów pod bokiem króla i nie dowierzał, żeby z tego mogło wyróść rozszerzenie swobód obywatelskich. Minęło 37 lat, (od r. 1459 do 1496), zanim wszyscy zrozumieli, czem te sejmy walne mogą się stać dla społeczeństwa. Z końcem panowania Kazimierza Jagiellończyka było już jednak potężne stronnictwo, którego hasłem było, żeby sejmy walne przeobrazić na władzę najwyższą państwa pod przewodnictwem króla. Król sam rad był ruchowi demokratycznemu,

o ile mu to służyło przeciw możnowładztwu, ale na tem też stanął i zatrzymał się. Dopiero następca jego przyjął cały program tego stronnictwa.

Odkąd w ustrój polskiego państwa wchodzi sejm walny, zaznaczyła się tem dobitniej społeczna i cywilizacyjna różnica Korony a krajów Wielkiego Księstwa Litewskiego wraz z podległą mu Rusią. Tam inne zgoła panowały pojęcia; państwo oparte było z długowiecznej tradycyi na absolutnej władzy monarchy, a społeczeństwo na niewoli ludu wiejskiego. Należąca do Korony Ruś Czerwona przejmowała się w zupełności polskiemi swobodami, ale tam ledwie pierwsze dopiero wyłomy wpływ polski zdołał zrobić. Równouprawnienie schyzmy nie przynosiło spodziewanych rezultatów i nie rozwijało społeczeństwa tak, jakby tego Polacy pragnęli. Schyzma, przejęta kulturą bizantyńską, nie mogła zerwać się do postępu; toteż światlejsi Rusini opuszczali ją coraz częściej, przechodząc na rzymski obrządek. Nierówność społecznych urządzeń w państwie polskiem a litewskiem niecierpliwiła Polaków. Znamiennem w tej mierze jest jedno drobne wydarzenie. Kiedy w r. 1447 Kazimierz Jagiellończyk przybył na koronacyę do Krakowa, witał go między innemi także uniwersytet, a mowca uniwersytetu, doktor medycyny Jan z Ludziska (na Kujawach) uważał za stosowne zwrócić w swej powitalnej mowie uwagę nowego króla na niestosowność, że w jego dziedzicznem państwie jest jeszcze niewola ludu wiejskiego. Przemawiał z całym należnym majestatowi szacunkiem, ale śmiało i bez ogródek: „Wieśniacy tam uciśnieni najsroższą niewolą, gorzej, niż niegdyś synowie Izraela przez Faraona, gorzej od kupnych niewolników, lub od jeńców w niewolników zamienionych... jestto coś najgorszego ze wszystkiego złego, klątwa gorsza dla wolnych od wszelkiej kaźni... rozumie się przecież, że wszyscy ludzie są z przyrodzenia równi". Mówiąc tak, wyrażał nadzieję, że król zniesie poddaństwo ludu wiejskiego na Litwie. Ale poddaństwo nietylko tam zniesione nie zostało, ale tamtejsze stosunki poczęły potem wywierać fatalny wpływ na Polskę.

PIERWSZY CAR.

Litwa ulegała wpływom Polski oraz Moskwy, gdzie wszystko, i państwo i społeczeństwo, polegało na gwałcie i niewoli. Jarzmo

tatarskie gniotło najbardziej Ruś Suzdalską i najdłużej tam trwało. Nie dotarł tam wcale wpływ zachodnio-europejskich zapatrywań na życie publiczne, szerzonych na Rusi Czerwonej od roku 1340, a na Rusi litewskiej od unii z Litwą. Przez ośm pokoleń ludzkich nie było na Ruś Nową, czyli Suzdalską, innego wpływu zewnętrznego, jak tylko wpływ tatarski, azyatycki, a ten był tem silniejszy, że Suzdalszczyzna mięszała się nawet pod względem społecznym z żywiołem tatarskim; kraj ten nietylko nie zbliżał się przez te czasy do europejskiej cywilizacyi, ale coraz bardziej oddalał się od niej. Toteż jarzmo tatarskie pozostawiło tam straszne ślady w rządzie i społeczeństwie, a różnice od reszty Rusi były tak wielkie, że ze społeczeństwa suzdalskiego powstał inny zupełnie naród, zwany moskiewskim, następnie rossyjskim.

Chociaż Kazimierz Jagiellończyk odstąpił od dawnego Olgierdowego programu, i w r. 1449 nietylko wyrzekł się zaborczych myśli przeciw Moskwie, ale nawet zobowiązał się nie przeszkadzać jej do zaboru W. Nowogrodu, który Jagiełło pragnął był przyłączyć do Litwy, pomimo to utrzymywał Wielki książę moskiewski, Iwan Srogi, przymierze przeciw Litwie z Tatarami krymskimi, czyli perekopskimi (zwanymi tak od twierdzy Perekopu). W ciągu dziewięciu lat, 1448—1457, było siedm łupieżczych wypraw tatarskich na Ruś litewską i polską. Potem był spokój, gdy Gasztołdowi powiodło się osadzić w Krymie powolnego sobie Aczi-Gireja. Aleć następca jego, Mendli-Girej, zawarł w r. 1469 sojusz z Iwanem i odtąd byli Perekopscy nieustanną plagą polskiej Rusi. Kazimierz Jagiellończyk sprzymierzył się wobec tego z hordą nadwołżańską, z tą, której Moskwa płaciła haracz.

A tymczasem zbierał Iwan Srogi owoce układu z Litwą z r. 1449, którego Kazimierz Jagiellończyk dotrzymał jak najściślej. Wielki książę moskiewski zmusił do uległości obie potężne rzeczpospolite ruskie: Psków w r. 1464 i Wielki Nowogród w r. 1471, mając je odtąd pod swem zwierzchnictwem. Nowogrodzianie woleliby zwierzchnictwo litewskie i zwrócili się do króla polskiego z prośbą o przymierze; byli gotowi poddać się nawet całkiem Litwie, byle uwolnić się od Moskwy. Wybuchło też powstanie przeciw moskiewskiej zwierzchności, ale Kazimierz Jagiellończyk nie zerwał pokoju i dotrzymał danego przed 30 laty zobowiązania, nie przeszkadzając zupełnemu podbojowi W. Nowogrodu,

którego rozległe posiadłości wcielił Iwan Srogi w r. 1478 do swego państwa, urządziwszy w samem mieście straszną rzeź, a resztę mieszkańców przesiedliwszy w głąb swych krain. Wielkie, ludne miasto, stało się nagle pustkowiem, a potem, zaludnione Moskalami, nigdy się już nie rozwinęło. Psków zachował jeszcze pozory niepodległości.

Iwan Srogi snuł coraz większe plany zaborcze. Po upadku Konstantynopola, gdy nie było już bizantyńskiego schyzmatyckiego cesarstwa, ogłosił się najwyższym schyzmy naczelnikiem i opiekunem, następcą niejako carogrodzkich władców. Schyzma stała się w jego ręku silnem narzędziem politycznem. Ażeby podnieść urok swej dynastyi, ożenił się w r. 1472 z synowicą ostatniego cesarza bizantyńskiego (Konstantyna IX.) Zofią, czyli Zoe zwaną. W trzy lata potem przyjął sobie dawny herb cesarstwa greckiego: dwugłowego orła czarnego, a w końcu tytuł cara, tj. cesarza, uważając się za cesarza wszystkich schyzmatyków. Odtąd jasnem było, że jeżeli Litwa nie zdoła zdobyć Moskwy, będzie Moskwa dążyć do zdobycia całej Rusi wraz z Litwą. Umowę z r. 1449 uważał Iwan Srogi za zaporę dla Litwy, ale nie dla siebie. Carski tytuł był wskazówką, że władcy Moskwy nie zniosą obok siebie innego pana nad Rusią i że dzieje wojenne wschodnich krain nie mogą się skończyć inaczej, jak tylko albo zdobyciem Moskwy przez Litwinów, albo zdobyciem Wilna przez Moskali.

Zaraz po podboju W. Nowogrodu zachodziła obawa, czy Iwan Srogi nie rozpocznie wojny z Litwą. Przybył też król w r. 1479 na Litwę i zabawił tam kilka lat. Zabrał z sobą królewicza Kazimierza, który uchodził za następcę tronu, jako najstarszy po bracie Władysławie, zasiadającym już na czeskim tronie. Odznaczał się ten królewicz niepospolitą wiedzą i zdolnościami politycznemi, w czem podobny mu był także młodszy brat Jan Olbracht; ale podczas gdy młodszy lubiał używać świata, starszy Kazimierz miał usposobienie nad swój młody wiek poważne, był wielce bogobojny i pobożny. Był w nim duch owych średniowiecznych świętych pańskich, którzy w największym wirze świata, na wybitnych stanowiskach i wśród różnorodnych świeckich spraw próbowali zaprowadzić w praktyce chrześcijaństwo, nie tylko nabożeństwem, ale też urządzaniem stosunków życia w myśl chrześcijańskich zasad.

W r. 1480 ustawił han nadwołżański, Achmet, wojsko na

moskiewskiej granicy, nad rzeką Ugrą. Ale Iwan zręcznie użył przeciw niemu hordy krymskiej; Achmeta zamordowano, a Moskwa była od tego czasu zupełnie wolną. Skończyły się resztki panowania Tatarów nad Rusią, które trwało 257 lat.

Na wypadek wojny z Litwą miał Iwan przygotowaną na Litwie zdradę przeciw królowi. Książęta Olelkowicze uknuli z jego namowy spisek, będąc wrogami Kazimierza Jagiellończyka od r. 1474, kiedyto usunął ich z księstwa kijowskiego. Michał Olelkowicz, dzierżący od króla drobne księstwo słuckie, godził nawet na życie królewskie, rojąc sobie, że potem sam zostanie Wielkim Księciem Litwy z pomocą Iwana Srogiego. Miano dokonać zamachu tuż przed Wielkanocą 1481 r. Ale spisek odkryto; Michała i jego głównego pomocnika, Iwana ks. holszańskiego, ścięto. Sprawy wschodnie wymagały stale obecności królewskiej. Pozostał więc Kazimierz Jagiellończyk na Litwie, a do Polski odesłał królewicza Kazimierza, jako swego współrządcę z władzą namiestniczą.

We wrześniu 1482 r. najechał Litwę Mendli-Girej, zdobył i spustoszył Kijów. Jęto się naprawy grodów na południowej Rusi, a obawiając się także moskiewskiego najazdu od północy, ustawiono w r. 1483 w Smoleńsku dziesięć tysięcy zbrojnych pospolitego ruszenia litewskiego. Iwan nie zerwał jednak pokoju. I w następnych latach nie było otwartej wojny, jakkolwiek drobni książęta pograniczni przechodzili ciągle z jednej strony na drugą, przyjmując zwierzchnictwo jużto Kazimierza, jużto Iwana. Obrażeni o cokolwiek, zmieniali sobie zaraz pana. W ten sposób cała już niemal Siewierszczyzna zadnieprska oderwała się do r. 1490 od Litwy, a przystała do Moskwy. W takich stosunkach o wojnę bardzo było łatwo, chociaż Kazimierz Jagiellończyk zaliczał pokój z Moskwą do zasad swej polityki. Pragnął go tem bardziej, że zamierzał zwrócić się w inną stronę, ku morzu Czarnemu.

PIERWSZA WYPRAWA CZARNOMORSKA.

Morze Czarne było tem dla Rusi Czerwonej i Podola, czem Bałtyk dla Polski; panowanie nad Rusią było też póty niezupełne, pókiby się nie opanowało czarnomorskiego wybrzeża. Była to wspólna sprawa polskiego i litewskiego państwa. Odkąd Tatarzy przyjęli mahometanizm i sułtanowi tureckiemu się wysługiwali, odkąd zwłaszcza Turcy zdobyli Konstantynopol, wiodła droga do

morza Czarnego tylko przez wojnę turecką. Sprawa ta wisiała ciągle nad Polską. Usunięta przez wojnę trzynastoletnią i następne zawikłania o czeską koronę, zaniedbana z konieczności przez szereg lat, przypomniała się teraz tem natarczywiej.

W r. 1484 zajęli Turcy ujścia Dunaju i Dniestru, twierdze Kilię i Białogród. Rozumiano wybornie, że to znaczy zupełne odcięcie Polski i Rusi od morza Czarnego. Zaraz więc następnego roku ruszył król we 20.000 wojska na południowo-wschodnie kresy. W Kołomyi odebrał hołd i przysięgę wierności od hospodara mołdawskiego Stefana, którego kraj był na drodze przeciw Turkom. Wojsko nie ruszyło jednak dalej, tylko hospodarowi przydzielono trzy tysiące pancernych. Równocześnie bowiem ruszyli na Ruś krymscy Tatarzy, którzy pod zdolnym swym hanem, Mendli-Girejem, rozszerzali na nowo panowanie tatarskie i utworzyli potężną hordę nad morzem Czarnem. Od r. 1483 odbywają się straszne najazdy tatarskie na województwo kijowskie, Wołyń i Podole. Gdy Kazimierz Jagiellończyk r. 1485 ruszył na odzyskanie ujść Dniestru, zagroził Mendli-Girej nowym najazdem; król starał go się powstrzymać i rozpoczął z nim rokowania; tem tłómaczy się powstrzymanie armii w pochodzie. Ale i sułtan Bajazet był równocześnie w kłopotach; zajęty wojną w Egipcie wolałby mieć w Europie spokój. Wojsko tureckie było tu nieliczne, udało się wyprzeć Turków z Mołdawy; sułtan sam poprosił o pokój z końcem r. 1485. Gdyby nie Mendli-Girej, odzyskanie Kilii i Białogrodu nie przedstawiałoby trudności. Ale Mendli-Girej miał przymierze z Moskwą. I tak sprawa o ujście Dniestru mogła była wywołać wojnę litewsko-moskiewską. Sam hospodar mołdawski nie był pewnym sojusznikiem, skoro mu tylko nie groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo od Turka, bo i on był w ścisłym sojuszu z Wielkim Księciem moskiewskim Iwanem Srogim, za którego wydał swą córkę Helenę, i w którym uznawał głowę schyzmy. Rozpoczęto więc rokowania z sułtanem Bajazetem, próbując, czyby dobrowolnie nie oddał Kilii i Białogrodu. Sułtan nie odmawiał od razu, zwlekał, przewlekał, a tymczasem podmawiał na Polskę Tatarów. W r. 1487 uchwalono w Polsce znaczny podatek na zbrojenia, gdy w tem Bajazet puścił na Polskę drugą tatarską hordę, nadwołżańską. Wyprawiono przeciw Tatarom z wojskiem królewicza Jana Olbrachta, który spisał się dzielnie i pokonał ich dnia 8 września 1487 r. w świetnem zwy-

cięstwie pod Kopystrzynem nad Murachwą (niedaleko Bracławia). Ale następnych lat były jeszcze dwa tatarskie najazdy, w r. 1489 i 1490. Tatarzy zapędzili się aż pod Lublin! Gdy zaś równocześnie zdradził hospodar Stefan i sam urządził najazd na Ruś Czerwoną — przepadła Kilia i Białogród.

Za następnego panowania pokuszono się jeszcze raz o odzyskanie wolnego przystępu do morza Czarnego. Rządy Kazimierza Jagiellończyka miały się już ku końcowi. Danem mu było jeszcze widzieć koronę węgierską w swym rodzie.

OSTATNIE LATA KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA.

Maciej Korwin umarł 6 kwietnia 1490 r. Mocą ołomunieckiego układu miał Władysław Jagiellończyk, król czeski, wykupić teraz Ślązk od korony węgierskiej. Kazimierz Jagiellończyk pragnął osadzić na tronie węgierskim trzeciego ze swych synów, Jana Olbrachta. Ale o tron ten ubiegał się także najstarszy brat, król czeski Władysław i miał znaczne stronnictwo na Węgrzech. Kazimierz Jagiellończyk przeciwny był łączeniu Czech i Węgier pod jednem berłem, w czem miał zupełną słuszność i udzielił poparcia Janowi Olbrachtowi przeciw Władysławowi. Bracia rozprawili się orężem; pod Koszycami na Górnych Węgrzech przegrał bitwę Jan Olbracht i musiał ustąpić. Wtenczas dał Władysław bratu na wynagrodzenie szereg miast i grodów na Ślązku: Głogów, Ząbkowice, Karniów, Toszek, Bytom, Nidek, Koźle, Głubczyce, Wodzisław; nadto miał Olbracht otrzymać jeszcze Oleśnicę i Wołów po najdłuższem życiu bezdzietnego księcia Konrada Białego i księstwo opawskie, za które miano dać Janowi Korwinowi co innego. W ten sposób królewicz polski został księciem śląskim; ale też otrzymał Jan Olbracht te ziemie pod warunkiem, że je zwróci, gdyby został królem polskim.

Schyłek panowania zeszedł na nowym sporze z biskupstwem warmińskiem. Tungen wystarał się u papieża Innocentego VIII., że osobnym dekretem przyznał kapitule warmińskiej prawo wolnego wyboru biskupów; ażeby zaś kapituła miała sposobność wykonać zaraz to prawo, czując się chorym, umyślnie zrezygnował; jakoż umarł w lutym 1489 r. Król miał następcę upatrzonego we własnym synu, najmłodszym królewiczu Fryderyku, który obrał stan duchowny; liczył wówczas lat 21. Kapituła wybrała Łukasza

Wacelrodego, który też otrzymał potwierdzenie papieskie. Król nadał synowi biskupstwo krakowskie, które się w tym czasie opróżniło, ale pomimo to nie uznał Wacelrodego. Daremnie wstawiali się za nim posłowie Prus polskich. Wacelrode był bowiem wiernym poddanym Jagiellońskiej dynastyi i za Polaka się uważał; ojciec jego zasłużył się nawet bardzo Polsce w wojnie trzynastoletniej, on zaś sam był żarliwym zwolennikiem unii Prus z Koroną, a nieprzyjacielem Krzyżaków, których pragnąłby przenieść na Podole, żeby tam walczyli z Tatarami. Po prawdzie tedy żadne polityczne względy nie przemawiały tym razem przeciw osobie kandydata i chodziło królowi tylko o pozyskanie książęcego zaopatrzenia dla syna.

Nie zdążywszy zakończyć tej sprawy, umarł Kazimierz Jagiellończyk d. 7 lipca 1492 r., po 45-letniem panowaniu, a w 65 roku życia. Następca jego, Jan Olbracht, nietylko nie walczył z Wacelrodem, ale zaliczał go do zaufanych doradców.

Było w Kazimierzu Jagiellończyku więcej Litwina, niż Polaka. O władzy królewskiej miał też nie polskie pojęcia. Uważał się w duchu za dziedzicznego władcę Polski, był przekonany, że ma dziedziczne prawo do korony czeskiej i węgierskiej, a gdy został panem Prus, nie bardzo się liczył z tamtejszem prawem krajowem i chciał tam wykonywać władzę podobnie, jak na Litwie, o co nawet bywały przykre zajścia pomiędzy królem a obywatelstwem pruskiem. Takiemu królowi legizm nadawał się rzeczywiście w sam raz, toteż sprzyjał prawu rzymskiemu i humanizmowi wogóle, nie ze względów naukowych (bo na tem się nie znał), ale politycznych. Prócz nominacyj biskupów, nie osięgnął jednak żadnego innego wzmocnienia władzy królewskiej; co więcej, w walce z możnowładztwem małopolskiem zapędził się nieoględnie tak, że nawet ją uszczuplił i to niepotrzebnie. Pod jednym względem ma wielkie zasługi: pamiętał, że Polska potrzebuje dostępu do morza Bałtyckiego i Czarnego i pilnował tych dwóch spraw skrupulatnie. Za jego czasów i w znacznej części przez niego samego powstało hasło o Polsce „od morza do morza“. Hasłu temu pozostał wiernym także syn jego i następca, Jan Olbracht.

ALEKSANDER OSOBNYM W. KSIĘCIEM LITWY.

Po 45-letniem panowaniu w Polsce, a 52-letniem na Litwie nabrał król Kazimierz Jagiellończyk przekonania, że słuszność miał niegdyś Jan Gasztołd, że Litwa powinna mieć osobnego monarchę i własny stały rząd w Wilnie. Umierając postanowił, żeby ze synów jego ubiegał się o koronę polską Jan Olbracht, drugiemu zaś Aleksandrowi przekazał Wielkie Księstwo Litewskie. Miał prawo rozporządzać litewskim tronem, bo był tam panem dziedzicznym, a testament jego był w tej sprawie dla Litwinów ustawą. Toteż Aleksander objął zaraz rząd Litwy. Inna jednak ustawa, a mianowicie unia z Polską, przepisywała wspólny wybór wspólnego monarchy. Te sprzeczności można było łatwo pogodzić, przyznając królowi polskiemu tytuł „najwyższego Księcia Litwy", jak bywało za Jagiełły i Witołda. Gdyby Polacy chcieli koniecznie, żeby obydwa trony, polski i litewski, w jednem były ręku, mogli wybrać królem Aleksandra, ale za tą kandydaturą ozwały się nieliczne tylko i słabe głosy. Nie upatrywano widocznie klęski politycznej w rozdzieleniu tronów dwóch państw, związanych i tak traktatami unii.

WALKA Z MOŻNOWŁADZTWEM PODCZAS BEZKRÓLEWIA.

Inna natomiast sprawa zaprzątała umysły podczas bezkrólewia, a mianowicie dalsza walka przeciw możnowładztwu. Chodziło o zrównanie ogółu szlachty z możnowładztwem co do praw politycznych, co miało nastąpić przez nadanie władzy prawodawczej sejmom walnym, a nie samej tylko Radzie królewskiej, z dostojników złożonej. Jan Olbracht był zwolennikiem tego szlacheckiego demokratycznego programu, a na pochwałę polskiego możnowładztwa powiedzieć trzeba, że i pomiędzy nimi nie brakowało takich, którzy rozumieli i uznawali potrzebę rozszerzenia swobód obywatelskich, ażeby państwo opierało się na coraz liczniejszych zastępach obywateli. Nie wszyscy jednak przyznawali słuszność szlachcie, a na czele przeciwnego stronnictwa stanął prymas arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew Oleśnicki młodszy, bratanek Zbigniewa starszego (zmarłego w r. 1455, kardynała). Ci nie chcieli Jana Olbrachta i obmyślili sobie kandydaturę najstarszego z synów Kazimierza Jagiellończyka, Władysława, króla Czech i Węgier. Monarcha ten znany był już z nieudolności do rządów, toteż możno-

władztwo wybujało pod jego panowaniem ponad wszelką miarę; król panował, a wielcy panowie rządzili i państwem i nim. Nazywano go „królem-dobrze“, bo miał zwyczaj mówić „dobrze“ na wszystko, czego od niego żądano. Gdyby taki niedołężny król dołączył do swych państw, czeskiego i węgierskiego, jeszcze rozległe królestwo polskie, dopieroby nigdzie na prawdę nie rządził i nigdzie nic nie znaczył; nie mógłby też w Polsce stale mieszkać i byłaby rejencya, którąby możnowładcy ujęli oczywiście w swe ręce. Bez poparcia tronu nie mogła szlachta przeprowadzić swych zamysłów, tem bardziej więc nie chciała Władysława. Za szlachtą poszło mieszczaństwo. Między miejską a wiejską oligarchią tyle było zawiści i niechęci, że rady miast głównych połączyły się ze stronnictwem Olbrachta, ażeby nie dopuścić do rządów możnowładczych. Kandydaturze Władysława dodawano pozorów tem, że dobrze byłoby połączyć korony polską i węgierską ze względu na dalszą wojnę z Turcyą. Jeżeli jednak ogół doszedł do tego przekonania, że może być osobny władca na Litwie, tem mniej zależało mu na skupieniu w jednem ręku władzy nad Polską, Czechami i Węgrami, a do prowadzenia wspólnej polityki wystarczyłby sojusz, ułatwiony jeszcze tem, że królowie sąsiedni byli rodzonymi braćmi i mieliby dynastyczny nawet interes we wzajemnej pomyślności.

Prawo wyboru króla Polski, Najwyższego księcia Litwy i pana Prus należało do t. z. parlamentu, t. j. wspólnego zjazdu dostojników czyli senatorów wszystkich tych trzech państw. Należeli do parlamentu biskupi polscy, litewscy i pruscy, wojewodowie i kasztelanowie polscy, litewscy i pruscy, główne miasta tylko z Polski i z Prus, a mianowicie: Kraków, Poznań, Lwów, Gdańsk, Toruń, Elbląg, tudzież podkomorzowie pruscy. Miasta litewskiego państwa nie posiadały żadnych praw politycznych, podkomorzowie zaś tylko w Prusiech zaliczali się do dostojników, do t. z. panów Rady, w Polsce zaś samej, czyli w t. z. Koronie byli tylko pierwszymi wśród t. z. urzędników ziemskich.

Gdy się zebrał parlament w Piotrkowie na elekcyę, okazało się, że Prusacy są za Olbrachtem. Litewscy dostojnicy nie zjechali się wprawdzie, ale przysłali poselstwo, że się zgadzają na Olbrachta, byle im pozostawić osobnego Wielkiego Księcia w osobie Aleksandra. Z Korony miasta były też za Olbrachtem, tylko wśród dostojników było rozdwojenie. Król Władysław nie pragnął trzeciej

korony i życzył jej Olbrachtowi, ale gdy zażądano od niego, żeby zgłosił swą kandydaturę, powiedział, jak zwykle „dobrze". Wyprawiono w jego imieniu poselstwo do Piotrkowa; on go nie odwoływał, ale tak rzecz urządził, że się na elekcyę spóźniło. Ale stronnictwo prymasa upierało się przy Władysławie.

Szlachta, choć głosu przy elekcyi nie miała, zjechała tłumnie do Piotrkowa, żeby dopilnować swej sprawy. Przyjechali też starsi oficerowie, rotmistrze, a obydwa stronnictwa sprowadziły zbrojne oddziały! Stronnictwo Olbrachtowe nie cofnęło się przed użyciem bardzo ryzykownego środka. Oto podczas samego aktu elekcyi, gdy rozpoczęto głosowanie, wkroczyli na salę — rotmistrze. Było to samowolą i groźbą przemocy; było też zapowiedzią, że szlachta gotowa choćby na wojnę domową. Zwolennicy prymasa nie próbowali jednak oporu. W ten sposób dokonał się wybór Jana Olbrachta, w Piotrkowie, dnia 27 sierpnia 1492 r.

KRÓL JAN OLBRACHT (1492–1501).

Stosownie do poprzedniej umowy, zwrócił Jan Olbracht bratu Władysławowi trzymane od niego lenne księstwa ślązkie. W kilka lat potem, w r. 1499 nadał król czeski księstwo głogowskie młodszemu z braci, królewiczowi Zygmuntowi. Sam zaś Jan Olbracht kupił w r. 1494 od księcia Wacława księstwo zatorskie, które już od r. 1441 było lennem korony polskiej.

Nowy król spełnił w zupełności nadzieje szlachty. Zwołał sejm walny zaraz na początek następnego roku i wydał 14 lutego 1493 r. dokument z zapowiedzią pomnożenia praw obywatelskich. Dotrzymał przyrzeczenia na drugim sejmie piotrkowskim, w r. 1496, zatwierdzając uchwały, powzięte przez ten sejm w rozmaitych sprawach niepodatkowych, a powzięte z inicyatywy posłów szlacheckich. Uznał przez to władzę prawodawczą sejmu walnego. W najbliższych latach próbowała część możnowładztwa jeszcze raz cofnąć rozwój sejmu, ale się to już nie udało i w r. 1505 stwierdzono ostatecznie, że żadna nowa ustawa nie może wyjść inaczej i obowiązywać prawnie, jak tylko mocą uchwały sejmowej.

USTAWY ROKU 1496.

Ustawodawstwo roku 1496 miało dla Polski zasadnicze znaczenie. Szlachta doszedłszy do zupełnej władzy w państwie, zajęła

się przedewszystkiem swemi własnemi sprawami i — jak zwykle początkujące w rządzeniu stronnictwa, zapędziła się odrazu za daleko, uchwalając wszystko, czego tylko pragnęła, bez zastanowienia, czy ustawa była wykonalną. Dolegała szlachcie groźna konkurencya mieszczaństwa w gospodarstwie i brak rąk roboczych do zakładania folwarków. Uchwalili więc, że tylko szlachcicowi wolno posiadać ziemię i ograniczyli wolność przesiedlania się.

Zakaz nabywania dóbr ziemskich przez mieszczan tłumaczył sejm tem, że mieszczanie usuwają się od powinności prawa ziemskiego, mianowicie od służby wojennej. Było to jednak tylko pozorem, bo gdyby rzeczywiście tylko o to chodziło, byłby sejm uchwalił kary na takich mieszczan, choćby konfiskatę ich dóbr. Ustawa była niewykonalna, bo zbyt łatwo było ją obejść. Mieszczanin mógł posiąść wieś zadłużonego u siebie szlachcica prawem zastawu, a bogaty i wpływowy bankier czy kupiec mógł łatwo wystarać się w kancelaryi królewskiej o szlachectwo. Jakoż przechodziły posiadłości wiejskie nadal w ręce mieszczan, i nikt się nie zajmował wykonaniem chybionej ustawy; jedynym jej skutkiem było to, że mieszczanie poczęli się gromadnie starać o szlachectwo.

Stanęła druga uchwała: żeby prałactwa, kanonie i biskupstwa zawarowane były tylko dla szlachty. Ustawa ta zwracała się przeciw możnym rodom mieszczańskim; chudopachołek i tak nie byłby został biskupem. Przykład Kazimierza Jagiellończyka, który sam chciał rządzić Kościołem, podziałał na szlachtę; chciała mieć Kościół dla siebie. Brak protestu przeciw takiemu mięszaniu się w sprawy kościelne świadczy, że polskie wyższe duchowieństwo było już gruntownie zeświecczone i samo bardziej uważało się za wielmożów, niż za kapłanów. Zakaz ten można było także obejść przez wystaranie się o szlachectwo. Gdyby biskupi chcieli i zgodnie prawu temu się sprzeciwili, byłoby ono zgoła niewykonalnem.

Rozwój folwarcznego gospodarstwa pragnęła zapewnić sobie szlachta następującymi przepisami. Jednemu tylko kmieciowi wolno w ciągu jednego roku opuścić wieś i przenieść się gdzieindziej, z synów zaś kmiecych jeden tylko może iść do szkół lub do rzemiosła. Ze wszystkich ustaw ta najbardziej była niewykonalna, bo Polska była za duża, żeby w niej odszukać kmiecia lub jego syna,

gdy puścił się w świat. Uchwalanie rozmaitych na to środków, procesów itp. na nic się nie zdało, bo rąk do pracy trzeba było wszędzie, nikt przybysza nie wydawał, lecz witano go chętnie. Emigracya na wschód, na Ruś, nietylko nie ustała, ale coraz bardziej się wzmagała, a tam, chociaż dla tamtejszego ludu było poddaństwo i niewola, polskiego rolnika przyjmowano na dogodnych warunkach czynszowych, bo znając się lepiej na rolnictwie, zaprowadzał postępowe gospodarstwo. Głównie jednak garnęli się kmiecy synowie do miast, skąd nie łatwo było wydostać „zbiega".

Uchwalono też w r. 1496, że cła od towarów mają płacić tylko kupcy; kto zaś sprowadza coś na własne potrzeby, wolny jest od ceł. Wolność ta tyczyła wszystkich, nietylko szlachty; owszem, płacił szlachcic cło, jeżeli sprowadzał na sprzedaż, jeżeli kupiectwem się trudnił. Ale sprowadzać dla siebie towary wprost z zagranicy lub z Gdańska mógł oczywiście tylko ktoś zamożny; ustawa ta wyszła więc tylko na korzyść bogatszych, podobnie, jak przepis o zachowaniu prałactw dla szlachty.

Z ustawodawstwa tego znać niechęć do mięszania się stanów, i zamiar, żeby każdy stan miał zachowany dla siebie swój sposób do życia: szlachcic folwarki, a mieszczanin sklep i warstat. Broniąc się przed kapitalistyczną przewagą mieszczaństwa, chciała szlachta w sposób sztuczny, zapomocą ustaw, odgrodzić od siebie stan miejski, a zarazem kmiecy. Każdy miał pozostać tem, czem był jego ojciec. To nie da się przeprowadzić w społeczeństwie, które się rozwija! A Polska była z końcem XV-go wieku w pełni rozwoju! Pókiby się nie pogorszyły warunki tego rozwoju, niemożebnem było konsekwentne wykonanie ustaw 1496 r. i mogły one były pozostać tylko na świadectwo, co szlachcie w tym czasie dolegało. Gdyby miasta polskie ciągle wzrastały i bogaciły się, nie pomogłaby żadna ustawa na przenoszenie się prostego ludu ze wsi na bruk miejski, a szlachcic musiałby lżejsze podawać warunki kmieciom, chcąc ich utrzymać na gruncie i nietylko kmieć od szlachcica, ale niemniej także zależałby szlachcic od kmiecia. Przyszłość ludu polskiego zależała tedy od przyszłości miast i odtąd jedno z drugiem łączy się jak najściślej. Czem bardziej podnosiłby się ogólny dobrobyt kraju, czem więcej byłoby sposobów do wygodnego utrzymania

życia, tem lepszą też byłaby dola tych, którzy byli z zawodu rolnikami, chociaż nie posiadali własnej ziemi.

WTÓRA WYPRAWA CZARNOMORSKA.

Zapewnienie ekonomicznego rozwoju Polski wymagało koniecznie, żeby ona była „od morza do morza". Król Jan Olbracht wstępował w ślady swego tak zasłużonego pod tym względem ojca, a czarnomorska sprawa była główną troską jego rządów. Po długich układach umówił się ze swymi braćmi, z Władysławem królem Czech i Węgier i z władcą Litwy Aleksandrem o wspólną wyprawę na odzyskanie Kilii i Białogrodu. Odbyli Jagiellonowie w tej sprawie dwa zjazdy, w Lewoczy i w Parczowie. Ażeby sobie zapewnić wierność hospodara wołoskiego, Stefana, postanowiono, że się krainę pomiędzy ujściem Dunaju a Dniestru zdobędzie dla niego, byle tylko nie była pod panowaniem tureckiem. Hospodar ciągnąłby znaczne zyski z polskiego i węgierskiego handlu, skierowanego w tamte strony, a Polsce nie o zdobycze chodziło, tylko o wolność i bezpieczeństwo dróg handlowych. Rzeczpospolita wenecka, główna handlowa potęga na południu, zachęcała króla już w r. 1493 do wspólnej wyprawy przeciw Turcyi. Przedsięwzięcie wymagało jednak dłuższych przygotowań; odmówił więc król polski wtenczas i zawarł nawet rozejm na trzy lata z sułtanem, ale po trzech latach już go nie odnawiał. Tymczasem jednak zawiedli Węgrzy, zawarłszy z Turcyą rozejm dłuższy; tylko Aleksander litewski dotrzymał umowy i przysłał posiłki.

Sejmy prowincyonalne, małopolski i wielkopolski, uchwaliły i podatek wojenny i pospolite ruszenie; nadto pozaciągał król jeszcze pożyczki na zaciężnych. Krzyżacy spełnili tym razem obowiązek lenny i sam W. Mistrz, Jan Tieffen, przywiódł półtora tysiąca zbrojnych. Wojsko królewskie liczyło do 80.000, olbrzymia na owe czasy armia. Z końcem czerwca 1497 zaroiła się Polska od pochodów wojskowych. Król ruszył przodem ze Lwowa ku rzece Seretowi, a od Lublina aż do Lwowa rozłożone były wojewódzkie hufce, dążące stopniowo na południe, za królem, podczas gdy Litwini czekali pod Bracławiem na dalsze rozkazy. Wtem niespodzianie zdradził hospodar Stefan i gdy pierwsze roty polskie zbliżały się do granic Mołdawy, napadł wspólnie z Turkami Kołomyję i Halicz, a wreszcie oświadczył wręcz, że uważa się za

poddanego sułtana, a nie za lennika Polski lub Węgier. Wobec tego wkroczył Olbracht z wojskiem do Mołdawy, oblęgł Suczawę, postanawiając kraj zdobyć i utorować sobie przemocą drogę do morza. Wojna turecka zamieniała się chwilowo na wojnę ze Stefanem. Natenczas rozeszła się pogłoska, że Olbracht osadzi na hospodarstwie mołdawskiem królewicza Zygmunta, nie posiadającego zaopatrzenia i że Mołdawę zamieni na księstwo Korony polskiej. Węgry miały uroszczenia do zwierzchnictwa nad Mołdawą, panowie węgierscy ujęli się za zdradzieckim Stefanem, a od króla Władysława, mówiącego na wszystko „dobrze", nadeszło ostrzeżenie, grożące wojną, jeżeli Polacy nie opuszczą Mołdawy. Ustąpił król polski i zawarł z posłami węgierskimi układ, do którego i Stefan przystąpił, zabezpieczający polskim wojskom wolny odwrót. W odwrocie jednak nowa zdrada: napadnięty przez Stefana, Turków i Węgrów, poniósł Olbracht straszną klęskę w bukowińskiej puszczy. Przez ośm dni napadali zdrajcy na polskie hufce; obrona była zupełnie niemożliwa, bo w puszczy nietylko nie dało się rozwinąć szyku, ale nawet po większej części nie było widać zaczajonego w kryjówkach leśnych nieprzyjaciela, który zwalał na przechodzących podrąbane poprzednio umyślnie drzewa. Gdy po ośmiu dniach takiej skrytobójczej rzezi, resztki wojska dotarły do Śniatyna, były w takim stanie, że nie było można myśleć o ponownej wyprawie. Sułtan nie wkroczył sam do Polski, ale puścił na nas Tatarów. Przez trzy lata z rzędu trzeba się było opędzać tym napastnikom. Nie dał Olbracht za wygraną. Nie spoczął, aż usunął nieporozumienie z Węgrami i Stefanem, zawarł z nimi w r. 1498 nowy sojusz przeciw Turcyi, a następnego roku otrzymał od sejmu walnego, zebranego w Krakowie, podatek 12 groszy z łanu. Litwa miała znowu dostarczyć posiłków na nową wyprawę, którą trzeba było jednak odroczyć, bo właśnie w tym roku, 1499, wszczął Iwan Srogi wojnę z Aleksandrem, a Stefan mołdawski sprzymierzył się z Moskwą przeciwko Litwie. Trzeba było postarać się najpierw o pokój w tamtej stronie.

KLĘSKI OD MOSKWY.

Aleksander, objąwszy rządy Litwy, trzymał się nadal polityki ojcowskiej, żeby z Moskwą pozostawać w pokoju. Podczas gdy Iwan Srogi podmawiał na Litwę Mendli-Gireja i sam co roku

urywał coś z litewskich granic, powstał na litewskim dworze pomysł, czyby nie dało się związkiem krwi zamienić wroga w spokojnego sąsiada. Aleksander rozpoczął starania o rękę Heleny, córki Iwana, i po przewlekłych a upokarzających rokowaniach, dostał ją wreszcie za żonę w r. 1495. Ślub ze schyzmatyczką był zgorszeniem, nie przynoszącem zaszczytu dynastyi Jagiellońskiej, zwłaszcza, że Aleksander przystał na warunek, że Helenie nie będzie wolno przejść na katolicyzm, chociażby nawet sama dobrowolnie tego pragnęła! Chodziło o to, żeby przynajmniej na jakiś czas mieć pokój od Iwana, żeby można było zająć się bezpiecznie sprawą turecką. Ale samo to małżeństwo miało Iwanowi dostarczać pozorów, żeby mógł wojnę wypowiedzieć, kiedykolwiek mu się spodoba. Przez cztery lata trwały bez końca wymówki, raz w raz przyjeżdżali z Moskwy posłowie z zażaleniami i pogróżkami o cokolwiek. Zaczęło się zaraz po ślubie od tego, że ślub odbył się w katolickim kościele (a inaczej byłby przecież nieważny wobec całego świata katolickiego!), potem, że księżna musi chodzić do miasta do cerkwi na nabożeństwo, że nie ma własnej osobnej na zamku, że mąż i jego dworzanie nie okazują należnego uszanowania schyzmatyckiej wierze, że księżna ma katoliczki wśród swego dworu, że powinien być osobny dwór schyzmatycki itp.; Iwan utrzymywał szpiegów w Wilnie i nie było takiego drobiazgu, z któregoby nie potrafił zrobić użytku do wyrzekań, że uczuciom religijnym jego córki dzieje się krzywda. Małżeństwo córki wyzyskał ojciec doskonale do swych celów politycznych, żeby sobie nadać jak największy rozgłos opiekuna schyzmy przeciw niechęci żywionej ku niej rzekomo przez Jagiellończyka. Poświęcił córkę na to, żeby wśród schyzmatyckiej Rusi rozbudzać niechęć ku Jagiellońskiej dynastyi. Znoszono wszystko z pokorą, byle się módz przygotować do wznowienia wojny z Turcyą, gdy wtem zaczęły się nowe wymówki o to, że Aleksander nie tytułuje Iwana w swych listach „carem wszystkiej Rusi“. Tytuł ten przeciw Litwie był zwrócony, a Wielki Książę litewski miał go uznać! Odpowiedziano więc z Wilna, że trzebaby wprzód zapewnienia, że car nie ma uroszczeń do Kijowa; oświadczył na to Iwan całkiem szczerze, że nietylko Kijów, ale i Smoleńsk powinny do niego należeć. Wisiała więc wojna z Moskwą zawsze na włosku, po małżeństwie z Heleną, zupełnie tak samo, jak przedtem.

Po zdobyciu Nowogrodu była już Moskwa stanowczo silniejsza od Litwy. Rozumiano też dobrze w Wilnie, że się sami Iwanowi nie obronią, a przewidując, że tu musi nastąpić stanowcza rozprawa, zwrócono się o pomoc do Polski W roku 1499 wznowiono unię horodelską i zastrzeżono, że odtąd nie będą ani Polacy, ani Litwini osobnego wybierać monarchy. Postanowiono tedy przez to samo, że który z braci przeżyje drugiego, Olbracht czy Aleksander, panować będzie potem sam nad Polską i Litwą. Znaczyło to, że obronienie Litwy przed Moskwą i schyzmą porucza się Polakom. Spodziewano się, że po odzyskaniu Kilii i Białogrodu będzie się Polska mogła zająć skutecznie poskromieniem Moskwy. Nie przypuszczano, żeby wojna moskiewska mogła zagrażać zaraz teraz. Niedołęstwo rządów Aleksandrowych okazuje się dostatecznie z tego, że po tem wszystkiem, co zaszło z Iwanem, nie był jednak na wojnę moskiewską całkiem przygotowany i przypuszczał, że car będzie czekać, aż Polska i Litwa wzmocnią się zwycięstwami nad Turcyą i zapewnią sobie uległość mołdawskiego hospodara. Zapraszał Iwana do udziału w sojuszu przeciw Turcyi, a Iwan tymczasem zbierał wojsko przeciw niemu, żeby się rozprawić z Litwą, póki nie nastąpi ściślejsze połączenie z Polską.

W r. 1499 rozpoczęły się utarczki na pograniczu. Aleksander sądził, że zażegna burzę powolnością. Ale w r. 1500 wpadł Iwan z wielkiem wojskiem, zajął Mceńsk, Sierpiejsk, Brjańsk, Putywl i kazał swym wodzom ruszać pod Smoleńsk. Równocześnie wpadł Mendli-Girej, spustoszył Podole i Wołyń, zapędził się aż pod Lublin. W lipcu poniósł wódz litewski, kniaź Konstanty Ostrogski, walną klęskę nad rzeką Wiedroszą i sam dostał się do niewoli moskiewskiej.

A tymczasem niezmordowane starania dzielnego Olbrachta o sojusze przeciw Turcyi uwieńczone były pomyślnym skutkiem. Nietylko Węgry i Wenecya, ale i daleka Francya przystępowała do ligi, a w sześć tygodni po bitwie nad Wiedroszą głosił legat papieski w Krakowie krucyatę przeciw Turcyi i przywiózł zasiłki pieniężne z Rzymu na tę wyprawę. Bez Litwy nie można było jednak odważyć się na tę wojnę. Tem śmielej poczynałby sobie Iwan, gdyby Polska zajęta była w innej stronie. Ze względu tedy na Litwę trzeba było wyprawę turecką odłożyć i w roku 1501 zawarto z sułtanem pięcioletni rozejm.

WOJNA O WYRUGOWANIE KRZYŻAKÓW (1501).

Odroczoną nadzieję zyskania czarnomorskiego wybrzeża spodziewano się powetować nowymi nabytkami nad Bałtykiem, a mianowicie zajęciem drugiej połowy krzyżackiego państwa, tej, którą w roku 1466 pomimo trzynastoletnich wysiłków musiano jeszcze pozostawić Zakonowi. Samo istnienie Zakonu w tamtych stronach było rażącą niestosownością; nikt już w Europie nie wierzył, że oni tam wiary bronią, a zresztą przeciw komuż? Gdy już się nie dało dłużej okłamywać świata wymysłami o nieistniejącem od dawna pogaństwie, składali się tem, że ze schyzmatykami muszą wojnę prowadzić, co w praktyce znaczyło, że mają ochotę zagarnąć Psków, od strony Inflant. Tem jednak nikt się już w Europie nie interesował; czasy Zakonu mijały, a narody zachodnie nie troszczyły się wcale o jego dalsze losy. Pozostała mu już tylko życzliwość niemieckiej szlachty, bo mógł dostarczać zaopatrzenia dla jej młodszych synów. Król Jan Olbracht postanowił przenieść Krzyżaków na Podole, żeby tam walczyli z Tatarami; tam gotów był nadać im lenno, a resztę Prus wcieliłby do Korony polskiej. Gdyby Krzyżakom o sprawę wiary chodziło, przyjęliby tę zmianę z zapałem! Poufnym doradcą królewskim w tej sprawie był biskup warmiński, Wacelrode; w Rzymie pozyskiwano też zwolenników dla doniosłego projektu.

Zakon postanowił się bronić i szukał pomocy w Niemczech. Postanowiono powoływać odtąd na godność Wielkiego Mistrza jakiego księcia, dynastę niemieckiego i po śmierci Tieffena wybrano w r. 1498 Fryderyka, księcia saskiego. Nowy Wielki Mistrz był dziewierzem króla polskiego, gdyż starszy jego brat, Jerzy, ożenił się zaledwie rok przedtem z królewną Barbarą, siostrą Olbrachta. Powinowactwo nie tamowało polityki i nowy Zakonu naczelnik jechał do Królewca z tem postanowieniem, że nie złoży hołdu królowi polskiemu. Krzyżacy pragnęli zerwać pokój toruński z r. 1466, odwołać jego warunki i próbować na nowo szczęścia wojennego przeciw Polsce, stanęła bowiem za nimi potężna dynastya habsburska. Cesarzowi Maksymilianowi Habsburgowi nie o Zakon oczywiście chodziło, ale o korony czeską i węgierską, odebrane domowi habsburskiemu przez szczęśliwszych Jagiellonów. Ażeby je odzyskać dla swego rodu, pragnął utworzyć koalicyę

przeciw Jagiellonom, w roku 1490 zawarł sojusz z Moskwą i zajął się sprawą Zakonu krzyżackiego. Wielki Mistrz Fryderyk saski odwoływał się wprost na cesarza, odmawiając i hołdu i posiłków na wyprawę turecką, a gdy w r. 1500 Olbracht zapytał w Wiedniu, co to ma znaczyć, odpowiedziano, że Wielki Mistrz jest członkiem i księciem Rzeszy Niemieckiej, która nie uznała toruńskiego pokoju i cesarz nietylko nie może zezwolić na złożenie hołdu królowi polskiemu, ale uważa za rzecz słuszną, żeby Zakon dążył do odzyskania ziem, utraconych w roku 1466.

Przedsiębiorczy król polski przyjął wyzwanie habsburskiej dynastyi i zawarł zaraz w r. 1500 przymierze z głównym Habsburgów wrogiem, z królem francuskim Ludwikiem XII.; pozyskał też dla tej polityki starszego swego brata, króla Władysława, i skłonił go do małżeństwa z księżniczką francuską, Anną de Candale, (które on też zawarł następnego roku 1501). Do Królewca posłał stanowcze żądanie złożenia hołdu, a gdy Fryderyk się wymawiał, postanowił przystąpić do wojny. W styczniu 1501 r. zwołał sejm do Piotrkowa i uzyskał uchwałę, że do wypowiedzenia wojny nie potrzeba uchwały sejmowej; rozumna ta uchwała sprawiała, że mógł wojnę wszcząć każdej chwili i ogłosić pospolite ruszenie. Tak też uczynił, a sam pojechał do Torunia, żeby osobiście stanąć na czele wyprawy. Spokornieli Krzyżacy i prosili o rokowania pokojowe. Król z całą stanowczością odmówił wszelkich rokowań, póki hołd nie będzie złożony. Już przybyła do Torunia artylerya, już się zbierało pospolite ruszenie, gdy wtem nagle dnia 17-go czerwca 1501 roku skończył dzielny monarcha życie, rażony apopleksyą. Mocą układu z Litwinami z roku 1499 obejmował po nim rządy niedołężny Aleksander, mający dalej prowadzić sprawę przeciw Moskwie, Zakonowi, Mołdawie, Turcyi i Habsburgom, słowem wszystkie sprawy Jagiellońskiej dynastyi na spółkę z jeszcze niedołężniejszym królem Władysławem.

KRÓL ALEKSANDER (1501 – 1506).

Stosunek Aleksandra do Zakonu był całkiem inny, niż Olbrachta. Jako Wielki książę litewski miał do czynienia z inflanckimi Krzyżakami, a ci od czasu pokoju brzeskiego w roku 1435 coraz mniej dbali o główny rząd Zakonu i o Wielkiego Mistrza w Malborgu, od toruńskiego zaś pokoju w roku 1466 wcale się już o pruskie

sprawy nie troszczyli. Rozchodziły się nieraz zupełnie kierunki polityczne Wielkiego mistrza a landmistrza inflanckiego; podczas gdy Wielki mistrz dążył za pośrednictwem cesarza do sojuszu z Moskwą przeciw Polsce i Litwie, żeby nie musieć składać hołdu królowi polskiemu, upatrywał landmistrz we wzrastającej szybko moskiewskiej potędze głównego wroga dla Inflant, przeciw któremu tylko u Jagiellonów można było szukać ochrony. Landmistrz Plettenberg już w r. 1494 pragnął sojuszu z Litwą, Aleksander przystał nań jednakże dopiero w roku 1500 podczas wojny moskiewskiej. Stanął tedy dziesięcioletni sojusz zaczepno-odporny, mający trwać bezwarunkowo aż do roku 1511, chociażby nawet w tym czasie zmarł Aleksander lub Plettenberg, co wyraźnie zaznaczono. Landmistrz pragnął z pomocą Litwy zagarnąć Psków, od wieków upragnioną dla Zakonu zdobycz; Aleksander niechętny był temu zamiarowi, ale przyrzekł poparcie, sam teraz sojuszu potrzebując. Właśnie, gdy się umawiano o wyprawę pskowską, umarł Jan Olbracht. Aleksander, zajęty kandydaturą w Polsce, cofnął się na stanowisko obronne, a Plettenbergowi zmniejszył liczbę posiłków, wkońcu wcale ich nawet nie przysłał. Skutkiem tego zmarnował landmistrz zupełnie kampanię 1501 r. Pragnąc wyprawić się na Psków w styczniu 1502 r., zapytywał o to Aleksandra; nie otrzymawszy odpowiedzi, odłożył wyprawę do czerwca, następnie aż do sierpnia 1502 roku. Wtenczas już sam bez litewskich posiłków ruszył na Psków, ale wyprawa całkiem się nie powiodła. Iwan Srogi podmawiał równocześnie Mendli-Gireja do najazdów, Plettenberga zaś skłaniał, żeby zawarł pokój separatystyczny, to jest sam osobno, nie oglądając się na Aleksandra. Bardzo gorąco pragnął też pokoju Władysław czesko-węgierski, bo póki trwała ta wojna moskiewska, nie można było myśleć o sprawie dla wszystkich najważniejszej, to jest o tureckiej. Pośredniczył więc w Moskwie poseł węgierski Santaj i skłonił wreszcie Iwana do zawarcia rozejmu z Plettenbergiem i z Litwą aż do r. 1509. Tymczasem zaś Wielki Mistrz zbliżył się do Plettenberga i pozyskał go dla swej polityki. Gdy w roku 1505 umarł Iwan III. Srogi, pragnął Aleksander wypowiedzieć wojnę jego następcy, Wasylowi; landmistrz jednakże wyrzekł się już swych wojennych planów i udziału swego odmówił; zrażony też był oczywiście poprzedniem postępowaniem Aleksandra. Tak tedy Aleksander, będący na początku panowania w sojuszu

z jedną połową Zakonu, miał je wkrótce obie przeciw sobie i sam się przyczynił do pogodzenia ich i to w ten sposób, że nawet landmistrz inflancki pragnął już pokoju z Moskwą, sojuszniczką Wielkiego Mistrza. Tem pewniejszym siebie i tem butniejszym stawał się Wielki Mistrz w Królewcu. Wezwany na sejm piotrkowski 1503 roku nie stawił się wcale, a gdy w roku następnym Aleksander pojechał do Malborga i tam ponownie go przed siebie wzywał, Wielki Mistrz w tym samym czasie wyjechał do Niemiec, skąd cesarz Maksymilian coraz bardziej się odgrażał. Ale bo też od chwili śmierci Olbrachta nie robiono już wcale żadnych przygotowań wojennych przeciw Zakonowi, a samych słów nikt się nie ulęknie.

Upadła za Aleksandra powaga korony polskiej. Nawet takie książątko, jak hospodar mołdawski, Stefan, sam Polskę zaczepił i zajął Pokucie w roku 1502. Ustąpił zaraz, skoro tylko zaczęto zbierać przeciw niemu wojsko. Czemuż go nie zbierano przeciw Zakonowi? Słusznie pisał Drzewicki do biskupa warmińskiego, Wacelrodego; „Teraz wszyscy żałują, że niema Jana Olbrachta“.

PROJEKT RZĄDÓW OLIGARCHICZNYCH (1501).

Aleksandrem rządziło w zupełności możnowładztwo; pod tym względem podobny on był do najstarszego z Jagiellończyków, Władysława. Możnowładcze rody zerwały się do walki przeciw ruchowi szlacheckiemu, popieranemu przez dwóch poprzednich królów; zawarły pomiędzy sobą umowę, żeby nie dopuścić do rozwoju sejmów. Dokonawszy elekcyi Aleksandra, przedstawili mu dostojnicy polscy zaraz 1501 r. w Mielniku projekt urządzenia rządów w Polsce w podobny sposób, jak były rządy w miastach; zupełny projekt ustanowienia rządów oligarchicznych z pomiędzy możnowładztwa ziemiańskiego. Król nie miał nic przeciw temu. Tak bowiem było na Litwie, o tyle młodszej cywilizacyjnie od Polski. Na Litwie możnowładcze rządy były pierwszym krokiem do przyznania społeczeństwu wpływu na sprawy państwa, jak niegdyś w Polsce w XIII. jeszcze wieku! W roku 1492 zatwierdził też Aleksander na Litwie ustawę, wymagającą dla ważności monarszych rozporządzeń zgody dostojników; tam mogło to stanowić postęp, ale to samo byłoby w Polsce cofnięciem się, bo u nas do spraw publicznych ogół od dawna się już garnął. W Polsce możnowładztwo spełniło już swe historyczne zadanie, a spełniwszy, poczęło się już wyradzać. Projekt

mielnicki oddawał zupełnie wszelką władzę w ręce dostojników, a przepisywał, w jakiej kolei można się posuwać na dostojeństwa, żeby król nie mógł zbyt szybko wywyższać „nowych ludzi". Królewskich urzędników, starostów, poddawał ten projekt władzy dostojników w każdej ziemi. Wychodziło to w praktyce na to, że Polska miała być podzielona jakby na kilka państw, z osobnym w każdej ziemi rządem, sprawowanym przez wojewodów i kasztelanów, którymi byliby zawsze najbogatsi właściciele ziemscy tej ziemi; na ich rozkazy miał być starosta i siła zbrojna. W każdej ziemi sprawowałyby tedy rządy pewne rody dziedzicznie, zupełnie tak samo, jak w miastach. Wojewoda, ani kasztelan nie mógłby pochodzić z innej ziemi, nie mógłby ich król przenosić z miejsca na miejsce. Mielnickie projekty musiałyby przeto rozbić Polskę na szereg jakoby księstw dzielnicowych na nowo, państewek, rzuconych na pastwę miejscowej oligarchii; zamiast jednego króla miałoby być kilkudziesięciu królików, z których każdy byłby jednak panem samowładnym w swej stronie, mając za sobą i prawną władzę i ekonomiczną przewagę. Zjazd tych królików stanowiłby władzę dla całej Polski, a król miałby tylko zaszczyt przewodniczyć tym obradom. Wobec króla mieli być ci królikowie nieodpowiedzialni; projekt zastrzegał bowiem, że król nie ma sądzić sam żadnego z dostojników, że podlegać oni mogą tylko sądowi zjazdu dostojników, że więc sami się tylko sądzić mogą; ale za to było tam postanowienie, że gdyby król któremu z nich dał się we znaki, wolno wypowiedzieć posłuszeństwo. Można powiedzieć o tym projekcie, że zaprowadzał podział Polski pomiędzy oligarchów. Cały ten pomysł świadczy bardzo źle o zmyśle politycznym autorów. Możnowładztwo, tak jeszcze dzielne za czasów kardynała Oleśnickiego, wydało obecnie jakieś pokolenie niedołężne a tem pełniejsze pretensyj. Szczęściem ruch szlachecki był już silnie rozbudzony i zacofany ten projekt nie stał się ustawą, przyczynił się tylko do zdwojenia energii stronnictwa demokratycznego. Zaraz po koronacyi, na pierwszym t. zw. koronacyjnym sejmie, sprzeciwili się posłowie przywilejowi mielnickiemu.

Żadna forma rządu nie jest sama przez się lepszą od innych na wszystkie czasy i dla wszystkich krajów; ale w Polsce byłby na owe czasy oligarchiczny ustrój najgorszy ze wszystkich, skoro tej oligarchii nie stać było na lepsze projekty!

Król wyjechał zaraz po koronacyi na Litwę, poruczywszy rządy młodszemu bratu Fryderykowi, kardynałowi, który był w swej osobie i arcybiskupem gnieźnieńskim i krakowskim biskupem zarazem. Był to człowiek 33-letni, bardzo wykształcony, ale lekkomyślny, a przedewszystkiem rozrzutny ponad wszelką miarę. Powagi w kraju wcale nie miał, a był zwolennikiem oligarchii. Potrzebując podatków, nie chciano jednak zwołać sejmu walnego; poprzestano na zwołaniu sejmów prowincyonalnych do Koła i Korczyna. Szlachta podatków odmówiła. Zwołano więc z konieczności upragniony przez szlachtę sejm walny do Piotrkowa w roku 1503 i ten nałożył ośm groszy z łanu na wojsko przeciw Stefanowi mołdawskiemu, ale domagał się zarazem, żeby król wracał do Polski, żeby nie dać urość możnowładczym rządom.

NOWE USTAWY DLA KMIECI (1503).

Tento sejm uchwalił także, że syn kmiecy może udać się do szkół tylko przed ukończeniem dwunastego roku życia. Było to wielkie utrudnienie, bo w owych czasach najczęściej chętnego do książki chłopca przygotowywał pleban tak dalece, że znając już łacinę, dopiero do szkół wyższych potrzebował udać się do miasta, przez co dużo się oszczędzało; szedł młodzian do szkół, gdy już był w tym wieku, że przy jakiej takiej pomocy dobrodziejów (najczęściej klasztorów) sam już mógł zarabiać (lekcyami, przepisywaniem i t. p.). Nie każdego stać było na to, żeby utrzymać chłopca w mieście od 12 roku życia; chyba, że chłopiec sam decydował się na wszystko; toteż namnożyło się wkrótce w Krakowie żebrzących studentów. Do rzemiosła wolno jeszcze było odejść ze wsi w każdym wieku.

W tymże czasie pojawił się też ze szlacheckiej strony inny projekt co do ludności wiejskiej, ale projekt prawdziwie mądry. Oto w r. 1503 na sejmiku w Wojniczu wyrażono życzenie, żeby co dziesiątego kmiecia pociągnąć do pospolitego ruszenia w razie wojny. Niestety, minęło kilkadziesiąt lat, nim się z tym projektem oswojono. Szkoda, bo gdyby kmiecie wojskową służbą zbliżyli się do organizacyi państwowej, gdyby zaczęli spełniać wobec państwa obowiązki, doczekaliby się też praw w państwie. Jeszcze nie byli przypisani do gleby, jeszcze nie było niewoli ludu w Polsce, były dopiero pierwsze dalekie i niefortunne próby ograniczenia wolno-

ści przesiedlania się; gdyby w tym czasie kmieć został żołnierzem, mógłby był jeszcze wyróść na obywatela.

JAN ŁASKI. ZWYCIĘSTWO DEMOKRACYI SZLACHECKIEJ (1505).

Sejm roku 1504, obradujący w styczniu w Piotrkowie w obecności króla, nie zajmował się tym projektem. Całą uwagę sejmujących pochłaniała obawa, żeby się nie ustaliła oligarchia. Wydano więc słuszną ustawę, że nie wolno nikomu piastować dwóch dostojeństw naraz, obmyślono przepisy, określające dokładniej zakres władzy, przywiązanej do najwyższych urzędów, postanowiono wreszcie, że czterech z pośród dostojników ma być „konsyliarzami“, to jest mieszkać przy królu i wszędzie z nim jeździć w tym celu, żeby brać udział w rządach królewskich, ale tylko przez pół roku, ażeby potem ustąpić miejsca innym czterem. Ale nie wszyscy po kolei mieli zajmować te najwyższe stanowiska, lecz ci, których do tego sejm walny wybierze. Sejm sam określił udział możnowładztwa w rządzie, ograniczył go, a sobie pozostawił i najwyższą kontrolę i dobór osób do rządu.

W otoczeniu króla znalazł się polityk, będący zwolennikiem ruchu szlacheckiego i sejmów walnych. Był nim Jan Łaski, nie bogaty człowiek, a bardzo zdolny i przedsiębiorczy; zajmował zrazu niewysokie stanowisko sekretarza w kancelaryi królewskiej, w tym jednak czasie postąpił na kanclerstwo. Przygotowywał on od pewnego czasu rzecz pierwszorzędnej wagi, a mianowicie zbiór ustaw, obowiązujących w Polsce; zbierał ustawy począwszy od statutów Kazimierza Wielkiego, ale niejedno opuścił, co nie na rękę było jego stronnictwu, a zwłaszcza opuścił przywilej mielnicki. Oligarchia była przemożona już na sejmie 1504 roku, ale brakowało jeszcze ustawy, którąby przyznała najwyższą prawodawczą władzę raz na zawsze sejmowi. To się stało na sejmie radomskim 1505 roku. Zapadła wówczas sławna uchwała, zaczynająca się od łacińskich wyrazów *Nihil novi*, a stanowiąca, że do ważności jakiejkolwiek nowej ustawy trzeba odtąd, żeby się na nią zgodził król, zjazd dostojników podczas sejmu odbyty i posłowie sejmowi. Uznano w całej pełni władzę królewską, uznano władzę zebrania dostojników — które z łacińska senatem zwać poczęto — ale przydano trzeciego prawodawcę: izbę poselską. To tylko miało być prawem, na co się zgodzą wszystkie trzy czynniki ustawodawcze. Nie zro-

biono z posłów władzy nowej, lecz bardzo rozumnie sprzężono ich z władzami dawnemi. Ustanowiono, że sejm walny składa się z trzech „sejmujących stanów“: króla, senatu i izby poselskiej. To uchwaliwszy, przyjęto zbiór praw Jana Łaskiego i ogłoszono go obowiązującym. Po długich walkach ustrój rządu polskiego był obmyślony, a zwycięska demokracya szlachecka okazała się o wiele rozumniejszą od pokonanego możnowładztwa, bo nie zagarniała rządów dla samej tylko siebie. Pozostawiono królowi należną tronowi władzę, że bez jego uznania żadna ustawa wyjść nie mogła, pozostawiono wielmożom wpływ na rządy, żądając tylko zgodnej wspólnej pracy dla dobra państwa. Pod politycznym względem nie można temu ustrojowi nic zarzucić; było to wprowadzenie rządów konstytucyjnych, istniejących dziś w całej Europie prócz Turcyi i Rosyi. Pod względem społecznym był ten ustrój jeszcze niedostatecznym. Wymagał uzupełnienia powołaniem do udziału w sprawach publicznych mieszczaństwa i ludu wiejskiego. Tylko Kraków, Lwów i Poznań miały prawo wysyłania posłów na sejm walny, a lud był zupełnie poza organizacyą państwową. Uzupełnienie państwowego ustroju, rozszerzenie demokratycznej zasady na inne warstwy społeczne, było rzeczą przyszłości, a zależeć musiało oczywiście od tego, czy te warstwy będą się garnąć do życia publicznego, czy będą się zajmowały sprawami państwa, czy też pozostanie im obojętnem, co się dzieje w państwie i z państwem. To zaś miało zależeć od dobrobytu. Toteż w dalszym ciągu historyi polskiej najważniejsze są sprawy ekonomiczne. Chodziło o to, czy stan miejski pozostanie tak bogatym, żeby dostatkami swymi zaważył na szali spraw publicznych i czy lud wiejski wogóle, a zwłaszcza kmiecie, nie będą ekonomicznie zależni od właścicieli ziemi, t. j. od szlachty, czy będą mogli znaleźć sposób do życia bez pomocy szlachty, czy też będą zmuszeni szukać chleba wyłącznie u niej.

Wszystko miało zależeć od tego, jakim torem pójdą stosunki ekonomiczne, czy Polska będzie panią mórz: Bałtyckiego i Czarnego, czy będzie wypełnione hasło Kazimierza Jagiellończyka: „od morza do morza“!

Król Aleksander nie dbał o tę sprawę, ale teraz szlachta sama mogła występować z inicyatywą i działać przez sejmiki i sejmy walne na króla. Aleksander jednak niebawem życia dokonał w sier-

pniu 1506 roku, pozostawiając Litwę zawichrzoną waśniami tamtejszych oligarchów, gotowych wzniecać wojnę domową o każdą urazę prywatną. Kniaź Gliński wszczął tam bunt i jest nawet mocno podejrzany o otrucie króla Aleksandra. Ze śmiercią króla przestał obowiązywać rozejm z Moskwą, toteż car Wasyl zbierał wojsko, żeby wśród swarów i rozruchów litewskich urwać znów kawałek Litwy. Szczęściem zjechał szybko na Litwę królewicz Zygmunt, ujął władzę w swe ręce i uprzedzając Wasyla, sam mu pierwszy wojnę wypowiedział, nie czekając wcale na elekcyę.

ROZDZIAŁ III.

ZYGMUNTOWSKIE CZASY.

ZYGMUNT STARY NA ŚLĄZKU.

Z sześciu synów Kazimierza Jagiellończyka pozostało przy życiu dwóch tylko: najstarszy Władysław i najmłodszy Zygmunt (zwany później Starym), obaj dziedzice Wielkiego księstwa Litewskiego. Władysław nie zamierzał upominać się o udział w tem dziedzictwie. Zawsze pełen wylania dla najmłodszego brata, nie tylko nie byłby pomyślał o wzmożeniu własnej potęgi jego kosztem, ale zawsze przez całe życie dbał o powodzenie najmłodszego z rodu, starając się sam o to, żeby mu dostarczyć książęcego utrzymania. Dał mu na Ślązku zrazu księstwo głogowskie, które składało się już tylko z ośmiu wsi, tudzież z pewnych praw zwierzchniczych do pobierania nieznacznych podatków i ceł, potem przydał księstwo opawskie, w r. 1504 został Zygmunt margrabią Dolnych Łużyc, wreszcie w r. 1505 namiestnikiem, czyli starostą całego Ślązka. Na stanowisku tem wsławił się zamiłowaniem porządku. Plagą kraju była różnorodność monety i nieład w tej mierze dawał się ciężko uczuć handlowi i przemysłowi. Jagielloński książę używał wielkiej powagi, zwłaszcza, że pozostawał zawsze w doskonałych stosunkach ze swymi starszymi braćmi, panami Czech, Polski, Węgier, Prus i Litwy. Bogate miasta ślązkie, a zwłaszcza Wrocław, uciekały się często pod jego opiekę, ilekroć chodziło o jakie ułatwienie w handlu z państwami Jagiellonów. Dzięki swej powadze i wpływom, skłania Zygmunt książąt ślązkich w r. 1505, że zobowiązali się wycofać z kraju obiegającą lichą monetę a bić natomiast porządne grosze, których liczyło się 36 na dukat węgierski. Drugą

walną zasługą Zygmunta na Ślązku było ukrócenie łupieżczego rycerstwa *(Raubritter)*. Na zjeździe Stanów ślązkich w Prudniku wymógł uchwałę, ażeby na żołd krajowy zaciągnąć na stałe dwie setki lekkiej jazdy, przeznaczonej do chwytania łupieżców. Jeden z niemieckich poetów tych czasów wychwalał Zygmunta za jego rządy na Ślązku i pisał o nim w te słowa: „Tyś nam wrócił, największy z Jagiellonów, pokój i bezpieczeństwo!... Czy pan czy sługa, gdy wspólnie zawinią, jednako za Twoim wyrokiem na wspólnym wiszą haku". Ten głos niemiecki najwymowniejszem jest świadectwem wartości rządów polskiego księcia.

ZYGMUNT I. STARY (1506–1548).

Jako dziedzic Litwy spieszył Zygmunt do Wilna, wzywany tam pospiesznie przez dogorywającego króla Aleksandra; nim jednak dojechać zdążył, Aleksander już nie żył. Wyniesiono go na tron wielkoksiążęcy natychmiast, nie odbywając zjazdu z panami polskimi. Ci zjechali się sami na prędce w Piotrkowie i Zygmunta królem polskim ogłosili. Było wielce niebezpiecznem dopuścić do przerwy w rządach monarszych na Litwie, bo tam od kilku kwartałów ścierały się ostro ze sobą dwa stronnictwa możnowładcze: Glińskich i Zabrzezińskich. Brak zmysłu politycznego, a częstokroć nawet zgoła brak pojęcia Ojczyzny wśród litewskich wielmożów, sprawiały, że ich waśnie domowe groziły rozdarciem państwa. Ażeby postawić na swojem, nie dopuścić przeciwnika do władzy i znaczenia, gotowi byli ci litewscy panowie nawet do zdrady, choćby złączyć się z Moskwą przeciwko własnemu monarsze, nie rozumiejąc tego zgoła, że działają w ten sposób przeciwko własnemu krajowi. Ale możnowładztwo to, po większej części zruszczone, w znacznej części schyzmatyckie, wahało się częstokroć pomiędzy przynależnością do Moskwy lub Wilna. Gliński miał wielkie zasługi wobec kraju, jako dzielny wódz. Właśnie na krótki czas przed zgonem Aleksandra pokonał Tatarów w świetnem zwycięstwie pod Kleckiem, mimo to jednak gotów był rozbić państwo litewskie i nawet poddać je Moskwie dla osobistych ambitnych planów. W roku 1506 były jakieś zawikłania wśród litewskiego możnowładztwa, które nie są jeszcze dokładnie zbadane. Wiadomo atoli, że Gliński podejrzanym się stał nietylko o to, że znosił się z carem, ale nawet, że otruł króla Aleksandra. Zygmunt

zarządził w tej sprawie śledztwo, i nabrał przekonania, że Gliński winien jest rzeczywiście śmierci poprzedniego króla. Nie wniesiono jednak publicznego oskarżenia, jak gdyby w obawie, że prześladowanie Glińskiego mogłoby całe jakieś znaczne stronnictwo litewskie pchnąć w ramiona Moskwy. I tak nie obeszło się następnie bez tego! Gliński rzeczywiście wszczął bunt i dążył do wykrojenia dla siebie litewsko-ruskiego odrębnego księstwa pod zwierzchnictwem nie Jagiellonów, lecz Moskwy. Car zaś Wasyl chciał sam zostać Wielkim księciem Litewskim. Dlatego przyspieszono wybór Zygmunta, który też ze swojej strony wolał uprzedzić działanie nieprzyjaciela i zanim jeszcze Wasyl zdążył był siłą popierać Glińskiego, wypowiedział mu odrazu sam wojnę. Zyskał przez to rok zwłoki. Wasyl bowiem nie będąc w tej chwili na większą wojnę przygotowanym, przycichł, i sprawa Glińskiego przewlokła się o tyle przynajmniej, że tymczasem zdołał Zygmunt załatwić swoje interesy w Polsce i ztamtąd otrzymać pomoc. Zawieruszona bowiem Litwa, rozdzielona sama w sobie, nie mogła zebrać w tej chwili nietylko porządnego wojska, ale ani nawet porządnego podatku. Chociaż wojna była wypowiedzianą, nie prowadzono jej jednak na razie, tylko tu i owdzie na granicy wydarzały się podjazdowe utarczki. Dopiero w roku następnym wybuchnąć miała z całą grozą.

PRZYMIERZA PRZECIW JAGIELLONOM.

Żaden monarcha nie miał trudniejszych początków panowania, jak król Zygmunt. Zdolnościami podobny do Jana Olbrachta, miał jednak przekonania inne i nie był wcale zwolennikiem rozszerzania swobód obywatelskich i uszczuplania władzy królewskiej na rzecz sejmu. Nie popierał bynajmniej kierunku politycznego, którego przywódcą był kanclerz Jan Łaski, a przeciwiąc się szlachcie, próbując płynąć przeciw prądowi, którego już nic nie zdołało wstrzymać, zmarnował na próżne te wysiłki wiele ze swych zdolności i wiele sił samego państwa. Ogarniał jednak myślą wszystkie potrzeby zewnętrznej polityki polskiej, rozumiał, że należy wieść dalej walkę o morskie wybrzeża; tymczasem jednak tak mu się wikłały wszystkie sprawy polityczne, że nietylko nie można się było posuwać dalej w planach pozyskania czarnomorskiego wybrzeża, ale co gorsza, trzeba się było gotować do nowej wojny

o to, żeby nie utracić panowania nad morzem Bałtyckiem. Najważniejsza ze wszystkich spraw, sprawa krzyżacka, stanęła na ostrzu miecza już za Jana Olbrachta; zaniedbana następnie przez Aleksandra, stała się tem groźniejszą i całem niebezpieczeństwem zawisła nad początkiem nowego panowania. Zakon miał sojusz z Habsburgami i z Moskwą. Zjednany przez Olbrachta król francuski, pogodził się w roku 1504 z Habsburgami i Maksymilian tem bardziej zwrócił się teraz przeciwko Polsce. Posunął się do tego, że nie tylko Zakon krzyżacki brał w swą opiekę, ale nawet miasta z Prus królewskich pozywał przed sądy Rzeszy niemieckiej, dając tem do zrozumienia, że nie uznaje pokoju toruńskiego z r. 1466 i że Prusy królewskie uważa za część Rzeszy niemieckiej.

Takie stosunki zastał król Zygmunt w spadku po swoim poprzedniku. Zdawał sobie doskonale sprawę, że w Królewcu, stolicy Krzyżaków, zbierał się materyał do podjęcia na nowo niemieckich wpływów na północną Słowiańszczyznę, i że sprawa tym razem może być niebezpieczniejszą, niż bywała za Kazimierza Wielkiego i Kazimierza Jagiellończyka, skoro Zakon łączy się z Moskwą. Rozumiał też król dobrze, że niebezpieczeństwo nowego najazdu niemieckiego na polskie ziemie należy zażegnać, póki jeszcze dwa inne państwa słowiańskie tj. królestwo czeskie i węgierskie, (w którem olbrzymia większość ludności ze Słowian się składała), znajdowały się w Jagiellońskiem ręku. Sprawa szła bowiem o to, czy czeskie i węgierskie państwa mają w przyszłości należeć do polskiego, słowiańskiego obozu w Europie, czy też, oderwane od niego, mają się wysługiwać interesom niemieckim.

Równocześnie od południowego wschodu znalazł się wróg nowy, a mianowicie hospodar mołdawski Bohdan, wciągnięty również do układu cesarskich sojuszów, z których potem powstała liga, okalająca ze wszech stron jagiellońskie królestwa. Na północy miała uzupełnić ligę Dania, zazdrosna o panowanie na wybrzeżach Bałtyku, a całe to koło niebezpiecznych sąsiadów zawierało się jeszcze od południa Tatarami, ponawiającymi raz w raz swe napady.

WOJNA Z WOŁOSZĄ I MOSKWĄ (1507).

Pod sam koniec panowania Aleksandra przyłączyła się Wołosza do polityki polskiej, a hospodar zezwalał na ustanowienie

katolickiego biskupa w swym kraju, a więc na szerzenie misyj katolickich, zobowiązał się nawet sam porzucić schyzmę, a katolicyzm przyjąć, upraszając w zamian o rękę polskiej królewny Elżbiety. Zajął się tą sprawą najstarszy z Jagiellonów Władysław, a Zygmunt posłował był nawet od najstarszego brata do Bohdana i zawierał w tej mierze układy. Śmierć Aleksandra przerwała jednak tę politykę, a gdy Zygmunt wstąpił na tron, położenie było zupełnie inne, tak, że w r. 1507 trzeba się było równocześnie bronić od Moskwy i Wołoszy.

Król Zygmunt wyprawił w r. 1507 poselstwo do Moskwy, z żądaniem zwrotu oderwanych za Aleksandra powiatów; otrzymał na to dumną odpowiedź, że cała Ruś jest własnością Wasyla! Już się widocznem stawało, że nie ostaną się wobec siebie równorzędnie: Wilno i Moskwa, lecz walka pomiędzy niemi będzie trwać, póki jedno nad drugiem nie zapanuje. Kiedy wysłano wojsko na granicę wołoską, równocześnie moskiewska armia wkroczyła na Litwę, i to za porozumieniem z Glińskim, podnoszącym jawny bunt. Zdobył on zamek grodzieński, zamordował wojewodę Zabrzezińskiego, oblęgł Kowno, zajął zdradą Merecz i począł używać tytułu Wielkiego księcia Litewskiego, a Wasylowi ofiarował Smoleńsk za udzielenie poparcia. Starano się pozyskać tatarskiego hana Mendli-Gireja, ale zanim zdołano się z nim porozumieć, już cała Litwa była w płomieniach, a nie było w kraju na tyle zasobów, żeby wrogowi stawić skuteczny opór. Na to liczył Wasyl, i dobrze obliczył.

Nie obliczył jednakże jednej okoliczności, że może nadejść pomoc z Polski, której cała ta wojna właściwie nic nie obchodziła i wcale nie dotyczyła, gdzie jednakże był zmysł polityczny, i rozumiano dobrze, że zwycięstwo Wasyla rozzuchwali Krzyżaków, a osłabiając stanowisko dynastyi Jagiellońskiej wobec Habsburgów, osłabi pośrednio mocarstwowe stanowisko Polski. Brali już dawniej w wojnach moskiewskich udział polscy rycerze, ale tylko jako ochotnicy na żołdzie litewskim, państwo zaś polskie urzędowo zupełnie w tę rzecz się nie mięszało. W tym dopiero roku 1507 stało się po raz pierwszy, że Polska wzięła urzędowo udział w wojnie z Moskwą przez uchwałę sejmu krakowskiego z końca 1507 r., ustanawiającego na tę wojnę 12 groszy podatku z łanu. Sam król stanął z wojskiem pod Mińskiem i ruszył pod Orszę.

Moskale uciekli, a pogoń polska spustoszyła okolice aż w głąb moskiewskiego państwa po Wiazmę i Dorohobuż.

Było po królu Aleksandrze przymierze przeciw Moskwie z landmistrzem inflanckim Plettenbergiem, ale Zakon inflancki nietylko nie dawał posiłków Polsce, lecz co więcej, już w marcu 1507 r. zobowiązał się landmistrz wobec Wielkiego Mistrza Fryderyka saskiego, że nie zawrze odtąd żadnego traktatu przeciwko Moskwie, ani z Polską ani z Litwą. Przez jakiś czas łudził Zygmunta, aż wreszcie wymówił się cesarskim mandatem, zakazującym mu wogóle wojny z Moskwą. Pokazało się więc, że cesarz ma w całej sprawie moskiewskiej swą rękę, a czeka tylko sposobności, ażeby w stosownej chwili poruszyć Zakon krzyżacki. Po pierwszej klęsce byliby Krzyżacy ruszyli na Polskę, cesarz zaś groził jawnie przed całym światem, że z całych sił będzie im pomagał. Te okoliczności skłoniły Zygmunta, że sam zgłosił się o pokój, który też zawarto 8 października 1508, pozostawiając granice takie same, jakie były przed wojną. Pokój przydał się w sam raz, gdyż w lipcu 1508 r. nastąpił znaczny najazd tatarski, po którym spodziewano się jeszcze dalszych. Udało się wreszcie zawrzeć z Mendli-Girejem przymierze kosztem opłaty 18 tysięcy złotych polskich rocznie, opłacanych tytułem zasiłku na posiłki wojenne. Równocześnie z Tatarami wpadł na Ruś hospodar Bohdan, oblęgł Kamieniec Podolski, Halicz, a w końcu nawet Lwów, jakkolwiek bezskutecznie. Nie było w skarbie pieniędzy na nowe wojsko zaciężne, a pospolite ruszenie, jakkolwiek stawiło się w olbrzymiej liczbie 60.000 zbrojnej szlachty, nie nadawało się już do nowożytnego sposobu prowadzenia wojny. Zwrócono się wtenczas do Litwy o wzajemność; ten i ów Litwin stawiał się na ochotnika w polskim obozie, ale państwo litewskie, codopiero krwią i mieniem Polaków obronione od Moskwy, urzędowo posiłków odmówiło. Bohdan poniósł jednak nad Dniestrem walną klęskę od hetmana Kamienieckiego i musiał zawrzeć pokój i zwrócił wtenczas dokument, tyczący się małżeństwa z królewną Elżbietą.

ALBRECHT BRANDEBURSKI.

Cesarz Maksymilian spieszył z gratulacyami zwycięstwa mołdawskiego, ale równocześnie przypominał sprawę pruską, zabawiając się znowu w zwierzchnika Zakonu niemieckiego. Papież

nalegał, ażeby sprawę załatwiono polubownie, bo pragnął widzieć Polskę w pokoju ze wszystkiemi państwami chrześcijańskiemi, a w wojnie z samą tylko Turcyą. Zjechał do Polski legat papieski Jakób Pizo, ofiarując imieniem papieża Juliusza II. królowi Zygmuntowi naczelne dowództwo tureckiej wyprawy. Niemożliwem było zabrać się do wojny tureckiej przed załatwieniem sprawy pruskiej i przed zupełnem zabezpieczeniem się od Moskwy, Niemiec i Wołoszy. Odmówiono więc, przystano natomiast na propozycyę układów pokojowych z Wielkim Mistrzem. W czerwcu 1510 roku zjechali się pełnomocnicy cesarscy, węgierscy, sascy i polscy, ale Krzyżacy zaczęli się domagać nietylko uwolnienia od hołdu, ale nawet zwrotu Pomorza gdańskiego. Okazało się, że zjazd miał na celu tylko przewleczenie sprawy, aby zebrały się w Niemczech zbrojne posiłki dla Krzyżaków. Wśród takich stosunków umarł w grudniu 1510 r. Wielki Mistrz krzyżacki, książę Fryderyk saski.

Na następcę upatrzono Albrechta, siostrzeńca króla polskiego, syna starszej jego siostry Zofii, zamężnej za Fryderykiem, margrabią brandeburskim. Wśród licznego rodzeństwa zabrakło już książęcego chleba dla najmłodszego Albrechta, ale wahał się, czy wybór przyjąć; przed zaufanymi zwierzał się, że zostałby chętnie w Prusiech świeckim księciem, że nie chce mu się składać ślubów zakonnych. Ostatecznie przywdział płaszcz zakonny, zobowiązując się, że nie złoży hołdu królowi polskiemu. Natenczas kanclerz Łaski chciał sprawę załatwić podobnie, jak to uczynił król hiszpański, mający również w swojem państwie zakony rycerskie, bruździące polityce państwowej, a mianowicie, żeby król polski zrobił się sam Wielkim Mistrzem Zakonu; Albrechtowi zaś miano za to ofiarować arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Nie był on wcale kapłanem. Naczelne stanowisko Kościoła polskiego mogło było zdaniem ówczesnych dostojników i samego Łaskiego służyć do frymarku politycznego! Projekt ten upadł, natomiast wyłoniła się z początkiem 1511 r. liga cesarza Maksymiliana z carem Wasylem, książętami saskimi i Zakonem; Wielki Mistrz mógł już też liczyć na posiłki z Inflant, bo landmistrz inflancki zawarł był w r. 1509 14-letni rozejm z Moskwą.

UTRATA SMOLEŃSKA (1514).

Wobec tej ligi zachowali się niejednakowo dwaj Jagiellonowie. Król Władysław przystawał na następstwo Habsburgów na tronie czeskim i węgierskim w razie, gdyby nieletni królewicz Ludwik, dziecię słabowite, zmarł bezpotomnie i zezwolił na zaręczyny Ludwika z wnuczką cesarską, Maryą, i córki swej, Anny, z arcyksięciem Ferdynandem, wnukiem cesarskim. Król polski łączył się równocześnie z przeciwnikami Habsburgów na Węgrzech, na których czele stał wojewoda siedmiogrodzki Jan Zapolya. Starał się o rękę jego córki, Barbary Zapolskiej, i dnia 2 grudnia 1511 r. podpisano umowę małżeńską, a 8 lutego 1512 r. odbył się ślub w Krakowie. Maksymilian odpowiedział na to nowem porozumieniem z Moskwą. Już w październiku 1512 r. przybyło do Wilna, ni stąd ni zowąd, poselstwo cara Wasyla ze skargami, jakoby królowa wdowa, Helena, schyzmatyczka, doznawała prześladowań z powodu swego wyznania i z wyrzutami, jakoby król namówił był Tatarów do najazdu na Moskwę. Miało to służyć za pozór do nowej wojny. Wnet też ruszyła pod Smoleńsk liczna armia moskiewska. Przypuszczono walny szturm do twierdzy, przy którym poległo około 11.000 żołnierzy, lecz bezskutecznie. W następnym roku druga wyprawa moskiewska. Odparto ich z pod Smoleńska; pomimo to wolał sam Zygmunt prosić o pokój, ale Wasyl żądał Smoleńska, więc wojna toczyła się dalej. W lutym 1514 roku jeździły do Moskwy jawnie poselstwa cesarskie, a 4 sierpnia 1514 r. zawarli urzędowo przymierze przeciw Polsce, cesarz, tytularny zwierzchnik katolickiego świata, z naczelnikiem schyzmy. Natenczas Zygmunt postanowił przeciw Habsburgom szukać na nowo oparcia w sojuszu z Francyą. Odparto z pod Smoleńska jeszcze jedno wojsko moskiewskie, gdy w tem zdradzieckiemu Glińskiemu udało się namówić część załogi do zdrady, i w ten sposób dostał się ten gród w ręce moskiewskie w sierpniu 1514 r. Hetman Konstanty Ostrogski, mający jeszcze 35.000 wojska, nie dawał za wygraną. Odniósł też pod Orszą dnia 8 października 1514 r. pamiętne w dziejach zwycięstwo nad 80-cio tysiącznem wojskiem moskiewskiem. Przez 4 mile ścigano uchodzącego nieprzyjaciela, sam zaś Wasyl natychmiast po bitwie uciekł ze Smoleńska do Moskwy. Zwycięstwa tego nie wyzyskano jednak. Zamiast

ruszyć zaraz pod Smoleńsk, zmarnowano sporo czasu, tak, że sam król musiał wydać rozkaz, żeby ruszono na odzyskanie tej warowni. Kniaź Gliński ofiarował się, że teraz z kolei Wasyla zdradzi, nie był bowiem zadowolony z nowego pana, którego berło okazało się bez porównania twardszem od polskiego. Rozpoczął nawiązywać układy z Polakami, te jednakże wykryły się i Gliński zginął w więzieniu Wasyla. Z Moskwą zawarto 5-letnie zawieszenie broni. O stałym pokoju nie można było myśleć, gdyż żadna strona nie chciała wyrzec się Smoleńska.

KONGRES WIEDEŃSKI (1515).

Do przerwania wojny zniewalała polityków polskich nieprzyjazna postawa cesarza Maksymiliana, który zaręczał uroczyście, że użyje całej potęgi cesarstwa niemieckiego, żeby nietylko uchronić Albrechta od hołdu, lecz przywrócić Zakonowi Pomorze gdańskie. W maju 1514 r. wyprawiono do cesarza w sprawie pruskiej Rafała Leszczyńskiego. Ten przyjęty w Wiedniu jak najgorzej, odniósł wrażenie, że cesarz zbiera się na wojnę, do której poruszy nietylko książąt Rzeszy, ale też Danię, Mołdawię i Moskwę na nowo. Nie można zaś było liczyć na Wasyla, że dotrzyma rozejmu, bo ktoby chciał, mógł każdej chwili znaleść pozór do wojny na tamtej granicy wobec tego, że rozmaici drobni kniaziowie zbiegali ustawicznie z jednej strony na drugą. Cesarz pragnął tylko, żeby Zygmunt zerwał z Zapolyą. Był przekonany, że wojewoda siedmiogrodzki wyrzecze się nadziei uzyskania w przyszłości tronu węgierskiego, gdy nie będzie czuł nad sobą opieki polskiego króla. Przyszła więc z Wiednia propozycya, żeby się zjechać w Preszburgu na Węgrzech. Układy z Francyą nie dopisywały i nie było innej rady, jak poddać się życzeniom cesarza Maksymiliana, pocieszając się tem, że z Zakonem może łatwiej będzie się potem rozprawić i że Wasyl chętniejszy będzie do zgody, nie mając sojuszu z cesarzem. W marcu 1515 r. zjechali się w Preszburgu cesarz Maksymilian i obaj Jagiellończycy. Miał też przybyć Zapolya, lecz nie stawił się, dając swoją nieobecnością wiele do myślenia. Cesarz przystawał najzupełniej na zerwanie z Zakonem i Moskwą, Zygmunt zaś uznał poprzednie jego układy co do następstwa tronu, zawarte z królem Władysławem. Ażeby stwierdzić wobec całej Europy uroczyście zgodę dynastyi Jagiellońskiej z Habsburgami, pojechali

królowie z Preszburga do Wiednia. Od 15 lipca 1515 r. trwały przez 12 dni w Wiedniu nieustanne uroczystości pełne blasku, świetności i bogactw, roztaczanych przed gośćmi. Dnia 22 lipca odbył się w wiedeńskiej katedrze św. Szczepana ślub królewicza czeskiego i węgierskiego Ludwika z arcyksiężniczką Maryą, tudzież kombinowany ślub warunkowy królewny Anny Jagiellonki, tak, że miała ona wyjść za mąż za jednego z wnuków cesarza, Karola lub Ferdynanda, gdyby zaś małżeństwo z żadnym z nich w ciągu roku nie doszło do skutku, obowiązywał się sam cesarz zatrzymać ją, jako małżonkę. Takie małżeńskie kombinacye polityczne były jeszcze wtenczas dopuszczalne. Cesarz Maksymilian zamierzał pomiędzy dwóch swoich wnuków rozdzielić olbrzymie swoje panowanie, żeby jeden posiadł koronę hiszpańską i obie Burgundye, drugi zaś kraje austryackie. Ten drugi byłby też przeznaczony na przyszłego króla Czech i Węgier. W ciągu roku cesarz zdecydował się rzeczywiście. Przeznaczył wschód swojego państwa arcyksięciu Ferdynandowi i ten też został małżonkiem Anny Jagiellonki.

Podczas tych wszystkich kłopotów z dynastyą habsburską, omawiano ciągle w Europie sprawę ligi przeciwko Turcyi. W roku 1512 i 1513 obradujący V. sobór lateraneński zajmował się tą sprawą całego chrześcijaństwa nader gorliwie. Kiedy do Rzymu doszła wiadomość o zwycięstwie pod Orszą, odprawił papież uroczyste dziękczynne modły, przypuszczając, że król polski wolny już teraz od chrześcijańskich wrogów, będzie się mógł zwrócić przeciw Muzułmanom. Przeznaczano królowi Zygmuntowi naczelne dowództwo. Potem kongres wiedeński napełniał otuchą Stolicę apostolską, że teraz obie pogodzone dynastye: habsburska i jagiellońska zwrócą się wspólnie przeciw wrogowi chrześcijaństwa. Niestety okazać się to miało złudzeniem! Krzyżacy i nadal krępowali politykę polską.

PO KONGRESIE WIEDEŃSKIM.

Zaraz po kongresie wiedeńskim zawierał Albrecht brandeburski na własną rękę sojusze przeciw Polsce i umówił się z landmistrzem inflanckim Plettenbergiem, że w roku 1516 wyruszą razem na Żmujdź. Landmistrz przygotował wszystko na tę wojnę, w ostatniej chwili jednak rozmyślił się i pozostał biernym świadkiem Albrechtowego pochodu na żmujdzką granicę, której Albrecht sam

nie śmiał przekroczyć. Sojusz jednakże obydwóch mistrzów trwał nadal i płonną okazała się nadzieja polityków dworu polskiego, że udało się Plettenberga pozyskać niejako dla Litwy. Tegoż roku spustoszyli Tatarzy perekopscy ziemie ruskie.

Wnet po wiedeńskim kongresie, dnia 1 października 1515 r. umarła królowa Barbara Zapolska. Łaski, od pięciu lat prymasem będący, namawiał króla do małżeństwa z księżniczką Anną mazowiecką, ale na wybór małżonki wpłynęła sprawa posagu. Takie bowiem były w skarbie przerażające pustki po tylu wojnach, że senatorowie polscy wprost powiadali, że wszystko jedno, z kim się król ożeni, byle tylko bogato. Cesarz Maksymilian pragnął usilnie, żeby król polski pojął małżonkę z jego poręki. Wśród zalecanych przez cesarza księżniczek najpoważniejszą była księżniczka Bona Sforza, wnuczka króla aragońskiego Alfonsa, a córka księcia medyolańskiego i Izabeli aragońskiej; po najdłuższem życiu matki spodziewała się z bogactw aragońskich półtora miliona dukatów spadku, gotówki zaś posiadała 200 tysięcy dukatów posagu, a nadto prawo spadkowe do Bari w królestwie neapolitańskiem, tudzież do księstwa medyolańskiego w północnych Włoszech, jako przyszła dziedziczka starszej linii Sforzów. W roku 1517 postanowił król pojąć ją za żonę, a w kwietniu 1518 roku była już Bona koronowaną królową polską.

Dnia 12 stycznia 1519 roku umarł cesarz Maksymilian, rozdzieliwszy swe dziedziczne państwa między dwóch wnuków, Karola i Ferdynanda. Z tych Karol, będący królem hiszpańskim, ubiegał się o następstwo po dziadku na cesarskim niemieckim tronie. Wybór należał do siedmiu głównych książąt Rzeszy niemieckiej, zwanych wyborcami, czyli z łacińska elektorami, wśród tych zaś pierwszym był król czeski. Ówczesny król czeski, Ludwik, był nieletnim, opiekun zaś jego i stryj, nasz Zygmunt I., chciał skorzystać z tego zbiegu okoliczności, ażeby imieniem korony czeskiej oddać głos przy elekcyi cesarza niemieckiego, a to przeciw Habsburgom, a za kandydaturą wprost przeciwną; zgłaszał się bowiem do tego tronu król francuski, Franciszek I., największy Habsburgów wróg. Same Stany czeskie nie życzyły sobie jednakowoż, żeby obcy monarcha oddawał głos w imieniu ich państwa i wyprawili od siebie posłów do Frankfurtu z poleceniem, żeby oni w imieniu korony czeskiej głosowali na Karola. Sprawa ta miała kilka zawi-

kłań, a ostatecznie nie wpłynęła niczem na tok wypadków. Król polski poniósł jednak klęskę moralną już przez to, że nie dopuszczono go do głosu i że nie udało mu się wyzyskać położenia politycznego do swoich celów. Odtąd toczą się znów poufne układy między dworem krakowskim a paryskim przez pięć lat, aż w roku 1524 stanęło nowe przymierze francusko-polskie przeciw Habsburgom.

WOJNA Z KRZYŻAKAMI (1519–1521).

Wobec tego nowy cesarz niemiecki, Karol V., miał się na baczności przed Polską i na nowo zaczął się związek Habsburgów z Moskwą i Krzyżakami. Pozwolono Albrechtowi brandeburskiemu na zaciągi wojska w Niemczech, żeby się mógł przygotować należycie do przyszłej wojny z Polską. Nie było jednak w Niemczech takiego zapału dla krzyżackiej sprawy i Wielki Mistrz musiał przedtem dobre przygotować zapasy pieniężne. Zabrał się do tego systematycznie i gotował się poważnie do ostatecznej z Polską rozprawy, mając nadzieję, że i Wasyla na nowo przeciw Polsce poruszy. Królowi Zygmuntowi nie brakło stanowczości; widząc więc, na co się zanosi, postanowił nieprzyjaciela uprzedzić i 1519 roku wypowiedział wojnę swojemu siostrzeńcowi.

Wojnę tę prowadzono zaciężnym żołnierzem, co wymagało wielkich nakładów. Skarb gotówki na to nie miał, ale największym skarbem był patryotyzm obywateli i zapał ich do wojny z niemczyzną. W ciągu tego i następnego roku uchwalono trzy razy wysokie podatki, a nadto pospolite ruszenie. Szlachta okazała się godnymi potomkami przodków swoich z czasów 13-letniej wojny, nie szczędząc żadnych ofiar. Albrechtowi przyspieszone wypowiedzenie wojny było bardzo nie na rękę, ale nie mogąc już walki odwrócić, sam postępował z największą energią i pierwszy wystąpił zaczepnie, oblęgłszy Brunsbergę, warowną stolicę Warmii, zanim hetman, Mikołaj Firlej, zdołał stanąć na pruskiej granicy. Hetman ruszył wprost do Prus krzyżackich i w ciągu stycznia i lutego 1520 roku zajął 9 grodów. W Niemczech werbowano na gwałt wojsko, a zanimby ono nadciągnęło, starano się złudnymi układami pokojowymi zyskać na czasie. Książęta niemieccy słali listy wstawiennicze do króla polskiego, cesarz zaś poruszył nawet dwór papieski o pośrednictwo. Kiedy Firlej dostał się pod samą

stolicę Wielkiego Mistrza, pod Królewiec, obiecał Albrecht złożyć hołd i prosił o rozpoczęcie układów. Zawarto więc zawieszenie broni. Stracono jedenaście dni na układach w Toruniu, poczem nieopatrznie pozwolono Wielkiemu Mistrzowi z Torunia wyjechać, a on zdradziecko zerwał układy, czekał bowiem tylko na wiadomość, że wojsko w Niemczech już zebrane. Odniesiono wprawdzie zwycięstwo nad Albrechtem, ale nie udało się odzyskać Brunsbergi, Albrecht zaś opanował znów dwa grody, Melsak i Ornetę. Sprawa pogarszała się, bo w październiku wojsko niemieckie pod wodzą Schomberga wkroczyło rzeczywiście do Wielkopolski i zajęło Międzyrzecz. Wójtowie okolicznych miasteczek i wsi, nie zapomniawszy jeszcze o swojem niemieckiem pochodzeniu, zachowywali się dwuznacznie. Obawiano się oblężenia Poznania, wzmocniono więc tam na prędce załogę i zwołano zarazem pospolite ruszenie pod Wągrowiec. Niemiecki hufiec cofnął się z granic polskich i przez Nową Marchię zmierzał do Prus, żeby okrążyć polskie posiadłości. Udało im się wyprzedzić polskie wojsko w Prusiech królewskich i zdołali zająć Chojnicę, Starogród i Tczew. Konnica polska pod Przecławem Lanckorońskim i Andrzejem Tęczyńskim nękała ich ustawicznie podjazdami i choć sprawowała się dzielnie, Schomberg w pospiesznych marszach doszedł do Wisły. Tu jednak powstrzymał ich pochód Jan Kościelecki. Sam król na czele pospolitego ruszenia wyruszył do Bydgoszczy, żeby wziąć Krzyżaków i ich sojuszników we dwa ognie. Przez dwa dni stał Schomberg pod Gdańskiem, któremu na odsiecz wyruszył Firlej. Rozstrzygnęło wojnę w Prusiech królewskich pospolite ruszenie ludu wiejskiego. Dzielni Kaszubi z kosami i cepami wyruszyli w pole, nie dawali Niemcom pokoju ni we dnie ni w nocy i kiedy tamci sądzili, że szlacheckie pospolite ruszenie i ludzie zaciężni Firleja zmęczeni, wypoczywają i pozostawią ich w spokoju, wtenczas lud kaszubski urywał i kosił ich na każdym kroku. Dopomogło to znacznie Firlejowi do odzyskania grodów, zajętych przez Albrechta, gdyż nie potrzebował już sił rozdzielać i wyprawa Albrechta spełzła na niczem.

Armia Schomberga nie zdoławszy nawet połączyć się z Albrechtem, rozbita, musiała w największem rozprzężeniu i nieporządku cofnąć się w szybkiej ucieczce ku zachodniej granicy tak, że ledwie resztki wojska wróciły do Niemiec. Wielkiemu Mistrzowi

nie pozostawało nic innego, jak prosić o pokój, a to tem bardziej, że landmistrz inflancki wycofał się. Już w kwietniu 1520 roku doradzał Plettenberg Albrechtowi zawrzeć pokój, w lipcu odmówił mu dalszej pomocy, a następnie przyrzekł ją wprawdzie na nowo, lecz pod warunkiem, że Wielki Mistrz zrzecze się lennego zwierzchnictwa nad inflanckim oddziałem zakonnym i rządzoną przez niego Estonią, a do tego nie miał Albrecht ochoty i łudził landmistrza pod rozmaitymi pozorami, że Zakon ostatecznie zwycięży; posiłków jednakże od Plettenberga już nie otrzymał.

Była sposobność zduszenia krzyżactwa do reszty. Można było zająć Królewiec, a opierając się na pokoju toruńskim z 1466 r., domagać się zrzucenia Wielkiego Mistrza z godności z powodu zdrady przeciw lennemu zwierzchnikowi. Można było popróbować teraz wykonania projektu Łaskiego, żeby Krzyżaków przenieść na Podole; niechby tam walczyli z Tatarami, skoro od tego byli, żeby walczyć z niewiernymi; Prusy zaś krzyżackie można było zająć i do Polski wcielić, przyłączając je do gdańskiego Pomorza.

Były jednak przeszkody. Wstąpił właśnie na tron turecki sułtan Soliman, który panowanie rozpoczął odrazu od wyprawy na Węgry. Król Ludwik błagał Polskę o pomoc. Wyruszyło na Węgry 6.000 polskiego wojska pod Janem Tarnowskim, podczas gdy Turcy zdobyli Belgrad i granicę swojego panowania posunęli po rzekę Sawę. Z obawy, że będą mieli do czynienia z Węgrami i Polską równocześnie, wstrzymali się przynajmniej w dalszych zabiegach. Król Zygmunt musiał liczyć się z możliwością, że trzeba będzie prowadzić wielką wojnę z Turcyą, i dlatego przystał na zawieszenie broni z Wielkim Mistrzem. Wyświadczył tem przysługę Węgrom, a pośrednio całemu chrześcijaństwu. Nie zawierał pokoju, lecz tylko czteroletnie zawieszenie broni, tuszył bowiem, że w ciągu tych czterech lat zażegna się niebezpieczeństwo tureckie i że tymczasem dojdzie sojusz z Francyą, a wtenczas weźmie się Niemców we dwa ognie, od Polski i Francyi równocześnie, a sprawę krzyżacką ostatecznie się już na zawsze załatwi. Wypadki jednak innym poszły torem. Miał słuszność król Zygmunt, że przewidywał nową zmowę Niemców z Moskwą. Car Wasyl, zaskoczony groźnym najazdem tatarskim, zawarł 1522 r. pięcioletni rozejm z Polską. Nie przeszkadzało to jednak Karolowi V. wyprawić następnego roku od siebie poselstwo do Moskwy, pobudzające do nowej wojny.

Z polskiej strony zwrócono się ku Francyi. Z końcem 1522 roku przybył do Polski poseł Antoni Rincone i rozpoczęto układy, które doprowadziły roku 1524 do nowego traktatu, zawartego za pośrednictwem Hieronima Łaskiego, bratanka prymasa. Wzajemne małżeństwa miały sojusz ten uświęcić. Królewicz francuski, Henryk, miał pojąć jednę z polskich królewien, a czteroletni wówczas królewicz, Zygmunt August, syn Bony, miał w przyszłości poślubić jednę z królewien francuskich. Prawa królowej Bony na półwyspie włoskim do księstwa medyolańskiego (które cesarz zająwszy w roku 1521, nadał w lenno Franciszkowi Sforzy, pochodzącemu z młodszej linii tej dynastyi, z krzywdą królowej Bony, pochodzącej ze starszej linii), miały przejść na narzeczoną francuskiego królewicza. Traktat ten zawarto w największej tajemnicy, czekając stosownej chwili, żeby z niego zrobić użytek. Cesarz Karol V. czegoś się jednak domyślał i żeby uśmierzyć królową Bonę, przyznał jej prawo lenne do jej księstwa Bari w południowych Włoszech, które wicekról neapolitański zajął był już w jego imieniu.

Dnia 22 marca 1525 r. minęły cztery lata rozejmu z Krzyżakami. Nie podjęto jednak na nowo wojny, sprawę zaś załatwiono w sposób, który wywołał zdziwienie w całej Europie i był swojego czasu skandalem politycznym. Król polski pozwolił, żeby Wielki Mistrz zrzucił śluby zakonne i ogłosił się świeckim, dziedzicznym książęciem Prus pod lennem zwierzchnictwem Polski. Stało się to na tle t. zw. reformacyi, a właściwie rewolucyi religijnej wszczętej w Niemczech i Szwajcaryi przez Marcina Lutra i Jana Kalwina. Na te lata bowiem przypadł ów rozłam w Kościele, z którego powstał luteranizm i kalwinizm.

T. ZW. REFORMACYA.

W nauce teologicznej, jak w każdej, bywały często rozmaite wątpliwości, ale nie brakowało też dawniej teologów dosyć poważnych na to, żeby je rozstrzygać, nie brakło też karności, żeby się poddać orzeczeniom najwyższej Głowy Kościoła. Z końcem XV. i początkiem XVI. w. karność kościelna zupełnie jednak zniknęła i wykształcenie teologiczne tak zmalało, że jeżeli kto z kapłanów zajmował się choćby trochę teologią, już za uczonego teologa uchodził. Najbardziej zaś podupadł Kościół w Niemczech, toteż tam poczęła się rewolucya religijna.

Marcin Luter, mnich zakonu augustyańskiego i profesor teologii w uniwersytecie w Wittenberdze (dokąd jeździło dużo młodzieży polskiej i czeskiej), skłonny do przesadnej trwogi o zbawienie swojej duszy, nabrał przekonania, że człowiek, istota tak nędzna, nie zdoła uczynić nic, coby mogło stanowić zasługę przed Bogiem, że więc nie można być zbawionym przez uczynki, ale tylko przez samą wiarę. Nie wahał się on później wypowiedzieć swych zapatrywań w zuchwałej formie: „Sündige fest, glaube noch fester“, co znaczy: „Grzesz tęgo, byleś jeszcze mocniej wierzył“. Kto nie przypisuje uczynkom znaczenia, ten nie może też wierzyć w potrzebę odpuszczenia kary doczesnej za złe uczynki, a więc odrzuca naukę o odpustach. Luter nie mógł zrozumieć, jak Kościół pośredniczy mocą władzy nadanej mu przez Zbawiciela w odpuszczeniu kar doczesnych, nadając odpusty za dobre uczynki, za ofiary, poniesione na zdrowiu lub mieniu na rzecz pobożnych dzieł, np. spieszącym na wyprawy krzyżowe, lub też łożącym na pobożne fundacye. Nie rozumiał zupełnie, na czem to polega, że papież Leon X. nadał odpust dającym składkę na budowę nowego kościoła św. Piotra w Rzymie. Wydawało mu się, że to prosty handel odpustami, że dać składkę, znaczy to samo, co kupić sobie odpust. Nie rozumiał, że choćby kto cały majątek dał był na budowę tego kościoła, nie dostąpiłby odpustu, jeżeliby nie miał w sobie ducha prawdziwej pobożności, głębokiej wiary, gdyby godnie nie przystąpił do Sakramentów św. i najpierw nie pozyskał sobie stanu łaski. Luter, wiedziony mylnem przekonaniem, wystąpił w r. 1517 publicznie przed całem miastem przeciw katolickiej nauce o odpustach. Ale to był dopiero początek. Wkrótce wystąpił przeciw papieskiemu prymatowi, następnie przeciw urzędowi biskupiemu, potem znosił celibat, a dalej począł głosić, że życie zakonne jest nawet ciężkim grzechem, że wszyscy mnisi i wszystkie zakonnice mają opuścić klasztory i zawrzeć związki małżeńskie, sam też w końcu dał tego przykład, ożeniwszy się z byłą mniszką. Na argument, że tradycya Kościoła uświęca rozmaite instytucye, potrzebne do rozwoju kościelnego ducha, odpowiedział odrzuceniem zupełnem tradycyi i odtąd w to tylko wierzyć chciał, co bezpośrednio w Piśmie św. się znajduje. Ale Pismo św. nie dla każdego jest jasnem; wymaga ono tłumaczenia czyli interpretacyi. Tem zajmuje się Kościół przez Głowę swą tj. rzym-

skiego papieża. Luter obwieścił, że Pismo św. należy interpretować nie według papieskiego zdania, ale według własnego uznania i rozumu, a odkąd z tem się oświadczył, stał się założycielem nowego zupełnie wyznania. Niechęci przeciw Kościołowi było wiele, a zasada Lutra schlebiała ludzkiej próżności, udzielając z góry jakoby rozgrzeszenia każdemu, kto się nie zgadzał z nauką Kościoła katolickiego. Cieszono się, gdy zerwał jawnie z papiestwem, paląc publicznie bullę papieską. Cesarz Karol V. pragnął stłumić ten niebezpieczny ruch, ujęli się jednak za Lutrem potężni książęta Rzeszy niemieckiej.

Książęta mieli w tem gruby świecki interes. Luter odrzucając papiestwo i apostolskie następstwo biskupów, nie zaniechał też wznowić dawnego twierdzenia Albigensów i Husytów, że Kościół nie powinien posiadać dóbr ziemskich, a majątek duchowny ma być przeznaczony na cele publiczne. W okresie ciężkiego przesilenia ekonomicznego w państwach, gdy skarbce monarsze nietylko w samej Polsce pustkami świeciły, była to nielada sposobność obłowienia się kosztem Kościoła. Przedstawicielem spraw publicznych był książę panujący. Jeżeli majątek kościelny miał być na cele publiczne przeznaczony, znaczyło to według ówczesnych pojęć, że ma go zabrać monarcha tego kraju i być jego szafarzem według własnego uznania. Wychodziło to w praktyce na to, że Luter upoważniał książąt do konfiskowania dóbr kościelnych. Rzucili się też na to bardzo chętnie i w ten sposób powstały olbrzymie dynastyczne skarbce rozmaitych mniejszych i większych protestanckich rodów monarszych w Europie. Rzecz więc prosta, że wszyscy ci książęta Rzeszy niemieckiej, którzy nie bardzo byli do Kościoła przywiązani, stali się zwolennikami Lutra. Pod opiekę księcia saskiego, Maurycego, schronił się Luter przed cesarską banicyą a pozyskawszy 1522 r. także landgrafa heskiego, począł urządzać nowy kościół. Zmieniwszy naukę, zmienił także nabożeństwo. Zaczęło się to od języka krajowego i komunii pod obiema postaciami, (od tych zwykłych pierwszych haseł wszelkich religijnych rewolucyj) aż skończyło się na odrzuceniu całej niemal Mszy św., a potem nawet na zasadniczej zmianie nauki o przemianie chleba i wina w Ciało i Krew Pańską. Wszystko to odbywało się pod hasłem „wolności ewangelicznej“. Lud niemiecki zrozumiał „wolność“ tę w ten sposób, że nie trzeba płacić podatków, ani wyko-

nywać powinności względem feudalnych panów i wybuchła 1524 r. pod hasłem luterskiem straszna wojna chłopska w Szwabii i Frankonii. Książęta poczęli się wahać, czy nie za drogo okupią dobra kościelne. Wtenczas Luter zwrócił się z całą stanowczością przeciw ruchowi chłopskiemu, potępił go i uznał zasadę niewoli chłopskiej, byle tylko zapewnić sobie nadal opiekę książąt. Odtąd jest więc luteranizm religią książąt, dążących pod płaszczykiem religijnym do napełnienia skarbu i powiększenia władzy. Luter bowiem doszedł w końcu do tego, że przyznał książętom nieograniczone prawo stanowienia o urządzeniach kościelnych w swojem państwie, zupełnie według własnej woli, tak, że każdego z nich robił jakoby papieżem w swoim kraju. Największe zło tkwi też właśnie w tem, że nawet sumienie obywateli oddano pod władzę rządu. To jednak właśnie podobało się zwolennikom jak najsilniejszej władzy monarszej.

Obok luterskiej, powstawały inne jeszcze nauki przeciwne Kościołowi. Skoro wolno było samemu tłumaczyć sobie Pismo św., mogło być tylu twórców nowych wyznań, ilu czytelników Świętych Ksiąg! Zwolenników „nowinek“ religijnych poczęto zwać od r. 1529 protestantami, od tego, że książęta luterscy zaprotestowali wówczas przeciw niekorzystnej dla nich uchwale sejmu Rzeszy niemieckiej.

SEKULARYZACYA PRUS.

Luterskie nowinki pojawiły się w Gdańsku już w r. 1518 i stąd przeszły do Prus krzyżackich. Krzyżacy oddawna byli zakonem ledwie z imienia. Rozluźnienie nietylko karności, ale wprost obyczajów, było takie, że każdy Krzyżak był zgorszeniem swego otoczenia, wyzyskiwaczem fundacyi Zakonu i raczej łupiezcą jego, niż członkiem. Młodzi synowie niemieckich pańskich rodów wstępowali do Zakonu, jakkolwiek uznawali, że on już do niczego niepotrzebny, bo dostarczał im utrzymania. Oni sami byliby bardzo radzi, żeby dało się zwolnić ze ślubów zakonnych, których i tak całkiem nie wykonywali. Luteranizm dozwalał im zrzucić habit, zamienić się na świeckich ludzi, pobrać żony, pozakładać gospodarstwa i stać się dziedzicznymi panami tych dóbr, których zawiadowcami niejako byli z ramienia Zakonu. Spodobał się też luteranizm bardzo biskupowi sambijskiemu, Jerzemu

Pohlenzowi, a sekretarz Wielkiego Mistrza, Franciszek Heideck, od samego początku zwracał baczną uwagę na przebieg wypadków w Niemczech. Komturowie zakonni postanowili się sekularyzować, o samym zaś Wielkim Mistrzu wiemy, że od początku było marzeniem jego, żeby zatrzymać panowanie w Prusiech, a nie musieć składać zakonnych ślubów. Już podczas wojny r. 1520 Zakon był zupełnie zlutrzony. Zawieszenie broni służyło Albrechtowi do tego tylko, żeby nadać jakąś formę temu, co i tak już się stało. Pojechał do Niemiec, widział się z Lutrem i dwoma głównymi jego pomocnikami, Melanchtonem i Ossiandrem. Przez sekularyzacyę zrywałby jednak zupełnie z resztą Zakonu, a więc z Deutschmeistrem i landmistrzem inflanckim, a cesarz, stanowczy przeciwnik Lutra, zerwałby przyjaźń z Albrechtem. Trzeba było koniecznie pozyskać sobie króla polskiego. Wszak zerwanie związku pomiędzy Prusami a dynastyą habsburską mogło być właśnie na rękę Jagiellonom! Albrecht wiedząc, że król polski przystał w r. 1521 na zawieszenie broni głównie ze względu na sprawy węgierskie, a mając wśród węgierskich wielmożów z dawna ścisłe związki, wysłał tam swego zaufanego, i całą sprawę omówiono dokładnie najpierw na dworze króla Ludwika, skąd poszły pierwsze instancye do króla polskiego. Kiedy skończyło się zawieszenie broni, Wielki Mistrz, przebywający stale w Niemczech, zbliżył się ku polskiej granicy i stanął w Kluczborku na Ślązku. Stąd wysłał dnia 2 marca 1525 r. brata swego Jerzego, margrabiego brandeburskiego i dziewierza księcia lignickiego Fryderyka, obydwóch już zlutrzonych, do Krakowa, przedstawiając, że złoży chętnie hołd, jako świecki książę Prus wschodnich i że będzie odtąd wiernym Koronie polskiej. Rzeczywiście pozbawiony oparcia w cesarzu, skazany wyłącznie na opiekę króla polskiego, nie byłby nawet mógł myśleć o jakimkolwiek względem niego oporze. To się podobało kanclerzowi Krzysztofowi Szydłowieckiemu i podkanclerzowi Piotrowi Tomickiemu, który był zarazem biskupem krakowskim. Cieszyli się, że zażarty wróg narodu zamieni się od jednego zamachu nietylko w spokojnego sąsiada, ale w przyjaciela, bo (tak rozumowali), własny interes zwiąże go z Polską przeciw Rzeszy Niemieckiej i Habsburgom. Albrecht widząc to, zaczynał się targować i chciał nawet rozszerzyć przy tej sposobności swe panowanie. Zgodzono się nareszcie na to, żeby granicę pomiędzy Prusami królewskimi

i przyszłem księstwem stanowiła rzeka Pasłęka (Passarge). Poseł króla Ludwika, Stalilius, napierał, żeby zgodzić się na warunki Albrechta w imię pokoju, potrzebnego wobec groźnej postawy Turcyi.

Układy prowadzone były w największej tajemnicy. W Polsce wszyscy byli przekonani, że w r. 1525 wybuchnie nowa wojna. Sejm z r. 1524 uchwalił na wznowienie wojny z Zakonem znaczne podatki, a społeczeństwo gotowe było do jak największych ofiar. Uchwalono po 18 dukatów z 30 łanów. Widziano, co w Prusiech się dzieje, ale wysnuwano z tego wniosek, że skoro Zakon przestanie tam istnieć, zlutrzywszy się, nastąpi to, co przewidywało prawo lenne w razie wymarcia lennego rodu, t. j., że ziemia krzyżacka przez to samo przypadnie polskiej Koronie. W Rzymie wiedziano o zamiarach Albrechta. Papież Klemens VII. pisał do Albrechta, że odtąd będzie popierał stanowczo króla polskiego przeciw Zakonowi i gdy się rozeszła wieść, że Albrecht zamierza się ożenić, zwołał papież tajny konsystorz, na którym postanowiono w danym razie złożyć go z urzędu mocą papieskiego rozkazu. Wszystko tedy przygotowane było, żeby zadać polityce Albrechta stanowczy cios. Dwór papieski i cesarski byłby popierał Polskę przeciwko niemu. Mogło więc było doskonale bez sekularyzacyi się obejść, zwłaszcza, że podatki na wojnę były uchwalone. Ale dano się uwieść tej okoliczności, że sekularyzacya zwraca się właśnie przeciwko cesarzowi, że Albrecht zrzucając płaszcz krzyżacki, przejdzie z obozu habsburskiego do antihabsburskiego, a właśnie stanął w r. 1524 sojusz z Francyą. Z radości, że Zakon przestanie w Prusiech istnieć, że się rozerwie związek jego z Habsburgami i Moskwą, przepomniano zastanowić się, że świecki dziedziczny książę Prus może się stać tak samo zdradzieckim lennikiem, jak zdradzieckimi byli Wielcy Mistrze Zakonu.

Sprawa miała jednak nietylko polityczne znaczenie, ale przedewszystkiem kościelne, a w senacie polskim biskupi zasiadali przecież na pierwszem miejscu! I oto stało się, że warunki sekularyzacyi spisał własną ręką biskup krakowski i na akcie nowej ugody z niemieckim świeckim księciem pruskim, datowanym w Krakowie, dnia 8 kwietnia 1525 r., wśród 22 podpisów jest 17 podpisów kapłańskich! Na rynku krakowskim odbył się hołd Albrechta z nadzwyczajną uroczystością. Ewangelię przed zaprzań-

cem trzymał prymas polski wraz z biskupem krakowskim. Albrecht składał przysięgę na ewangelię, a senatorowie polscy nie zwracali uwagi na słowa przypisywane arcybiskupowi lwowskiemu, Bernardowi Wilczkowi, który nie podpisał owego aktu, że jakże ma dotrzymać przysięgi królowi ten, kto jej nie dotrzymał Bogu? Bawił w Rzymie właśnie od prymasa Łaskiego poseł jego Jerzy Myszkowski w sprawach kościelnych. Łaski polecił mu, żeby nic nie mówił o tem, co zaszło, a gdyby go papież zapytał, żeby nie dawał żadnej odpowiedzi, tylko żeby odesłał po wyjaśnienie wprost do samego króla. Udawał więc poseł, że o niczem nie wie, ale papież trafił w samo sedno rzeczy i kazał Myszkowskiemu zapytać się nie króla, lecz prymasa, jakiem prawem coś podobnego mogło stać się pod jego okiem?

Wszystko to stało się wśród szczupłego grona senatorów; ogół obywatelstwa nie wiedział zupełnie o niczem. Zdołano jednak opinię publiczną zmylić, przedstawiając, jak to dobrze, że sprawę tak zawikłaną załatwi się bez wojny. Ogół ucieszył się, że Zakon przestał już istnieć; nie sięgając głębiej, nie pomyślał, że przestał istnieć tylko w Prusiech, ale istnieje jeszcze w tylu krajach europejskich i że ma prawo wybrać sobie nowego Wielkiego Mistrza i teraz dopiero zupełnem prawem może zgłosić pretensye do dawnych Prus krzyżackich, obecnie książęcych.

POCZĄTKI PROTESTANTYZMU W POLSCE.

Przyjęto sekularyzacyę Prus lekkiem sercem, bo „nowinki“ religijne zaglądały już także do nas, szerząc się z Wrocławia i Gdańska. Przez Wrocław szły książki luterskie do Poznania i Krakowa. Piastowscy książęta ślązcy, zniemczeni na wskróś, chętnem okiem patrzyli na reformacyę, jako na sposobność do wzbogacenia się. Wyjątkiem wśród nich był taki książę opolsko-raciborski Jan VII., który w liście do papieża Klemensa VII. z r. 1524 biada nad przykrym stanem rzeczy. Cóż z tego, kiedy biskupem wrocławskim był Jan Turzo, syn krakowskiego bankiera, którego nazwał najlepszym biskupem sam Luter! W Lignicy już w r. 1523 wprowadzono luteranizm i założono szkołę do krzewienia nowych zasad. Najsłynniejszą jednak była szkoła w Złotoryi, do której był olbrzymi napływ uczniów także z Polski, bo szkoła ta, mająca smutne wspomnienie w dziejach Kościoła, zajmuje jednak zaszczytne

miejsce w historyi pedagogii, gdyż kierownikiem jej był Trotzendorf, jeden z najsłynniejszych wychowawców swego czasu. W Poznaniu już pomiędzy rokiem 1520 a 1522 głosił naukę Lutra Dominikanin Samuel, a po nim zaś Jan Sieklucki z Bydgoszczy, którym się opiekował Albrecht brandeburski. Główny po uniwersytecie krakowskim zakład naukowy ówczesnej Polski, t. zw. szkoła Lubrańskiego w Poznaniu była też zarażoną. W krakowskiej dyecezyi wydarzyło się pierwsze oskarżenie księdza o sprzyjanie luteranizmowi w r. 1522 w dekanacie bieckim. W Wielkopolsce możnowładczy ród Górków, władający tak rozległym majątkiem własnym i z dzierżaw dóbr królewskich, że mógł tysiącom osób chleba dostarczyć lub go też odebrać, popierał luteranizm. Król Zygmunt próbował wydawać surowe edykta przeciwko sprowadzaniu luterskich książek, przeciw wysyłaniu młodzieży na uniwersytet w Wittenberdze i Lipsku, ale to wszystko na nic się nie mogło zdać. Po sekularyzacyi Prus łudzili się na chwilę Lutrzy i rozpuścili w Europie pogłoskę, że sam król polski przyjmie luteranizm. Zygmunt był nieposzlakowanej wierności wobec Kościoła, ale nie miał prawa tamować swobód obywatelskich i pamiętał o zasadzie, że wiara niema być z przymusu. Nie przypuszczał też, żeby protestantyzm się utrwalił; był przekonany, że nowy sobór powszechny wątpliwości wyjaśni, nienawiść stłumi i jedność przywróci. Ze wszystkich monarchów europejskich on też pierwszy, bo już w r. 1524 zwrócił się do papieża z żądaniem zwołania soboru powszechnego dla usunięcia rozterek religijnych. Miał król Zygmunt sumienie czyste. Królem tylko był, a nie biskupem, a królem musiał być jednakowo dla katolików i akatolików. To właśnie historya z największą wspomina wdzięcznością, że nigdy nie chciał być panem sumień ludzkich. Póki Kościół polski sam się nie bronił, król i tak nie byłby go obronił.

KLĘSKA POD MOHACZEM.

Rachuby polityczne, związane ze sekularyzacyą Prus, zawiodły w zupełności. Król francuski Franciszek I. poniósł we Włoszech klęskę od cesarza Karola V. i nawet dostał się do niewoli; więziony w Madrycie musiał się w r. 1526 upokorzyć i na pewien czas porzucić wszelkie plany polityczne. Równocześnie przedsięwzięła Turcya walną wyprawę na Węgry. Dnia 29 sierpnia 1526 r.

zginął pod Mohaczem 19-letni Ludwik Jagiellończyk, król czeski i węgierski. Liga przeciw Turcyi stawała się coraz pilniejszą potrzebą, ale Rzesza Niemiecka stała się zupełnie niezdolną do większych przedsiębiorstw na zewnątrz, bo była rozdwojona walką protestantów z katolikami, która zamieniła się niebawem na wojnę domową. Stronnictwo protestanckie dążyło do tego, żeby Habsburgów wyzuć z panowania, ci więc zajęci byli własną obroną. Powszechna wojna z Turcyą stawała się niemożebną, bo protestantyzm wywołał zamieszki we wszystkich państwach. I Polska popaść miała niebawem w osłabienie polityczne. Wskutek t. zw. reformacyi trzeba się było wyrzec na długi czas nawet nadziei dojścia do czarnomorskich wybrzeży, podczas gdy w sam raz z naszej winy powstało nad Bałtykiem — księstwo pruskie pod Hohenzollernem.

Podczas tych pierwszych dwudziestu lat panowania Zygmunta I., tak przepełnionych ciężkiemi przejściami politycznemi, równocześnie wrzała na nowo walka szlachty z możnowładztwem, tamując nieraz tok spraw publicznych w najszkodliwszy sposób.

OŚWIATA.

Demokracya szlachecka tem szersze zataczała kręgi, że w społeczeństwie szerzyła się inteligencya. Od założenia uniwersytetu rozpowszechniała się sztuka czytania i pisania z coraz większą szybkością, bo studenci rozchodzili się po kraju, coraz łatwiej było o nauczyciela i tak około 1500 r. cała już niemal szlachta i mieszczaństwo były u nas piśmienne, tak, że pod tym względem wyprzedziliśmy znacznie sąsiednie Niemcy. Uniwersytet Jagielloński kwitnął, jego profesorowie starali się z wielką usilnością odrobić opóźnienie w naukach wobec narodów zachodnich, Francyi, Włoch i Anglii. Pielęgnowano usilnie filozofię wtenczas, kiedy ona na zachodzie upadała już, jakby chcąc jeszcze w ostatniej chwili dorzucić polski dorobek do europejskiego ruchu umysłowego. Na zachodzie umysły odwracały się od filozofii, a zwracały ku studyom starożytnego świata. I to nie było nam obce, uprawiano starożytnictwo greckie i łacińskie w naszym uniwersytecie już z końcem XV. wieku. Nie brakło też sporów pomiędzy dwoma prądami, starym, na filozofii kościelnej opartym, t. zw. scholastycznym a nowym, opartym na klasycznym świecie, t. zw. humanistycznym. Obydwa prądy były silne, miały wybitnych obrońców z końcem

XV. a początkiem XVI. wieku, co też świadczy najlepiej o owem pokoleniu. W Krakowie naprawdę wrzało życie, ścierały się myśli, uniwersytet nietylko polskim był, ale stał się europejskim, pełno było w nim i około niego cudzoziemców. Właśnie w r. 1500 ilość nowo wstępujących uczniów przekroczyła po raz pierwszy liczbę 500. Słynął zaś nasz uniwersytet z pielęgnowania zwłaszcza nauk ścisłych, matematyki i astronomii. Marcin Król z Żurawicy wprowadził już w połowie XV. wieku trygonometryę. Marcin Bylica z Olkusza słynął za granicą, a Wojciech Brudzewski łączył zamiłowanie w humanizmie z największem znawstwem astronomii; on pierwszy poznał, że księżyc krąży koło ziemi nie po kolistej drodze, lecz po owalnej i że do ziemi zwrócony jest zawsze jedną tylko stroną.

Uczniem jego był Mikołaj Kopernik, drugi obok Pawła Brudzewskiego geniusz dawnej Polski. Ten miał niebawem dokonać odkrycia, że ziemia koło słońca krąży, podczas gdy przed nim mniemano powszechnie, że słońce i wszystkie planety obracają się koło ziemi. Byliśmy tedy pierwsi w matematyce, astronomii, w prawie międzynarodowem; mieliśmy też wybitnych uczonych w nauce finansów państwowych. Zapęd ten pozwolił wróżyć najlepiej o przyszłości nauk w Polsce. Gdy król Zygmunt wstępował na tron, zdawało się, że nauka polska stanie w naczelnym szeregu wiedzy europejskiej.

Językiem naukowym była w całej Europie, i w Polsce także, tylko łacina. Była to wielka wygoda dla uczonych, ale nie wystarczało to dla oświaty powszechnej w narodzie, bo ta tylko w ojczystym języku z powodzeniem może się szerzyć. Do tego trzeba jednakże, żeby język ten stał się piśmiennym.

Jedyny z razu wykształcony piśmiennie stan w narodzie tj. księża, znali tylko abecadło łacińskie, które zastosowano też do pisma w językach zachodniej Europy, ze słowiańskich zaś do czeskiego i polskiego, a następnie jeszcze do chorwackiego. Wschodnie języki słowiańskie miały swą cyrylicę, dogodniejszą o tyle, że ma więcej znaków piśmiennych. Łacina miała ich za mało, trzeba więc było sztucznie obmyśleć sposób pisania wyrazów, czyli ortografię. Tem zajął się u nas pierwszy Jakób Parkosz, rektor krakowskiego uniwersytetu za Kazimierza Jagiellończyka; następnie zaś za króla Zygmunta rozwijano dalej te usiłowania. Największy kłopot był

z brzmieniami jak: *ł, ć, ś, dź, sz, cz*, i t. p., nieznanemi zupełnie nietylko w łacinie, ale w żadnym z zachodnich języków europejskich. W Czechach ułożył to Jan Hus w ten sposób, że nad literami dawał rozmaite kreski, kółka i haczyki i ta ortografia przyjęła się i obowiązuje do dziś dnia w czeskim języku. Ma atoli tę niewygodę w pisaniu, że bez ustanku trzeba rękę odrywać dla robienia tych rozmaitych znaków w górze. W r. 1518 próbował wprowadzić taką ortografię na wzór Husa ksiądz Zaborowski, nie udało mu się jednak. Ostatecznie sprawa ortografii rozstrzygnęła się w drukarniach.

Sztukę drukarską wynaleziono w Niemczech w r. 1436, długo jednak trwało, zanim poznano się na jej wartości, i nim książki stale drukować poczęto. Pierwsze czcionki drewniane rzezano w tym kształtcie, jak wówczas powszechnie pisano. Kształt pisma zmienia się bowiem, tak, że znawcy według pisma poznają, z jakiego czasu akt jaki pochodzi. W połowie XV. w. przyjęte było w Europie pismo podobne do dzisiejszego t. zw. niemieckiego, takiem więc pismem drukowano pierwsze książki. Wkrótce potem, pod wpływem włoskich kaligrafów, pismo się zmieniło i postępowi drukarze zaczęli stosować do tego kształt czcionek; tak powstało to pismo, które u nas zowie się powszechnie łacińskiem albo polskiem, jakby w przeciwieństwie do t. zw. niemieckiego. W rzeczywistości ani to nie jest polskiem, ani tamto nie jest niemieckiem, tylko że w Niemczech nastał zastój w rozwoju pisma i używają oni do dziś dnia tegoż kształtu abecadła, jakie było w połowie XV. w. Dzięki drukowi potaniały nadzwyczaj książki i skoroby tylko język ojczysty stał się piśmiennym a polskie książki drukować zaczęto, oświata nagle zaczęłaby się szybko szerzyć. U nas pojawiła się sztuka drukarska w Krakowie około r. 1474, ale dopiero za Jana Olbrachta ustaliło się drukarstwo w Krakowie. Po krótkim czasie należał Kraków do najruchliwszych ognisk drukarskich w całej Europie, a przez to samo stał się ogniskiem oświaty nietylko dla całej Polski, ale i dla ościennych krajów.

Nie było jednak czego drukować po polsku. Dokonali Polacy oddawna dzieł prawdziwie wielkich w polityce, w prawie publicznem okazywali nadzwyczajne zdolności i wielką mieli ambicyę, pozyskali wielkie zasługi w historyi, utworzyli potężne mocarstwo europejskie i okazali się prawdziwie wielkim narodem, ale nie czuli

jeszcze potrzeby, ażeby dzieła literackie spisywać we własnym języku. To nastąpić miało dopiero w XVI. w. Tak to stopniowo przybywa narodowi pola do pracy i powstają coraz nowsze objawy żywotności narodowej.

Mieliśmy już setki dzieł po łacinie, pomiędzy niemi takie wielkie, jak Historya polska Długosza, a po polsku było zaledwie trochę modlitewników spisanych, psalmów i wogóle ustępów z biblii. Tłómaczono na polskie i spisywano je na życzenie zamożnych i dostojnych kobiet, znających sztukę czytania, lecz nie umiejących po łacinie. Zachowały się n. p. resztki takiego modlitewnika królowej Zofii Jagiełłowej. Najdawniejszym zabytkiem polskiego piśmiennictwa jest pieśń na cześć Najświętszej Panny Maryi, zaczynająca się od słów „Bogu rodzico“, ułożona prawdopodobnie w XIII. wieku; stała się następnie hymnem narodowym niepodległej Polski, rozeszła się po całym kraju, śpiewano ją przed walnem natarciem pod Grunwałdem, pod Nakłem, Wilkomierzem i Warną. Taką była czcią otoczona, że Łaski, drukując w r. 1505 swoje wydanie zbioru praw polskich, umieścił ją na pierwszej stronicy prawodawstwa polskiego, jako świętość narodową. Powstała nawet tradycya, jakoby autorem jej był św. Wojciech. W katedrze gnieźnieńskiej śpiewają ją do dziś dnia każdej niedzieli. Z późniejszych pieśni kościelnych dochowały się aż do naszych czasów owe pieśni wielkanocne: „Chrystus Pan zmartwychwstan jest“ i druga „Przez Twe święte zmartwychwstanie“. Wiele zasługi około rozwoju pieśni kościelnej mają Bernardyni. W ich kościołach lud śpiewał zawsze po kazaniu. Bernardynem był pierwszy poeta polski, którego pieśni spisywano, błogosławiony Władysław z Gielniowa. Ze świeckich wierszy polskich najstarszym jest długi wiersz o zachowaniu się przy stole. Posiadamy odpis jego z r. 1450, a ułożył go niejaki Słota, uczeń krakowskich szkół. Najdłuższy zaś poemat polski z XV. wieku liczy 490 wierszy i jest o śmierci, jak zabiera z tego świata bez wyboru ludzi wszelkich stanów. Niewiadomy autor ułożył już te wiersze wcale składnie i gładkim językiem, jak na owe czasy, w samych dopiero początkach piśmiennictwa polskiego. Tylko pieśń polska mogła krążyć w narodzie, bo uczono się jej na pamięć. Póki nie rozpowszechniła się sztuka drukarska, nie mogło być oświaty w ojczystym języku. Ludzie zamożniejsi posyłali swych synów do szkół, ci więc wszyscy umieli i tak po

łacinie. Mniej zamożni i tak nie byliby sobie kupowali książki polskiej, gdyż książki ówczesne, pisane, musiały być nader kosztowne, bo wymagały niezmiernie wiele czasu do sporządzenia. Zresztą wiadoma rzecz, jak robota ręczna musi być drogą w porównaniu z maszynową. Blizkie jednak były już czasy, że nawet mniej zamożny miał czytać drukowane polskie książki i wtenczas musiało się jeszcze bardziej rozszerzyć zajęcie do spraw publicznych wśród ogółu, gdyż rozpoczęto drukować książki o sprawach publicznych; kto chciał szerzyć swe zapatrywania, poczynał też używać ku temu druku.

W drugiej połowie XV. wieku podniósł się bardzo poziom wykształcenia żeńskiego w zamożniejszych polskich domach i to pod wpływem włoskim. We Włoszech już w XV. wieku poczęto na dworach książęcych kształcić córki na równi z synami. Humanizm wprowadził równe towarzyskie obcowanie mężczyzn z kobietami, a wobec coraz większego wpływu Włoch na Polskę, przeniosło się to do nas wcześniej, aniżeli do Niemiec. Już w pierwszych latach panowania Zygmunta I. było w Polsce znaczne stosunkowo grono żeńskiej inteligencyi, pragnącej mieć polskie książki do czytania. Profesorowie krakowskiego uniwersytetu dostarczali im rozmaitych tłómaczeń z łaciny, i tak piśmienność polskiego języka rozwijała się najbardziej wśród kobiet wyższych warstw. Pierwsza drukowana książka w polskim języku wyszła w r. 1521 w Krakowie w drukarni Hieronima Wietora, a mianowicie ulubiona wówczas książka do czytania: „Rozmowy Salomona z Marchołtem“, którą z łaciny przetłómaczył na polskie magister krakowskiego uniwersytetu, Jan z Koszyczek. Nastąpiło to na żądanie grona kobiet, skupionego około osoby Anny z Jarosławia, wielkorządczyni krakowskiej. Odtąd zaczyna się wpływ sztuki drukarskiej na polskie życie publiczne.

KRÓLOWA BONA.

W roku 1518 zasiadła na tronie polskim niewiasta słynna nietylko z piękności, ale też z inteligencyi, królowa Bona. Do dworu królewskiego stosowały się wielkie magnackie domy, do wojewodzińskich dworów starościńskie, kasztelana naśladował bankier, bankiera kupiec, a starostę szlachcic zamożny, i tak wpływ królewskiego dworu rozchodził się stopniowo po całym narodzie. Wpływ

włoski, już przedtem bardzo silny, podbił teraz do reszty umysły. Język włoski stał się modny, uczył się go każdy, kto chciał mieć dostęp do królewskiego dworu. Z królową przybył jej włoski orszak, zapanowały na Wawelu włoskie zwyczaje i obyczaje, co bardzo nam na dobre wyszło, bo kultura włoska najwyższą była w Europie i dobrze się stało, żeśmy ją czerpali z pierwszej ręki, bez pośrednictwa niemieckiego. Wkrótce kazał król przebudowywać zamek na Wawelu na sposób włoski, za tym przykładem poszedł biskup krakowski i inni i wkrótce miasto Kraków zmieniło zupełnie swoją postać. Stare gotyckie domy przerabiano według nowej mody na włoski sposób w t. zw. stylu odrodzenia, czyli renesansu, i ta cecha została już Krakowowi, tak, że dziś podobniejszy jest raczej do włoskich, niż do północnych miast. Przeniosła się na północ Karpat muzyka włoska, zamiłowanie do poezyi i włoskie życie towarzyskie. Nie było takiego kierunku życia, na którym nie byłoby śladów włoskich. Sięgały one aż do kuchni, w której do dziś dnia została „włoszczyzna“, wprowadzona przez królową Bonę, która ogrodników do tego sprowadziwszy, osiedliła ich pod letnim pałacykiem królewskim na Łobzowie. Coraz więcej młodzieży polskiej wyjeżdżało na studya do Włoch; podróż włoska była najlepszem poleceniem, żeby otrzymać po powrocie posadę pisarza w kancelaryi królewskiej lub biskupiej. Kto nie zmarnował lat, spędzonych we Włoszech dla nauki, mógł być pewnym, że zostanie sekretarzem królewskim, a jeśli okaże zdolności polityczne, będzie używany do poselstw zagranicznych, a jeżeli obierze stan duchowny, może dojść do najwyższych w kraju godności. Była wprawdzie ustawa, że tylko szlachcic może osiągnąć prałactwo, ale przepis ten bardzo łatwo można było obejść, bo król robił szlachcicem każdego, kogo polubił.

Królowa Bona nie umiała jednak poznać ducha polskiego, a choć bardzo długie lata przyszło jej spędzić w Polsce, zawsze postępowała u nas po włosku.

Włosi nie mieli pojęcia Ojczyzny. Tam każde miasto z okolicą tworzyło odrębne państwo, tam łączono się z cudzoziemcami, Hiszpanami, Francuzami, i cały półwysep włoski był niemal bez ustanku w jednej wielkiej wojnie domowej, do której mięszali się wciąż obcy. Władza pochodziła tam nie z woli społeczeństwa, lecz z przemocy siły zbrojnej. Z ówczesnych walk wyrobiło się t. zw.

kondotierstwo, t. j. przedsiębiorcy wojskowi, którzy zrazu innym służyli, ale potem wsławieni, sami poczęli dobierać się do władzy. Sama królowa pochodziła z takiego właśnie rodu Sforzów, który, zorganizowawszy znaczną siłę zbrojną, opanował Medyolan i urządził sobie w północnych Włoszech księstwo z władzą nieograniczoną. Taki władca, panujący wbrew społeczeństwu, odgradzał się od niego władzą absolutną i nie dopuszczał wpływu obywatelstwa na sprawy publiczne, w obawie, żeby nie naruszono jego dynastyi. Dobro państwa uchodziło u tych książąt włoskich za jedno z dobrem ich osoby i rodu, że zaś silna ich władza na wojsku oparta, wprowadzała bądźcobądź porządek tam, gdzie przedtem był chaos, więc też nie zabrakło uczonych, którzy im sprzyjali i obmyślali teorye ku usprawiedliwieniu ich władzy. Wyłoniła się też w nauce prawa publicznego nieznana dotychczas zupełnie chrześcijaństwu teorya, że dobro społeczeństwa jest tam, gdzie jest dobro władcy i wszystko, co dla niego dobre, musi wyjść na dobre całemu państwu. Teorya dobra przy dobrych i mądrych panujących, ale bardzo niebezpieczna ze względu na to, że i monarchowie są także tylko ludźmi. Tem poczuciem jednak pozostała do końca dni swoich przejęta królowa Bona, przekonana, że wystarczy pamiętać o interesie rodziny królewskiej, a przez to samo przysłuży się całej Polsce. Miała ta królowa szczególniejszy dar do administracyi, do tego była nadzwyczaj gospodarną i umiała wytwarzać bogactwa. W jej dobrach taki panował porządek, że stały się one na długi czas wzorem dla wszystkich innych gospodarstw polskich. Skarb polski pusty przerażał ją tem bardziej, że przywykła we Włoszech do pełnych skarbów książęcych. Toteż poświęciła swe życie sprawom skarbowym i byłaby pod tym względem oddała Polsce nieocenione usługi, gdyby nie to, że używała do tego celu środków, psujących wszystko. Rozumiejąc, że byle tylko skarb królewski napełnił się, wolno używać ku temu wszystkich środków, nie wahała się używać nawet najgorszych, jak n. p. frymarczenia urzędami, dostojeństwami, i to nietylko świeckiemi, lecz także duchownemi. Wprowadziła demoralizacyę do polskiego Kościoła, i tak już zeświecczonego, pomiędzy zaś świeckie możnowładztwo wprowadziła zamiast gospodarności chciwość pieniądza. Okazało się w jej życiu, że w rozmaitych społeczeństwach trzeba rozmaitych używać środków, ażeby podobny cel osiągnąć i co

na dobre mogło wyjść Włochom, to samo wyszło na złe Polsce. Udało się królowej Bonie w ciągu długich lat zebrać olbrzymi skarb, który miał być skarbem dynastycznym Jagiellońskim, z którego jednakże ani Polska, ani jej dynastya żadnej nie osiągnęły korzyści.

FINANSE PAŃSTWOWE.

Skarb polski świecił rzeczywiście przerażającemi pustkami, bo nietylko Polska, ale cała Europa współczesna przechodziła przez przesilenie ekonomiczne, które dało się we znaki wszystkim, lecz najbardziej gospodarce państwowej. Powiększenie potrzeb państwa i społeczeństwa wymagało coraz większych zasobów pieniężnych. Kapitalizm wpływał na wszystkie dziedziny życia, ale najbardziej może na politykę. Państwo nie mające znacznego zapasu gotówki, nie mogło już należycie wypełniać swego zadania. Pierwszym powodem do tego była sama zmiana systemu wojowania; udoskonalenie wojennego rzemiosła wymagało żołnierza zawodowego i wyćwiczonej artyleryi, która przedtem stanowiła ledwie tylko dodatek do armii. Piechota zaś, która przedtem służyła nieledwie tylko do obsługi wojskowej, zyskiwała coraz bardziej na znaczeniu, aż w końcu miała stać się główną siłą, zepchnąwszy jazdę na drugi plan. To wszystko wymagało gotówki. Uczeni poczęli się też zastanawiać nad finansami państwa. Nauka finansów państwowych powstała we Włoszech z końcem wieku XIV-go, w środkowej zaś Europie w połowie XV. w. Dotychczas wszystkie dochody publiczne składano na królewskim dworze; pozostawiano monarsze nietylko wybieranie podatku, ale też i szafunek ich na cele publiczne według własnego uznania, bez jakiejkolwiek kontroli ze strony poddanych. Obywatelstwo poprzestawało na tem, że nie można było nałożyć podatku bez jego zezwolenia, nie troszczyło się zaś wcale, co następnie z podatkiem tym się działo. Dopiero w połowie XV. w. spostrzeżono się, że lepiej urządzić dwa skarby, osobny królewski i osobny tylko na potrzeby państwa przeznaczony. U nas zaprowadzono to w roku 1505, nakazując podwójne rachunki dochodów publicznych i dwa skarbce, a mianowicie: nadworny i koronny. Niektóre dochody publiczne uważano za własność właściwego skarbca królewskiego, czyli jak mawiano: dochody stołu królewskiego. Nie znaczyło to

jednak, żeby pieniądze te obracane być miały wyłącznie tylko na utrzymanie rodziny królewskiej i jej dworu, a więc to, co dziś nazywa się „listą cywilną“; król obowiązany był z tego skarbu dawać na cele publiczne, ale zależało to już od jego uznania i od porządku panującego w zarządzie nadwornego podskarbiostwa, jaką część dochodów zużywał król na swe prywatne niejako potrzeby, a ile oddawał państwu. Ten skarb nadworny był więc skarbem publicznym według starej modły, równocześnie zaś ustanowiono skarb drugi t. zw. koronny, przeznaczony tylko na potrzeby państwa. Ustanowiono do tego osobnego podskarbiego, koronnego, i poddano jego zawiadowstwu dochody z podatków.

Dochody państwa polskiego składały się nietylko z podatków, ale też z t. zw. królewszczyzn. Były to owe obszary, które po rozgraniczeniu ujazdów w Piastowskim okresie, nie miały jeszcze właścicieli prywatnych i uznane zostały za własność publiczną, czyli według ówczesnych wyobrażeń, za własność króla. Król puszczał je w dzierżawy, zwane starostwami; dzierżawcy przedstawiali tam bowiem osobę króla wobec osiedlonych mieszczan i kmieci. Stąd dwa rodzaje starostw w Polsce: grodowe, będące publicznymi urzędami państwa, a wywodzące się od owych starostów, wprowadzonych za króla Wacława, i starostwa dzierżawne czyli t. zw. tenuty. Król miał prawo nawet darować część jakąś swych dóbr. Dynastya Jagiellońska słynęła z hojności, a najhojniejszy był król Aleksander, o którym powiedziano, że w sam raz umarł, bo byłby porozdawał resztę Litwy i Polski. Przez tę hojność zmniejszały się oczywiście coraz bardziej dochody publiczne. Tenuty niosły zaś dochody bardzo małe, bo uważano je za „chleb dobrze zasłużonych“. Komu król chciał okazać swą łaskę, dawał mu królewszczyznę w dzierżawę. Bogacono się na tenutach; takie zaś rody, w których starostwa przez trzy pokolenia pozostawały, stawały się możnowładczemi. Bywało, że jedna i ta sama osoba posiadała po dwa lub trzy starostwa, w niejednym zaś rodzie było ich po kilkanaście. Tak na publicznym chlebie, kosztem państwa, wzrastały możnowładcze rody. Czynszów nigdy nie podnoszono i za króla Zygmunta był on taki sam, jak za Władysława Jagiełły; wtenczas obliczono go nisko, a tymczasem pieniądz przez te czasy tracił coraz bardziej na wartości i gdy za króla Władysława czynsz był niewielki, toć za króla Zygmunta równał się już

prawie zeru. Żadne państwo europejskie nie posiadało tyle królewszczyzn, ile Polska; gdyby one dawały należyty dochód, byłby on bez porównania większy, niż ze wszystkich podatków. W rzeczywistości jednakże dochody te były tak małe, że ledwie wchodziły w rachubę; wobec tego trzeba było pomyśleć o podwyższeniu podatków.

REFORMY PODATKOWE.

Społeczeństwu nie brakło ofiarności; uchwalanie wysokich podatków było rzeczą zwyczajną. Nietylko o to chodziło jednak, ale o osiągnięcie coraz sprawiedliwszego rozdziału ciężarów, co jest pierwszym warunkiem udoskonalenia finansów państwa. Już się spostrzeżono, że podatek od samej tylko ilości gruntu, wszędzie jednako od każdego łanu, nie jest słuszny, bo grunt gruntowi nierówny. Łan w Wielkopolsce, bliżej morza, dawał więcej dochodu, niż łan w Krakowskiem, gdzie kupiec zbożowy musiał sobie policzyć koszta dalekiego transportu do Gdańska; więcej zysku dawał łan blisko Wisły, mniej nad Pilicą, czy Rabą, najmniej we wsi pozbawionej całkiem komunikacyi wodnej. Folwark dawał więcej dochodu, niż ta sama ilość gruntów wydzierżawionych kmieciom, a tymczasem z dawien dawna liczono do podatku tylko grunty oddane za czynszem, bo folwarki dopiero niedawno nastały. Sposób gospodarowania tak się w zupełności zmienił, że skutkiem tego wypadało też zmienić przepisy podatkowe. Właściciele ziemi mieli teraz rozmaite dochody, nie znane dawnym dziedzicom. Sołtystwa były już niemal wszędzie wykupione, miał więc dziedzic czynsz z młyna i karczmy, wartający nieraz więcej od wszystkich kmiecych czynszów. Najsprawiedliwszy byłby podatek obliczany tylko od dochodów wogóle, bez względu na to, skąd czyje dochody płyną; do tego też dąży ciągle postępowe prawodawstwo, ale nawet dziś dalecy jeszcze jesteśmy od celu. Trudność w tem, jak to obmyśleć, żeby sprawiedliwie obliczyć dochody płynące z tylu tysięcy źródeł, a nieraz bardzo zmienne i niepewne; jak obliczyć, żeby jedni nie płacili za dużo, a drudzy za mało i jak urządzić pobieranie podatków, żeby nie było uciążliwe, nie dużo kosztowało i żeby urzędnik nie miał sposobności do nadużyć, a choćby tylko do pomyłek, ale żeby też obywatel nie miał sposobu oszukać skarb i dochód zataić. Za naszych właśnie czasów

łamią sobie znów nad tem głowy ekonomiści w całej Europie, a rzecz ta zaczęła się w Polsce już z początkiem XVI. wieku.

W roku 1510 wystąpił kanclerz Jan Łaski z projektem, żeby zdobyć się raz na gruby podatek dochodowy i podłożyć podwaliny pod zasobny skarb koronny. Wszystkie grunta właścicieli tak świeckich i duchownych, o ile były oddawane kmieciom w dzierżawę, miałyby płacić stale dwudziestą część rocznych dochodów z czynszów, nadto zaś na początek jednorazowo oddać skarbowi połowę rocznych dochodów. Niesłychany to byłby podatek! Zmniejszenie dochodów powszechne, o całą połowę, groziło ruiną; wielu musiałoby się zadłużyć i skorzystaliby z tego tylko żydzi. Projekt zezwalał wprawdzie na ulgę, że ów jednorazowy podatek można było rozłożyć sobie na trzy raty roczne, ale nawet w takim razie płaciłoby się przez trzy lata wraz z podatkiem stałym, po $21^{2}/_{3}$ złp. od każdych stu złp. dochodu, a dopiero w czwartym roku po 5 od sta. Bogacze mogliby to jeszcze przenieść, ale zwykłemu szlachcicowi dałoby się to ciężko we znaki. Bogacze mieli coraz więcej folwarków, a te do tego podatku nie miały należeć; ale szlachcic nie mający kapitału na założenie folwarku i wypuszczający wszystkie grunta kmieciom, żyjący tylko z ich czynszów, czułby ten ciężar podwójnie. Czem kto uboższym był, tem bardziej byłby dotknięty takim systemem podatkowym, bo tem bardziej zależało mu, żeby szczupłych dochodów nie uszczuplać jeszcze bardziej i to tak nagle. Miał też ten projekt tę jeszcze słabą stronę, że miano nałożyć z urzędu podatek na duchowieństwo, nie pytając ich o przyzwolenie. Polscy prałaci nie wiele już w sobie mieli kościelnego ducha, ale im bardziej byli zeświecczeni, tem lepiej zapamiętali sobie z prawa kościelnego ten jeden jedyny przepis, że dobra kościelne wolne są od podatków państwowych i że duchowieństwo samo tylko, z własnej woli, opodatkować się może. Dało też duchowieństwo wtenczas dobrowolnie 40 tysięcy złotych polskich.

Sejm w r. 1511 nie przystał na projekt Łaskiego; obmyślił podatki tymczasem po dawnemu i ustanowił je na dwa lata. W ciągu tego roku uchwalono przynajmniej pewne ulepszenie w pospolitem ruszeniu, żeby trzecia część szlachty gotową była na każde zawołanie i zaraz mogła ruszyć w pole, nie czekając, aż cały tłum zbierze się i uporządkuje po wojskowemu. Na sejmie

w r. 1512, podczas koronacyi nowej królowej, Barbary Zapolskiej, miano dalej radzić o reformie skarbu, ale szlachta, niechętna projektom dla siebie niesprawiedliwym, dogodnym tylko dla możnowładców, nawet posłów nie powysyłała. Zebrało się ich tak niewielu, że ledwie połowa ziem polskich miała swych pełnomocników. Uznano więc ten sejm niekompetentnym, t. j. że niema mocy stanowić praw. Trzeba było obmyśleć nowe jakie sposoby, do czego wezwał król Radę koronną, czyli t. zw. senat, składający się z biskupów, wojewodów i kasztelanów.

Nowy projekt znowu był lepszy dla wielmożów, niż dla średniego obywatelstwa wiejskiego. Obowiązywała od Kazimierza Wielkiego zasada, że służbę wojskową pełni się według wielkości majątku ziemskiego. Namnożyło się atoli wielkich majątków, takich, że gdyby ustawę stosować ściśle, niejeden wielki pan musiałby uzbroić na wojnę swoim kosztem po stu i więcej, nawet po kilkuset żołnierzy konnych. Potworzyłyby się w Polsce istne wojska domowe możnowładców pod pozorem pogotowia wojennego na pospolite ruszenie, a pan i dowódzca takiego hufca, oparty na sile zbrojnej, byłby prawdziwym władcą w swej okolicy i dopiero dałaby się całemu społeczeństwu we znaki przewaga możnowładców. Toteż było zastrzeżone, że nie wolno brać na swój koszt więcej, jak ośmiu zbrojnych. Ograniczenie takie było koniecznem, ale stanowiło zarazem ulgę podatkową dla — najbogatszych. Senat uchwalił w r. 1512 zażądać od sejmu, żeby znieść pospolite ruszenie i to takim sposobem, żeby każdy swój obowiązek wojskowy wykupił niejako podatkiem, co nazywano relucyą. Relucya miała wynosić sześć złp. od konia, t. j. że kto n. p. miał tak mało ziemi, że na spółkę z dwoma jeszcze sąsiadami dostarczać miał jednego jeźdźca zbrojnego, taki płaciłby dwa złp.; kto zaś obowiązany był jechać na wojnę samotrzeć, płaciłby 18 złp. Ponieważ dotychczas nie pozwalano nikomu uzbrajać więcej, jak ośmiu ludzi, a więc najwięksi bogacze płaciliby po 48 złp. Szlachta bała się, żeby wielmożowie nie mieli nadwornych hufców, ale gdy chodziło o relucyę, nie było już przyczyny, dlaczegoby nie mieli płacić podatku za tylu zbrojnych, do ilu byli obowiązani w rzeczywistości. Jeżeli zwykły jednowioskowy szlachcic płacił 6 złp., mógł możnowładca płacić śmiało nie 48 złp., ale 480 i więcej, bo majątki złożone z kilkudziesięciu wsi nie nale-

żały już do rzadkości. Należało wpierw oszacować wszystkie posiadłości ziemskie. Zrazu zgadzano się na nowy projekt, tak prosty na pozór, ale po krótkim czasie spostrzeżono się, że w ten sposób najmniej dadzą ci, którzy najwięcej dawać mogą i powinni. Na sejmie 1512 r. posłowie wielkopolscy wymówili się brakiem pełnomocnictwa, że muszą się przedtem jeszcze raz naradzić z „braćmi".

Relucya była pomysłem dobrym, bo wiodła do urządzenia stałego wojska; miało go być na początek 3.000 zaciężnych. Szlachta uznawała, że to potrzebne, chciała jednak złamać przewagę możnowładztwa, która przeciwną już nawet była ustawom. Obawiano się też ustanowienia stałej armii, pókiby król nie stanął po stronie demokracyi szlacheckiej.

Rada koronna przystała w końcu na nowe powszechne oszacowanie dóbr ziemskich. Zmieniono jednak zarazem projekt reformy po raz trzeci. Państwo miało być podzielone na pięć okręgów, zobowiązanych kolejno co roku do pogotowia wojennego, które miano skupywać relucyą $12^1/_2$ złp. od konia, tak, że podatek ten płaciłby każdy okręg co piąty rok. Król, zająwszy się sprawą z energią godną największej pochwały, (jeździł umyślnie do Poznania, żeby pozyskać dla sprawy Wielkopolan), doprowadził do tego, że przyjęto ten system na próbę na pięć lat. Zabrano się więc do szacowania dóbr, czyli, jak wówczas z łacińska mawiano: taksacya.

Nigdy to nie będzie popularnem, żeby urząd wglądał w mieszek obywatela, tem bardziej, że każdemu niemal zależy na tem, żeby jego stan majątkowy nie był publicznie wiadomy; wszak od utrzymania swoich sekretów zależy nieraz całe powodzenie w interesach! Nie było zaś jeszcze w ówczesnych państwach tych tysięcy urzędów i dziesiątek tysięcy urzędników, płatnych tylko za to, żeby sporządzali i przechowywali urzędowe akty, którym treść tych papierów jest obojętna; obowiązani do zachowania tajemnicy, nie mają żadnego osobistego interesu w sprawach, które prowadzą. Kiedy w Polsce po raz pierwszy wypadło zeznawać, ile się ma dochodu, powstało zaraz pytanie, przed kim zeznawać, komu wyznać swe osobiste sprawy i co będzie z temi rejestrami? Wyznaczono więc w każdem województwie po dwóch senatorów i dwóch ze szlachty do taksacyi, rejestra zaś kazano przechować w ta-

jemnicy i pod zamknięciem; ale gdzie i u kogo? Publiczne akty tyczące całego państwa spoczywały w archiwum koronnem, na królewskim dworze; akty tyczące pewnej ziemi przechowywano zazwyczaj w najobronniejszym grodzie tej ziemi, który nieraz bywał nawet prywatną własnością jakiego możnowładcy, a choć też był własnością królewską, tj. państwa, zawiadywał nim jakiś wielmoża, jako starosta tej królewszczyzny. W ten sposób były papiery publiczne w ręku możnowładztwa; ono miało do nich zawsze dostęp, a szlachcic musiał prosić o pozwolenie, a że nie miano już zaufania do wielkich panów, nie chciano też pozostawić rejestrów taksacyjnych pod ich schowaniem. Zaczęły się popisy taksacyjne od ziemi krakowskiej. Zjechali się w Proszowicach i nie chcieli zeznawać, aż król dał przyrzeczenie, że rejestry będą niszczone, co wcale nie było dobrze. W końcu nie chciano przystać nawet na czasowe przechowywanie ich u możnowładztwa (u wojewodów) i popisy spełzły na niczem. Mnóstwo szlachty nie stawiło się wcale. Trzeba uwzględnić na ich usprawiedliwienie, że wyznaczono dla każdego województwa po jednem tylko miejscu do popisu, żądając, żeby wszyscy naraz zjechali się z kilkudziesięciu i więcej nawet mil kwadratowych. Praktyka dopiero pouczała, jak to trudno przeprowadzić. Na sejmie 1514 roku uchwalono, żeby w każdym powiecie była osobna komisya taksacyjna, złożona z ośmiu osób: wojewody, kasztelana i sześciu szlachty, z której przynajmniej dwóch (całkiem słusznie) musi być w tym samym powiecie osiadłych. Sejm ten odbył się bez króla, zajętego na Litwie wojną moskiewską. Król przysłał kasztelana sandomierskiego, Szydłowieckiego, żeby zastępował monarszą osobę. Sejm odbył się, posłowie uchwalili taksacyę. Gdy jednak powrócili do domu, posypały się na nich wymówki, jak mogli odbywać sejm bez króla; gdyby do tego dopuścić, trzęśliby sejmem możnowładzcy, a gdyby król dał im się kiedy opanować i sam osobiście rządzić nie chciał lub nie umiał, mógłby zawsze na sejmie pojawiać się jaki jego „zastępca“ i zamiast rządów królewskich nastałyby rządy dworaków. Zjazd szlachty ziemi krakowskiej, odbyty w Wojniczu, stawił się ostro; wyprawili nawet do króla, do Wilna, posła od siebie, Taszyckiego, z oświadczeniem, że posłowie przekroczyli zlecenia wyborców i że oni nie uznają uchwał sejmu odbytego w nieobecności króla. Woleli odwlec taksacyę, żeby tylko utrzymać tę zasadę sejmowania. Król

przyjął posła gniewnie i wydał orędzie, w którem wyrażał się z przekąsem o prawach sejmu i oświadczał, że te uchwały mógł był wydać nawet sam bez sejmu i żądał wykonania ich. Odtąd szlachta nabrała tem bardziej przekonania, że król sprzyja możnowładztwu przeciw nim i że chce uszczuplać prawa sejmu walnego. Na zjazdy popisowe nie zjeżdżano się wcale. Możnowładcy byli radzi, że rzecz cała spełznie na niczem, bo taksacye przeciw nim musiałyby się zwrócić, nakładając na nich ciężary bez porównania większe od tych, które ponosili dotychczas. Doradcy królewscy zdołali nawet przekonać króla, że lepiej dać już wszystkiemu spokój. Nakładano więc dalej wysokie podatki łanowe. W r. 1515 uchwalono podatki od razu na trzy lata; w Wielkopolsce (gdzie dochody z gospodarstwa były większe) po 15 groszy z łanu, a w Małopolsce po 12. Podnoszono słusznie, że trzebaby uwzględnić więcej różnic podatkowych, uwzględniać rodzaj gleby i stosunki miejscowe. Król przyznał natenczas wojewodom prawo rozkładania łanowego; znowu więc szlachta miała zależeć pod względem podatkowym od możnowładztwa. Zwiększała się niechęć do nich, rósł ruch demokratyczny, zajmowano się coraz bardziej sejmami, nie żałując już kosztów na wyprawienie posłów. W r. 1511 zasiadało na sejmie walnym tylko 34 posłów; w r. 1520 było ich już 45.

Sejm roku 1520, obradujący w Bydgoszczy (ze względu na blizkość Prus, z powodu wojny krzyżackiej, żeby król mógł być i na wojnie i na sejmie), próbował nowego podatku, a raczej starego bardzo, dawno już zarzuconego, a mianowicie pogłównego, lecz nie jednako od każdej głowy, ale postępowo, tj. według zamożności. Skrupulatność w dążeniu do sprawiedliwego rozkładu podatku posunięto tak dalece, że ustanowiono aż 240 klas podatkowych. Prymas płacił pogłównego 30 dukatów, kanonicy po 5 dukatów, dzwonnicy po jednym groszu; wojewodowie po 50 dukatów, właściciele wsi po 8 dukatów od swej osoby i nadto po dukacie od każdej posiadanej wsi; kmiecie po jednym groszu. Miasta podzielono na cztery kategorye. Rajcy Krakowa, Poznania i Lwowa płacili po 4 dukaty, mieszczanie po 4 grosze; miasteczka nie posiadające targów płaciły po groszu od głowy. Jedyny to był podatek powszechny, obejmujący wszystkie stany w jednej ustawie, od wojewody do kmiecia. Pobór był jednak nadzwyczaj mozolny, bo trzeba było dokonywać spisu ludności, a nie było

do tego urzędników. Nałożono to na proboszczów, a podatek ściągała komisya złożona z dwóch kasztelanów i jednego członka z wyboru szlachty. Przekonano się wówczas, że spis ludności jest sprawą niesłychanie ciężką, mozolną, wymagającą tyle trudów, pracy i czasu, że pogłówne tego nie warte. Spisy nie były dokładne, a na żaden podatek nie trzeba było czekać tak długo, jak na ten i przyniósł ledwie niespełna 90.000 dukatów. (Za naszych czasów, przy takiem udoskonaleniu urzędów, kosztuje spis ludności — miliony!). Winę małej wydatności pogłównego przypisywano i teraz bogatszym, podejrzywając, że się usuwali od płacenia.

W całej Polsce wrzał spór szlachty z wielmożami. Możnowładzcy przedstawiali królowi, że szlachta winna, że przez jej niekarność i krnąbrność przepadła reforma skarbu, a szlachta to samo zganiała na tamtych. Szlachta jednak nie miała ucha u króla. Chcąc wymusić na królu, żeby się bardziej z nią liczył, odmówili posłowie szlacheccy w r. 1523 uchwalenia podatków. Król za radą senatorów rozpisał pomimo to „czopowe“ w ziemi krakowskiej. Natenczas stała się rzecz niesłychana. Wśród burzliwych obrad sejmowych, w maju 1523 roku, strzelił ktoś do zamku, do okna, z którego król wyglądał. Chybił na szczęście. Kto był sprawcą zamachu, nie zdołano wykryć, pomimo najsurowszych śledztw. W następnym roku znowu nie uchwalono podatku. Upór szedł na upór.

Król ustąpił. Wracano do podatku dochodowego i do taksacyj. Miał się tem zająć sejm 1525 roku. Odgrażano się, że będzie on „sejmem sprawiedliwości“ na możnych. Szlachta chciała mieć jak najwięcej posłów; każda okolica próbowała, czyby się nie udało stanowić osobnego obwodu wyborczego. Ustawy jeszcze na to nie było, rządzono się zwyczajem, ochotą i — jak król, czy wojewoda pozwolił. Teraz powiat łukowski np., wybierający dotychczas wspólnie z całem województwem lubelskiem, wybrał osobno posłów; podobnież krasnostawski oddzielił się od reszty ziemi chełmińskiej; tak samo postąpiły powiaty sieradzki, wieluński i inne. Nie puszczono ich wszystkich na sejm; tak np. oddalono posłów powiatu pilznieńskiego i wiślickiego z ziemi sandomierskiej. I tak jednak zebrało się tym razem już 60 posłów.

Na sejmie tym uchwalono podatek dochodowy i taksacyę, która rzeczywiście tym razem zaczęła dochodzić do skutku. Do-

chowały się aż do naszych dni taksacye z powiatów pilznieńskiego, chęcińskiego i łukowskiego (chociaż przyrzeczono je niszczyć!). Okazuje się, jaką przewagę materyalną miało już możnowładztwo. Ósma część powiatu pilznieńskiego należała do Tarnowskich. Jan Tarnowski posiadał 26 wsi z miastem Tarnowem, liczącem wówczas 200 domów; dobra jego oszacowano na 15.300 grzywien, Stanisława Tarnowskiego zaś na 6.500 grzywien. Rodzina Ligęzów miała 23 wsi i dwa miasteczka. Obok tych bogactw znajdujemy szlachtę tak ubogą, że jedna wieś, Zgłobień, należała do kilkunastu dziedziców. W chęcińskim powiecie trzech tylko było świeckich wielmożów, a najbogatszy z nich, Jakób Secygniowski, szacowany był na 2.600 grzywien. Tam przeważały dobra kościelne. Sam biskup krakowski miał w chęcińskim powiecie miasteczko Kielce i 34 wsi, co oszacowano na 7.000 grzywien (Kielce miały wówczas 84 domów). Znalazła się też tam jedna jeszcze wieś w ręku nieszlachcica: Wola Jedleńska.

Sejm ten 1525 roku uchwalił trojaki podatek. Przyjmując, że na utrzymanie jednego żołnierza przez trzy kwartały (w zimie wojen nie prowadzono) potrzeba 18 dukatów, nakazał płacić 18 dukatów od każdych 30 łanów posiadłości i od każdych 80 grzywien kapitału, z dochodów zaś (czynszów itp.) po $6^1/_2$ groszy od grzywny. Wybrane podatki kazano poborcom składać nie pisarzom podskarbiego koronnego, ale komisyom wojewódzkim, które składały się z wojewody, kasztelana i dwóch wybrańców szlachty. Odebrano więc podskarbiemu szafunek tych pieniędzy! Szlachta chciała kontrolować, ile zbierze się pieniędzy i na co będą użyte. Posuwano się coraz dalej w rozszerzaniu praw obywatelskich i to jest rzeczą całkiem zrozumiałą, ale rozbicie skarbu koronnego na kilkanaście wojewódzkich sprawiło złego więcej, niż dobrego mogło wypłynąć z kontroli. Toteż ustąpiono od tego w następnym roku. Brak zaufania do najwyższych dostojników państwa był tak wielki i pożałowania godny, że nawet nie pozwolono hetmanowi werbować tego wojska, które miało się zaciągnąć za te podatki, ale poruczono to wojewodom; żeby mieszkańcy każdego województwa mogli łatwiej sprawdzić, co i jak się robi za ich podatek. Urządzenie to było zbyt nierozsądne, żeby się mogło utrzymać; już następnego roku dozwolono hetmanowi mianować poruczników po województwach. Sejm ten stanowił przesilenie. Zaraz po-

tem król zbliżył się do szlachty i aż do r. 1535 prąd demokratyczny był górą w państwie, popierany przez tron; potem nastąpił jednak znów nagły przewrót i to w sposób nader przykry.

MONETA. DEPRECYACYA PIENIĄDZA.

Sama reforma podatków i administracyi skarbu publicznego nie wyczerpywała jednak jeszcze sprawy.

Państwowa polityka ekonomiczna była w owych czasach tem trudniejsza, że właśnie nastąpił w sprawach pieniężnych stan, zwany deprecyacyą pieniądza, tj. że wartość pieniądza obniżała się nieustannie.

Za stałą jednostkę monetarną przyjęto za Jana Olbrachta w r. 1496 tak zw. złoty polski, równy w zasadzie weneckiemu i węgierskiemu dukatowi, i dlatego obliczony na 30 groszy, bo w sam raz tyle wart był dukat w owym roku. Mennica nie wybijała jednak tych „złotych“; stanowiły one tylko jednostkę do obliczania. Moneta w Polsce kursowała najrozmaitsza, a bardzo wiele fałszywej. I tak w r. 1516 książę raciborski Walenty zabrał się do fałszowania monety ze stemplem Zygmunta I., a w trzy lata potem pojawiło się coś podobnego w Świdnicy; cała Polska zalana była złym pieniądzem tak, że trzeba było zakazywać kupcom polskim jeździć na Śląsk i do Nowej Marchii. Statyści polscy wcześnie poznali się na tem, że czem większa jednostajność monety, tem lepiej dla kupców i dla ludności. Już za Aleksandra postanowiono w zasadzie zrównanie monety koronnej z litewską. Zygmunt Stary przyrzekał to na sejmie w roku 1519. Stopniowo zaprowadzano coraz więcej podobieństw, jakkolwiek zupełna jednostajność nastąpiła dopiero w roku 1569. Podobnież życzyły sobie unii monetarnej Prusy królewskie, a na czele tych dążeń stał Mikołaj Kopernik, znakomity ekonomista, ten sam, który wkrótce miał się okazać największym astronomem całego świata. Radził, ażeby były dwie wprawdzie mennice, koronna i pruska, a każda moneta ze znakiem swej prowincyi, ale też zarazem ze wspólnym herbem państwa, przy czem oczywiście i koronna i pruska moneta miałaby mieć jednaki obieg w całem państwie. Stany pruskie zastanawiały się nad tem, czy zaprowadzić wyższą, czy niższą stopę pieniądza. Bardzo wielu trwało nadal przy zdaniu (które objawiło się już za Kazimierza Jagiellończyka i doprowadziło do bicia brak-

teatów), że w interesie uboższych warstw należy obniżyć stopę pieniądza, t. j. żeby pieniądz zawierał stosunkowo mniej drogiego kruszcu, a miał jak największą wartość obiegową, czyli tak zw. nominalną. Kopernik zwracał uwagę, że im gorszy jest pieniądz, tem więcej musi go wymagać rolnik za zboże, rzemieślnik za swe wyroby, a kupiec za towary i domagał się, żeby wartość obiegowa o tyle tylko była wyższą ponad wartość kruszcu, w monecie zawartego, żeby się nie opłacało handlarzom przetapiać monety na kruszec i ażeby pokryte były koszta mennicze. Ogłosił Kopernik dwie rozprawy łacińskie o tym przedmiocie, w których on pierwszy w Europie zwrócił uwagę na to, że zły pieniądz zawsze wyprze z obiegu dobrą monetę, bo dobrą wykupią w takim razie handlarze, że więc stopa mennicza musi być jedną w całem państwie. Jestto niezbędne prawidło dla polityki monetarnej, a przed Kopernikiem zgoła nie było znane. Nie było trudności o unię monetarną z Prusami królewskiemi, akt zaś sekularyzacyi z r. 1525 zastrzegał, że nowy książę pruski własnych pieniędzy bić nie będzie. Niestety, w roku następnym udzielono księciu Albrechtowi przywileju menniczego i odtąd książęca pruska moneta mogła znów rywalizować z polską. Aż do początku XVI. wieku bito w mennicy koronnej polskiej tylko półgroszki, dopiero sejm w r. 1526 postanowił bić całe grosze. Dukat węgierski liczono wtenczas już po 40 groszy.

Chcąc mieć własną jednostkę monetarną o większej a stałej wartości, postanowiono na sejmie z r. 1528 bić z grzywny złotej krakowskiej 56 polskich dukatów. Tak powstała polska waluta złota, co oznaczało świetny owych czasów rozwój ekonomiczny. Tegoż roku książę Albrecht dał się skłonić do zaprowadzenia jednostajnej z Koroną monety. Podobnież w Prusiech królewskich zaprowadzono ostatecznie monetę wspólną i odtąd aż do połowy XVII. w. w Koronie, w Prusiech królewskich i Prusiech książęcych była moneta jednakiej wartości, jakkolwiek rozmaitego stempla.

Pomimo usilnych starań, żeby przesilenie ekonomiczne dało się jak najmniej ludności we znaki, nie zdołano zapobiedz deprecyacyi, która dotknęła całą współczesną Europę. Jedyną monetą, która zachowała zawsze jednakową wartość, był czerwony złoty czyli dukat. Wszystkie zaś inne pieniądze przyjmowano nie po nominalnej cenie, ale według wartości rzeczywistej w stosunku do

dukata. Ten zaś rósł coraz bardziej w cenie. Zyskiwał na tem interes kapitalistyczny w obrotach wielkich, tracił zaś ogół ludności, bo drożały wszystkie te obroty powszedniego życia, do których nie dukat był potrzebny, lecz grosz i denary. Czerwony złoty rósł w wartość nadzwyczajnie szybko i tak n. p. za Jana Olbrachta w r. 1496 wart był groszy 30. Przyjąwszy jego wartość za złoty polski, mniemano, że już zyskuje się stałą jednostkę do rachunku, gdy tymczasem w dziewięć lat potem już wartość dukata podskoczyła o dwa grosze, w sześć lat następnie jeszcze o cztery grosze, w r. 1523 liczono na dukat groszy 38, a w r. 1526 już 40, a kiedy w r. 1528 wprowadzono dukat polski, już czerwony złoty wart był 45 groszy czyli półtora złotego polskiego. W ciągu 32 lat zyskał więc dukat 50% wartości, a złoty polski w tym samym stosunku na wartości stracił. Było to fatalne, ale na to nie było żadnej rady i prąd ten trwał bez najmniejszej przerwy aż do początku XIX. wieku w całej Europie. Pogorszyło się potem jeszcze bardziej, kiedy znów poczęto bić lichą monetę. Za Zygmunta I. dbano przynajmniej o wysoką stopę pieniądza, a z mennicy nie ciągnięto zbyt wielkich zysków.

WCIELENIE MAZOWSZA.

Z reformą skarbową i z całym ruchem demokratycznym u szlachty wchodziła w związek sprawa przyłączenia reszty lenna mazowieckiego. Na reszcie Mazowsza panowała księżna Anna, wdowa, w imieniu małoletnich synów Stanisława i Janusza. Ci poczęli rządzić samodzielnie w r. 1518. Starszy, Stanisław, odznaczył się podczas wojny pruskiej, okazawszy się dzielnym oficerem, umarł jednak w r. 1524, a w dwa lata później zeszedł z tego świata także młodszy brat jego, Janusz. Wygasła mazowiecka linia Piastów, została już tylko gałąź śląska, zupełnie zniemczona. Nie było najmniejszej wątpliwości, co się ma stać z Mazowszem według prawa, ponieważ lenno to dziedzicznem było tylko w linii męskiej, nie przechodziło tedy na siostrę zmarłych książąt, Annę, lecz przypadało lennemu zwierzchnikowi t. j. królowi polskiemu, który zostawał księciem mazowieckim. Już też z wiosną 1526 r. sekretarze królewscy zjechali na Mazowsze i badali tam stosunki skarbowe. Na Mazowszu był jeden tylko skarb wspólny dla wszelkich dochodów publicznych, ogólny skarb ksią-

żęcy, przechowywany w puszczy pomiędzy Różanem a Nowogrodem mazowieckim, w dworcu zwanym Szczkwa. Król zamierzał przyłączyć te mazowieckie dochody do podskarbiostwa nadwornego.

Mazowszanie nie garnęli się jednak do łączności z Koroną; przywykli byli stanowić odrębne księstwo, zdawało im się, że są czemś lepszem, gdy mają nad sobą osobnego księcia panującego, podczas gdy inne ziemie polskie mają tylko wojewodę. Do domu Piastowskiego szczerze i głęboko przywiązani, radziby przedłużyć jego istnienie, choćby po kądzieli. Miało też Mazowsze cały szereg swoich odrębności w prawie publicznem i prywatnem; rozwój stosunków społecznych, gospodarskich i politycznych dokonywał się tutaj wolniej, aniżeli w Wielkopolsce i Małopolsce i pozostawało tu jeszcze niejedno urządzenie, które tam już dawno zniknęło. Ustawodawstwo koronne na Mazowszu nie obowiązywało, ani statuty wiślicki i piotrkowski Kazimierza Wielkiego, ani przywileje ogólne królów Jagiellońskiej dynastyi nie miały mocy prawnej na Mazowszu, bo tam był osobny monarcha w osobie księcia, który sam stanowił samodzielne źródło prawodawcze, a względem swego zwierzchnika, króla polskiego, obowiązany był tylko do wierności i posiłków wojennych. Mazowszanie nie prowadzili wielkich wojen, nie mieli swej osobnej polityki zagranicznej i skutkiem tego mogli płacić mniejsze podatki i to zapewne najbardziej utrwalało ich w zamiarze przedłużenia odrębności swej prowincyi. Czasem tylko przyłączało się Mazowsze do wysokich podatków całego państwa polskiego, tak n. p. w roku 1520 na wojnę pruską, a w r. 1524 na spodziewaną wojnę turecką ustanowiono i tam podatek. Zależało to od ich woli, kiedy chcieli, a kiedy nie chcieli przyczynić się do ponoszenia kosztów polskiej polityki, a po wcieleniu do Korony byliby na te koszta narażeni bez ustanku.

Chwycili się narazie fortelu, żeby zyskać na czasie. Był zwyczaj, że następca tronu obejmował rządy w zupełności i uważany był za instalowanego na tron dopiero po pogrzebie swego poprzednika. Zwlekano tedy z pogrzebem księcia Janusza od 10 marca aż do końca sierpnia, a choć król już z końcem kwietnia nakazał odbyć pogrzeb, nic to nie pomogło; musiał sam do Warszawy przyjechać umyślnie i nieboszczykowi własnym kosztem

pogrzeb sprawić, ażeby księżna Anna nie miała pozoru wyręczać niejako nieboszczyka w zarządzie kraju. Księżna poczęła już bowiem używać tytułu „księżnej mazowieckiej, dziedziczki z Bożej łaski“, a siostra jej Zofia, zamężna od roku 1523 za wojewodą siedmiogrodzkim Stefanem Batorym, występuje również ze swemi uroszczeniami, i starała się nawet o poparcie sejmu węgierskiego. Szlachta mazowiecka, uboga i nie wykształcona, zmysłem politycznym się nie odznaczała, a choć pod względem narodowym niewątpliwie patryotyczna, zaczynała się burzyć i w rozczuleniu nad „sierotką“ swej dynastyi wołała, że „nawet krwi nie poskąpi w obronie jej panowania“. Tego się jednak w Koronie nie bano. Gdy król polski nie chciał lenna przenieść żadną miarą na linię żeńską, przypomnieli sobie Mazowszanie coś owoś ze swej historyi, że niegdyś król czeski był lennym zwierzchnikiem ich ziemi. Miała rzeczywiście Korona czeska niegdyś zwierzchność lenną, ale tylko nad samem księstwem płockiem, a prawa tego zrzekła się w pokoju wyszehradzkim za Kazimierza Wielkiego. Przywiązani do starych form Mazowszanie, kierowali się w sprawach publicznych tylko uczuciem, a wcale nie rozumem; zwrócili się rzeczywiście do Ferdynanda habsburskiego, który po zgonie Ludwika Jagiellończyka wybrany był królem czeskim, a z królem polskim nie zupełnie w zgodzie wówczas pozostawał, i prosili, żeby on, jako król czeski, nadał lenno księżnej Annie. Projekt ten nie miał żadnego politycznego znaczenia, bo Czesi nie prowadziliby oczywiście wojny z Polską o sprawę nie posiadającą dla nich najmniejszej wartości, a gdyby Ferdynand Habsburski niemieckiem wojskiem chciał dochodzić jakichkolwiek praw nad Mazowszem, sami Mazowszanie, okrutni Niemców nieprzyjaciele, pierwsi pędziliby w pierwszym szeregu, ażeby go z Polski wygnać. Toteż Ferdynand całkiem się nawet tą sprawą nie zajął. Wtenczas Mazowszanie prosili, żeby im dać na księcia sześcioletniego polskiego królewicza, Zygmunta Augusta, żeby choć na jakiś czas przynajmniej tytuł swej odrębności zachować. Ale w Polsce od czasu Kazimierza Jagiellończyka trzymano się niewzruszenie zasady, żeby lenna ściągać, a nie mnożyć.

Przygotowano wcielenie Mazowsza do Korony, i wezwano ich, żeby na sejm walny w r. 1528 wyprawili posłów od siebie. Przyznano im krzeseł poselskich 18, tj. trzy razy więcej, niż woje-

wództwu krakowskiemu, jakkolwiek wszystkie podatki całego Mazowsza wynosiły ledwie połowę podatku opłacanego przez ziemię krakowską. Niemniej przeto zależało wiele na wcieleniu tej prowincyi do Korony samemu sejmowi, bo tymczasem zmieniły się pierwotne postanowienia i dochody Mazowsza miały być wcielone nie do nadwornego, lecz do koronnego skarbu. Mazowszanie posłów jednakże nie wyprawili, a pomiędzy nimi a królem nastąpił ostry spór. Ostatecznie wydano dokument inkorporacyjny 27 grudnia 1529 roku, wcielający Mazowsze do Korony, jako zwykłe województwo. Za zrzeczenie się odrębności prawno-państwowej otrzymała szlachta mazowiecka zrównanie z Koroną, zatem wszystkie swobody obywatelskie polskiego szlachcica. Uszanowano jednak odrębność prawa zwyczajowego. W owych czasach liczono się z tem, że dla rozmaitych stosunków muszą być rozmaite ustawy, i że nagłe wprowadzenie nowych przepisów jest klęską społeczną, zwłaszcza, jeżeli ustawa pochodzi z innych stosunków. Mazowszanie np. mieli swoje osobne prawo sądowe; zachowano je tedy nietknięte, a również odmienne urządzenie administracyi skarbowej. Tych rozmaitych odrębności nie rugowano tedy wcale.

Wcielenie Mazowsza wzmocniło nadzwyczaj demokratyczny prąd szlachty, przybyło bowiem Polsce odrazu drugie tyle szlachty i to nie bogatej, skoro mazowiecki szlachcic gospodarował nieraz na maleńkim folwarczku na spółkę z braćmi. Uznano go równym wobec prawa z małopolską wielmożą, i dano przez to samo podstawę do daleko sięgającego rozwoju praw obywatelskich, opartych nie na majątku, lecz na posiadaniu jakiegokolwiek kawałka ziemi, a w końcu na samem tylko urodzeniu. Kmiecie miewali często znacznie więcej ziemi od mazowieckiej szlachty, a gdyby tylko mieli sposobność nabyć ją na własność, to prąd demokratyczny musiałby się udzielić całemu społeczeństwu. Spostrzegli się jednakże za wcześnie na tem możnowładcy, którym zależało, ażeby prąd zacieśnić przynajmniej w granicach urodzenia szlacheckiego, skoro go już całkiem stłumić nie było można. Mazowszanie powiększali liczbę demokracyi, ale nie poprawiali jej jakości, byli bowiem bardzo mało wykształceni, toteż drobna szlachta stała się w następnym okresie właśnie narzędziem w ręku możnowładztwa, a rozwój prawa publicznego polskiego ci właśnie najubożsi ze szlachty wstrzymali.

HIERONIM ŁASKI.

Rok 1526 był fatalnym dla polityki polskiej. W bitwie pod Mohaczem poległ Ludwik Jagiellończyk, a Ferdynand Habsburski zagarniał po nim czeską i węgierską spuściznę. Król polski postanowił starać się dla siebie o koronę węgierską, licząc na poparcie Zapolyi, ale ten wolał sam królem zostać. Nim polskie poselstwo przybyło na Węgry, już dnia 5-go listopada 1526 roku dokonano elekcyi wojewody siedmiogrodzkiego. Stała przy nim olbrzymia większość narodu. Stronnicy habsburscy obwołali jednak pomimo to w dwadzieścia dni potem królem Ferdynanda Habsburskiego. Kandydatura Zapolyi była Polsce sympatyczną, ale ten narodowy król węgierski znalazł się na niebezpiecznej pochyłości; żeby tylko utrzymać się na tronie, gotów był oddać się pod opiekę tureckiego sułtana przeciw Habsburgom. Król Zygmunt z całą stanowczością był temu przeciwny, a do gotującej się na Węgrzech wojny domowej mięszać się nie chciał. Ażeby zaznaczyć neutralność Polski, pojechał w roku 1527 do Ferdynanda kanclerz Krzysztof Szydłowiecki i zawarł zgodę, którą miało utwierdzić nowe małżeństwo; zaręczono 7-letniego królewicza, Zygmunta Augusta, z arcyksiężniczką Elżbietą, córką Ferdynanda.

Tymczasem król francuski, Franciszek I., zabrał się na nowo do polityki, pozyskawszy tym razem sprzymierzeńca w samym papieżu Klemensie VII., ażeby uwolnić Włochy od przewagi cesarskiej. Wojsko cesarskie zdobyło jednak szturmem Rzym, a papież, oblęgany w zamku św. Anioła, musiał się pogodzić z głową habsburskiego domu. Nie udała się też wyprawa na Neapol, który nadal pozostał pod władzą Karola V., a tem samem pozostała także w jego ręku sprawa barska, to jest sprawa królowej Bony. Papież popierał jednak po cichu Zapolyę nadal aż do kwietnia 1529 r. Powaga papieska ośmielała prymasa Jana Łaskiego, nieprzejednanego wroga Habsburgów, który też rozpoczął teraz politykę na własną rękę, wbrew królowi. Bratanek jego, Hieronim, wszedłszy w służbę Zapolyi z początkiem 1527 roku, a czując za sobą poparcie polityki papieskiej, objeżdżał całą Europę, kując ligę przeciw Habsburgom. W Polsce tak popularnym był Zapolya, że zwerbował u nas 2.000 ochotników do swego wojska (ustawy ówczesne nie krępowały swobody służenia w jakiemkolwiek obcem woj-

sku, byle nie przeciw własnemu krajowi). Nawet senat, na tajnej naradzie, odbytej w Radomiu w lutym 1528 roku, chciał skłonić króla, żeby oświadczył się za Zapolyą. Ale król obstawał przy neutralności. Gdy Zapolya przegrał na Węgrzech, pozwolił mu Zygmunt Stary schronić się do Polski (przebywał pół roku w Tarnowie, u hetmana Jana Tarnowskiego), ale nie oznaczało to wcale sojuszu z jego sprawą. Król miał w tem inne wyrachowanie i można dać wiarę jego słowom w liście do Ferdynanda, któremu odpisał na jego wymówki, że lepiej, żeby Zapolya był w Polsce, niż w Turcyi. Gdyby był chciał zwrócić się przeciw Ferdynandowi, mógł śmiało wypowiedzieć mu wojnę, gdy wojska habsburskie naruszyły wśród wojennych pochodów granicę polską na Spiżu; a jednak puścił to płazem. Z Turcyą zaś starał się o dziesięcioletni rozejm i miał właśnie jechać do Carogrodu Jan Tenczyński.

Wtem nadchodzi stamtąd list od Hieronima Łaskiego, datowany dnia 4 kwietnia 1528 r., z wiadomością, że on to już załatwił sam od siebie. Ale wraz nadeszły wieści, że zawarł już dnia 29-go lutego, jako pełnomocnik Zapolyi, z sułtanem traktat, mocą którego Turcya dawała mu 10.000 jazdy, nie żądając nawet, żeby Zapolya uznał się lennikiem sułtańskim; jakoż dnia 10-go kwietnia wypowiedział wojnę Ferdynandowi habsburskiemu w imieniu sułtana i Zapolyi, jako sprzymierzeńców. Król oburzony odebrał Hieronimowi starostwo malborskie za nieproszone usługi, z których mogłoby się wydawać, że i Polska jest sprzymierzona z sułtanem przeciw Habsburgom — ale rozejmu odrzucać nie mógł. Odmówił jednak pośrednictwa swego w Wiedniu, o które upraszał Zapolya, gdy Ferdynand zdobył na Węgrzech Trenczyn. Papież, nie wiedząc jeszcze, jak sprawy stoją, nakłaniał usilnie króla francuskiego do przymierza z Zapolyą; zawarto je dnia 28 października 1528 r. Prymas Łaski w najlepszej wierze zastawiał dobra kościelne, urządził u siebie składy broni i magazyny żywności, kiedy tymczasem z końcem czerwca 1529 r. nagle papież pogodził się z cesarzem Karolem V. Oto okazało się, że Turek rusza prosto na Wiedeń w zmowie z Francyą, z Zapolyą i z protestanckimi książętami Rzeszy! Sprawa Zapolyi miała być okupioną wprowadzeniem półksiężyca w samo serce Europy! Szczęściem spostrzeżono się na czas i Turcy pod Wiedniem nic nie sprawili. Na Zapolyę rzucił papież klątwę, a cesarz, mszcząc się na Łaskich, wymógł w Rzymie, że

i naszemu prymasowi wytoczono proces. Dobiło to 75-letniego starca; w testamencie, spisanym dnia 15 maja 1531 r., na cztery dni przed śmiercią, nie wspomniał o Hieronimie ani słówkiem; wydziedziczał go. Hieronim pozostał w służbie Zapolyi i został w roku 1530 wojewodą siedmiogrodzkim.

BITWY POD OBERTYNEM I STARODUBEM.

Fatalne skutki klęski pod Mohaczem dały się we znaki także w sprawach wołoskich. Hospodar Raresz, zwany w Polsce Petryłą, objąwszy panowanie w r. 1526, uznał się lennikiem Turcyi i zwrócił się przeciw Polsce z uroszczeniami do Pokucia. Kraina ta, wsunięta klinem pomiędzy Ruś Czerwoną, Podole a Mołdawię, kolonizowana dopiero za polskich rządów, miała wielkie znaczenie pod względem wojennym. Petryło zajął ją jesienią 1530 r. Sejm uchwalił na wojnę z nim 20 groszy podatku z łanu, ale król wahał się, czy wojnę rozpocząć, obawiając się, żeby sułtan nie ujął się za hospodarem, jako swym lennikiem. Wyruszono w pole dopiero, gdy sułtan Soliman oświadczył, że hospodara do owego najazdu wcale nie upoważniał. W czerwcu 1531 roku zebrano 5.000 zbrojnych pod wodzą hetmana Jana Tarnowskiego; w dwa dni, przez 4 i 5 sierpnia, wypędzono Wołochów z Pokucia, ale Petryło zebrał na nowo 6.000 wojska; poniósłszy klęskę pod Gwoździcem, zdołał wystawić jeszcze jedną armię, i to jeszcze liczniejszą, bo 22.000 i 50 dział, po większej części tych, które niegdyś Wołosi zdobyli na Janie Olbrachcie. Pod Obertynem stoczono walną rozprawę. Polacy odnieśli świetne zwycięstwo dzięki roztropności hetmana, który umiał upatrzyć stosowną chwilę i czekać na nią, nie dbając na niezadowolenie wojska szemrzącego, że zrazu stało bezczynnie kilkanaście godzin pod bronią. Było kilka ataków. W jednym z nich wsławił się Szczęsny Herburt; rzucił się on na szereg wystawionych wołoskich osęk, rozwarł ramiona, i objąwszy całą osęk gromadę i sparłszy się na nich, skierował je ku własnym piersiom, a wyprowadziwszy tak z równowagi pierwszy szereg wołoskich jeźdźców, utorował swemu oddziałowi drogę, żeby się mógł wbić klinem w nieprzyjacielski hufiec. Jestto jeden z najpiękniejszych czynów wojennych nietylko w samej polskiej, ale powszechnej historyi. Odzyskano wszystkie działa, utracone za Jana Olbrachta; Mikołaj Kalinowski zdobył wielki sztandar wołoski; cudów męstwa dokonywał

Maciej Włodek. Nieprzyjaciel stracił przeszło 5.000 pieszych a około tysiąca jazdy, podczas gdy z polskiej strony padło zaledwie 256 żołnierzy; wśród nich jednakże tacy bohaterowie, jak Herburt i Kalinowski. Słynna ta bitwa stoczoną była dnia 22 sierpnia 1531 roku. Zwycięska polska armia mogła była zdobyć teraz Mołdawię, ale król przysłał wyraźny rozkaz, żeby granic mołdawskich nie przekraczać, bo tam zwierzchniczym panem był sułtan, a wojny z Turcyą Polska sama podejmować nie mogła. Hetman Tarnowski odbył dnia 27-go listopada tryumfalny wjazd do Krakowa i zawiesił zdobyte sztandary na grobie św. Stanisława. Sejm uchwalił dla niego dar honorowy, mianowicie szóstą część łanowego podatku z całego państwa. Okazało się, że szlachta ówczesna umiała ocenić zasługę także u możnowładcy, że więc nie przez samą tylko zawiść przeciw możnowładztwu występowała, ale miała do tego słuszne polityczne powody. Zwycięskiemu wojsku uchwalono równocześnie wypłacić kwartalny żołd podwójnie. Petryło, choć pokonany, nie kwapił się z zawarciem pokoju, ufając w sułtana, że nie pozwoli na rozszerzenie polskich wpływów nad Dunaj. Zawarł ledwie zawieszenie broni, i to ustępując pod naciskiem Jana Zapolyi.

Sprawę mołdawską można było załatwić gruntownie tylko w połączeniu z Węgrami, te zaś rozdzielone wojną domową, same zawisłe były od Turcyi. Zapolya walczył z Ferdynandem i uznał się w roku 1529 lennikiem tureckim. Polska zachowała ścisłą neutralność. Potem począł się król Zygmunt znów wahać i wydał swą córkę Izabellę w roku 1539 za Zapolyę. Syn jej, Jan Zygmunt Zapolya, został obwołany po śmierci ojca królem Węgier w roku 1540, i panował pod tureckiem zwierzchnictwem na wschodniej części Węgier w Siedmiogrodzie, podczas gdy w zachodniej części władał Ferdynand Habsburski, a środek kraju przyłączył sułtan do swego państwa. Dano już za wygraną dawnym planom zdobycia dla Polski wolnej drogi do czarnomorskich wybrzeży; trzeba było zupełnej zmiany politycznego stanu rzeczy, żeby je kiedyś w przyszłości podjąć na nowo. Król marzył przynajmniej o odzyskaniu Smoleńska na Moskwie. Kiedy w r. 1533 umarł car Wasyl, nastały między moskiewskimi wielmożami zwady o udział w opiekuńczych rządach za jego małoletniego syna Iwana (który otrzymał potem smutny przydomek Groźnego). Równocześnie upływał rozejm z Moskwą, postanowił więc król Zygmunt skorzystać z pa-

nujących tam zamieszek (wtenczas-to zginął Gliński w więzieniu) i wypowiedziawszy wojnę, wyprawił Jerzego Radziwiłła. Odniesiono zwycięstwo pod Starodubem, ale gród sam zajął dopiero Jan Tarnowski w następnym roku. Zdobyto jeszcze dwa grody: Radogoszcz i Homel, ale też na tem był koniec całego przedsięwzięcia. Nie prowadzono wojny dalej i nie spróbowawszy nawet szczęścia pod Smoleńskiem, zawarto rozejm na lat siedm. Nie było środków na dłuższą, wytrwałą wojnę. Z sejmu na sejm przerzucano ciągle sprawę nowych, postępowych urządzeń skarbowych i wojskowych, a z dawnemi nie dało się już przedsiębrać niczego skutecznie.

HASŁA KORREKTURY i EGZEKUCYI.

Wrzała dalej walka pomiędzy możnowładztwem a szlachtą. Król ku niej teraz się sklaniający sam podał w roku 1527 nowy projekt taksacyi. Uchwalono wtenczas, że w każdem województwie ma oszacowanie dóbr ziemskich przeprowadzić kasztelan z dwoma delegatami szlachty. Wyznaczono osobnych poborców z pośród szlachty, a dochód przeznaczono na stałe wojsko na wschodnich kresach. Zastrzeżono, że taksacya ma się rozpoczynać od własnych dóbr kasztelana. W roku 1529 stanęło rzeczywiście na Podolu 3.200 jazdy i 300 piechoty. Litewskie możnowładztwo patrzyło bardzo niechętnem okiem na wszystkie te próby; jakkolwiek bowiem prawodawstwo koronne wcale nie obowiązywało Litwy, przewidywali, że kraje litewskie i ruskie mogą stopniowo coraz bardziej zbliżać się do Polski pod względem urządzeń wewnętrznych, ze szkodą władzy i znaczenia możnowładztwa. Chcieli więc pewności, że u nich nie przestanie nigdy obowiązywać prawo litewskie, nadające możnowładztwu taką szaloną przewagę i starali się o spisanie odrębnych praw. Tak powstał t. zw. Statut litewski, ułożony pod przewodem kanclerza litewskiego, Alberta Gasztołda w r. 1530, w trzech językach: ruskim, łacińskim i polskim. W państwie litewskiem językiem urzędowym był ruski (litewski długo jeszcze potem nie był piśmiennym, a łaciny nie wiele tam znano), jeszcze też Litwa nie zupełnie wydobyła się z pod przewagi ruskiej kultury. Język ruski pozostał zresztą urzędowym w Wielkiem Księstwie litewskiem aż do końca,

a sam Statut litewski dotychczas nawet pod rządem rosyjskim częściowo obowiązuje.

Korzystając z serdeczniejszych stosunków pomiędzy tronem a społeczeństwem, pragnął król, ażeby jedynego jego syna, jeszcze za życia ojca uznano królem polskim. Na Litwie ogłoszono go Wielkim Księciem już w r. 1522, a nasz sejm piotrkowski z roku 1530 nie tylko uznał 10-letniego królewicza następcą tronu, ale odrazu królem i dnia 20 lutego 1530 r. odbyła się w katedrze na Wawelu koronacya dziesięcioletniego Zygmunta Augusta. Było więc odtąd dwóch koronowanych królów polskich, a że obaj mieli na imię Zygmunt, poczęto króla-ojca nazywać Zygmuntem Starym, i stądto pochodzi ten przydomek. Zastrzeżono, że młodszy król nie będzie sprawować władzy do najdłuższych dni ojcowskich, chociażby nawet doszedł do lat męskich; co innego na dziedzicznej Litwie, tam mógłby ojciec każdej chwili oddać rządy synowi. Zastrzeżono się też, że koronacya królewicza nie ma uwłaczać bynajmniej zasadzie wolnej elekcyi, to znaczy, że tron polski przez to dziedzicznym wcale się nie staje. Potomkowie Zygmunta Augusta musieliby swoją drogą starać się o wybór. Dokonanie wyboru następcy za życia poprzedniego króla miało niezmierną polityczną doniosłość, a ustalając dynastyę, ścieśniało jeszcze bardziej węzeł pomiędzy społeczeństwem a tronem, i uwalniało na przyszłość państwo od kłopotu bezkrólewia. Posłowie sejmu piotrkowskiego przypuszczali zapewne, że pierwsza elekcya „za życia króla“ nie będzie ostatnią. Losy jednak inaczej zrządziły.

Stronnictwo szlacheckie, uważając, że król teraz stoi po jego stronie, chciało przeprowadzić ogólną reformę publicznego prawodawstwa polskiego, czyli tak zwaną „poprawę praw“, co z łacińska zwano korrekturą. Istniejący od roku 1505 zbiór ustaw polskich w t. zw. Statucie Jana Łaskiego, nie wystarczał już wzmożonym dążeniom szlacheckiej demokracyi. Wybrano więc na sejmie osobną do tego komisyę, której głównym współpracownikiem był Mikołaj Taszycki, sędzia krakowski, ten sam, któryto niegdyś jeździł z wymówkami do króla. Statut Taszyckiego miał ugruntować raz na zawsze przewagę demokratycznego ustroju. Kilkoletnia praca poszła jednak na marne. W roku 1532 ogłoszono ten statut drukiem, ażeby wszyscy mieli dość czasu i sposobności należycie w nim się rozejrzeć. Możnowładztwo podniosło gwałt,

i pozyskawszy sobie w zupełności królową Bonę, doprowadziło do tego, że wybory na posłów do sejmu w roku 1534 wypadły w znacznej części po jego myśli i sejm ten statut Taszyckiego odrzucił, tak, że nie miał on mocy obowiązującej. Odtąd psuje się stosunek tronu do Izby poselskiej.

Szlachta postanowiła się zemścić na możnowładztwie, i poderwać samą materyalną podstawę wielkopańskich fortun. Pojawia się nowe hasło polityczne t. zw. egzekucyi. Przypominano, że już za króla Aleksandra zakazano dalszego rozdawania królewszczyzn; możnowładztwo umiało doskonale tę ustawę obchodzić i za Zygmunta Starego (zwłaszcza za pośrednictwem Bony) rozdrapano sporo dóbr królewskich. Ustawa pozostała na papierze, niewykonana. Sejmiki, wybierając niemal samych tylko opozycyjnych posłów, nałożyły na nich w r. 1535 obowiązek, żeby się postarali o ustawy wykonanie, czyli, jak z łacińska się wyrażano: egzekucyę, żeby więc poodbierać wszystkie królewszczyzny nadane od czasu króla Aleksandra. Niejeden dom magnacki popadłby odrazu w ruinę, i o to właśnie chodziło, ażeby wielmożów dobrze nastraszyć i mieć się z nimi o co targować. Od tego czasu całą resztę panowania Zygmunta Starego i całe niemal panowanie jego syna wypełnione jest wołaniem o egzekucyę dóbr i około tej sprawy zebrano wszystkie inne żądania polityczne. Królowa Bona nie sprzyjała szlacheckiemu ruchowi i o tę egzekucyę nie dbała, ufając w skarb dynastyczny, który zbierała ciągle z wielką skwapliwością. Mniemała, że pozostawi synowi tak olbrzymi spadek, że Zygmunt August nie będzie potrzebował w przyszłości oglądać się na podatkowe uchwały sejmów, rozporządzając milionami po matce. Jej spadek aragoński, księstwo Bari i zebrana w Polsce gotówka, stanowiłyby razem rzeczywiście taki skarb, jakiego nie miałby żaden z europejskich monarchów, ani nawet najbogatszy z nich, król hiszpański.

WOJNA KOKOSZA (1537).

Na sejmie w lipcu 1535 roku nie chcieli posłowie uchwalić środków na wojsko, pókiby nie postanowiono „egzekucyi“ i zmusili senat do podpisania zobowiązania, że na najbliższym sejmie egzekucyę poprze. Królowa Bona starała się wszelkimi sposobami wpłynąć na wybór posłów i udało jej się przeprzeć przynajmniej

w Wielkopolsce w znacznej części swoich kandydatów. Sejm krakowski 1536 roku był nader burzliwy, tem bardziej, że pojawiły się rozmaite uszczypliwe broszury i satyry polityczne na Izbę poselską; stąd nawzajem burza na królowę i jej stronników w senacie. Sypały się urazy, zarzuty, obelgi i takie powstało roznamiętnienie, że zatraciwszy wszelki zmysł polityczny, nie spostrzeżono się, jak w tym chaosie gubi się sprawa egzekucyi, skoro wszyscy występują przeciw wszystkim i zamiast myśleć o rzeczy głównej, sadzą się na to, żeby jak najwięcej wydobyć przeciw sobie zarzutów i jak najwięcej postawić opozycyjnych żądań. Sejm ten trwał sto dni, od 12 listopada 1536 roku aż do 2 marca 1537 r. Przeciwnicy egzekucyi powydobywali najrozmaitsze sprawy, żeby zawichrzyć obrady, poświęcili nawet królowę i przeciw niej skierowali umysły, że frymarczy urzędami, źle wychowuje syna i wykupuje starostwa od starostów dla siebie, więc gwałt poczęto, że polskie dawne królewszczyzny mogą się dostać w ręce obce, skoro królewne, spadkobierczynie Bony, wyjdą za mąż za cudzoziemskich książąt. Wyzyskiwano niechęć szlachty do duchowieństwa; posłowie występowali z przeróżnemi żądaniami co do sądownictwa kościelnego, dziesięcin i dóbr duchownych, potem podburzano ich o podatki i cła, żeby tylko nie mieli czasu zająć się egzekucyą. Szlachta burzyła się w głębokiem przekonaniu, że robi gwałtowną opozycyę, skoro tak naraz wszystko wypomina, a tymczasem cały ten huk opozycyjny był tylko wodą na młyn możnowładców i od zbyt wielkiego wrzasku zagłuszono to, czego się na prawdę bali, t. j. odebrania królewszczyzn. Wyzyskano sprytnie dwa wypadki. Po śmierci zasłużonego Tomickiego, biskupa krakowskiego i kanclerza państwa, chciała Bona zapewnić obie te godności swemu ulubieńcowi, Gamratowi, który dzięki jej poparciu został już biskupem przemyskim. Powiadano o królowej, że chciała „całe piekło poruszyć“ w tej sprawie. Król jednak — wobec żony wcale nie tak uległy, jak głosi zmylona tradycya — mianował kanclerzem Jana Chojeńskiego, biskupa płockiego. Powstało z tego nowe zamięszanie; o tę nominacyę stawali przeciw sobie ludzie, którzy zgodni byli co do egzekucyi, ale nie o niej już myśleli. Nie było ani jednej grupy posłów, którzyby wiedzieli jasno, czego chcą od tego sejmu; każda nowa sprawa w inny sposób łączyła i rozdzielała posłów, a więc wyciągano też coraz nowe. Bona wyrzekała, że stają prze-

ciw niej niewdzięcznicy, których obsypywała dobrodziejstwami; ale tak samo mógł w tym roku narzekać każdy na niespodzianki i zawody, bo nie było ni ładu, ni składu na tym sejmie. Wśród niepojętego zamętu pojęć uczyniono popularnemi kilka spraw, które właśnie potępić należało w imię egzekucyi. Najważniejszą z nich jest sprawa Odrowąża.

Stanisław Odrowąż, wojewoda podolski, starosta lwowski i samborski, młody, bo zaledwie 27-letni, a mający przed sobą tem świetniejszą jeszcze przyszłość, że cieszył się względami królowej Bony, ożenił się w lutym 1536 roku ze starszą od siebie o dziesięć lat księżniczką mazowiecką Anną. Księżniczka otrzymała po wcieleniu Mazowsza do Korony obszerne dobra, które zobowiązała się zwrócić w razie zamęścia w zamian za 10.000 dukatów tytułem posagu. Po ślubie Odrowążowie posag wzięli a dóbr oddać nie chcieli. Sąd sejmowy (to jest król, zasiadający podczas sejmu na sądach z senatorami) kazał dobra zająć, a nadto ukarał Odrowąża odebraniem starostw. Butny wojewoda znalazł jednak stronników, którzy się za nim ujmowali.

Na tym sejmie miał właśnie składać królewską przysięgę Zygmunt August, skończywszy już szesnaście lat życia. Posłowie odgrażali się, że nawet nie dopuszczą do złożenia tej przysięgi i wołali, że nie trzeba było wcale przeprowadzać elekcyi za życia ojca, bo król nie szanuje praw i t. p. Gdy młody król składał w katedrze na Wawelu przysięgę, posłowie wyszli demonstracyjnie z kościoła, a do senatu posłali wezwanie, żeby nie odbierać tej przysięgi od królewicza, „który pójdzie śladami ojca i przywilejów szanować nie będzie“. Poczęto się też naradzać pokryjomu i rozsyłać po wszystkich województwach jakieś wezwania. Udała się doskonale możnowładzcom sztuczka, że odwrócili uwagę od egzekucyi, a zapęd szlachty zwrócili przeciw dworowi, poddawszy królowę na cel.

Szlachta nie chciała uchwalić podatków na zaciężnego żołnierza, który dla bezpieczeństwa zawsze był potrzebny na niepewnej południowo-wschodniej granicy. Senat wpadł na pomysł, żeby pod pozorem niebezpieczeństwa od Wołoszy zwołać pospolite ruszenie i odstąpić potem od tego za pobory na zaciągi. Ale podstęp się wydał; ktoś ze senatu zdradził zaraz tajemnicę, że żadnej wyprawy na Wołoszę wcale nie będzie! Król rozpisał pierwsze i wtóre wici,

naznaczając termin pospolitego ruszenia do Glinian na 21 czerwca 1537 r. Przedtem jednak jeszcze zwoływał na 10 maja zjazd do Korczyna i kazał tam wyprawić posłów z każdego województwa, żeby jeszcze raz próbować uchwał na zaciągi; dopiero, gdyby tam obrady spełzły na niczem, miały obowiązywać trzecie wici.

Petryło rzeczywiście dopuszczał się gwałtów na granicy Pokucia, ludzie jego spalili nawet kilka wsi; takie krzywdy pograniczne należały jednak w owych czasach, niestety, do zwyczajnych rzeczy. Upominany o to hospodar wystąpił z końcem maja znowu z uroszczeniami do Pokucia. Ferdynand Habsburski, król Czech i części Węgier, używał Petryły przeciw Zygmuntowi Staremu, bo król polski poczynał się znowu przechylać na stronę Zapolyi, a wymawiał się od sojuszu z Habsburgami. Królewicz Zygmunt August miał się zaręczyć z córką Ferdynanda, ale Zygmunt Stary odwlekał tę sprawę, chociaż Ferdynand upominał się o to przez poselstwa. Z końcem 1536 r. przyjechał do Polski właśnie Hieronim Łaski, który porzucił już Zapolyę i przeszedł na służbę Habsburgów. Ten zajął się też pośrednictwem pomiędzy królem polskim a hospodarem, ale Petryło napisał do Zygmunta Starego obraźliwy list. Nie zamierzał jednak hospodar prowadzić teraz wojny, ani też król wyprawiać się na Mołdawię. Te upominania, listy, pośrednictwa i t. p., doprowadzały jednak do tego, że zdawało się, jakoby wojna wisiała na włosku i usprawiedliwiały nakaz pospolitego ruszenia.

Jakoż 13-go kwietnia 1537 r. wyszły trzecie wici; zmieniając termin i miejsce, kazał król stawić się pospolitemu ruszeniu pod Trembowlą na dzień 2 lipca 1537 r. Obwołano wyprawę na Mołdawię, a więc wojnę zagraniczną, za którą należały się każdemu z uczestników dwie grzywny od oszczepu. Mniemała może królowa, że wielu szlachty się nie stawi, skoro wiedzą, że w kraju nieprzyjaciela niema, a na żołd na Mołdawię nie uchwalone pobory i że podpadną karze konfiskaty dóbr za niestawiennictwo; ale zmówiono się właśnie, żeby się tłumnie zjechać. Droga wypadała na Lwów i tam też podążył sam król. Pod Lwowem zebrało się przynajmniej 70.000 szlachty, konno, dworno, strojno i rojno, tak, że ze służbą i ciurami było do 150.000 osób. Połowa starczyłaby na zawojowanie Mołdawii, ale Petryło wiedział dobrze, że mu nic nie grozi. Król narobił sobie niepotrzebnego kłopotu

Biblioteka Akademii

zwołaniem tych zbrojnych tłumów; nie wiedziano, co teraz z nimi począć, a że oburzenie na dwór wzrastało ciągle, to rzecz prosta. Na czele szlachty stanęli: Marcin Zborowski i Mikołaj Taszycki, autor owego odrzuconego przez możnowładztwo zwodu statutów. Nie wzywani do żadnego wojennego pochodu, urządzili naradę obozową, jak bywało za Kazimierza Jagiellończyka, a król, przebywający w samym Lwowie, nietylko nie rozpuścił ich do domu, ale sam wraz z senatorami w obradach tych wziął udział, przyjmując deputacye od szlachty i odpowiadając na nie urzędowo. Zamiast w Korczynie, radzono pod Lwowem, ale — zbrojno i tłumnie. Miesiąc cały stali już tak w polu, nie mogąc się rozejść bez królewskiego pozwolenia; wytrzymano ich pod Lwowem półtrzecia miesiąca, aż do 10 września! Do dnia 28 sierpnia odbyło się pięć narad pełnomocników szlachty z senatorami. Piąta z rzędu ważną jest w historyi języka polskiego tem, że hetman Jan Tarnowski, odpowiadając imieniem królewskiem, zabrał głos nie po łacinie, lecz po polsku; pierwszy raz przyznano taki zaszczyt „językowi pospolitemu“. Ale w historyi prawodawstwa polskiego wszystkie te narady nic nie znaczą, bo podnoszono chaotycznie wszelkie sprawy naraz, co komu na myśl przyszło, co kto miał do wytknięcia i obrzucano się tylko wzajemnie zarzutami o wszystko i cokolwiek: o cła, o rozdawnictwo urzędów, o sposób stwierdzania dokumentów na własność ziemską, o dziesięciny duchowne, o cechy miejskie, nawet o żydów itd. itd., nie mając żadnego rozumnego programu. Wszak broniono nawet Odrowąża! Dnia 30 sierpnia cały tłum zebrał się na błoniu pod cerkwią św. Jura, ustawił się województwami i powiatami i wybrał posłów do rady, czyli t. zw. Koła, które stało się urzędową reprezentacyą zebranej z całej Polski szlachty i zastępowało niejako Izbę poselską. Na zarzut, że radzą i burzą się, mając iść na wojnę, powiedział królowi mowca od Koła, Marcin Branicki: „Racz dać, panie, na każdą włócznię, czegoś zaniechał, królu, (po dwie grzywny), a radzi pójdziemy“. Dnia 9 września wezwano ich znowu na zamek. Przedstawili 35 najrozmaitszych żądań, z których na niektóre król się zgodził, a inne odłożył do następnego sejmu. Prosili króla o wydanie jakiego stanowczego rozkazu, żeby nie stali próżno pod Lwowem. Ale król chciał wytrzymać ich tak długo, aż uchwalą podatki. Zasłaniali się, że to należy do sejmu i nareszcie 10 wrze-

śnia doczekali się, że ich król rozpuścił. W pożegnalnej od tronu mowie przyznał hetman, że ich umyślnie zatrzymano na te narady „przed wojną“; nie mógł oczywiście wyznać, że o żadnej wojnie zgoła nie myślano. Tak więc to pospolite ruszenie — wojną kokoszą przezwane — miało być karą nałożoną na szlachtę za opozycyę przeciw dworowi i możnowładztwu ze stronnictwa królowej Bony. Wiedząc o tem pozwolono sobie podczas obrad na niejedno zbyt ostre słowo, nie licząc się należycie z szacunkiem należnym majestatowi królewskiemu. Toteż na najbliższy sejm w styczniu 1538 r. w Piotrkowie posypały się przeciw przywódcom „wojny kokoszej“ pozwy o obrazę majestatu i buntownicze knowania. Stawili się wszyscy na dzień oznaczony, ale w towarzystwie trzechset zbrojnej szlachty. Król sprawę odroczył, biorąc tylko słowo od pozwanych, że się stawią na każde zawołanie. Wnet potem posądzono Marcina Zborowskiego o coś więcej, bo o spisek na życie królewskie.

TURCY W MOŁDAWII I WĘGRZECH (1538–1542).

Po lwowskich niepotrzebnych obradach spalił Petryło znowu kilka wsi na granicy, a nawet wtargnął na Pokucie. Nie zwoływał król teraz wcale pospolitego ruszenia, lecz wysłał Andrzeja Tenczyńskiego i Mikołaja Sieniawskiego z hufcami zaciężnych, których zawsze trochę trzymano. Zapędzili się aż po Suczawę, ale w styczniu 1538 roku ponieśli nasi dotkliwą klęskę nad Seretem. Król wysłał hetmana na pomoc, ale wojna ta nie wiodła się i w sierpniu rozpoczął hetman układy i zawarł rozejm. Wkrótce jednak potem musiał Petryło szukać schronienia u Zapolyi, bo sułtan Soliman strącił go z gospodarstwa, a Mołdawię zamienił na prosty sandżak, t. j. turecką prowincyę. Już państwo tureckie graniczyło bezpośrednio z polskiem!

Wzmożona jeszcze bardziej turecka potęga groźną była przedewszystkiem dla Węgier; zachodziła obawa, żeby Soliman nie zrobił teraz z Zapolyą tego samego, co z Petryłą. Pogodził się więc Zapolya z Ferdynandem Habsburskim w Waradynie w roku 1538, poprzestając na dożywociu na wschodnich Węgrzech i w Siedmiogrodzie. Dziedzica i tak nie miał, będąc bezżennym, chociaż liczył już 52 lat. Ale w rok potem zapragnął Zapolya utworzyć narodową węgierską dynastyę, a król polski dał mu w małżeństwo swą 19-

letnią córkę Izabellę. W rok po ślubie umarł Jan Zapolya, pozostawiając po sobie niemowlę, nazwane imionami ojca i polskiego dziadka, Jana Zygmunta. Ten nie miał żadnych praw do korony według umowy waradyńskiej, ale Izabella wszczęła wojnę domową o tron dla syna, oddając go pod opiekę — sułtanowi. Opiekun przybył z wojskiem i kraj zajął, obiecując go wydać, gdy królewiątko dojdzie do pełnoletności, a tymczasem wyznaczył na utrzymanie Izabelli Siedmiogród. Zygmunt Stary trzymał się z daleka od tej spółki z Turkami, doradzał ugodzić się z Ferdynandem, ale dopiero w r. 1542 zgodziła się Izabella wydać mu koronę i zrzec się pretensyj w zamian za 12.000 dukatów rocznej pensyi.

MAŁŻEŃSTWA ZYGMUNTA AUGUSTA (1543, 1547).

Przez cały ten czas przewlekała się ciągle sprawa małżeństwa Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką Elżbietą. W r. 1538, po waradyńskiej ugodzie, spisano już małżeńską umowę, ale ślub odbył się po wielu jeszcze zwłokach dopiero w r. 1543. Zygmunt August porzucił niebawem żonę, a rychła śmierć przerwała jej życie już w dwa lata potem. Po dwóch następnych latach ożenił się młody król z Barbarą Radziwiłłówną, wdową po Gasztołdzie, wojewodzie trockim. Uczynił to potajemnie, bo ojciec, sędziwy patryarcha europejskich monarchów, nie byłby zezwolił na małżeństwo z własną poddanką. Od r. 1544 miał sobie Zygmunt August zdane rządy Litwy i mieszkał stale w Wilnie.

SĄDOWNICTWO.

W Polsce nie mógł Zygmunt August sprawować rządów za starego ojca, bo sprzeciwiałoby się to wyraźnemu zastrzeżeniu, uczynionemu w r. 1530. Zygmunt Stary liczył już podczas wojny kokoszej lat 70; nie dziwić się więc, że nastały czasy takie, że tylko królował, ale nie rządził. Na dworze wzmógł się w tych latach wpływ królowej Bony, a w sprawach państwowych zaległo zwolna wszystko odłogiem. Król nie umiał się znaleźć, ani wybrać drogi wśród nowych ludzi i stosunków; nie miał własnego programu politycznego, ani też żadnego wybitnego polityka koło siebie. Możnowładztwo stało się zupełnie konserwatywnem, bo wobec ruchu demokratycznego wszelkie zmiany mogły się zwrócić przeciw niemu; nie chcąc zmian, nie dopuszczali w niczem ulepszeń. Szlachta zaś

sama, bez poparcia tronu, nie mogła przeprowadzić swego programu i tak nie robiło się w ostatnich latach panowania Zygmunta Starego nic około poprawy państwa. Zwolennicy reform założyli ręce i czekali... śmierci królewskiej. Trzeba też było wielkiej roztropności i silnej ręki, żeby z dążeń szlacheckich wykrzesać rozumny program polityczny. Jak zawsze, gdy tłumy politykować poczną, a nie mają wybitnego przewodnika, tak też i tym razem, wiedziała szlachta, czego nie chce, ale nie zawsze wiedziała, czego chce. Urządzenia państwowe wynikają z ciężkich doświadczeń pokoleń, i dużo pomyłek i złudzeń przechodzi społeczeństwo, nim się wynajdzie stosowny w jakiej sprawie publicznej sposób, nim się natrafi wreszcie na coś, co potomnym wydaje się potem rzeczą tak prostą, że ledwie dają wiarę historyi, opowiadającej o zapatrywaniach i wątpliwościach przodków.

Okazać to można na najprostszym na pozór objawie publicznego życia, na sądownictwie. Według monarchicznej zasady jest król najwyższym sędzią, a więc wydaje się wyroki w jego imieniu. Niegdyś brano to jednak dosłownie, monarcha rzeczywiście osobiście rozsądzał sprawy w najwyższej instancyi tak, że każdą niemal sprawę można było wywołać przed jego sąd. Już za Kazimierza Wielkiego spostrzeżono się, że to niewykonalne i zastrzeżono, że od wyroku starosty, a potem także od sądów wiecowych, niema apelacyi. W drugiej połowie XV. wieku szerzyło się z prądem demokratycznym poczucie równości i poczęto uważać za ujmę mieć nad sobą sędzią współobywatela i coraz częściej apelowano do króla, aż wszystkie istniejące sądy zamieniły się tylko w pośrednie instancye; że zaś sędziami bywali możnowładcy, tem bardziej apelowano, żeby ścieśniać moc ich sądownictwa. Król odbywał swe sądy zazwyczaj podczas sejmu, ale czem bardziej rozwijał się sejm, tem mniej było na to czasu. Już w roku 1493 zastrzeżono, że król niema rozpoczynać sądów wcześniej, jak w sześć dni po rozpoczęciu sejmu. W roku 1538 ograniczono czas sądów sejmowych na środy i piątki każdego tygodnia. Sądy te były nadzwyczaj uciążliwe, zwłaszcza dla mniej zamożnych, bo trzeba było z daleka przyjeżdżać, nie mając pewności, czy król będzie miał czas sprawę załatwić. Miał król zresztą prawo sądzić zawsze i gdziekolwiek i wydawano też pozwy przed t. zw. sąd zadworny, nie oznaczając ściśle terminu, tylko wzywając na pewien dzień, n. p.

trzeci, czwarty lub piąty po przyjeździe króla do pewnego miejsca. Przy ówczesnych środkach komunikacyjnych nie łatwo było przewidzieć dokładnie datę, kiedy król przybędzie na oznaczone w pozwie miejsce, a należało samemu przyjechać raczej wcześniej, niż później. Nigdy nikt nie mógł wiedzieć, gdzie i kiedy jego sprawa będzie sądzona. Pomimo to jednakże upierano się przy zasadzie, że król musi osobiście wykonywać czynności najwyższego sędziego. Zdawało się współczesnym, że poddając się pod wyrok sędziego, poddają się zarazem jakoby osobiście pod jego władzę. Apelacyj namnożyło się tyle, że król musiałby chyba nie robić nic innego, jak sądzić bez ustanku. Próbowano za Zygmunta Starego zaradzić temu zastojowi, ale wśród niesnasek i starć stronnictw i nie poznawszy się jeszcze należycie na rzeczy, przypisywano winę nie owej mylnej zasadzie (jakoby król koniecznie osobiście miał sądzić), lecz starości i słabowitości króla. W roku 1543 pojawił się projekt stałego sądu najwyższego, urzędującego przez cały rok bez dalszej apelacyi. Ażeby i szlachta miała dostęp do sprawowania godności tych sędziów, obmyślono, że sędziowie ci mają pochodzić z wyborów. Ale tylko kilku posłów rzecz zrozumiało i popierało. Ogół długo jeszcze obstawał przy tem, że tylko król sam może sądzić w najwyższej instancyi. Projekt był przedwczesny, podobnie jak przedwczesnym był projekt powszechnego podatku, kmiecego wojska i t. p.

ZAWIĄZKI NIEWOLI LUDU WIEJSKIEGO.

W dziejach sądownictwa polskiego znajdzie się rozwiązanie zagadki z historyi społecznej. Król był najwyższym sędzią nad wszystkimi stanami, szła do niego apelacya tak od prawa ziemskiego, jakoteż od t. zw. magdeburskiego, t. j. od sądów autonomicznych miejskich i wiejskich. Od wyroku sołtysa szła apelacya do t. zw. Magdeburgii, a stąd do samej królewskiej osoby. Kmiecie mogli z tego korzystać pomimo to, że sołtysem bywał coraz częściej właściciel wsi. Aż w roku 1518, gdy przed królewskim sądem asesorskim w Krakowie skarżył kmieć swego dziedzica o przynaglanie go do robocizny i o gwałty, nie przyjął sąd wcale tej skargi i nie wdając się zgoła w rozpatrzenie sprawy, podał za przyczynę, „żeby poddani swych panów nie pozywali przed króla“. Był to straszny cios dla rozwoju stosunków wiejskich. Do zależno-

ści ekonomicznej, administracyjnej i sądowej w pierwszej instancyi przybyło teraz odcięcie drogi apelacyjnej; w praktyce wychodzi na to, że dziedzic jest odtąd najwyższym sędzią nad swymi kmieciami. Sądowi asesorskiemu chodziło w roku 1518 o to, żeby nie namnożył zbytecznie spraw apelacyjnych, któremi i tak był przeciążony. Odmowa w roku 1518 byłaby nieszkodliwą, gdyby równocześnie obmyślono nową organizacyę sądownictwa, ale tego wówczas nie uczyniono, aż później za panowania Stefana Batorego, a wtenczas już dla kmieci było zapóźno. Żaden sejm nie uchwalił nigdy niewoli ludu; następowało to przez stopniowe rozszerzanie władzy dziedzica. Przedtem już w roku 1501 postanowiono, że kmieć, pozwany o zbrodnię gardłową, niema być odstawionym do starościńskiego urzędu, lecz przed sąd dziedzica (jako sołtysa wsi). Wtenczas też zakazano sądom miejskim przyjmowania skarg na kmieci o długi, i polecono odsyłać wierzyciela do sądu dziedzica. Utrudniło to oczywiście zaciąganie pożyczek w miastach, a kmiecie w razie potrzeby szukali we dworze kredytu i popadali przez to w jeszcze większą zależność materyalną. W sądownictwie wyręczał się pan włodarzem i rządcą, i czem większe dobra, tem więcej takich pośredników było pomiędzy panem i kmieciem, tem gorzej też kmieciowi się działo.

Przestarzałą była zasada, żeby kmiecie nie płacili całkiem podatków; właściciel, obarczony większemi podatkami, podwyższał oczywiście czynsze z ziemi, czy to gotówką, czy robocizną. Za Zygmunta Starego namyślano się, czy nie obłożyć kmieci podatkami, zwłaszcza na każdą wyprawę wojenną; byłoby to zbliżyło stan kmiecy do organizacyi państwowej i mogłoby się stać w przyszłości furtką, przez którąby weszli na drogę praw obywatelskich, gdyby władze prowadziły osobne wykazy kmieci obowiązanych do podatku i wprost z nimi się stykały. Ale państwa ówczesne miały nielicznych tylko urzędników i nie było sposobu, żeby każdy mieszkaniec wsi miał w urzędach osobną rubrykę podatkową. Poradzono więc sobie w ten sposób, że samego tylko właściciela wsi uczyniono odpowiedzialnym za ściąganie podatku z całej wsi; urzędnik tylko jego znał i od niego wymagał zapłaty, a wszystkich innych mieszkańców wsi, nietylko kmieci, ale także młynarzy i karczmarzy, przydała uchwała sejmowa dziedzicowi „do pomocy“ (po łacinie *in auxilium*). W praktyce wyszło to poźniej na to, że i pod

tym względem zależał kmieć od dobrej woli dziedzica. Pozostawiono bowiem porozumieniu się właściciela ze swymi czynszownikami, jak owa „pomoc“ ma być rozłożona.

Drugą furtką do obywatelstwa stanu kmiecego mogła być służba wojskowa. Za panowania Zygmunta Starego pojawia się dwa razy ten pomysł (w r. 1525 sam król zażądał piechoty kmiecej), ale był przedwczesny, bo wtenczas służbę wojskową uważano nie za sam ciężar i obowiązek, ale za największy zaszczyt szlacheckiego stanu, za przywilej w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu. Toteż zaraz następnego roku zwrócił sejm uwagę tronu, że do obowiązku obrony Rzeczypospolitej powołaną jest jedynie szlachta.

Lwia część ciężarów państwowych w czasie wojny i pokoju spoczywała rzeczywiście na szlachcie i państwo musiało tedy we własnym interesie bronić dobrobytu tej warstwy. Ustawy sejmowe ułatwiały więc coraz bardziej gospodarkę folwarczną, a coraz bardziej wypuszczały ze swej opieki kmieci czynszowych. Ustawa podatkowa nakładała podatek dochodowy tylko na czynsze, a uwalniając folwarki (ażeby zachęcić do rozkwitu rolnictwa) wiodła do tego, że już za Zygmunta Starego zdarzały się wypadki, że właściciele uszczuplali ilość łanów kmiecych a przyłączali je do folwarków. W połowie XVI. w. bywały już w gęściej zaludnionych okolicach Polski gospodarstwa kmiece, wynoszące zaledwie 8 część łanu, t. j. niespełna 4 morgi. Interes właściciela wymagał, żeby ludność robocza była jak najbardziej od niego zawisłą, a w zachodniej Europie nie brak było uczonych, którzy poczęli wywodzić, że nietylko dobro państwa wogóle, ale rozkwit rolnictwa w szczególności wymaga koniecznie, żeby na roli były dwie warstwy, jedna użytkująca, druga pracująca. Zapatrywania takie szerzyły się tem łatwiej, im bardziej kultura XVI. w. na humanizmie się oparła; humaniści zaś nie widzieli w starożytnym świecie żadnych ciemnych stron, wynosili pod niebiosa wszystko, co tylko staro-rzymskie, a potęgę olbrzymiego państwa rzymskiego tłómaczyli sobie tem właśnie, że społeczeństwo owe oparte było na niewoli. Niewola nie raziła bynajmniej humanisty. Ważnym w historyi ludu wiejskiego jest rok 1543, bo wtenczas wydano postanowienie, że zbiegłego kmiecia musi się wydać, a nie opłacać go okupem, żeby kmieć nie mógł w żaden sposób przesiedlić się bez zezwo-

lenia dziedzica. Trwała jednak nadal wędrówka kmieci! Trwała też dalej coroczna czasowa emigracya za zarobkiem na Śląsk, do Prus, a także na Węgry. Groziło to podrożeniem robotnika w kraju, a więc w r. 1538 zamknięto granice ślązką i węgierską. W kraju znalazło się mnóstwo robotników, ale zyskali na tem tylko możni panowie, którzy mogli teraz przystąpić tem łatwiej do osadnictwa swych wielkich obszarów, mogąc ofiarować lepsze warunki od zwykłego szlachcica.

Handel zbożowy kwitnął coraz bardziej i podnosiły się dochody z ziemi. Dochody z łanu były rozmaite. Obliczono, że w r. 1532 dawał łan czystego rocznego dochodu na Kujawach i w Prusiech królewskich 49 złp., w krakowskiem, sandomierskiem i lubelskiem 29 złp., koło Kalisza i Gniezna 24 złp., koło Warszawy 22 złp., na Podlasiu zaś 19 złp. Zależało to od bliskości spławnej komunikacyi, tudzież od jakości gruntu. Nie brak jeszcze było w Polsce w połowie XVI. w. okolic, gdzie ziemia nie miała jeszcze wielkiej wartości; np. w r. 1540 we wsi Włoszczowice mógł kmieć obsiać roli, ile chciał. W takiej okolicy był on rzeczywiście jeszcze panem na swoim łanie.

Szlachcic stawał się coraz bardziej samowładnym panem na swej wsi. W r. 1539 uchwalono, że stosunki prawne żydów po wsiach pozostawia się dobrowolnej umowie z każdym właścicielem wsi; stał się więc szlachcic równocześnie panem nad kmieciem i nad żydem. I rzeczywiście był żyd niewolniczo zależnym od każdego kaprysu pańskiego; ale umiał sobie radzić, bo nie na ciężkiej pracy się opierał, lecz na lekkim pieniądzu. Coraz bardziej mnożyli się żydzi po wsiach, a w dobrach możnowładców nie było już folwarku bez żyda. On starał się o kredyt dla kmiecia, a panu ofiarował najwyższą cenę za młyn i karczmę. W XVI. w karczmy nie były jednak wcale pospolite i jeszcze w drugiej połowie XVI. w. ledwie co trzecia, a nawet co czwarta wieś posiadały karczmy, których dzierżawa stała się ich ulubionym przemysłem. Przez cały wiek XVI. niema w ludzie wiejskim ani śladu pijackich nałogów. Cieszył się też kmieć mimo wszystkie utrudnienia ciągle jeszcze znacznym dobrobytem. W XVI. właśnie wieku zaczął się stroić i poprawiać sobie życie pod względem materyalnym. Czem lepiej im się powodziło, im mniej mieli przyczyn niezadowolenia ze swego stanu, tem łatwiej było przepro-

wadzić te wszystkie rozmaite ustawy, z których stopniowo złożyła się ich niewola. Nadeszły potem czasy złe, dobrobyt zginął, a niewola została. Owe piękne, wymyślne i kosztowne ubiory, t. zw. stroje ludowe, powstały właśnie w XVI. w. Dochody z ziemi były stosunkowo tak znaczne, że nawet owe najmniejsze gospodarstwa na ósmej części łanu starczyły na wygodne utrzymanie rodziny.

SPRAWY MIEJSKIE.

Zamierzone przytwierdzenie kmiecia do gleby nie udało się, bo jeszcze miastom naszym przybywało bogactw. Zupełne zniesienie ceł prywatnych, których ostatnie resztki wyrugowano w r. 1538, sprzyjało handlowi wewnętrznemu. Polska była pod tym względem najbardziej postępowym krajem Europy; we Francyi aż do roku 1539 trzeba było osobnego pozwolenia na przewóz towarów z jednej prowincyi do drugiej, a w r. 1567 ogłoszono wolność wewnętrznego handlu tylko pomiędzy niektóremi ziemiami francuskiemi. W Hiszpanii i w Niderlandach tyle było ceł wewnętrznych, iż zdarzało się, że w jednej prowincyi panował głód, chociaż sąsiednia miała nadmiar zboża. Wywóz towarów z Polski wzrastał nieustannie, n. p. samego wosku wywieziono przez komorę w Poznaniu w 1519 roku 10.531 kamieni, a przez Kraków w kilka lat potem 15.716 (kamień po 25 funtów polskich). Miodu wywieziono w r. 1541 przez sam Poznań 961 beczek. Znaczniejszym jeszcze o wiele był wywóz skór. Najbardziej kwitnął zawsze handel zbożem, tudzież materyałem budulcowym, a wszystko to dążyło do Gdańska. Wielkopolska łączyła się z Wisłą za pośrednictwem rzeki Brdy, a nawet Wołyń i odległa Ukraina starały się o połączenie z Wisłą zapomocą kanałów. Póki ich tam nie było, była ziemia ruska po większej części nieuprawna, i zasiewano tyle tylko zboża, ile na własne starczyło potrzeby, jakkolwiek Ruś bez porównania żyźniejszą była, niż Polska. Zboże drożało coraz bardziej z powodu wywozu za granicę.

Od początku XVI. wieku nastaje w całej Europie przewrót ekonomiczny, zwany rewolucyą cen. Do połowy XVI. w. potroiła się niemal cena żywności, podczas gdy płaca dzienna robocza podnosiła się tylko nieznacznie. Przyczyna tkwiła w coraz bardziej rozszerzającym się kapitalizmie, tudzież... w odkryciu Ameryki.

W r. 1492 Włoch, Krzysztof Kolumb, jednako słynny z uczoności, przedsiębiorczości i bogobojności, żeglarz włoski na służbie hiszpańskiej, odkrył wyspy na dalekim oceanie, co stało się początkiem odkrycia nowej, olbrzymiej części świata. Zawojowana przez Hiszpanów południowa część Ameryki, stała się nieprzebraną kopalnią nietylko rozmaitych towarów zamorskich, t. zw. korzennych, ale też złotego kruszcu. Jeszcze z początkiem XVI. w. mniemano, że przynajmniej cena złota musi pozostać niezmienioną, bo ilość kruszcu nie może się powiększać ani zmniejszać, a tymczasem do roku 1544 przywieziono z Ameryki złota za 279 milionów franków, t. j. drugie tyle, ile cała Europa przedtem posiadała. W r. 1545 dowóz ten podniósł się do olbrzymiej kwoty 492 milionów franków, tak, że w ciągu XVI. w. potroiła się w Europie ilość złota i srebra. Musiał więc nastąpić szalony przewrót cen, które też już od r. 1520 zaczęły się szybko podnosić. Kupcy nigdy na tem nie tracili.

Odkrycie Ameryki miało jeszcze dalsze i donioślejsze skutki. Towary korzenne, sprowadzane dotychczas drogą lądową, przez pośrednictwo t. zw. handlu wschodniego, na którym bogaciła się Polska, zaczęły po odkryciu nowej części świata napływać do Europy wcale inną drogą. Nie było tego znać na początku XVI. wieku, ale w miarę podboju Ameryki stopniowo znać było zmiany w handlu, zwłaszcza, gdy z drugiej strony Portugalczycy, korzystając z odkrytej przez się drogi morskiej koło Afryki, z Indyj wschodnich także bezpośrednio sprowadzali towary. Około mniej więcej 1513 r. nastają pierwsze większe transporty drogocennych towarów na portugalskich i hiszpańskich okrętach, i „korzenie“ zaczynają się pojawiać w Gdańsku z nowych źródeł handlowych. Towary sprowadzane drogą wodną musiały oczywiście być znacznie tańsze od podaży handlu wschodniego; ten handel lądowy, filar dobrobytu naszych miast, a skutkiem tego także rękojmia przyszłości naszych włościan, musiał upadać coraz bardziej, a w końcu runąć. Niemożliwą była konkurencya z handlem oceanicznym! Jeśli Polska miała utrzymać swe stanowisko w handlu powszechnym, musiała przesunąć je w inną stronę i zastosować się do warunków handlu oceanicznego, a więc panować na morzu, żeby mieć wolną drogę do oceanu. Panowanie nad wybrzeżami morskiemi było już przedtem sprawą doniosłą dla postępu pań-

stwowego, społecznego i cywilizacyjnego w Polsce, ale odtąd *stało się dla nas po prostu kwestyą życia.* W r. 1531 przepłynęło przez Sundy 350 okrętów niderlandzkich; znamienny to objaw, jak Bałtyk coraz bardziej zyskiwał na znaczeniu handlowem. Utworzenie dziedzicznego księstwa pruskiego, tego nowego niemieckiego państwa nad Bałtykiem, przez mieszczęsną sekularyzacyę, przypada w sam raz na ten czas, kiedy panowanie nad Bałtykiem stało się dla nas sprawą jeszcze ważniejszą, niż kiedykolwiek przedtem. Niemniej doniosłą pozostała sprawa dostępu do wybrzeży czarnomorskich, ażeby stąd mieć łączność z południowo-europejskim handlem morskim. Dopóty tylko Polska mogła się rozwijać pókiby panowała na Bałtyku i miałaby dostęp do morza Czarnego. A w sam raz przez długie panowanie Zygmunta Starego nie udało się niczego uczynić w tym kierunku. Gdyby tak potrwało dalej, miasta nasze byłyby skazane na niechybny upadek, stan włościański na wyłączną zależność od szlachty; dobra ziemskie posiadałyby w Polsce jedyną wartość majątkową, a skutkiem tego musieliby zyskać właściciele ziemi, t. j. szlachta, taką przewagę w państwie, że oni sami jedni stanowiliby państwo, bo inne warstwy, podupadłe majątkowo, podupadłyby też w oświecie i w poczuciu godności i nie zajmowałyby się sprawami publicznemi. Jeszcze kwitnęły nasze miasta, ale na przyszłość kwitnąć mogły tylko pod tym warunkiem, że społeczeństwo wytęży całą energię w kierunku mórz.

Rozpanoszone do najwyższego stopnia możnowładztwo miejskie niebezpieczniejszem było dla wiejskiego możnowładztwa od szlacheckiego ruchu demokratycznego. Wielki pan łatwiej mógł się zgodzić na przyznanie równości obywatelskiej szlachcicowi, który wobec niego był chudopachołkiem, niż przypuścić do równości bankiera, który mógł łożyć sobie na wszelkie wydatki związane z życiem publicznem i karyerą polityczną. Czem bliżej połowy XVI. wieku, tem bardziej znać też poczucie rodowości szlacheckiej, i możnowładcy już podczas wojny kokoszej odzywali się, że oni nie są też niczem innem, jak tylko szlachtą i poczyna kiełkować owa tak pięknie brzmiąca idea braterstwa szlachty polskiej, idea, na której dnie tkwi jednak niebezpieczny pierwiastek kastowości, t. j. wyłączności, opartej na samem urodzeniu. W imię tego braterstwa podjudzali możnowładcy ogół szlachty przeciwko mie-

szczaństwu i kmieciom; miał z tego wyniknąć jakoby podział panowania nad tamtymi stanami. Już w statucie Łaskiego zastrzeżono, że posłem ziemskim może być tylko rodowity szlachcic! nie można więc było wybrać na posła z powiatu żadnego właściciela dóbr, który nie byłby szlacheckiego pochodzenia. Przepis ten zwrócony był przeciw mieszczanom, skupującym dobra ziemskie. Miasta miały prawo reprezentacyi w sejmie, ale nawet patrycyusze nie przewidywali, co tkwi w sejmie walnym, że w nim przyszła władza i przyszły rząd Polski, że we własnym tedy interesie trzeba dobijać się udziału w nim. Miały miasta prawo wysyłania posłów, ale nie czyniły tego, a nawet gdy je do tego wzywano, uchylały się ze strachu przed podatkami i tylko na sejm elekcyjny i koronacyjny wysyłały posłów. Nim mieszczanie spostrzegli swój błąd, już było zapóźno; już pojęcie szlachectwa stało się pojęciem kastowem, i potem dopuścić ich już do sejmu nie chciano.

ROZWÓJ PROTESTANTYZMU.

Razi w tych niedopatrzeniach i zaniedbaniach brak zmysłu politycznego, tem dziwniejszy, że oświata szerzyła się w sposób prawdziwie wspaniały. Przybywało polskich książek, a w r. 1543 wystąpił pierwszy zawodowy polski literat, Mikołaj Rej, piszący wiele i wierszem i prozą. Król Zygmunt Stary dał mu za to wieś Temerowce. Równocześnie wystąpił pisarz polityczny niepospolitych zdolności, ksiądz Stanisław Orzechowski. Pojawiały się coraz częściej książki do czytania dla rozrywki, Rej zaś, a wkrótce Orzechowski poczęli także w sprawach politycznych drukować polskie rozprawy. Wszystkie szkoły były przepełnione, a zagranicą coraz więcej kształciło się naszej młodzieży; tytuł doktora, niegdyś tak niezmiernie rzadki w Polsce, stał się już pospolitszym. Z humanizmem przybyło społeczeństwu nietylko ogłady, ale również wiedzy, a jednak zmysłu politycznego w tem pokoleniu ubyło!

Cała bowiem energia umysłowa tych czasów skierowaną była nie do państwowych spraw, lecz do wyznaniowych. Myślano dużo, roztrząsano i badano przez całe życie, ale... sporne sprawy wyznaniowe i książki autorów szerzących „nowinki religijne". Sprawy te interesowały wszystkich, a rzadko kto przyznał sam przed sobą,

że się na nich nie zna i że zatrudne na jego głowę. Prąd dysput religijnych porwał wreszcie wszystkich, i szlachtę i mieszczan, i na targach, w warstatach, karczmach, rozprawiali sobie kasztelan ze szlachetką, szlachetka z kupczykiem, szewc z golibrodą, kramarz wędrowny z młynarczykiem, o tem, czy w Sakramencie Ołtarza obecnym jest Zbawiciel cieleśnie, czy tylko symbolicznie, czy łaska poświęcająca sama starczy do zbawienia i dlaczego jej każdy niema, czy lepiej mieć biskupów, czy się bez nich obejść, czy apostolskie następstwo kapłaństwa wymaga kościelnego związku z Rzymem i t. p. Marnowała się inteligencya ogółu na dociekania i spory, które należało pozostawić samemu Kościołowi. Nasi uczeni pisarze i politycy poświęcali jednak połowę życia, a nieraz całe życie na teologiczny dyletantyzm, a że się na teologii i tak nie znali, więc psuli jeszcze bardziej sprawę, którą poprawiać pragnęli. Synod piotrkowski w r. 1542 zwrócił się przeciw dysputom religijnym, prowadzonym często przy kieliszku, ale zakaz nie mógł nic pomódz. Z drukarń wychodziły co roku książki protestanckie, nie mówiąc już o tem, że pakami całemi sprowadzano je z zagranicy. Kościół polski bronić się nie umiał, gdyż nie miał czem, bo nie miał dobrych biskupów. Zakon Franciszkanów liczył wśród swych członków coraz liczniejszych zwolenników protestantyzmu. Polaków do nowicyatu nie przybywało, zato garnęli się cudzoziemcy, a pomiędzy nimi liczni Włosi. Z tych Franciszek Lismanin, rodem z wyspy Korfu, doktór teologii, włoski kaznodzieja i spowiednik królowej Bony, został w r. 1538 prowincyałem polskiej prowincyi franciszkańskiej, a wkrótce potem stał się głową nowej sekty. Prawowiernością odznaczali się jedni tylko Dominikanie; wszystkie inne zakony były wątpliwe w wierze! Od r. 1536 szerzyła się z Zachodu, ze Szwajcaryi, nowa sekta, założona przez Jana Kalwina, który twierdził, że każdy z góry przeznaczony jest wolą Boga na zbawienie, albo potępienie. Wyznanie to znalazło szybko tylu zwolenników w Polsce, że wyparło prawie zupełnie luterskie zasady. Lutrzy byli niemal tylko w miastach pruskich, a zresztą prawie wszyscy protestanci polscy przeszli na kalwinizm, o ile nie sprzyjali sektom jeszcze radykalniejszym, które rozwinąć się miały za następnego panowania. Był w Kościele polskim jeden jedyny mąż: mieszczanin Stanisław Hozyusz, człowiek niepospolitej nauki, znakomity prawnik, który w 36 roku życia rzucił świe-

cką karyerę i przyjął stan kapłański w tej myśli, żeby gorąco się zająć poprawą Kościoła polskiego. Zygmunt Stary protestantyzmu nie prześladował, ale sprzyjał katolicyzmowi i czekał tylko na pierwszą sposobność, żeby Hozyusza biskupem uczynić. Nie będąc szlachcicem, miał zamknięte wrota do wyższych godności duchownych w Koronie, mógł zostać biskupem tylko w Prusiech królewskich, gdzie osobne były prawa, a miasta pozyskały nawet stanowczą przewagę nad szlacheckim żywiołem. Toteż umierając, jeszcze na łożu śmierci przekazywał swemu synowi i następcy, żeby pierwsze pruskie biskupstwo koniecznie Hozyuszowi nadał.

ŚMIERĆ ZYGMUNTA STAREGO (1548).

Król Zygmunt Stary miał już lat 81 żywota spędzonego pracowicie na sumiennem spełnianiu obowiązków tak, jak najlepiej tylko rozumiał i umiał. Poważany w całej Europie, otoczył tron polski blaskiem niebywałego przedtem majestatu. W ostatnich latach panowania nie mógł już podołać starczą ręką wzburzonym żywiołom, ale nie dopuścił w Polsce do wojny domowej, do której dość było przyczyn w politycznych i wyznaniowych rozterkach; roztropnością odznaczał się bowiem zawsze. Był ten król wrażliwy na wszystkie objawy wyższej kultury, humanizmu i renesansu wielki protektor. On to wystawił w katedrze na Wawelu t. zw. Jagiellońską kaplicę, najpiękniejszy okaz renesansowego budownictwa na północy Alp. W tej też kaplicy, w modlitwie pogrążony, w Wielkanocną niedzielę 1548 r. doznał ataku apoplektycznego (był przy sędziwym wieku nadmiernej tuszy), który stał się końcem jego dni.

KRÓL ZYGMUNT AUGUST (1548–1572).

Nie było żadnych formalności ze wstąpieniem na tron następcy, skoro Zygmunt August nie tylko wybrany był królem za życia ojca, ale koronowany od 18 lat. Nowy monarcha liczył lat 28, wkraczał właśnie w wiek dojrzałości męskiej, a do rządów był już przyzwyczajony, sprawując je za ojca w Wielkiem Księstwie Litewskiem. Wychowany był jak najstaranniej, a mając w sobie po matce krew włoską, przejął się też pod jej wpływem włoską

kulturą, a więc tą, która wówczas kroczyła na czele cywilizacyi europejskiej. Opozycya, umiejąca w razie potrzeby nakręcić wszystko do swych celów, chwyciła się już podczas wojny kokoszej nawet tego i było wielkie wyrzekanie, że królowa Bona wychowuje syna po włosku, pomiędzy kobietami i muzykami, w zniewieściałości, do lutni, a nie do konia, do pląsów, zamiast do oręża. Włoski obyczaj w tem właśnie wyprzedził był całą Europę, że wprowadził zabawy towarzyskie z udziałem kobiet, a od człowieka wykształconego wymagał zmysłu do sztuk pięknych. Nie brakło we Włoszech mężów dzielnych, nie mogło też dzielności królewicza szkodzić włoskie wychowanie, skoro tylko miał przywiązanie do swego kraju i poczucie obowiązków.

Kiedy Zygmunt August przebywał w Wilnie, obcował dużo z protestantami, rozczytywał się w ich dziełach i niejedno widocznie mu się podobało, skoro miał opinię ich zwolennika. Raz w Wilnie wybrał się do zboru protestanckiego, nie upatrując w tem nic złego, że będzie obecnym na ich nabożeństwie; zabiegł mu wtenczas drogę sławny kaznodzieja, Łukasz Lwowczyk, Dominikanin, wraz z biskupem wileńskim, Pawłem Holszańskim i wyjaśniwszy królowi rzecz, odprowadzili go niemal już od bramy zboru do katolickiego kościoła. Król wcale nie zamierzał sprzeniewierzyć się Kościołowi, ale nie wiedział, gdzie granica pomiędzy katolicyzmem a odszczepieństwem.

Granicę tę powinien oznaczyć jak najprędzej sam Kościół; toteż czekano z utęsknieniem na sobór powszechny, który z rozmaitych politycznych przyczyn ciągle odkładano. Już w r. 1537 zwołał był papież Paweł III. sobór do Mantuy we Włoszech, ale zaraz go odroczył na czas nieoznaczony. Zwołany powtórnie do Trydentu w Tyrolu w r. 1542 nie zebrał się nawet wcale z powodu wojny pomiędzy cesarzem Karolem V. a królem francuskim Franciszkiem I. Zwołany w trzy lata potem obradował w Trydencie od 13 grudnia 1545 r. do 11 marca 1547 r., następnie przeniesiony do Bolonii, gdzie go jednak papież odroczył znowu na czas nieograniczony.

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA.

Zygmunt August wybierał się właśnie do Krakowa, żeby ojcu wyznać swe małżeństwo i sprawę tę uporządkować; było już

jednak za późno i Zygmunt Stary o niczem do końca nie wiedział. Nowy król, obejmując rządy w Polsce, ogłosił, że jest ożeniony z Barbarą Radziwiłłówną. Powstała o to sroga burza, która zużyła sporo sił i czasu, rozbudzając wielkie nienawiści i zawiści. Był przepis, że król niema się żenić bez wiedzy i zezwolenia senatu. Zastrzeżenie to pochodziło stąd, że małżeństwom królewskim przypisywano wówczas polityczne znaczenie, ale małżeństwo z Barbarą, zawarte tylko z miłości, było dla polityki zupełnie obojętne i w sprawach publicznych niczego nie przesądzało. Biorąc rzeczy ściśle, było to tylko wydarzeniem z kroniki familijnej Jagiellonów, a nie z historyi narodu polskiego, a że się już i tak odstać nie mogło, nie było o co na króla nastawać. Ale o to właśnie chodziło, żeby wystąpić przeciw katolickiej nauce o nierozerwalności małżeństwa; gdyby się udało rozerwać królewskie śluby, zrywałoby się przez to samo z Rzymem. Wszak właśnie za czasów Zygmunta Starego król angielski Henryk VIII., z początku wielki nieprzyjaciel protestantyzmu, odszczepił się od Kościoła o to właśnie, że mu papież nie dał rozwodu (dać nie mógł, bo w katolicyzmie rozwodów całkiem niema). Sprawa Barbary Radziwiłłówny nadawała się wybornie na broń przeciw Kościołowi i dlatego wybuchły groźne, przesadne narzekania, że król małżeństwem z własną poddanką poniżył majestat królewski. Wielu dało się wziąć na lep rzekomej troskliwości o godność polskiego tronu; wszak i dziś jeszcze nie brak w tej mierze przesądów, cóż dopiero wówczas. Zaraz na pierwszym sejmie piotrkowskim 1548 r. przypuszczono szturm do króla. Możnowładcy polscy zazdrościli Radziwiłłom, szlachta bała się, że król z możnowładczym rodem spowinowacony, zwiąże się także politycznie z tą warstwą, a biskupi — możnowładcami byli, a nie kapłanami z powołania. Ze wszystkich biskupów Korony jeden tylko Samuel Maciejowski stanął w obronie sakramentu małżeństwa; wtórował mu hetman Jan Tarnowski, jedyny ze świeckich senatorów. Ówczesny prymas, Dzierzgowski, oświadczył publicznie, że jeżeli porzucenie Barbary miałoby być grzechem, on rozłoży ten grzech na głowy wszystkich poddanych króla. Słowa te były wręcz bluźnierstwem! Wystąpiła też przeciw Barbarze królowa Bona, obrażona, że syn ożenił się bez jej wiedzy. Za jej wpływem zaszumiało tem bardziej na sejmie; posłowie sadzili się na wy-

ścigi, żeby dobierać jak najprzykrzejszych i najdotkliwszych dla króla wyrazów; z mów ich zdawałoby się, że królestwo polskie runęło w jakąś przepaść i że państwu grozi zagłada, od której tylko wypędzenie Barbary ocalić je może. Piotr Boratyński posunął się w zuchwałości do tego stopnia, iż śmiał powiedzieć, że związek ten królewski wcale nie jest małżeństwem; a ten sam poseł posunął się znowu w pokorze do tego, że w izbie poselskiej na klęczkach błagał króla, żeby się rozwiódł z żoną. I prośby i groźby próbowano z całych sił. Prymas gotów był dać rozwód, chociaż nie miał do tego prawa; i król i prymas, a z nimi biskupi popadliby więc odrazu w sprzeczność z Rzymem. Samowolnie działający prymas przestałby być księciem Kościoła katolickiego, a stałby się naczelnikiem jakiejś nowej schyzmy osobnej, narodowej schyzmy polskiej, czyli, jak wtenczas mawiano: Kościoła narodowego. Hasło brzmiało ponętnie, toteż miało zwolenników, a protestanci najbardziej niem wojowali. Niewielu było rozumiejących, że prawda musi być powszechną, a nie może być osobna prawda i osobna religia narodowa, że więc wszelki Kościół „narodowy“ jest pojęciem nierozumnem.

Gdyby było chodziło o pierwszą żonę, z którą nie żył, możeby król, nie znający dogmatyki, dał się porwać nadziei otrzymania rozwodu w kościele narodowym, że jednak chodziło o ukochaną Barbarę, król sprawę swoją, mimowoli nawet, łączyć musiał z ideą katolicką, wbrew — nawet prymasowi. Na wszystkie napaści i zarzuty odpowiedział król prostemi słowy, że „żony swej do ostatniej chwili nie opuści“, a gdy chciano wywrzeć nacisk pogróżkami, że mu się wypowie posłuszeństwo, odparł śmiało, że woli koronę stracić, niż zdradzić zaprzysiężoną żonie wiarę i dodał: „Jakżebyście mieli wierzyć mej królewskiej przysiędze, gdybym małżeńskiej nie dotrzymał?“ Nie było rady na taką stateczność. O wypowiedzeniu posłuszeństwa nikt nie myślał zresztą poważnie, bo za dynastyą Jagiellońską stała unia litewska, a Zygmunt August był jedynym męskim przedstawicielem tej dynastyi. Marszałek Kmita złożył nawet laskę sejmową i sejm przez to zerwał, bo bez marszałka nie mogli posłowie odbywać posiedzeń. Król gotów był rządzić bez sejmu. Cóż zaś było cenniejszego dla ogółu szlachty nad prawa sejmu walnego, który był jedyną rękojmią całego ruchu demokratycznego? Namyśliła się więc niedługo szla-

chta i senatorów w sprawie Barbary opuściła, godząc się z królem, żeby tylko król nie przestał zwoływać sejmów. Z wiosną 1550 roku przycichła skrajna opozycya, Zygmunt August zwołał na maj sejm, który odbył się spokojnie, a król nietylko pozostał przy swej Barbarze, ale ją nawet uroczyście na królowę koronował. Marszałek Kmita przeprosił się z dworem, wyprawiał w swym Wiśniczu igrzyska na cześć Radziwiłłówny, nawet królowa Bona poczęła synowę obsypywać grzecznościami.

Nie długo cieszył się król swem szczęściem. Barbara umarła w rok po koronacyi, dnia 8 maja 1551 r. od skira; (niesłusznie podejrzywano królowę Bonę o otrucie). Całe dalsze życie Zygmunta Augusta było już tylko jednem pasmem smutku, tem bardziej, że nie miał potomstwa.

PLANY ŚCISŁEJ UNII I NARODOWEGO KOŚCIOŁA.

Czekało Zygmunta Augusta wielkie polityczne zadanie dokonania reform w ustroju państwowym; czekały na niego wszystkie niezałatwione za życia ojca projekty „korrektur“ i „egzekucyj“, powikłane ze sprawami wyznaniowemi i znacznie od owego czasu rozszerzone. Szlachta miała już nakreślony program rozległy, ażeby polskie prawo publiczne rozszerzyć na Litwę i całą jej podległą Ruś i tam pozyskać nowe zastępy obywateli, tak, ażeby szlachta całego jagiellońskiego państwa złamała ostatecznie przewagę możnowładztwa. Na Litwie próbowano czasem wysłać posłów na sejm, ale nie mieli oni żadnego zgoła znaczenia; litewscy oligarchowie nie wahali się użyć na nich gwałtu i przemocy, gdy objawili zdanie nie po myśli wielkich panów. Myślano więc o przyłączeniu litewskiego sejmu do polskiego, przez co spodziewano się rozbudzić i tam ruch demokratyczny. Przyszłość okazała, że to było złudzeniem, bo Litwa i ruskie ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego były jeszcze zbyt zacofane wobec polskiej cywilizacyi, żeby mogły być zrównane z Polską na zasadach demokratycznych bez szkody dla społecznego rozwoju obydwóch państw i wszystkich trzech narodów. Demokracya wymaga wyższego stanu kultury społecznej, a do tego było jeszcze daleko na Litwie, młodszej cywilizacyjnie o czterysta lat od Polski. Sądzono, że do rozwoju społeczeństwa wystarczą dobre prawa i postanowiono przyłączyć

Litwinów do sejmu walnego, i władzę jego rozszerzyć na litewskie ziemie. Z tego zaś nasuwało się samo przez się życzenie, żeby już i Prusy królewskie złączyć we wspólnem sejmowaniu i poddać je także sejmowi walnemu. W Prusiech wodził rej patrycyat miejski, a stosunki były tam wogóle korzystniejsze dla mieszczan, niż dla szlachty; miasta były zaś tylko na pół polskie, a na pół niemieckie. Tem bardziej dążono tedy do zniesienia tamtejszego prawa publicznego, a zastąpienia go polskiem. Złączenie w jednym sejmie wszystkich trzech państw polskich, Korony, Prus i Wielkiego Księstwa Litewskiego, było hasłem niezmiernie ponętnem. Upatrywano w tem poprostu wzmocnienie unii, toteż projekty te zyskiwały szybko gorących i gorliwych zwolenników. Marzyciele posuwali się dalej. Chcieli skorzystać z rozterek wyznaniowych, z tego, że w tych czasach rzadko kto wiedział, w co ma wierzyć, i dążyli do tego, żeby przez wspólne narady i wzajemne ustępstwa w rzeczach wiary (jakby o wiarę targować się można) ułożyć jakieś ogólno-polskie wyznanie, któreby wszystkich poddanych Zygmunta Augusta, Polaków, Litwinów i Rusinów, złączyło we wspólnym narodowym Kościele. Wyobrażali sobie, że trzeba tylko dobrej woli, a z katolików, protestantów i schyzmatyków zrobi się wyznawców nowego polsko-narodowego wyznania i znikną przez to samo wszelkie rozterki. I tak religia wikłała się w tem pokoleniu bez końca z polityką. Nie wszyscy zwolennicy reform przyjmowali obie połowy tego programu, jednak wśród możnowładców więcej było zwolenników narodowego Kościoła, niż ściślejszej unii z Prusami i Litwą.

STANISŁAW HOZYUSZ.

W siedem miesięcy po zgonie ojca nadarzyła się Zygmuntowi Augustowi sposobność, że zamianował Hozyusza biskupem chełmińskim w Prusiech królewskich. Tam nie było już po większej części księży katolickich, tylko luterscy pastorowie; dostawał więc stanowisko kłopotliwe. Minęło półtora roku, nim mógł zawitać do swej dyecezyi, bo równocześnie wyprawiał go król w poselstwie do braci Habsburgów, do cesarza Karola V. i Ferdynanda, króla Czech i trzeciej części Węgier. Zygmunt August chciał zerwać zupełnie ze sprawą Zapoly'ów i mieć pewny sojusz

z Habsburgami od niemieckiej ściany. Jeździł więc do królowej Izabelli na Węgry biskup krakowski, Andrzej Zebrzydowski, a Hozyusz do cesarza. W lipcu 1549 r. zawarto z Ferdynandem traktat, w którym zabroniono sobie nawzajem werbunku ochotników, tak, że odtąd nie byłoby już wolno walczyć Polakom na ochotnika na Węgrzech przeciw Ferdynandowi; cesarz potwierdził ten traktat przymierza w grudniu 1549 roku. Izabella wahała się jeszcze czas jakiś, aż w r. 1551 zrzekła się praw za swego syna (w zamian za księstwo opolskie i raciborskie na Ślązku) i osiadła w Polsce w zamku Krzepicach. Hozyusz już w sierpniu 1550 r. przybył do swej Chełmży i zaraz zaczął od założenia katolickiej wyższej szkoły w Łobawie, żeby młodzież miała się gdzie wychowywać po katolicku; własnym kosztem utrzymywał tam 30 młodzieńców sprowadzonych umyślnie z Korony. Ale w tej własnej szkole, za swe własne pieniądze, doczekał się niebawem, jak nauczyciel począł nauczać, że są tylko trzy sakramenty św.! Tak tam już cała ludność przejęta była protestantyzmem. Musiał aż z Krakowa i Lwowa sprowadzać katolickich magistrów.

Dobroczynne swe działanie roztoczył Hozyusz na cały Kościół polski, wspierany w tem przez uczonego historyka Marcina Kromera. Ponawiązywał stosunki z kapitułami, wśród których nie brakło kapłanów uczonych, gorliwych i żarliwych w wierze, zasługujących pod każdym względem na infułę, lecz nie mogących nawet o niej marzyć dla braku poparcia u dworu. Kapituły zaczęły wywierać nacisk na biskupów, a owocem tych starań i zarazem początkiem reformy Kościoła w Polsce był synod polskiej prowincyi kościelnej, zebrany w Piotrkowie w czerwcu 1551 r. Przyjęto tam ułożone przez Hozyusza „Wyznanie wiary“ t. j. katechizm, mający pouczyć każdego, żeby wiedział, co jeszcze jest katolickiem, a co już niem nie jest, gdzie granica pomiędzy wiarą św., a herezyą. Rzecz tę opracował następnie Hozyusz obszerniej i doczekał się jeszcze za swego życia trzydziestu wydań i tłomaczeń na wszystkie niemal języki europejskie. Tegoż roku 1551 postąpił Hozyusz na biskupstwo warmińskie, gdzie był nietylko biskupem, ale zarazem księciem świeckim pod zwierzchnictwem króla polskiego. Jemu to zawdzięcza Warmia, że chociaż wciśnięta pomiędzy protestantów, pozostała jednak katolicką. Dbał zaś nietylko o duchowe dobro swych poddanych, ale też o ich doczesne

powodzenie; wspierał handel i przemysł, a opłat i danin nakładał tak mało, że dochody zwierzchnicze spadły za jego rządów z 40.000 złp. do połowy tej sumy. Łożył ciągle na szkoły; po Łobawie zajął się Elblągiem, a w końcu zwrócił swą uwagę na starą szkołę chełmińską, nietylko najlepszą i największą w Prusiech, ale słynną w całej Koronie i ościennych krajach niemieckich, a zajętą przez protestantów.

WAŻNIEJSZE SEKTY.

Protestantyzm szerzył się w tych latach i bujnie krzewił przeważnie z tej przyczyny, że na zamianie kościołów na zbory luterskie lub kalwińskie robiło się znaczne oszczędności. Odpadała szlachta od Kościoła najczęściej o dziesięciny. Proboszcz nie wytaczał o nie procesu, bo w takim razie kollator zazwyczaj przechodził jawnie na protestantyzm. I tak jednak było coraz więcej takich pozwów przed sądy biskupie. Szlachta postanowiła więc skasować zupełnie sądownictwo duchowne; w tem zgodni byli wszyscy, nawet tacy, którzy niechętnie słuchali „piątej ewangelii“ Marcina Lutra, bo chodziło o to, żeby nie sądzono nikogo za przekonania religijne.

Ostre było starcie w tej sprawie z końcem stycznia 1552 r. na nowym sejmie piotrkowskim. Na nabożeństwie przed otwarciem sejmu pozwolił sobie starosta radziejowski Rafał Leszczyński na to, że przez całą mszę św. stał w czapce na głowie, a na pierwszem zaraz posiedzeniu oświadczył w imieniu wszystkich posłów, że póki król nie weźmie szlachty w obronę przeciw duchowieństwu, póty do żadnych narad nawet nie dopuszczą. Przyłączyli się do nich wszyscy świeccy senatorowie, ani nawet hetman Tarnowski nie bronił biskupiego sądownictwa. Sławne jest jego wyrażenie, gdy na pytanie biskupa Zebrzydowskiego, czem będzie, czy biskupem czy woźnym, skoro nawet nie wolno mu sądzić herezyi, odparł hetman: „Prędzej tobie być woźnym, niż mnie niewolnikiem“. Chodziło tu o starą polską zasadę, że wiara nie ma być z przymusu. Stanowczego nic na tym sejmie nie uchwalono, aniby też król nie był dopuścił do uchwały stanowczej, jakkolwiek sądownictwu duchowieństwa nie sprzyjał. Zawarto ugodę w ten sposób, że biskupi zrzekli się tymczasowo sądownictwa duchownego i za to szlachta zobowiązała się wypłacać wstrzymywane

dotąd zazwyczaj dziesięciny. Układ miał być tymczasowym i dlatego zwano go z łacińska *interim*. Przedłużono go do r. 1562.

Wielkie możnowładcze rody były główną ostoją protestantyzmu. Powiedziano później o Janie Firleju, marszałku wielkim koronnym, że powagą swą i potęgą więcej sprawił, niż wszyscy pastorowie. W Małopolsce stał na ich czele Mikołaj Oleśnicki, zwolennik szwajcarskiej sekty Zwingliego, praprawnuk brata słynnego kardynała; ten miasto swe dziedziczne, Pińczów, zamienił na stolicę nauki protestanckiej, tak, że innowiercy poczęli je zwać „Atenami polskiemi". Cztery mile od Krakowa, we wsi Niedźwiedziu, osiadł filar kalwinizmu, Mateusz Stadnicki. W Łańcucie Krzysztof Pilecki zakazał już w r. 1548 nabożeństwa do N. Maryi Panny, a Dubiecko, własność Dubieckich, stało się drugim Pińczowem. Hieronim Ossoliński założył ważne ognisko kalwinizmu w Klimontowie. Na Litwie szerzył się protestantyzm z sąsiedniego Królewca, gdzie książe Albrecht założył w r. 1544 uniwersytet i ustanowił alumnat dla ośmiu Litwinów, żeby się kształcili na pastorów. Około r. 1553 przyjął kalwinizm największy pan na Litwie, Mikołaj Radziwiłł, zwany Czarnym, a w r. 1564 uczynił to samo jego stryjeczny, a rodzony brat nieboszczki królowej Barbary, Mikołaj Radziwiłł Rudy. W dyecezyi żmujdzkiej pozostało lewie siedmiu katolickich kapłanów, a sam biskup, Jerzy Pietkiewicz, podejrzany był w wierze.

Sekt było bardzo dużo, bo wśród protestantów powstawały coraz nowe pomysły wyznaniowe; uważając każdą odmianę za osobną sektę, naliczylibyśmy ich aż 32 w ówczesnej Polsce. Obok Lutra i Kalwina miał licznych wyznawców Zwingli, reformator z Curychu w Szwajcaryi. Pojawiali się też coraz częściej Aryanie, którzy właściwie nie byli nawet chrześcijanami, gdyż odmawiali bóstwa Chrystusowi Panu. W r. 1548 przybyła do Polski nowa sekta, a bardzo ważna: „Jednota" Braci Czeskich, założona przez Piotra Chelczickiego w r. 1453 wśród utrakwistów. Nauka jego ponętna była, ale marzycielska. Nie uznawali żadnego przymusu państwowego, nie wolno im było przyjmować urzędów, składać przysiąg i potępiali wszelkie wojny. Na wewnętrzne doskonalenie się kładli przedewszystkiem nacisk i odznaczali się rzeczywiście prostotą i zacnością życia. Nie łatwo było zostać członkiem „Jednoty"; trzeba było przejść przez dwa próbne stopnie, a dopiero

na trzecim przypuszczali uczestnika do Sakramentu Ołtarza. Wierzyli w rzeczywistą obecność Ciała i Krwi Chrystusa Pana w Eucharystyi. O karność kościelną dbali wielce i zachowali bezżeństwo swych duchownych. Sekta ta nie przydatna jednak była do społecznego życia; wyobraźmy sobie, że cały naród przyjąłby ich zasady, a żadnemu nie byłoby wolno być urzędnikiem; gdzież podziałby się wszelki ład i porządek? Piotr Goniądzki, wyznawca „Jednoty", (następnie Aryanin) chadzał demonstracyjnie z drewnianą szablą; gdyby tak wszyscy zrobili, cały naród padłby ofiarą pierwszego najezdnika. W jednem mieli zupełną słuszność, że potępiali wszelkie prześladowanie w rzeczach wiary. Chelczicky głosił więc to samo, co o jedno pokolenie przed nim nasz Paweł Brudzewski, że wiara nie ma być z przymusu. To pokrewieństwo myśli polskiej i czeskiej skłaniało też wielu z naszych protestantów, że rzucali luteranizm, kalwinizm, zwinglianizm itp. a przechodzili do „Jednoty".

Król czeski, Ferdynand Habsburski, skazał ich na wygnanie, bo mu odmówili pomocy na wojnę (t. z. szmalkaldzką, przeciw niemieckim protestantom). Natenczas książę pruski ofiarował im u siebie przytułek. Droga wiodła przez Wielkopolskę. Znaleźli tu tak gościnne przyjęcie, że znaczna część ich osiedliła się po miastach wielkopolskich możnowładzców, zyskując zwolenników. Już jesienią 1549 r. powstała pierwsza gmina „Jednoty" w samym Poznaniu, a od początku r. 1553 mieli stałego jakoby proboszcza, którym był słynny „brat" Jerzy Izrael. Przystąpili do nich: Jakób Ostroróg, jeden z najprzedniejszych wielmożów; Jan Krotowski, wojewoda inwrocławski; Marcin Zborowski, wojewoda kaliski; Jan Tomicki, kasztelan gnieźnieński; Rafał Leszczyński, starosta radziejowski; sprzyjał im też wielce Andrzej Górka, starosta generalny Wielkopolski, a więc sam rządca kraju i zarazem najbogatszy z możnowładców; a brat jego Łukasz przez jakiś czas należał wprost do sekty. W ciągu dziesięciu lat założyli około 40 gmin wyznaniowych w Wielkopolsce, a że przewyższali wszystkich protestantów polskich ścisłością swej nauki i karną organizacyą, nabrali wielkiego znaczenia. Andrzej Frycz Modrzewski stawia „Jednotę" za wzór chrześcijańskiej pobożności w swem dziele: „O Kościele", wydanem po łacinie w r. 1553.

Gdyby wszyscy polscy protestanci utworzyli jedną wspólną społeczność religijną, byłoby im łatwiej urządzić Kościół naro-

dowy. Póki nie byli między sobą zgodni, nikt nie mógł oznaczyć, jaka ma być nauka tego przyszłego kościoła polskiego, bo trudno go urządzać aż z 32 sekt odrazu! Król sam zdawał się już nie od tego. W r. 1553 bywał u króla dwa razy na tydzień zaprzaniec franciszkański Lismanin, na wspólne czytywanie dzieł Kalwina, a do Rzymu wyprawił już król poselstwo z prośbą o pozwolenie zwołania soboru narodowego. Nie można było zaręczyć, że go nie zwoła, chociaż pozwolenia nie dostanie, ale chociażby król najbardziej protestantyzmowi sprzyjał, nie miałby poco zwoływać takiego soboru, póki nie ułożonoby jakiegoś wspólnego przynajmniej dla przeważnej większości „wyznania wiary“. Zygmunt August osobiście do żadnej sekty się w duchu nie przyłączał, a że na sprawach wiary nie znał się lepiej od swych biskupów (trudno mu to brać za złe), sądził więc, że będzie się można z Rzymem potargować i że katolicy także do kościoła narodowego przystąpią, bo go papież zatwierdzi, byle tylko nowe wyznanie wiary nie było zbyt radykalne.

WSPÓLNA KONFESSYA.

Zakrzątnięto się więc około układania wyznania wiary, czyli konfessyi. Małopolscy protestanci zorganizowali się najpierw pod wodzą Włocha Stankara, profesora języka hebrajskiego w krakowskim uniwersytecie. Potem próbowali w r. 1551 porozumieć się z „Jednotą“ wielkopolską, ale Stankar sam nie sprzyjał Braciom Czeskim; dopiero po jego wyjeździe za granicę rozpoczęto na nowo rokowania. Trzeba je było przyspieszyć, bo tymczasem synod katolicki, zebrany w listopadzie 1554 roku, prosił papieża o przysłanie nuncyusza do Polski. Zwołano więc równocześnie protestancki synod do Słomnik i uchwalono uznać konfessyę t. z. augsburgską, t. j. tę, którą niemieccy protestanci przedstawili byli cesarzowi w Augsburgu w r. 1530. Wtem zwołuje król sejm, a w orędziach na sejmiki, na których w marcu 1555 r. wybierano posłów, zapowiada, że sejm ten poświęcony będzie naradom o sprawach religii. Tem pilniej potrzebna „konfessya“. Odbywają się więc zjazdy i wzajemne wizytacye w Chrzęcinach, w Gołuchowie, w Pińczowie. Nie mogąc się dobrze zgodzić na jedno — bo każdy w co innego wierzył — obmyślają taką konfessyę, że wpisują w nią tylko to, co im wspólne, a zbywają milczeniem wszystko,

co ich dzieli, byle dobić targu. Ale brat Izrael stał twardo przy swojem i nie chciał politykować; w co wierzył, w to wierzył naprawdę i wszyscy członkowie „Jednoty“ takimi wówczas byli; dziwił się spostrzegłszy, że innym wcale nie chodzi o podniesienie moralności, co on właśnie najmocniej chciał obwarować. Tamtym spieszyło się, bo im chodziło o sejm, a on nie kwapił się z żadnemi ustępstwami, bo mu nie zależało nic na świeckich względach. Już małopolscy protestanci rozmaitych sekt porozumieli się z wielkopolskimi, już dokonano wyboru posłów (wybrano wszystkich wybitnych protestantów), już z końcem kwietnia 1555 r. zebrał się sejm w Piotrkowie, a „Jednota“ jeszcze nie ustąpiła, żądając, żeby jej wyznanie przyjąć za wspólne. Sami jej członkowie Marszewski, Jakób Ostroróg i Rafał Leszczyński, zajęli w izbie poselskiej najwybitniejsze stanowiska; nie mogli podać królowi konfessyi swej, jako wspólnej wszystkim protestantom, a innej nie było. Na prędce więc ułożyli sami posłowie w ostatniej chwili wyznanie wiary imieniem izby poselskiej, takie, żeby w niem nie było nic takiego, coby jakąkolwiek sektę (prócz aryanów) urazić mogło. Król obiecał zwołać sobór narodowy, gdyby papież nie zwołał powszechnego.

Podczas sejmu obradował nowy synod protestancki w Pińczowie, a wnet potem, w sierpniu 1555 r., jeszcze jeden w Koźminku, miasteczku Jakóba Ostroroga, w obecności posłów od księcia pruskiego. Jemu najbardziej zależało na powodzeniu protestantyzmu w Polsce, bo od tego zależeć mogło jego panowanie. On więc wdał się w tę sprawę, a że nasi protestanci uznawali go najwyższym patronem, dokazał swym wpływem tego, że dnia 31 sierpnia 1555 r. udali, że przystają na konfessyę i na obrzędy „Jednoty“, wymawiając sobie tylko, że nie będą ich mogli wprowadzać zaraz po kościołach w swych dobrach, bo lud wiejski trzeba będzie dopiero powoli przyzwyczajać do ich obrządku. Było to więc przystąpieniem niejako wszystkich do „Jednoty“ — ale nieszczerem, a więc na nic się zdać nie mogło. Trudno, w rzeczach wiary nawet w sekciarstwie targów niema! Katolicy wiedzieli zaś, że cała ta ugoda koźminiecka jest sztuczna, sklecona na prędce nie z przekonania, lecz tylko z polityki, żeby Kościół narodowy wydawał się przygotowany, gdy nuncyusz papieski przyjedzie i nim zdąży rozbudzić katolików do nowego życia.

Przyjechał z początkiem października 1555 roku nuncyusz papieża Pawła IV-go, Alojzy Lippomano, a objechawszy całą Polskę wzdłuż i wszerz, zdołał tchnąć nowego ducha w polskich katolików, a biskupów poprawić o tyle przynajmniej, że odtąd nie przeszkadzali odrodzeniu katolicyzmu w Polsce. Nuncyusz miał z sobą pierwszego Jezuitę, jaki stanął na ziemi polskiej, słynnego Ojca Alfonsa Salmerona, który bawił jednak u nas ledwie kilka tygodni, do listopada 1555 roku.

Nowy ten zakon, założony przez św. Ignacego Lojolę w Hiszpanii, zatwierdzony w roku 1540 przez papieża Pawła III-go, liczył w roku 1556 już sto domów po całym świecie. Szerzył się, bo był gwałtownie potrzebny: celem jego utrzymanie czystości nauki religii, katechizacye i prace misyjne, a środkiem: nauka. Jezuici — to zakon uczonych; rzecz więc prosta, że jako najuczeńsi, zostawili wszystkich innych daleko za sobą w tyle. Do zwykłych trzech ślubów zakonnych dodają czwarty: szczególnego posłuszeństwa na każde skinienie Ojca św.; stąd też zowią ich słusznie wojskiem papieskiem. Walczą w obronie władzy papieskiej, bo większa część herezyj powstała nie z czego innego, jak właśnie z niedostatecznego uznania dla powagi i znaczenia papieża, jako Głowy Kościoła świętego.

Ogół szlachty polskiej pragnął gorąco Kościoła narodowego. Niektórzy, jak n. p. stary hetman Jan Tarnowski, nie żądali żadnych zmian dogmatycznych, nie wdając się wogóle w dogmatykę, ale chcieli nabożeństwa w polskim języku, udzielania Sakramentu Ołtarza pod obiema postaciami i małżeństwa dla księży. We wrześniu 1556 r. odbył się u hetmana zjazd, który uchwalił te żądania, jako wskazówki dla przyszłego sejmu. Mniemano, że najbliższy sejm zamieni się na sobór narodowy. Protestanci pragnęli, żeby naprzeciw nuncyusza mogli postawić ze swej strony także jak najwybitniejsze osoby, któreby sparaliżowały jego wpływ. Postanowili zaprosić do Polski Kalwina i Melanchtona, głowę luteranizmu po zmarłym w roku 1546 Lutrze, organizacyę zaś Kościoła narodowego powierzono słynnemu w całej Europie polskiemu „reformatorowi“, Janowi Łaskiemu. Był to jeden z synowców słynnego kanclerza i prymasa z czasów królów Aleksandra i Zygmunta Starego. Porzucił on w roku 1539 liczne swe intratne godności duchowne, wyjechał za granicę i ożenił się. Zasły-

nął jako organizator protestantyzmu we Fryzyi wschodniej, w Kolonii, w Londynie i we Frankfurcie nad Menem. Spodziewano się po nim nadzwyczajnych rzeczy i sądzono, że nie trzeba już będzie prosić się Braci Czeskich o poparcie, lecz przeciwnie, że oni będą się musieli zastosować do reform Łaskiego. Nim jeszcze Łaski przyjechał, porobiono, za wpływem Lismanina, znaczne zmiany w polskim przekładzie wyznania wiary „Jednoty“ (dokonanym przez Andrzeja Trzecieskiego) i to w duchu Zwinglego, reformatora z Curychu w Szwajcaryi, ku któremu najbardziej skłaniał się Łaski. Zygmunt August nie życzył sobie jednak coraz nowych „wyznań wiary“ i w czerwcu 1556 r. dał znać Łaskiemu przez Mikołaja Radziwiłła, że lepiejby zrobił, gdyby przystał na gotową już konfesyę augsburską, wyznawaną już przez księcia pruskiego i uznaną w Rzeszy Niemieckiej od 25 już lat. Na królu zależało najwięcej, bo też od niego najwięcej zależało. Słowo królewskie stało się więc rozkazem i Łaski postanowił dążyć do tego, żeby zjednoczenie polskich protestantów oprzeć jakoś na tej konfessyi, nakręcając ją i tłumacząc tak, żeby mogli na nią przystać protestanci małopolscy, będący wówczas w znacznej większości kalwinistami. Łaski przybył do Polski dnia 3 grudnia 1556 r. i zaraz przy pierwszem spotkaniu się z przedstawicielami „Jednoty“ wytykał im, co za błędne uważał w ich nauce i doprowadził do tego, że już z początkiem stycznia 1557 r. całą sprawę unii z „Jednotą“ i wspólnej z nimi konfessyi oddano pod jego sąd.

Tymczasem nuncyusz Lippomano odbył wizytacyę dyecezyj poznańskiej i płockiej, a z początkiem września 1556 r. odprawił synod katolicki w Łowiczu. Starał się też jak najbardziej o to, żeby sejm odłożyć, aż zorganizuje jako tako stronnictwo katolickie, w czem jednak nie bardzo mu się wiodło. Sejm zapowiedziany pierwotnie na 24-go sierpnia, odłożony następnie na 14-go września, byłby się może całkiem w tym roku nie odbył, gdyby nie potrzeba wojenna w Inflanciech; odbył się ostatecznie w Warszawie w grudniu 1556 r. i styczniu 1557 r. Nuncyusza powitano wprawdzie na tym sejmie nienawistnym okrzykiem „Witaj, żmiji rodzie!“ *(salve, progenies vipperarum)*, ale protestanccy posłowie nie mieli wspólnej konfessyi i musieli przystać na szyderczą trochę radę królewską, żeby sprawę wyznaniową odłożyć do przyszłego sejmu.

Mógł był Zygmunt August sam od siebie oświadczyć się publicznie i urzędowo za jakiemś wyznaniem, np. augsburskiem, albo też za niezawierającemi w sobie żadnej herezyi żądaniami stronnictwa Tarnowskiego i wymusić, chociażby przez nadużycia i prześladowania, żeby to, co on wyznaje i wyznawać nakaże, było fundamentem polskiego Kościoła; tak przecież robili zagraniczni monarchowie; — ale syn Zygmunta Starego także nie chciał być „panem sumień“ i postępował nietylko uczciwie, ale bardzo rozumnie, bo taki postępek wiódłby tylko do wojen domowych religijnych, bo wiara nakazać się nie da i obok nakazanej przez króla wiary byłyby i tak dalej inne sekty, które trzebaby przemocą tłumić w imię powagi królewskiej władzy. Droga taka dobra była do wzmocnienia władzy królewskiej i zamienienia jej na nieograniczoną, absolutną, ale droga ta wiodła przez strumienie bratniej krwi. Cześć Jagiellonom, że się nią plamić nie chcieli, że dobro obywateli cenili ponad ponętę nieograniczonej władzy! Było więc dużo serca i dużo rozumu w tem, że Zygmunt August czekał i zręcznie odkładał sprawę Kościoła narodowego, chociaż go za to „dojutrkiem“ szyderczo nazwano. Wiedział on, co robi. Nie dał się skłonić do prześladowania protestantów ani Hozyuszowi, ani nuncyuszowi, ale też nie dał się porwać przeciw Kościołowi. Sam zaś osobiście zwolna, lecz stale, przezierał coraz bardziej, po której stronie prawda i przewidywał już, że tej wspólnej konfessyi protestantów polskich nigdy nie będzie. W marcu 1557 r. udzielił audyencyi Łaskiemu, a wiedząc dobrze, jak ten skłaniał się do kalwinizmu, wyraził znowu niezadowolenie, że szerzą się w Polsce zapatrywania przeciwne konfessyi augsburskiej, t. j. luteranizmowi. Wiedział król doskonale, że wśród różnowierców polskich najmniej właśnie było zwolenników Lutra, dawał im więc ciężki orzech do zgryzienia, żeby według jego właśnie nauki ułożyli sobie wspólną konfessyę. Nie można było wskazać odleglejszej drogi do tego celu!

Nuncyusz Lippomano odbył w r. 1557 drugi jeszcze synod katolicki w Piotrkowie, poczem sam prosił, żeby go papież odwołał, uważając swą missyę za zupełnie nieudałą. Po jego wyjeździe dwóch biskupów oświadczyło się zaraz w maju 1557 r. za komunią św. pod obiema postaciami: Uchański i Zebrzydowski. Król obiecywał zająć się sprawą religijną — po wojnie inflanckiej.

WILHELM BRANDEBURSKI.

Zawikłania inflanckie, któremi król musiał się zająć, były nader ważne ze względu na panowanie nad morzem Bałtyckiem, co dla Polski stanowiło najżywotniejszą sprawę. Książę pruski chciał sam dla swej dynastyi zagarnąć jak najwięcej wybrzeża. Po sekularyzacyi Prus stał się landmistrz inflancki, Walter Plettenberg, wywiedziony przez Albrechta haniebnie w pole, wrogiem nowego świeckiego księcia i wraz z resztą Zakonu i Wielkim Mistrzem (którym był teraz mistrz niemiecki, t. z. Deutschmeister) radby go wypędzić, a Prusy wschodnie, wydarte Zakonowi świętokradzko, odzyskać dla Krzyżaków. Zmawiano się też nieraz w Niemczech na księcia pruskiego i polscy politycy bywali o to często w kłopocie; gdyby katolickiemu obozowi w Niemczech starczyło sił, wyprawionoby się z pewnością na polskiego lennika, a więc pośrednio przeciw Polsce. Obaj królowie Zygmuntowie miewali też często trudności i zawikłania z cesarskim dworem Habsburgów z powodu sprawy pruskiej. Książę Albrecht radby więc ze swej strony zniszczyć Zakon do reszty, a zwłaszcza w swem sąsiedztwie, w Inflanciech. Korzystając z wiekowych rozterek pomiędzy landmistrzami a ryskimi arcybiskupami, zjednał sobie arcybiskupa Schöninga przeciw Plettenbergowi i przyrzekał mu wszelką pomoc, za co Schöning przyjął na swego koadjutora (tj. pomocnika i następcę) rodzonego brata Albrechtowego, księcia Wilhelma Brandeburskiego. Ten nie poprzestał na nadziei arcybiskupstwa, lecz starał się zagarnąć jak najwięcej kraju. Wszczął zaraz wojnę domową o biskupstwo hozylskie, obejmujące wyspę Hozylię (Oesel) i na lądzie stałym w Estonii krainę zwaną „die Wieck“. Udało mu się zagarnąć posiadłości biskupstwa i zdawało się, że po najdłuższem życiu Schöninga połowa Inflant będzie już w ręku Wilhelma, „arcybiskupa“, który był jawnym protestantem i oczywiście sekularyzowałby się, zakładając nad Bałtykiem drugie księstwo Brandeburskiej dynastyi, a dążąc stopniowo do zajęcia całych Inflant i Estonii. Zygmunt Stary powstrzymał jednak te zapędy w chwili stanowczej, a Wilhelm, pozbawiony pomocy, musiał ostatecznie ustąpić. W r. 1548 wystąpił Albrecht pruski z planem, żeby wpaść do Inflant od strony Litwy i Żmujdzi i Krzyżaków z Inflant wypędzić, ale Zygmunt August nie myślał pracować dla

dobra nowej dynastyi nad Bałtykiem i wolał tam mieć resztkę słabych Krzyżaków, niż jednolite i dosyć rozległe państwo świeckie, któreby Litwę odgrodziło od Bałtyku; toteż w r. 1551 zatwierdził dawny wieczysty pokój litewsko-inflancki. Polityka polska zmusiła Wilhelma, że cofnął się na stanowisko katolickiego biskupa i przez to utracił zupełnie sympatye protestanckiej ludności kraju.

UROSZCZENIA MOSKWY DO DORPATU.

Chociażby nie było sekularyzacyi Prus i dynastyi Hohenzollernów nad Bałtykiem, polityka polska i tak musiałaby zajmować się Inflantami, bo kraj ten wchodził klinem pomiędzy Litwę a Moskwę. Już Plettenberg brał udział w koalicyi niemiecko-moskiewskiej przeciw Polsce, następcy zaś jego, Hasenkamp i Recke, zachowywali się niechętnie wobec Litwy, a dążyli do pokoju z Moskwą, który też przedłużano ustawicznie począwszy od roku 1503. Ostatnim razem przedłużono go w r. 1532 na lat 20, aż do 1 października 1552 r., a w warunkach było zastrzeżenie, że nie wolno Inflantom zawierać żadnych związków politycznych ani z Polską, ani z Litwą.

Moskwa miała sama wystąpić zaborczo przeciw Inflantom. Była to nieunikniona wojna handlowa, którą carat przejął w spadku od Rzeczypospolitych Nowogrodzkiej i Pskowskiej, a w której chodziło o wolny dostęp do morza. Kupcy z całego państwa moskiewskiego jeździli do Inflant, ażeby tam stykać się z kupcami zachodniej Europy. Mieszczaństwo inflanckie zakazało jednak handlować obcemu z obcym („gościowi z gościem"), tak że każde kupno i sprzedaż miało przechodzić przez pośrednictwo krajowców. W obronie własnego dobrobytu ustanowili dla siebie monopol, tj. wyłączność handlową, do czego zresztą mieli zupełne prawo w swym własnym kraju. Groziło to atoli ruiną handlowi moskiewskiemu, a jedyną na to radą było, żeby zająć jakieś miejsce na wybrzeżu Bałtyku. Inaczej musiałby się handel moskiewski skierować ku morzu przez Litwę i Zygmunt Stary przyspasabiał też rzeczywiście do tego Kowno, jako ognisko handlowe — ale Wielcy Książęta moskiewscy rozumieli, że w takim razie Moskwa popadłaby w zależność od Litwy. I nie miała Moskwa innego wyboru: albo trzeba było zdać się na szereg pokoleń na łaskę i nie-

łaskę Litwy, albo zagarnąć choćby cząstkę Inflant. Iwan Groźny gotował się też do tej wojny. Nowy landmistrz, Gallen, gotów był do znacznych ofiar, żeby zawrzeć znowu pokój na czas dłuższy, ale uzyskał przedłużenie tylko do św. Michała r. 1556. Czynił dalej starania i wyprawił w tym celu już z końcem r. 1553 poselstwo do Moskwy. Ale posłów tych czekała w Moskwie przykra niespodzianka.

Iwan Groźny wystąpił ni ztąd ni z owąd z twierdzeniem, że Dorpat z okolicą — jedno z najważniejszych miast w Inflanciech — jest jego dziedzictwem jeszcze po W. Księciu kijowskim Jarosławie I. (panował r. 1015—1054), które książęta moskiewscy wydzierżawiali tylko przodkom inflanckim za rocznym czynszem. Dorpat — po rusku Jurjew — został rzeczywiście założony przez Jarosława I. w r. 1030, jako gródek przeciw pierwotnym mieszkańcom kraju, Estom; ci jednak wkrótce go zdobyli i zamienili na swój gród, aż im go w r. 1224 zabrali niemieccy przybysze. O żadnych prawach książąt suzdalskich do Dorpatu nie było nigdy mowy, aż tu posłom inflanckim w r. 1553 okazano sfałszowany dokument Plettenberga z r. 1503, kiedy landmistrz zawierał pokój z Moskwą, z tem, że Inflanty już wtenczas, a więc przed 50 laty, zobowiązały się płacić Moskwie z Dorpackiego roczny haracz; zażądano też teraz zapłaty zaległych rzekomo danin za całych lat 50! Powstała w Inflanciech trwoga, ale gdy marszałek Zakonu, Kasper Münster, doradzał zawrzeć przymierze z Litwą, zakrzyczano go, jako zdrajcę kraju, a natomiast zawarto w r. 1554 pokój 15-letni z Moskwą, uznając jej uroszczenia do Dorpatu. Zobowiązano się płacić z Dorpackiego pogłówne po grzywnie od głowy, a owe rzekome zaległości z 50 lat spłacić w ciągu lat trzech. W warunkach pokoju zastrzeżone było znowu, że z królem polskim nie wolno Inflantom wchodzić w żadne umowy, ni przymierza. Przysięgę na te warunki złożyły wszystkie Stany inflanckie z landmistrzem na czele w Kiesi (Wenden) dnia 9 kwietnia 1555 r.; nawet burmistrze dorpaccy złożyli osobną przysięgę w tydzień później. Niespodzianie zaprotestowali starsi t. z. gild, tj. związków kupieckich, a poseł moskiewski natychmiast po tym proteście wyjechał, tak, że nie wiedziano, czego się trzymać, czy pokój przedłużony, czy nie i z trwogą czekano terminu św. Michała 1556 r.

Zygmunt August przedłużał właśnie w r. 1554 także ze swej

strony rozejm z Moskwą i to w sam raz na dwa lata, a więc także do r. 1556. Póki jednak Inflantczycy zgadzali się sami haracz Moskwie płacić, nie mógł król polski niczego przedsiębrać. Trzeba było wpierw zmienić politykę inflancką i skłonić ich, żeby zawarli z Litwą sojusz przeciw Moskwie; toteż roku następnego przedłużył król rozejm moskiewski jeszcze do r. 1562.

TRZECIA ŻONA ZYGMUNTA AUGUSTA (1553).

Moskwa sprowadzała z zagranicy inżynierów, oficerów, ludwisarzy i rzemieślników potrzebnych zwłaszcza do zbrojeń wojennych; sami bowiem ludzi do tego zdatnych nie mieli. Sprowadzano też ulepszone narzędzia wojenne, broń, działa itp. Odbywało się to dawniej za pośrednictwem Inflantczyków, mających na tem pośrednictwie gruby zarobek. W r. 1548 spróbował Iwan Groźny werbować potrzebnych sobie ludzi bezpośrednio w Niemczech, poruczywszy to niejakiemu Hansowi Schlittenowi. Stany inflanckie narobiły o to wrzawy i wystarały się o rozkaz przychwycenia Schlittena, który blizko dwa lata przesiedział w więzieniu w Lubece. Umknąwszy stamtąd obmyślił dowcipny sposób, żeby sobie zapewnić bezpieczeństwo i dokonać werbunku, na którym mógł zrobić majątek. Rozgłaszał, że Iwan Groźny gotów przyjąć katolicyzm i że jemu powierzył tajne zlecenia polityczne w tej sprawie. Udało mu się wywieść w pole niejakiego Jana Stemberga, który jeździł w tej sprawie do cesarza Karola V. i do papieża Juliusza III. — na własny koszt, zwiedziony, że zostanie kanclerzem Iwana, gdy się dobrze sprawi! W zamian za nawrócenie żądał, żeby papież i cesarz przyznali Iwanowi tytuł „króla wszej Rusi“. Papież dał się podejść i mianował nawet Stemberga swym posłem do Moskwy. Pod osłoną papieskiej i cesarskiej powagi, jako działający dla dobra Kościoła, mogli obydwaj przedsiębiorcy dokonać werbunku choćby kilkuset osób, które przemyciliby, jako orszak poselski papieskiego poselstwa! Było to jedno z największych oszustw politycznych, jakie zna historya.

Dopiero w r. 1552 dowiedział się o tem wszystkiem bawiący w Rzymie poseł polski, Adam Konarski, od życzliwego Polsce kardynała Maffeo. Tytuł „króla wszej Rusi“ zwrócony był przeciw Litwie i krył w sobie poważne niebezpieczeństwo polityczne. Obawiał się król, czy się nie zanosi na jaką nową zmowę Habsburgów

z Moskwą. A właśnie siostra królewska, królowa Izabella, wdowa po Zapolyi, wchodziła w nowe porozumienia z królem francuskim, który utrzymywał ciągle sojusz z Turcyą, skierowany przeciw Habsburgom. Rozchodziły się pogłoski na zagranicznych dworach, że król polski przechyla się także do francuskiego obozu, a w takim razie nowy sojusz Habsburgów z Iwanem byłby całkiem prostą rzeczą. Zygmunt August był przekonany, że układy Stemberga ze Stolicą apostolską są sprawką Ferdynanda Habsburskiego. Posyła więc zaraz do Karola V. i do Ferdynanda, wybierając na posła najznaczniejszą osobę, Mikołaja Radziwiła Czarnego, żeby się sprawa wyjaśniła i polecając mu odciągnąć Habsburgów za wszelką cenę od porozumienia z Iwanem.

Zygmunt August był bezdzietnym wdowcem; że zaś był jedynym już z Jagiellońskiego rodu, rozumiało się samo przez się, że się ożeni po raz trzeci dla nadziei potomstwa. Były wieści, że się stara o siostrzenicę króla francuskiego, księżniczkę Ferrary we Włoszech, podczas gdy Habsburgowie pragnęli, żeby poślubił córkę króla Ferdynanda, Katarzynę, wdowę po księciu Mantuy we Włoszech, a rodzoną siostrę pierwszej swej żony, Elżbiety. Obie strony pragnęły sojuszu. Habsburgowie chcieli się zabezpieczyć, żeby król polski nie związał się z Francyą, a Zygmunt August chciał przeciąć ich związki z Moskwą i nie dopuścić, żeby cesarz uznał Wielkiego Księcia moskiewskiego panem „wszej Rusi“, a więc większej części litewskiego państwa! I tak oszustwo Schlittena i Stemberga przyczyniło się do skojarzenia trzeciego małżeństwa Zygmunta Augusta. Papież udzielił dyspensy na poślubienie siostry pierwszej żony i dnia 30 lipca 1553 r. odbył się ślub z 20-letnią Katarzyną. Król, który źle żył z Elżbietą, nie miał wcale ochoty do małżeństwa z jej siostrą, ale uważał je za konieczność polityczną; jakoż małżeństwo to było jak najnieszczęśliwszem. W r. 1554 spodziewano się potomka, ale nadzieja zawiodła; tajemnicza ta sprawa (podejrzywano królowę o umyślne łudzenie króla) miała ten skutek, że Zygmunt August całkiem od żony się odwrócił.

Habsburgowie nie wchodzili jednak w żadne przymierza z Moskwą i król polski miał wolne ręce do sprawy inflanckiej, która, wcześniej czy później, musiała wywołać nową wojnę litewsko-moskiewską, a z konieczności wciągnąć w tę walkę także Polskę.

WOJNA POZWOLSKA (1557).

W samych Inflanciech nastały nowe zawikłania, gdy Wilhelm Brandeburski przyjął sobie w r. 1555 z namowy księcia pruskiego 17-letniego księcia Krzysztofa meklemburskiego na koadjutora arcybiskupstwa ryskiego. Z pomocą dynastyi meklemburskiej chciał Albrecht wykonać dawny swój plan, żeby znieść w Inflanciech Zakon krzyżacki, a utworzyć nowe świeckie księstwo pod lennem zwierzchnictwem Danii lub Litwy. Namawiał króla duńskiego, Krystyna III., żeby do tego dopomógł, a za to zabrał sobie Estonię, Dania pozostawała jednak od czasów Władysława Jagiełły w sojuszu z Polską, a Krystyn III. doniósł o tych planach pruskiego lennika dworowi polskiemu. Zygmunt August potrzebował mieć w Inflanciech wpływy ze względu na niebezpieczeństwo zaboru moskiewskiego; dlatego, jak przedtem Wilhelma, gotów był teraz poprzeć Krzysztofa, ale znowu o tyle tylko, żeby pozostał przy samem arcybiskupstwie, zmuszony (chociaż protestant) udawać dostojnika katolickiego Kościoła i nie mogąc się sekularyzować; żadnych planów zaborczych Krzysztofa popierać nie myślał. Albrecht rozpoczął jednak działanie; ułożono plan, żeby zebrawszy 10.000 zaciężnych zająć posiadłości Zakonu i innych biskupów w Inflanciech; część zdobyczy miała przypaść Wilhelmowi i jego następcy, Krzysztofowi, południowa zaś część kraju, Kurlandya, miała być przyłączoną do Prus. Zakon gotował się do obrony, a pojednawczo usposobionemu landmistrzowi Gallenowi przydano na koadjutora bardzo wojowniczego komtura Fürstemberga. Król polski chciał uśmierzyć tę wojnę domową i wyprawił w tym celu swych posłów, do landmistrza biskupa żmujdzkiego, Domianowskiego, a do arcybiskupa Kaspra Łąckiego. Chcąc się przekonać, co Zygmunt August myśli o zamiarach brandebursko-meklemburskich i jakie go istotnie łączą stosunki z ryskimi książętami, niby-biskupami, napadnięto w drodze na Łąckiego, żeby zabrać jego papiery. Z papierów tych przekonano się, że król nie ma zamiaru wszczynać wojny inflanckiej, w napadzie owym postradał jednak Łącki życie, a zabicie posła, najcięższa obraza z prawa narodów, zmuszało króla poniewoli do wojny, gdyby się Krzyżacy nie upokorzyli i nie przeprosili. Wypadek ten złączył sprawę Wilhelma i Krzysztofa ze sprawą honoru Wielkiego Księstwa Litewskiego. Z początkiem

lipca 1556 r. kazał też król obsadzić granicę inflancką, zwoławszy pospolite ruszenie województw trockiego i witebskiego. Tymczasem Fürstemberg zajął wszystkie grody arcybiskupie, jego zaś i koadjutora uwięził. Dyszał wojną; snuł sobie nierozsądne plany, że Zakon da mu z Niemiec posiłki i że wziąwszy Albrechta we dwa ognie, odzyskają Prusy książęce dla Zakonu. Jakoż wyprawił do Niemiec po zaciągi i sam rozłożył się pod Bauskiem obozem przeciw Litwie. Do Wilna wyprawił poselstwo z hardą mową, wyzywające. Zapalczywy był, a polityk bardzo nierozumny; odgrażał się, że nietylko Wilhelma i Krzysztofa z Inflant a z Prus Albrechta, ale nawet Zygmunta Augusta z Litwy wypędzi.

W sam raz przybył do Dorpatu poseł moskiewski po haracz. Wydawszy stosowne zapisy i dokumenty otrzymano rok zwłoki, do końca września 1557 r.

Zygmunt August wojny z Inflantami nie chciał, a przedewszystkiem nie życzył sobie, żeby Albrecht pruski brał w niej udział; kazał mu się też cofnąć z nad granicy inflanckiej. Chociaż na żądania przywrócenia poprzedniego stanu w kraju otrzymywał coraz hardziejsze odpowiedzi, cierpliwy był, bo nie do wojny z Inflantami chciał doprowadzić, ale do sojuszu, potrzebnego przeciw Moskwie. Wyznaczył więc najpierw czteromiesięczny termin, a potem czekał na wynik pośrednictw książąt pomorskich, króla duńskiego i w końcu cesarza Ferdynanda (został cesarzem po bracie Karolu V. w r. 1556, pozostając nadal królem czeskim i węgierskim). Na wszelki wypadek gotował wojnę i to tak, żeby za jednym zamachem zgnieść przeciwnika. Postanowił wystąpić z wojskiem dużem, znacznie większem, niżby było potrzebne na zdobycie całych nawet Inflant, bo należało przewidywać, że Iwan Groźny także do Inflant wkroczy, żeby dotrzeć do wybrzeża morskiego, zanimby Litwa kraj zajęła. Toteż wezwał król Polskę do pomocy i, jak zawsze, Polska chętnie udzieliła posiłków Litwie. Sejm warszawski uchwalił w styczniu 1557 r. podatek na zaciężnych i jeszcze nadto w razie potrzeby pospolite ruszenie. Fürstemberg ani nawet wobec cesarskich komisarzy, zgodnych zupełnie z królem polskim, nie chciał przystać na wszystkie żądania królewskie, do których należał już także sojusz przeciw Moskwie. Przewlekały się narady z pośrednikami aż do lata 1557 r., wciąż bezskuteczne. Zebrał więc król olbrzymie wojsko,

do 100.000 zbrojnych, sam stanął na ich czele i czekał w obozie na odpowiedź na swe żądania. Dnia 16 lipca 1557 r. ruszył do Onikszt, a na 6 sierpnia oznaczono dalszy pochód ku Inflantom; stanął król następnie obozem nad rzeczką Lawenną i stąd wypowiedział urzędowo wojnę dnia 19 sierpnia 1557 r. Z takiem wojskiem nie mógł się mierzyć Fürstemberg (który został już landmistrzem po śmierci Gallena w maju 1557 r.); rozumiało się samo przez się, że wobec 100-tysięcznej armii przystanie na wszystko i wojny nie będzie; a o to właśnie chodziło Zygmuntowi Augustowi. Posunęło się wojsko litewskie jeszcze do Pozwola, gdzie od 20 sierpnia 1557 r. stale obozowało (stąd nazwa „wojny pozwolskiej"), ale granicy inflanckiej nie przekroczyło. Już dnia 5 września przywieźli cesarcy pośrednicy taką „formułę ugody", jakiej sobie król życzył. Wilhelma przywracano do władzy i Krzysztofa uznawano koadjutorem; ale zarazem zastrzegał król, że arcybiskupstwa sekularyzować nie wolno. Za Łąckiego przepraszano w pokorze. Sojusz przeciw Moskwie zawierały całe Inflanty z Litwą i to „wieczysty".

Tak się skończyła ta wojna bez wystrzału, chlubne świadectwo rozumu politycznego Zygmunta Augusta. Król swoje osiągnął, a brandeburskie plany względem Inflant zagwoździł na zawsze. Księciu pruskiemu nie pozwolił nawet przysłać do Pozwola lennych posiłków, a chociaż Albrecht przez ten czas pięć razy osobiście jeździł do króla, nie licząc szeregu poselstw, z całego tego przedsięwzięcia, które sam rozpoczął, miał tylko 80.000 dukatów straty na zaciągi, które przygotował, a których mu król nawet ruszyć nie pozwolił.

Sojusz pozwolski był tajny i miał obowiązywać dopiero od r. 1562, gdy się skończy rozejm Zygmunta Augusta z Moskwą, a gdyby zaś Moskwa dotrzymała Inflantom umówionego w r. 1554 rozejmu 15-letniego, miał ten sojusz zyskać znaczenie aż w r. 1569.

CZTERECH PANÓW W INFLANCIECH. KSIĘSTWO KURLANDZKIE.

Iwan Groźny najechał jednak Inflanty zaraz z początkiem r. 1558. W czterech wyprawach zajął do września 1558 r. nietylko Dorpackie, ale znaczną część kraju, a zdobywszy Narwę, dotarł do morza Bałtyckiego. Pomocy należało szukać u Zygmunta

Augusta, a na czele Zakonu stanął Gothard Ketler na miejscu nienawidzącego Litwy Fürstemberga. Sejm piotrkowski uchwalił w styczniu 1559 r. dążyć do wspólności wojny i pokoju z Inflantami wobec Moskwy. Wyprawionemu do Moskwy posłowi, Tyszkiewiczowi, oświadczył jednak Iwan, że całe Inflanty są jego posiadłością i że on karze tylko swych zbuntowanych poddanych. Król polski nie myślał zrywać rozejmu, obmyślił jednak sposób na obronę Inflant. Do zagrożonych grodów miały wejść litewskie załogi; Iwan, mając z Litwą rozejm, nie mógłby ich zaczepić i w ten sposób zamierzał Zygmunt August wygrać jeszcze jedną wojnę bez wystrzału, podobnie, jak pozwolską. Gdyby zaś Moskwa zaczepiła gdziekolwiek litewską załogę, byłby rozejm zerwany przez Iwana Groźnego i król mógłby zaraz całą swą potęgą ruszyć w pole. Z końcem grudnia 1559 r. weszły też te załogi do pewnych grodów Zakonu, inne jednak Stany inflanckie wahały się i namyślały, aż było zapóźno. Toteż Moskwa poczyniła nowe zdobycze, urządziwszy jeszcze trzy najazdy w czasie do sierpnia 1560 r.

Nietylko Moskwa rzucała się na Inflanty. Chciała też mieć swój udział i podział Dania. Ketlerowi ofiarowano rękę duńskiej królewny, a z nią Estonię, jako lenne księstwo pod duńskiem zwierzchnictwem. Odmówił, bo spodziewał się, że z pomocą Zygmunta Augusta zapobiegnie podziałowi kraju i zostanie księciem całych Inflant, jako lennik litewski. Z początkiem jednak 1560 r. zagarnął ziemie biskupstwa hozylskiego królewicz duński Magnus, brat panującego Fryderyka II., który nie był już tak rzetelnym wobec Zygmunta Augusta, jak poprzednik jego, Krystyn III. Ludność Estonii przechylała się też na stronę duńską, a następnie szwedzką. W kwietniu 1560 r. było już postanowionem, że Ketler dokona sekularyzacyi inflanckich Krzyżaków, którzy zresztą — podobnież, jak biskupi i cała bez wyjątku ludność Inflant — już od 40 lat byli jawnymi protestantami. Król polski przystawał na tę zmianę ustroju Inflant, skoro lennik pruski nie miał już nic na tem zyskać. Wilhelmowi Brandeburskiemu ani teraz nie pozwalał się sekularyzować, a zgoła nie myślał o Krzysztofie, który uciekł podczas pierwszego najazdu moskiewskiego i wrócił dopiero na wielokrotne usilne nalegania księcia Albrechta w styczniu 1559 r.

Iwan Groźny złożył latem 1560 r. w Wilnie oświadczenie

przez posłów, że odstąpi Litwie Inflant na południe Dźwiny; prosił zarazem o rękę siostry królewskiej, Katarzyny. Odmówiono i spółki podziałowej i ręki królewny.

W czerwcu 1560 r. zbierało się wojsko litewskie pod Bauskiem pod sprawą Chodkiewicza, który 10 września ruszył ku Rydze; z końcem zaś września 1560 r. ruszył do Inflant Mikołaj Radziwiłł Rudy, wojewoda trocki. Nie kwapiono się jednak z przyjmowaniem ich załóg, a sami wojsk moskiewskich zaczepiać nie mogli z powodu rozejmu. Przyjęła w końcu i Ryga litewską załogę, a na prośby Ketlera postanowił król wysłać zbrojnych aż do Rewala. Dnia 4 lutego 1561 r. wyruszyło tam przodem 50 jezdnych. Stanowczy to dzień w dziejach Polski, bo już w styczniu 1561 r. zażądali król szwedzki, Eryk XIV. i brat jego, książę Jan finlandzki, żeby Rewal poddał się Szwecyi, a w maju wezwali całą Estonię do poddania się. Dnia 4 czerwca 1561 r. poddało się też miasto formalnie Szwecyi, a dnia 2 sierpnia 1561 r. przyjął Eryk XIV-ty całą Estonię w swe poddaństwo. I tak było w Rewalu dwóch gospodarzy: w mieście Szwedzi, a na grodzie Polacy i Litwini. Tu tkwi zawiązek przyszłych długich i nieszczęsnych wojen polsko-szwedzkich. Przeciw zaborom szwedzkim zaprotestowała Dania. Tak więc cztery państwa miały w Inflanciech sprzeczne interesy: Moskwa, Szwecya, Dania i Litwa.

Zygmunt August życzył całych Inflant Ketlerowi, ale zdobywać ich dla niego nie mógł, bo trzebaby z trzema państwami naraz walczyć. Pozostawiając resztę przyszłości, utworzono tymczasem dla Ketlera księstwo kurlandzkie, z części kraju na południe Dźwiny, tej samej, którą Albrecht pragnął przyłączyć do Prus. Równocześnie poddawały się Litwie Stany środkowych Inflant, otrzymując samorząd i zupełną wolność wyznania augsburskiego. Handel litewski i białoruski zyskiwał nową drogę ku morzu, po spławnej rzece Dźwinie. Ażeby uniknąć wojny ze Szwecyą o Estonię, oddano najmłodszą królewnę, Katarzynę, w r. 1562 w małżeństwo sąsiadowi Estonii, Janowi, księciu Finlandyi, a bratu Eryka XIV., króla szwedzkiego. Chory na umyśle Eryk, podejrzywając brata o spiski przeciw sobie, uwięził wkrótce nowożeńców. Polska królewna spędziła z mężem pięć lat w więzieniu na zamku grypsholmskim w Szwecyi, okazawszy się przez cały ten czas wzorem dobrej żony.

W r. 1562 skończył się rozejm z Moskwą, i zaczęła się otwarta wojna, trwająca ośm lat, jakkolwiek prowadzona z obydwóch stron leniwo. W r. 1563 zdobyli Moskale na Litwie Połock, w następnym roku ponieśli klęskę od Mikołaja Radziwiłła Rudego nad Ułą. Dalsze zapędy wojsk moskiewskich w Inflanciech nie udawały się już, odkąd Litwa nie była krępowana względem na rozejm. Inflantczycy pozbywali się też podejrzliwości względem Litwy i w r. 1566 przyjęli namiestnika królewskiego, Jana Chodkiewicza. Następnego roku wybuchł w Moskwie bunt przeciw Iwanowi Groźnemu. Wielkie wojsko polsko-litewskie rozłożyło się w obozie pod Radoszkowicami, oczekując na tok wypadków, Iwan stłumił atoli bunt. Roman Sanguszko odniósł w tym roku zwycięstwo pod Czaśnikiem, w następnym zaś zdobył Ułę, a kniaź Połubieński Izborsk w Inflanciech. Niebezpiecznem było to, że Iwan porozumiał się z Erykiem XIV. przeciw Polsce i Litwie; ale u Eryka wybuchło zupełne pomięszanie zmysłów, a w r. 1568 zasiadł na tronie szwedzkim król Jan III. z Katarzyną Jagiellonką, utrzymujący dobre stosunki z dworem polskim. Wojnę moskiewską przerwano w r. 1571 zawieszeniem broni zawartem na trzy lata; każda strona pozostała przy tem, co posiadała; Inflanty miały nadal czterech panów i piątego Ketlera. Tak zostać nie mogło; toteż rozejm ten nie wiódł do pokoju, lecz do nowych przygotowań wojennych. W każdym razie Zygmunt August spełnił wiernie swój obowiązek strzerzenia interesów polsko-litewskich nad Bałtykiem.

SUMY NEAPOLITAŃSKIE.

Wojna o Inflanty pochłonęła dużo pieniędzy, a przewidywano, że będzie ich potrzeba jeszcze więcej na bliską przyszłość. Nadzieja pozyskania znacznego skarbu dynastycznego, zbieranego przez królowę-matkę, Bonę, zawiodła. Zygmunt August z konieczności ścieśniał polityczne wpływy matki, bo sposób, w jaki wpływała na sprawy publiczne, nie licząc się zupełnie z opinią publiczną, przykry był dla Polaków i zrażał do dworu i rodziny królewskiej. Bona nie chciała zaprzestać polityki i wolała opuścić syna i Polskę. Wyjechała do swego włoskiego księstwa, Bari, jeszcze przed wojną pozwolską, w r. 1556, a urażona na syna, zabrała z sobą swe skarby. Wywiozła 24 wozów ładownych złotem, srebrem i klejnotami.

Wielkie sumy pożyczyła cesarzowi Ferdynandowi, a 420.000 dukatów królowi hiszpańskiemu, Filipowi II. Umarła w listopadzie następnego roku 1557. Księstwo Bari zapisała Filipowi II; gotówka należała się Zygmuntowi Augustowi i jego siostrom, ale nie otrzymali niemal nic. O wierzytelności te, t. z. „sumy neapolitańskie“ dopraszał się nietylko Zygmunt August, a potem jego siostry, ale prawowali się wszyscy następni królowie polscy nadaremnie aż do roku 1794. Dłużnicy i spadkobiercy ich, długu nigdy nie zwrócili.

Tem bardziej trzeba było myśleć o wzmożeniu skarbu, a więc przedewszystkiem o egzekucyi dóbr koronnych. Ale możnowładcy, będący filarami protestantyzmu, umieli doskonale odwlec tę rzecz i stłumić ją, wysuwając na czoło spraw publicznych ciągle politykę wyznaniową, a szlachta, potrzebując poparcia ich do założenia Kościoła narodowego, nie chciała ich sobie zrażać wołaniem o odbiór dóbr koronnych.

ROZŁAM PROTESTANTÓW. — ARYANIE.

Król przyrzekł był zająć się sprawą religijną po wojnie inflanckiej; zaraz też po pokoju pozwolskim napierano na niego. Tymczasem Łaski, pchnięty przez króla na zupełnie mylną drogę, próbował bez skutku zyskać w Polsce powszechne uznanie dla konfessyi augsburskiej, która właśnie Polakom najmniej przypadała do smaku. Za jego wpływem oświadczono Braciom Czeskim w czerwcu 1557 r. na zjeździe we Włodzisławiu, że unię koźminecką możnaby zatrzymać tylko, „nie odtrącając innych kościołów“. Świeckim osobom nadawał on coraz więcej wpływu na urządzenia kościelne, nawet w teologicznych sprawach. Zrażona tem „Jednota“ odrzuciła w sierpniu 1557 r. projekty nowych umów. Kilka zjazdów spełzło na niczem. Ułożył więc Łaski sam konfessyę, taką, w której pomijał wszystkie sprawy sporne i pojechał w kwietniu 1558 r. do księcia pruskiego, żeby ją przyjął za swoją i wpływem swym skłonił ku niej polskich protestantów, którzy w nim zawsze upatrywali swą głowę. Tłumaczył, że konfessya jego zgodna jest z augsburską, ale teologowie księcia dopatrzyli się w niej kalwinizmu. „Jednota“ dała też surową odpowiedź od siebie i tuż przed sejmem zerwano ugodę koźmiecką.

W sam raz przybywał nowy nuncyusz, Kamil Mantuato, biskup z Sutri we Włoszech, a w jego orszaku dwaj Jezuici, O. Do-

minik Mengini i sławny na całą Europę O. Piotr Kanizyusz, zaliczony następnie w poczet błogosławionych. Dnia 12 października 1558 r. odbył się uroczysty wjazd nuncyusza do Krakowa; potem pojechali na sejm piotrkowski, zwołany na grudzień 1558 r., a zapowiadający się bardzo gorąco. Uchański jawnie umawiał się z protestantami, Tarnowski nawet gorszył się przyjazdem nowego nuncyusza, wybrano niemal samych tylko protestanckich posłów, duchowni rozmaitych wyznań odprawiali w Piotrkowie publicznie swe nabożeństwa, Radziwiłł Czarny zjechał z Litwy zbrojno w tysiąc koni, Hieronim Ossoliński podał wniosek, żeby biskupów wyrzucić z senatu, a król chytrze zgadzał się na sobór narodowy, zamierzając zaprosić na niego i katolików i protestantów, — ale cóż z tego wszystkiego, skoro konfessyi wspólnej nie było? Okazałoby się na soborze, że katolicy mają jasną i ścisłą konfessyę Hozyusza, a u różnowierców co głowa, to rozum i same tylko swary. Woleli więc nie próbować jeszcze i zaraz na początku sejmu zgodzili się chętnie, żeby to znowu do następnego odłożyć. Miał Zygmunt August wielką zdatność do tego sposobu w polityce, żeby nie odmawiać, czego sobie życzono, a jednak na swojem postawić. Obiecywał król nowy sejm na jesień 1559 r., ale nie zwołał go, aż w listopadzie 1562 roku, bo przez ten czas, z krótkiemi bardzo przerwami, bawił ciągle na Litwie, zajęty Inflantami. Sprawa o morze Bałtyckie ważniejszą była od sporów protestanckich; król to rozumiał, a społeczeństwu przyznać trzeba, że królowi nie przeszkadzało, uznając, że pierwszeństwo należy się temu, czego nie można odkładać, co jest już na końcu miecza. Pod wpływem sprawy inflanckiej rozbudza się na nowo w narodzie zmysł polityczny i kiedy król spotkał się w r. 1562 na nowo z posłami sejmowymi, inaczej już sejm wyglądał i inne na nim były mowy.

Przez ten czas spory wyznaniowe osłabiły jeszcze bardziej protestancki obóz. Synody ich zajęte były w r. 1559 przeważnie walką z szerzącym się gwałtownie antytrynitaryzmem, przeczącym tajemnicy Trójcy Przenajświętszej i aryanizmem, przeczącym bóstwa Chrystusowi. W styczniu 1560 r. umarł Jan Łaski, a nie było następcy równych zdolności i powagi. Na generalnym ich synodzie w Książu, we wrześniu 1560 r., poskładali wszyscy pastorowie urzędy, bo, gdy chcieli potępić naukę aryanina Stankara, świeccy członkowie synodu na to nie pozwolili; wśród waśni doszło do tego,

że aż za szable chwycono. Dopiero w styczniu 1561 r. spostrzeżono się, że aryanizm przecież potępić trzeba, jeżeli się niema utracić do reszty teologicznej powagi wobec katolików. Potępiających było jednak coraz mniej, bo większość małopolskich Kalwinów przechodziła do aryanów. Resztki protestantów w Małopolsce, nie mogąc się już ostać o własnych siłach wobec aryanizmu, wyciągały ręce o pomoc do „Jednoty“ i tak wznowiono ugodę koźminiecką dnia 17 czerwca 1561 r. w Bużeniniu pod Sieradzem. Ale gdy zwołano „synod“ do Pińczowa na 2 kwietnia 1562 r., większość przystała na konfessyę aryanina Blandraty, a w sierpniu 1562 r. już tylko trzech pastorów z całej Małopolski pozostało przy kalwinizmie! Toteż sejm piotrkowski, obradujący od 30 listopada 1562 r. do 30 marca 1563 r., zastał różnowierców w najgwałtowniejszych waśniach. Natenczas „Jednota“ postanowiła działać na własną rękę. Król uznał ich Bracką konfessyę na audyencyi udzielonej im dnia 23 października 1563 r. i udzielił upoważnienia do swobodnego wykonywania swych obrządków.

DOKONANIE EGZEKUCYI. — KWARTA.

Na sejmie 1562 r. mniej już było wrzawy o religijne sprawy, a zato jęto się na nowo polityki, a przypomniawszy potrzebę opatrzenia skarbu publicznego, wracano do „egzekucyi“. Obszerny program reformy ustroju państwowego, niezałatwiony był od tylu lat przez to, że połączono z nim sprawę Kościoła narodowego. Przypomniano możnowładzcom projekt do ustawy, o którym była mowa już w r. 1550, żeby nie wolno było piastować równocześnie po kilka dostojeństw w państwie i zabrano się na nowo do rugowania ze wszystkich królewszczyzn, nadanych po roku 1504. Król sam odstąpił czwartą część dochodów z królewszczyzn skarbowi koronnemu, ażeby z niej utrzymywać stałe wojsko zaciężne na południowo-wschodnich kresach, jako pogotowie wojenne przeciw najazdom tatarskim. Nie duże to wojsko było, ale zdawało się dobrze wróżyć o przyszłości, jako zawiązek stałej armii. Zwano je „wojskiem czwartej części“, z łacińska: *(quarta)* kwarta, wojsko kwarciane. Egzekucyę dóbr zaczęto też tym razem istotnie przeprowadzać, nie dbając o osoby i tak skarb państwa zyskał na tym sejmie wiele. Na następnym, odbytym w Warszawie, który trwał od listopada 1563 r. do kwietnia 1564 r., odbierano dalej nie-

prawnie dzierżone królewszczyzny. Tym razem obmyślili zagrożeni panowie nowy sposób; jak do niedawna trzymali szlachtę na wodzy sprawami wyznaniowemi, tak teraz doradzali, żeby najpierw radzić o ściślejszej unii z Litwą i Prusami. Izba poselska unii nie zaniedbała, sejm się przedłużył, ale najpierw skończono z egzekucyą dóbr koronnych.

SPRAWA ROZWODOWA.

Sprawa Kościoła narodowego wróciła jednak na nowo przed Izbę poselską, bo powstawała nadzieja, że król sam zajmie się urządzeniem jego. Zygmunt August, nie lubiący żony, unikał jej tembardziej, że próbowała prowadzić politykę na własną rękę, pilnując interesów domu Habsburskiego. Nie brakowało jej zajęcia, gdy królowa Izabella Zapolska pomimo układów z Ferdynandem Habsburskim, wróciła wraz z synem Janem Zygmuntem do Siedmiogrodu, a ten począł używać tytułu króla węgierskiego i gdy brat królowej, Maksymilian, król czeski i węgierski (od r. 1562 i 1563) począł czynić starania o następstwo tronu po bezdzietnym Zygmuncie Auguście. Tej ubocznej polityki niewieściej król nie znosił. Zmierził zaś sobie żonę do reszty, gdy od r. 1558 zapadała coraz częściej na przykrą a wstrętną chorobę. Z końcem r. 1563 przestał nawet zjeżdżać się z nią, co dotychczas kiedyniekiedy robił, żeby się na uroczystych występach pokazać publicznie razem z królową. W roku zaś 1564 pojawia się pomysł rozwodu. Co niegdyś przy pierwszej żonie Barbarze Radziwiłłównie poddani chcieli wymusić na królu, tego on sam zapragnął przy trzecich ślubach. Poruszyło to oczywiście żywo protestantów: król we własnej sprawie zerwie może z Rzymem, bo Rzym rozwodu nie da, ale udzieli go każdej chwili Kościół narodowy. A nie chodziło królowi o samolubne osobiste względy; pragnął nowych ślubów, bo był ostatnim z Jagiellonów, bezdzietnym, a dynastya Jagiellońska była łącznikiem Polski z Litwą.

Nowe to zawikłanie przypadło na lata stanowcze dla Kościoła, kiedy zwołany po raz trzeci sobór trydencki (jednym z pięciu jego przewodniczących był Hozyusz, mianowany w r. 1561 kardynałem) określił dokładnie w latach 1561—1563 naukę katolicką wobec nowych herezyj i zreformował wiele urządzeń kościelnych, wymagających poprawy. Nowy nuncyusz, Kommendoni, przyjechał,

ażeby duchowieństwo polskie przyjęło uchwały soboru. Uchański, będący już prymasem, nie miał do tego ochoty, a chciał już sam zwoływać sobór narodowy, w którym wzięłyby udział rozmaite wyznania i świeccy wraz z duchownymi. Sam król powiedział do nuncyusza: „Ci biskupi przychodzą do kościoła na mszę i kazanie, lecz o niektórych nie wiem, jakiej są wiary". Zygmunt August nabierał z latami coraz bardziej katolickich przekonań, ale niemniej gorąco pragnął rozwodu. Nuncyusz przedstawił królowi księgę uchwał soboru trydenckiego na zjeździe senatu w Parczowie 1564 r., a król bez najmniejszych trudności ją przyjął, uznając się synem katolickiego Kościoła. Na sejmie piotrkowskim w styczniu 1565 r. oświadczył, jak dawniej ojciec jego, że nie chce być sędzią w sprawie sumień, co znaczyło, że nie myśli za przykładem zagranicznych monarchów sam zakładać żadnego rządowego Kościoła i przepisywać, w co poddani mają wierzyć. Wtedy różnowiercy użyli sprawy królowej, czem króla wcale nie rozgniewali. Zygmunt August wymawiał się, że czuje wyrzuty sumienia, że pojął siostrę po siostrze i że pomimo dyspenzy papieskiej uważa ten związek za nieważny; miało to być podaniem argumentu nuncyuszowi, żeby się oprzeć na tym pozorze i rozwodu udzielić. Kommendoni jednak, mąż uczony, a w postępowaniu po ojcowsku łagodny, chociaż w rzeczy samej stanowczy, zdołał królowi wytłómaczyć, że Rzym żadną miarą rozwodu dać nie może i skoro udzielił przedtem dyspenzy, małżeństwo jest ważne. Poddał się nieszczęśliwy król jego wywodom, ale dodał, że z królową żadną miarą żyć nie może. Niebawem też miała królowa wyjechać do swoich. Wstrzymano ją jednak. Zwolennicy Kościoła narodowego jeszcze raz użyli jej sprawy. Poczęli się publicznie za nią ujmować i żądać od króla, żeby z nią zamieszkał. Plan był zręcznie obmyślany, a kierował nim Uchański. Spodziewano się, że przeciw takim żądaniom będzie się król bronił żądaniem rozwodu i wkońcu zwoła w tym celu sobór narodowy. Rzeczywiście, zawrzały sejmiki udaną obroną praw królowej i zajął się nią sejm lubelski 1566 roku. Ale Zygmunt August nie zwykł był ulegać; poprosił tylko, żeby nie wspominano o tem, co bezwarunkowo stać się nie może. Posłowi cesarskiemu, Dudyczowi, powiedział wręcz, że wolałby śmierć, niż zamieszkanie z królową. Dnia 8 października 1566 r. opuściła Katarzyna Habsburska Polskę. Król jeszcze szukał sposobów do

rozwodu, jeszcze się łudził, że papież mu go udzieli. Dnia 21 kwietnia 1570 r. wysłano z Rzymu pismo ze stanowczą odmową, a zrywać z Kościołem król nie chciał. Zygmunt August, sterany tylu osobistemi nieszczęściami, nieszczęśliwy od zgonu Barbary, zapadał coraz bardziej na zdrowiu. Pragnąc gorączkowo potomka, choćby nieprawego, począł wieść życie niedobre. Ale gdy rozeszła się pogłoska, że się ożeni z jedną z nałożnic i zapytano go o to, odparł dumnie, prawdziwie po królewsku: „Nie robi się, co nie wypada".

Sprawa rozwodowa na nic się nie zdała nieprzyjaciołom Kościoła. A już tymczasem katolicy poczęli się organizować. W roku 1565 sprowadził Hozyusz do Polski Jezuitów, najgroźniejszych pogromców herezyi. Czując, jak coraz gorzej stoi ich sprawa, próbowali protestanci jeszcze raz wspólnej konfessyi. W r. 1565 stanęła ugoda pomiędzy „Jednotą" wielkopolską a sąsiednimi kalwinami z Kujaw; związek ten rozszerzał się i objął w r. 1570 wszystkich różnowierców, prócz aryanów. Ułożono wspólne wyznanie wiary, ale takie, że o najważniejszych sprawach, które ich dzieliły, zachowano milczenie lub zbywano je ogólnikami. Chodziło tylko o polityczne względy, żeby na wypadek śmierci Zygmunta Augusta wykazać się przed jego następcą, że pozyskali uznanie państwowe w Polsce; przewidywano bowiem, że tron polski dostanie się tylko katolikowi. Tak doszła w Sandomierzu w r. 1570 t. zw. „zgoda", czyli z łacińska: konsens sandomierski. Ale Zygmunt August tej konfessyi nie uznał i protestancka organizacya ciągle jeszcze nie miała prawnego stanowiska w państwie polskiem.

LUD WOBEC PROTESTANTYZMU.

Nie darzyło się protestantyzmowi, bo nie zdołał oprzeć się na masach narodu i pozostał zawsze tylko szlachecką, a nawet tylko pańską sprawą; uboższa szlachta także się do niego nie garnęła. Po większej części przyjmował szlachcic protestantyzm dlatego, żeby na swej wsi stać się już zupełnie nieograniczonym władcą. Był panem nad kmieciem, młynarzem i żydem, a chciał tak samo być panem nad plebanem i rozstrzygać, jakiej wiary ma uczyć; chciał się też pozbyć dziesięciny na rzecz Kościoła składanej. Uboższy szlachcic i tak nie miał w swej wiosce kościoła i kolatorem nie był, więc mu na tem nie zależało. Lud zaś nie

miał żadnej przyczyny słuchać „piątej ewangielii“; owszem przywiązany był do katolickiego duchowieństwa, bo mu się w dobrach kościelnych lepiej działo, niż w szlacheckich. Niechętnie więc patrzał na dążności protestantów, żeby dobra kościelne skonfiskować; ksiądz katolicki był jeszcze jedynym jego obrońcą, a pastor, zależny w zupełności wyłącznie od dziedzica, z ludem trzymać nie mógł. Jedynym wyjątkiem wśród sekt była „Jednota“, stojąca najwyżej pod względem moralności chrześcijańskiej; ona pamiętała o obowiązkach względem ludu. Na synodzie wielkopolskiej „Jednoty“ w r. 1560 uchwalono ulżyć ciężarów ludu wiejskiego, robociznę zmniejszyć do połowy; ale na ich synodach świeccy nie mieli głosu, tylko sami duchowni, którzy Czechami byli, — a świeccy swoją drogą nie usłuchali i zaczęli się potem łączyć z kalwinami. Nie duchowe bowiem względy i nie wątpliwości religijne miała na względzie większa część polskich protestantów, ale grube względy materyalne, a w najlepszym razie polityczne. Lud to spostrzegł, że zmieniają wiarę — dla przysporzenia sobie grosza i władzy; toteż znienawidził i otoczył wzgardą wszystkie różnowiercze sekty. Nienawiść ludu do protestantów dochodziła aż do zaciekłego fanatyzmu. Cmentarze ich nazywali psiemi górkami i t. p. i czekali tylko lada podmuchu, żeby się rzucić na ich kościoły i duchowieństwo. Gdyby protestantyzm był zapanował w Polsce, byłby doprowadził, podobnie jak w Niemczech, i u nas do wojny chłopskiej.

W sam raz na czas rozkwitu protestantyzmu przypada początek niewoli ludu wiejskiego. Z końcem rządów Zygmunta Augusta był już wieśniak przypisany do gleby, bo bez zezwolenia pana nie wolno było się przesiedlić, chyba, że się wykupił. Ustawą nie była jednak jeszcze niewola ludu stwierdzona; to nastąpiło dopiero po śmierci Zygmunta Augusta. Rzeczywiste stosunki praktycznego życia paraliżowały jeszcze dążenia szlachty i lud przesiedlał się ciągle i w miastach znajdował zarobek.

POLITYKA HANDLOWA.

Po naszych miastach dawała się już zwolna odczuć niekorzystna dla Polski zmiana stosunków ekonomicznych i handlowych. Dawne handlowe szlaki śródlądowe w Polsce, od miasta do miasta, upadały; handel trzymał się teraz coraz wyłączniej rzek, stawał

się spławnym i morskim. Ażeby miastom dopomódz, postanowiono w roku 1565 ściągnąć do kraju obcy pieniądz, a nie wypuszczać, o ile możności, własnego i w tym celu zakazano kupcom polskim trudnić się handlem z zagranicą. Obcy kupiec miał przyjeżdżać na miejsce, do Polski i tutaj sam płody surowe skupywać i sam je sobie odwozić. Nie było to więc wcale zakazem wywozu, tylko krajowi kupcy sami wywozem nie mieli się trudnić. Podobnej polityki handlowej trzymano się we Francyi. W myśl tych zarządzeń kupcy obcy mieliby objeżdżać cały kraj, każde miasto stałoby się ogniskiem handlu na płody swej okolicy, a polscy kupcy zajęliby się skupywaniem ich dla obcych i odsprzedażą. Takie urządzenie handlu wydawało się współczesnym najlepszem, w czem jednak mylili się.

W r. 1564 powzięto zamiar ożywienia handlu czarnomorskiego drogą rzeczną. Nuncyusz Kommendoni radził wysyłać płody krajowe przez Dniestr na morze Czarne, gdzie czekałyby na nie weneckie okręty. Król wyznaczył komisyę do zbadania biegu Dniestru, ale naprzeciw dzisiejszego Jampola natrafiono na ławy kamienne, przeszkody tej nie umiano wówczas usunąć i cały plan spełzł na niczem. Pozostaje tylko świadectwo, że dobrobytem miast opiekowano się szczerze, a następny upadek ich nie był wcale umyślnie przygotowany przez szlachtę, jak się powszechnie przypuszcza wbrew historycznej prawdzie. Owszem, pomagano miastom, jak umiano, stosownie do panujących wówczas w Europie pojęć ekonomicznych.

SĄDOWNICTWO.

Jak trudno w sprawach publicznych odkryć trafną drogę, przez ile pomyłek przechodzą nieraz najprostsze nawet sprawy, nim się dokona należytej reformy, okazać można na sądownictwie ówczesnem, które już za Zygmunta Starego wymagało poprawy. Upierano się jednak przy tem, że król ma sądzić osobiście w najwyższej instancyi, bo poddanie się czyjemuś wyrokowi wydawało się wówczas zarazem osobistem poddaniem się i ludzie długo nie mogli zrozumieć, jak mógłby być wydany przez sąd wyrok bez apellacyi do króla. Dziwnem im się też wydawało, żeby społeczeństwo miało ponosić koszta sądownictwa; uważali to za obowiązek króla, skoro on jest najwyższym sędzią. Andrzej Frycz Modrzew-

ski, a później także Andrzej Ciesielski, radzili, żeby sędziowie byli dożywotni i płatni; te pomysły, tak rozumne, były dla współczesnych wprost wstrętne; sędziowie musieli być wtenczas wybieralni. Ilość spraw zaległych w apellacyi królewskiej rosła w nieskończoność. Zygmunt August zajmował się gorliwie reformą sądownictwa i ustanawiał, już to z Izbą poselską, już to bez niej, a nawet wbrew niej, rozmaite sądy, mające go wyręczyć w sprawowaniu najwyższej instancyi. Spierano się znowu o skład sądu, żeby i szlachta miała dostęp do godności w najwyższym trybunale, a nietylko senatorowie. Król uznał słuszność żądania, lecz nastały nowe wątpliwości o sposób wyboru sędziów, po ilu ich ma być i czy ustanowić na całą Koronę jeden wielki sąd, czy w każdem województwie osobny i t. p. Przez cały czas panowania Zygmunta Augusta robiono jakby rozmaite próby, a szlachta czasem króla popierała, lecz częściej mu przeszkadzała, bojąc się poprostu sądu, któryby bez króla był najwyższą instancyą. Ledwie zdołano usunąć w końcu ten przesąd i przygotować przynajmniej grunt w umysłach do reformy, której miano ostatecznie dokonać za drugiego z następców Zygmunta Augusta, za króla Stefana Batorego.

Podobnież nie mogli współcześni pojąć, jak mogłoby być dla wszystkich jednakie prawo karne. W całej Europie inaczej sądzono kmiecia, a inaczej szlachcica. Nasz pisarz polityczny, Andrzej Frycz Modrzewski, domagający się równego prawa dla wszystkich, był dziwnem i jedynem zjawiskiem i przynosi to zaszczyt imieniowi polskiemu, że przynajmniej pomysł taki pojawił się u nas już w XVI. wieku. Tensam Modrzewski domagał się, żeby za mężobójstwo karano śmiercią. I to nawet było przedwczesne na owe czasy. Pozostano przy grzywnach, które były ciężką karą za Kazimierza W., ale za Zygmunta Augusta wychodziło to w praktyce na to, że kto miał pieniądze na karę sądową, mógł zabijać i tylko sumienie stało na straży porządku społecznego. I tak możnaby przytoczyć wiele a wiele przykładów, jak pokoleń całych trzeba na to, żeby uskutecznić jaki słuszny pomysł, nim ogół zrozumie, że jest naprawdę słusznym i potrzebnym. Samo wystąpienie Modrzewskiego pozwalało dobrze wróżyć o przyszłości społeczeństwa; skoro już był pomysł, można było mieć nadzieję, że za lat 50, a choćby 100 stanie się ustawą, jeżeli tylko społeczeństwo dalej rozwijać się będzie.

UNIA LUBELSKA (1569).

Ze wszystkich spraw publicznych zależało Zygmuntowi Augustowi najbardziej na tem, żeby Litwa pozostała i na dalsze wieki w unii z Polską, a przez to w związku z zachodnią cywilizacyą. Gdyby miał syna, nie trwożyłby się o to, bo Jagiellonowie byli na Litwie dziedzicznymi panami i nie ulegałoby najmniejszej wątpliwości, że Polacy obraliby sobie królem latorośl tak zacnej i zasłużonej Jagiellońskiej dynastyi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa syn Zygmunta Augusta byłby koronowany za życia ojca podobnież, jak on koronę otrzymał w dziecinnych jeszcze latach, za życia Zygmunta Starego. Trwożny o przyszłość unii król chciał sam własną ręką usunąć wszystkie przeszkody, mogące po jego śmierci szkodzić temu dziełu wielkich przodków. Z uroszczeniami do dziedzictwa Litwy mogliby wystąpić potomkowie jego sióstr, a zwłaszcza najstarszej Jadwigi, zamężnej za elektorem brandeburskim, Joachimem II.[1]). Daje więc Joachimowi odczepne. Dnia 4 marca 1563 r. dopuszcza go wraz z potomstwem do dziedzictwa księstwa pruskiego, gdyby wygasła linia Albrechtowa; a wiadomem było, że syn jego chorowity. Zamiast wcielić resztę Prus do Polski, gdyby wymarło potomstwo księcia Albrechta i zyskać drugie tyle wybrzeży Bałtyku, mieliśmy nietylko utrwalić nadal byt tego księstwa, ale dać mu się zamienić w znaczne i potężne państwo na północy w połączeniu z Brandeburgią. Ofiara nadzwyczaj ciężka, dająca się usprawiedliwić jedynie obawami królewskiemi o przyszłość Litwy. W latach 1559—1564 zaprowadzał król na Litwie prawo publiczne polskie, urzędy i sądy ziemskie z wyborów, sejmiki i sejmy na sposób polski odbywane; nareszcie w roku 1564, dnia 12 lutego, zrzekł się dziedzictwa Litwy. Tak na wszystkie strony i sposoby zabezpieczał, żeby Litwa mogła sobie po jego śmierci wybrać swobodnie władcę wspólnego z Polską.

Sam nad tem myślał, kto tym władcą będzie. W r. 1558 groził śledztwem na tych, którzy rozgłaszali, że się już ułożył

[1]) Młodsze siostry miały za mężów: Zofia księcia brunświckiego w Niemczech, Katarzyna króla szwedzkiego, Izabella była wdową po królu węgierskim Zapolyi, Anna zaś niezamężną.

w tej mierze z Habsburgami. Życzył sobie wyboru następcy jeszcze za swego życia i prawdopodobnie pragnął nim mieć młodego Jana Zygmunta Zapolyę, syna Izabelli. O następstwo to począł się jednak starać i jednać sobie zawczasu stronników Maksymilian, syn cesarza Ferdynanda, a że Habsburgowie i Zapolyowie wojowali z sobą ciągle na Węgrzech, musiał król polski dużo politykować i ostatecznie nie mógł przeprowadzić wyboru Zapolyi, nie chcąc ściągać na Polskę otwartej nieprzyjaźni Habsburgów, którzy już pokazali, jak daleko mogą sięgać ich wpływy. Maksymilian nie zaprzestał zaś nigdy starań o tron polski, chociaż wkrótce posiadł Czechy i Węgry (o ile były wolne) i cesarską niemiecką koronę. Już cesarzem będąc (Maksymilian II.) wystąpił jako kandydat do polskiej korony w r. 1575 i rzeczywiście przez znaczne stronnictwo możnowładcze został wybrany, jakkolwiek tronu nie osięgnął. Królowa Katarzyna pomagała bratu werbować w Polsce stronników i za to także nie lubiał jej Zygmunt August.

Nie mogąc sam przeprowadzić elekcyi swego następcy, starał się tem usilniej, żeby Litwa napewno wybrała sobie pana wspólnie z Polską. Nietylko chciał wznowić dawne w tej mierze zapisy, ale pragnął unię uczynić jeszcze ściślejszą i pod tym względem zgadzał się najzupełniej ze szlacheckiem stronnictwem „egzekucyi“; czem ściślejszą bowiem będzie ta unia, tem większa pewność, że Litwa pozostanie przy Polsce. Wprowadzanie polskiego prawa publicznego było tylko wstępem do zamierzonego dzieła. Szlachta przypominała, że pierwszą formą unii z Litwą (w unii Krewskiej 1385 roku) było proste wcielenie jej do Królestwa polskiego i pragnęła teraz to wykonać, zapewniając oczywiście Litwinom najzupełniejsze równouprawnienie we wszystkiem. Program ten, niemożliwy w XIV. wieku, przedstawiał się całkiem inaczej pod koniec wieku XVI.; już i tak od długiego czasu jeden władca załatwiał sprawy obydwóch państw, senatorowie jednego państwa zjeżdżali na narady senatu w drugiem, porozumienie było ciągłe, pomoc polska dla Litwy ustawiczna; już rozumiano dobrze w Krakowie potrzeby Litwy i polityczne jej sprawy, a powstała co dopiero literatura polska zajmowała się Litwą niemało. Sejm poczynił jednak znaczne ustępstwa z pierwotnego programu i zgodził się na osobny rząd na Litwie. Szlachcie chodziło głównie o to, żeby sejmy walne były wspólne, ażeby z pomocą posłów od szlachty

litewskiej złamać tem łatwiej potęgę możnowładców i dokonać demokratycznego ustroju państwa. Reforma unii była też skierowaną przedewszystkiem przeciw możnowładztwu litewskiemu; ci więc wystąpili z opozycyą, chcąc pozostać przy unii ostatniej, zawartej za króla Aleksandra. Używali od początku za pozór sprawy przynależności Podlasia, Podola i Wołynia, niezałatwionej jeszcze od czasów Kazimierza Jagiellończyka, żeby te ziemie nie należały do Korony, lecz do Litwy. Nietrudno było pogodzić się w tej rzeczy i nie brakło sposobów wybrnięcia z tej trudności ku obopólnemu zadowoleniu, choćby przecinając na pół przedmiot sporu. Ale wielcy panowie litewscy nie chcieli unii ściślejszej i przewlekali umyślnie sprawę na trzech sejmach, a na lubelskim w r. 1569 zerwali zupełnie rokowania z Polakami. Wtedy pozostali jednak na sejmie przedstawiciele Podola, Wołynia, Podlasia i Kijowszczyzny, czyli Ukrainy i oświadczyli, że chcą wcielić swe ziemie bezpośrednio do Korony. Król zaraz na to przystał i jako władca litewskiego państwa kraje te do Polski przyłączył. Wydano dla nich dokumenty nowej unii, potwierdzając na nowo równouprawnienie schyzmatyków i głosząc hasło: „wolni z wolnymi, równi z równymi“. Wielmożów litewskich przyjęła szlachta w domu z największem oburzeniem, gotowa pójść przebojem przeciw nim, zawrzeć unię bez nich, a nawet przystać na proste wcielenie do Korony, podobnie, jak południowe ruskie ziemie. Wrócili więc przerażeni możnowładcy do Lublina i zawarli w końcu nową unię imieniem Litwy właściwej.

Korona (tj. Polska właściwa i wcielone do niej ruskie ziemie) i Litwa mają mieć mocą unii lubelskiej 1569 r. po wieczne czasy wspólnego króla, wspólne sejmy, wspólną monetę i politykę zagraniczną, a więc wspólne pokoje i wojny, ale osobnych ministrów, osobny skarb i osobne wojsko. Współcześni byli przekonani, że jak układ ten nie był pierwszą formą unii, tak też nie jest jeszcze ostatnią i że kiedyś będzie się można pozbyć ograniczeń, na które obecnie zgodzono się ze względu na możnowładztwo litewskie. Potomni mieli dalej unię udoskonalać. Nie stało się tak, lubelska pozostała aż do końca polskiego państwa, chociaż zmienione potem zupełnie stosunki wymagały nowej znowu reformy.

Zygmunt August dokonał swego, zapewnił obydwom państwom wspólność monarchy, a przez wspólne sejmowanie utoro-

rował drogę coraz ściślejszym w przyszłości stosunkom. Nie bał się już o przyszłość unii.

TESTAMENT OSTATNIEGO Z JAGIELLONÓW.

Dnia 28 lutego 1572 r. zmarła w Lincu w Austryi królowa Katarzyna. Zygmunt August był wdowcem, mógł się żenić i cieszyć nadzieją potomstwa. Starym nie był, miał dopiero 52 lat. W cztery miesiące potem, dnia 7 lipca 1572 r., był jednak sam na marach, ten król tak o szczęście poddanych dbały, a sam tak nieszczęśliwy. O charakterze jego i o tem, co czcił i kochał najbardziej, powie najlepiej kilka wierszy z jego testamentu:

„Tym naszym testamentem obiema państwu, Koronie polskiej i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu dajemy i odkazujemy i zostawujemy miłość, zgodę, jedność, którą przodkowie nasi po łacinie unią zwali..... a który z tych dwóch narodów naród tę unię od nas wdzięcznie przyjąwszy, mocno trzymać będzie, temu błogosławieństwo dajemy..... a który zasię naród niewdzięczen będzie i dróg do rozdwojenia będzie szukał, niechaj się boi gniewu Bożego..... Racz Panie Boże to w tem obojgu państwie utwierdzić, coś w niem przez nas sprawił. Racz oboi ten lud w jedności spojony, w niezmyślonej miłości wiecznie zachować".

Który naród miał królów tak godnych, jak my Jagiellonów?

IDEA JAGIELLOŃSKA.

Wyjątkowa to zaiste dynastya w dziejach, tak pełna zasług cywilizacyjnych, jak żadna inna, a zawsze zgodna z duchem chrześcijańskim. Rozważając powołanie poganina Jagiełły na tron polski, przypomina się, jak w największej sprawie w historyi ludzkości „naród wybrany" nie chciał służyć dziełu zbawienia, a Opatrzność powołała natenczas pogan do przyjęcia i szerzenia świętego dzieła chrześcijaństwa: podobnież dokonali Jagiellonowie tego, czem wzgardzili, niepomni obowiązków, cesarze rzymscy a niemieccy królowie. Nasz naród pierwszy doszedł do poczucia narodowego i pierwszy uznał i uszanował to w innych narodach. Jagiellonowie krocząc na czele społeczeństwa, jako przodownicy i wykonawcy jego idei dziejowej, dokazali tego dziejowego cudu wobec Europy, że łączyli narody pod hasłem braterstwa, a nie podbojem. Unia jest najwyższym objawem polskich dziejów

i najpiękniejszym przykładem dla innych ludów europejskich. Wdzięczna Jagiellonom potomność zowie też tę sprawę ideą jagiellońską.

Równi z równymi, wolni z wolnymi — oto idea jagiellońska. A łączy się z tem uczciwość i poczucie nie samych tylko praw monarszych, ale też obowiązków względem poddanych.

Od czasów króla Władysława Łokietka opierało się państwo polskie na społeczeństwie, a w okresie jagiellońskim wywierało społeczeństwo coraz większy wpływ na sprawy publiczne. Prąd ten wzmacniał się jeszcze za następnych królów, nakładając coraz więcej obowiązków na społeczeństwo, coraz większą odpowiedzialność za losy państwa. Póki rozwój umysłowy towarzyszył nabywaniu praw, nie było obawy o spełnianie obowiązków.

Piastom zawdzięczamy wiarę i narodowość; Jagiellonom cześć za to, że politykę narodową na chrześcijańskich oparli zasadach.

1279

Biblioteka Akademii Górniczej Centralnego

AL
5155